

Prof. M. ZDZIECHOWSKI.

EUROPA ROSJA AZJA

Szkice polityczno-literackie.



NAKŁADEM KSIĘGARNI STOWARZYSZENIA
NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO - WILNO 1923
LIDA — OSZMIANA — WILEJKA POWIATOWA.
SKŁAD GŁÓWNY M. ARCT: WARSZAWA — POZNAŃ — LWÓW
KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ. — RÓWNE.

Prof. Janini Dobrowolski
W. Lechow
Prof. M. ZDZIECHOWSKI.

Europa, Rosja, Azja

Szkice polityczno-literackie.

Nakład Księgarni Stowarzysz. Nauczycielstwa Polsk.
w WILNIE

ul. Królewska 1. — Filja: ul. Wileńska 36.
Oddział w Wilejce pow.

M. Arct.

Warszawa. Poznań. Lwów. Równe. Lublin. Łódź.



CM 313600

Drukarnia „ZNICZ” Wilno, Ś to Jańska 19.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 133 /2011/ CM

CZĘŚĆ PIERWSZA.

DWA POKOLENIA



I.

Wojciech Dzieduszycki.

1.

Wśród naszych pisarzy politycznych doby ostatniej postacią niepospolicie wybitną, a niedostatecznie ocenioną jest Wojciech Dzieduszycki. Zmarł w roku 1909, więc pięć lat przed wojną. Przewidział jednak wojnę i kataklizmy, które po niej nastąpić miały i których dziś świadkami jesteśmy. W pismach swoich z nadzwyczajną, intuicyjną bystrością i nieraz jakby w proroczym jasnowidzeniu przedstawiał stan świata obecny i przyszły. Dla tego pisma jego powinien znać każdy myślący Polak.

W działalności swojej połączył on dwa dalekie od siebie zawody. Był filozofem i profesorem przedmiotu tego w uniwersytecie Lwowskim, i był politykiem czynnym, członkiem Sejmu we Lwowie i Rady Państwa w Wiedniu, przez szereg lat prezesem Koła Polskiego, w końcu ministrem. Poza tem pisywał powieści, układał wiersze, uprawiał krytykę literacką i estetyczną; pracę naukową rozpoczął książką o Atenach starożytnych, zakończył historją filozofji Greckiej.

Ta fenomenalna wielostronność wypływała z szerokiej, natury artystycznej cechującej, wrażliwości umysłu. I naturą artystyczną był też Dzieduszycki pod względem żywiołowej wylewności, nie umiejącej wybuchów temperamentu i uczucia powstrzymać.

Humor i werwa nie opuściły go do późnej starości. Ten 60 letni profesor; ten polityk i mówca, który siłą potężnego słowa umiał nieraz w chwilach stanowczych i trud-

nych porwać za sobą parlament i rozwikłać sytuację, jak się zdawało, bez wyjścia, robił nieraz wrażenie studenta na wakacjach, potrzebującego wyładować nazewnątrzną swoją młodą energję. Niewyczerpanym był w pomysłowości, gdy miał spłacać komu figla. Pod tym względem był nieobliczalny; z anegdot o nim krążących możnaby ułożyć spory tom. I do końca życia pozostał swawolnym, nieobliczalnym „Wojtkiem”. Tak go w rozmowach o nim nazywano, nigdy — profesorem, hrabią, czy excellencją, choć siwy, jak gołąb, i okazałej postawy był z powierzchowności daleko więcej excellencją, niż Wojtkiem.

Ta jego nieobliczalność tłumaczy, dlaczego tak długo nie wysuwano go na stanowisko prezesa Koła Polskiego, które mu się należało ze względu na talent polityczny. Czekano, aż się „Wojtek” ustatkuje. Wszak, jako prezes, byłby w bezpośredniej styczności nie tylko z ministrami, ale i z cesarzem i obawiano się jakiegoś niespodzianego wybuchu humoru wobec najsztynniejszego z monarchów, który nigdy ani na chwilę nie zapomniał, że jako monarcha i Habsburg, jest niedościgle wysoko ponad ogół ludzi wzniesiony.

Wrażliwość i wielostronność mają swą odwrotną stronę; prowadzą za sobą trudność w skupieniu myśli i pośpiech w pracy — aż do niedbałości. To ostatnie cechuje prace naukowe Dzieduszyckiego. I nie one stanowią jego chwałę, ani też powieści i poematy, ale te filozoficzno-polityczno-społeczne improwizacje, które pisywał jakby w przystępie natchnienia i jednym ciągiem pióra — dlatego nazywamy je improwizacjami. Postawiły go one w szeregu genialnych obserwatorów życia.

Z tych improwizacyj najlepszą jest „Mesyanizm Polski, a prawda dziejów“.*) Myśli tam wygłoszone powtórzył Dzieduszycki w książce większych rozmiarów, noszącej tytuł „Dokąd nam iść wypada” i stanowiącej jego testament polityczny. Pisał ją w ostatnich latach życia swego, wyszła po śmierci, w roku 1910.**)

Pisał ją w ciężkiej niezdolnej atmosferze panującego nad światem militarysty, w oczekiwaniu bliskiej, a strasznej wojny narodów.

Burza nadchodziła, pacyfistyczne zaś ptaszęta niewin-

*) Rozbiór książki tej, która wyszła w Krakowie w r. 1899 dałem w zbiorze szkiców moich „U opoki mesyanizmu” (Lwów, 1912)

**) W Brodach, nakładem F. Westa.

nie kwiliły o przyszłej erze powszechnego pokoju, jakgdyby słodziutką utopją grozę chwili zażegnać chciały.

I w przypuszczeniu, że w niedalekiej przyszłości utopja ta w ręku człowieka, mającego pod sobą państwo potężne, a bezpośrednio nie zainteresowane w sporach trawiających starą Europę, przeistoczyć się może w program polityczny, Dzieduszycki rzucił pytanie, co by się stało ze światem, z ludzkością, jeśli by nagle znalazła się jakaś najwyższa instancja, trybunał jakiś powszechny, przed wyrokami którego uginałyby się wszystkie państwa i narody, i jeśli by na mocy rozkazów trybunału tego wojny zniknęły na zawsze z oblicza ziemi, ustępując miejsca jakimś sądom rozpuchym.

Armaty i pancerze statków — odpowiada*) — spocełyby wówczas w muzeach, podobnie jak krzemienne oręż przodków naszych, i historyczna przeszłość narodów stałaby się przedmiotem obrzydzenia. „Co się nazywało dawniej bohaterstwem, otrzymałoby nazwę barbarzyńskiej zbrodni. Leonidasa i Godfryda de Bouillon, Aleksandra Wielkiego i Napoleona zaliczonoby w poczet pospolitych rzezimieszków, historia przestałaby dla młodzieży być źródłem entuzjazmu i przestano by rozumieć poetów przeszłości, opiewających heroiczne poświęcenia dla ojczyzny albo dla idei.“ Rozsądek, zimny suchy rozsądek zapanowałby nad światem. „Racjonalnym ideałem naszych racjonalnych potomków byłby człowiek, który robi majątek na zastosowaniu praktycznem jakiegoś wynalazku, albo na zręcznej spekulacji“, a myśl o walce „oreźnej, regularnej, honorowej, ujętej w prawa wojny przejmowałaby normalnego młodzieńca tak szlachetną grozą, jak dziś panienkę widok ropuchy“

Odebranoby państwom ich główną rację bytu, t. j. obowiązek oreźnej obrony społeczeństwa.. Wraz z tem zamarłby „przesąd ojczyzny“; świat zamieniłby się w masę bezbarwną, jednolitą, w jakąś ogromną bryłę martwego głazu, ludziom prawiono by morały o miłowaniu jakiejś abstrakcyjnej ludzkości...

Ale czy morały te zapaliłyby ich, czy głoszona i zalecana miłość wstąpiłaby w ich serca?

Oczywiście nie. Ludzie pozostaną ludźmi. Więc nadal klócić się będą i nienawidzić; interesy materialne będą się spierały ze sobą. „Ułody porywać się będą na

*) Por. str. 179. Przytaczamy w streszczeniu.

bogaty, robotnicy miejscowi tłuc robotników przybyłych z daleka, aby im chleb odbierać". Instynkt walki, który tkwi w duszy każdego człowieka, „pozbawiony miarkującej tradycji wojennej”, przybierze obrzydliwe postacie podpalai, zbrojnych napadów, morderstw i skrytobójstw. Nie będzie w owej przyszłej, tak trafnie przez Dzieduszyckiego przewidzianej, epoce Wilsona wojen między państwami i narodami, lecz będzie *bellum omnium contra omnes*, to zaś doprowadzi do ogólnej anarchji.

Dlaczego? Ludzie — rozumuje autor — tworzą państwa i ulegają dobrowolnie prawom przez te państwa nadanym z dwu powodów: dlatego że pragną skutecznej ochrony przed obcym najazdem i dlatego że w państwie uczują wcielenie historycznej ojczyzny, dla której żywią uczucia do najgorętszych uczuć religijnych podobne. Gdy zaś obawa najazdu i patriotyzm znikną, pozostanie tylko potrzeba kosmopolitycznej organizacji ochronnej, mającej osobę i własność bronić przed prywatnym gwałtem i prywatnym wyzyskiem, więc urządzi „jakąś międzynarodową żandarmerję” która „wystarczy na aresztowanie złooczyńcy, bardzo już niechętnie lokalny rozruch zwalczać będzie, a stanie się przedmiotem obelg i nienawiści, jeśli kiedykolwiek krew obywateli przelewać odważy się”.

Co pocnie wtedy władza, ów kosmopolityczny zwierzchni trybunał ludzkości? Władza trybunału, rozległa, a wszystkim obca, bezsilną się okaże wobec poważniejszego rozruchu i bezsilną będzie przeciw „egoizmowi grup prywatnych, które tworzyć się poczną zrazu dla zarobku a niebawem dla rozboju i obrony“... „Walka między kosmopolitycznem, dla wszystkich obojętnem prawem a prywatną swawolą, żadnym skrupułem nie krępowaną, we wszystkie zaś wynalazki nowożytnej chemji uzbrojoną, musi się skończyć upadkiem władzy, swawoli zwycięstwem“.*)

Nie dlatego jednak kreślił Dzieduszycki ten ponury obraz, że wierzył w zwycięstwo haseł pacyfistycznych i że zwycięstwa tego się obawiał. Chodziło mu tylko o zdarcie z pacyfizmu jego ułudnych pozorów i pokazania ludziom odwrotnej jego strony.

Dopóki bowiem świat-światem, pacyfizm pozostanie utopją. Frazesy Wilsona o „wielkiej rodzinie ludzkości“ były tylko frazesami, były w notach przedstawicieli narodu,

*) Por. s. 182.

który zwykł sadzić o rzeczach wyłącznie ze stanowiska doraźnego *gieszefu*, narzędziem do gieszefu nowego, a świętego — do utworzenia ligi, czy związku narodów, któreby dobrowolnie, czy pod przymusem, zechciały służyć interesom Anglii i Ameryki.

Wprawdzie już wtedy zarysowywało się przeciwieństwo między obu państwami, na które Wilson umyślnie zamykał oczy, które dziś widzimy wyraźnie. Ameryka pragnęłaby, mając zapewnione poparcie Europy, zawczasu zniszczyć groźną konkurencję rasy żółtej przez Japonję prowadzonej, Anglja zaś, zazdrośnem okiem spoglądając na rozrastające się, dzięki wojnie, bogactwa Ameryki, na jej materialną potęgę, radaby ją wepchnąć samą w wojnę z Japonją i skorzystać z osłabienia obu swoich współzawodniczek, któreby tej walki było czynnikiem. Złamano militarizm niemiecki, po którym miał nastąpić raj na ziemi; zamiast tego powstaje militarizm nowy przeciw państwu wschodzącego słońca skierowany.

Ze stoimy w przededniu nowych walk z Azją, że narody jej „poczuły dreszcz zmartwychwstania“, że nawet Chiny ruszyły z miejsca, że „witeziem rasy żółtej“ będzie Japonja, która jeszcze przed stu laty nie więcej znaczyła, niż Borneo lub Sumatra, że marzenia o podboju świata przez „białych fabrykantów“ ostatecznie spelzło na niczem — to wszystko Dzieduszycki zrozumiał*) i kilkakrotnie o tem w dziele swem napomknął. Ale uwagę jego pochłaniało niebezpieczeństwo bliższe i realniejsze, niż panmongolizm — i, stawiając pytanie „dokąd nam iść wypada“, miał na myśli stosunek nasz nie do panmongolizmu, ale do anarchji moralnej i socjalnej, coraz szerzej ogarniającej wszystkie sfery życia w Europie i torującej drogę zdobywczemu najazdowi ras zdrowszych i oporniejszych.

2.

Treść dziejów stanowi kolejny wzrost i upadek narodów i państw. Wynika to „ze sprężyn natury ludzkiej tak powszechnych, że trudno, aby podobne zdarzenia nie powtarzały się“. Pomimo to, poprzez katastrofy i na zgłiszczach upadłych cywilizacyj postęp dokonywa się. „Niech więc czytelnik wie, na czem ten postęp zależy i co jemu

*) Por. s. 472.

na przeszkodzie stawać może“. Tak pojął i określił Dzeduszycki zadanie swoje.

Zasadniczym postępu czynnikiem jest zmysł bawarczy — i oto już w nim są zarodki rozkładu i upadku. Zmysł ten bowiem raz rozbudzony nie ograniczy się obrębem tylko bezpośrednich, praktycznych korzyści. Zwróci się do religii, tradycji, ustawodawstwa, zacznie od rozmyślań o naprawie, skończy na wątpieniu, mianowicie „wątpić zacznie o tem, czy należy nadal czynić to, co czynili dawni, ubodzy, a twardzi przodkowie, straci wiarę w to, że, co stare, to nieomyłne“.... i „powoli zaprzeczy podstawom, na których społeczeństwo wyrosło, szukać będzie nowych, ale nie znajdzie takich, na któreby się wszyscy zgodzili“*) i w końcu pograży społeczeństwo w chaosie intelektualnym i moralnym.

Drugim, a gróźniejszym czynnikiem rozkładu jest dobrobyt powszechny, idący wślad za cywilizacją, bezpieczeństwem, które ustalónemu porządkowi państwowemu zawdzięczamy. Państwo we wszystkie dziedziny się wciska, wszystko nadzoruje i „narody poczynają godzić się z tem, że rząd za nie myśli, nimi komenderuje dla ich dobra i wygody“,**) ludzie niewieściej i głupiej, odwykają od samodzielności. Zanika barbarzyński nieraz, lecz niezbędny w zdrowem społeczeństwie pierwiastek osobistej dzielności. Szukają wtedy ludzie swobody w przeczeniu zasadom religii i moralności, ponieważ im są niedogodne; sarkają niby na wszechwładzę rządu, ale bez tego jużby się obejść nie mogli; utuczeni dobrobytem grzęzną w drobnostkowem samolubstwie „niezdolnem do tworzenia dzieł idealnych i do pojmowania idealnych celów“, coraz mniej myślą o tem, co dla powszechności jest zbawienne, usuwają się od obowiązków rodzinnych i społecznych.

W miarę zaś niedołążnienia warstw wyższych występują na widownię masy upośledzone, nabierają coraz większego wpływu na rząd, a kierowane nienasyconemi apetytami, dają w końcu folgę nienawiści do zasad, na których społeczeństwo dotąd rosło i potężniało***). Władze chwieją się, ustępują; napór żywiołów nowych, których częściowe reformy już zadowolnić nie mogą, staje się

*) Por. s. 45.

**) Por. s. 488.

***) Por. s. 47.

coraz gwałtowniejszym, „poczyna się walić zewsząd stary gmach społeczny, nastaje pora wielkich przewrotów, kończy się jeden wielki okres dziejów“.

Kreśląc słowa te, Dzieduszycki jasną miał świadomość, żeśmy u progu tego końca już staneli. Świadczy o tem przede wszystkim utrata wiary w trwałość obecnego porządku społecznego. Nikt nie ma siły do oporu przeciw prądom rewolucyjnym, szczególnie zaś upokarzające to, że „odkąd żydzi otrzymali równouprawnienie i odkąd opanowawszy handel, a zwłaszcza kredyt, stali się wielką potęgą i dziennikarstwo w ręce swoje dostali“, wszystko pod ich wpływem „zaprawiło się instynktową nienawiścią do przeszłości, której pamięć jest dla żydów pamięcią samych prześladowań i upokorzeń“...*) Słowem „wszystko burzy się i kipi, wszyscy oczekują wybuchu“... „Lud wiejski pożąda ziemi, lud miejski—pieniędzy—i dość człowiekowi ambitnemu i bezwzględnemu stanąć na czele tych tłumów, aby stworzyć potęgę, gotową burzyć to, co istnieje, a spodziewającą się poprawy losu po każdej katastrofie“.**)

Wśród zaś objawów rozkładu świata współczesnego myśliciel słusznie na pierwszym miejscu postawił rosnącą z dnia na dzień bezwyznaniowość, która, będąc chorobliwym wyrazem spaczenia zmysłu badawczego, prowadzi do bezwzględnej i w końcu bezmyślnej negacji. „Bywali—pisze Dzieduszycki ***)—już w starożytności późniejszej i potem za renesansu ludzie, którzy wszelką religję niechętnie nazywali. Rzeczą jednak zupełnie nową jest nienawiść do religii propagowana przez zastępy ludzi, którzy mienią uczucia swoje jedynie postępami a głoszą stanowczo wobec licznych i potakujących im słuchaczy, że pierwszym obowiązkiem postępowych ludzi i postępowych rządów jest walka z religją. W najlepszym razie uznają oni religję za rzecz prywatną, która, jako prawdziwa *superstitio*, t. j. jako przeżytek z czasów ciemnoty i barbarzyństwa, może być tylko cierpiana; kto zaś religji broni, ten, zdaniem ich, jest zacofańcem, obskurantem, klerykałem.

Ale co stanowi treść tej niby zacofanej religji, którą chciano gdzieś do starych rupieci wyrzucić? Religja

*) Por. s. 114.

**) Por. s. 114.

***) Por. s. 120.

polega na przekonaniu (str. 128), że dobro i sprawiedliwość w końcu zwyciężają zawsze, jeżeli nie w tym doczesnym, to w wyższym pozazmysłowym bycie, zwyciężają mocą owej absolutnej, metafizycznej przyczyny, od której porządek świata zależy, a którą my nazywamy Bogiem.

Bez wiary w Boga i sprawiedliwość niema i być nie może ani zapału dla idei, ani poświęcenia dla niej, ani religii, któraby ostać się mogła wśród ludzi nowożytnych, przywykłych do zdawania sobie sprawy z powodów postępowania swego. Zanik wiary tej siłą rzeczy doprowadza w końcu do owego stanu ducha, w którym człowiek poczyną sobie wmawiać, że „kto nie dba jedynie o swoje osobiste dobro, jest głupcem niedorzecznym”. W społeczeństwie zaś, w którym taki stan się utrwali, człowiek rozsądny niczem innym nie będzie, jak „przebiegłym tchórzem”, a większość ludzi bywa rozsądną...

Sam wyraz religja (str. 122) oznacza węzeł, łączący całe społeczeństwo, a tym węzłem jest system twierdzeń, o których nikt nie wątpi, nikt wątpić nie śmie, i nikt przeciwnych zdań nawet słuchać nie chce. Cała wartość religii w tem, że twierdzenia te stawia, jako rozkazy, nie ulegające dyskusji (str. 129) i nie mogące być przedmiotem dalszych dociekań, a dotyczą one spraw tak ważnych, że „poręczają wspólne postępowanie wszystkich członków społeczeństwa nawet w takich wypadkach, w których oni żadnemu zewnętrznemu nie ulegają przymusowi“.*) Religja bez dogmatów, którym nikt przeczyć nie śmie, i bez przykazań, których powagę uznają wszyscy, nie jest religją, lecz tylko religijnością, czyli mglistym jakimś nastrojem, w którym niema pierwiastków życia i mocy, niema pobudki do czynu—i „kto o takiej religii indywidualnej mówi, którą zachowuje sam dla siebie, nie usiłując nikogo dla niej pozyskać, szanując owszem indywidualne wszystkich innych osób przekonania, ten gada o okrągłym kwadracie, albo o zimnym upale“ (str. 123).

To, w co wierzymy, uchodzić musi w przeświadczeniu naszym za najwyższe dobro, „z którym żadne inne dobro równać się nie może, dla którego każdy człowiek winien być gotów nie tylko własne życie, mienie i wolność, ale także wszystko inne, co się wogóle pomyśleć daje, po-

*) Por. s. 123.

święcić“, bo tylko w takim razie religja staje się „siłą podnoszącą, kształcącą, zbawiającą tak jednostki, jak narody“.

Ale podnosząc z takim naciskiem, jako znamię religji—mianowicie religji katolickiej—jej absolutny charakter, jej ekskluzywizm, nie tolerujący żadnych innych wyznań, nawet sposobów myślenia, Dzieduszycki stawał w sprzeczności z tą zasadą wolności myśli, która już weszła w krew i kość naszą—i wszyscy—nie wyłączając Dzieduszyckiego—uważamy ją za jedną z najcenniejszych zdobyczy kultury. Jak ze sprzeczności tej wyjść? „Szczęśliwe narody — woła autor — które najmniej po dzisiejszemu filozofują“, t. j. najmniej myślą o religji.*) Z takiego stanowiska wszelkie spory, tyżące się znaczenia tych czy owych dogmatów, lub egzegezy i krytyki tekstów Objawienia, są tylko próżnem zabawianiem się „subtelnościami teologicznymi“, których pożytek, zdaniem Dzieduszyckiego, jest zawsze wątpliwy, a które zrodzić mogą zgorszenie i tem szkodę wyrządzić.

Mylił się Dzieduszycki. Subtelności owe nie są daremne gadulstwem i marnowaniem czasu. Wiążą się one ściśle ze sprawą tak praktyczną, tak żywo każdego myślącego i czującego człowieka obchodzącą, jak stosunek jednostki do społeczności kościelnej. Prawda, im wiara jest prostszą, tem jest silniejszą, tem łatwiej opanowuje duszę i tem zbawienniej działa na społeczeństwo. Ale co mają począć ci — a jest ich coraz więcej — co wierzą, lub chcą wierzyć, lecz pod działaniem ducha czasu już nie są w stanie wierzyć prosto, i wiarę, którą im wpajają, chcieliby oświecić własnej myśli światłem, choć wiedzą, że światło to słabe jest i niedostateczne? Czyż można ograniczyć zakres myśli człowieka? Czy, żądając, aby badał zjawiska przyrody i życia, aby zastanawiał się nad sprawami ustroju i dobrobytu społecznego, można go w obrębie tych tylko spraw, czyli spraw materialnych, bieżących zamykać? Czy wolno tłumić zrośniętą z duszą a najszlachetniejszą żądzę samodzielnego poznawania prawdy religijnej? Jakiem prawem mamy sobie czy komu obcinać skrzydła ducha, niosące ponad świat zmysłowy, na wysokość, z której dopiero rozwidniać się nam zaczyna całość dzieła Bożego?

*) Por. s. 498.

Pogląd Dzeduszyckiego na religję nazwalibyśmy poglądem gospodarskim, który w następujących słowach streścić można: religja konieczną jest, jako niezbędna podstawa zdrowej gospodarki społecznej, ale, przyjmując ją w jej całości, nie wchodzimy w szczegóły, z których ta całość się składa, dogmaty i przykazania pozostawmy księżom, to ich sprawa, nie wtrącamy się do niej i, nie rozumując, bierzmy na wiarę to, co oni nam podają.

W takim „gospodarskim” stosunku do religii tkwi nie zawsze i nie u wszystkich świadome, ale głębokie lekceważenie tak religji, jak i szukania prawdy religijnej. Konsekwentnie zaś drogą tą idąc, nic łatwiejszego, jak dobrnąć do owej ekstrawagancji, jaką był w ostatnich latach przed wojną „ateistyczny” katolicyzm Maurras’a i kilku pisarzy francuzkich, który, powstawszy z mieszaniny Nietscheizmu z dążnościami rojalistycznymi w polityce, zrzucił z siebie maskę obłudy i z cyniczną otwartością głosił światu, że katolicyzm jest głupstwem, ale my „nadludzie” całą mocą głupstwa tego się trzymamy, bo nam jest potrzebne, bo umie dogodny dla nas porządek przedstawiać tłumom, jako rzecz uświęconą przez Niebo...

Drogą tą Dzeduszycki, oczywiście, nie poszedł. Przywiązanie do religji i do Kościoła jest w nim szczerę; jako filozof zaś z zawodu rozumiał on, że na myśl ludzką nie dadzą się nałożyć pęta i że wbrew jego życzeniu i w przeciwieństwie do dobra społecznego, jak on je wymarzył, znajdują się zawsze w Kościele ludzie niewygodni i niepożądani, którzy filozofować będą nie tylko o sztuce lub naturze, nie tylko o charakterach ludzkich, lub o warunkach życia społeczeństw, lecz także o rzeczach religji. Co z nimi począć? Najlepiej na robotę ich patrzeć zdaleka i, o ile się da, tolerować: „Dzisiaj trzeba być wstrzemięźliwym w wydawaniu rozkazów”... „Dyscypliny pośród duchownych koniecznej niepodobna żądać od świeckich; nie należy zbyt skwapliwie pytać o to, jak kto wiarę swoją pojmuje, a może ogranicza, natomiast należy zaliczać między swoje owieczki wszystkich świeckich, którzy chcą do Kościoła należeć”! (str. 501).

Nie jest to łatwe. Kościół oddziedziczył po Rzymie autokratycznego ducha Rzymskiej państwowości, potem, uświęcając rządy barbarzyńskich królów, którzy nowe państwa na gruzach imperjum Rzymskiego zakładali,

otrzymywał od nich wzamian rękojmię, że ich poddani do Kościoła należeć będą. Było to wówczas koniecznością, ale, niestety, konieczność ta spychała Kościół z wysokości jego posłannictwa i obniżała jego powagę moralną. Związek bowiem z państwem stawał się w następstwie nieraz służbą, która wyrządzała krzywdę Kościołowi, czyniąc go współodpowiedzialnym za wszystkie winy rządów.

Ta zależność od państwa uwidoczniła się ze szczególną wyrazistością po reformacji. Zapanowała w nim lękliwość, wysługująca się państwu, szukająca u nich opieki i pomocy: „Ze śmiałego niegdyś inicjatora nauk przeistaczał się Kościół w podejrzliwego stróża, hamującego na każdym kroku rozwój narodów, które pozostały wierne papiestwu“ (str. 186). I z uczuciem tęsknoty wspomina gdzieś Dzieduszycki, że za renesansu dawano jawnym panteistom kapelusze kardynalskie, a w uniwersytetach, będących pod nadzorem Kościoła, zezwalano na wykłady bardzo nie prawowiernej filozofii arabskiej.

Ta sympatja do kardynałów panteistów źle się godzi z wyraźną niechęcią do dzisiejszych filozofujących i liberalnych katolików. Nie umiał Dzieduszycki w ustępach poświęconych religii wydobyć się z wewnętrznej sprzeczności. Ze stanowiska statysty, dla którego religja jest przede wszystkim podstawą porządku społecznego, potępił on w niej to, co, jako filozof, uznać musiał i usprawiedliwić. Poprzez sprzeczność tę jednak energicznie i zwycięsko przebijała się głęboko prawdziwa myśl, że bezwyznaniowość, „owo przemądre o wszystkim wątplenie jest chorobą i nawet śmiertelną chorobą i że ludzie religijni będą i są owymi siłaczami, którzy przetrwają burzę dziejową, cywilizację naszą uratują, a jeśli nie, to utorują drogę dla drugiej, doskonalszej“ (str. 499).

Obok bezwyznaniowości, drugim i ściśle z negacją religji skojarzonym objawem rozkładu jest rozbitcie rodziny tem szczególnie niebezpieczne, że za niem idzie groźne dla każdego narodu zmniejszanie się ludności. Wyobraźmy — mówi autor — dwa sąsiadujące z sobą narody, z których jeden praktykuje maltuzjanizm, drugi zaś po dawnemu się mnoży, a stanie się dla nas jasnem, że pierwszy z obu narodów, choćby jeszcze nie zaczął wymierać, jednak „mocą prawa, że wszystko się cofa, skoro postępować przestaje“, da się prędzej, czy później, przez sąsiada swego prześcignąć i, nie posiadając sił ekspansywnych,

coraz niżej pod względem znaczenia swego i siły spadać pocnie, aż wreszcie, zupełnie wszelkiego znaczenia pozbawiony, własnego nawet gruntu pod nogami nie utrzyma, bo sam sprowadzać będzie musiał obcych robotników, po których obce przybędą kapitały, a tych kapitałów właściciele wszystko w kraju opanują. Przeciwnie, w narodzie, trzymającym się starej moralności, stosunek sił zamieni się na jego korzyść, i nie tylko dzięki liczbie, ale także dzięki spoistości, którą nadaje silna rodzinna organizacja, dzięki pracowitości i przedsiębiorczości, do której pobudza konieczność zabezpieczenia bytu rodziny *).

3.

Siła praktyczna i moc uszczęśliwiająca religii — słusznie gdzieś powiedział Dziejuszki — polega na tem, że prawi ona o rzeczach, o których doświadczenie nie wie, albo o których wie tyle tylko, że się w granicach doczesnego bytu nie sprawdzają. Religja wlewa w duszę i trzyma ją mocą ożywczego pierwiastka wielkiej nadziei. Gdzie jej niema, gdzie zamarła pod zabójczem tchnieniem negacji Boga i nieśmiertelności, tam opanowuje człowieka żądza używania, rozkoszy i bogactwa — i w warstwach upośledzonych wybucha ona z brutalnym impetem, przysposabiając do przyjmowania doktryn socjalistycznych, które w ich dzisiejszej postaci są nie mniej znamienym od upadku religii i rodziny świadectwem rozkładu.

Gdyby socjalizm był dążnością do dźwignięcia owych warstw niższych, tak pod względem ekonomicznym, jak i moralnym, to każdy nie tylko uczciwy, ale także każdy rozumny polityk powinien byłby być socjalistą. Socjalizm jednak dzisiejszy to co innego**). Hasłem kierujących nim demagogów nie jest wzmożenie dobrobytu klas ubogich; „chodzi im o to, aby ludzi bogatych w społeczeństwie nie było“. Zapytania, jak wyglądać będzie świat, który na gruzach obecnego mają stworzyć, nie lubią, unikają; „nie łamią sobie głowy nad tem, co tam kiedyś będzie;

*) Por. s. 148—9.

**) Por. s. 153.

dążą do władzy, a zatem krytykują bez litości, przeciwników przezywają łotrami i radzi stają po stronie wszelkich malkontentów, byleby nie byli klerykałami. Z tymi jedynymi pogodzić się nie mogą — bo „socjalizm jest także religją; ma swoją biblię, której przenajświętszymi księgami są pisma Marxa i innych teoretyków tego kierunku”. Wprawdzie kanon ewangelji socjalistycznej nie jest jeszcze ustalony, ale między wyznawcami na to już jest zgoda powszechna, że należy „wszystkie narzędzia produkcji uspołecnić”. To znaczy po polsku, że trzeba zabrać obecnym właścicielom ziemię, więc pola, lasy, łąki i ogrody, a prócz tego bydło i narzędzia gospodarskie, — że podobnie właścicielom fabryk zabrać trzeba ich fabryki, maszyny, warsztaty, że wreszcie wyzuć z ich posiadłości należy właścicieli domów i sklepów, a w takim razie własnością indywidualną pozostałoby mogły chyba tylko przedmioty, służące do ubrania, do wygody domowej.

Przypuśćmy, że wszystko to się już stało, i pomyślimy, co potem? Rewolucji dokonano pod hasłem obalenia nierówności socjalnej. Obalono ją; bogacze poszli z torbami. I cóż? W tejże samej chwili obalona nierówność wkracza innemi drzwiami. Wszak socjalistyczne państwo nie obejdzie się bez urzędników. Oczywiście będą między nimi pracowici i leniwi, zdolni i tępi, z konieczności przeto rozmaicie będą wynagradzani — i ta sama konieczność sprawi, że dobry lekarz, inżynier czy artysta pobierać będą bardzo wysokie honorarium i że przeto pensje wyższych urzędników trzeba będzie wyśrubować na poziom mniej więcej tych honorarjów. Inaczej zabrakłoby zdolnych ludzi w urzędzie. Słowem, jeśli program kolektywistyczny przeprowadzić w taki sposób, ażeby społeczeństwo uniknąć mogło powszechnego zastoju i nieuchronnej barbaryzacji, to nie spełnią się nadzieje dzisiejszych socjalistycznych „towarzyszy”, bo, zamiast zrównania stanów, nastąpiłoby przeciwstawienie robotników, poprzestających na skromnej wyrobniczej płacy, przełożonym, cieszącym się dostatkiem, a u najwższych szczebli więcej, niż dostatniem utrzymaniem.

To jedno. Po za tem uwzględnić trzeba, że produkcja społeczna, kierowana przez biurokratów, byłaby mniej wytwórczą, niż produkcja dzisiejsza, kierowana przez właścicieli, których cała egzystencja zależy od pomyślnego tej produkcji rozwoju. Całe bowiem doświadczenie dziejowe uczy, że państwo jest złym administratorem, że przedsię-

biorstwami ekonomicznymi zarządza w sposób kosztowniejszy, a z mniejszym rezultatem od ludzi prywatnych*).

Wreszcie samo wprowadzenie kolektywizmu nie mogłoby się obejść bez wstrząśnień ekonomicznych, a te spowodowałyby powszechne i znaczne zubożenie społeczeństwa, w którym zaniknęłaby owa energia, co z żądzы zarobku i poprawy bytu swojego i rodziny płynie, a rodzi zapał, który, jak dotąd, zwykł szybko goić rany, naprawiać straty z przemijających klęsk wynikiem**). I chociaż, dzięki powszechnemu przymusowi do pracy, darmozjadów i próżniaków w socjalistycznym społeczeństwie nie byłoby, korzyść ta zostałaby zupełnie skreślona przez brak osobistej energii wytwórczej. Socjalizm kładzie cały nacisk na ekonomiczną stronę życia społecznego, tymczasem właśnie ekonomicznie cofnęlibyśmy się wstecz, a skutki tego najciężej odczułyby klasy pracujące, o dochodach małych. I nie byłby to jedyny smutny owoc realizacji programu kolektywistów; w krajach materialnie uboższych, jak np. Polska, zubożenie powszechne zamieniłoby mieszkańców w niewolników, odrabiających w pocie czoła i w biedzie pańszczyznę dla zagranicznych anglo-amerykańskich czy francuskich wierzycieli.

Wobec tego, program zniesienia własności wtedy tylko jest konsekwentnym***) i da się jako tako bronić, kiedy jest skrajnym i ani wyłączonego wynagrodzenia nie udziela, ani właścicieli gotówki i papierów wartościowych nie oszczędza. Ten bolszewicki, po dzisiejszemu mówiąc, program staje się wtedy „przynętą, którą się łapią tłumy na wędkę demagogów“. Pędzą one za nimi do boju w nadziei, że po zwycięstwie, po złupieniu i po wymordowaniu bogaczy opływać będą w dostatki i nikogo nad sobą w społecznej piramidzie mieć nie będą. Jakże gorzki spotka je zawód! Majątek obrabowanych szczęśliwców, t. j. tych, co mieli dochodu ponad 1500 franków, stanowi tak małą część majątku ogólnego, że „na obrazku unaoczniającym suma ich mienia wygląda w każdym kraju obok mienia ubogich, jak sakiewka do przechowywania monet obok worka na centnar pszenicy“****). Więc po zaborze wielkich i średnich fortun zadziwią się i chłop

*) Por s. 158.

**) Por. s. 159 – 166.

***) Por. s. 164.

****) Por. s. 167.

i „towarzysz“, że tak mało przypadło im w udziale, że tak nieznacznie poprawił się ich los, a oburzy ich to, że ich wodzowie, sprzątnąwszy dawnych chlebobawców i urzędników, wykonywają więcej, niż królewską, władzę, którą posiadli, nie tylko bez owej pobłażliwej względności, cechującej władzę, oparte na mocnych podstawach wiekowej tradycji, ale po drakońsku, z tą obrzydliwą podejrzliwością i podłym okrucieństwem, które widzimy na przykładach rządzących dziś Rosją żydów z ich figurantem, Leninem.

I zawiedzione nadzieje wraz z nędzą popchną wtedy lud do nowych gwałtów. Swoim zwycięskim wodzom nie przebaczy; obali ich, jak oni poprzedników swoich obalili, a znajdą się zawsze jednostki ambitne i bezwzględne, które lud do szturmów poprowadzą, aby władzy, choćby przez chwilę używać, a potem przed nowymi ustąpić zdobywcami. Nastąpi nieprzerwany ciąg rewolucji, które spowodują powszechną anarchję i zniszczenie cywilizacji *).

Jeśli tej bezwzględnie surowej pod piórem Działowskiego charakterystyce anarchji, do której drogą socjalistycznych agitacji i przewrotów zmierzał świat, cokolwiek zarzucić można, to chyba to jedno, że przy całej surowości swojej zbyt jest łagodną. Nie przewidział jej autor grozy zdziwienia, jakie objęło dziś kraje przez rewolucję opanowane, nie przewidział, że walka przeciw kapitalizmowi przeistoczyć się miała w walkę przeciw inteligencji, że hasło dyktatury proletariatu, jako rozwiązania najtrudniejszego z zagadnień, *implicite*, zawiera w sobie, — jak się wyrażał prof. Cybulski — „ukrytą myśl i nadzieję, że w ten sposób zostaną zniszczone wszelkie ślady i wpływy kultury dotychczasowej, że ludzkość zostanie doprowadzoną do swego stanu pierwotnego, z którego przed wiekami wyszła, i że będzie musiała rozpocząć budowę swej organizacji społecznej na nowo“.

Ale skąd taki niespodziewany i niepojęty rozmach w niszczeniu? Pytanie to postawił Cybulski w swojej „Analizie psychologicznych podstaw przewrotów społecznych“ (**). Rozmach ten jest odruchem psychicznym „mimowolnym pomimo udziału w nim świadomości“, jest „wyładowaniem“ energii nagromadzonego wiekami niezadowolenia z ustro-

*) Por. s. 168.

**) Wyszła w *Roku Polskim* (kwiecień 1919), w osobnej odbitce w Krakowie, 1919.

ju społeczeństw, opartego na wyzysku słabych przez silnych; jest wpływem szlachetnych w podstawach swoich doktryn, które w jednostronnym przejęciu się krzywdą warstw upośledzonych „nie uwzględniły, wbrew wszystkim dotychczasowym pojęciom myśli społecznej, żadnych innych potrzeb człowieka, prócz potrzeb materialnych, i na pierwszy plan wysunęły nie jakieś cele i dążenia idealne, które przez szereg tysięcy przyświecały ludzkości i były dla niej jakby gwiazdami przewodnimi w pochodzie kultury, lecz za jedyną wartościową rzecz przyjęły jego własną personę, jego istotę cielesną, tem samem nadając wyłączone znaczenie sile fizycznej“. Rozpaliły one nienawiść do pracodawców i w dalszym ciągu wywołały nienawidzenie samej pracy, niezadowolenie ze swego zawodu, „z każdej sytuacji, w jakiej jednostka się znajduje, tylko dlatego, że istnieją inne sytuacje, inne zawody, które mogą być, lub się wydają lepszymi, wymagającymi mniej pracy i trudu“. Najbardziej jednak antyspołeczne pierwiastki wnieśli apostołowie owych doktryn przez to, „że wszczepiając w masy dążenia do zdobywania praw, nigdy i nigdzie nie podkreślają potrzeby sumiennego spełniania obowiązków swoich“. Owszem, zwykli występować przeciwko każdemu, kto o obowiązkach odważył się wspomnieć.

Pochłonięci walką z klasami zamożniejszymi, kwestją wynagradzania pracy, ograniczenia ilości jej godzin, zapomnieli o rozmaitej wartości pracy — i w rezultacie widzimy, „że gdziekolwiek w mniejszym, lub większym zakresie wprowadzano doktrynę w praktyce, wszędzie występowało na jaw zupełne lekceważenie, postępowanie nie tylko samej pracy umysłowej, ale i wszelkich wyników tej pracy“... aż Rosja dojrzała „do przyjęcia zasady, że należy nawet wymordować całą inteligencję na świecie, jeżeli nie kulą i mieczem, to głodem, ażeby pracującemu ludowi było dobrze“... Ale czy jest mu tam dobrze?

4.

Aby zapobiedz niebezpieczeństwu socjalizmu, rządy wysunęły zasadę nacjonalistyczną. Lekarstwo o mało nie gorsze od choroby. Zawsze — mówi Dzierżyński *) — bywały narody i bywał patriotyzm, ale nacjonalizm dzisiej-

*) Por. s. 169—170.

szy nie ma nic wspólnego z patriotyzmem. Dawniej naród polityczny bywał związkiem ludzi różnego pochodzenia prawie zawsze, a nieraz różnej mowy, ale związkiem, tworzącym jedno społeczeństwo złożone ze wszystkich jego warstw, posiadające wszystkie organy potrzebne do życia politycznego, do rozwoju duchowego i ekonomicznego i posiadającego też wspólne cele i wspólne tradycje, oparte na wspólnej historii, wspólnych wspomnieniach wielkich wspólnie toczonych walk. Dziś zaś narodem nazywają „kupę ludzi, mówiących jednym językiem“ bez względu na to, czy, na tych samych stoją tradycjach i jednakowy mają ustrój społeczny. Wskutek tego ludzie, należący najściślej do jednego społeczeństwa, stają się, według zasad nowoczesnego nacjonalizmu, członkami rozmaitych narodowości, których obowiązkiem wzajemna nienawiść.

Niebezpieczeństwo tego jest wielkie. Gdyby zasada nacjonalistyczna — słowa Dzierżyńskiego — zwyciężyła, Europa musiałaby się rozpaść na drobne państewka, ludzie staliby się dla siebie bardziej jeszcze obcymi, a gwarry, wyniesione do godności języków, musiałyby przechodzić przez długie procesy formacyjne, odwracające myśli od istotnych zadań literatury i sztuki. Ci, którzy dawny język literacki uważaliby po dawnemu za swój macierzysty, byłiby w nacjonalistycznych państewkach uważani za cudzoziemców, bez znaczenia i głosu, za ledwie cierpiących — i „ku wielkiej niepowetowanej szkodzi kultury zamkniętoby, lub ogromnie utrudniono nowokreowanym i upaństwowionym narodowościom dostęp do wielkich literatur narodowych, wyrażających wielkie myśli w szlachetnych i pięknych formach“. Zepchnięci ze swoich stanowisk — Goethe i Schiller, Mickiewicz i Słowacki, Puszkini i Lew Tołstoj — musieliby miejsca ustąpić wyniesionym do godności wielkich poetów początkującym rymotwórcom początkujących narodów. Ich niemal dziecięce szczebiotanie miałoby zastąpić, jako pokarm dla ducha i podstawa wychowania, wielkie pomysły największych genjuszy ludzkości.

Polacy, Niemcy, Madjarzy, Rosjanie, jako obywatele nowych, na podstawie samostanowienia powstałych zrzeszeń, musieliby albo się kryć ze swoją cywilizacją, albo przystać do cywilizacji, „które dopiero uczą się bełkotać i chodzić i które w zapale nacjonalistycznym gardzą Pantheonem i Iliadą, a chcą wszystko wywieść z pisanki, haftu ludowego i nieforemnej ludowej piosenki“ (s. 172).



Jakby w celu przeciwdziałania partykularystycznemu rozdrobnieniu ludzkości na malutkie narody, wysunięto zasadę rasy, tylko dotąd nie zgodzono się na to, co pod rasą rozumieć. Zwykle określenia za oznakę wspólności rasowej biorą pokrewieństwo językowe. Ale mniejsza o to, dość, że tak zasada rasy, jak i zasada narodowości w dzisiejszym pojmowaniu, są zaprzeczeniem historii, podkopującym w każdym narodzie podstawy jego dziejowego bytu i cywilizacji, gorzej jeszcze, są wprost czymś wstecznym, albowiem „miano postępu należy się temu, co narody do siebie zbliża, wstecnictwem zaś najzagorzalszym jest nawoływanie do wzajemnej nienawiści, wiodące nowouświadomione narodowości chłopskie w objęcia skrajnego radykalizmu społecznego, zapędzające narody potężne w szal bezlitośnego imperjalizmu“ (str. 174). A imperjalizm ten rzucił Europę w wir najstraszniejszej wojny, jaką świat widział.

Nasza rasa — twierdzili przed wojną Niemcy, Anglicy, Amerykanie*) — powołaną jest do panowania nad wszystkimi innymi narodami, bo wszystkie inne narody, to niespełna ludzie, a my jesteśmy czymś wyższym od ludzi. W ojczyźnie jest nam ciasno, więc musimy szukać innej, którąbyśmy posiadli; wielu jest ubogich wśród nas, ubóstwo zaś jest hańbą dla Herrenvolku, więc powinniśmy się wzbogacać, zmuszając obce narody, aby nasz towar kupowały drogo, swój za to tanio nam sprzedając. A zatem mamy prawo, jako zaś nosiciele wyższej kultury, nie tylko prawo, lecz i obowiązek podbijać owe obce narody, a potem wytepiać je, lub ujarzmiać... Dla spełnienia tego celu naszego — dodawali Niemcy — powinniśmy się skupić koło rządu naszego, stworzyć potężne państwo, nie dość tego, uwierzyć, że to państwo jest Objawieniem Boga na ziemi, przed którym ukorzyć musimy wszelką obcą moc, a sami — wyrzec się myśli i woli samodzielnej i przetrwać siebie w ślepe narzędzia tych, którzy ster narodu mają w rękę“.

Przeświadczenie to wprawiało miliony w szal zaborczego patriotyzmu, budziło w nich pychę zawrotną, a w ręce państwa przelewało taką władzę, że państwo nie tylko kuścić się mogło na olbrzymie militarne antreprzyzy, ale mogło nawet mniemać, że z taką bronią w rękę, jak sfanatyz-

*) Por. str. 175, przytaczamy w streszczeniu.

zowany i w zaborczych zamiarach nazewnątrz skierowany nacjonalizm, potrafi zgnieść wszelkie próby rewolucji.

Skutki tego szału oglądamy dzisiaj. Dzieduszycki zaś, przewidując wojnę i jej rewolucyjne wyniki, zaznaczał również efemeryczność potęgi nacjonalizmu, który upaść musi, bo stoi na drodze procesowi ewolucji dziejowej Narodów*) — pisał on — nie prędko przestaną wzajemnie się nienawidzić i zwalczać, ale terytorjalną ich odrębność zniknie wszędzie — i to szybko. Zniknie przede wszystkim dzięki ogromnym postępom w ułatwianiu i doskonaleniu komunikacji: „i robotnik, i kupiec, i spekulant obcy wnikają we wnętrza najbardziej zwartych narodowo terytorjów — i wkrótce każdy człowiek będzie znał z widzenia najdalsze kraje, niejedyn będzie miał dwa domy, dwie ostoje w dwóch odległych krańcach ziemi“...

Narody utracą swoją terytorjalną podstawę, i to tak dalece, że już nie będą mogły być racją istnienia terytorjalnych państw narodowych**): „Minie pora zamkniętych narodowych formacji politycznych, a wnuki i prawnuki nasze żyć będą w świecie, w którym „pomieszane ze sobą narody znajdą formę dla swego życia społecznego i narodowego w najczęściej nie zwartych terytorjalnie, a bardzo różnorodnych, w rozmaite federacje powiązanych politycznych, ekonomicznych i kulturalnych związkach“ (str. 438).

A te federacje i związki, zastępując dzisiejsze państwa — kończył Dzieduszycki, — wykonywując zadania ściśle określonej, sądowej, policyjnej, administracyjnej i w pewnej mierze prawodawczej natury, wtedy tylko będą mogły istnieć, wtedy tylko będą cierpiane, jeśli równej opieki udzielać będą ludziom wszelkiej narodowości, nie przeszkadzając nikomu, gdy zechce, swój język pielęgnować, swą narodową kulturę rozwijać. Wprost jednym z zadań państwa będzie przestrzegać, aby narody w jego obręb wchodzące żyły swobodnie i swobodnie się wiązały ze związkami wyznaniowymi, kulturalnymi i gospodarskimi poza granicą państwa terytorjalnego, posiadały własne szkoły, akademje i wszystko, co do kultury należy, a nie wchodziły sobie w drogę. Gdy jakie państwo zadania tego nie spełni, straci ono rację bytu, przestanie być stróżem po-

*) Por. s. 189 — skracamy.

**) Por. s. 487.

koju i dobrobytu tych, co jego terytorjum zamieszkują — i potępionem zostanie przez „sąd rodzaju ludzkiego i znie-
sionem, albo zmuszonem do zaniechania bezecnej polityki“.

5.

Słowem, blizką, według przepowiedni Dzieduszyckie-
go, była śmierć imperjalistycznych nacjonalizmów, które,
jako antydotum przeciw socjalizmowi, znajdowały w owej
epoce poparcie we wszystkich rządach. Pomimo to socja-
lizm nie zwycięży, albo zwycięży na krótko, bo niesie ze
sobą zarody śmiertelnej choroby, jaką jest anarchja, na
którą w Rosji dzisiejszej patrzymy.

Więc, po przejściu kataklizmów rewolucyjnych, kto
będzie władcą świata? Będzie nim bardzo wielki pan,
który walkom socjalizmu z nacjonalizmem przygląda się
niby zdaleka, niby to nie wtrącając się do nich, ale zacie-
ra sobie ręce z radości, pewien czekających go wielkich
zysków. Temu panu na imię: K a p i t a ł.

Wynikiem powszechnego dobrobytu, który zawdzię-
czamy przedewszystkiem wynalazkom, potem dobrej go-
spodarce państwowej, ułatwieniu środków komunikacyj-
nych, organizacji kredytu są oszczędności, gromadzące się
w ręku coraz liczniejszych jednostek. „Mamy dziś — pi-
sze Dzieduszycki — strach pieniędzy, brniemy w pienią-
dzach, toniemy w gotówce“... „Na każdym zakręcie ulicy
spotkasz pannę krociową; miljonerzy liczą się na kopy
w każdym prawie miasteczku Europy zachodniej“... i „tra-
fiają się miliardery, rzecz, o której się nie tylko dawnym
mędrcom Grecji nie śniło, ale którąby Voltaire i Rousseau
zaliczyli byli między najniedorzeczniejsze bajki“ (str. 240).
Miljony te i miljardy szukają lokaty, t. j. dłużników, pła-
cących odsetki; stąd łatwość kredytu i mnożące się na
kredyt przedsiębiorstwa, czy to akcyjne, czy pojedynczych
właścicieli; przedsiębiorstwa te są ze sobą w konkurencji,
w której giną małe i średnie, a pozostają i wzmacniają
się większe, bo tylko te mogą wytrzymać niekorzystne
konjunktury ekonomiczne. Ostateczne przeto zwycięstwo
i tryumf odnosi wielki kapitał — i znamię czasu na-
szych jest coraz większa koncentracja potęgi kapitału w rę-
ku nielicznych szczęśliwców, miliardarów.

Tę potęgę przedstawił niegdyś Dzieduszycki w mi-
tycznej postaci Lewiatana*)—i jak zmora, ciążył mu odtąd

*) „Mesjanizm Polski a prawda dziejów“ (Kraków, 1891).

Lewiatan nad wyobraźnią i myślą. Poświęcił mu szereg wymownych stronic w ostatniem swoim dziele. „Lewiatan dni dzisiejszych—czytamy tam—to wielki miljarder, który sam nic nie produkuje, ale pobiera dochody ze wszystkich w całym świecie, to generalny właściciel cudzych majątków, pracodawca takich nawet, którzy sami pracodawcami mienią się być, a których on nie zna i dbać o nich nie potrzebuje“... „Posiadłszy nieuchwytny majątek, nie tylko jest niezależny od wszechpotężnego niby państwa, ale stał się wierzycielem jego, bankierem, bez którego ono się obejść nie może i dla niego większą część podatków od ludności pobiera i niejednem przedsiębiorstwem zarządza“... Zawładnął on i niepodzielnie panuje nad najdemokratyczniejszą rzecząpospolitą na świecie.*)

Potomek senatorów, szlachcic z temperamentu i ducha szczególnie boleśnie odczuł Dzieduszycki upokarzające poniżenie, w jakim się dziś szlachta znalazła wobec Lewiatana. „Ziemianin—ubolewa on—chodzi dzień cały w wysokich butach po polu, troszczy się po bezsennych nocach, skąd podatek, a przede wszystkim ratę bankową zapłacić, czem dzieci wychować, odmawia sobie wszystkiego, mieniąc zachowanie odziedziczonego majątku patriotycznym obowiązkiem, ludzi się dawną tradycją o społecznym wpływie, połączonym z dzierżeniem ziemi, jest przedmiotem zawiści okolicznej ludności, musi się z nią targować, znienawidzony przez nią i tak od niej zawisły, że się stał społecznem zerem“... tymczasem „miljoner, czy miljarder, który spożywa całe zadłużonego jego majątku dochody, żyje rozkosznie w miejskim pałacu, albo w willi, gdzieś nad Śródziemnem morzem, daje obiady, polowania, bale, trzyma konie wyścigowe, a met-ręse kąpie w szampanie—i dyktuje wolę swoją rządowi i parlamentowi (i oczywiście kongresowi, który w Paryżu obradował). Na to, aby od zbytków swoich odwrócić uwagę, każe w gazetach i po wiecach złorzeczyć szlachcie ziemskiej, jako feodalnym ciemierzcom ludu, a bajecznie uprzywilejowanym potentatom; że zaś ludzie są głupi, więc jemu wierzą i sam nawet zadłużony ziemianin chwilowo uwierzyć gotów w swe państwo i w swoją feodalną potęgę“.**)

*) Por. str. 247.

**) Por. s. 239.

Wśród zaś *haute finance*, w której rękę spoczęły rządy świata, jedno z przednich miejsc zajęli żydzi.

Czem się to tłumaczy, skąd pochodzi i jakie tego mogą być następstwa?

Żydzi—powiada Dzieduszycki*) — od czasu niewoli Babilońskiej goszczą u obcych narodów; gardzeni, nieraz prześladowani, zachowali mimo to religję i kulturę swoją; choć zapomnieli języka, żyli duchem starożytnych pisarzy, którzy przygotowali chrześcijaństwo i chrześcijańską cywilizację, najważniejsze zaś to, że wytrwali w twardym przestrzeganiu zakonu Mojżeszowego — i to stanowi ich siłę. Zakon uczynił ich na wieki obcymi wśród narodów, wyodrębnił ich indywidualność duchową—i trzymając się święcie zakonu, słuchając starszych w narodzie, poważnych i doświadczonych rabinów, ochronili siebie od zagłady, wyszli zwycięsko z prześladowań. Pod względem niepospolitych cnót rodzinnych, a także skrzętności, zapobiegliwości, oszczędności godni są podziwu, mogliby służyć wzorem innym narodom.

Ale wierność tradycjom i cnoty domowe nie zrobiłyby żydów tak potężnymi, jak są, gdyby nie ich spryt życiowy i niepospolita znajomość ludzi, na co Dzieduszycki za mało zwrócił uwagi. Wyrobiona wiekami współżycia z obcemi, a silniejszymi i uciskającymi ich narodami, umiejętność dostosowywania się do nich, wyzyskiwania ich słabych stron uczyniła ich pożądanymi i niezbędnymi już nie dla jednostek, ale i dla państw, które im dały przytułek. W jakim kierunku te przymioty swoje użyli?

Chrześcijańska Europa innego uczucia, jak nienawiść, budzić w nich nie mogła. Stąd sprawa walki z chrześcijaństwem, sprawa rewolucji stała się ich sprawą***). Obdarzeni kupieckim darem wychwalania towaru, rozsławiają oni po świecie wszystkie teorie, rozkładające społeczeństwo europejskie, a porwani niekiedy egzaltacją właściwą plemieniu swemu, stawali się apostołami i męczennikami rewolucyjnego radykalizmu**). W końcu zdobyli równouprawnienie i zapewnić sobie umieli wszędzie znaczny udział we władzy, garnąc się do zawodów prawniczych

*) Por. s. 475

**) Por. *M. Zdziechowski*: „U opoki Mesjanizmu” (Lwów 1912) i „Die Grundprobleme Russlands” Leipzig 1907.

***) Por. Dzieduszycki str. 479.

i profesorskich, a ostrożnie unikając naczelných godności. „W wielu krajach opanowali zupełnie prasę, we wszystkich wywierają na obrót książkowy i dziennikarski wpływ przeważny, posługują się zręcznie reklamą literacką, celem szerzenia poglądów swoich i popierania interesów, trzęsą giełdą, kontrolują przemysł, kierują opinią publiczną, wypełniają sobą łoża w operze i automobile, latające piorunem po wszystkich gościach Europy“ (s. 477)... Mając miliony w kieszeniach, a kredyt na miljardy, faktorują przy wszystkich niemal większych interesach prywatnych i publicznych, posiadają akcje najznaczniejszych przedsiębiorstw i „pobierają dochody ze wszystkiego na świecie, nie przyjmując odpowiedzialności za nic na świecie“ (str. 480). Że zaś pieniądź i kredyt rozstrzygają dziś o wszystkim, nawet o wojnach, więc żydzi są górą; anonimowo rządzą nie tylko bankami i fabrykami, ale także państwami i narodami: „wydaje się nieraz, że się dosłownie sprawdziły dawne mesjańskie proroctwa, przyrzekające Izraelowi panowanie nad światem“ (str. 480).

W rzeszach chrześcijańskich budzą się wobec tego uczucia zawiści i nienawiści do żydów; zgrzyty ich, odzywające się w podziemiach społeczeństwa, słyszy żyd — miljarder — i zmysł samozachowawczy każe mu „oglądać się za sposobem odwrócenia niebezpieczeństwa od swej głowy“ (str. 481).

Sposób się znalazł. Żyd miljarder sprzymierzył się z żydem radykałem i socjalistą*). Pieniądzem i tajnymi wpływami dopomaga mu w rozdmuchiowaniu nienawiści przeciw religii, Kościołowi, moralności, porządkowi społecznemu. Robi to tem chętniej, że — na antyreligijnych agitacjach, na socjalistycznych zdobyczach, na rewolucjach nawet gotów zarobić i nieraz już zarabiał. Wszak państwo, przystępując z musu, czy dobrej woli do realizowania tych, lub owych żądań, zawartych w programach stronnictw krańcowych, musi na to mieć środki materialne; „aby wywłaszczyć, albo ufundować, musi zapłacić“. Pieniądzy niema, więc musi pożyczyć; pożycza u miljardera, płaci mu odsetki, a miljarder staje się tem samem bezimiennym gospodarzem w państwie; „obywatele

*) Por. s. 481.

państwa odrabiają jemu pańszczyznę, aby uiścić się z podatku niby to państwu, a naprawdę miljardero wi" (str. 481).

We wspólnym zaś interesie miljardera i socjalisty leży zniszczenie własności prywatnej małej, średniej i wielkiej, byleby ta ostatnia—dodaje autor—„nie dorównywała mieniu nowożytnych ulubieńców mamony, a władców niedalekiej przyszłości". Miljardier chciałby wszystkie majątki pochłonać, wyznawca zaś Marxa marzy o tem, aby conajprędzej bogaci zjedli ubogich, t. j. aby wszystko, co ma wartość materialną na świecie — ziemia, fabryki, przedsiębiorstwa — wszystko stało się własnością karteli, a w kartelach panowali miljardierzy. „Reszta ludzi pójdzie w robotniki" i armja robotników stanie na przeciw miljardierów... Dzisiaj aljanci, stoczą ze sobą walkę na życie i śmierć — ale dziś każdy z nich pewien jest zwycięstwa.

Czy przypuszczenie Dzieduszyckiego ściśle odpowiada rzeczywistości, czy żyd miljardier i żyd socjalista rzeczywiście zawarli ze sobą przymierze przeciw światu chrześcijańskiemu skierowane? W każdym razie przymierze to nie jest pisany na papierze traktatem, stwierdzonym podpisami obu stron, jest tylko zgodą, milczącą, odruchem instynktu, „czynnością — jakby się wyraził prof. Cybulski — odruchowo przymusową, być może uświadomioną, lecz bez możności poddania krytycznej rozprawie".*)

W kataklizmie obecnym żydowski agitatorzy zajęli wszędzie stanowiska przodujące, ruch zaś cały popierany był przez masy żydowskie. Fakt ten uderzył Cybulskiego. Tłumaczy go zbiorową psychiką ludu żydowskiego, warunkami, wśród których w ciągu wieków się kształtowała: „Z powodu braku państwowości — pisze on — i własnego bytu społecznego, z powodu wiekowych wędrówek i przebywania wśród innych społeczeństw musiało się u żydów wyrobić, w ich sferze nieświadomej, poczucie ciągłego przymusu, nieprzerwanej konieczności i potrzeby ciągłego przystosowywania się do psychiki, etyki i obyczajów innych narodów, co z kolei musiało się przejawiać w uczuciu pewnego ucisku, prześladowania i obcości względem tych wszystkich narodów, wśród których musieli

*) „Psychofizjologiczne podstawy przewrotów społecznych" (Kraków 1919) Por. s. 23—25.

przebywać". W następstwie tego każdy umysł żydowski żywi nie zawsze uświadomioną nadzieję, że z chwilą zwycięstwa hasel przewrotu zniknie — jak delikatnie się wyraża Cybulski — „niezgodność“ między społeczeństwem żydowskim, a społeczeństwami chrześcijańskimi.

W Rosji „niezgodność“ ta nie tylko zniknęła. Tam sprawdził się, choć w odrażającej postaci, odwieczny mesjański sen żydów. Mesjanizm zawsze silny u nich rozmaicie w rozmaitych epokach się objawiał. Prorocy marzyli o powszechnem braterstwie ludów złączonych jednością czci Boga prawdziwego. Za naszych czasów Heine głosił judeogermanizm, czyli szerzenie i wcielenie wyzwalającej ludzkość z więzów chrześcijańskich myśli żydowskiej przez naukę, sztukę oraz rewolucjonizm niemiecki. Przed wojną zaś i w czasie wojny występowali w Rosji nierównie mniej świetni, niż Heine, lecz niemniej namiętni głosiciele judeo-rusycyzmu.

Judaizm i rusycyzm, duch żydowski i duch rosyjski w zasadniczym są antagonizmie z duchem i kulturą narodów zachodnio europejskich i dla tego są czynnikami rozkładu i niszczytelstwa. Nie dziw, że skojarzenie obu potęg uczyniło rewolucję rosyjską tak groźną dla świata.

Czy rewolucja ta jest tylko narzędziem w rękę Lewiatana, jakby sądził Dzieduszycki, czy też doszła już do chwili, również przez Dzieduszyckiego przewidzianej, w której „armja robotników“ przeciw Lewiatanowi się zwróci—w każdym razie potęga Lewiatana osiągnęła, dzięki wojnie, swoje apogeum. Sprzątnięte z widowni, a niedawno potężne monarchje ustępują miejsce związkowi wyczerpanych, ubezwładnionych narodów, które ani możliwości mieć nie będą, ani odwagi do stawiania oporu lichwiarskim zamiarom i zamachom miliardarów z Anglii czy Ameryki. Stara Europa legła u ich stóp, spadła do poziomu kolonji, z którą się nie liczą; wszyscy są pobici—Niemcy i Francja, Węgry i Włochy—wszyscy—ofiara i pastwą wszechmożnego Lewiatana, tych warunków, które on stwarza w porozumieniu jawnem, czy tajnem, świadomem, czy nieświadomem z kierowaną przez żydów rewolucją. Jakże słusznie jeden z publicystów naszych stawiał niedawno pytanie*), zastanawiając się nad Rosją dzisiejszą, czy nie jest cały bolszewizm wielkiem kapitali-

*) Efpe (w Czasie).

stycznem przedsiębiorstwem. Wszak uczyniono tam wszystko dla prostowania ścieżek kapitalizmowi. Zamieniono całą Rosję w jedno wielkie stado ludzkie, które niczego nie pragnie, nic nie myśli, do niczego nie dąży i dla którego treść istnienia sprowadza się do zdobycia kawałka chleba. Uczyniono jeszcze coś gorszego—wymyślono Czerwoczarę — tę żandarmerję Carską w dziesiątej potęgde — która ze sprawnością maszyny ścina każdą głowę, wyrastającą ponad poziom.

Trudno sobie wyobrazić teren lepiej przygotowany dla rozpanoszenia się kapitalizmu w jego najwstrętniejszej, najbardziej materialistycznej formie, niż jest obecna Rosja; z jednej strony zbiedzone zgłodniałe masy pozbawione swego człowieczeństwa i dążności do doskonalenia się, masy, które stały się niczem innem tylko roboczą siłą, z drugiej zaś strony zgraja oprawców, wyzuta z czci i wiary, gotowa na wszystko, która za złoto i używanie sprzedaje się każdemu ciałem i duszą. I to są gotowe dwa elementy dla rozrostu najsłabszego etatyzmu i najgorszego materializmu, jakie tylko sobie wystawić można; potrzeba tylko trzeciego elementu—kapitału—któryby warsztaty puścił w ruch.

Choć obraz Lewiatana bólem ogarniał Dzieduszyckiego, mimo to jednak hipnotyzował go i, poddając się temu niezdrowemu urokowi, rzucał on paradoksalne twierdzenie, że jeśli ma się zjawić w przyszłości jakiś mesjasz uciśnionego narodu naszego, to nie będzie on ani wojennym, ani politycznym genjuszem, ale będzie genjuszem ekonomicznym, który „ku osłupieniu wszystkich poetów świata“, myśląc o narodzie, lecz więcej jeszcze o swojej własnej korzyści, zrobi kolosalny majątek i założy dynastję finansistów, coś podobnego do dynastji Rotszydów w społeczeństwie żydowskiem *)

Naturalnie było to kaprysem, wybrykiem fantazji, po którym przychodziło opamiętanie: „Nie bądźmy dziećmi, nie zawierajmy poetom i nie oczekujmy żadnych mesjaszów, ani wojennych, ani politycznych, ani ekonomicznych. Jak chcemy zbawienia, jak chcemy w przyszłości życia i mocy, to bądźmy wszyscy razem własnym mesjaszem“ (s. 551)—i to takim, jakiego przyszłość żąda, więc „niech każdy w zakresie swoim gorliwie pracuje nad

*) Por. s. 549.

powiększeniem narodowego mienia, nad udoskonaleniem narodowej wytwórczości“... „każdy niechaj coś umie i niechaj wie, że światem zawładnie nie jutro, to po jutrze potęgą pracy“. Tylko jedynie na pracy mogą narody ugruntować swoją siłą i wielkość.

Ale praca wymaga jednego warunku. Na nic się nie przyda narodowi wyteżanie handlowych i finansowych zdolności, na nic bogactwa, jeśli świadomość narodowa nie będzie mocno spojona z opartą na religii moralnością rodzinną*). Moralność rodzinna jest rękojmią mnożenia się narodu. Naród, który przestał się mnożyć, jest narodem gnuśniejącym i prędzej, czy później, da się wyprzedzić innym, upadnie i cielesnie i moralnie.

Więc, — pracujmy, oszczędzajmy, mnożmy się — oto odpowiedź na pytanie „dokąd nam iść wypada“, jaką nam dał jeden z najbystrzejszych i najrozumniejszych ludzi w Polsce, myśliciel i statysta, a dawał ją w przededniu wielkiej wojny, o której wiedział, że wybuchnie, i w której naród polski, chcąc coś zyskać, nie mógł przecie pozostać tylko obojętnym widzem, filistrem, który, gdy inni walczą i giną, swoją pracę spokojnie odrabia, oszczędności na czarną chwilę składa i rodzinę mnoży...

Odpowiedź tę dyktował Dzieduszyickiemu głęboki pesymizm polityczny, który tem tłumaczymy, że Dzieduszycki, dzieckiem, był świadkiem pogromu 63 roku, a potem, jako polityk i długoletni parlamentarzysta, wtajemniczony w *arcana* spraw europejskich, wiedział z doświadczenia, jak rozpaczliwie beznadziejnem było położenie nasze na widowni międzynarodowej.

Ojczyznę Dzieduszycki kochał gorąco, a patriotyzm łączył z bardzo żywym uczuciem godności narodowej, oraz swojego osobistego znaczenia w życiu politycznem Polski. W czasie pierwszej rewolucji rosyjskiej, gdy sprawa polska wypłynęła na jaw, pamiętam, jak z uczuciem dumy i ciężkiej na nim odpowiedzialności, zastanawiał się on w rozmowie ze mną nad tem, że wobec braku instytucji parlamentarnych i tem samem przedstawicielstwa polskiego w państwie carów, wobec tego, że w Berlinie posłowie polscy mają usta zakneblowane i ręce spętane, przyjść może chwila, że on, jako prezes Koła Polskiego w Wiedniu, będzie musiał zabrać głos w charakterze głównego legalnego

*) Por. s. 557.

przedstawiciela Polski nie przed Austrią tylko, lecz przed całym światem.

Chwila ta nie przyszła, głosu Dzieduszyckiego nie zabrał, gdyby zaś przemówił, cóżby innego powiedzieć mógł, niż to, co w ostatniej jego książce, w jego testamencie politycznym mamy.

W przyszłość patrzył wprawmem i na ogół trafmem okiem, wiedział, że w miarę wzrastania ludności i postępu cywilizacji, będzie coraz ciaśniej na świecie, że narody tracić będą swoje terytorjalne podstawy i że ewolucja dziejowa przymusi je do zrzeszania się w wielkie związki polityczne i ekonomiczne. Przewidział program Wilsona. A zatem, o ileby nie nastąpiła jakaś wielka katastrofa, sprawdzająca powrót barbarzyństwa, „żaden kondotjer — pisał on — nie wyrąbie sobie państwa, choćby miał największe ku temu zdolności“... (str. 547), „granice państw są już ustalone“. — W tem ostatniem się mylił, ale nie mylił się, sądzymy, gdy twierdził, że nowe, z pozoru niepodległe państwa, o ile pozostać mogą, będą tworam i układów dyplomatycznych i istnieć będą, dopóki zechce opiekować się niemi jakieś potężniejsze mocarstwo. Serce jego i myśl porywał obraz dawnej, potężnej Jagiellońskiej Polski, zagarniającej w sferę kultury swej i swych planów sąsiadujące narody ze Wschodu i Zachodu. W możliwość takiej Polski, teraz, nie wierzył, więc wołał myślą się zwracać ku Polsce duchowo żywotnej i silnej, w sferach życia religijnego i moralnego, w nauce i kulturze*), ale — dodawał zawsze—obok ducha, obok niezłomnej woli do przetrwania wielkich ucisków i prób, niezbędnym warunkiem pomyślności narodu jest praca i oszczędność, a miarę potęgi jego w przyszłości stanowić będzie majątek rolny, jak i przemysłowy, przede wszystkim zaś majątek w gotówce**) i wpływ na obroty kredytowe szerokiego świata.

I nie wahał się za wzór nam stawiać Ormian tureckich, którzy, zrobiwszy majątek zagranicą, wracają do źle rządzonego i uciskanego kraju, zdobywają tam rozumem i pieniądzem górujące stanowiska—i w końcu za pomocą majątku zapanowują nad bezładem i nad złą wolą swoich ciemięzców tureckich***).

Czytając dzieło Dzieduszyckiego, z uczuciem czci i podziwu śledzimy bieg myśli autora. Staje przed nami osiwniały w służbie publicznej Polak, który, troską pochło-

*) Por. s. 556. **) Por. s. 556. ***) Por. s. 552.

nięty o byt ojczyzny, wniknął i zbadał wszystkie zakresy jej życia i na tem nie poprzestając, objął współczesny stan świata, sięgając w głąb zagadnień politycznych i społecznych, odgadł kierunek ewolucji dziejowej, przewidział nawet wojnę ostatnią *) i jej wyniki—osłabienie Niemiec, a wzmocnienie Anglii. I cóż? Mógłby za Krasińskim powtórzyć:

I z dni tych wszystkich wybranej kolei

Wyrasta napis „tu niema nadziei“.

Tylko słowom tym inneby nadał znaczenie; bo choć utracił był wiarę, że zmartwychwstanie niepodległa i, jak dżś mówią, „suwerenna“ Polska i zrezygnował z niepodległości, rezygnacja ta aktem rozpaczcy nie była. Nie była,—bo wierzył w moc ducha polskiego, a godził się z tą siłą wyższą, przeciw której, zdaniem jego, nic nie mogą pojedyncze wysiłki jednostek i narodów.

Sily zaś tej wyrazem jest pęd cywilizacji, która to robi, że „coraz łatwiej i coraz częściej masy ludzkie przepływać i odpływać będą z antypodu na antypod, przepelniając pstrą mieszaniną wszystko, co między niemi jest“...(str. 487). „Kto wiedzieć chce, jak świat w przyszłości wyglądać będzie, ten winien jechać do Stanów Zjednoczonych i przypatrzeć się wieży Babel, która tam już powstała“...(str. 289) „Żadne państwo prądowi koniecznemu oprzeć się nie zdoła; albo rozumnie jemu ulegnie, albo runie“...

Słowem, w przyszłości“ nawet niedalekiej przyszłości, miały, według Dzieduszyckiego, utworzyć się Stany Zjednoczone, obejmujące chrześcijańską ludzkość, ów Związek narodów, do którego już wezwał Wilson. Czy miało to być urzeczywistnieniem raju na ziemi? O, nie! Wszak tłumy te poddane będą wszechświatowemu Lewiatanowi, a zagrożone większą od wszystkich, jakie były, rewolucją, która zmiotłszy stary porządek pograżyłaby świat w anarchji bez wyjścia**).

*) Por. s. 575 i następne.

**) Intuicje i przepowiednie Dzieduszyckiego z przed lat 15 znajdują potwierdzenie w poglądach na powojenny stan Europy, które dziś słyszymy. „Lewiatana“ porównał J. Caillaux („*Ou va la France, ou va l'Europe*“, 1922) z kilkunastu piętrowymi kamienicami amerykańskimi obrzydliwie wyrastającymi ponad poziom ulic. Ci „gratte-ciels“, magnaci przemysłu, twórcy trustów, lichwiarze, wilki i szakale, co wróciły z wojny, obżarte trupami i ociekające ich krwią, są dziś panami świata. Przez prasę kierują opinią, przez opinię publiczną „rządzą tymi, którzy na czele rządów stoją“. Tylko Caillaux odma-

Jedyną ostoją przeciw zbliżającej się burzy jest religja, jako podstawa społeczeństwa, opartego na rodzinie *pracującej, oszczędzającej i mnożącej się*. Dzieduszycki wierzył, że taką rodzinę i takie społeczeństwo Polska stworzy.

Głos jego był głosem doświadczonej, rozumnej, wolnej od złudzeń, ale dla tego smutnej starości. Nie mógł trafić do młodzieży. Pojęcia ojczyzny i niepodległości politycznej tak są ściśle ze sobą spojone, myśl o Polsce wolnej i wielkiej takim ogniem zapalała każde młode i żywo czujące serce, że ognia tego nie mogła stłumić żadna filozofja, choćby na najgłębszej znajomości dziejów i najpilniejszej obserwacji życia zbudowana.

Natomiast pesymizm polityczny Dzieduszyckiego, złagodzony wiarą w Polskę, jako duchowną całość i uszlachetniony gorącym wzywaniem do ochrony duszy polskiej przed sprzymierzonymi przeciw niej destrukcyjnymi potęgami świata — pesymizm ten wiernie odbijał nastroje starszego pokolenia w przededniu wojny i w chwili jej wybuchu, gdy naród nie moralów potrzebował, lecz rychłych i stanowczych decyzji — był jakby testamentem pokolenia, które schodząc do gróbu przekazywało sprawę ojczyzny tym młodym, co wiarą w Polskę kierowani przystępowali już wtedy do stworzenia polskiej siły zbrojnej.

Wilno, listopad 1918 r.

wia im dalekowidztwa politycznego, które podnosił u nich Dzieduszycki („je doute, qu'il'y ait plusieurs — meme un seul — Lucifer parmi les magnats d'industrie). Znadto są chciwi, aby porozumieć się zdołali między sobą, wzniosłszy się ponad prywatę. Jak szlachta z 1789 roku, nic utracić nie chcą z przywilejów swoich. Byli przyczyną wojny w 1914 roku i dziś tworzą nie jednolitą potęgę, lecz *une feodalite anarchique* i tem przyśpieszają ów tryumf wszechświatowego bolszewizmu, który przepowiadał Dzieduszycki.



II.

J. K. Kochanowski.

1.

Marzenie jest przeciwległym biegunem pesymizmu politycznego — i na pesymizm polityczny pisarza, który, filozofem będąc i zarazem politykiem, filozofję swoją stwarzał pod działaniem gnębiących wrażeń posępnej teraźniejszości, marzeniem odpowiedział młodszy od Dziędu-szyckiego, filozof, nie polityk, J. K. Kochanowski.

Znękany zdżiczeniem i tą rozpustą duchową, która na gruncie polskim się krzewiła, jako odbicie pierwszej rewolucji rosyjskiej, pełen wstrętu i pogardy, którą w każdej duszy szlachetnej budzi widok rozpasań tłumu, stojącego się motłochem, odszedł on od zgiełku namiętności i nienawiści szukać wytchnienia na samotnej wyżynie, ażeby stamtąd okiem i myślą, niezmaconą drobiazgami i szczegółami walk i spraw bieżących, łatwiej ogarnąć wielkie linje dziejowego pochodu ludzkości. Zdrobniały tam przed nim różnice narodów i ras, z wysokości swojej widział przed sobą tylko tłum, wrażenia zaś, jakie tam uniósł ze sobą z bezpośredniego stykania się z żywiołami tłumu tego wybrykami, zarysowały się w umyśle jego, jako „obraz kolei zasadniczych powstawania, rozwoju i trwania wszechspołeczeństw ludzkich“.

Więc tłem obrazu jest tłum, ten „najpierwotniejszy, a żywotny do dziś dnia typ gromady ludzkiej“. Jego cechą zasadniczą — impulsyjność w usposobieniu i w działaniu, a impulsyjność ta objawia się w całej nagości i sile w epokach rewolucyjnych wstrząśnień i przewrotów. Każda rewolucja jest „echem prawieku“ i daje poznać, czym

w najgłębszej istocie jest masa ludzka, ów sfinks „ciemny, jak wieki, z których wyszedł i w które spogląda, rozjaśniający się nagle i na krótko w chwilach, gdy refleks krwi świeżo przelanej, lub łuna pożarów rzuca na oblicze jego swój ponury promień“.

Cechą sfinksa — nienawiść do wszystkiego, co ponad poziom jego urasta; „on patrzy na wszystko, co kultura dała, na wszystkich tych, co służyli jej najlepiej — ze wstrętem lub chichotem, z pogardą lub z wściekłością głęboką a szczerą“... „Na imię jemu żywioł, co neguje mądrość, pogardza rozumem i doświadczeniem, pogardza wszystkim, co wieki w warstwach dorobku empirycznego złożyły, i smagany przez popęd tajemniczy, a potężny *), mknie w dal nieznana, która go pociąga, z szyderstwem, z furją, lub pieśnią na ustach — zależnie od tego, co, kiedy, jak i gdzie napotyka na drodze“...

Z tłumu wydobywają się jednostki wyższe — i treścią historii, jej twórczym pierwiastkiem jest wyzwalanie się ich z zależności od „hordy—gromady“, walka z jej instynktami zbiorowymi **). Ich wielkość w tem, że wyznać umieją to, co jest żywotne w napięciu tłumu, i jego „potężną, ślepą, lawinową“ impulsyjność umieją nagiąć ku „torom własnych, do logiki rozwoju przystosowanych planów“.

Jak Nietzsche, postawił Kochanowski owych bohaterów—nadludzi poza granicami pospolitych pojęć o dobrem i złem. „Nigdy — dowodzi on — dążenia ich i czyny nie podniosą więzów, krępujących najdroższy ich skarb — własną istotę duchową — na wyżyny ideału; nigdy nie pogodzą się oni z zasadą, że dobrem jest to, co jest pożyteczne dla stada, to zaś, co pożyteczne dla nich tylko—bez względu na stado—jest złe“ *). Twórczą czynność każdego z nich nazywa autor „hymnem dla siebie“, pożytek zaś z hymnu tego, płynący dla ludzkości, jest tylko „ubocznym produktem“ (s. 72), nie zaś wynikiem celowych usiłowań wyższej jednostki.

Zdawałoby się, czytając to, że myśliciel, dla którego historia ludzkości jest historią jej bohaterów, powinien szczególnie żywo odczuwać przeciwieństwo między naukowym determinizmem, ujmującym wrzechświat, jako łańcuch przyczyn i skutków, w którym miejsca dla

*) „Echa Prawieku“, (Warszawa, Wende).

) Por. s. 70. *) Por. s. 76—77.

wolności niema, a nienaukową świadomością nieskończonej potęgi własnej wolnej woli, którą bohater, zwłaszcza bohater czynu, przeciwstawia z głębi wewnętrznych doświadczeń i przeżyć twierdzeniom pozytywnej, wnioŹki swoje na faktach namacalnych nie zaś na nieuchwytnych uczuciach opierającej nauki. Nic z tego. Nie my stwarzamy życie—mówi Kochanowski—„jesteŹmy tylko jednym z jego zjawisk“... „Ustrój ludzkości nie jest dziełem człowieka, lecz natury. Nikt przecie nie będzie twierdził, że naród naprz. jest wcieleniem jakiegoŹ pomysłu, a państwo—wyraz jego polityczny—wynikiem uplanowanej działalności mężów stanu“... Nie. „Żarówno narody, jak państwa, są odbiciem zjawisk, które powstały z przyczyn, leżących w swej istocie poza granicami świadomości człowieka“... (s. 74). A zatem, zamiast dzielić się z naturą, rolą tworzenia, uwierzmy, że rola ta do niej w całości należy i podziwiamy ją w nas samych, patrzmy śmiało w jej oblicze, badajmy jej istotę w stosunku do człowieka i ludzkości“ (s. 69).

Ten determinizm swój uparcie i z naciskiem podkreślając, nie zatrzymując się wpół drogi, dochodzi w końcu Kochanowski do jej kresu, t. j. do negacji tej moralnej podstawy społeczeństwa, jaką stanowi świadomość, że jednostka służyć powinna ogółowi, nie zaś ogół—jednostce, świadomość podniesiona we wszystkich religiach na wysokość przykazania. Więc wnioskiem „przeciętnego kannibala“, dla którego masa, jako większa i silniejsza, a przeto groźniejsza i bogatsza od jednostki, jest zarazem czemś od niej lepszym, nazywa on potępianie antyspołecznych, samolubnych popędów zazdrości i nienawiści*). Uczucia te, choć je niskimi i brudnymi nazywamy, to nic innego, „jeno działanie instynktu samozachowawczego i siły, co nakazuje każdemu stworzeniu dążyć do wybicia się ponad inne, ćwiczyć w sobie i wydobywać z siebie maximum tej mocy, jaka tkwi w nim z daru natury“ (s. 137)... Uczucia te, ujemne ze stanowiska moralności, są jednak przyrodniczo pożądane od moralu, moral bowiem ogranicza, odbiera jednostce jej siłę, zaś „instynkt brudny“, poparty przez orientację życiową, siłę ową mnoży**).

Czyżby więc filozofja Kochanowskiego była posępnym jakimś materializmem, zmierzającym ku apoteozie brutal-

*) Por. s. 71. **) Por. s. 138.

ności? Taką mi się wydała przy pierwszym powierzchownym czytaniu. Gorycz, sącząca się z myśli i wrażeń, które echa prawieku budziły w duszy autora, zasłaniała przede mną niespodziany myśli tych finał, zwiastujący Królestwo Boże. Deterministyczny amoralizm, dla którego celem dziejów — symfonia „hymnów dla siebie“, rozlewających bez woli i wiedzy ich piewców dobrodziejstwa dla rodzaju ludzkiego — amoralizm ten jednak doprowadzał nagle tajemniczą z pozoru drogą do afirmacji, że ową symfonią trzymana, ewolucja dziejów „utwierdza wiarę w ziszczalność — bodaj już nie ludzką, lecz nadczłowieczą, — słów nieśmiertelnych: Przyjdź królestwo twoje. A królestwo to przedstawia się nam wtedy, jako koniec wszystkiego, co ludzkim było, jest i będzie, a jako początek wytnienia... Jakiego wytnienia?—nie wiemy, „Królestwo Boże nie z tego jest świata“.

Droga, u kresu której spłynęła w duszę autora, choć daleka, ale kojąca nadzieja wytnienia w Królestwie Bożem, tajemniczą jednak nie była. Wyrażały ją przed Kochanowskim umysły typu, zaznaczającego się w epoce naszej coraz wyraźniej, — umysły, dla których poznawanie prawdy nie jest kontemplacją rozumnego ładu we wszechświecie — ładu tego niema, przynajmniej one go nie widzą — lecz walką z bezrozumem świata. W miarę zaś walki tej i wysiłków, wyjaśnia się im, że są oni współpracownikami wyższej a dobroczynnej Mocy, że wydobywający się im z głębin duszy protest przeciw mrocznym potęgom bezrozumu nie jest głosem jakiegś abstrakcyjnej „rzeczywistości bytu“, stwarzającej wyższe, istotne postacie życia (s. 66). lecz głosem Boga żywego — i że we współżyciu i współdziałaniu z Nim znajduje dusza człowieka owo upragnione wytnienie, „światłość wiekiściego pokoju“.

Finał ten był zapowiedzią następnej jego pracy „Postęp ludzkości“ (1917).

Panująca w świecie bezbożność — czytamy tam*) — jest raczej bierną, niż czynną, a specyficzne jej podłoże stanowi szeroki ogół t. z. inteligencji zwłaszcza wielkomiejskiej, która bezbożną jest, ateistyczną i niewierzącą z pobudek bardzo poziomych, najczęściej z wiecznego braku czasu do zastanowienia się nad samym sobą, — z pośpiechu nakazanego ludziom przez „kołtuństwo“ zwane, jakby na

*) Por. s. 207. Przytaczam w skróceniu.

sztyderstwo, „powagą życia”. Ten typ bezbożności budzi w Kochanowskim szczególną odrazę, jako obraz „zatwardziałego chamstwa moralnego półludzi jakichś wewnętrznie uwsteczniionych aż do granic jaskiniowego barbarzyństwa”... Pojęcie Boga, głębokie jego odczucie zdobyć może tylko człowiek pełny, bogaty doświadczeniem życia uwiecznionego wielkiem cierpieniem.

To pojęcie i czucie Boga zdobywszy, Kochanowski dostrzegł wtedy pierwiastki planu Bożego tam, gdzie przed tem widział tylko tchnienie ślepej natury „zakłęte w mózgi i czyny wybranych jej wysłańców”.

Teza w „Postępie ludzkości” ta sama, co w „Echach prawniku”, t. j. że treścią dziejów jest walka jednostek wyższych z masą. — W każdym z nas wysuwa się na pierwszy plan poczucie „ja” i „oni” — a wsład za tem „ja” moje dąży tak, czy owak—więcej lub mniej świadomie — do narzucenia im przekonań swoich, woli i wreszcie władzy; „oni” zaś — do bezwzględного zrównania mnie z sobą”.

Ale gdy, czytając *Echa*, nieraz się zdawało, że jednostka, mocująca się z tłumem, przedstawiała się autorowi w postaci Króla Ducha, który siłą i gwałtem, nie cofającym się przed okrucieństwem, ujarzmił tłum, czyniąc zadość swej tylko swawoli, a swawola ta dopiero w dalekich konsekwencjach stać się może błogosławieństwem dla ludzi — to teraz — w tęsknocie za wytchnieniem, co nie z tego jest świata, poznawał Kochanowski, że solą ziemi są wybrańcy, torujący drogę przed Panem, i że, choć ludzkość domaga się czynów, woła o czyny, rzeczą wyższą od czynu, wynikającego z potrzeby wyładowania na zewnątrz nagromadzonej energii, jest kontemplacja, czyli ów stan ducha, w którym modlitwa staje się życiem, a życie modlitwą, z której człowiek czerpie natchnienie i moc czynów z myśli Bożej poczynanych.

Ale jak do stanu tego dojść? Człowiek jest z przyrodzenia istotą społeczną i żyje w nieustającym obcowaniu z ludźmi, ale — rozumuje Kochanowski — mimo to jest sobą i potrzebuje być sobą, musi jakąś wewnętrzną częśćkę swej jaźni posiadać wyłącznie dla siebie, a ta częśćka jest w nim „zawiazkiem z Boga” *). I w oderwaniu od świata, a w samotności wewnętrznego skupienia słyszy on głos przemawiającego do niego Boga: „Ale ty,

*) Por. s. 24.

gdy się modlić będziesz, wnijdź do komory swojej, a zawarłszy drzwi, módl się Ojcu twemu w skrytości: a Ojciec twój, który widzi w skrytości, odda tobie" (Mat. VI,6). I wyjaśnia mu się wtedy, czego Bóg chce od niego: „pył stworzenia, czuje się on nagle odbiciem źródeł świata" (s. 25), wie, „że sam, będąc niczem, piastuje w sobie obraz i podobieństwo Boga"—i że podobieństwo to powinien, wedle możliwości i mocy swojej, utrwalić w świecie: „Niech świat będzie mną—takim, jakim byłem, jestem i będę w poczuciu bezkresnej prawdy mojego ja, od wieków po wieki związanego z Bogiem" (s. 28).

I „pod przewodem napelniającej go siły", powolny jej rozkazom, nie przypisując ani chwilę czynów swoich własnej zasłudze, zstępuje on ku „padołom"—i tam, przeniknięty do głębi bólem bliźniego, borykającego się z „trudem istnienia", umiera dla świata, a istność jego cała staje się „troską o powszechne dobro".

Tej troski nie było jeszcze w „Echach", o ile zaś gdzie nie gdzie się przejawiała, to autor mówił o niej z ironją Bo czy wart jest ów bliźni mojego zaparcia się siebie i całkowitego oddania się jemu? „Ile razy—cytował Kochanowski Senekę — poszedłem między ludzi, mniejszym wróciłem człowiekiem". Masa ludzka, „oni", im bardziej są jedni w swoim zespole, w tem większej mają nienawiści wszystko, co poza nimi, a tembardziej ponad nimi. Przeciętne „ja" jednostki w bycie codziennym drżące nie-raz i słabe, nawet dobre i miłe*) staje się w „my masowem" straszne, groźne, tak tragicznie potężne i—dodajmy — tak obrzydliwie poziome. Stosunek przeto wyższej jednostki do masy może polegać tylko na walce, Walka ta jest „osią historii". Jeśli nie walka, to odejście, ucieczka od świata i człowieka: „Typ indywidualnie silny kojarzy często z przeczuciem swej mocy niechęć, a niekiedy nawet wstręt do t. z. działalności społecznej" (s. 60). Tkwi zaś w tem ostrzeżenie natury, słuszna obawa, że w zetknięciu się z „gromadą" sponiewierając się może, osłabnąć, zaniknąć to, co w nim najlepsze. Im bowiem jednostka bliższą jest masy, „im istotniej zwartą z otaczającym ją zbiorowiskiem, tembardziej przestaje być w znaczeniu moralnem sobą", — mniemając, że miłuje ludzkość i jej służy, oddała się od miłości człowieka.

*) Por. s. 96.

A zatem troska o dobro'powszechnie i słuzenie celom, które społeczeństwo stawia — są to dwie rzeczy różne. Wybraniec, geniusz, nawet w trosce swojej o ludzi, jest im obcy i daleki. Gdy z wyniosłej samotności, gdzie sam był z „Bogiem i myślami swemi“, schodzi ku padolom ziemskim, to „nie przez zlanie się wewnętrzne z gromadą, lecz przez ofiarną służbę dla niej z wyżyn własnej jaźni, staje się człowiekiem zdolnym do zrozumienia wezwania: „Pójdźcie za mną, a uczynię was, że staniecie się rybami ludzi“ (Mat. IV, 19).

Słowem, tragedia wiecznego rozłamu tkwi i zawsze tkwić będzie w stosunku geniusza do społeczeństwa; „chcą się pochłonać nawzajem, a nie mogą“.*) Dopiero śmierć kładzie nie kres, ale tylko tamę tej waśni, z której tryska życie w znaczeniu nowego zaczynu. Wówczas, t. j. w grobowcu swoim przeobraża się zmarły olbrzym „w pojęciu każdego karła z osobna i ich wszystkich razem“ w „jego, ich własne wcielenie“... „w istocie zaś leży poza nimi, jak oni poza nim, z wyjątkiem tych cech swoich, które się na wspólny ich i jego ludzki mianownik psychiczny składają; oba te światy służą całości niepoznanej, niby bieguny sobie przeciwne, a jednak tylko w związku z sobą powodujące w ramach bytu odpowiednie wyładowania sił twórczych życia“ (s. 85).

2.

Bieg walki tych obu światów — tłumu i jednostki — którą Kołchanowski przedstawił, jako wieczyste zmaganie się materji z ożywiającą ją siłą ducha, nie idzie jedną prostą linią w górę, nie jest szeregiem tryumfów duchowego pierwiastka — przeciwnie, kolejno po sobie następują okresy, w których to materja — gromada z demokratyczną zasadą równości, to nierówność słusznie, czy niesłusznie, imieniem Króla Ducha dzieląca ludzi na panów i sług, bierze górę.

Więc zrazu**), u progu historii, na polu zwierzęce stado, potem silniejsi tworzą społeczność koczowniczą z przywódcami na czele — więc przewaga nierówności — potem, pod wpływem czynników praekonomicznych powstaje dążenie ku osiadłości, i w nowym rolniczym ustroju równość poczyna odzykiwać prawa swoje. Potem znowu, wskutek

*) Por. s. 84. **) Por. s. 93—9.

niebezpieczeństw zewnętrznych, zagarniają władzę wojewodowie — książęta i tworzą nową nierówność, dając początek dynastjom i monarchiom, Wreszcie gromadnie, a zwycięskie dążenia ludów łamią władzę monarchów. Ludzkość wchodzi w trwający do dziś dnia okres powszechnie triumfującej równości...

Czy jednak, żyjąc w okresie, w którym masy w przekonaniu swem doszły do władzy, a wolność, równość i braterstwo zostały utrwalone, mamy radować się, że sprawiedliwość zapanowała na świecie?*)

O, nie. Choć idea demokratyczna wytrysła z najczystszych źródeł miłości bliźniego i z dziecięcej wiary w przyrodzone dobro człowieka, choć się skąpała w świętem poczuciu równej nicości wszystkich wobec Boga, szczęścia jednak nie przyniosła.**)

Bo „podobnie jak narząd oka czy ucha chwytą pewne tylko barwy i tony, tak masa ludzka zdolna jest uświadamiać sobie niektóre tylko wartości wpajanej w nią idei“ — te mianowicie, które odpowiadają jej najbezwstydniejszym, najgrubszym materialnym powabom i pożądaniam***). Wskutek tego demokracyzm, wyzwalać człowieka, „wyzwolił w nim to, co głównie przeciętnego człowieka stanowi — zwierzę ludzkie w jego bezgranicznem dążeniu do użycia“.

W następstwie zaś tego wynika „ze ścisłością niemal matematyczną horoskop państwa socjalistycznego, jako najpotworniejszego z potwornych wcielenia życiowego wzniosłych abstrakcyjnie doktryn“. Demokratyzacja bowiem społeczeństwa oznacza spadnięcie człowieka na poziom niższy. Zwycięstwo haseł demokratycznych jest zwycięstwem tego, co w sferze przemysłu określane mianem tandety. Cechą zaś zasadniczą tandety, obok coraz bardziej obniżającej się wartości materiału, jest „naśladownictwo, prowadzące do nadzwyczajnej precyzji mechanicznej w odtwarzaniu mnożonego w nieskończoność oryginału“. Podobnie, doskonałym obywatelem w demokratycznej republice jest ten, kto doskonale ludzi przeciętnych w społeczeństwie swoim naśladuje, wiernie przeciętność powszechną osobą swoją odtwarzając; „Człowiek taki staje się w opinii ogółu człowiekiem wzorowym tak, jak dziecko najrzęczniejsze naśladujące dorosłych, jest najgrzeczniejszym w opinii opiekunów“. (s. 167).

*) Por. s. 104. **) Por. s. 127. ***) Por. s. 128.

Ale nietylko umysłowa, lecz także moralna lichota towarzyszy tryumfowi demokratycznej tandety. W atmosferze jej ginie cnota rzetelna, ustępując miejsca szablonowi zewnętrznemu, dostosowywanemu do wewnętrznej nicości zbanalizowanego społeczeństwa. Bo poco patrzeć we wzory potężnych usiłowań bohaterów ducha, po co płonąć, żądać dorównania im, skoro wygodniej, a przede wszystkim „poprawniej“ ponad szablon nie wyrastać, grzęznąć w błotku kompromisów z sumieniem, pilnie tylko przestrzegając, aby głos sumienia, broń Boże, nie był w sprzeczności z głosem opinii. „Klasycznym zaś zewnętrznym wyrazem tandetnego kultu pozorów jest w czasach naszych ujednolicona aż do martwej bezmyślności moda — ten surogat i parodia zburzonego dziś w świecie stylu“ (s. 167).

W tej załamującej świat tandecie śmiertelna nuda ogarnia powoli człowieka. Czując zaś swą marność, niezdolność swoją do wydobywania się z tłumu, usiłuje on zabić trawiący go niesmak, wmawiając sobie, krzycząc, że wspólną, wielką rzeczą jest cywilizacja nowoczesna i że on jest wielki, jako jej twórca. „Manja wielkości rozpościera się dziś zarówno na wyżynach, jak i na nizinach społecznych, znajduje swój nieprześcigniony wyraz w arogancji żydostwa“*) — żydostwa, które panoszy się w tej ich ziemi obiecanej, w tych „arcypotworach doby nowożytnej“, jakimi są miasta olbrzymy — „ogniska wszechzgrzytów i wszechbuntu życia“, zarodzie i rozsądniki wszystkich brzydota demokratyzacji i materjalizacji.

Analizę tandety, jako znamienia tego porządku rzeczy, który wprowadza zwyczajki, a wszystko niwelujący tłum, Kochanowski dał wielostronną, a uczuciem głębokiego bólu nacechowaną. Więc tandetą jest oświata dzisiejsza, ta, „fabryka masowej edukacji“ szerzonej w zabawnym przeświadczeniu, że naładowanie głowy rozmaitymi wiadomościami z rozmaitych zakresów wiedzy ma czynić człowieka rozumniejszym i lepszym. Zestawiona z dawnym „cyzelowaniem dusz rylcem stosunku duchowego uczniów i nauczyciela, powołania swego kapłana“, jest „maszyną rotacyjną w porównaniu z pracownią mistrza“. — Tandetą również — wolność w postaci parlamentarizmu, który widownią staje się dla karierowiczów, schlebających tłumom. — Tandetą — emancypacja kobiet

*) Por. s. 182.

pod szumnem hasłem wyzwolenia się jej z poniżającego stanu, jak gdyby kobieta, kapłanka domowego ogniska coś zyskać mogła na tem, że „przyrodzone zalety płci swojej, tak godne kultu, rozproszy po targowisku ludzkim, zmieszana z mężczyzną, odkobiecona, a mimo wszystko niezdolna przybrać płci innej“!... (str. 204).

Nie jest rzeczą łatwą uchwycić bieg myśli autora, trudniej jeszcze ją streścić z powodu formy, którą jej autor nadał. Nazwalibyśmy ją barokową. Barok ten, silny i, nieraz świetny w szczegółach, grzeszy, jak każdy barok, przesadą, przeładowaniem, szukaniem niespodzianych, a efektownych zwrotów w wyrażaniu myśli prostych, temsamem zaciemnia je i nuży uwagę. Niemniej jednak myśl główna, zasadnicza jasna jest. Stwierdził Kochanowski to, co się już stało rzeczywistością, t. j., że epoka nasza przez demokrację, przez „materjalizm gromadzkości“ zmierzała szybkim krokiem ku amerykańskiej, t. j. ku religii złotego cielca. Już go postawiono na ołtarzu zdezonizowanego Boga, nieświadomą, jak sądzimy, tego, co czyni, ręką Wilsona — i wkrótce złożoną zostanie w ofierze nowemu bożyszczu kultura starej Europy... O tyle jednak amerykańizm europejski marniejszym jest i marniejszym będzie od swego wzoru, że pozbawiony rozmachu i ciężyny, cechującej ludzi z nowego świata, wytwarzać będzie plutokrację banalniejszą jeszcze i podlejszą, niż amerykańska.

Czyżby więc kult mamony i spadnięcie w błoto anglo-amerykanizmu miały być ostatniem słowem „postępu ludzkości“, czy w wyniku tych walk wybrańców z niedorastającą i urągającą im masą, które istotę dziejów stanowią, „horda—gromada“ już na zawsze zgnębiła indywidualność i czy na zawsze ma się rozciągnąć nad światem zgnięła atmosfera, w której ginąć będzie w zarodku wszystko, co wyższe i lepsze? Z tym tak posępnym wynikiem własnej analizy Kochanowski nie jest w stanie się pogodzić. „Coraz liczniejsze są przesłanki — zapewnia on — zapowiadające zgoła odmienną przyszłość rozwoju“. Ale jakie przesłanki? Nie wymienił ich. Chyba przypuścimy, że przedsięwzięte przez rewolucję rosyjską masowe wyępieanie inteligencji wywoła jakąś potężną reakcję przeciw potwornemu absurdowi, do którego bolszewizm ideę demokratyczną doprowadził, budząc najpodlejsze w tłumie instynkty, tłum przekształcając w motłoch i motłochowi dając nominalną władzę nad Rosją, pod hasłem dyktatu-

ry proletariatu. A jest to — słusznie powiedział Mille-
rand — dyktaturą małej jego części nad całym proletarja-
tem, potem zaś nad całym narodem. Ale gdy Kochanow-
ski książkę swoją pisał, bolszewizm nie był jeszcze panem
sytuacji w Rosji, my zaś w chaosie obecnym nie dostrze-
gamy jeszcze dróg, któremi ludzie z bolszewickiego ab-
surdu się wydobędą.

Dopiero wczytując się w pracę Kochanowskiego, tra-
fiamy na źródło jego marzycielskich nadziei. Wynikają
one z głębokiej pewności, że mimo wszelkich kosmopoli-
tycznych teorii tylko w retorce narodowości osiąga czło-
wiek maximum swego *ja* duchowego (s. 171). Następnie
wierzy on, że Polska, zahartowana w cierpieniu, „zyskała
w swych warstwach czujących, a historycznie wyćwiczonych,
wysokie warunki udoskonalenia duchowego“ (s. 162).
Wreszcie wierząc w zbawczą moc Chrześcijaństwa, uznaje
on, że wszystkie poza chrześcijańskie doktryny społeczne
i polityczne są z góry skazane na zanik, bo chcąc ludz-
kość pchnąć ku wyżynom rozwoju i postępu, zmierzają do
celu poprzez demokratyzm, czyli władztwo gromadzkości
— tej „wiekuistej zarodzi zła“.

Ponieważ zaś zbawienie świata leży, według Kocha-
nowskiego, nie w doktrynach, lecz wyłącznie w jednost-
kach — więc stąd wniosek, a raczej marzenie o przyszłych
słonecznych dniach odrodzonej Polski, stojące mocno na
podstawach Chrześcijaństwa i tradycji ojczystych. A w ma-
rzeniu tem poszedł Kochanowski na spotkanie mesjaniz-
mowi, choć mu zarzuca eteryczną jakąś nadświatowość,
którą radby choć cokolwiek „balastem ziemi“ obniżyć.
Z mesjanizmu bowiem, nie zaś z trzeźwej obserwacji życia,
płynie przeświadczenie, że „demokratyczna atmosfera im-
perjalizmu gromadzkiego“ tak zawzięcie w duszę polską
wszczepianego przez żydowstwo, „zawsze i wszędzie dege-
nerujące aryjskość, zwłaszcza zaś w krajach, będących jesz-
cze modrzewiowym dworkiem Europy“ — że atmosfera
ta „stąpi ostrze swoje właśnie o pierś Polaka“.

Niech więc Polacy historyczni — kończył autor — t. j.
tacy, co przemyśleli i odczuli swój związek z przeszłością,
stoją na straży powołania swego i reprezentują przed ob-
cymi, pod hasłem *noli me tangere*, kwiat myśli i serca
narodu; niech go nie dadzą dotknąć ani uszczerbić nigdy
i nigdzie; niechaj każą czcić naokoło wysokie, dla nas
najwyższe jego dostojęństwo, niech z wysokości narzucają
cudzoziemcom majestat Polski.. Oto cel ich istnienia pod

znakiem nieprzedawnionego dostojęstwa dziejowego ojczyzny, oto pole ich pracy wśród swoich i obcych — olbrzymie i ofiarne w służbie kapłańskiej ideału postępu moralnego ludzkości *).

Cudowne marzenie, ale jakże sprzeczne z tem, co widzimy u siebie i wkoło siebie i z tem, co przewidzieć możemy „Jedynymi zwycięzcami — pisał prof. Baudouin de Courtenay — w „Upagnionym końcu historii powszechnej“**) są głód, nędza i śmierć. To co się dzieje nie tylko nie jest rajem, ale poprostu wygląda na agonję ludzkości“.

Wilno, grudzień 1918 r.

*) Myśl tę samą obszernie rozwinął Kochanowski na tle porównawczej psychologii narodów w ostatniem dziele swoim „Polska w świetle psychiki własnej i obcej“. Potęga duchowa Polski, zdaniem autora, jest niemożna, w głębi duszy polskiej „wzdrygającej się wobec wszystkiego, co podle, płaskie i niskie“, leży misja ucłowieczenia współżyjących z nią i sąsiadujących narodów.

**) W „Tygodniu Polskim“, 1921 № 6.



III.

Legjony a sprawa polska.

1.

Albo pesymizm albo marzycielstwo — tak określić można usposobienie i nastrój starszych pokoleń w chwili wybuchu wojny 1914 roku. Pesymizm na dole wśród tych, co w wir walk narodowych i partyjnych wtrąceni, z tłumem mieszanym, mieli, jak Dzieduszycki, możliwość zbliżka poznać stan polityczny świata, — marzycielstwo na górze, w schroniskach myśli znękaney terazniejszością, stroniącej od życia realnego, wsłuchanej w „echa pra-wieku“.

Idea czynu dojrzewała w młodem pokoleniu.

Po upadku powstania 1863-go roku, w najstraszliwszej dla nas chwili, gdy naród nasz stawał się pod zaborem rosyjskim pastwą polityki za cel sobie wyznaczającej eksterminację żywiołu polskiego, rząd austriacki rozpoczął przebudowę państwa na nowych podstawach konstytucyjnych i autonomicznych, zmuszony do tego klęskami pod Solferino (1859) i Sadową (1866). Cokolwiekby da się zarzucić ces. Franciszkowi Józefowi, to jednak przyznać mu trzeba, że czując się, jako monarcha i jako Habsburg, nieskończenie wyniesionym ponad ogół ludzi, czuł się pomimo to człowiekiem, czyli uświadamiał sobie, że majestat władzy nietylko nie zwalnia go z obowiązku rachowania się z życzeniami podwładnych, ale, przeciwnie, niezbędnym warunkiem utrzymania powagi majestatu jest wiara narodu w uczciwość i honor monarchy, w jego słowo. I w przeciwieństwie do biurokracji rosyjskiej i ideologów „somodierżawia“, którzy, jak Rozanow, dotarli aż do poglądu, że słowo carskie innej jest kategorii, niż słowo wszystkich innych śmiertelnych, że swobodne jest

twórcze, jak wszechmocne Słowo Boże, że nie nakłada żadnych więzów i, wzniesione ponad wszelką odpowiedzialność, może być dotrzymane i może być cofnięte, Franciszek Józef miał wysokie pojęcie o świętości słowa monarszego. Konstytucyjnym zobowiązaniom swoim wobec ludów monarchji pozostał wiernym, w stosunku do Polaków zaś szczególnie życzliwy, pozyskał ich serca. Z życzliwości jego korzystając, wybitni politycy, których Galicja wówczas wydała, umieli zapewnić narodowi polskiemu znaczenie poważne oraz wpływ na sprawy państwa.

Dzięki tym powodzeniom politycznym Galicji, które w porównaniu z beznadziejnem położeniem obu innych zaborów szczególnie cennemi się wydawały, nasuwała się sama przez się myśl, że przy szczęśliwym układzie okoliczności Galicja mogłaby się stać czemś w rodzaju polskiego Piemontu i skupić koło siebie, a pod berłem Habsburgów, inne ziemie polskie, zwłaszcza z pod zaboru rosyjskiego. Myśl ta szczególnie gorliwych znajdowała wyznawców wśród licznie przebywających w Krakowie i Lwowie byłych uczestników powstania.

Z jednym z nich, Józefem Popowskim, łączył mnie stosunek zażyłej przyjaźni. Po powrocie z katorgi wstąpił on do wojska austriackiego, oddał się studjom nad strategją, napisał kilka broszur treści strategiczno-politycznej, któremi zwrócił na siebie uwagę powszechną i, uproszony wówczas przez szerokie koła przyjaciół, wziął dymisję z wojska i wnet obrany został posłem do Rady Państwa. Myśl o przyszłej wojnie z państwem carów pochłaniała go całkowicie, żył nadzieją rozbicia Rosji i nie wątpił, że nastąpi potem wskrzeszenie Polski, bo wierzył w potęgę Austro-Węgier, z których zamiarami i dążeniami rachować się będzie musiało, związane z niemi przymierzem, cesarstwo Niemieckie. Chodziło o pozyskanie neutralności Francji i o pomoc Anglii. Jedno i drugie poruszał Popowski w pracach swoich. O antagonizmie angielsko-rosyjskim i o niebezpieczeństwie, które ze strony Rosji groziło Indjom, napisał w 1889 r. rozprawę obszerną, tłumaczoną na języki angielski i niemiecki. Otóż w tym czasie pod koniec wiosny 1891 r. wpadłszy raz do mnie w radośnem podnieceniu, zwiastował, że za kilka tygodni armje austro-niemieckie wkroczą w granice państwa Rosyjskiego i z zapalem roztaczać począł plan kampanji. Informacje miał dobre; wszak był posłem i członkiem komisji wojskowej w parlamencie.

Mylił się jednak. Do wojny nie doszło, Austro-Węgry zaś poczęły coraz szybciej spadać do roli państwa walsalnego, przyjmującego wskazania i rozkazy z Berlina. Przyczyny tego stopniowego upadku powinnyby nam wyjaśnić ci, którzy w latach owych czynny brali udział w polityce. Po wojnie Japońskiej, w okresie zawichrzeń rewolucyjnych w Rosji, możliwość blizkiej wojny stała się znowu widoczniejszą, tylko już w nikim szczęśliwych nadziei nie budziła. Z troską patrzył w przyszłość Wojciech Dzieduszycki, ostatni przed wojną w wielkim stylu kierownik polityki polskiej w Wiedniu. Umysł rozległy i silny łączył on z gorącym sercem polskim, obejmującym sprawę narodu w jej całej rozciągłości. Stąd płynęła głęboka w nim świadomość, że na trybunie parlamentarnej przedstawiał on nie jeden z okręgów wyborczych Galicji, lecz Polskę całą z jej wielką przeszłością i wielkimi aspiracjami — i w chwili stosownej umiał z odpowiednim słowem i odpowiednim akcentem wyrazić to i wstrząsnąć słuchaczy. Ostatni raz odwiedziłem go w 1909 roku, kilka tygodni przed jego nagłą śmiercią. Wojnę widział w niedalekiej przyszłości i niepokoiło go, że między Austrią i Niemcami nie istniała żadna co do sprawy naszej umowa, że widocznie sprawę tę we wzajemnych obu dworów układach omijano, jako drażliwą. W Wiedniu zaś — mówił — objawiały się w zakresie kwestji polskiej dwa prądy: jedni, przedewszystkiem biurokraci starego typu, myśleli o rozszerzeniu potęgi austriackiej w stronę Rusi, poczynając Ruś za żywioł politycznie mało wyrobiony, z którym, dzięki temu, każdy rząd da sobie łatwo radę; inni, przeciwnie, obawiając się pierwiastków anarchiczno rewolucyjnych w ruchu rusko-ukraińskim, pragnęli rozciągnąć berło Habsburgów nad Polską, w przypuszczeniu, że właśnie w katolickiej Polsce dynastia znajdzie silne dla siebie oparcie. Ku temu się skłaniał arcyksiążę następca tronu, a popierała go w tem, jak się domyślał Dzieduszycki, magnaterja węgierska, interes państwowy węgierski na widoku mając.

Ale wkrótce wziął górę pierwszy prąd, ku niemu się przechylił następca tronu — i odtąd wojskowi, biurokraci i politycy poczęli wzajemnie się suggestjonować w tym duchu. Pamiętamy hałaśliwe artykuły w „*Danzers Armee Zeitung*“ o pochodzie na Kijów i południowe gubernje, gdzie 30 milionów Ukraińców przywita wojska austriackie, jako wybawicieli swoich! Ani przypuszczali ci panowie, że

nie przywita ich nikt; wierzyli ślepo, bo wierzyć chcieli, wszystkiemu, co im agitatorzy ukraińscy wmawiali. Im zaś bardziej wzmagaly się w rządzie tendencje ukraińskie, tem oczywiście gorzej było ze sprawą polską.

Nie zamarła jednak idea walki orężnej z Rosją, ale przeniosła się do stronnictw radykalnych i w osobie Józefa Piłsudskiego znalazła człowieka, który ją wcielił w czyn.

Nie mogę mówić ani o nim, ani o współpracownikach jego, bo ich nie znałem. Należał do polskiej partji socjalistycznej, do socjalizmu zaś, szczególnie do młodzieży kierunku tego, zrażało mnie jej ciasne fanatyczne sekcjarstwo, paczące w niej najpiękniejszą cechę młodości, ową poezję, którą wysławiał Mickiewicz, „wzlatującą nad poziomy“ i „okiem słońca“ ogarniającą świat. Odpychały mię również metody polemiczne socjalistów i w końcu dziwna obojętność na losy i ucisk polskości pod zaborem pruskim. Naprowadzało to na myśl, że ich patriotyzm nie tyle był miłością ojczyzny, żywem uczuciem związku z całą jej przeszłością, ile nienawiścią caratu, osobistą u każdego z nich żądzą zemsty nad sługami jego, gdyż każdy, kto kiedykolwiek propagandą socjalizmu w Rosji się zajmował, miał swoje własne z władzami porachunki do załatwienia... Praca Piłsudskiego jednak wydała obfity plon nie tylko w obozie jego, ale i poza nim. Gdy w roku 1910 obchodzono w Krakowie święto Grünwaldu, uroczystość ta była wspaniałą manifestacją potęgi uczucia patriotycznego, lecz manifestacją pokojową; charakter miała, mówiąc językiem wojskowym, obronny, nie zaś zaczepny, i rządowi niemieckiemu nie dawała powodu do niepokoju. Minęły trzy lata — i jakżeż inny wygląd przybrała stuletnia rocznica śmierci ks. Józefa, o ileż silniejsze wrażenie wywarł jej obchód pomimo nierównie skromniejszych rozmiarów. Miał on charakter wybitnie wojskowy.

Uczęstniczyły wszystkie organizacje wojskowe i gimnastyczne — strzelcy, sokoli, skauci — w liczbie 4—5 tysięcy. Patrząc zaś na nich, doznawaliśmy wszyscy tego samego uczucia, że jesteśmy na rewji przed bitwą i widzimy przed sobą gotowych do wymarszu żołnierzy, bojowników za ojczyznę i wolność. Potem, w auli Jagiellońskiej jeden ze słuchaczy uniwersytetu, kaleka, który o własnych siłach nie umiał wejść na katedrę, wygłosił natchnioną porywającą mowę i dreszcz po nas przebiegł — mówię o słuchaczach starszych, o sobie i o kolegach

moich — gdy w końcu, w zwrocie do zmarłego wodza i bohatera: „O Wodzu naczelny“ — składał mu w imieniu obecnych przyrzeczenie, że młodzież nie sprzeniewierzy się jego sztandarowi i, gdy bliska godzina wybije, pójdzie krew swoją przelać w imię idei, za którą on poległ. Czuliśmy, że nie było to frazesem, jednym z tych popisów retorycznych, które z nużącą jednostajnością powtarzają się na wszystkich obchodach patriotycznych — ale że szło z głębi duszy i odbijało nastrój, panujący na sali. Mieliśmy przed sobą zjawisko, które trafnie ś. p. Rudolf Starzewski nazwał renesansem patriotycznym; zmartwych powstawały w oczach naszych, głosem wielkim do czynu wzywając, tradycje Kościuszki i ks. Józefa, 1831 i 1863 roku.

Radowała to i zarazem niepokoiło. Wypadki Bałkańskie zapowiadały bliskość wojny, a wojna ta — rozumowaliśmy my, ludzie rozsądni — jeśli na nią patrzeć ze stanowiska wyłącznie polskiego, będzie wojną o zniszczenie Polski, o posiadanie wyłącznego prawa do jej ostatecznego uśmiercenia. Wszak w razie zwycięstwa Niemiec groziła nam bezwzględna germanizacja całego zagarniętego obszaru ziem polskich, zwycięstwo zaś Rosji, pociągało za sobą takąż samą ich rusyfikację, więc poco młodzieży naszej gotować się do walki, poco nieść życie w ofierze, skoro ona będzie tylko walką o zmianę jednych kajdan na drugie? Czyż pozwala na to już nie interes, ale honor polski? Jesteśmy w położeniu najtragiczniejszym, zmuszającym nas albo widzami być w walce, w której rozegrywać się będą losy narodu, albo bezwolnymi narzędziami obcych nam i wrogich sił

Ale przeciw beczynnej, hańbiącej neutralności, za którą się oświadczał zimny rozsądek, powstawał instynkt patriotyczny. I w chwili wybuchu instynkt ten zwyciężył. W Krakowie, we Lwowie nagły entuzjazm ogarnął, jak nam opowiadają, ludzie dotąd dalekich od wszelkiej akcji, krytycznie usposobionych i wątpiących. Nawet na dalekiej Litwie Odezwa Zjednoczonych Stronnictw Galicji, wzywająca do ofiar na legjony, poruszała nie jedno serce, widziałem łzy w oczach ludzi, mocno stojących na gruncie litewsko białoruskiej „tutejszości“; odezwą budziła w nich i wydobywała na wierzch uczucia, o istnieniu których nie wiedzieli.

Słowem, dla wielu stawało się rzeczą jasną, że dusza narodu wcielała się w legjony. Duszą zaś narodu

nazywam te aspiracje, które w stanie nieświadomym, czy półświadomym, spoczywają na dnie każdej duszy i w chwilach stanowczych stają się dźwignią jej najszlachetniejszych poruszeń, wybuchają w natchnieniach wieszczów i myślicieli, w ofiarach bohaterów, w czynach tych, których naród za wodzów swoich uznał.

W III cz. „Dziadów“ Konrad w szale rozpaczcy stawiał pytanie, czy Bóg, którego nas uczą czcić, jako Dobro Najwyższe, nie jest najwyższem złem, i groził Stwórcy swojemu, że go przeklnie słowem *Car*. W groźbie tej wyrażał on najgłębszy w narodzie od czasu upadku ojczyzny instynkt, który zlał w jedno, jako synonimy, pojęcia *car* i *zło*. Instynkt ten stał się treścią duszy narodu, w walce z carem i ideą caryzmu poczuła ona swoje powołanie dziejowe — i uczucie to popchnęło młodzież polską w szeregi legionów.

2.

W celu przeciwdziałania wpływom niepodległościowych i austrofistwem zabarwionych prądów i niewątpliwie też pod naciskiem Anglii i Francji, które pragnęły nadać wojnie charakter walki o sprawiedliwość, rząd rosyjski wydał głośną, przez w. ks. Mikołaja podpisaną odezwę do Polaków, zwiastującą im w poetycznych wyrazach i obrazach spełnienie „świętego marzenia ojców i dziadów“. Był jednak w odezwie rozdzwięk, rażący zgrzytem, który w niejednym zniweczyć mógł wrażenie, jakie ona wywołać zamierzała. Zgrzytem dźwięczyły słowa: „wolność wiary, wolność języka, samorząd“, jako bliższe określenie darów, które zwycięzka Rosja niosła przyszłej, zjednoczonej Polsce. Więc to tylko miało być owem „świętem marzeniem“? Więc za „samouprawienie“ w miastach i gminach szli ojcowie nasi na śmierć i na Sybir? Skąd pochodził ten zgrzyt? Czy z naiwnego egoizmu bogacza, który rzuca grosz ubogiemu z przeświadczeniem, że spełnił wielki akt miłosierdzia, zasługującego na nieskończoną wdzięczność — czy z obłudy, maskującej rusyfikacyjne zamiary słowami, które działają na wyobraźnię i uczucie? Prawdopodobnie jedno zlewało się z drugim.

Bawiąc w owym właśnie czasie t. j. w sierpniu, w Petersburgu, trafiłem wraz ze ś. p. posłem Święcickim na zebranie polityczne u p. Brianczaninowa, poświęcone sprawie Odezwy. Zaproszony do głosu, powiedziałem, że

choć proklamacja, w której „marzeniem świętem” nazwano to, co dotąd poczytywane było za zbrodnię i karane więzieniem, katorgą, śmiercią, poruszyła każde polskie serce, jest w niej jednak sprzeczność wewnętrzna, z której skwapliwie skorzystają wszystkie niechętne nam żywioły i stronnictwa. Opierając się na zapowiedziach wolności wiary i języka oraz „samouprawlenja”, będą mogły z łatwością zredukować do zera obiecane spełnienie naszych najgorętszych pragnień. Przemówienie to streszczono w organie Brianczaninowa „Nowoje Zwienio”, naturalnie, najważniejszy w niem ustęp świeci łysiną. W przeciwieństwie do formy stosunkowo delikatnej, którą ze względów politycznych, sceptycyzmowi swemu nadać musiałem, przedstawiciel radykalizmu rosyjskiego, a wybitny publicysta Wodowozow, nie potrzebując się rachować ze słowami, nazwał rzecz jej imieniem: „Obecny rząd rosyjski — dowodził on — nigdy nic dla Polski nie zrobi, o ile do tego siłą zmuszonym nie będzie. Odezwa jest świadomem oszustwem politycznym, obliczonem na łatwowierność Polaków i na nieznamość stosunków rosyjsko-polskich we Francji i Anglii”.

Pomimo to w Odezwę wierzono. Wierzyli nawet narodowi demokraci. Mówię „nawet”, bo wyznawcami będąc egoizmu narodowego, który zasad moralnych w polityce uwzględniać nie lubi, mogli oni prędzej, niż kto inny, podejrzewać Odezwę o ukryte macchiaweliczne tendencje. A jednak nie byli w stanie przypuścić, ażeby słowa, powołujące się na Krzyż Chrystusowy, „symbol cierpień i zmartwychwstań narodów”, miały być wygłoszone tylko w celu tem łatwiejszego oszukania naiwnych. Przynosi to zaszczyt ich uczciwości politycznej. Jeden z leaderów stronnictwa ze szczerym zapalem wyznawał w rozmowie ze mną, że chciałby się znaleźć na Wawelu w chwili gdy Mikołaj II będzie na głowę swoją wkładał koronę królów polskich. Mówił to pod wrażeniem elektryzującej pogłoski o audjencji członka Rady Państwa, hr. Wielopolskiego u cara, który w sposób niezwykle serdeczny i uroczysty zapewniał go, że jest współautorem Odezwy i przeznaczący się, obiecał, że Polska liczyć na niego może. Nawet Rosjanie nie wątpili, że po słowach nastąpią czyny. Świadczyły o tem kursujące po mieście gawędy. Przypominam, jak w czasie jednej z wizyt moich u p. Brianczaninowa wpadł reporter jego pisma z wiadomością ze sztabu, że lada dzień ma być powołanym do rady Cesarskiej jeden

z Polaków, jako przedstawiciel narodu polskiego, w charakterze ministra bez teki. Tymczasem nadszedł komunikat o rozbiciu armji austriackiej i o zajęciu Lwowa. Wrażenie było potężne. W porównaniu z tym tak niespodzianie szybkim tryumfem, klęskę armji Samsonowa uważano za epizod bez szczególniejszego znaczenia. Potęga Austrii zdawała się złamana — wnoszono stąd, że koniec wojny jest bliski gdyż Niemcy, mimo powodzeń we Francji, nie zdołają stawić długiego oporu sprzymierzonym armjom: francuskiej, angielskiej i belgijskiej. Wszak rachowali, że będą mieli do czynienia tylko z Francją. Wobec tego drażniący Rosję fakt istnienia legionów polskich w Austrii przybierał pozory niebezpieczeństwa dla sprawy polskiej, ułatwiał Rosji wycofanie się z obietnic złożonych w Odezwie. I jakby uprzedzając życzenia biurokracji i stronnictw nacjonalistycznych, W. ks. Mikołaj wydawał rozporządzenie, nakazujące uważać legionistów nie za wojsko regularne, lecz za ruchawkę, czyli wziętych do niewoli rozstrzeliwać. Z tego powodu uchwalono w grupie Polaków, przebywających w Petersburgu, przeważnie posłów, ogłosić w pismach rosyjskich deklarację, bezwzględnie ruch legionowy potępiającą.

Postanowiłem wtedy wystąpić przed Rosją w obronie tego, co ją najbardziej drażniło, wytłumaczyć jej charakter legionów i nasze w tej sprawie stanowisko. Ale któreżby pismo rosyjskie umieściło w owej chwili podobny artykuł? P. Brianczaninow naprzekór swoim namiętnie antyaustriackim uprzedzeniom otworzył mi uprzejmie szpalty swego tygodnika. Zadanie miałem trudne. Musiałem mieć na uwadze tak cenzurę wojenną, jak i drażliwość patriotyczną Rosjan, przedewszystkiem zaś samego redaktora, poza tem należało wynaleźć język zrozumiały dla publiczności, skłonnej do patrzenia na legjony ze stanowiska zdrady Rosji, zdrady idei Słowiańskiej, zdrady idei humanitarnej i Bóg wie czego jeszcze. Więc stanąłem w moim liście otwartym do p. Brianczaninowa na gruncie Odezwy i, umyślnie zapominając o jej sprzeczności wewnętrznej, podniosłem w niej pierwiastek romantyczny, jako jedno z tych wielkich natchnień, które w chwilach stanowczych nawiedzają narody, i w świetle natchnienia tego porównałem obecne położenie Polski z jej stanem przed stu laty. Wówczas nadzieje swoje pokładał naród Polski w osobie Napoleona, dziś Polacy, zwłaszcza w Galicji, związali przyszłość narodu ze sprawą Austrii, ponieważ tylko

w Austrii znalazło życie Polskie po roku 63 możliwość rozwoju. Przed stu laty honor żołnierski i honor polski nakazywał ks. Józefowi nie opuszczać cesarza Francuzów, gdy go wszyscy inni opuszczali, dziś, gdy zachwiała się potęgą monarchy Austrii, a przyjaciela Polaków, tenże honor każe legjonistom wytrwać na posterunku — i, jak car Aleksander w r. 1814, tak dziś Rosja powinna uszanować honor żołnierza—Polaka.

Może kogo raz ten sposób obrony nie uwzględniającej wszystkich momentów sprawy, ale innego nie widziałem, a w chwili gdy Rosja tryumfowała i tylko od jej woli, jak mylnie wielu z nas mniemało, zależnem było rozstrzygnięcie kwestji przyszłości naszej, uważałem za swój obowiązek publicystyczny przemówić w obronie sprawy, poczytywanej za przegraną i wzniecić wśród jednostek szlachetniejszych w społeczeństwie rosyjskiem iskrę sympatji dla patriotyzmu polskiego i dla legjonów, które jego wyrazem były.

Tymczasem rzeczywistość przekonywała coraz wymowniej, że miał słuszość ten, kto pierwszy Odezwę nazwał oszustwem. Królestwo po staremu rusyfikowano, kulturę zaś polską w Galicji zawzięcie niszczone. Oficjalnie nazywało się to, „oswabadzaniem“ — i ze strachem myśleliśmy, że po Lwowie może wkrótce nastąpić „oswobodzenie“ Krakowa. Pojętna biurokracja od razu właściwy cel Odezwy zrozumiała. Pewien wysoki urzędnik w Warszawie serdecznie się śmiał z głupoty Polaków, nie umiejących się domyśleć, że jest tylko jeden człowiek, który może coś dla Polski zrobić — ces. Wilhelm. Gubernator lubelski Sterligów w rozmowie z obywatelem Polakiem lapidarnie określał treść i znaczenie Odezwy słowami: „To wszystko i nic: mojem zdaniem — nic“, czyli — miało to znaczyć — Odezwę można szeroko interpretować w duchu dla Polski przychylnym, ale w rzeczywistości nie daje ona nic, do niczego nie zobowiązuje.

I potwierdzono to u góry. Prezes ministrów Goremykin zabronił używania w prasie wyrazu „autonomja“ w zastosowaniu do Polski, minister zaś Makłakow wydał cyrkularz, wyjaśniający gubernatorom, że odezwa dotyczy tylko Polaków, poddanych Austrii i Prus, czyli, innemi słowy, w Królestwie nie zmieni się nic, Kraków zaś i Poznań po wcieleniu do Rosji korzystać będą z dobrodziejstw polityki uszczęśliwiającej „Prywiślińskij Kraj“. I nie znalazł się nikt w otoczeniu nieszczęśliwego cara, ktoby jemu

wytłómaczył, że cyrkularz taki, wystawiający przed całym narodem polskim monarchę „Wszechrosji“, jako pęspolitego łgarza, był zbrodnią *laesae majestatis* w najzupełniejszem tego słowa znaczeniu, za którą należało zbrodniarza umieścić tam, gdzie go potem rewolucja umieściła, t. j. w więzieniu.

Ale obudzoną w szerokich warstwach społeczeństwa wiarę nie tak łatwo było zachwiać. Jedni nie mądrze liczyli na pomoc Francji i Angji, które na przyszłym kongresie miały się za nami ująć, inni łudzili się, że w. ks. Mikołaj jest człowiekiem honoru i nie dopuści, żeby rząd rosyjski nie spełnił tego, co on podpisem swoim i słowem żołnierskiem zagwarantował. Jako objaw tej wiary w Rosję i koalicję, powstała myśl tworzenia ochotniczych druzyn polskich przy armji rosyjskiej. Ponieważ jednak wykonania jej podjęli się ludzie nieznani i nie budzący zaufania, więc zapewne upadłaby wkrótce dla braku poparcia, gdyby nie wzięło jej w ręce swoje stronnictwo N. D. pod wpływem człowieka wybitnego i niezaprzeczenie dobrej wiary, Zygmunta Balickiego. Ale przy najlepszych chęciach i gorącym patriotyzmie człowiek ten był typowym doktrynerem. Poznałem go w Genewie w końcu 1883 roku. Imponował nam wiedzą i zdolnościami, na zebraniach naszych studenckich zabierał głos często, mówił długo i wymownie, nigdy jednak nie umiałem dobrze uchwycić związku między teorią, którą rozwijał, a sprawą praktyczną, która była przedmiotem roztrząsania. To samo stwierdziłem we 20 lat później, gdyśmy się spotykali w Krakowie na posiedzeniach i dyskusjach „Związku literackiego“.

Doszedłszy z biegiem lat do przekonania, że jedynym rzeczywistym, bo niebezpiecznym wrogiem Polski jest germanizm, począł Balicki stąd po doktrynersku wyciągać wszystkie konsekwencje, aż droga ta doprowadziła go do idei legionów polskich w Rosji. Ale wolno było trzymać się rosyjskiej czy koalicyjnej orientacji i za nieszczęście uważać istnienie legionów w Austrii, lecz, skoro one istniały, nie wolno było przeciwko nim nowe formować legjony, tem samem stwarzać nową wojnę domową i nową grozą powiększać tragedję Polski. Czyż nie wystarczało to, że zabijaliśmy się wzajemnie z musu?... I o co miały walczyć legjony? O rusyfikację Polski, o wcielenie przyszłej gubernji Krakowskiej do „Prywiślińskiego Kraju“? Wszak po cyrkularzach Goremykina i Maklakowa musiało

to być rzeczą jasną dla ludzi politycznie myślących. Zbrodnią więc w niepoczytalnym doktrynerskim zaślepieniu popełnioną był ów pomysł, zbrodnią przeciw młodzieży polskiej. Zbalaamucona szła w szeregi — i dopiero tam, zbyt późno, niejeden się spostrzegał, że wpadł w pułapkę, z której wyjścia nie było. Opowiadano o samobójstwach, o dezercjach i o wieszaniu złapanych dezertów; „dusiłiśmy się w tej atmosferze“ — pisze jeden z legionistów, wyznając, iż rozumieli, że oszukał ich rząd.

Wojska rosyjskie zajmowały w ciągu kilku miesięcy Tarnów, odległy od Krakowa o 80 kilometrów. I jeśli kiedy, to wówczas, gdy starej stolicy królów groziło zajęcie i wraz z niem rządy dzięki biurokracji, nawet najbardziej uprzedzeni do legionów powinni byli uznać, że miały one swoją rację bytu, choćby w tem jednym tylko, że walczyły w obronie ostatniego zakątka ziemi polskiej, gdzie wolno było po polsku czuć i myśleć.

Wezwany w lutym 1915 r. do Moskwy przez rosyjskie Towarzystwo religijno-filozoficzne dla wygłoszenia odczytu o uczuciu religijnem w Polsce powiedziałem otwarcie i wyrażnie wobec przepelnionej sali, że tej młodzieży polskiej, którą znam najlepiej, i która najbliższą mi jest duchem, bo ideę patriotyczną skojarzyła z ideą odrodzenia duchowego i religijnego, sumienie polskie niezawodnie w chwili obecnej nakazało piersią własną bronić jedyne, po upadku Lwowa, swobodnego ogniska kultury polskiej. Oczywiście w druku słowa te zostały odpowiednio złagodzone.

W maju tegoż roku byłem w Warszawie. Odczułem głębokie, a powszechne zniechęcenie i przygnębienie. Znamienne słyszałem wyznanie z ust jednego z bardzo poważnych przedstawicieli stronnictwa realistów: „Na początku wojny — mówił — szczególnie po Odezwie ^{9/10} Warszawy z zapalem stanęło po stronie Rosji, i ^{1/10} tylko niechętnie na zapal ten patrzyła; dziś jest odwrotnie: ^{9/10} wy-
czekuje Niemców, reszta się chwije“. Z tonu zaś, jakim to oświadczał, rozumiałem, że sam siebie do owych ^{9/10} zaliczał. Nie dziw, że w takiej atmosferze z goryczą i oburzeniem mówiono o twórcach legionów. a raczej drużyn, z żalem — o nieszczęśliwych ofiarach tej polityki; legionistów nazywano „Prywiślinskimi kozakami“. W tragicznej historii narodu w czasie wielkiej wojny, ten szczegół jest chyba najtragiczniejszy.

3.

Akt z dnia 5 listopada dowiódł, że idea Piłsudskiego, choć ją potępiał ów trzeźwy rozsądek, co nigdy i w niczem ryzykować nie chce, miała źródło swoje w trafnym instynkcie patriotycznym. Zdawało się to fikcją, która tylko w rozgorączkowanym mózgu powstać mogła, że w strasliwym położeniu, w jakim naród nasz w czasie wojny się znalazł, jedyną poważną reprezentacją jego miała być nieliczna jakaś ochotnicza i pod sztandarem nieistniejącego państwa polskiego walcząca armja, nie zaś ci zawodowi politycy, co z trybun parlamentarnych, lub w salach audjencyjnych zapewniają o lojalności swojej rządu, od których są zależni — jednak bieg zdarzeń fikcję tę przeistoczył w rzeczywistość. Po dwóch latach krwawych trudów i daremnych wyczekiwań zniechęcenie ogarniało legionistów i ich wodzów. Piłsudski wnosił podanie o dymisję, za przykładem jego szli inni, legjony miały się rozwiązać — i pod groźbą tego moralnego dla państw centralnych ciosu, zrobiły one krok stanowczy i niepodległość Polski została ogłoszoną.

Gdyby jednak w ciągu dwuletnich wałk swoich legjony innego, poza społeczeństwem polkiem, oparcia, jak w sztabie austriackim, nie znalazły, kto wie czy usiłowania ich doznałyby jakiegokolwiek powodzenia. Ale, dając wyraz czynnemu udziałowi narodu polskiego w walce z czeratem, zbliżyły one do sprawy naszej potęgę, która w monarchji Habsburgów stanowiła czynnik energiczny, świadomy celów swoich, wpływowy i w niejednym wypadku decydujący. Mam na myśli naród Madjarski.

Położenie polityczne Madjarów korzystnem nie jest; to samo co u nas; są wyspą otoczoną narodami obcymi, a dostępu do morza nie posiadają. Nie mogąc równocześnie na dwa fronty walczyć, musieli wyjaśnić sobie, kto dla nich jest wrogiem groźniejszym: pangermanizm czy panslawizm. Mając bezpośrednio pod sobą, w obrębie swego państwa kilka milionów Słowaków, Serbów, i Rusinów, oraz autonomiczną Kroację, a z obawy przed wysuwającą pansłowiańskie hasła i zaborczą potęgą carów, która ich zgłuszyła w r. 1849, zawarli przymierze z germanizmem. Wskutek tego oni, tak pełni wygórowanego poczucia godności i dumy narodowej, zesłali do niepochlebnej dla siebie roli pionierów kultury niemieckiej na bałkańskim Wschodzie, łatwo zaś było przewidzieć, że ta

ich moralna, jako narodu małego, zależność od Niemiec, mogła przy stosownych okolicznościach przejść w zależność faktyczną.

Wobec tego, patrzący w dalszą przyszłość rozum polityczny, doradzał inną kombinację, opartą na przyjacielskim stosunku z narodami, które historia też między obydwoma kolosami państwowymi rzuciła, jako wspólny łup z jednej strony dla wszechpotęgi niemieckiej, oświeconej szaleństwem panowania nad światem, z drugiej, — dla niemniej dzikiego, a nie o wiele mniej groźnego caratu. W położeniu tem był przedewszystkiem naród polski, potem inne narody słowiańskie, które oczywiście nie z tęsknoty za rusyfikacją akcentowały rusofilstwo swoje, lecz jako postrach dla germanizmu i madjaryzmu — wreszcie Rumunja.

W wycieczkach moich z Krakowa na południe słowiańskie zawadzając nieraz o Budapeszt, starałem się poznawać wodzów politycznych narodu madjarskiego i w rozmowach z nimi myśl powyższą poruszałem. Oddźwięku nie budziła ani w rządowym, ani nawet w opozycyjnych stronnictwach. Stosunek Madjarów do germanizmu był odwrotny, niż u nas, czyli wielka niechęć do Austrii, natomiast nietylko sympatja, ale uwielbienie dla Prus. Byli pod hypnozą Bismarcka i pruskich metod germanizacyjnych, które pilnie naśladować usiłowali. W warstwach niższych i średnich żywą jeszcze była tradycja braterstwa broni z Polakami w r. 1849, lecz u góry, wśród tych, co polityką kierowali, sprawa nasza obchodziła ich tyle, co sprawy południowo amerykańskich republik. „Bądźcie cierpliwi — pocieszał mnie znany publicysta i członek Izby Panów — nas jest teraz dwanaście milionów, gdy dorostniemy do 30-tu milionów, wówczas Polska będzie wolną”. A miało się to stać prędko; mówił serjo, wierzył święcie w cuda, których dokonać miała kopjowana z wzorów pruskich polityka madjaryzacyjna.

Myśl jednak moja, choć przedwczesna, utopijną nie była. Logika historii torowała jej drogę. I już w latach ostatnich skrajna opozycja parlamentarna, dążąc do jak najdalej posuniętego uniezależnienia od Austrii, dostrzegła pierwsza, że germanizm jest także niebezpieczeństwem. Jeden z głośnych mówców w stronnictwie tem, hr. Teodor Batthiany, gwałtownie politykę rządu krytykując, zaczął ją także w zakresie kwestji narodowościowej. Rok przed wojną miałem z nim dłuższą rozmowę. Stosunek jego do

narodowości nie madjarskich żywo mi przypomniął stosunek liberałów rosyjskich do kwestji polskiej. Błędy, nawet grzechy przeciw słowianom uznawał, potrzebę naprawy również, ale odkładał to na później, w obec spraw nierównie pilniejszych, pomiędzy którymi najpilniejszą było zwalenie rządów hr. Tiszy. „Bierzecie do serca—mówił—skargi waszych pobratymców, słowiańskich i słusznie: lecz czemuż nie żałujecie też nas rodowitych Madjarów? Jesteśmy niemniej, niż oni, przez klikę rządzącą prześladowani, poniżani; więc tę klikę przedewszystkiem rozpedzić musimy, a słowianie wasi odetchną wówczas swobodniej: konstytucja węgierska jest liberalna, naród zaś nasz nie ma upodobania w uciskaniu innych narodów“. Zdawało mi się, że słyszę Maklakowa, czy Milukowa.

Dopiero wojna otworzyła oczy na niebezpieczeństwo niemieckie całemu. jak sądzimy, narodowi madjarskiemu. Armja austro-węgierska doskonale wyćwiczona, karna i uzbrojona, z oficerami, którzy się rwali do wojny, ufając geniuszowi swego szefa sztabu jen. Conrada, została rozbita odrazu i na obu frontach: rosyjskim i serbskim — i długo musieli Austriacy czekać na pomoc niemiecką, dzięki której mogli zmusić Rosjan do odwrotu z Galicji i po raz drugi zagarnąć Serbję. Lecz pomoc ta czyniła Austriję jeszcze ściślej zależną od Niemiec, przeistaczając ją w państwo niemal wasalne. Ciosu takiego nie mogli znieść dumni Madjarowie, musieli pomyśleć o wzmocnieniu stanowiska swego, oraz państwa, którego część stanowili. I tem tłumaczymy nagły ich zwrot do ignorowanej przed tem Polski. W legjonach mieli świadectwo żywotności i energii patriotyzmu polskiego, poculi w Polsce sprzymierzeńca, z pomocą którego mogliby w przyszłości przeciwważyć nacisk germanizmu, i zapragnęli Polski albo zupełnie niepodległej, albo, lepiej jeszcze, złączonej za jej własną zgodą z Węgrami i Austriją pod berłem Habsburgów. Sprawdzał się domysł Wojciecha Dzeduszyckiego.

4.

Pierwszy z Węgrów, o ile wiemy, począł myśleć o przywróceniu niepodległego państwa polskiego piórem i słowem szerzyć hr. Juljusz Andrassy. Przedstawił ją we „Frankfurter Zeitung“ na początku wojny. I w epoce, gdy

jedni mówili o podziale ziem polskich między Niemcami i Austrią, inni o condominium, inni wreszcie—o zwróceniu ich Rosji, on nadał kwestji polskiej znaczenie pierwszorzędne: „Gdybyśmy się nie odważyli—pisał—zbliżyć do tego narodu, który nie jest bezwzględny i nieprzyjacielem naszym i gdybyśmy go dla siebie nie pozyskali, byłoby wprost zbrodnią poświęcać życie tylu tysięcy ludzi“. Ale sprawę naszą traktował realistycznie, bez sentymentu dla niej i dla nas. „Oddać Polskę Rosji—rozumował—to ją zrazić na wieki do siebie i pchnąć w objęcie idei panslawistycznej; stworzenie Polski niepodległej ze wszystkich trzech zaborów jest niemożliwe, bo nie pozwolą na to Prusy, dla których prowincje polskie stanowią warunek i podstawę ich potęgi; Polska niepodległa, lecz złożona tylko z ziem odebranych Rosji, wywołałaby irredentę polską w Galicji i Poznaniu i z natury rzeczy grawitowałaby ku Rosji; pozostaje przyłączenie Polski do jednego z mocarstw centralnych z zapewnieniem jej samodzielnego państwowego bytu, który „da jej siłę oporu przeciw wabikom rosyjskim lub ewentualnym napaściom“. Ze tem mocarstwem ma być Austrija, wypływało to ze słów autora, choć nie chciał tego wyraźnie powiedzieć. Sprawę polską poruszał następnie i kilkakrotnie w sejmie węgierskim. W jednej z mów swoich wygłosił obawę że „jeśli Polaków nie zadowolimy i naród polski, wzmocniwszy się na stanowisku słowiańskiej solidarności z Rosją, zwróci się przeciwko nam, to zginęliśmy, wymazani będziemy z mapy Europy“.*)

Hr. Andrassy w poglądzie swoim na kwestję polską był politykiem zimnym i zarazem jednostronnym, bo nie uwzględniającym jej związku z kwestją słowiańską w państwie Węgierskiem. W tymże duchu napisał swój list otwarty do „Wiadomości Polskich“ w Wiedniu profesor prawa państwowego w Budapeszcie Karol Kinyety. Ale ten listu był ciepły. Oświadczwszy, że byłoby pożądanem takie rozwiązanie, któreby odpowiadało życzeniu całego narodu polskiego, dodawał, że z radością, w razie zgody ze strony polskiej, patrzyłby na koronę polską, zdobiącą tę samą głowę na której błyszczy korona Św. Stefana—z radością witałby przeobrażenie monarchji w Austro-Węgiersko-Polską z równorzędną samodzielnością wszystkich

*) Cytujemy według gazety rosyjskiej „Podolanin“ z 2-go września 1916 roku.

trzech państw, bo—„tryjalizm ten wzmocniłby nasze wielkomocarstwowe stanowisko“.

Poglądy zaś hr. Audrassy'ego i prof. Kiny'ty'ego były zgodne z programem Koła polskiego w Wiedniu. Świadczy o tem *exposé* prezesa Bilińskiego z dn. 3 i 4 października 1916 roku. W tym samym kierunku szedł minister spraw zagranicznych, też Madjar, baron Burian, i w urzędowyistnieniu myśli tej widział, jak się wyrażał Biliński, swoje posłannictwo polityczne.

Niestety w programie tym nie było mowy o Poznaniu: Koło polskie milczało w poczuciu bolesnej bezsilności wobec potęgi Pruskiej.

Hr. Tisza w odpowiedziach swoich na interpelacje posłów, choć powściągliwy z urzędu, dobitnie jednak podkreślać musiał sympatje węgierskie dla Polski, bo musiał się liczyć z opinią powszechną. Uczucie braterstwa z Polską było obudzone, poruszyły się szerokie warstwy narodu i, sprawę polską uznawszy za swoją własną, żądały przez reprezentacje komitatów czyli powiatów, przywrócenia niepodległej Polski i domagały się poparcia tego przez sejm i przez rząd. „Sprawa narodu Polskiego — mówił z tego powodu hr. Tisza — jest rzeczą, która w każdym wolności miłującym człowieku budzi najgłębsze sympatje, z podwójną zaś siłą w narodzie węgierskim“. W każdym czynniku węgierskiego życia publicznego znajduje ona „kongenjalną atmosferę“ i w poczuciu tego rząd otacza ją „pełną rozumienia opieką, poczytując za obowiązek zrobić dla niej wszystko, co jest w granicach możliwości“. Ale mówiąc to, już wiedział, że, zrazu przychylnie przyjęty w Berlinie, plan węgierski był odrzucony, jako niezgodny z życzeniami społeczeństwa niemieckiego,—więc stosownie do tego w półurzędowym „Budapesti Hirlap“ dowodzono, że „Polska stanowi za duży obszar z obcą ludnością, ażeby państwa centralne czuły chęć do przyłączenia go do siebie, natomiast szczęśliwie zorganizowane Królestwo Polskie i tron byłyby wpływowym czynnikiem w obliczeniu przyszych stosunków i sił w Europie“.

Nie potrzebowali kierować się podług wiatru z Berlina opozycjoniści i wyraziciele rzeczywistej woli narodu p. Ugron i hr. Teodor Batthiany. Obaj na wrześniowych posiedzeniach sejmu 1916 roku, w mowach gorących „w formie ostrej i jednostronnej krytyki“, jak się skarżył, odpowiadając im, hr. Tisza, podnosili konieczność uznania i spełnienia „słusznych żądań polskich“, Batthiany zaś,

kładąc kropki nad i, poruszał groźne dla Węgier dążenia pangermanizmu i zarazem wymagał stworzenia *fait accompli* w stosunku do Polski, zaraz, bez względu na ostateczny wynik wojny. Chciał Polski zjednoczonej i niepodległej. „Państwo Polskie — wołał — z 20 milionami mieszkańców, zawdzięczające wolność naszym narodom i naszym rządóm, będzie chyba stało przy nas, jako nasz wdzięczny i wierny sprzymierzeniec.“

Życzeniu temu nie stało się zadość. Pomimo to akt z 5 Listopada radośnie powitany został przez Węgry, jako ów *fait accompli*, którego pragnął Batthianyī, jako pierwszy i nie dający się odwołać krok ku spełnieniu wielkiego dzieła. Z tego powodu obchodzony był świątecznie. Prymas węgierski odśpiewał uroczyste *Te Deum*, młodzież urządzała szumne manifestacje.

Od aktu państw centralnych do urzeczywistnienia naszego ideału droga była daleką — i tem dalszą się wydawała, im głębiej braliśmy do serca losy ziem polskich pod panowaniem pruskim zostających. Niemniej jednak na drodze tej ów akt był naszą pierwszą poważną zdobyczą. A zawdzięczamy ją krwawym wysiłkom legjonów Piłsudskiego. Znalazły one oddźwięk w narodzie węgierskim, który w chwili stosownej umiał je poprzeć energiczną akcją. Na wielkiej widowni świata w czasie wojny obecnej legjony były rzeczywistą reprezentacją narodu, która nie słowem, lecz krwią prawo Polski do bytu afirmowała. Bez legjonów nie mielibyśmy aktu o niepodległości; bez aktu i tego pchnięcia, które on sprawie naszej dał, pierwszy rewolucyjny rząd rosyjski nie zwróciłby się do nas z deklaracją, uznającą niepodległość naszą; wystarczałaby ze stanowiska jego interesów obietnica autonomji. I dopiero, dzięki owej deklaracji Milukowa i Kiereńskiego, zrozumiano w państwach Ententy, że Polski nie stanowią krzykacze w rodzaju jakiegoś Andrzeja Niemojewskiego, czy Nowaczyńskiego i że nie jest ona tylko prowincją rosyjską, domagającą się „samouprawdolenia“; domyślono się, że naród polski inaczej traktować należy, niż jako masę etnograficzną, dla której wystarczyłoby przyłączenie „gubernji“ Krakowskiej do „Priwislińskiego kraju“. Dobrze ktoś powiedział, że Piłsudski spełniał rolę Garibaldiego w Polsce, ale nie znaleźliśmy i nie mamy dotąd polskiego Cavour'a.

Raków pod Mińskiem, w maju 1917 roku.

CZĘŚĆ DRUGA.

WOJNA
REWOLUCJA A POLITYKA
CHRZEŚCJAŃSKA



I.

Mickiewicz, Mereżkowski i rewolucja rosyjska.

1.

Wieszczę natchnienia, które twórczość poetów naszych i myślicieli zapalały, przeszły przez świat bez śladu, były zaś w takiej sprzeczności z całym biegiem dziejów współczesnych, że my sami zwątpiliśmy o nich i, przestawszy w nich szukać pobudek i wskazań do czynu, podziwialiśmy, jako źródło estetycznej rozkoszy, pojącej się pierwistkami piękna, zawartego w duszy polskiej.

Tem głębiej porusza nas dziś głos największego w chwili obecnej pisarza rosyjskiego. „Jedna jest tylko — woła Mereżkowski*) — droga do prawdy, to droga Krzyża; naród polski szedł najbardziej krzyżową ze wszystkich krzyżowych dróg” — i wieszczowi jego danem było widzieć rzeczy, które my dopiero teraz widzimy, i dojrzeć ukrytą w nich myśl wyższą. Świadczą o tem Wykłady słowiańskie Mickiewicza. Przeczytał je Mereżkowski w nowem, francuskiem wydaniu z roku 1914. Widocznie nie znał przed tem, lub prawie nie znał poezji naszej i literatury; nie znając, lekceważył. Wykłady niespodzianie otworzyły przed zdumionem jego okiem nowy nie przeczuwany świat: „Nie, to nie wykłady, to modlitwy, wołania, widzenia, proroctwa! proroctwa te szereg długich lat przeleżały zapomniane w księdze, zamkniętej na siedem pieczęci; dziś się spełniają — i spełniają się w większej

*) Słowa Mereżkowskiego streszczam.

mierze, niż to sam prorok przypuszczał; poza gromami nadzwyczajnych wydarzeń słyszymy jego głos i rozumieć zaczynamy, że słowa te nie były majaczeniem obłąkanego; ach, czemu nie rozumieliśmy tego przed tem“.

Mickiewicz przepowiedział dzisiejsze starcie się dwóch światów, dwóch kultur: jednej, stworzonej przez suchy racjonalizm niemiecki, drugiej, płonącej świętym ogniem entuzjazmu Polskę i Francję cechującego. Tę myśl wieszcza Mereżkowski przyjął i ją w artykule o ukrzyżowanym narodzie polskim rozwinął*). Prometeusz — pisze on — który wykradł ogień z nieba i twórcą jest i pierwowzorem kultury prawdziwej i wiedzy żywej, płynącej z *intuicji*, walczy z bratem swoim, niemcem Epimeteuszem, pierwowzorem kultury martwej, bo opartej na *racjonalizmie*, bezdusznie mechanicznej, nie oświetlonej blaskiem wyższego świata.

2.

Dzisiejsi filozofujący o wojnie pisarze francuzcy i włoscy, upatrując, zgodnie z Mickiewiczem i Mereżkovskim, w obu zmagających się obecnie ze sobą światach wcielenia dwóch przeciwnych pierwiastków — uczucia i rozumu — odwrócili role. Francja i Włochy mają, według nich, uosabiać trzeźwy i jasny rozum, germanizm zaś to nieobliczalna uczuciowość i rozwichrzony intuicjonizm. Więc kto ma słuszość? Oni, czy wsparty o Mickiewicza Mereżkowski.

Intuicja jest wyrazem natchnienia, natchnienie bierze moc z uczucia — i Niemcy, twierdzi prof. Ernest Denis**), jako naród przedewszystkiem sentymentalny, przeistaczają podszepty uczucia i wołania namiętności w aksjomaty, nie dopuszczające żadnej dyskusji. Oni nie dowodzą, lecz „wieszczą, nie widzą konieczności nietylko uzasadnienia, ale nawet jasnego określenia tego, co myślą, czują i chcą“. Powodzenia i zdobycze wojenne, rozrost przemysłu i handlu, bogactwo, świadomość własnych organizacyjnych zdolności upoiły ich. W egzaltacji upojenia poczul się — mówi A. Chevrillon — narodem — twórcą kultury doskonałej, jedynej, „narzędziem Boga, wcieleniem

*) W „Ruskiem Słowie“ w 1917 roku.

**) W książce „La guerre“. Streściłem ją w rozprawie „Antyromantyzm i antygermanizm“ („Myśl Narodowa“, 1916, № 3).

wyższem Jego twórczej energii; oni są Bogiem, pracującym w świecie, duchem, który rozbija formy starzejące się, lub martwe, aby je przetwarzać w nowe życie“... „W imię tego, ich powinnością — nienawidzieć, zwalczać lub pożerać wszystko, co im jest obce lub słabsze“... *) „Przeciwnik — dodaje do tego Włoch Pareti — nie jest dla nich wrogiem tylko, to wykięty heretyk, to pohaniec, to winny *laesae majestatis* bluźnierca świętej *die Kultur*“... **). I jedną z zasadniczych może pobudek, które popchnęły Niemcy do wywołania najstraszniejszej, jaką świat widział, wojny, był według dr. Gustawa Le Bon, ich mistycyzm, mistyczna wiara we własną wyższość, dzięki której mają oni niepodzielne prawo „wyzyskać świat cały dla własnej korzyści, zdobywszy go wprzód“***). W tem przeświadczeniu wychowywali ich najwięksi ich historycy: Treitschke, Lamprecht; tę myśl wymownie w dziełach swoich przeprowadza najgorętszy dziś apostoł pan-germanizmu, zniemczony Anglik, H. S. Chamberlain, który nie wstydził się wyrazić żalu swojego, że w przeszłości naród niemiecki nie dość radykalnie tam, gdzie sięgało jego zwyciężkie ramię, wytępiał wrogie sobie żywioły i że wskutek tego dopuścił podły latynizm do rozciągnięcia zabójczego wpływu swego nad szeregiem narodów, pozbawionych dobrodziejstwa zbawiennej germanizacji****).

Podobnież dla Wilhelma Ferrero wojna była przeniesioną z pogodnej widowni literatury na pole krwawych zapasów odwieczną walką romantyzmu z klasycyzmem, czyli germańskiego zmysłu nieskończoności z łacińskim zmysłem miary. Podłoże zaś tej walki tkwi zbyt głęboko, ażeby ją można było brać za jakieś nawiasowe zdanie w okresie i miemać, że po wojnie nastąpi kongres, a po kongresie rzeczy wrócą do dawnego trybu i popłyną wypróbowanym prądem, który się przerwał w dniu 25 lipca 1914 roku, gdy Austria wystąpiła z ultimatum swoim do Serbji. Nie, prąd historii, runąwszy w przepaść, gdy wyjdzie znowu na powierzchnię, popłynie w innym kierunku i inny mieć będzie wygląd; wstrząśnienia i cierpienia, przez nas w przewrotach obecnych przeżywane, są wielkiem samobójstwem cywilizacji, po którem nowa cywilizacja,

*) Cytuję według Gustawa Le Bon „Les enseignements psychologiques de la guerre europeenne“ 1916, (por. str. 122).

) ib. str. 123. *) ib. str. 116.

****) W „Die Grundlagen des 19 Jahrhunderts“.

nowy porządek przybierze formy bardzo odmienne od tych, co kataklizm dzisiejszy wywołały.

Kataklizmu tego podłoże duchowe rozebrał Ferrero w książce swojej (*La guerre Européenne*), powtarzając w niej i uzupełniając już przedtem w *Tra due mondi* wyłożony pogląd, że cechę znamioną cywilizacji naszej tak w jej ideologii, jak i w praktyce, stanowi doprowadzone do absurdu zwycięstwo pierwiastka ilościowego nad jakościowym: „jakość ustępuje miejsca ilości, ilość zaś bezskutecznie usiłuje przeistoczyć się w jakość“, co znaczy, że świat cały „Europa i Ameryka, poprzestawszy, zgodnie z prawem mniejszego oporu, na najprostszym, najłatwiejszym i najgrubszym, t. j. na wyłącznie ilościowym określeniu postępu, utożsamiły go ze wzrostem bogactwa i udoskonaleniem maszyn, które je produkują“. Bogactwo zaś, czyli potęgę materialną czyniąc miarą postępu, tracimy wrażliwość na jakościowe przymioty rzeczy, na różnicę między dobrem a złem, między pięknem a brzydotą; stajemy się obojętni względem ideałów doskonałości artystycznej, moralnej i religijnej, które czcili przodkowie nasi; sztukę i moralność, religję nawet podporządkowujemy wówczas z konieczności, fabrykowaniu coraz nowych maszyn, odkrywaniu coraz nowych kopalni i rozszerzaniu powierzchni obszarów uprawnych. Warunkiem bogactwa kraju są żelazo i węgiel. Żelaza mają Niemcy dużo; pod względem zaś węgla, zajmują pierwsze miejsce w Europie; jedno i drugie umieli znakomicie wyzyskać; gdyby zaś zdołali zapewnić sobie na zawsze posiadanie obfitujących w żelazo i węgiel, departamentów Francji wraz z Belgją i Luksemburgiem, staliby się panami całego przemysłu żelaznego i wszystkich od niego zależnych przemysłów mechanicznych w Europie. Francja i Włochy znalazłyby się w zależności ekonomicznej od Niemiec, marynarka obu państw przestałaby istnieć, cesarstwo Niemieckie dyktowałoby prawa światu. (str. 129—136).

Na ludzkość całą spadałaby klęska jedna z największych, jakie się dadzą pomyśleć. Niemcy bowiem zaszli najdalej w kwantytawnym t. j. ilościowym ujęciu postępu i rozwinęli wszystkie tego konsekwencje. Niema narodu na świecie — woła Ferrero — któryby z większym zapamiętaniem wystawiał, jako obowiązek, niemal jako bohaterstwo, zarabianie i wydawanie, pracę i używanie; niema narodu, któryby się bardziej chełpił z tego, że myślą i czynem przekroczył wszystkie szanowane dotąd przez człowieka gra-

nice, więc nietylko te, które uświęciła powaga tradycji, lecz takie nawet, które stawia zdrowy rozsądek w przymierzu ze zmysłem moralnym i wstydlivością (str. 98).

Gromadzenie bogactw nazywają praktycznością, ale mniemana praktyczność epoki naszej niczem innym nie jest, jak grubym aż do obrzydliwości mistycyzmem (s. 275), mistycznym kultem siły. Postęp, który czcimy, to potworne bóstwo o dwóch obliczach, nauczające ludzi, jak mają się stawać coraz potężniejszymi i coraz straszliwymi, jak mają łączyć rozum z okrucieństwem (s. 275). Prawda, zakładaliśmy szkoły, biblioteki, szpitale, ale zarazem powiększaliśmy armje i myśl ludzka wysilała się w wymyślaniu coraz doskonalszych narzędzi niszczenia. Czyż postęp w obu tych dziedzinach jednakiej jest wartości? Odpowiedź twierdząca byłaby postawieniem Boga i diabła na jednym ołtarzu, odpowiedź przecząca wymagałaby rozwiązania armji, daleko idących zmian w ustroju państw, gruntownego przerobienia mapy Europy. I Europa nie powiedziała ani *tak*, ani *nie* i poddała się „furji mnożenia bogactwa i potęgi człowieka bez rozróżniania między potęgą, która tworzy, a tą, która niszczy“. Armje wzrastać poczęły nie dla tego, że epoka nasza dążyła do wszechświatowej wojny, żywiąc jakieś samobójcze względem samej siebie zamiary, ale że się nie znalazła „żadna siła, ani polityczna, ani moralna, zdolna postawić tamę konkurencji zbrojeń“ (s. 304). Podobnie — w innej dziedzinie — wytwarzając alkohol, pchaliśmy pokolenia całe w przepaść upadku moralnego i zwyrodnienia nie przez wyrafinowaną jakąś perwersję, lecz w imię potrzeb przemysłu i handlu, które nie znają i znać nie chcą wymagań zdrowia ciała i ducha — innemi słowy, w imię kwantytatywnie pojętego postępu.

W tem zaś wszystkim Niemcy wszystkich prześcignęli. To naród „hyperboliczny“, nieustannie przez żywiołową rozpasaną energję porywany ku przedsięwzięciom, które i rozum i moralność i religja zgodnie potępiają. Romantyzm przeniósł on ze sfery poezji i filozofji w sferę brutalnej woli potęgi (*Wille zur Macht*). Ten nieudyscyplinowany w marzeniu i pożądaniu romantyzm skojarzy z przedziwną dyscypliną polityczną, z tą militaryzacją intelektualną, nad którą niedawno tak wymownie ubolewał w *Au dessus de la mêlée* rozczarowany przyjaciel narodu niemieckiego, Roman Rolland, a będziemy mieli źródło wywołanej przez Niemcy wojny.

3.

Ferrero, E. Denis, Chevrillon, Le Bon, używając, gdy mówią o Niemcach, wyrazów *sentymentalizm*, *mistycyzm*, *romantyzm*, zwykli niemi określać uczucie upojenia potęgą swoją i wielkością, połączone z zacieklą jakąś napaśliwością w stosunku do innych. Z drugiej strony, Mereżkowski, piętnując, zgodnie z Mickiewiczem, suchy racjonalizm duszy niemieckiej, więc coś zupełnie odmiennego, miał jednak na myśli to samo, co Ferrero, t. j. wynikający z romantycznego samoubóstwienia egoizm, który kieruje się tylko zimną rachubą, a niezdolnym jest do wielkodusznych porywów. Słowem, sprzeczność w obu poglądach na duchowy podkład wojny jest tylko pozorna; pochodzi z nadawania tym samym wyrazom rozmaitych znaczeń, co w sporach litetackich i naukowych należało zawsze i należy, niestety, dotąd do zjawisk pospolitych. Tłumacząc myśl Mickiewicza i Mereżkowskiego na język antyromantyków francuskich i niemieckich, t. j. określając romantyzm, jako przewagę wyobraźni i uczucia nad rozumem, powiedzielibyśmy, że Niemcy uosabiają romantyzm w niższej jego postaci, czyli wyobraźnię obrazami *ziemskiej* potęgi i chwały zapaloną. W takim razie romantyzm polski (czy polsko-słowiański) byłby supraromantyzmem, ulatującym w sferę *nadziemskiego* ideału Królestwa Bożego, aby go na ziemię przenieść; ducha zaś Francji, potężnej zasobem entuzjazmu, a stojącej na gruncie rozumu, t. j. idei jasnych i wykonalnych, możnaby oznaczyć mianem racjonalizmu entuzjastycznego.

Mickiewicz brał racjonalizm negatywnie, jako antytezę uczucia, ale tego, którem płonął on, „największy z czujących na ziemi“, — uczucia, które „za miliony kocha i cierpi katusze“ i ogniem świętej miłości zapalając, daje żywą intuicję Prawdy i moc jej realizowania. Ale nie będąc Mickiewiczem i nie znając owych szczytów duchowych, na które jasnowidząca miłość unosi, można przecie być i romantykiem, i intuicjonistą, czyli posiadać zmysł nieskończoności, czuć niedostateczność rzeczy ziemskich, zrywać się do walki z ograniczeniami, które świat krępuje człowieka, usiłować granice możliwości rozsunać. Wszystko to było żywe i nie mogło niem nie być w duszy narodu niemieckiego, który dał światu największych mistrzów w tych obu sferach twórczości, co są bezpośrednim wylewem nieskończonych tęsknień ducha — w mu-

zyce i w metafizyce — lecz wszystko to szło w parze z głęboką świadomością, że *das Dort ist nimmer hier*.

Skoro zaś świat ideału ma istnieć tylko w niedościgłym marzeniu, więc daremną jest rzeczą chcieć, jak Mickiewicz, *stworzyć* nowy, wyższy świat; poprzestańmy na powolnem *przetwarzaniu* tego, który mamy przed sobą; szukajmy w nim rzeczy bliskich marzeniu naszemu i w tych odbiciach dalekiego ideału czerpmy otuchę do żmudnej pracy powszedniej; oto nastrój idealistyczny Niemca. Stąd płynie dążność do idealizowania rzeczywistości, że zaś rzeczą w niej najwyższą jest człowiek, więc kult człowieka, kult ducha ludzkiego staje się treścią niemieckiego idealizmu.

Wieczną zaś chwałę jego stanowić będzie to, że chwałę człowieka ujrzał on w rzeczy najnudniejszej, najprozaiczniejszej, najmniej nadającej się do idealizowania, a pomimo to niezbędnej i zasadniczej — w uczuciu i spełnianiu powinności. Powinność jest kamieniem węgielnym życia, zarówno indywidualnego, jak i społecznego; w imperatywie powinności, w sumieniu, streszcza się najwewnętrzniejsze *Ja* człowieka. Na afirmacji powinności budował największy mistrz myśli niemieckiej, Kant, swój system filozoficzny; śladem jego idąc, wysławiał Fichte powinność, jako cel człowieka i cel światat. I choć niedługo potem Schelling pod wpływem poetów romantyków ogłaszał w młodzieńczych pismach swoją intuicję artystyczną, jako najwyższy objaw ducha, ale wnet go poprawiał Hegel, na miejscu intuicji stawiając myśl. Istotę świata tłumaczył, jako stopniowy rozwój zawartej w nim myśli, szukającej dla siebie coraz doskonalszych kształtów, ostatnie zaś słowo myśli tej w dziedzinie praktycznej uznawał w państwie. Pomimo różnic, które ich dzieliły, wszyscy czterej — Kant, Fichte, Schelling i Hegel — wspólnie zmierzali ku idealizacji kultury. Moralną jej podstawą jest powinność (Kant i Fichte); wykwitem — sztuka i nauka (Schelling i Hegel); rękojmnią ładu, ułatwiającego pełnienie rozmaitych jej celów — państwo (Hegel). Kultura jest obrazem Boga w historii, przez nią, t. j. przez kulturę Bóg dochodzi do poznania siebie, objawia się samemu sobie i objawia się światu.

Ale idealizacja kultury, czyli ducha ludzkiego, który jest duchem Bożym, logicznie prowadziła do uwielbiania jednostek wyższych, bo one, nie zaś szary tłum, tworzą kulturę — i do rozróżnień między narodami mniej i więcej

do pracy kulturalnej uzdolnionemi — słowem, do kultu nadludzi i nadnarodów, do Nietzscheizmu, do uznania woli potęgi za najszlachetniejszą pobudkę do czynu, a potęgę materialnej, państwowej — za cel najwyższy. I w pychę narodowego samoubóstwienia wpadły w końcu Niemcy. Sprzyjały temu ich tryumfy militarne i polityczne, które znowu zawdzięczali w niemałej mierze wychowawczemu działaniu swoich wielkich filozofów powinności.

4.

W epoce Mickiewicza nie było jeszcze mowy ani o nadnarodach, ani tem bardziej o *Wille zur Macht*. Nauka Mickiewicza, wspólnie z całym mesjanizmem polskim, wykluczała samą możliwość podobnych wniosków. Ona zwiastowała trzecią, wyższą epokę, nowy wybuch chrześcijaństwa, po którym prawo Chrystusowe ze sfery życia prywatnego przejdzie do stosunków społecznych i międzynarodowych, a panowanie jednych narodów nad drugimi zastąpionem będzie przez harmonję ich współpracy, oświeclonej ideą Królestwa Bożego. Szczególne w urzeczywistnieniu owej wyższej epoki nadając znaczenie Polsce i Francji, opierał to Mickiewicz nie na mądrości ziemskiej i nie na sile zewnętrznej, ale na głębi uczucia religijnego, na oczyszczającej mocy cierpienia, przez które przeszła Polska — i na skarbach entuzjazmu złożonych w duszy Francji. Mocno na gruncie powszechności chrześcijańskiej t. j. Kościoła powszechnego stojąc, tem samem odrzucił on zarówno indywidualizm religijny, którego kresem — ubóstwienie człowieka, jak i religijny nacjonalizm, którego kresem — ubóstwienie narodu. Zdaje się przeczyć temu zestawianie męczeństwa Polski z ofiarą Chrystusową, ale ziemskiego pierwiastka pychy w tem nie było — rozumie to Mereżkowski i zrozumiał rosyjski tłumacz i komentator *Ksiąg Pielgrzymstwa* *) A. K. Winogradow, słusznie twierdząc, że zbyt ściśle połączył był Mickiewicz ideę narodu i ojczyzny z ideą Miasta Bożego, aby mógł zejść na manowce nienawiści i egoizmu narodowego, Podnosząc „Chrystusowość“ Polski, tem surowszym stawał się poeta względem ojczyzny.

I dla tego — mówi Mereżkowski — prawdziwym prokiem posłannictwa Słowiańszczyzny jest Mickiewicz, nie

*) Wyszły w 1917 roku w Moskwie, w ozdobnem wydaniu.

zaś Tolstoj i nie Dostojewski. Tolstoj, potępiając patryjotyzm, zamiast harmonji narodów głosił beznarodowość, Dostojewski zaś, choć pięknie rozprawiał o „wszechczłowieczeństwie” Rosjanina, czyli o umiejętności rozumienia i wczuwania się w dusze innych narodów, ale rozumiał to tak, że, aby być „wszechczłowiekiem”, trzeba wprzód przedzierzgnąć się w prawosławnego Rosjanina. I panrusycyzm czy panslawizm jego i wogóle wszystkich słowianofilów rosyjskich jest „przełożonym na język rosyjski pangermanizmem”.

Natomiast uderzyło Mereżkowskiego pokrewieństwo myśli Mickiewicza z rosyjskiem szukaniem Boga (bogoiskanie). Niespodzianie, nie wiedząc o sobie, wieszcz polski i ci Rosjanie, których głód rzeczy boskich zadreślał, idąc z rozmaitych końców świata, lecz kierując się według tych samych gwiazd przewodnich, zeszli się w tem samym miejscu. Ale na czem owo rosyjskie szukanie Boga polega, gdzie i jak się objawiło? — „Odbiciem jego jest rewolucja” — nie wątpię, znając Mereżkowskiego, że takby odpowiedział na początku 1917 roku na pytanie nasze.

I istotnie, wstrząśnieni byliśmy, nawet olśnieni przebiegiem rewolucji. Pomimo rozlewów krwi i niewinnych ofiar, które każdemu przewrotowi towarzyszą, „rewolucja — powiedział o niej Kiereński — zadziwiła świat szybkością swoją, a teraz zadziwić go powinna wielkodusznością”. I niejednemu zdawało się, że słowa te nie były frazesem; sprawdzały się pod wielu względami. Finlandji przywrócono jej prawa; niepodległość Polski — uznano; ograniczenia wyznaniowe i narodowościowe — zniesiono i zniesiono również karę śmierci.

Gdyśmy dawniej skargi nasze na Rosję przed Rosjanami wytaczali, oni nam mieli za złe — najlepsi nawet, Ks. Eugenjusz Trubecki, Berdiajew, — że winy rządu zwalaliśmy na naród, zrozumieć nie chcąc, że rząd a naród to dwa bieguny, to czarny djabeł i świetlany anioł. Naiwność twierdzenia tego irytowała mnie i dawałem temu wyraz w rozprawie o Berdiajewie*). Wszak rząd rosyjski — dowodziłem — nie składa się z obcych najeźdźców, lecz w ogromnej większości z rodowitych Rosjan — i ci sami ludzie, którzy dziś są narodem, mogą jutro być rządem i odwrotnie”.

Owo mniemane przeciwieństwo, o którym tyle mówiono w Rosji, było w istocie swojej walką w duszy rosyj-

*) Por. „Wpływy rosyjskie na duszę polską” (Kraków, 1920).

skiej jej słowiańsko-azjatyckiego podkładu z bizantyńsko-niemieckimi naleciałościami. A oczywiście, im dalej od rządu, tem wyraźniejszym się stawało owo słowiańsko-azjatyckie dno, gdy przeciwnie, w rządzie samym tradycje potężnych wpływów bizantyńskiego kultu dla monarchy oraz niemieckiej państwowości zacierały lub asymilowały oporność rodzimego żywiołu. Pojęcie słowiańskości wiążemy z pojęciem demokratyzmu, gminowładczych dążeń, którym jest wstrętą idea centralizacji państwowej i które, świadomie, czy nie, kierują się ku anarchizmowi; z domieszką zaś Azji czyli pierwiastków ugrofińskich i mongolskich, które tak znaczny miały udział w wytworzeniu etnograficznego typu rosyjskiego, niewątpliwie weszła w głąb duszy rosyjskiej azjatycka bierna kontemplacyjność, zapatrzona w nieskończoność wszechbytu, przejęta marnością ziemi i życia, szukająca wyższej prawdy religijnej). Jedno i drugie — słowiańska anarchiczność i azjatycka bierność — podatnym były gruntem na działanie obcych państwowo-twórczych sił. Państwo ruskie stworzyli Waregowie, kształtowało się przez szereg wieków na wzorach bizantyńskich i poniekąd tatarskich, aż w końcu Piotr, przezwany Wielkim, ścisnął je w żelaznych ramach biurokratyzmu według modły niemieckiej i na razie przez rosyjskich Niemców stosowanej. Rewolucja dzisiejsza to wybuch słowiańsko-azjatyckich pierwiastków, znoszący bizantyńsko-niemiecką politykę,

Ideologję rewolucyjności dali w połowie wieku zeszłego Hercen i Bakunin. Rysem, wyróżniającym ją wśród wszystkich innych ideologji rewolucyjnych, jest jej *bezwzględność* w negacji całego istniejącego porządku rzeczy, bezwzględność, którą Hercen malowniczo określił, wyrażając się, że Rosjanin stoi wobec Europy na *tamtym brzegu*. Nic go z Europą nie wiąże, między nią, a Rosją, historia wykopała przepaść: „przeszłość narodów europejskich jest dla nas tylko nauką, niczem więcej; nie poczytujemy się wcale za wykonawców ich testamentu dziejowego“. Nie dość tego; w stosunku do własnej przeszłości czuje się Rosjanin równie niezawisłym, bo „cóż stanowi punkt wyjścia do dziejów nowożytnych Rosji, jeśli nie negacja narodowości i tradycji“?.. Ostatnia zaś, Petersburska epoka, „ten piąty akt dramatu, odgrywanego się w domu publicznym, dał nam prawo do zrzucenia wszystkich więzów!“... Więc „niech żyje chaos i zniszczenie, vive la mort!“..

Wpierw wszystko zniszczyć, dopiero potem do nowego budowania się zabrać.

Negację tę uszlachetnił za dni naszych wielki spadkobierca Hercena, Lew Tołstoj, wyrzucając z niej hasła niszczycielskie, wzywające do gwałtu nad starym porządkiem, a usiłując ją rozwinąć na gruncie Ewangelii. Lecz Ewangelię biorąc za punkt wyjścia, wysnuwał z niej wnioski tak sprzeczne z życiem, którem w ciągu stuleci żył i żyje dotąd świat chrześcijański, że chrześcijaństwo jego stawało się raczej buddyzmem w szacie chrześcijańskiej. Chrześcijaństwo nie zrywa absolutnie z ziemią, uznaje realność życia doczesnego i modli się o przyjście Królestwa Bożego. Dla buddysty, przeciwnie, życie, każde życie, jest snem ciężkim, ucieczka od życia, nirwana — celem, budownictwo — rzeczą zbyteczną — i, jako odbicie religijno-filozoficznej nirwany, wkracza w sferę idei polityczno-społecznych anarchizmu. Anarchizmu apostołem był Tołstoj.

Rewolucja poruszyła sprawę naszą. Odezwa Rządu Tymczasowego, zwiastująca Polskę wolną, niepodległą i zjednoczoną, nie była naturalnie rządu tego pomysłem. Z ministrów, co ją podpisali, tylko jeden Kiereński jeszcze przed wojną za niepodległość naszą się oświadczał. Z kolegów zaś jego Guczkow rozgłos swój i wziętość zawdzięczał temu, że na Zjeździe Ziemskim w r. 1905 on jeden z pośród przedstawicieli Rosji liberalnej zaprotestował, w imię centralizmu państwowego, przeciw uchwaleniu autonomji polskiej; Milukow zwykł występować, jako gorliwy propagator imperjalistycznych dążeń Rosji. Włodzimierz Lwow, ober-prokurator Synodu, należał w Dumie do frakcji najbardziej dla nas wrogiej. Z ich stanowiska wyrzekać się Polski i wyrzekać się każdej innej zdobyczy, gdy jeszcze jest cień nadziei utrzymania przy sobie choćby małego jej skrawka, byłoby zbrodnią wobec państwa rosyjskiego... Odezwę napisano i podpisano pod działaniem i naciskiem atmosfery, którą nagle wytworzyła rewolucja. Odezwa była darem Rosji buddyjskiej, aktem buddyzmu politycznego, szlachetnej buddyjsko tołstojowskiej pogardy względem polityki i jej hasel nacjonalistycznych i imperjalistycznych, które doprowadziły państwa dzisiejsze do masowego obłędu. Jako wyznawca filozofji pesymistycznej, wierzący w dobroczynną jej moc w łagodzeniu rozhukanych namiętności narodów, stronnictw i jednostek, tem gorącej Odezwy witałem z całą świadomością wyraz *buddyzm*, nie zaś *chrześcijaństwo*, do niej stosując; buddyjską z ducha była w ide-

alnych pobudkach swoich, gdyż buddyzm, jako negacja zła, radykalniejszym jest od chrześcijaństwa, które marząc o naprawie świata, ustawicznie z tego powodu wchodzić musi w kompromisy z mrocznymi jego potęgami. W odezwie kompromisu nie było; uczciwie i wyraźnie zrzekała się Polski, zamiast jej obiecywać wszelkie możliwe dobrodziejstwa pod warunkiem, że zostanie pod opieką Rosji.

Alte buddyzm, czy pesymizm, stanowi siłę tylko łagodzącą zło bytu, twórczym nie jest i sam przez się nie stworzyłby ruchu, który zwałił potęgę caratu. I drugim, obok Azji, czynnikiem rewolucji rosyjskiej był słowiański anarchiczny demokratyzm, który w swej walce ze straszliwym uciskiem despotyzmu przybierał na mocy prawa reakcji formy maksymalistyczne, wychowany jednak w czci dla cara i instyktowo potrzebujący nowego przedmiotu czci, zamiast cara postawił chłopą na ołtarzu. Przeczut to jeszcze Hercen. Aristokrata z pochodzenia, wychowania i przyzwyczajęń, nielitościwie kult ten wydrwił, choć sam w tym kierunku popychał. W jednym z pism swoich przedstawił swoje własne dzieci z ducha, rewolucjonistów rosyjskich, bijących czołem przed kozuchem baraním: „Kozuchu barani! Kozuchu Boski! Kozuchu absolutny“. A „kozuch“ pomimo rozmaitych cennych przymiotów swoich przejęty jest przedewszystkiem potrzebą najpilniejszą, t. j. ziemi. I „ziemia“ stała się hasłem rewolucji rosyjskiej. W jej organach krańcowych od pierwszego jej dnia czytamy wzywania do konfiskaty całej większej własności ziemskiej, nie przewidujące w swej *sancta simplicitas*, że ograbienie kilkuset czy kilku tysięcy ziemian majątniejszych, choć wywróci podstawy moralne społeczeństwa, jednak nie zachwieje kapitalizmu, owszem, wzmocni potęgę „Lewiatana“. Imieniem *Lewiatan* nazywał Wojciech Dzierżyński wszechwładny kapitalizm, ściślej, klikę miljarderów rządzącą światem i, gdy to interesom jej potrzebne jest, urządzającą wojny, rewolucje, królobójstwa, powstania. Zwycięstwo hasła maksymalistycznych łatwo było przewidzieć już na samym początku wojny.

Duchowego pokrewieństwa z Mickiewiczem w maksymalizmie rewolucyjnym nie było. Mickiewicz duszą całą szukał prawdy i Boga i duszą całą trzymał się powszechnego katolickiego Kościoła, głęboko cierpiąc, gdy ci, co nim kierowali, w niezgodzie byli z wysokością powołania swego. Pierwsze, t. j. szukanie prawdy Bożej łączy go ze wszystkimi, „którzy łakną i pragną sprawiedliwości“, gdzie-

kolwiek oni są, więc i z rewolucją rosyjską w jej najsłabszych objawach. W drugim zaś, t. j. w przejęciu się ideą posłannictwa Kościoła zbliżają się do Mickiewicza tylko ci bardzo nieliczni w obozie rewolucyjnym, którzy wyraz *bogoiskanie* biorąc w zastosowaniu do rewolucjonizmu nie metaforystycznie, lecz realnie, chcieli powiązać ze sobą pojęcia rewolucji, religii i powszechności kościelnej i w ten sposób łagodzić wywrotowy maksymalizm. Do takich należał Mereżkowski. Wyraził on to w niejasnej (i nie Mickiewiczowskiej) formule, że nie wolno dawać ludowi ziemi bez Boga, ale i nie wolno iść do niego z Bogiem bez ziemi...

5.

Rewolucja rosyjska stanowi najdonioślejsze z następstw toczącej się wojny i potwierdza przypuszczenie tych, co od początku zrozumieli, że po takim starciu się narodów świat nie wróci do dawnego porządku. Nastąpił—czytamy w książce Ferrero—kataklizm cywilizacji, która się z tego pyszniła, że wyzwoliła energję człowieka z pęt, co ją krępowały w epokach poprzednich; wyzwoliwszy jednak, nie umiała jej powściągnąć w dniu, gdy ją porwał szal niszcycielstwa; cywilizacja ta, wyczerpawszy trzy pokolenia w olbrzymich wysiłkach pracy twórczej, niszczy teraz pokolenie czwarte wraz ze wszystkimi jego bogactwami, bo nie umiała zachować miary ani w godziwych, ani w niegodziwych rzeczach (str. 288). Ale co pomogą rozpaczliwe nawoływania do opamiętania się i pokoju, skoro źli Niemcy nie chcą się uznać za pobitych i, upokorzywszy się, przyjąć pokój na warunkach, jakie im narzucone będą! Więc „prowadzić wojnę aż do końca, aż do ostatecznego zmiażdżenia potęgi niemieckiej, aż do chwili, w której padnie od kuli koalicyjnej ostatni, zdolny do broni Niemiec“ w tem błędnem kole zamknęli się filozofowie wojny obecnej, ulegli obłudnej autosuggestji, której poddaje się każdy wojujący naród, że moja sprawa jest sprawą Boga, mój zaś przeciwnik jest łotrem bez czci i wiary.

Z obłudy tej i z błędnego koła, w której ona zamyka, ułatwił wyjście upadek caratu. Jego związek z innemi państwami koalicji był związkiem przeciwnym naturze, mimo to i Anglja i Francja prześcigały się w wysławianiu wspaniałomyślności rządu carskiego i wspaniałomyślnie carowi całą zjednoczoną Polskę ofiarowywały, nie pytając

o to zdania Polaków. Dopiero, gdy potężny sojusznik niespodzianie padł, dochodzić poczęły stamtąd cenne wyznanie, że „sojusz z Rosją carską — jak pisał Bernard Shaw — uważany był w sferach liberalnych Anglii za hańbę, wśród konserwatystów — za sprawę mocno nieprzyjemną”... „Czuliśmy ciągły strach, że Hohenzollernowie mogą stworzyć z Polski niezawisłe królestwo, a potem zwrócić się do nas wobec całego świata z wyzwaniem: czy odbierzecie niezawisłość Polsce i ją oddacie napowrót pod władzę Romanowów”.

6.

Mereżkowski, ażeby dostosować do dni naszych myśli Mickiewicza o antagonizmie między niemieckim racjonalizmem, a polską i francuską uczuciową intuicyjnością, myśl tę rozszerzył i wojnę obecną ujął, jako walkę świata słowiańskiego i anglo-romańskiego ze światem germańskim. Czy słusznie? O przeciwieństwach w świecie słowiańskim między Polską a Rosją mówiono i my mówiliśmy nieraz i obszernie. Przeciwieństwa nurtujące świat anglo-romański mniejszemi nie są. Nie stanowi on jednolitej całości. Trzeźwo kupiecki rozum Anglii nie daje się pogodzić z entuzjazmem i zapałem do wielkich idei, który Mickiewicz w narodzie francuskim uwielbiał. Jest rzeczka pouczająca zestawień kult dla Anglii, który objął państwa koalicji pod wpływem wdzięczności za udzieloną pomoc, z surowym o tejże Anglii sądem, wygłoszonym przed laty 20-u przez jednego z najwybitniejszych myślicieli francuskich i głębokiego badacza porównawczej psychologii narodów, Alfreda Fouillee *). „Kult dla Anglii — pisał on — nie jest kultem cnoty, lecz kultem potęgi i bogactwa angielskiego”... Te zaś bogactwa rozrosły się dzięki pozycji geograficznej, która spowodowała to, że Anglik wcześniej od innych narodów zrozumiał, iż „lepiej jest handlować, niż wojować i rabować”, wskutek tego „wielki naród angielski wzniosł na wysokość kultu religijnego cześć dla złota”. Nic w tem nowego nie było, stare to jest, jak świat, ale — ironicznie dodawał Fouillee — „jeśli bogacze byli zawsze i wszędzie przedmiotem czci, to nie zawsze i nie wszędzie czczono samą miłość bogactwa”...

*) W „Races latines” — w *Revue des deux mondes*, 1899, grudzień.

„Wyżej, niż majątek, ceniono szlachetność urodzenia i pozycję towarzyską, talent, cnotę, świętość“. Miłość złota pociągnęła za sobą tryumf moralności utylitarnej: „Utylitaryzm — oto znamię najcharakterystyczniejsze ducha anglo-saksońskiego“. Dobrze i to jest, lecz trudno to uwielbiać bez zastrzeżeń. Narody utylitarne mają oczywiście wielkie awantaże w stosunkach z innymi narodami, ale czy mamy zachwycać się nad tem i wzory z tego dla siebie brać? Wielki Tocqueville naiwnie się dziwił, że „sprawa, której powodzenie jest potrzebne dla Anglii, jest w oczach Anglika zawsze sprawą sprawiedliwości... „We Francji — dodawał on w liście do pani Grote — często popełnialiśmy w polityce rzeczy niesprawiedliwe, lecz niesprawiedliwości ich nie zasłaniała przed nami ich użyteczność; niekiedy korzystaliśmy nawet z usług łotrów, łotrostwa ich jednak nie nazywaliśmy cnotą“!... Z zasady, że interes Anglii jest miarą sprawiedliwości, płynęła bezwzględność polityki angielskiej wobec wszystkiego, co jej na drodze stało: „twarda i bezlitośna w tłumieniu buntów, obojętna na cierpienia i skargi tych, nad którymi panowała“... „ona doprowadziła Indje do głodu, ona siłą pięści zmusiła Chiny do tolerowania wwozu opium“... „Niby to wielcy koloniści na zewnątrz, nie zaznali oni powodzenia w Irlandji, a mieli czoło wystawić hasło: *„it is no felony to kill an Irishman“*“.

Antagonizm Anglii i Niemiec w dziedzinie przemysłu i handlu oddawna wisiał nad Europą — i zamiar zniszczenia niebezpiecznego konkurenta przykryła Anglja szumnem hasłem opieki nad małymi narodami. Czy wszystkie narody mają jednaki z kapitałem i przemysłem angielskim interes w wyrzuceniu wyrobów niemieckich z rynku świata — pytania tego nie rozwiązują. Wolę sięgnąć w bliższą myśli mojej sferę *duchowej* przyszłości świata. Mieli słuszność ci, co od początku twierdzili, że po wojnie nastąpić musi okres wielkich reform społecznych. Rewolucja rosyjska stała się ich zwiastunem. Ale światem rządzą idee. Jakież idee przyświecać będą owym reformom i wogóle duchowemu rozwojowi ludzkości?

Znany oryginał, a świetny umysł i najgłębszy u nas znawca filozofji starożytnej, ś. p. X. prof. Stefan Pawlicki, zwykł był dyskusje z uczniami i przyjaciółmi kończyć swym *caeterum censeo*, że wrócić należy do mędrców starożytnych, czytać Platona, Cyserona, Senekę — Senekę przede wszystkim — i w tym celu zapomnianą łacinę

i grekę znowu sobie przypomnieć. Z wysokości swego Olimpu spoglądał on na kierunki myśli nowoczesnej, widząc w nich odbicia tylko — nic więcej — zagadnień, które poruszały świat grecki i w systemach Platona i Arystotelesa swoje najgłębsze rozwiązania znajdowały. Ale co uczony polski półzartem, półserjo zalecał, to całkiem serjo propaguje Ferrero. Zmysł miary cechował cywilizację starożytną, i one jedne — dowodzi on — umiały wstrzymywać człowieka od popełniania zbyt niebezpiecznych lub zbyt wielkich nadgoręczności: „Mnożenie bogactw, wiedzy i potęgi stanowi o postępie tylko w takim razie, gdy z bogactwa tego, wiedzy i potęgi robimy użytek szlachetniejszy, rozumniejszy, lepszy, niż nasi poprzednicy; chcąc zaś poprzedników tych wyprzedzić i przewyższyć, powinniśmy za punkt wyjścia brać nie samych siebie, lecz przekazane przez nich idee, uczucia i zasady, ażeby je godzić z temi, któreśmy sami stworzyli. (s. 292).

Ten powrót do starożytności, jako lekarstwa na biedy, trapiące ludzkość, Ferrero z zapalem i widoczną wiarą w zbawienność rady swojej głosił przed wojną, w *Tra due mondi*. To samo głosi i teraz, ale zdaje się, że zachwiał się nieco w poglądzie swoim pod wrażeniem ogromu niedoli i grozy spustoszeń, przez wojnę czynionych. Mędracy Grecji i Rzymu nie są już dziś dla niego czarodziejami, zdolnymi leczyć wszelkie dolegliwości ducha, które bieg dziejów niesie — i jakby zapytując, czy nie warto religii przywołać na pomoc, postawił on obok nich, jako nauczycieli ludzkości, św. Tomasza i św. Augustyna.

Ale ani filozofja starożytna z Platonem i Arystotelesem, ani filozofja chrześcijańska w tej postaci, jaką jej Augustyn i Tomasz z Akwinu nadawali, nie zbawią dzisiejszego świata. Obie bowiem brały świat, jako wyraz idei, dziś zaś daremnie w nim idei szukamy, zwątpiliśmy o możliwości wykrycia jej. Cywilizacja, która ubóstwiała człowieka w potęgę jego myśli i woli i potęgę tę z kultem złota skojarzyła, — która wskutek tego, zamiast powściągać, wynosiła pod niebiosa ambicję, chciwość, zuchwałość i pychę, — która, pijana żądzą potęgi i złota, państwa i narody rzuciła w wir wojny wszystkich przeciw wszystkim i samą siebie wyniszcza w samobójczym szale — cywilizacja ta głosem wielkim świadczy o bankructwie rozumu, który ją tworzył, i świadczy zarazem przeciw filozofjom, afirmującym obecność rozumnej myśli w świecie.

Ferrero marzy o jakiejś trzeciej, wyższej cywilizacji, w którejby się zlały pierwiastki obu poprzednich: starożytnej i naszej. Nic dotąd nie widzimy, co by tego rodzaju syntezę zapowiadało. Natomiast poza chrześcijaństwem i poza Grecją dostrzegamy zarysowujący się trzeci czynnik kultury duchowej, którego odbicie dała nam filozofia Schopenhauera. Jej źródła leżą w myśli indyjskiej. Filozofia ta, przedstawiająca świat, jako wyraz ślepej, bezrozumnej woli życia, jest filozofią irracjonalistyczną i, jako taka, jest pesymistyczną. Ale pesymizm, stwierdzający wszechpotęgę zła, staje się podniecią do heroicznej walki ze wszystkimi złem i mocami świata. I w tym znaczeniu brał pesymizm Ryszard Wagner, kreśląc prorocze, jak sądzimy, słowa, że przyjdzie czas, gdy Schopenhauer „stanie się normą myślenia naszego“. Nie przez kontemplację *rozumnego* ładu w świecie (tego w nim niema), lecz przez walkę z *bezrozumem* jego wznosimy się w pesymizmie do idei Boga, która jest żywą świadomością naszego z Nim współpracownictwa; Boga ujmujemy wtedy nie statycznie, lecz dynamicznie, t. j. jako Życie nie ustające i twórcze. Tem samem pogłębia się i uwewnętrznia uczucie religijne. Walcząc ze złem, „nie pytamy — pisze X. Jerzy Tyrrell — jaki będzie wynik tej walki, wierzymy natomiast, że tak czyniąc, jesteśmy w zgodzie z Tym, który wszystko widzi“. Irracjonalizm jest w najgłębszej treści swojej negacją ekskluzywizmu, będącego nieodstępnym towarzyszem wszystkich racjonalistycznych filozofii, które są wszystkie despotyczne, bo despotą jest rozum. Wyklucza przeto irracjonalizm największą plagę ludzkości, fanatyzm, wszelki fanatyzm, zarówno w religii, jak i w polityce; irracjonalizm jest tolerancyjny, jest bezwzględny wrogiem wszystkich imperjalizmów i nacjonalizmów, które katastrofę, w której świat dzisiejszy ginie, sprowadziły.

W bezrozumnym, na wieczyste cierpienie skazanym świecie rzeczy doczesnych żaden nowy wybuch chrześcijaństwa nie przeobrazi ziemi w raj. Niestety, płonem było wielkie marzenie Mickiewicza. Ale możemy życzyć, ażeby w epoce, u progu której stoimy, zwyciężyły w sferze idei religijnych i filozoficznych, które nadadzą jej ton, kierunki irracjonalistyczne. One jedne zdołają uszlachetnić hasło braterstwa, bez którego hasła wolności i równości są dźwiękami bez treści.

Raków pod Mińskiem; Kwiecień 1917 roku.



II.

Fr. W. Förster.

Od wielu, wielu lat czytaliśmy w gazetach i książkach, słyszeliśmy z ust ludzi, zastanawiających się nad zagadnieniami polityki, etyki, socjologii, że żyjemy w epoce przełomowej. W końcu stało się to komunałem — i każdy zapytać mógł, kiedyż ten przełom się skończy i czy nie każda epoka jest przełomową. Aż dożyliśmy teraz już nie do epoki, ale do chwili rzeczywistego, wielkiego dziejowego przełomu. W miarę przeciągania się wojny stawało się rzeczą jasną, że nie mogła ona zakończyć się tem, czem dotąd kończyły się wojny wszystkie, t. j. traktatem, mocą którego zwyciężeni zobowiązywali się do wypłaty kontrybucji i do ustąpienia części posiadłości swoich szczęśliwym zwycięzcom, po czem wszystko wracało do dawnego przedwojennego porządku. Po przejściu kataklizmu, jednego z największych w historii, ów dawny porządek, w którym żyliśmy w przededniu wybuchu, t. j. dnia 31 lipca 1914 roku, już wrócić nie mógł.

I widzimy, że nie wrócił. Widzimy więcej jeszcze; stwierdzamy słuszność poglądu hr. Czernin'a, który w zakończeniu do książki swojej o wojnie pisał, że choć tak długa i tak straszna, ta wielka wojna światowa (*Weltkrieg*) była tylko krótkim wstępem do wielkiej światowej rewolucji (*Weltrevolution*).

Gdy, zrzućwszy Kiereńskiego w końcu października 1917 roku, t. zw. bolszewicy zagarniali władzę w swoje ręce, uważaliśmy to — tam, w Rosji — za krótki przejściowy epizod; niektórzy z nas cieszyli się nawet, bo miało to świadczyć, że wrzód rewolucyjny już nabrzmiał, że za tem

wkrótce pęknie. Ktoż mógł przypuszczać, że dwóch krzaczki demagogów, że Lenin i Trocki, których poczytywano za nieobliczalnych szaleńców, zdolają nietylko Rosji narzucić swoją wolę, ale że po upływie niespełna lat trzech premier potężnej Angli publicznie, w parlamencie, płaszczyć się będzie przed ich wysłannikami. O zdolnościach organizatorskich wodzów bolszewizmu, o ich demonicznej sile woli nie wiadano, zapominano zaś, że mieli w rękę oręż, którego żadna moc nie skruszy. Tym orężem — idea. Nie wojownicy i nie dyplomaci, ale idee rządzą światem. Na sztandarze zaś swoim bolszewizm wypisał realizację kolektywistycznego ustroju pod dyktando proletariatu, czyli to, co ostatniem było słowem dokonywającej się, od czasów rewolucji francuskiej, demokratyzacji świata. Wprawdzie, ostatnie słowo w rozwoju idei często oznacza doprowadzenie jej do absurdu, ale absurd ma w sobie siłę zaraźliwą, zwłaszcza w stosunku do tłumu impulsywnego i nie rezonującego — i trwać i panować może długo. Prawo logicznej konsekwencji jest nieubłagane; żadna idea nie zejdzie z widowni świata, dopóki nie wyczerpie całej zawartości swojej, ze wszystkimi jej skutkami.

Oczywiście, bolszewicki absurd miał za sobą nie samych fanatyków i zaślepieńców; były jednostki bardzo uświadomione, które w bolszewizmie widziały nie cel, lecz tylko środek do swych własnych ambitnych, daleko sięgających celów. Ale tłum nie odróżniał jednych od drugich, dawał się porywać hasłom, ci zaś, co ponad tłum cokolwiek urosli, nie byli zdolni do walki z demokratyzmem w jego bolszewickiej szacie, sami bowiem, wyznając i głosząc demokrację, tylko w innych, nieco łagodniejszych odmianach, albo czuli ukrytą słabość do bolszewizmu i walki z nim nie chcieli, albo, jeśli chcieli, jeśli pojmowali grozę burzy, niosącej zagładę światu z całą jego kulturą, to nie wiedzieli, z czem przeciwko niej iść.

To ostatnie więcej, niż do Rosji, stosuje się do Europy. Publicysta francuski Recouly, który się przysłuchiwał obradom w Spa w lipcu 1920 roku, wynosił z tamtąd wrażenie, że w owej chwili w psychice angielskiego premiera nad wszystkim dominował strach przed bolszewizmem*). Ale strach uniżony, czółgający się strach

* Por. „Revue d. d. m.” 1920 sierpień.

podłością jest, nie ideą. Ideę zwalczać można tylko ideą. Niestety, daremnie jej szukamy na Zachodzie, w Anglii, we Francji. Tam, zwłaszcza we Francji, ludzie nie przyszli jeszcze do siebie po wojnie. Pobili i zdeptali Niemcy, a drżą przed niemi, we śnie i na jawie widzą przed sobą pruskiego grenadjera — i obawiają się bolszewizmu, nie jako rewolucji, niszczącej pracę wieków, ale że z jej pomocą mógłby powstać z grobu powalony militarizm niemiecki. Poczucie konieczności oparcia się o wyższy jakiś pryncyp, o ideę, która, zapalając serce i umysły, powstrzymałaby świat od grożącej mu katastrofy, znaleźliśmy dotąd tylko w Niemczech, w pismach prof. Förstera. Nie śmiemy faktu tego uogólniać, nie twierdzimy, że Niemcy są już na drodze do odrodzenia moralnego, przypominamy jednak, że idea, że, mówiąc wyraźniej, filozofja wyprowadziła na początku wieku zeszłego naród niemiecki z poniżenia i upadku i dała mu zapal i moc do stworzenia wielkiej siły materialnej i moralnej, która złamała, a przynajmniej w znacznej mierze przyczyniła się do złamania potęgę Napoleona.

1.

W r. 1806 wielki Napoleon nie tylko pokonał, ale zmiążdżył Prusy; mógł, nawet zamierzał państwo to wykasować z mapy Europy; jeśli tego nie uczynił, to przez uprzejmość dla cara Aleksandra, którego względy potrzebne mu były do dalszych planów; Aleksander zaś wstawiał się za Prusami pod urokiem wdzięku pięknej królowej Luizy...

I właśnie wówczas, w dobie największego poniżenia Prus i Niemiec, wykladał filozofję zrazu w Jenie, potem w Berlinie, Jan Gottlieb Fichte. Dziwaczna była to filozofja; na niejednym robić mogła wrażenie fantasmagorji, nie filozofji; zdawała się zaprzeczać rzeczywistemu istnieniu całego świata zewnętrznego, pomimo, że o rzeczywistości jego tak głośno świadczył huk dział, od których waliła się budowa Frydryka II.

Jedyną pewnością — nauczał — jest *jaźń*, moje *Ja*, a istotę mego *Ja* stanowi rozbrzmiewający w sumieniu głos powinności; ten zaś głos powinności brzmi tak potężnie, tak potężną napełnia mnie żądzą spełnienia tego, co nakazuje, i tak żywą świadomością nieskończonej mocy

mojej w tym zakresie, że w porównaniu z tem drobniej, prawie znika cały zewnętrzny świat; świat ten jest tylko materialem dla powinności, która w heroicznym rozpędzie, łamiąc wszystkie przeszkody, ten materiał w powolne narzędzie swoje przeistacza.

Przedmiotem zaś, celem powinności — ludzkość. Jeszcze w roku 1804/5, w wykładach o cechach zasadniczych epoki naszej*), Fichte dowodził, że dla wykształconego Europejczyka, chrześcijanina ojczyzną jest Europa cała. Narody i państwa mogą upadać, lecz nie wstrzymuje to biegu kultury — i ten kto czuje w sobie pokrewność ze słońcem (*der Sonnverwandte Geist*), z otuchą zwraca swój wzrok tam, skąd płyną „światło i prawo, bo wie, że ojczyzną jego — to państwo w Europie, „które stanęło na wyżynie kultury“.

Ale klęska 1806 roku dokonała przewrotu w duszy filozofa. Pozostając nadal na stanowisku wszechpotęgi jaźni i jej wielkich w sferze powinności, t. j. w sferze moralnej, przeznaczeń i zadań, powinność tę skierował Fichte w stronę ojczyzny i myśl swoją rozwinął w epokowych „Mowach do narodu niemieckiego“ (1807/8). Naród — głosił on w pierwszym wykładzie**) — któremu odebrano niezależność, a pozostawiono tylko zaszczyt ślepej uległości względem najeźdźców — naród taki, jeśli chce być czemś w historii, jeśli chce swoją treść duchową wlewać w prąd czasów, ma jedną drogę przed sobą: niech skupia się w sobie, niech stwarza swój własny wewnętrzny świat i niech go tworzy tak, aby się nie domyślał tego czyhający na niego wróg. W przekładzie na mowę potoczną „tworzenie świata wewnętrznego“ miało oznaczać, że Niemcy powinni wychować siebie. Mogą zaś to zrobić łatwiej, niż jaki inny naród, bo mają pod sobą mocny narodowy grunt. Tym gruntem — język; w przeciwieństwie do pokrewnych narodów germańskiego pochodzenia, które pod wpływem łaciny swój język zatraciły, naród niemiecki używa dotąd mowy swoich przodków. A to jest rzeczą doniosłości niezmierniej w sferze pojęć abstrakcyjnych, nadzmysłowych, czyli w sferze najważniejszej. Pojęcia te bowiem określamy za pomocą obrazów ze świata zmysłowego; dzięki temu, dla Niemca związek między jednym światem, a drugim, jest związkiem żywym, gdy, przeciwnie

*) „Die Grundzüge des gegenwärtigen Zeitalters“.

**) Słowa Fichtego przytoczone są tu i dalej w skróceniu.

dla narodu, który język ojczysty zgubił, świat pozazmysłowy staje się czemś dalekiem i obcem; i gdy w narodzie takim życie wewnętrzne i życie duchowe idą każde swoją drogą, u Niemców świat ducha wdiera się w rzeczywistość całą mocą swoją, że zaś źródłem duchowego świata jest Bóg, więc tylko w Niemczech życie kształtować się może według idei Boga, naturalnie przy pośrednictwie filozofji, bo filozofja jedna — filozofję swoją miał Fichte na myśli — zdolną jest uchwycić wiekuisty pierwowzór świata (*das ewige Urbild*) i uchwyciwszy go w jaźni, z pogardą, daleko poza siebie odrzucić ciało, materję, naturę, albowiem jedyną rzeczywistością jest duch, jest wszechpotężne *Ja*, stanowiące jedno z Bogiem.

I ta idea panteistycznego Boga, objawiającego się w jaźni, t. j. we mnie i przeze mnie w chwili, gdy swoją powinność spełniam, była ogniem, który żarząc się w duszy Fichtego, przenosił się w dusze jego słuchaczy i prowadził do czynu. „Chciałbym — mówił on — aby w tem ognisku, na tej mojej katedrze zapalił się płomień i objął ojczyznę moją aż do jej najdalszych kresów. Od was to zależy, czy chcecie być końcem, ostatnimi z narodu, który przestał być godnym szacunku i o którym wieki przyszłe z pogardą mówić będą, czy, przeciwnie, początkiem zechcecie być przyszłej wielkiej, szczęśliwej epoki, która wpaniałością swoją zaćmi wyobrażenia wasze. W waszej mocy leży jej przyspieszenie, więc niech żaden z was nie odejdzie stąd, nie powziąwszy mocnego postanowienia, że wszystkie siły swoje wielkiemu dziełu poświęci“ i „niech odtąd w zakresie swoim pracuje i działa tak, jakgdyby był sam i tylko od niego jednego dobro przyszłych pokoleń zależało. Pamiętajcie, że innego wyjścia nie macie, bo jeśli wy upadniecie, wraz z wami upadnie cała ludzkość bez nadziei możliwości powstania“.

Te ostatnie mesjaniczne słowa były zakończeniem wykładów. W ten sposób dla celu konkretnego, dla obudzenia patriotyzmu budował Fichte ogromny, ciężki fundament z filozofji najabstrakcyjniejszej, jaka może być, i filozofją tą — zjawisko możliwe tylko w Niemczech — porывał naród i zapalał żądzą heroizmu.

Ale, choć tak podniosła w gloryfikowaniu powinności, filozofja ta, pozbawiona będąc wskutek abstrakcyjności swojej bezpośredniego związku z rzeczywistością, miała tę słabą stronę, że dawała się nagiąć do sprzecz-

nych celów. W r. 1804 wyprowadzał z niej Fichte kosmopolityczny humanizm, w roku następnym — mesjański patriotyzm, a na drogę tę wstąpiwszy, doznał wkrótce do bezwzględności kultu państwa, bo w państwie uznał najwyższy wyraz ojczyzny. Państwo wyrokować miało o tem, co jest dobre, a co złe; poddanie się państwu zupełnie, nie dopuszczające wątpliwości i wahań, stawało się powinnością, owym czynem moralnym, przez który duch wyzwala się z materji, czyli Ja, mówiąc stylem Fichtego, strząsa z siebie zależność od nie-Ja.

I tą drogą szła odtąd filozofja niemiecka. Zatarła ona — żali się Forster — ideę sprawiedliwości międzynarodowej w sumieniu niemieckiem tak doszczętnie, że moralność w polityce poczęto uważać za synonim samobójstwa politycznego, ofiarę zaś sumienia na rzecz konieczności państwowych ogłoszono, jako obowiązek moralny *).

Filozofja ta stanęła w rozbracie z chrześcijaństwem, nie zdając sobie sprawy z tego. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa, mówi tenże Forster**), nikomu do głowy nie przyszłoby oddzielać zasadniczo politykę od chrześcijaństwa; namietności szalały, silni gnębili słabych, ale na namietnościach, na sile fizycznej, na ślepej naturze nie budowano teoryj politycznych. Dopiero renesans wznowił starożytny kult państwa, jako najwyższej świętości. Macchiavelli był pierwszym, który stanowczo zażądał emancypacji polityki od moralności. I właśnie Fichte, ten apostoł surowej powinności, wystawiał Macchavellego, jako wzór myśliciela politycznego. „Prawo moralne — pisał on w rozprawie swojej o Macchiavellim — obowiązuje monarchę w życiu prywatnem, obowiązuje go również w stosunku do poddanych, ale w stosunku do innych państw niema i nie może być innego prawa, jak prawo silniejszego“.

Poglądy takie nazywają realizmem politycznym, czy można jednak poważnie mówić o realizmie tam, gdzie zapoznaną jest siła duchowego pierwiastka w człowieku, duchowych podstaw życia? Słusznie też powiedział Forster o nauce Macchavellego i jego naśladowców, że jest ona tylko techniką socjalną, której brakuje niezbędnej społeczno-psychologicznej podstawy***). Dlatego ci wszyscy, co mają siebie za polityków realnych, są najczęściej nieuleczalnymi utopistami, bo całą politykę swoją stawiają na

*) „Politische Ethik u. polit. Pädagogik“, (München, 1918).

) ib. str. 13. *) ib. s. 178.

iluzji, że można równocześnie mieć dwa wzajemnie wykluczające się sumienia: jedno dla życia prywatnego, drugie dla spraw politycznych*). Nie rozumieją oni, że sumienie jest jedno, że nihilizm w myśleniu politycznym, kierujący się przeświadczeniem, iż względem obcych narodów wszystko jest dozwolone, zaraża i znieprawia duszę, pogrąża ją w anarchji; za anarchją zaś w duszach idzie anarchja w państwie; wykorzenienie z duszy prawo moralne, a nie domyślenie się, że wraz z tem wykorzeniliście z niej państwo**).

Nie Fichte jednak, lecz dopiero Hegel stworzył teorię państwa, o której powiedzieć można, że dała wyraz temu, co było najwewnętrzniejsze, a nieuświadomione w duszy niemieckiej i że, dzięki temu, treścią się stała niemieckiej świadomości politycznej. Stąd, że świat jest rozwojem realizującej się w nim idei absolutnej i że zatem wszystko, co jest, jest rozumne, wyprowadzał Hegel, że, czem w porządku fizycznym natura, tem w porządku moralnym jest państwo. Poddawać przeto państwo krytyce byłoby rzeczą równie nierozsądną, jak krytykować naturę. Państwo istnieje samo przez się siłą konieczności naturalnej, więc boskiej; jest rozumem, który staje się wolą, czyli najwyższym wyrazem idei absolutnej, objawieniem się Boga, Boga w najwyższej dostępnej nam postaci. Stąd wniosek, że państwo jest samo sobie celem (Selbstzweck), istnieje nie przez jednostki i nie dla jednostek, ale jednostki są dla państwa—i, dzięki państwu, są tem, czem są. Do takiej apoteozy nigdy i nigdzie przed tem nie podnoszono idei państwowej, a wszystko to ujęte było w system, imponujący swoją ścisłością logiczną. W tem usystematyzowanem państwie znalazła ujście dla siebie tak nawskroś systematyczna myśl niemiecka — i to stanowi całą tragikę — cytując znowu Forstera — nowoczesnego rozwoju Niemiec; bezwzględne ubóstwienie państwa, wykluczające wszystkie inne wyższe cele, służenie temu Molochowi wyssało z duszy niemieckiej, co w niej było najlepsze***).

Gdy mówimy „Niemcy“, staje przed nami, jako jedna z zasadniczych właściwości narodu tego, uniwersalizm myśli, która nie umie się zamknąć w rzeczach i sprawach, bezpośrednio ją obchodzących, ale objąć chce, poznać, zrozumieć i odczuć wszystko, co wieki i narody stworzyły. Im szersze zakresy myśli ta ogarnia, im głębiej sięga, tem

*) ib. s. 194. **) ib. s. 200. ***) ib. str. 347.

szerzej i głębiej rozwija się kultura narodowa; pojęcia zaś kultury i uniwersalizmu myśli ściśle się łączą ze sobą: za uniwersalizmem idzie idealizacja kultury. Ale kultura suponuje rozumny ład w państwie. Wzorem doskonałego państwa, jak nauczał Hegel, są Prusy. W Prusach przeto kultura ma lepsze, niż we wszystkich innych państwach, warunki do rozwoju, że zaś ojczyzną dla człowieka rozumnego jest, jak to wiemy z przytoczonych wyżej słów Fichtego, państwo, które w danej chwili najwyżej pod względem kultury stanęło, więc Prusy—wogóle Niemcy—są, stać się muszą ojczyzną duchową dla ludzkości. Tryumfy oręża niemieckiego w r. 1870 utwierdziły Niemców w prawdzie filozofii, którą im ich mędracy wpajali. I na filozofii tej oparli oni swój imperjalizm polityczny. Przejęci bałwochwalcą czią dla państwa, które stworzyli, dla kultury, która w tem państwie tak świetny owoc wydała, uznali oni, że w imię dobra nie swojego tylko, ale ludzkości, powinni panować nad światem. Niech to, co ich państwa jest wolą i celem, stanie się wolą i celem dla całego rodzaju ludzkiego.

Kierunek ten badaniom historycznym i filozoficznym wytknął Treitschke, ale jego i wszystkich jego uczniów naśladowców prześcignął w ostatnich latach Houston Stewart Chamberlain. Z pochodzenia Anglik, stał się, raczej poczuł się Niemcem przez kult dla Ryszarda Wagnera. Później, wgłębiając się w poezję i filozofję niemiecką, zapalił się czią bez granic dla Göthego i dla Kanta. Naród, który trzech takich olbrzymów wydał, złożył dowód nie-spożytej mocy swojej i wielkości; ma on nietylko prawo, ale i obowiązek rozkazywania światu, aby prowadzić go na wyżyny, na których sam stanął. Uzasadnieniu myśli tej poświęcił Chamberlain wszystkie zasoby ogromnej wiedzy swojej i znakomitego talentu, a rozwinął ją na podłożu teorii ras, biorąc jednak rasę nie tylko jako wspólność pochodzenia, jako podstawę, z której wyrastają narody związane ze sobą węzłem krwi, ale więcej jeszcze jako wynik i wykwit pracy plemienia czy narodu nad sobą — jako to, co nazywamy wyrasowaniem. Jedyną wyrasowaną rasą, szlachetną i czystą, jest rasa germańska, jej kwiatem—naród niemiecki; hegemonji przeto niemieckiej niech dla swojego własnego dobra i szczęścia poddadzą się inne narody i państwa. „Na dzieje Europy — pisze Chamberlain *) — moralne i umysłowe, od chwili pojawienia się

*) „Die Grundlagen des XIX Jrh. str. 520.

plemienia germańskiego aż po dziś dzień, możemy patrzeć, jako na walkę Germanów z nie-germanami, germańskiego sposobu myślenia z antygermańskim“. Dlatego „we wszystkich dziedzinach życia dziejowego uważamy i wystawiamy tych ludzi za największych i te czyny za najbardziej znaczące, które najwięcej się przyczyniły do rozwoju specyficznych właściwości ducha niemieckiego, najwięcej sprzyjały tryumfowi germanizmu“*) Nie dość tego; w jednym z rozdziałów nie zawahał się Chamberlain wygłosić, że żałuje, iż germanizm tam, dokąd sięgnął zwycięskim ramieniem, nie wytępił gruntownie opornych jemu narodów“..**).

I teorii tej, niosącej śmierć wszystkiemu, co pochodzi germanizmu stoi na drodze, usiłował Chamberlain nadać znamię religijne. Chamberlain jest czcicielem Chrystusa; czci go, jako Zbawiciela świata, a zbawił Chrystus tem, że nauczył człowieka patrzeć w niezbadaną głęb własnej duszy. Głosząc, że „Królestwo Boże jest w Was“, tem samem kazał nam Boga szukać w sobie; podniósł w nas wiarę w nierozrwalną łączność z Bogiem, w płynącą stąd nieskończoną potęgę ducha. Przyjął naukę tę, która nową młodość przynosiła starej ludzkości, mogła tylko świeża, rwąca się do życia rasa indo-europejska, i pod znakiem Krzyża poczęła ona na zwaliskach starego świata budować nową kulturę, nad którą długo jeszcze pracować będziemy, zanim zasłuży ona w przyszłości na nazwę chrześcijańską“***). Ale głosząc powołanie narodu niemieckiego do stworzenia owej chrześcijańskiej kultury, jakże inaczej zrozumiał ją Chamberlain, niż nasz mesjanizm, który tak mocno, nierozłącznie ideę chrześcijańską z ideą prawa miłości powiązał. Wszystko zarzucić można Chamberlainowi, tylko nie obłudę, „Nikt—pisze on****)—nie będzie miał czoła twierdzić, że narody germańskie osiągnęły zwycięstwo swoje samą tylko cnotą, a bez pomocy tych ujemnych właściwości swoich, jakimi były chciwość, okrucieństwo, zdrada, pomiatanie prawami innych, każdy jednak przyzna, że germanizm właśnie tam, gdzie był najokrutniejszy—więc u Anglosaksów w Anglii i Ameryce, u Krzyżaków w Prusach—że tam położył on podwaliny najidealniejsze pod to wszystko, co najwyższe i najszlachetniejsze“.

Czyli chrześcijaństwo Chamberlaina jest próbą chrześcijańskiego zabarwienia woli potęgi (Wille zur Macht),

*) ib. s. 721. **) ib. s. 464. ***) ib. s. 209. ****) ib. s. 726.

jest starą żydowską, a na grunt niemiecki przeniesioną mesjaniczną wiarą w naród wybrany—tylko w nowej postaci, w której żydowski materialistyczny monoteizm, zgijnający człowieka przed zewnętrznym zaświatowym Bogiem, zastąpiono panteis ycznem roztopieniem Boga w człowieku wyższym, silnym,—w nadczłowieku rasy germańskiej.

I Chamberlainizm—wyrazu tego używamy dla określenia pangermanizmu w tej idealnej szacie, jaką mu nadał wybitny pisarz i myśliciel—jest jednym z głównych moralnych winowajców wojny; Chamberlainizm, nie zaś przeciwieństwa interesów rozmaitych mocarstw. Albowiem „nie same tylko interesy — pisze tenże autor*) — rządzą światem, choć tak nauczają — dodaje on ironicznie — niektórzy najnowsi historycy, lecz rządzą przede wszystkim idee, nawet wtedy, kiedy się rozcieńczają w słowach“. I, rzeczywiście, rozcieńczane w czczych deklamacjach haka-tystów z Ostmarkenvereinu idee Chamberlaina i jego przyjaciół przesyciły atmosferę elektrycznością, z której musiała wybuchnąć burza. Wszak nie chciało wojny społeczeństwo niemieckie, któremu tak dobrze się działo przed wojną i które z każdym dniem bliższem było pokojowego, ekonomicznego podboju świata. Nie chciał wojny, nawet drżał przed nią ces. Wilhelm, wbrew wszystkim krzykom i oskarżeniom, rzucanym dziś na niego przez obłudę angielską i nienawiść francuską. Czuł odpowiedzialność swoją; z obawą, jak świadczą listy jego do cara Mikołaja**), patrzył w przyszłość, widząc wzmagający się antygermanizm w Anglii, przerażonej powodzeniami przemysłu niemieckiego na rynkach świata. Ażeby wojnie zapobiec, dążył do zbliżenia się z Francją za pośrednictwem Rosji, wierzył w swój wpływ w tym względzie na cara***). Gdy rachuba zawiodła, tem bardziej musiał się zająć militaryzacją swego państwa, mającego revanchyzm francuski z jednej strony, zaborczy panrusycyzm z drugiej. I tu położenie jego było, według świadectwa kancl. Bethmanna Hollwega, bez wyjścia: gdy milczał, przypisywano to słabości Niemiec, i uroszczenia przeciwników w kwestjach spornych rosły; gdy pobrzękiwał szablą i wygłaszał swoje ogniste, prowokujące mowy, krzyczano, że Niemcy przygotowują się do zbrojnej

*) ib. s. 628.

**) Briefe Wilhelms II an den Zaren; 1894—1914 (Berlin—Ullstein e. C-ie).

*) Por. list Nr. 38 z 30/X 1904.

napaści. — Że nie chciał wojny kanclerz — temu, o ile wiemy, nikt dotąd poważnie nie zaprzeczał, ale nie chcieli jej nawet ci, których za wodzów wojowniczego pangermanizmu poczytywano, mianowicie nie chciał okrzyczany adm. Tirpitz. Do wniosku tego dochodzimy, czytając Pamiętniki jego i listy *). Sympatycznymi dla Polski nie są, autor ich należy do zdecydowanych nieprzyjaciół Polski, Rosję uważa za naturalnego sprzymierzeńca Niemiec, ogłoszenie zaś niepodległości naszej w listopadzie 1916 roku za najfatalniejszy błąd polityki niemieckiej. Niemniej jednak słowa jego robią wrażenie silne, czujemy w nich człowieka całą duszą oddanego ojczyźnie, przemysłanego a bezwzględnie szczerego w każdym swoim zdaniu. Troska o przyszłość Niemiec jest jego myślą przewodnią. Terytorjum niemieckie za ciasne było, aby pomieścić i przekarmić mogło mieszkańców swoich. Widział, że muszą Niemcy ratować się przemysłem; dla przemysłu musieli mieć rynki zbytu i kolonie; dla bezpieczeństwa zaś przemysłowej i kolonialnej polityki niezbędną była potężna flota. W tym celu budował ją, nie zaś w celach zaczepnych. W przededniu wojny nie przypuszczał jej wybuchu, nie wierzył, aby ktokolwiek chciał tę straszną odpowiedzialność wziąć na siebie i z całym spokojem pojechał na kurację do Tarasp. Gdy wojna wybuchnęła, nie żywił żadnych złudzeń. Stwierdzając w jednym z listów niesłychane powodzenia armji niemieckiej (Die Armee hat bisher ungeheure Erfolge 24/VIII 1914), pomimo to z niepokojem myślał o przyszłości (nein, trotz der bisher einlautenden Siegesnachrichten, jubeln kann man nicht“ 23/VIII 1914... „Wie hatte ich persönlich gewünscht diesen Krieg nicht zu erleben“ 21/VIII 1914). Rozumiał, że, wobec osaczenia Niemiec, zwycięstwo zupełne jest niemożliwe i że będzie to szczęściem, jeśli uda się Niemcom wyjść z katastrofy cało i znaleźć po tem środki do odbudowy tego, co wojna zniszczyła **).

Więc któż tej wojny chciał? Chyba tylko wojskowi, o ile marzyli o odznaczeniach. Rzeczywistą zaś, według Tirpitz, choć mimowolną sprawczynią wybuchu była niezręczność dyplomacji niemieckiej i austriackiej, niezręczność, która płynęła z przeświadczenia, że nikt w Euro-

*) A. von Tirpitz: „Erinnerungen“ (Leipzig 1919.

**) Ib. port. s. 404 list z 10/IX 1914.

pie w owej chwili do wojny nie dążył, a że prestiż Austrii wymagał surowego ukarania Serbji. Dlatego to w pamiętnej historycznej nocy podano Serbji warunki absolutnie niemożliwe do przyjęcia. Dyplomatom z zawodu wydawało się to koniecznością, postulatem rozumu państwowego; dla nas, niedyplomatów, niefachowców, a prostych śmiertelników było rzeczą jasną, że nota taka musiała za sobą pociągnąć wojnę europejską, bo Rosja nie mogła nie ująć się za Serbją. Słowem, do wojny nikt świadomie nie parł, winnych w ścisłym znaczeniu wyrazu niema, ale — powtarzamy — odpowiedzialność za wytworzenie atmosfery duchowej, w której siłą konieczności prędzej czy później nagromadzić się musiały chmury, sprowadzające niechybną burzę, spada w znacznej mierze na pangermańskie rojenia profesorów i literatów.

2.

Pangermanizm wywołał reakcję, której potężny wyraz mamy w rozprawie Forstera „Weltgewissen und Weltpolitik“.

W pierwszej połowie 1918 roku, w chwili, gdy militarna potęga Niemiec dosięgała szczytu swoich powodzeń, gdy z jednej strony wojska niemieckie groziły Paryżowi, z drugiej zaś strony, zajmując całe południe Rosji aż po Kaukaz, dokonywały tego, co żadnemu Niemcowi w najśmielszym marzeniu przed wojną się nie śniło — w chwili takiej prof. Forster nie wahał się wygłosić, że pokój, na który wówczas w Niemczech powszechnie rachowano, pokój, przemocą oręża narzucony zmiażdżonym przeciwnikom, utopją był większą, niż wszelkie pacyfistyczne utopje.

Dlaczego? Bo wśród straszliwej burzy — brzmiała odpowiedź — wstrząsającej światem, wśród wybuchu i rozpętania tych wszystkich mrocznych namiętności i potęg, co w otchłaniach duszy człowieczej się gnieźdzą, zagadnienie pokoju staje się największym zagadnieniem cywilizacji naszej. Ażeby zaś mogło być rozwiązaniem, powinien człowiek wprzód uczuć obrzydzenie do dzieła swojego, które za dzieło rozumu poczytywał, gdy owocem jego są zwaliska mozołnie przez wieki budowanego porządku świata, łyż i krew, zdziczenie i nędza — i w obrzydzeniu powinien się przejąć koniecznością poddania się czemuś, co mocniejsze jest, niż rozum, i co jedno stawia tamę

pochodowi tryumfującej dzikości – słowem, powinien w głębi serca swojego dosłyszeć głos sumienia *).

Wszyscy, wszystkie narody są winne; niechże mają odwagę w sobie owo źródło wspólnej winy odszukać i zniszczyć **. Niezbędnym wstępem do pokoju, czyli do porozumienia politycznego jest porozumienie moralne, a to się nie da zrobić bez wejścia w siebie, bez gruntownego zbadania i poznania swej winy, bez zwycięstwa nad samym sobą. Niech więc na tę trudną drogę odważą się wejść Niemcy, bo oni zawinili najwięcej. Sprzeniewierzyli się swemu posłannictwu, byli „wewnętrznym cementem życia narodów, produkowali idee, z których wytwarzały się ogniska, łączące narody w uczuciu wspólnej, jednej wszechludzkiej kultury; teraz od szeregu 10-leci cofnęli się ku przeciwległej stronie, prorokami są izolacji narodowej“... Ideowe ubóstwo polityki naszej jest wprost przerażające“... ***). „Przed półwiekiem, nagle, jakby przez jedną noc, staliśmy się wielką potęgą świata; niestety, nie zdołaliśmy stworzyć odpowiedniej temu wielkiej filozofii politycznej, obejmującej świat, wszystkie jego zadania i cele i budzącej powszechne zaufanie“.

Zubożenie ducha niemieckiego wiąże się najściślej z przewagą nawskróś militarystycznego sposobu myślenia w rzeczach polityki, który opanował przodujące warstwy — profesorów i literatów w większym jeszcze stopniu, niż wojskowych z zawodu. Ta zaś militaryzacja jest dziełem Prus. Fatalizm historyczny pchnął Niemcy w kierunku im przez Prusy wytkniętym. Niemcy czuli się na początku wieku zeszłego miejscem, z którego się rozchodziły katastrofy, które wstrząsały Europą. Musiały przeto zorganizować się w militarnie silne państwo, organizację mogły im dać tylko Prusy — i wobec tego, chcąc byt polityczny zachować, trudno było inną pójść drogą. Inwazje Napoleońskie sprawiły to, że „punkt ciężkości ducha niemieckiego przeniósł się z Wejmaru do Potsdamu“ ****).

W duszę narodu, nastrojonego romantycznie i abstrakcyjnie, wszczepiono ideę surowego, żadnych względów nieznającego skupienia się we własnym interesie, bo od tego zależała, jak sądzono, możliwość istnienia Niemiec, jako potęgi nie duchowej tylko, ale i politycznej. Idea ta przybrała romantyczną postać woli potęgi (Wille zur

*) Por. s. 214. **) Por. s. 5. ***) Por. s. 119.

****) Por. s. 12.

Macht) i, wprowadzona w życie z niemiecką gruntownością i konsekwencją, doczekała się odurzających powodzeń, dzięki genjuszowi Bismarcka Dała ona początek polityce, stanowiącej negację wszelkiej rozumnej polityki, oparła się bowiem na przeświadczeniu o własnej niezmówionej sile, a pomiataniu wszystkiem, co było obce, nie niemieckie. Pchała więc do awantur, dawała folgę najgrubszym instynktom, w charakterach ze słabą świadomością moralną świadomość tę niszczyła do reszty. Otwarcie sankcjonując prawo przemocy, które inne narody i państwa, jakby w poczuciu winy, wstydliwie płaszczem obłudnych frazesów przykrywały, prowokowała, rozdrażniała wszystkich. Wprawdzie Bismarck mógł, jako niezrównany poskramiacz zwierząt, wywoływać wilka z lasu, miał zawsze czym rozjuszzone bestje zająć, lub przestraszyć, umiał je szczuć jedne na drugie, ale żaden z jego następców nie zdołał gry jego nadal z taką maestrią prowadzić. Politykę zagraniczną po śmierci Bismarcka Förster określa, jako *Brüskierung an allen Ecken und Enden*. I to wygrażanie opancerzoną pięścią nazywano polityką realną, patriotyczną, gdy była najnierealniejszą w świecie i najfałszywiej patriotyczną *).

Dbałość o swój wyłączny interes nie jest monopolem Niemców; na tem samem opartą jest polityka wszystkich innych narodów. Chodzi tu o formę. Anglik np. jest zdecydowanym egoistą, ale egoizm jego jest praktyczny, nie zaś romantyczny i teoretyczny; więc jest w nim zmysł rzeczywistości, i dzięki temu umie on wchodzić w układy z interesami i tradycjami tych, z kim ma do czynienia. Na tej mądrości życiowej polega moc i trwałość ich potęgi. Niestety Niemiec byli profesorowie narodowego egoizmu. „Jakże to charakterystyczne, że na zjeździe Ostmarkenvereinu we wrześniu 1915 roku oskarżano wyjawiające się gdzieśgdzie życzliwe wobec Polski zamiary, ponieważ sprowadzać one miały naród niemiecki z jedynej na pewno do celu wiodącej drogi. Jako zaś jedyną miarę do sądów o kształtowaniu stosunków na wschodzie, ogłaszano *die Lebensnotwendigkeiten* państwa niemieckiego **). Oczywiście, żaden człowiek, żaden naród nie zdoła poskromić w sobie egoizmu, ale należałoby się wstydzić tego, jako słabości, nie zaś paradować nią i wystawiać, jako dowód rozumu i mocy. Tymczasem na

*) Por. s. 13—14. **) Por. s. 16.

tym nacjonalistycznym bezwstydzie budują swój program Niemcy nowego pruskiego typu. I żadne doświadczenie historyczne nie jest w stanie nauczyć tych ludzi, że ich bezrozumny egoizm osiąga w końcu właśnie przeciwieństwo tego, czego chciał. Uczciwe uczestnictwo w życiu kulturalnem sąsiada, szanowanie jego praw i tradycji, chętnie popieranie w tem, co go najbliżiej obchodzi — to jedno pozyskać nam może jego dobrą wolę, bez tego zaś, choćbyśmy nie wiem jak byli uzbrojeni, silni i pewni siebie, doczekamy się — proroczko kończył Förster — zmowy wszystkich narodów w celu zniszczenia nas. O ileżby łatwiej ułożyły się rzeczy na wschodzie, gdyby w naszej Polenpolitik nastąpił był jeszcze przed wojną zwrot i gdyby za cel postawiono sobie porozumienie się z Polakami. Smutny to zaszczyt dla Ostmarkenvereinu, iż najwięcej przyczynił się do tego, że imię niemieckie stało się przedmiotem nienawiści dla całej Słowiańszczyzny.

I nie tylko dla Słowiańszczyzny. Förster cytuje zdanie Amerykanina, nie szowinisty, przeciwnie, raczej życzliwego Niemcom, który w *Evening Post* wyrażał obawę, że skutki powodzeń oręża niemieckiego zaznaczą się nie tylko na polu militarnym lub gospodarczym. Sprowadziłyby one nieograniczone władztwo idei niemieckiej, a byłoby to nieszczęściem dla świata. Idea bowiem niemiecka wypływa ze zdolności organizacyjnych tego narodu, z uczucia obowiązku w tę stronę skierowanego, z mrówczej pracowitości. Doprowadzona do końca, staje się biurokratycznym pedantyzmem, przekształca człowieka w bezduszne kółko wielkiej maszyny. I pod opieką potęgi niemieckiej „rozciągnęłaby nad światem pogrzebowy całun, pod którym zamarłoby wszystko to, co o pięknie, o wartości, rozmaitości i swobodzie życia stanowi“^{*)}). Dążność bowiem do jednolitości w organizowaniu wszystkich sił społecznych znajduje swój wyraz teoretyczny w kulcie dla państwa. Ten kult przez Hegla niemal do wysokości religji podniesiony, przez Treitschke'go popularyzowany, ogarnął w ostatnich czasach wszystkie koła akademickie. I to Förstera szczególnie zabolalo. „Jeśli mamy — woła — czcić państwo, jako ten ostateczny cel moralny, ponad którym wyższego normatywnego dobra niema, to owo dobro, za jakie mamy bezwzględną prawość myślenia, ginąć musi i tracić dla uczonego wartość swoją całą z chwilą, gdy

*) Por. s. 152.

przystępuje on do zbadania i przedstawienia polityki państwa; zamiast dążyć do obiektywizmu, bierze on wówczas państwo w opiekę swoją i na rzecz prestiżu państwa poświęca swoje sumienie naukowe^{*)}. W ten sposób powstało das Akademische Alldeutschtum. Hasło do tego dali Sybel i Treitschke, a było to, niestety, zwycięstwem państwa nad nauką, sprusaczeniem nauki, odpadnięciem od najchwalebniejszych tradycji naukowości niemieckiej. I daremnie — cytujemy znowu Förstera — w ciągu wojny, wśród namietności rozhukanych, wyczekiwano od przedstawicieli myśli niemieckiej, że z wyżyn swoich wezwą naród do opamiętania się. Znaczna ich część dała się unieść prądowi i na czele jego stanęła. Głośną broszurę Sombarta Handler und Helden, zalicza Förster do objawów patologii wojennej: „autor rumienić się będzie, wspominając, że ją pisał“. I jakże ciężką odpowiedzialność za wszystkie nieszczęścia wojny ponoszą ci wszyscy Niemcy, co w tym tonie mówili i pisali w ciągu lat ostatnich. Wszak uczony generał Bernhardt dosłownie głosił, że „siła“ jest najwyższem prawem, że wszystkie spory o prawie rozstrzyga oręż wojownika — i biologicznie rozstrzyga zawsze słusznie, bo rozstrzygnięcie jego wynika aus dem Wesen der Dinge“. I może — słowa Förstera — będzie to jednym z dobroczynnych następstw chwili obecnej, że zniszczy ona tę dość powszechną iluzję, iż uczeni specjaliści są w wielkich sprawach kultury „przedstawicielami rozumu“ i duchowymi wodzami ludzkości^{**)}.

Ale najsmutniejsze to, że duch pruski przeniknął do sfer religii i teologii. Głośny teolog z Heidelbergu Ernest Troeltsch wyraził zdanie, że państwa nie mogą podlegać tym samym prawom moralnym, którym podlegają jednostki, Baumgarten zaś z Kielu poszedł dalej jeszcze, twierdząc, że ponieważ państwo jest święte, więc ma prawo żądać bezwzględnej ofiary ze wszystkich ideałów moralnych w imię twardych konieczności dobra państwowego, i wszyscy powinniśmy być bezwzględnie gotowi nawet do wprowadzenia w czyn przypisywanej jezuitom maksymy, że cel uświęca środki. Ale czy prawo moralne — mówi na to Förster^{***)} — inaczej ma się objawiać w stosunkach międzynarodowych, niż w stosunkach prywatnych? Grabież pozostanie grabieżą i, mimo wszystkie pozory chwilowego

^{*)} Por. s. 87. ^{**)} Por. s. 83. ^{***)} Por. s. 38.

powodzenia, nie uniknie kary; w duszach tych, co kolektywnie spełniają, lub usprawiedliwiają zbrodnię, daje ona początek niebezpiecznym zwyrodnieniom, w duszach tamtych, które pokrzywdzono, budzi niemniej niebezpieczne reakcje, aż w końcu, z nagromadzenia tych wzajemnych nienawiści wybucha katastrofa, która staje się sądem nad zbrodnią.

Ale teolodzy i moralisci w rodzaju Baumgartena, zatopiwszy się, wbrew powołaniu i powinności, w abstrakcjach, tracą zmysł rzeczywistości i, gdy do niej schodzą, imponuje im najpośledniejszy, najbardziej płytki realizm. Chcą Chrystusa w życiu prywatnym, ale wpadają w gniew, gdy kto zażąda od nich, aby panowaniu prawdy Chrystusowej wyznaczali szerszy zakres. Co wobec tego znaczą najwymowniejsze dowody nieśmiertelności duszy, gdy w działaniu politycznym uznajemy tylko zwierzę w człowieku, tylko ten zwierzęcy pierwiastek wyjawiamy i tylko z nim się rachujemy *).

Słowem, nie dorośli do polityki chrześcijańskiej ci, którym należało stanąć na czele życia duchowego w Niemczech. A polityka chrześcijańska — podkreśla to Forster z całym naciskiem — nie jest żadną iluzją, żadną dzieciadą. Przeciwnie, bywały czasy, w których świeciła prawdziwe tryumfy. Jak wspaniale odbija na tle dzisiejszych militarystycznych metod ów jedyny w swoim rodzaju dokument, z mocą którego w r. 1405 dokonywała się unja Litwy z Polską na podstawach miłości chrześcijańskiej. Sama stylizacja dokumentu dziś jeszcze podbija uczciwością swoją; czujemy, że nie byłaby możliwą, gdyby zdania tam wyrażone nie były rzeczywistą wówczas potęgą w opinii publicznej **). Polska przeżywała swoją wtedy wielką chwilę. Jej ustrój, zapewniający wszelkim grupom narodowym możność swobodnego rozwoju, wywierał na zewnątrz swoją moc atrakcyjną, która się objawiała w szeregu dobrowolnych akcesów do Rzeczypospolitej — i w r. 1454 szereg miast wschodnio-niemieckich, chcąc się wyzwolić z pod uciążliwych rządów oligarchji krzyżackiej, domagał się swojego włączenia do państwa Polskiego. I choć na wysokościach tego wzlotu Polska nie długo umiała się utrzymać, jednak jej świetne w w. XV powodzenia świadczą o istnieniu piękniejszych i skuteczniejszych metod ekspansji narodowej, nic pryncyp siły,

*) Por. s. 65. **) Por. s. 28.

który, doprowadzony do absurdu, wywołał dzisiejszy katastroficzny stan świata.

Takie świadectwo sile i szlachetności kultury polskiej wydał szlachetny Niemiec.

3

Polska padła ofiarą wołającego o pomstę pogwałcenia prawa moralnego — i z natury rzeczy idea polityki chrześcijańskiej w niej znaleźć musiała oddźwięk najżywszy, źródłem się stała natchnień najwznioślejszych, ideą twórczą naszej wielkiej poezji i filozofji mesjanicznej. I odtąd aż do dziś dnia poruszano ją u nas stale, z rozmaitych stron. Niedawno prof. Rozwadowski wypowiedział na ten temat, z powodu stosunku naszego do Litwy i Rusi kilka myśli, ujmujących szczerością i siłą*) — myśli typu Tolstojowskiego, tj. tak prostych, tak elementarnie jasnych, że, zdawałoby się, niema pogo je przypominać, wszak wszystko to rozumie się samo przez się, wszak każde dziecko o tem wie. Tylko, niestety, co dostępne jest dziecku, to przekracza sferę rozumienia tych, którzy na polu działalności politycznej najwięcej się krzątając, tem samem ulegli znieprawiającej atmosferze polityki bezpośredniego materialnego interesu, według której miarą dobra jest mój osobisty zysk na szkodzie mego sąsiada oparty. Więc miał prawo autor pisać, że „bez moralnego precz dla zasad praktycznej polityki nie może być mowy o uzdrowieniu ludzkości“. Ale podstawą do tego precz nie jest dlań chrześcijaństwo, lecz fakt ewolucji człowieka, wszechmocność życia powoli zmierzającego ku lepszemu; „samolubnie, bezmyślnie, leniwie“... „bez ochoty, bez woli“ ludzkość „czołga się“ jednak ku rozumowi i „życiem swoim spełnia nie swoją wolę i nie swój ideał“; cała przeto mądrość „leży w tem, żeby zrozumieć to i uznać“ i „ową nie swoją wolę i nie swój ideał przyjąć za własne“, nauczycielem zaś na tej „wysokiej i trudnej drodze“ jest „srogi bat nieszczęścia“.

Gdy czytamy Forstera, zdaje się nam, że ten bat zapędza już współczesne Niemcy na ową drogę; mogłoby to być zapowiedzią zwrotu w życiu ludzkości. Nie wiemy o duchowym stanie innych narodów. Na chwałę zaś Förstera podkreślić należy, że przeciw wielkiej herezji nacjo-

*) „My, a Litwa i Ruś“. Kraków.

nalistycznej, w którą zapadł cały świat chrześcijański, powstał on właśnie w chwili, gdy ludziom niewtajemniczonym w sprawy Głównej Kwatery niemieckiej, nic jeszcze nie zapowiadało bliskiej klęski Niemiec. A protest ten wybuchnął z głębin uczucia, ale uczucia, opartego na niewzruszonej podstawie świadomości moralnej i religijnej. Zabolął go, że to, co w znacznej mierze chwałę Niemiec stanowi, a co wyrazem *Romantyzm* obejmujemy—uczucie nieskończoności, nieustające zrywanie się poza obręb rzeczy znikomych i zriennych, przejęcie się surową powagą życia, które nie tu się zaczyna i nie tu się kończy—że to spacone zostało pod wpływem ducha pruskiego i obniżone do romantycznego kultu nieromantycznej siły materialnej.

Czyżby to oznaczać miało, że duch pruski był złym duchem Niemiec? I tak, i nie. Uczciwość, niezawodność w słowie i czynie, etyka wytrwania, wierność obowiązkowi aż do zupełnego zaparcia się siebie—wszystkie te przymioty, stanowiące absolutne przeciwieństwo roziałości, a szczególnie cenne w zestawieniu z tak raziącą u Słowian niesłownością, niekarnością i antyspołeczną lekko-myślnością — połączone z imponującą państwowo twórczą siłą organizacyjną podbiły duszę niemiecką — i w ten sposób powstały nowe Trejtschkowskie Niemcy *). Ale tragedję tych nowych Niemiec stanowi to, że wymienione niepospolite przymioty szły w parze ze zdumiewającą niezajomością natury ludzkiej, z nieznośną wskutek tego metodą w traktowaniu ludzi, z upartem przeświadczeniem, że wszelkie ze strony podległych państwu narodów afirmowanie swej odrębności kulturalnej jest niebezpiecznem dla państwa wynykaniem się z pod jego kontroli i zbrodnią przeciw niemu. Stąd rozpaczliwie tępa zawziętość w jątrzeniu tego właśnie, co w człowieku jest najdrażliwsze — przywiązania do mowy i tradycji ojczystej **). I w rezultacie ci znakomici organizatorowie w zakresie gospodarki społecznej, finansów, techniki, choć podnieśli dobrobyt podległych krajów, nietylko nie wzbudzili ku sobie wdzięcznych uczuć, ale, przeciwnie, wywoływali rozgoryczenie, niechęć, w końcu nienawiść.

Słowem, zgubny wpływ ducha pruskiego (*des Grenzmarkengeistes*) na Niemcy w tem się streścił że, „wszczepił przekonanie, iż wysoka uniejętność współ-

*) Op. C. por. s. 157. **) ib 16.

życia z ludźmi i cała kultura duchowa wiekiew epoki humanizmu, której wspaniałe dojrzały owoc mają Niemcy w *Wanderjahre* W. Meistra, powinna być za wszelką cenę trzymana jak najdalej od polityki i żadnej nie mieć styczności z jej hasłami, zamierzeniami i czynami“... „Nie zrozumiano, że *Virtus*, mając z pożytkiem działać na życie, nie może się obejść bez *Sapientia*, podobnie jak *Sapientia* powinna bezwarunkowo przekształcać się w *Virtus*, aby wartość swoją i siłę wyjawiać. Niemcy to *Sapientia*, Prusy — *Virtus*“^{*)}). Tragiczność rozwoju Niemiec polega na tem, że *Virtus* zdobyła wyłączne panowanie, wskutek czego duchowe pierwiastki duszy coraz bardziej ustępowały miejsca pierwiastkom motorycznym, te zaś tem samem coraz jednostronniejsię uzewnętrzniały w nadmiarze grubej, zewnętrznej energii.

Nie jedni Niemcy są winowajcami wielkiej katastrofy dziejowej. Ale ołśnieni w stopniu większym, niż wszyscy inni, złowrogim blaskiem powodzeń siły pięści, więcej też pracy zużyli na naukowe uzasadnianie gwałtu w polityce i, zgodnie z tem, krzyczący wykazywali beztakt wobec niesłuchanie drażliwej psychiki tych wszystkich narodów, czy grup etnicznych, które, skrupowaną mając swobodę ruchu, tem zazdrośniej stoją na straży swego odrębnego bytu^{**)}). Nie zrozumieli Niemcy powstającej nowej potęgi w świecie, którą nazwano „samostanowieniem“ narodów; pogrążeni w materializmie kultu siły, utracili żywy związek z najszlachetniejszymi tradycjami wielkiej przeszłości. I choć materialistyczny kult siły nie jest wyłączną prusko-niemiecką właściwością, ale u Niemców typu Treitschke'go doszedł on do nieznanych gdzieindziej rozmiarów, preistaczając się z zasady politycznej niemal w wyznanie wiary^{***)}). Podkładem zaś tego jest przerażająca obojętność względem boskich celów duszy, którą dziś widzimy wszędzie, w całej ludzkości współczesnej, we wszystkich bez wyjątku narodach.

Dopiero teraz, w czasie wojny, zrozumieliśmy — słowa Förstera^{****)}). — jacy drapieżnymi zwierzętami jesteśmy dotąd wśród bibliotek naszych, wynalazków i odkryć i jaką siłą staje się tradycja pierwotnej dzikości (*Kraße Tradition*), gdy tradycja Ducha św. przestaje być przewodniczką kultury. Dopiero teraz wyszło na jaw, ilu grzesznych

*) Por. s. 161. **) Por. s. 55. ***) Por. s. 205.

****) Por. s. 214.

zaniedbań dopuścili się wobec świata przedstawiciele Kościoła, ile kamieni, zamiast chleba, podali ludziom, ile żywej wiary przytłumiła martwa uczoność i jak się ulotnił ów duch franciszkański, bez którego żaden system religijny ostać się nie może. Wszyscy jesteśmy ofiarami odurzającego w tryumfie swoim pochodu nauk przyrodniczych i techniki. Opanowanie ziemi zaćmiło przed nami tamten wyższy świat; on się stał dla nas błędem pojęciem, które nie budzi już w duszach świętego dreszczu bojaźni i żadnych ofiar nie żąda. Zapomnieliśmy, że oddawanie życia Bogu najgłębszym jest prawem naszego istnienia.

Chrześcijaństwo, polityka chrześcijańska stały się dziś bezwzględną koniecznością, woła o to ginący świat. Ta myśl Förstera nie jest, naturalnie, niespodzianą nowością. Jak głęboko pisali o istocie i znaczeniu chrześcijaństwa najprzedniejsi z niemieckich teologów i filizofów! Ile rzetelnego natchnienia wkładał w swoje wywody o potrzebie religii Rudolf Eucken! Ale na jakich chłodnych wyżynach przebywa ten najgłośniejszy dziś wśród przedstawicieli myśli religijnej w Niemczech, jak obcym pozostał życiu realnemu, jak dalekim od uczucia związku między religią i polityką! Więcej, niż gdzieindziej, zwłaszcza w czasach ostatnich, rozprawiano w Rosji o polityce chrześcijańskiej. Myśl ta dominowała w pismach Włodz. Sołowjewa, poruszali ją po nim i niejednokrotnie Bułgakow, Bierdiajew; nie wymieniamy innych, mniej wybitnych; ale tam pojono się samem pięknem idei, schodząc zaś do rzeczywistości, najgłębsi i najlepsi, sam wielki Sołowjew w ich liczbie, poprzestawali na komunalach, jakgdyby w obawie przed wyciągnięciem konsekwencji w ich idei zawartych. Förster tem ich wszystkich przewyższył, że idea polityki chrześcijańskiej nie jest dla niego tylko wnioskiem beznamiętnej obserwacji, lub pobudką do retorycznych ćwiczeń na temat dowolnie wybranych cytat z Ewangelji.

On poszedł w głąb tej idei i z niemiecką sumiennością objął ją i zbadał, kierując się słuszną zasadą, że wszelka połowiczność jest zgubą, bo sprzyja rozkielzaniu wszystkich złych duchów, a nie daje żadnych przeciw nim zabezpieczeń. Wskazania przeto polityczne, wynikające z Ewangelji, przyjąć należy wszystkie, bez wahań, bez tchórzliwych zastrzeżeń, że Zbawiciel miał na widoku nie życie całe, lecz tylko niektóre jego sfery, jak stosunek człowieka do Boga i bliźniego „Chrystus — woła Förster — nie był marzycielem, zapoznającym pierwotną dzikość czło-

wieka; naukę swoją przeznaczał nie do użytku aniołów, lecz do tego, by ją stosowano w życiu“*)... „A widząc Jezus rzesze, wstąpił na górę, a gdy wszedł, przystąpili ku Niemu uczniowie Jego. A otworzywszy usta swe, nauczał ich mówiąc, „... I w Kazaniu na górze (Math. r. V—VII), czyli w tem, co w Ewangelji w najostrzejszem jest przeciwieństwie ze „światem“, z duchem czasu, uznał Förster podstawę odrodzenia moralnego narodów, a zatem i niemyślną zasadę polityki chrześcijańskiej. Dlaczego? Kazanie na górze — odpowiada on** — „stawia człowieka na stanowisku, z którego on zwalczać musi bezprawia i bezład życia nie defensywnie, lecz konstruktywnie“. A to znaczy, że najgłębszy sens Kazania nie w tem tkwi, jak sądził Lew Tolstoj, że zakazuje sprzeciwiać się złemu, ale „w tem, że nas wznosi ponad mniej lub więcej automatyczne odruchy, które zło wywołuje, ponad samo tylko reagowanie, że rozwiązuje pozytywne, twórcze siły duszy; wprawia nas w stan, dzięki któremu trafiamy w to właśnie, co w obcej nam duszy jest społeczne, boskie, i te lepsze jej pierwiastki wywabiamy na zewnątrz, „... “Kazanie na górze wyzwala nas z pospolitej, czysto biologicznej defensywy i tem samem taką samą gotowość wywołuje w przeciwniku; chcąc go rozbroić, trzeba wprzód rozbroić się samemu, trzeba w wir życia iść z góry, ze świadomością poddania się wyższym mocom i działania w ich imieniu; trzeba umieć odważyć się na to; do tego wzywa, tego żąda Kazanie na górze, więc przestańcie się wahać, wy, głupi i leniwego serca“...

Kazanie na górze wydobywa nas z wiecznego błędnego koła akcji i reakcji, ucząc, że dla tych, którym nakazano być „solą ziemi“, jedyną godną drogą do wyjawienia i zrealizowania w sobie obrazu i podobieństwa Bożego jest skupienie sił wszystkich w szukaniu Królestwa Bożego, a Królestwo Boże to nie sen poety, lecz pojęcie ściśle, określone wyrazem sprawiedliwość: „Szukajcież tedy Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego“... Oto dla czego nie wolno odrywać polityki od idei chrześcijańskiej. Innej, silniejszej antytoxyny, jak się wyraża Förster, przeciw wszelkim zarazkom naturalnych samolubnych podniet i popędów nie znajdujemy. Ale jak strasznie biczowaną będzie ludzkość, ile czasu upłynie, zanim opatrnościowa różga nie wypędzi jej z bagna ma-

*) Por. s. 46. **) Por. s. 49.

terjalnych interesów i nie nauczy jej rozumieć, że polityka poddana być musi porządkowi moralnemu świata, i że „cała wysławiana technika nie zapewni nam nawet chleba powszedniego, jeśli prawo miłości zniknie z widnokregu cywilizacji“ *).

Wiara w Chrystusa bez wiary w obowiązującą moc tego, co on mówił tam, na górze, jest do niczego. Albowiem Chrystus nie jest filozofją, lecz życiem, i tylko przez życie pojętym może być i zasymilowanym. Słowa Jego nie mają nic do czynienia z tym instynktem samozachowawczym, z którego robimy zasadę polityki; polityka taka, uznająca tylko fakt walki o byt, prowadzi za sobą zubożenie człowieka, nawet z czysto biologicznego stanowiska, bo powstrzymuje i tłumi te najwyższe aspiracje i siły duszy, bez których nie może być mowy o rozwiązaniu wszystkich zagadnień międzynarodowych, o uporządkowaniu wszystkich ścierających się ze sobą dążeń i „praw do życia“ (*Lebensrechte*), z których każde powołuje się na sprawiedliwość i prawdę i w każdym jest cząstka słuszności. Biologja powinna znaleźć ujście swoje w teologii, ale takiej, któraby odważnie wzięła na siebie skierowanie całego procesu życia, wszystkich prądów tam, skąd grzmi wołanie: „Bądźcież wy tedy doskonali, jako i Ojciec wasz niebieski doskonałym jest“ (M. V. 48).

Nie wiemy, jak i kiedy to się spełni i czy nawet da się wykonać. O to chodzi, czy bez pomocy Kazania na górze jeszcze można iść dalej i wyobrażać, że świat bez przerwy drogą postępu toczyć się będzie. Odpowiedzi na to nie dadzą ani filozofja, ani polityka. Jaką zaś odpowiedź ta być powinna, domyślimy się chyba dziś, teraz, w otchłaniach bezradnej nędzy materialnej i moralnej, w którą nas zagnał bicz wojny. Nie wybawi nas żaden pacyfizm, żadna liga narodów, wszystko to będzie zamkiem na lodzie, żartem gorzkim, dopóki nie wydzwignie się ludzkość z trapiącej ją straszliwej niemocy. Wszystkie tkwiące w naturze człowieka zarodki zepsucia i zwyrodnienia, wszystkie skutki nagromadzonych przez wieki zbrodni i grzechów wybuchnęły w końcu w tem rozpamiętaniu namiętności, w tej pokusie do materialnego zawładnięcia światem, której owocem—wojna ostatnia. Niechże --kończy Förster ten ustęp — otworzy ona oczy ślepych,

*) Por. s. 50.

niech nauczy, że człowiek-zwierzę nie da sobie rady z ciężąciami nad nim zagadnieniami i zadaniami polityki, że nie zdoła ich ująć i rozwikłać inaczej, jak z pomocą Boga-człowieka.

4.

Znaczenie książki Förstera stanowią nie tyle zasady chrześcijańskiej polityki, które ona tak wymownie i energicznie głosi — w tem miał Förster poprzedników, nawet wielkich, jak Włodz. Sołowjew — ile to, że głosząc je, ani na jedną chwilę nie traci on z oka rzeczywistości i że ze stanowiska polityki chrześcijańskiej porusza, a raczej poruszał sprawy Belgji, Polski, pokoju Brzeskiego i to w chwili, gdy nikt w Niemczech nie wątpił jeśli nie o zupełnem zwycięstwie, to przynajmniej o mniej lub więcej pomyślnym końcu wojny. Poruszając zaś wymienione sprawy, piętnował „nacjonalistyczną psychozę“, ogarniającą nawet ludzi subtelnych i szlachetnych, gromił tego ducha pruskiego militarizmu, który z feldfeblowskim tupetem załatwiał jednym cięciem rzeczy, wymagające wielkiej przezorności i delikatnego dotknięcia. Wszak dla chwilowej korzyści, mówi on, rozpętano w Polsce przeciw państwom centralnym całą moc jej nienawiści*). Czyż fakty podobne nie są dowodem, że naród niemiecki zapadł na ciężką chorobę umysłową i że w przystępach obłąkania, bez głowy i bez serca, depce święte dla innych tradycje i prawa wbrew zasadom, które prąd dziejów z siebie wylania i do których należy przyszość**).

Ale nie sami Niemcy są winni. Cechę znamiennej epoki naszej stanowił rosnący kontrast między zewnętrznem społecznieniem, które wyrabiał postęp cywilizacji, a wewnętrzną dzikością, która w zdobyczach techniki zyskiwała straszny oręż***). Wszystkie narody wzajemnie siebie zarażały materializmem swoim; niechże każdy zbada teraz własną narodową formę wspólnej winy.

I kierując się ewangeliczną zasadą, że nie wolno szukać źdźbła w oku bliźniego, gdy własne oko jest chore, Förster skupił całą uwagę na grzechach swojego narodu. Zrzadka zaś i mimochodem poruszając stosunek innych państw i narodów do wojny, przy każdej sposobności daje on wyraz przekonaniu swemu o uczciwości przeciwnika.

*) Por. s. 54. **) Por. s. 102. ***) Por. s. 6.

Więc za dobrą monetę bierze on enuncjacje angielskich mężów stanu z roku 1917, że odrzucili oni niemieckie propozycje pokojowe nie dlatego, iżby chcieli jakichś oszałamiająco świetnych zwycięstw, ale że pokój w ówczesnych warunkach zawarty byłby pokojem względnie pomyślnym dla Niemiec i zostawiłby całą „maszynę militarną” w ręku ludzi, których myśl od szeregu pokoleń kierowaną była ku wojnie i z drogi tej już nie jest w stanie zejść*). Z naiwnością człowieka gruntownie prawego wierzy on, przynajmniej wierzył w roku 1918 temu, że państwom Ententy chodziło nie o zdobycze jakieś, lecz tylko o pewność, że ludzkość na zawsze wolną będzie od zmory nowych wojen**). A zatem państwa te, zwłaszcza obydwa państwa rasy anglo-saksońskiej, których uosobienie widzi Förster w osobie Wilsona, „tego przedstawiciela staroego, a w życiu duchowem Ameryki silnego elementu purytańskiego” miały w czasie wojny moralne pierwszeństwo przed Niemcami. Przechowały one odziedziczoną spuściznę starogermańskich tradycyj i umiały je rozwinąć w „duchu poszanowania indywidualności ludzkiej i zasadę tę za czasów naszych wcielały w czyn w stosunku do indywidualności narodowych***). W przeciwieństwie do tego Niemcy, w przejściu się swojem ideą organizacji, tłumili wolność u siebie i u obcych, tłumili w imię martwej jednostajności zunifikowanego państwa. Słowem, żądając pokoju takiego, któryby zapobiegł i tamę położył wojnom w przyszłości, państwa Ententy stały nietylko na gruncie moralnym, ale zarazem na twardym praktycznym gruncie. Niema bowiem, według Förstera, dzikszej utopji, jak przypuszczać możliwość nowego zbrojnego pokoju, nowych rujnujących zbrojeń, które, wobec ciężkich postępów w technice niszczenia, trzymałyby świat w moralnie zabójczym strachu przed grozą wybuchu nowej katastrofy, przewyższającej rozmiarami wszystkie, jakie były dotąd.

A jednak stało się to, co autor za „dziką utopję” poczytywał. W dniu 14 sierpnia 1920 roku Warszawa miała lada chwilę upaść pod ciosami armji czerwonej, nad Europą wisiała wskutek tego katastrofa „przewyższająca rozmiarami wszystkie, jakie były dotąd”. I jak Europa reagowała na to? Rząd najpotężniejszego z mocarstw już gotów był — z własnej woli, czy też pod naciskiem stronnictw lewicowych — rzucić rozbrojoną Polskę na łup bolsze-

*) Por. s. 187—183. **) Por. s. 198. ***) Por. s. 118.

wizmowi, a sam przed potworem korzył się, wchodząc z nim w upakarzające układy...

Ale, choć w szlachetnem oburzeniu na błędy i grzechy narodu niemieckiego względem idei polityki chrześcijańskiej, Förster pobłażliwie traktował uchybienia przeciwników, jednak nie mógł tego nie widzieć, że program ligi narodów, z którym występował Wilson i który przyjęły państwa Ententy, nie był zbawieniem dla ludzkości. Demokratyczny idealizm potomków kwaków i purytanów — pisze on *) — spletał się w nim z nawskróś praktycznym amerykańszmem, który, patrząc na wojnę jako na przestarzałą i dla przemysłowo handlowych przedsiębiorstw szkodliwą metodę wyrównywania międzynarodowych rywalizacji, postanowił zmajoryzować niebezpieczne Niemcy i zarazem unieszkodliwić Japonję z jej daleko sięgającemi, a groźnemi dla Ameryki zamiarami; słabą przeto stroną programu Ligi jest to, że sprawa powszechnego pokoju została w nim jednostronnie ujętą ze stanowiska, jak trafnie wyraża się Förster, pacyfistycznej techniki. Dla tego to wygląda on tak biado i tak abstrakcyjnie; daje on dowód, że ani Ameryka, ani Anglja, ani Francja nie są zdolne do wytworzenia duchowo moralnego rozczynu, któryby utrzymać zdołał przyszłą wspólność narodów.

5.

Więc kto ją utrzyma? Tu Förster dał się unieść marzeniu: „Świat cały czeka na to, aby z głębin starego niemieckiego idealizmu, starej niemieckiej umiejętności budowania życia na podstawach federacyjnych wytrysnął prąd, wprowadzający w czyn ideę sprawiedliwości międzynarodowej, która w epoce naszej jedyną jest polityką realną tak dla nas, jak i dla wszystkich“**). Ideę federacji znalazł Förster u nieocenionego za życia, a znakomitego publicysty Konstantyna Frantza, który między 1870 a 1880 rokiem gwałtowną staczał walkę z nacjonalistycznym centralizmem przez Bismarcka i jego chwałców narodowi niemieckiemu wpojonym, a przeciwstawiał temu federalizm, jako najczystsze odbicie chrześcijaństwa w polityce, jako ideę, którą warunki historyczne narzuciły Niemcom i która w narodzie samym podatny dla siebie znalazła grunt.

*) Por. s. 110. **) Por. s. 121.

Frantza Förster wydobył z pod kurzu zapomnienia i streścił go w swojej Etyce politycznej *).

Wielkie—czytamy tam**)—światowe zadania Niemiec, które Bismarck tak gruntownie ignorował, wypływają z owego ponadnarodowego powołania (übernationaler Beruf) narodu niemieckiego, które znalazło dla siebie wyraz w idei „Świętego Rzymskiego Cesarstwa niemieckiej nacji“ (das heilige Römische Reich deutscher Nation) idei, która odpowiadała zarówno najgłębszym aspiracjom jak i organizatorskim zdolnościom duszy niemieckiej. Stare bowiem cesarstwo było czemś więcej, niż do wyższej rangi awansowaniem królestwem, było instytucją nie narodową, lecz ponad narodową w tem znaczeniu, że Niemcy stanowiły tam łącznik między narodami chrześcijańskimi germańskiego, słowiańskiego i romańskiego pochodzenia. Obejmując je, cesarstwo stwarzało warunki dla wspólnej pracy kulturalnej najrozmaitszych ras. Dzięki temu możliwem było zjawisko takie, że Włoch Dante, stając na stanowisku wielkiej, światowej, chrześcijańskiej polityki, z zapalem składał hołd cesarzowi niemieckiemu i pragnął prymatu jego dla całych Włoch. Tę wielką, ponad różnice narodów wyniesioną ideę, Niemcy dźwignąć mogły na barkach swoich tylko dzięki temu, że u siebie w domu były ciałem federacyjnem. Ich federalizm stanowił wzór dla przyszłego ustroju świata. Reformacja ideę tę rozbiła, jej miejsce zajął wycieńczający Niemcy partykularyzm, przeciw któremu nastąpiła reakcja, która za dni naszych dała w wyniku scentralizowanie Niemiec pod hegemonją pruską. Było to w istocie rzeczy niczem innem, jak zwycięstwem jednego partykularyzmu nad kilku innymi. Twórcę tego, Bismarcka, uważa Förster za zdecydowanego praktyka, oportunistę, wolnego od wszelkiej ideologii, dostosowującego się do wymagań danej konkretnej sytuacji. Losem ludzi takich zwykle bywa to, że więzną w wyobrażeniach i pojęciach chwilowo panujących, a bez widoków na przyszłość — i Bismarck uwiązał w teorii nacjonalistycznego państwa, jako podstawy do potęgi politycznej. Państwo, które stworzył, było odszczerpieniem od wielkich tradycji kultury niemieckiej, od wielkiej uniwersalistycznej misji narodu.

*) „Politische Ethik und Politische Pädagogik“ str. 257—335. Rozdział ten autor wydał osobno p. t. „Centralismus oder Föderalismus“, München 1920.

**) Por. s. 259—260.

I wraz z Frantzem wyraża Förster swój żal, że w krótkowzroczności swojej przeoczył Bismarck ową jedyną, wspólną sposobność, którą nastęczało powstanie polskie w roku 63, do spełnienia wiekopomnego dzieła. Prusy wraz z Austrią powinny były wówczas ująć się za Polską, dać jej zbrojną pomoc. Rosja zostałaby nazawsze odepchnięta na Wschód, między Prusami a Polską stanęłaby unja na podstawach federacji i na tych samych podstawach Austrią, mając wolną rękę na Wschodzie Bałkańskim, połączyłaby się z bałkańskimi państwami i plemionami. Zabezpieczony od barbarji rosyjsko-wschodniej ten wielki Środkowo Europejski Związek stałby się rękonią trwałego pokoju, chwałą Niemiec, ducha niemieckiego, zarówno w sferze politycznej, jak i w sferze moralnej... To samo podług Förstera zadanie stoi nadal przed Niemcami, ale w jak niesłychanie trudnych warunkach musi być wykonywane!*)

Czas nagli — pisał Förster w zakończeniu do *Weltgewissen und Weltpolitik*— „jest 5 minut do dwunastej; sytuacja staje się groźną; niechże więc sfery kierujące, głuche dotąd na głos rzeczywistości, zechcą zrozumieć czego od nich żąda świat, niech w tej stanowczej chwili spróbują w innym, niż dotąd, szlachetniejszym stylu porozumieć się moralnie z najlepszymi elementami w narodach Ententy“... „Kto nie czuje, że słowa moje płyną z głębi niemieckiej duszy, ten już utracił czucie prawdziwej niemieckiej tradycji“... „W ciężkim kryzysie, przez który Niemcy przechodzą obecnie, narodowy rachunek sumienia staje się najniezbędniejszym postulatem rzetelnej kultury religijnej“... „Nie z inteligencji, ale z pokuty, z oczyszczenia i przeobrażenia duchowego przyjdzie ratunek“. Niestety, ten czas wydaje się jeszcze dalekim... „Może w potopie rozhukanych namiętności, jakby za karę, własnymi rękami burząc i niszcząc to wszystko, cośmy dotąd bezbożnie czcili, o rzeczy najważniejszej zapominając, poznamy, że jest Bóg, że sędzią jest sprawiedliwym, a strasznym, który zemstą srogą ściga odpadnięcie stworzenia od swojego Stworcy i chłostą doprowadza nas do świadomości przeznaczeń naszych w tym bycie doczesnym“.

Tak myślał, tak pisał filozof niemiecki w pierwszej połowie roku 1918. W myśl ewangelicznej zasady o nieszukaniu źdźbła w oku bliźniego, surowy względem swoich

*) ib. por. s. 264.

skłonny był do usprawiedliwiania obcych. Sądzymy, że w tem usposobieniu swojem zachwiał się po traktacie Paryskim roku następnego.

„Czy pokój ten — pyta on — jest symbolem ducha?*)

Nie. Ani ludzie, których nowe Niemcy do Paryża wysłały, ani ten, którym przemawiali, nie przełamał, nie nie mógł przełamać nieufności przeciwników. Ci zaś stanęli na stanowisku podziału narodów na czyste i nieczyste — i oni, czyści, dyktowali warunki nieczystym. W rzeczywistości jednak warunki te nakładał ten prawdziwy i samowładny, a bezduszny pan świata — wielki kapitał, który w działaniach swoich wyłącznie się rządzi prawami, dynamiki ekonomicznej i, uważając wszelkie uczucia ludzkie za błędy w rachunku i za sprzeniewierzenie się powierzonym interesom, staje się, jak słusznie powiedział niedawno poeta i mędrzec indyjski Rabindranath Tagore, wcieleniem pryncypu zła w cywilizacji Europejskiej i przyczyną grożącego jej, bliskiego, a nieodwołalnego krachu.

Ten wielki pan, którego u nas Wojciech Dzieduszycki tak świetnie pod nazwą Lewiatana w pismach swoich przedstawiał**), jako rzeczywistego sprawcę wszystkiego, co się na widowni świata dzieje, począwszy od rzeczy mniejszych, jak zamachy lub królobójstwa, a kończąc na wojnach i rewolucjach, bo wszystko to potrzebne mu jest, „ażeby mógł spać spokojnie“ — ten Lewiatan przykrył się na Kongresie Paryskim zasadą opieki nad małemi narodami, mocą której narody te mają prawo same o sobie, o swoim bycie i ustroju politycznym stanowić. Ale zapomniano tam, że, słuszna w istocie swojej, zasada taka staje się pierwiastkiem rozkładu, gdy jej nie uzupełnia i nie uszlachetnia wyższa idea, bo nie o to chodzi, mówi Förster, że sam o sobie mam stanowić, ale o to, w jakim celu to czynię i do czego siebie przeznaczam. Wzajemne stosunki narodów europejskich zanadto w ciągu wieków spletały się ze sobą, ażeby z powikłania tego mogła wyprowadzić abstrakcyjna zasada samostanowienia — i jej proklamacja rozpasła tylko wszystkie ciasne i bezgłowe egoizmy rozmaitych grup narodowościowych. Wolność nakłada surowe obowiązki, przedewszystkiem zaś obowiązek wyrzekania się osobistych pożądań i podporządkowania

*) „Betrachtung zum Pariser Friedensvertrag. Zürich, 1919.

**) W „Mesjanizmie Polskim“, Kraków, 1902 i wydanej po śmierci autora książce, „Dokąd nam iść wypada“.

ich wyższym koniecznościom ze współżycia narodów wynikającym. Tego nie uwzględniono; chciano w Paryżu pogodzić dwie wzajemnie wykluczające się rzeczy: z jednej strony pokój, którego wyrazem byłaby Liga narodów, oparta na rękojmiach moralnych, z drugiej — egoizmy narodowe, szukające z natury swojej oparcia w militarystyce. Jakgdyby sądzono, że jedno z drugim da się na trupie powalonych Niemiec zgodzić ze sobą zlać.

Niezawodnie zawinili Niemcy dużo; przegrali — i przedstawiono im rachunek do wypłaty ogromny, przechodzący ich siły. Nie zdziwiło to ich jednak, byli do tego przygotowani, ale, skarży się Förster, dla czego nam odmówiono ludzkiej pomocy w umorzeniu rachunku tego? „Patrząc na zbrodnicze zniszczenie północnej Francji, za które odpowiedzialnym jest Niemieckie Dowództwo Naczelne, uprzytomniając sobie, ile Francja dała światu, Niemcom, bylibyśmy gotowi w pragnieniu naprawy szkód, które wyrządziliśmy, iść do możliwie najdalszych granic, jednego tylko dla siebie żądając, ażeby zwycięscy w swojej metodzie ściągania odszkodowań kierowali się w stosunku do nas nowym duchem“. Tymczasem postawili oni nas w roli jedynych winowajców, siebie zaś w roli sędziów i wykonawców, których żaden zarzut nie obciąża, — nie pomni tego, że wina Niemiec ma korzenie swoje w zbiorowej winie całego świata, mianowicie w anarchicznej konkurencji wielkich mocarstw. w ich dążeniu do potęgi, w obłędzie nacjonalistycznej próżności, w tem ogólnem zdriczeniu myślenia politycznego, które w Niemczech objawiło się w większym stopniu i z większą konsekwencją, niż w innych krajach“. Tej solidarności winy, na gruncie której grzech Niemiec spleta się ściślej z przeszłości i teraźniejszości grzechami wszystkich innych narodów, oni w faryzeizmie swoim uznać nie chcieli. Dla tego pokój, — kończył Förster — który oni nam ofiarują, jest przedłużeniem wojny — i taki pokój powinniśmy odrzucić.

Pokój ten jednak Niemcy przyjęły. Odtrącone od rzeszy narodów, mają one, mimo to, te same przed sobą zadania, które miały przed tem, a od których odciągał je ów Bismarck swa h. n. Będąc geograficznie centralnym w Europie narodem, niech nim będą duchowo, niech wskrzeszą wielkie uniwersalistyczne tradycje przodków swoich, których wyrazem politycznym jest federalizm, czyli „rzetelna jedność dwóch albo kilku, zamiast ucisku jednego

przez* drugiego, mniejszości przez większość, jednego przez wielu“ *).

Wśród nawoływań do polityki chrześcijańskiej, jakie słyszeliśmy dotychczas, jedno głoszone były ze stanowiska bezwzględnej negacji całego porządku świata, czyli utopją były, jak u Lwa Tolstoja, nie zaś polityką; inne — np. Włodz. Sołowjewa — dostosowując się do rzeczywistości, miały na widoku pewne określone kwestje; inne wreszcie były natchnionem przecuciem, jak w poezji naszej i filozofji, czegoś, co w nieokreślonej jakiejś, dalekiej przyszłości spełnić się powinno. Poprzedników swoich Förster tem przewyższył, że politykę chrześcijańską starał się objąć w jej całości i przedstawił ją, jako konieczność, wynikającą z warunków przez wojnę wytworzonych, konieczność, którą świat pod groźbą zagłady całej cywilizacji przyjąć musi.

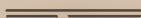
• Czy ją przyjmą Niemcy, czy słowa Förstera wywołają przewrót podobny do tego, jaki przed stu laty wywołały słowa Fichtego?

Niestety, zdaje się, że nie. Fichte bowiem szedł z falą, Förster sięgnął głębiej i stanął przeciw fali. Prusy w roku 1806 padły pod uderzeniem wielkiego wojownika, z winy złej organizacji, niedostatecznego przygotowania, nieudolnych wodzów, dyplomatów, urzędników. Moralnie nie miały sobie nic do zarzucenia, pragnienie zaś zrzucenia jarzma Napoleońskiego było uczuciem powszechnem, któremu Fichte umiał dać wspaniałe silny wyraz i, zgodnie z intelektualnymi potrzebami ziomków swoich, umiał je ugruntować filozoficznie, na głębokiej podstawie poglądu na świat, który imponował nowością, głębokością, śmiałością. Dziś, przeciwnie, Niemcy padły nie z winy jenerałów — ci okryli siebie nieśmiertelną sławą, przeoczenia zaś dyplomatów miały znaczenie drugorzędne — padły z winy całego społeczeństwa, z winy imperjalistycznego pangermanizmu, który je ogarniał, który postrachem był dla świata i spowodował wielką ligę narodów przeciw Niemcom. Czyli część, znaczna część moralnej odpowiedzialności za wojnę spada na Niemcy. I dlatego zwrócił się Förster nie do uczucia patriotycznego, ale nierównie głębiej, bo do sumienia i wzywa nie do nowej wojny, nie do odwetu, ale do rachunku sumienia i do odrodzenia moralnego — i nie po to wzywa, aby odrodzone, wzmocnione

*) „Zentralismus oder Föderalismus“ 1920 w przedmowie.

Niemcy mogły zapanować nad światem, lecz po to, by stały się członkiem odrodzonej ludzkości. Nie do Niemców tylko mówi, jak niegdyś Fichte, ale przez Niemcy do wszystkich narodów świata.

Usłyszany nie będzie; nie umniejsza to jego zasługi; w chwili, w której stary świat się wali, a nie widzimy, z czegoby nowy mógł powstać, głos taki koniecznym był, jako protest sumienia chrześcijańskiego przeciw potędze mrocznych potęg świata.





III.

Konstantyn Frantz a prusko-polska utopja.

1.

Exilium corporis, paradisus animae—tak się wyrażał w starości Szafarzyk, z rozrzewnieniem wspominając o latach uniwersyteckich, spędzonych w Jenie. Słowa jego wymownie świadczą o uczuciach sympatji i czci, które Niemcy z pierwszej połowy wieku XIX budziły wśród tych nawet, co stanąć mieli na czele odrodzenia narodów słowiańskich. Wspominałem o tem w roku zeszłym w rozmowie ze znakomitym uczonym niemieckim. Szczegół ten widocznie go wzruszył „Nie wątpię — zapewniał mię — że owe stare Niemcy wrócą jeszcze, ale sporo czasu i walk upłynie, zanim Bismarkowski obłęd (*der Bismarkswahn*) uznanym zostanie nareszcie za błąd“.

Niemcy są dokładni i gruntowni; wszystko, co robią, robią z namysłem; nietylko z rozważeniem następstw, ale ze świadomością i uzasadnieniem pobudek; nad wszystkim w zakresie czynności swoich filozofują — i ów „*Bismarckswahn*“ nie był u nich objawem namiętności jakiejś, która nie wiedzieć skąd przyszła i ich pochłoneła; miał swoją głęboką, mocną, filozoficzną podstawę w nauce Hegla, z tą deifikacją państwa Pruskiego, która była jej ostatniem słowem i zarazem, według prof. Förstera, źródłem całej tragiki nowoczesnych dziejów Niemiec. Chcąc przeto skutecznie zwalczyć politykę, która w osobie Bismarcka znalazła swoje najwyższe wcielenie, trzeba było też jej jakąś filozofję przeciwstawić, aby na niej się oprzeć.

Gdy Hegel podbijał umysły potęgą dialektyki swojej, która, zacierając różnicę między Bogiem a światem, siebie

zuchwale wysławiała—bo w niej, w filozofującym rozumie, Bóg dochodzi do świadomości, czyli staje się Bogiem — i wysławiała państwo, bo państwo jest przejściem Boga ze świadomości w czyn — wielki współzawodnik Hegla, Schelling, rozgoryczony do świata, że go rozumieć nie chciał, wdychał za ukryciem i „gdyby to odemnie zależało — pisał do przyjaciela — imię moje nie zostałoby więcej wymówione“ *).

Nie umiał pogodzić się z filozofją, która głosząc religijną cześć dla państwa, tem samem usprawiedliwiała ówczesny porządek polityczny świata, nad którym, jak mówił, ciążyła zbrodnia rozbioru Polski **). Przewidywał zgubne w przyszłości działanie filozofji tej w kierunku prusyfikacji Niemiec i w r. 1849 protestował w jednym z listów swoich przeciwko próbie stworzenia scentralizowanych Niemiec (*homogenes Deutschland*), gdy chwałę Niemiec stanowi właściwie to, że są oni *ein Volk von Völkern*, żywą jednością w różności, przeciwieństwem martwego ujednolajnienia, które wynika z centralizmu ***).

I na Schellingu oparł się Konstantyn Frantz (1817—1891) pisarz, którego cała działalność publicystyczna i naukowa była od początku do końca nieustającą, energicznie i konsekwentnie prowadzoną walką z Bismarckiem i Bismarckjanizmem. Zapoznany z tego powodu za życia, odgrzebany został z niepamięci dopiero w czasie wojny, gdy, zgodnie z przepowiednią jego, dzieło żelaznego kanclerza poczęło się chwiać. Doniosłe, ogromne jego znaczenie podniósł Förster w swojej „Etyce politycznej“.

Schelling przerósł epokę swoją głębokiem zrozumieniem i odczuciem tragiczności bytu. Patrząc na potęgę zła, metafizycznie tłumaczył on świat, jako wyjaw czegoś w Bogu, co Bogiem nie jest, a—co on nazywał „naturą w Bogu“. Tę naturę mógł Bóg stłumić, ukryć w sobie, w takim razie nie byłoby zła, ale i nie byłoby dobra. Przez to, że Bóg dopuścił naturę do uzewnętrznienia się, sen Boży przekształcał się w życie. Świat — to obraz walki Boga ze swoją własną naturą. Najwyższym wyrazem tej uzewnętrzniającej się „natury w Bogu“ jest człowiek — i dlatego jest on istotą najtragiczniejszą, o której jedno-

*) M. Zdziechowski. „Pessymizm, Romantyzm, a Podstawy Chrześcijaństwa“. Kraków 1914. Por. T. I, str. 259.

**) Ibid s. 259.

***) Patrz Fr. W. Förster.¹ „Politische Ethik u. Politische Pädagogik“. München 1918. Por. str. 277.

czesnie powiedzieć można, że powinna być i nie być. Powinna nie być, bo stała się tem, czem jest, jaźnią, przez oderwanie się od Boga, które Kościół grzechem pierworodnym nazywa, ale oderwanie się było warunkiem jej rozwoju, więc powinna być, a rozwój zakończyć się musi tryumfem wiekuistego życia w Bogu...

Cała ta nie każdemu dostępna metafizyka poematem była, jak każda metafizyka, ale poematem duszy głęboko wzburzonej Heglowskimi roztopianiem Boga w człowieku. Człowiek bogiem nie jest i nie jest boskiem jego dzieło; „groza (*das Schreckliche*)—słowa Schellinga—jest rzeczywistą i zasadniczą ośnową wszelkiego życia i bytu“... „trwoga — zasadniczym uczuciem każdej żyjącej istoty“. I nad światem, który Hegel przedstawiał, jako suchą dialektykę, jako stopniową, a dokonywaną z pedantyczną ścisłością manifestację Idei absolutnej (tak Hegel Boga określał), roztoczył Schelling „pośepny, ale wspaśniały odblask poezji olbrzymich zapasów ducha z materją, krwawych udręczeń, rozpaczliwych upadań, ciężko okupowanych zwycięstw, którym przyświeca daleki, bardzo daleki świt nadziei ostatecznego tryumfu *).

Współcześni nie śmieli podążać za Schellingiem, dla tego wielką myśl wielkiego filozofa spróbował Frantz wyłożyć, wyjaśnić, spopularyzować **).

„Słów Schellinga—pisał on w przedmowie do książki swojej — słuchano z podziwem: robiły wrażenie czegoś wielkiego, nadzwyczajnego, ale ktokolwiek tę nadzwyczajność wchłonać chciał w siebie, ten się przekonywał, że jego organizm duchowy nie był w stanie jej strawić, zasymilować. Co gorzej, nie umiano ocenić praktycznej doniosłości nauki Schellinga, tego mianowicie, że tylko z jej pomocą mógł się utrzymać chrześcijański pogląd na świat przeciw atakom nieprzyjaciela, przeciw coraz bardziej rozwieleniającemu się pod wpływem nauk przyrodzonych kierunkowi i sposobowi myślenia, według którego ten świat, to życie nie jest czemś przejściowym, jak uczy religja, ale prawdziwym, *rzeczywistym* światem i życiem. Ale jeśli tak, mówi Frantz, to śmierć jest *rzeczywistym* końcem człowieka—i widzimy, jak wiara w nieśmiertelność

*) M. Zdziechowski. „Pessimizm, Romantyzm, a Podstawy Chrześcijaństwa“. Por. t. I, str. 265—267.

**) W książce „Schellings positive Philosophie“. Cöthen 1879—1880, trzy tomy.

słabnie w czasach naszych*). Empiryzm i materjalizm biorą górę, a kto utorował temu drogę jeśli nie Hegel, nauczając, że wszystko, co jest, jest rozumne, bo jest wyrazem zawartej we wszechświecie i stopniowo realizującej się idei absolutnej. Hegel, choć starał się nadawać nauce swojej pozór zgodności z chrześcijaństwem, pozostawiał jednak wyznawców swoich w niepewności, czy owa idea absolutna jest żywym Bogiem, który stworzył człowieka i przed którym człowiek odpowiedzialnym jest w tym życiu i w przyszłym. Teoretycznie filozofia Hegla przez panteizm prowadziła do negacji Boga i nieśmiertelności—i w tym kierunku poszła t. zw. lewica Hegłowska; praktycznie zaś wznawiała i polegowała starożytny kult państwa, bo im bardziej zaciera się i ginie przed myślą *tamten* świat, tem bardziej rośnie znaczenie państwa, jako jedynej siły, zapewniającej ład w *tym* świecie. A idea omnipotencji państwa staje się wiecznie płonącym zarzewiem rewolucji, bo w dążeniu swoim do urzeczywistnienia wielkiej chimery o szczęściu na ziemi, człowiek nie ma i nie widzi wtedy innego środka, jak zawładnięcie państwem.

Samoistność, wielkość Schellinga na tle prądów epoki, które pędem szybkim w stronę nihilizmu szły, polega na tem, że tak niezmiernie głęboko i żywo czuł obecność transcendentálnego pierwiastka w człowieku, wznoszącego się ponad naturę, w której człowiek wszystkiemi korzeniami jestestwa swojego tkwi. „Niech sobie empiryzm, mówi Frantz, nagromadza całe góry dowodów, że niema Boga i nieśmiertelności i że zatem niema zadań, wiążących człowieka z jakimś bytem wyższym, nie odpowie on, skąd się biorą te wyobrażenia o bycie czystym i o Bogu“. Dziś nazywamy je objawieniem wewnętrznym i na objawieniu tem, na skarbach tych ukrytych w duszy, na prawdzie, k'órą człowiek nosi w sobie, często o niej nie wiedząc, zbudował Schelling filozofję swoją, którą słusznie nazwał *pozytywną* w przeciwieństwie do innych ówczesnych systemów mniej lub więcej wyraźnie zmierzających ku negacji. Schelling był wskrzesicielem idealizmu, idealizmu zaś istota w tem, że wyprowadza naturę z ducha i tem samem stwarza podstawę naukową dla religijnego poglądu na świat**). Wprawdzie przed Schellingiem w tym samym duchu działali Kant i Fichte, ale ani jeden

*) Ibid. tom I, por. str. 247—248.

**) Ibid. str. 252—253.

ani drugi nie zdolali otrząsnąć się z pod wpływu ciężącej nad całą filozofją nowoczesną nauki Kartezjusza, która swoją zasadą zwątpienia o wszystkim z wyjątkiem tego, że „myślę, więc jestem“ (*cogito ergo sum*), zrywała związek z tradycją, z przeszłością filozofji i rzucała się w subiektywizm *). Dla tego to tak łatwo nad Kantem i Fichtem odniósł zwycięstwo Hegeljanizm, który w istocie swojej był nieuświadomionym ultrasubiektywistycznym racjonalizmem, apoteozą własnej myśli, która do idei Boga dochodząc, staje się Bogiem samym.

Choć wszystko, co jest, według Hegla, jest rozumne, jako wyraz idei absolutnej, jednak widzimy, pisze Frantz, że zwierzęta wzajemnie się pożerają, ludzie zaś jedni drugim rozbijają łby **), a to już chyba rozumne nie jest. I w walce z bezrozumem, który jest najwyższym panem świata, nie znajdziemy oparcia mocniejszego nad idealizm, zwłaszcza w postaci, jaką mu nadawał Schelling, łącząc afirmację nieśmiertelności i wolności z tak głębokiem i odważnem wniknięciem w tę noc chaosu, jaką jest świat w oderwaniu od Boga. Idealizm ten jednak dalekim był od gwaru życia, tymczasem Frantz całe życie swoje poświęcał najbardziej palącym zagadnieniom chwili. Łatwiej też dopatrzyć się bezpośredniego związku naprz. między apoteozą Bismarcka i jego polityki u Treitschkego, a filozofją Hegla, niż między antybismarckjanizmem Frantza, a Schellingiem — i gdyby Frantz dzieła swojego o Schellingu nie napisał, moglibyśmy się nie domyśleć, że był jego wyznawcą, wydawałby się nam tylko szczerym i rozumnym chrześcijaninem. Ale Schelling pogłębił w nim jego chrześcijaństwo; we wszystkich jego pismach czujemy tchnienie tej wielkiej epopei, którą kreślił wielki myśliciel o odwiecznym pochodzie ku Bogu po drogach, piętrzących się trudnościami, po przepaściach, z których potęga zła wyziera, zła, które nie brakiem dobra jest, lub mniejszem dobrem, jak nauczali optymiści, ale siłą pozytywną (*das höchste Positive*), mocą pierwotną, tkwiącą w samej naturze Boga, którą Bóg dopuścił do życia, aby ją zwalczyć i w walce ze złem objawić się sobie i światu. Bez tego Bóg byłby abstrakcją tylko, nie zaś życiem, *damit das Bose nicht wäre, müsste Gott selbst nicht sein* ***).

*) Ibid. str. 250 **) Ibid. str. 4.

***) M. Zdziechowski. „Pessimizm“, Tom I, str. 255.

- 2.

Schelling politykiem nie był, Schellingjanizm zaś, przeniesiony na grunt polityczny, stawał się w przeciwieństwie do wysławianego przez Hegla i jego uczniów abso-lutyzmu państwowego, czynnikiem, budzącym świadomość chrześcijańską, antytezą tego, co zwykle polityką nazywamy. Przytoczyliśmy wyżej słowa Schellinga o Niemcach, którzy stanowią *Ein Volk von Völkern*; rozumiał on przez to, że są oni narodem różnolitym i że owe liczne plemiona, które jeszcze Tacyt wymieniał, zlały się tam w harmonijną całość, zachowując przy tem każde swoją odrębną indywidualność. Dla tego to naród niemiecki wolny od wyłączności, cechującej inne narody, powinienby umieć wyrobić w sobie siłę atrakcyjną, pośredniczyć, zgodnie z położeniem swoim geograficznym, między innymi narodami, dać początek wielkiemu dziełu stworzenia wielkiej chrześcijańskiej rodziny narodów.

Ale jak dalekiemi są jeszcze Niemcy od ideału tego! „Jaki widok żałośny — skarżył się Frantz w przedmowie do jednej z prac swoich *) — przedstawia nasza ojczyzna niemiecka! Naród tak liczny, tak wszechstronnie uzdolniony i pracowity, zamieszkujący ziemię tak piękną i bogatą, a pozbawiony wszelkiego wpływu na świecie, poniżany przez obcych, zmuszony nieraz do wysługiwaniania się im, bezbronny w domu i na obczyźnie!“. Jediną drogą do wyjścia z uposiedzenia tego — jedność, zasadą zaś jednoczenia się powinien być federalizm. Myśl tę głosił Frantz od początku działalności swojej**), tymczasem stwierdzał, że ci, co chcieli ratować Niemcy z ich partykularystycznego rozdrobnienia, rzucili się w przeciwległą ostateczność i dążyli do centralizmu. Ale centralizm jest nietylko sprzeczny z duchem narodu, z jego historją; jest praktycznie niemożliwy; bo dokonać się może albo pod przewodnictwem Prus z wykluczeniem Austrii, albo odwrotnie, z Austriją na czele, lecz bez Prus. Więc centralizm to pomniejszenie Niemiec. I tę „małą niemiecką ideę“ (*klein deutsche Idee*) wziął sobie Bismarck za pochodnię i urzeczywistniał ją, zadając cios Austrii pod Sadową! Było to tryumfem dla Prus, ale katastrofą moralną dla narodu niemieckiego, za którą szła hańbiąca zależność od Rosji.

*) „Kritik aller Parteien“. Berlin 1862. Słowa autora tu i w innych ustępach przytaczam w skróceniu.

**) „Von der Deutschen Föderation“ 1851,

Frantz był jednym z ostatnich w pokoleniu, któremu niebezpieczeństwo, grożące Europie ze strony Rosji, nie dawało snu spokojnego. Ludzie ci patrzali na Rosję, jako na potęgę jeśli nie absolutnie barbarzyńską, to absolutnie obcą, wobec której narody wszystkie i państwa europejskie, pomimo wszystko, co je różnić mogło, powinny były poczuwać się do solidarności. Koleżeńskie traktowanie Rosji w sprawach polityki międzynarodowej uważał za rzecz niedopuszczalną i ubolewał, że dopuszczoną została *). „W narodzie — pisał on **) który nie zawahał się własną stolicę spalić, byle zaszkodzić nieprzyjacielowi, tkwi siła niepojęta, a straszna dla wszystkich narodów z kulturą, — tem straszniejsza, że postawił on przed sobą zdobywcze, światowładne cele, że dąży do nich z żelazną konsekwencją, a posiada warunki do osiągnięcia ich w takim bogactwie i zespole, iż nic podobnego nigdzie na świecie nie widzieliśmy. Po Waragach odziedziczyli Rosjanie ducha odwagi i przedsiębiorczości, po Bizantyńczykach — przebiegłość, po Tatarach — bezwzględność w gwałcie, z kultury zachodniej wzięli wszystko, co korzyść materialną przynieść mogło, i obok tego, polor zewnątrzny, urok wytworności towarzyskiej, którym pociągnąć i usidlić potrafią każdego, z kim mają do czynienia. I pewni siebie, zapatrzeni w swój ostateczny cel, systematycznie posuwają się ku Europie, mając każdą nową zdobycz za chwilowy tylko etap i w każdym zagarniętym kraju wnet się biorąc do niszczenia historycznych i moralnych podstaw jego bytu. Patrząc na tę umiejętność i świadomość w niszczeniu, pisarz niemiecki, przedstawiciel wyższych idealnych aspiracji narodu swojego, czuł w sobie dreszcz trwogi, jak gdyby już widział pędzącego za sobą miedzianego jeźdźca Puszkina z wyciągniętą ręką ku Zachodowi, jak gdyby słyszał głuchy grzmot kopyt jego miedzianego konia. „Czy może upaść — pytał on w ostatniej syntentycznej pracy swojej ***)—państwo takie? Nie; przetrwa wszystkie klęski; bo oprócz nadzwyczajnych korzyści swego geograficznego położenia, prócz niewyczerpanych zasobów i bogactw naturalnych, kryje ono w łonie swoim także siły moralne, które kiedyś grozą napełnić Europę: siłą moralną jest wiara w *Świątą* Rosję i jest ślepe posłuszeństwo, jedno zaś i drugie stać się

*) Deutsche Antwort auf die Orientalische Frage". (Leipzig 1877). Por. str. 85. **) Ibid. por. str. 25.

***) „Der Föderalismus". Mainz 1879, por. str. 390.

mogą w ręku przyszłego Piotra W. młotem, który rozwali stary świat z jego kulturą... I takiej Rosji mają Niemcy służyć!“

Tryumfy roku 1870 ani nawróciły, ani upoiły Frantza. Już w roku następnym trafnie przepowiadał, że wynikiem ich będzie militaryzacja Europy*). „Europa drzeć będzie przed potęgą prusko-niemiecką; Niemcy — przed koalicją europejską. Obie strony poczną się zbroić i zbrojeniu nie będzie końca. Jeśli wielkość człowieka stanowi to, że umiał on dać wykończony wyraz tym prądom, które nieszczęściem są i zgubą epoki, to Bismarck jest niezaprzeczenie wielkim! Ale smutna to, pożałowania godna wielkość! Zamiast harmonii myśli i woli, wola, wprawdzie potężna, impetyczna, wszystkie potęgi łamiąca wola zapanowała nad myślą, lecz tem samem z porządku rzeczy stała się niewolnicą kaprysu swego, czy namiętności.**)

Dzieło zaś, które nie z rozumu i z sumienia, lecz z namiętności powstało, nie może liczyć na trwałość. „Historja z dostateczną jasnością uczy nas, jak niewystarczającemi są powodzenia wojenne i jak niezbędnymi podstawy moralne. Czy w kraju naszym, który krajem myślicieli nazwano, już doszło do tego, że utraciliśmy zdolność do uchwycenia tak prostej prawdy? Czy pracowanie się w filozofji tak nas wyczerpało, że poczęliśmy rozwiązywania wszystkich zagadnień szukać w szabli?***).

Po upływie zaś lat kilku stwierdzał, że tryumf Prus w r. 1870 — 71 był zarazem początkiem moralnego upadku Niemiec: „Świadczy o tem zanik uczuć i przekonań religijnych, zdżiczenie obyczajów, przerażający wzrost przestępstw, który zaznacza statystyka urzędowa“... Szukamy czegoś pocieszającego w dziedzinach sztuki, daremnie; bo czegoż można spodziewać się od państwa, które, stworzone będąc przez samą siłę fizyczną, pozbawione treści idealnej, z samej natury układu sprzyjać musi wszelkiemu materializmowi****).

Ciasne, nacjonalistyczne „mało niemieckie“ cesarstwo, jak je ironicznie nazywał Frantz, nosiło w sobie zaród śmierci, bo było dziełem człowieka, który nie rozumiał ani powołania Niemiec, ani powołania Prus. Pojęcie nie-

*) „Das neue Deutschland“ (Leipzig 1871).

**) „Bismarckianismus und Friedericianismus“ (München 1873), str. 10 — 16.

***) „Das neue Deutschland“, p. str. 17.

****) „Der Föderalismus“ p. str. 236 — 7.

mieckości łączył Frantz z pojęciem szerokiego, wylewającego się na zewnątrz uniwersalizmu duchowego, któryby torował drogę wpływowi politycznemu Niemiec w kierunku wielkiej środkowo-europejskiej federacji, jako moralnego czynnika równowagi i pokoju w Europie: „Austria, dziś zaś szczególnie Prusy — pisał on*) — powinny nareszcie wyjaśnić sobie, że nie mają prawa siebie, jako formy, światu niemieckiemu (*das Deutschtum*) narzucać; przeciwnie, niech zechcą w nim uznać siłę wyższą; niech Prusy i Austria pozostaną wielkimi marchjami na północnym i południowym wschodzie Niemiec, przez które kultura niemiecka przenikać będzie w kraje słowiańskie, stare zaś zachodnie ziemie niemieckie niech się organizują na swoich historycznych podstawach; w ten sposób powstanie nowy, na federacyjnych zasadach oparty związek niemiecki, ku któremu ciążyć poczną, widząc w nim naturalnego sprzymierzeńca i opiekuna, inne mniejsze, sąsiadujące z nim niemieckie narody i państwa.

Niestety, urzeczywistnieniu ideału tego zawadza znamienny epokę naszą nacjonalizm. Wprawdzie wówczas była to jeszcze wiosna nacjonalizmu. Ale Frantz już przeczuwał wszystkie zgubne dla kultury następstwa, z rozpasania nacjonalistycznych apetytów płynące zawiści i nienawiści, proroczem okiem patrzył w przyszłość, widział dzisiejszy Wilsonowski, nie socjalny, lecz polityczny bolszewizm, zmiatający taranem „samostanowienia“ analfabetycznych ludków to, co trudy wieków budowały. „Narody — dowodził Frantz — są twórcami nie Boga, jak chcą nam dziś wmówić, ale tylko historii, więc nie mamy prawa przypisywać im znaczenia *absolutnego*, mają one wartość tylko relatywną“... i „dzisiejsze forsowanie zasady narodowościowej niczem innym nie jest, jak reakcją przeciw absolutyzmowi wieku XVIII, który narody ignorował, upatrując w nich tylko materiał, z którego się wyciskało podatki i rekruta**). Ale reakcja ta zapędziła nas tak daleko, że rzucamy się dziś jedni na drugich, jak dzikie rozjuszony zwierzęta, a proklamowanie zasady narodowości równoznacznem się staje z wypowiedzeniem wojny rozsądkowi (*ein Absagebrief an die Vernunft****).

*) Die Genesis der Bismarckschen Aera“, (München 1874) p. str. 37 — 8.

**) Ibid., por. str. 91 — 2.

***) „Der Föderalismus“, str. 339 — 340.

Przed tem jeszcze, w jednej z wcześniejszych prac swoich ubolewał Frantz nad nieudolną, biorącą skutek za przyczynę, krótkowzrocznością myśli, która się wyjawiała podówczas w rozpowszechnionem mniemaniu, iż formy polityczne są wypływem ducha narodowego. Zgodnie z płasko-demokratycznym nastrojem epoki wyciągano stąd wnioski, że „gdzie jest naród, tam musi być państwo, a gdzie tego nie ma, jest to uciskiem, zadającym gwałt naturze“, więc precz z takim państwem, któreby kilka narodów mieściło w obrębie swoim... „W wyobrażeniach podobnych — czytamy u Frantza — z rozkoszą się zatapiają narody kulturalnie i politycznie martwe, narody upadłe, albo niemowlęce, takie, co nigdy i niczem w historii się nie zaznaczyły. I gdy u Anglików, którzy są narodem politycznie najbardziej wyrobionym, o narodowości mówi się mało, natomiast dużo o celach określonych, praktycznych, wszelkie teorie narodowościowe z ich podszytymi wiatrem projektami znajdują wdzięczny odgłos w Niemczech, we Włoszech, w krajach Skandynawskich, przeistaczają się zaś w dogmaty w Polsce lub na Węgrzech“*). Nie potrzebujemy dodawać, że tych utyskiwań publicysty niemieckiego nie wolno brać w znaczeniu, że był on wyznawcą zasady *cujus regio, illius natio*, przeciwko temu protestował przy każdej sposobności, w słowach zaś powyższych dawał świadectwo wyższości idei federacyjnej nad nacjonalistycznym ekskluzywizmem. „Zastanówmy się — pisał — coby się stało, gdyby państwo każde było „ukonstituowaną wolą narodu“, gdyby granice państw i narodów wszędzie zgadzały się z sobą? Narody, odgrozione jedne od drugich, skamieniałyby i zmartwiałby. Im więcej narodów w państwie, czy ułamków narodowych, tem łatwiej na nich się łamie duch wyłączności, tem bujniej, dzięki wzajemnemu obcowaniu, rozwijać się może życie umysłowe**). I za błogosławieństwo uważać to należy, że prócz państw ściśle narodowych istnieją także państwa różnolite w składowych częściach swoich, jak Belgja, Szwajcarja i w nierównie większym stylu monarchja Austro-Węgierska***).

Przeszkodą na drodze do federacji trudniejszą jeszcze do złamania, niż nacjonalizm, był ściśle z nacjonalizmem skojarzony duch polityki Pruskiej z jej etatyzmem, z Bis

*) „Vorschule zur Physiologie der Staaten“. Berlin 1857.

**) Ibid., por. str. 97 — 8.

***), „Der Föderalismus“ por. str. 348.

marckiem, który ręką żelazną zgniótł Niemcy i w podatne dla siebie narzędzie przekształcił. Jak w wiekach średnich teologia, tak dziś — dowodził Frantz *) — zapanowały nad kierunkami myśli nauki przyrodnicze. Teologia uznaje tylko dwa światy, dwa przeciwieństwa: naturę i łaskę, ziemię i niebo, i w imię nieba poddaje człowieka pod absolutną władzę tych, co są przedstawicielami Nieba na ziemi, namiestnikami Boga. Choć ten teokratyczny ideał urzeczywistnionym został w pełni, z bezwzględną konsekwencją tylko w Kościele katolickim, ale *virtualiter* leży, według Frantza**) na dnie wszystkich wyznań. Dziś pod wpływem reakcji przeciwko religii i Kościołowi, którego teokratyczne tendencje w zbyt rażącym były rozbracie z tkwiącą w osnowie ich ideą Miasta Bożego, pod wpływem zdobyczy w zakresie przyrodoznawstwa, nastąpił odwrót od nieba ku ziemi. Człowieka uznano za produkt natury, w której nie ma miejsca dla wolności, wszystko przeto, co jest jego dziełem, nosi na sobie znamię determinizmu. Państwo wyrasta z instynktowo, nieświadomie działających sił, a zadaniem jego — zaspokojenie bezpośrednich materialnych potrzeb. I miejsce odrywającego od ziemi teokratycznego ideału średniowiecza zajęły dziś nawskroś materialistyczne rojenia socjalizmu. Prawda jednak leży po środku; człowiek jest ziemią i Niebem; tkwi w ziemi, a wie o Niebie... i „niewidzialnym ukrytym błękitem głęb wód i serca związanych z niebios szczytem“.

Więc celem swoim powinien sięgać wyżej, niżby tego chciał socjalizm, ale niech celem tym nie będzie ucieczka od ziemi dla zbawienia siebie w życiu przyszłym, a z pozostawieniem rzeczy ziemskich tym, co w imię zbawienia dusz naszych nas prowadzić pretendują. Nie uciekać, lecz przeobrażać świat należy. Wszak jeśli Chrystusa Zbawicielem świata nazywamy, to świadczymy tem, że na widoku miał on nie tylko wiekuiłą zagrobową szczęśliwość.

A zatem duchowi słowa jego wierni, nieśmy światu politykę chrześcijańską, a tej polityki wyrazem — federacja. Dlaczego Ojcowie ostatniego Watykańskiego Soboru nic w tym kierunku uchwalić nie zechcieli? Jakżeby to podniosło powagę Kościoła, gdyby *ex cathedra* wygłoszono wówczas np. następujące słowa: „Narody i rządy chrześcijańskie powinny czuć się w sumieniu swoim zobowiązanymi

*) „Der Untergang der alten Parteien“ (Berlin 1878).

**) Ibid., str. 135.

do założenia związku chrześcijańskich narodów^{*)}). Polityka zaś chrześcijańska w stosunkach międzynarodowych poprowadziłaby za sobą chrystjanizację stosunków społecznych.

Niestety, nigdy nie rozumiano tego w Prusach, nie o chrześcijańskiej polityce tam myślano, ani nawet o niemieckiej, lecz o tem tylko, jak Niemcy dla celów pruskich wyzyskać, jakie ziemie niemieckie anektować — i temu nadawano mile brzmiącą dla ucha niemieckiego nazwę polityki niemieckiej^{**)}). Interes Prus stawał się tam miarą dobra i zła. Idea państwowa, interesu państwowego jest kluczem do wejścia w głąb ducha pruskiego; nigdy i nigdzie na świecie nie była ona przedmiotem takiego bezgranicznego kultu; zapanowała w nauce. W dniu 3 sierpnia 1870 r. profesor du Bois Reymond w swojej słynnej, stylem koszarowym ułożonej mowie wygłaszał, że „uniwersytet, któremu wyznaczono kwaterunek naprzeciw królewskiego pałacu, jest duchową leibgwardją domu Hohenzollernów^{***)}”. Słowem, wytworzył się specjalnie pruski sposób myślenia, topiący i prawo, i moralność w wymaganiach racji stanu^{****)}).

I walce z Heglem i jego kontynuatorami poświęcił Frantz osobną rozprawę^{*****)}). Stanął w niej w obronie honoru Niemiec, ani słyszeć chcąc o tem, że Hegłowska deifikacja państwa wytworem była ducha niemieckiego. Nie, to tylko ewolucja doktryny, którą Macchiavelli uzasadniał. Macchiavellizm zaś był owocem renesansu, a renesans — *zwrotem* do starożytności, do wzorów i poglądów greckich i rzymskich w nauce o państwie — i wskutek tego *odwrotem* od chrześcijaństwa. Chrześcijaństwo wpędzono w państwo, zamknięto, podporządkowano jemu — i „Pan nasz Jezus Chrystus stał się więźniem stanu”. Absolutyzm państwowy wywołał z biegiem czasu reakcję w postaci liberalizmu, stawiającego za cel państwo prawa (*Rechtsstaat*), którem nie kaprys monarchy czy naczelnika, ale rządzi wola obywateli. W rzeczywistości jednak w liberalnym państwie prawo jest najczęściej tylko płaszczem do przykrycia siły, bo im państwo jest większe, tem trudniej pojedynczemu obywatelowi orjentować się w skompli-

*) Ibid, str. 182.

**) „Die Preussische Intelligenz und ihre Grenzen“. (München 1874).

) Ibid., por. str. 38—40 i 50. *) Ibid. str. 40

*****) „Der Bankrott der herrschenden Staatsweisheit“. (München 1874), dor. str. 20.

kowanym jego organizmie — i polityka, a za nią rządy przechodzą w ręce karjerowiczów i intrygantów, którymi znowu kieruje wszechpotężna plutokracja.

Więc albo państwowość (*Staatsthum*) albo chrześcijaństwo; albo *il Principe* Macchiavellego, albo Chrystus — tak stawiał Frantz pytanie, a takie postawienie kwestji — dodawał — jest dla chrześcijaństwa już odpowiedzią; widzimy bankructwo całej naszej mądrości państwowej, która skupiła się cała w idei państwa, zapominając o tych zadaniach i zagadnieniach w sferze stosunków międzynarodowych, społecznych i kościelnych, które wybiegają poza państwo, mają charakter ponadpaństwowy i rzetelnie rozwiązaniem mogą być we wzajemnem porozumieniu się narodów. Więc federacja, jako ideał i cel. Do urzeczywistnienia zaś ideału tego powołane są, więcej niż powołane, bo predestynowane Niemcy, jako „kraj centralny i ze wszystkich stron z całą Europą zrośnięty“, jako naród, który nigdy jednolitym nie był, ale podzielonym na plemiona, dotąd jeszcze poczucie odrębności swojej przechowujące“. Taki naród z natury swojej przeznaczony był do jedności nie państwowej, lecz federacyjnej. Ale z tej normalnej drogi swego rozwoju zepchnięty został przez Bismarcka.

3.

I przyszła w r. 1877 chwila, przynosząca, jak się zdawało Frantzowi, sposobność, jakiej nie było jeszcze, do naprawienia błędu Bismarcka. I nigdy nie wyraził Frantz tak wyraźnie i odważnie swojej najwewnętrzniejszej myśli, jak w wydanej wtedy rozprawie o kwestji wschodniej *).

„Co pomoże — czytamy tam — narodowo-liberalne Hurra z powodu zwycięstw 1870 r., skoro potęga, którą nam one przyniosły, tę ciemną ma stronę, że jęczymy odtąd pod jarzmem duszącego nas militarizmu i stoimy przed ciąglem niebezpieczeństwem nowej wojny?“ Z jednej strony dążenia Francji do odwetu, z drugiej — obłudna przyjaźń Rosji, tej wyłącznie zdobywczej i zdobyciami tylko trzymającej się potęgi, która tylko chwili stosownej czeka, aby najechać Niemcy. Mając Królestwo Polskie, jako posterunek, klinem wbijający się w Niemcy, może Rosja z każdego konfliktu niemiecko-francuskiego skorzystać i na tyły Niemiec napaść. Najpilniejszym przeto interesem dla polityki niemieckiej jest wyparcie Rosji z ziem polskich, odsunięcie jej jak najdalej ku wscho-

dowi. Zaniedbały to uczynić Prusy i Austria w r. 1863, gdy nie tylko interes, ale i sumienie nakazywało ująć się za Polską**), niechże teraz, gdy Rosja ma wyzwalać Słowian z pod ucisku tureckiego, podniosą kwestję przesładowania Polaków w zaborze rosyjskim.

Co za Proteusz — woła Frantz — ta kwestja wschdnia! Zaczęliśmy od niej, aby przejść do kwestji Rosji i jej zaborczych zamiarów; to nas zaprowadziło do kwestji przyszłości Niemiec, a skończyliśmy na kwestji polskiej. Bo tu te wszystkie kwestje się schodzą; przez Polskę prowadzi droga do usunięcia tego nieznośnego stanu, w jakim znalazła się Europa. Naród polski wykazał dużo wytrwałości, zaciętości, energii, nawet heroizmu w walce z Rosją. Ale czy w walce z gnębicielem, tak niezmiernie go przerastającym pod względem zasobów materialnych, zdoła wytrwać? Mieszkaństwa Polska prawie nie posiada; lud nie jest dostatecznie uświadomiony; może dać się tu i owdzie użyć do rozruchów, nie wytrzyma jednak surowej walki o prawa narodu; nosicielką myśli patriotycznej pozostaje szlachta. Zrozumiał to rząd rosyjski i przeciwko niej wymierzył wszystkie siły swoje; postanowił ją majątkowo zrujnować drogą wywłaszczania i moralnie zdruzgotać, wszelkiego wpływu w narodzie pozbawić, stosując na całym obszarze ziem polskich bezwzględnie russyfikacyjny system. „Więc może przyjdzie chwila — rozumował Frantz, z dziwną intuicją przewidując to, co się miało urzeczywistnić w 37 lat potem, w roku 1914 — że Rosja, uznawszy, iż oporność szlachty i z nią razem narodu polskiego została bezpowrotnie złamana i że polskość stała się rzeczą dostatecznie kruchą (*murbe*), aby móżdżek za narzędzie służyć do planów rosyjskich, ogłosi zjednoczenie Polski całej z Krakowem i Poznaniem, pod berłem carów, ideą tą zapali duchowo już zrusyfikowany naród i spróbuje nią rozbić i Niemcy i Austrię“...

Ten obraz przyszłego najazdu Rosji na Europę zadreślał myśl patrioty niemieckiego. Wprawdzie do wojny potrzebne są pieniądze; tak sądzą powszechnie i tem — rozumował Frantz — pocieszamy się, że finanse Rosji nie są świetne, ale co jest niezaprzeczoną prawdą w stosunku do krajów z kulturą, nie ma znaczenia w nawpół barbarzyńskim państwie, jak Rosja. „Alboż to germańskie

*) „Deutsche Antwort auf die Orientalische Frage“, Leipzig 1878.

**) Por. Dr. W. Förster „Politische Ethik“, 1908 s. 264.

hordy troszczyły się o pieniądź, ażeby zdobywać prowincje rzymskie, a mongolskie, aby dotrzeć aż do Śląska i Morawji? Podobnież dla Rosji, która zajęła dziś miejsce owego państwa Mongołów, co się rozciągało od Chin aż po Odrę, wojna jest doskonałym środkiem do poprawienia finansów; zagarniając i grabiąc kraje bogate, wydobywać z nich będzie miljarady"... Więc „nie może być mowy o jakimkolwiek spokoju w Europie, dopóki Rosjanie zajmują Polskę“.

Od rozwiązania kwestji polskiej zależy przyszły ład świata — i powinnością Prus i Austrii jest zmazanie zbrodni, której się dopuściły przez udział w rozbiorach Polski. Ale w jaki sposób mogłoby to być dokonane? Nie przez stworzenie jakiegoś buforowego państewka między trzema wielkimi mocarstwami, lecz przez związek na podstawie federacyjnej, przez unję oswobodzonego od przemocy moskiewskiej państwa Polskiego z państwem Pruskiem. Tak brzmiała niespodziana odpowiedź publicysty.

Polski Frantz nie znał i nie czuł w sobie żadnego do niej pociągu. Ale przeczytał prelekcje Paryskie Mickiewicza, i te się stały dla niego objawieniem nowego świata, nowego porządku wyobrażeń i pojęć. Wyczuł w nich potężne wezwanie do heroizmu duchowego, zrozumiał, że potęgę tę czerpał poeta w rzeczywistym heroizmie narodu, zdolnym do ofiar, na jakie żaden inny naród nie zdobywał się w walce o wolność, wyjaśniło mu się wreszcie zasadnicze, nie dające się ani zatrzeć, ani nawet załagodzić, przeciwieństwo między Rosją a Zachodem, wskutek czego na Polskę spadło to samo posłannictwo, które spełniała w dawnych wiekach. Jak wtedy przeciw Tatarom i Turkom, tak teraz miała być przednim posterunkiem Europy przeciw Moskiewskiej ich spadkobierczyni. Ale sama o własnych siłach nie podoła temu, powinna się oprzeć o Prusy. Prusy zrosły się z Polską, bo na niej wyrosły. „Upadek Polski — mówi Frantz, jakby zapominając, że dopiero co potępił zbrodnię jej rozbioru — był warunkiem rozwoju potęgi pruskiej. Dla celu tego Prusy popełniły zbrodnię polityczną, ale zastąpcie pojęcie aneksjonizmu, kierującego się tylko samolubnym interesem, ideą *polskiego* powołania, *polskiej* misji Prus, a rzecz cała w odmiennem przedstawi się świetle“. Nie miały Prusy, zdaniem Frantza, żadnej niemieckiej misji, choć ją im wmawiają dziś historycy, lecz miały swoją własną pruską i obok tego polską misję. Nie zrozumiały jej, wypuściły ją z rąk, czego dowodem bezrozum germanizacyjnej polityki w Poznańskim,

ale jeszcze czas fatalną pomyłkę naprawić, przeciw Rosji sztandar Polski podnosząc; jak niegdyś Polska, broniąc się przed potęgą Krzyżacką, zawarła unję z Litwą, tak teraz taką samą unję z Polską niech zawrą Prusy — i tem postawią tamę rosyjskiemu pochodowi na Europę.

Na pomysł ten wpadł był Frantz jeszcze w 1848 r. *), spotykając się w tem z nieznaną mu skądinąd koncepcją generała Prądzyńskiego. Odtąd z tą myślą swoją już się nie rozstawał, odgłosu jednak nie znajdował nigdzie. Prusy szły inną drogą, i w r. 1866 wyrzucając Austrię z Niemiec, ostatecznie rozmijały się z ideą, w której Frantz ich powołanie upatrywał. Z goryczą odtąd przeciwstawiał „mało niemieckiej“ idei Bismarcka, ciasnemu nacjonalistycznemu cesarstwu, które on stworzył, ideę Pruskiego, ściślej Prusko-Polskiego cesarstwa, w którym Polska stanęłaby względem Prus w tym samym stosunku, jaki wiązał Węgry z Austrią w monarchji Habsburgów. Cesarstwo to, — dowodził — stałoby się podporą pokoju w Europie, początkiem wielkiej środkowo-europejskiej federacji, protestancki zaś charakter państwa Pruskiego nie tylko przeszkodąby tu nie był, ale, przeciwnie, byłby rękojmią dla narodowości polskiej, zabezpieczającą od unifikacji, od zepchnięcia jej w poczet prowincji pruskich **).

Nadszedł rok 1877 i wraz z tem uśmiechnęła się prorokowi prusko-polskiej utopji nadzieja urzeczywistnienia jej. Co mogło być łatwiejszego, jak wspólnie z Austro-Węgrami i zapewnione mając poparcie Anglii, zadać cios ostateczny potędze rosyjskiej! Prusy federacyjne, połączone z Polską i może z prowincjami nadbałtyckimi, Austrią z wolną drogą na Bałkan, za Prusami i Austrią państwa zachodnio-niemieckie, wyzwolone od zgubnego dla rozwoju ich odrębności duchowej wpływu centralistycznych prusyfikacyjnych dążeń, potem Szwajcarja, Holandja, Belgja — wszystko to stanowiłoby wielką środkowo-europejską federację, wspaniałą *Confederatio latissima*, w której byśmy mieli zastosowaną do czasów naszych metamorfozę majestatu jednoczącej narody w wielkiej chrześcijańskiej rodzinie, średniowiecznej idei Sw. Rzymskiego Imperjum! ***).

Ale czy Polacy daliby się nagiąć do tej idei, do związku z państwem, które, od założenia swego nastając na Pol-

*) W broszurze „Polen, Preussen und Deutschland“.

**) „Die preussische Intelligenz“ por: 86-88.

***) „Der Föderalismus“ str. 329.

skę, na ruinie jej bytu państwowego się budowało, ideami Fryderyka II żyło i w osobie Bismarcka ich genialnego wykonawcę znalazło? Pytanie to poruszył Frantz i załatwił się z nim jednym pociągnięciem pióra, o ile poprawnie i logicznie ze swego niemieckiego stanowiska, o tyle niepraktycznie, bo bez wnikięcia w duszę polską, bez uwzględnienia tego czynnika uczuciowego, który w jej aspiracjach, w jej dążeniach i postanowieniach tak zasadnicze ma znaczenie i wpływ. „Polacy — mówi on — w tym zawsze błędzili i błędzą, że utożsamiają pojęcia narodości i państwa; nie każdy naród zdolnym jest do stworzenia i utrzymania własnego państwa; Polacy zdolności w tym kierunku nie wykazali, państwo nie jest czemś takim, co powstaje odrazu, z dekretu woli narodowej, nie, ono jest produktem historii, owocem krwawych trudów i walk“. Z dawnej państwowości polskiej nie pozostało nic, co by się dało wznowić w warunkach dzisiejszych, musiałby powstać nowy twór państwowy. Naszkicować dla niego jakąś schematyczną konstytucję nie byłoby rzeczą trudną, ale czyż miałaby ona jaką trwałość? Zabawką stała by się i ofiarą tego ducha konspiracyjnego, który w krew i kość Polski wszedł, cechuje wszystkie jej stronnictwa i nie cofa się przed spiskowaniem w takich nawet chwilach, kiedy podtrzymanie autorytetu władzy stanowi najbardziej naglącą konieczność...*) Wynika stąd — kończył autor — że życie państwowe Polski rozwinąć się mogło i rozkwitnąć tylko w związku z innym państwem, mocno stojącym na nogach i politycznie doświadczonym“.

Rok 1877 minął, do wojny rosyjsko-tureckiej nie wtrąciły się ani Niemcy, ani Austrija. Wszepochlebny Bismarck był człowiekiem temperamentu, chwili, nie zaś rozległych, w daleką przyszłość sięgających planów. Marzenie Frantza się rozwiało, pozostał jednak wiernym mu do końca. Wracał do niego w swoim głównym dziele „Föederalismus“, z irytacją zaznaczając, że myśl jego daremnie szukała posłuchu i że ją porusza ostatni raz. Poruszał ją, aby protestować przeciwko polityce pruskiej, przeistaczającej Poznańskie w prowincję pruską, wbrew przyrzeczeniu królewskiemu, że kraj ten traktowanym będzie, jako kraj polski, który z tytułu wielkiego księstwa przeszedł pod berło Hohenzollernów. „Jaki potężny oręż moralny przeciw Rosji

*) „Die Antwort auf die orientalische Frage“, p. s. 36 — 7.

miałyby Prusy w rękę, gdyby zachować umiały przyjazny stosunek do Polski!“.

„Przeciw Rosji“... Zmora niszczycielskiego najazdu Rosji na Zachód ścigała publicystę niemieckiego aż do śmierci; przeczuwał chwilę, którą przeżywamy dziś. I do końca szukał ratunku w idei federacji, w wielkim środkowo-europejskim związku państw i narodów. Gdyby to dojść mogło do skutku, sam fakt istnienia Związku tego oznaczałby ostateczne wepchnięcie Rosji do Azji i wraz z tem wyzwolenie Europy od nieustających knozań północnego kolosa i początek ery pokoju. Francja bowiem i Włochy, pozbawione poparcia rosyjskiego w swoich zaczepnych względem Europy środkowej planach, musiałyby gdzieindziej ekspansyjne swoje zamiary zwrócić. Przyszedłby czas na urzeczywistnienie wielkiego ideału, który niegdyś prowadził Krzyżowców. Pod hasłem okupacji, regeneracji, rechryzjanizacji Wschodu mogłyby się połączyć narody. Niestety, na przeszkodzie temu stało dzieło Bismarcka, które dało początek zmilitaryzowaniu się Europy, i jak marnie dźwięczą w katedrach hymny dziękczynne na cześć zwycięstw we wzajemnych walkach narodów europejskich! Jak gdyby Pan Bóg rozkosz w tem miał, że chrześcijanie jednej mowy tępią Jemu na chwałę chrześcijan, mówiących innym językiem.

Konstantyn Frantz zszedł z tego świata, nie doczekawszy się uznania dla siebie i dla myśli swojej. Czas na nią przyszedł dopiero w czasie wojny ostatniej, gdy wschód i zachód Europy sprzymierzyły się przeciw obu państwom centralnym. Pochwycił ją i szerzyć począł Fryderyk Naumann, kreśląc już w r. 1915 zarysy przyszłego środkowo-europejskiego związku*). Ale na poprzednika swego nie powołał się, może nawet nie wiedział o nim, zrzeszając koncepcje ich nie były identyczne. Naumanna przedzielało od Frantza 40 lat pangermańskich rojeń myśli niemieckiej, olśnionych dziełem Bismarcka, potęgą stworzonego przezeń jednolitego cesarstwa niemieckiego. Nie o federacji myślano i mówiono w Niemczech między 1870 a 1915 rokiem, ale o bezwzględnej prawie państwa, ściślej, narodowości w państwie panującej do narzucenia woli swojej wszystkiemu, co jej podwładne było. „*Der Staat*“ — nauczał Treitschke — *ist die sich selbst setzende*

*) „*Mittel Europa*“. Berlin 1915.

*Macht des stärkeren Stammes**), w historii niema nic wyższego nad państwo (*über ihn [den Staat] hinaus ist in der Weltgeschichte nichts*), dla państwa rzeczą najwyższą jest jego własna *Selbstbehauptung*...**) I dlatego książka Naumanna, choć pisana z werwą i talentem, jakiego Frantz nie posiadał, była tylko błędem odbiciem jego myśli. Naumann przedewszystkiem liczył się z istniejącym stanem rzeczy i chodziło mu głównie o ściślejsze zespolenie obu państw centralnych. Stąd zaś wypływałyby dla obu stron konieczności rozmaitych wzajemnych ustępstw; więc Niemcy powinny były dostosować się do ustalonych już w monarchji naddunajskiej praktyk w zakresie stosunków jednych narodowości do drugich; żądał autor od współziomków swoich wgłębiania się (*Vertiefung*) w dzieje Polski, Węgier, Czech, Słowiańszczyzny południowej, zalecał im większą giętkość i uściślność wobec interesów i dążeń tych narodów; przewidywał, popierał i, gdy się to stało, entuzjastycznie witał wskrzeszenie państwa Polskiego, upatrując w tem „potężnego bodźca do urzeczywistnienia wielkiej Europy środkowej“ (*der stärkste Antrieb zur Herstellung Mitteleuropas*), ale przez głowę mu nie przeszło, ażeby do tej przyszłej Polski mogły być wcielone ziemie polskie, do Prus należące — myśl taka w krzyżającej byłaby sprzeczności z panującymi poglądami — i poprzestawał Naumann na nieśmiałej nadziei, że po wojnie nastąpi rewizja dotychczasowych metod politycznych w Poznaniu i Polacy wyzwoleni zostaną z pod germanizacyjnego przymusu (*Loslösung vom Germanisierungszwang****)).

Dopiero w jesieni 1918 r., gdy zrozumiano, że klęska była nieuniknioną, przyszło oprzytomnienie z pan-germańskiego szaleństwa, dopiero wtedy ci, którzy dotąd, rachując się z opinią publiczną, zaledwie zdobywali się na bardzo nieśmiałą i oględną krytykę wybryków hakatyizmu, znaleźli silne wyrazy na potępienie polityki, która stała się zgubą Niemiec. Wyrwały się nam w pamięci słowa prof. Delbrück'a wyrzeczone w sierpniu, gdy jeszcze ostatnia nadzieja straconą nie była: „Świat żąda i ma prawo żądać, ażeby naród niemiecki dał mu rękojmię, że wszechniemiecki duch, duch pychy, gwałtu, nienawiści, pogaństwa nie jest duchem niemieckim.“****)

*) „Politik“, Leipzig 1897, por. t. I. str. 113. **) Ibid, atr. 100. ***) Ibid, str. 75. ****) „Preussische Jahrbucher“, Wrzesień 1918.



IV.

Dwa Imperjalizmy.

Okolo Pamiętników admirałn v Tirpitz'a.

1.

Z czasu wojny.

Przed laty przeszło 30-tu czytałem broszurę p. t. „Między Rosją a Niemcami“. Anonimowy jej autor poważnie i wyczerpująco rozbiierał dręczące każdego myślącego Polaka pytanie, co w rozpaczliwym położeniu naszym między dwoma gniotącymi nas kolosami — rosyjskim i niemieckim — było łatwiejszem do zniesienia złem: ucisk rosyjski, czy ucisk niemiecki — i czy w razie przewidywanej wojny większem niebezpieczeństwem rozwojowi życia i kultury polskiej groziło zwycięstwo Rosji, czy też Prus, — zjednoczenie ziem polskich pod berłem cara, czy pod berłem kaisera?

Autora szczególną obawą przepełniało widmo przyszłej uniwersalnej, a na despotycznym kaprysie monarchy i na demoralizującej ludność swawoli urzędników opartej potęgi rosyjskiej. Więc skłaniał się w stronę Niemiec. Mnie jednak wywody jego wówczas nie trafiały do przekonania; z dwojga złego wolałem Rosję — i nie dlatego, że się tam wychowałem, że się żyłem z literaturą rosyjską, że czułem piękno jej pierwiastków idealistycznych i że wiązały mię stosunki przyjacielskie z wybitnymi przedstawicielami myśli rosyjskiej-filozoficznej i politycznej. Kierowałem się także przekonaniem, że antypolska polityka Prus miała podstawę w warunkach geograficznych i historycznych i że po swojemu była logiczną, gdy polityka rusyfikacyjna stanowiła interes tych tylko, co z niej bezpośrednią korzyść ciągnęli, t. j. kliki biurokratycznej. Idea, która stworzyła

państwowość i potęgę pruską, miała źródło swoje w żywej świadomości, że państwo,* leżące w środku Europy, prawie bez granic naturalnych, a zewsząd otoczone innymi potężnymi mocarstwami, musiało z konieczności być mocno spojenem narodowem państwem. W takim państwie każdy żywiół obcy był niebezpieczeństwem dla jego jednolitości i mocy. I dla tego to mężów stanu i polityków pruskich ogarniała bezrozumna, jak następstwa wykazywały, lecz silna pokusa do złamania, zniszczenia, a przynajmniej obezwładnienia opornych, czy niebezpiecznych obconarodowych żywiółów. W Rosji, przeciwnie, pokusa taka świadczyć mogła nie o trosce, a tylko o dzikości patryjotycznej. Imperjum, rozciągające się aż do Oceanu Spokojnego, przeciwstawiało ogrom przestrzeni swojej wszelkim napastniczym przedsięwzięciom wrogów zewnętrznych; o ten ogrom rozbić się musiał każdy wysiłek nieprzyjaciela, każdy najazd w nim topniał — i dzięki temu mogła Rosja zdobyć się na to, co Niemcom wydawało się szkodliwym zbytkiem, t. j. na politykę chrześcijańską.

I rzeczywiście, w przeciwieństwie do Niemiec, ci wszyscy mężowie, którzy chlubą byli Rosji, byli zarazem przeciwnikami rusyfikatorskiej dzikości rządu, niejeden z nich żywił dla Polski uczucia braterskiej życzliwości.

Wybuchnęła wojna 1914 roku. Pamiętam, w pierwszych dniach, pod wstrząsającym wrażeniem faktu pisałem list do księcia Eugenjusza Trubeckiego, w którym, tłumacząc mu tragiczność położenia bezwolnej, powalonej i spętanej Polski, dodawałem, że *logicznie* należałoby nam raczej sympatyzować z Rosją i jej aliantami, bo nadziei na zmianę polityki Niemiec w stosunku do nas nie było żadnej, w Rosji zaś prędzej, lub później, mogły objąć ster władzy te elementy szlachetniejsze, których wymownym rzecznikiem był właśnie ks. Trubecki. Słowa te jednak już wtedy nie wyrażały ściśle tego, co czułem, od chwili bowiem wybuchu wojny poczęło we mnie coraz żywiej i silniej, powiedziałbym, z żywiółową siłą, wydobywać się na jaw ukryte gdzieś w głębi duszy, zapomniane, półświadome uczucie, którego doznałem, gdy pierwszy raz przekraczałem granicę imperjum rosyjskiego. „Było to po ukończeniu studiów uniwersyteckich w Dorpacie w r. 1833. Zdawało mi się, gdy pociąg stanął w Szczakowej, że się wyrwałem z domu niewoli i stanąłem w Ziemi Obiecanej. Ogarnęła mnie szalona jakaś radość i wszystko wokół było dla mnie radością i pięknem: wagony austriackie, konduktorzy

w błękitnych mundurach, urzędnicy celni z zielonemi naszyciami, stary jakiś generał, z rycerską, arystokratyczną (może tylko w oczach wyobraźni mojej) twarzą i postacią, wreszcie uboga i brudna w porównaniu z rosyjską „Granica” stacja kolejowa. Zapomniałem, że się tylko z jednogo zaboru przenieśliśmy do drugiego; na wojsko austriackie patrzyłem prawie z zapałem, jako na własne swoje, polskie wojsko. I w tym wrażeniu utwierdzały mnie dnie następne, spędzone w Krakowie. Choć od lat kilkunastu posiadała Galicja autonomję, jednak jeszcze wtedy wydawała się ona świeżą, dopiero co otrzymaną, cenną i szczęśliwą zdobyczą. Dominujące tam stronnictwo Stańczyków, które postępowała prasa warszawska przedstawiała z pianą na ustach, jako zgraję zaprzańców i serwilistów, „stało i stać chciało” przy tronie z tego powodu, że uznawało łączność sprawy naszej z interesem Habsburgów i że wierzyło w możliwość wskrzeszenia Polski pod berłem tej dynastji. W tym kierunku szli z entuzjazmem zwłaszcza ci weterani z 63 roku, których wówczas poznałem; Galicja była dla nich Piemontem przyszłej wolnej ojczyzny. Cesarz Franciszek Józef, który po upadku powstania naszego, w chwili dla nas najstraszniejszej, podał narodowi polskiemu rękę pomocy, dał mu w obrębie swego państwa możność swobodnego rozwoju kultury, a przedstawiciele jego do grona doradców korony powołał, budził powszechną, serdeczną wdzięczność, zdawał się nam uosobieniem nadziei tych samych, jakie na początku stulecia wiązano z osobą Napoleona.

Te młodzieńcze austrofilskie uczucia zaczęły później, gdy się osiedliłem w Krakowie, powoli zacierać się we mnie na widok rosnącej zależności monarchji od Niemiec i pod wrażeniem wzmagającego się wpływu czynników rozkładu i anarchji, które wkroczyły do parlamentu po utworzeniu piątej kurji wyborczej, ale to, co się już zacierało i zanikało, poruszyła i ożywiła wojna, pod wrażeniem zaś zajęcia Lwowa przez Moskali, przeistoczyło się to w uświadomione i silne uczucie.

Stosunek nasz do utraty Lwowa lepiej, niż wszystko inne, określa obie nasze orjentacje polityczne, ich charakter, ich głębszy psychiczny podkład. Jedni się cieszyli z tego, dla innych było to ciosem. Jeden ze znajomych moich, człowiek z nazwiskiem głośnym w nauce i literaturze, na wiadomość o tem zemdłał, ale słyszałem też o ludziach bardzo wybitnych, którzy głośny wyraz radości swojej z tego samego powodu dawali. Wyznaje, że w wypadku tym nie

potrafię być obiektywnym. Do fanatyków nie należę, umiem wnikać w uczucia i pobudki, kierujące czynami ludzi bardzo ode mnie dalekich; sądzę, że mi to przyzna każdy, co mnie cokolwiek zna lub czytał. Ale solidaryzowanie się z tryumfem moskiewskim we Lwowie było dla mnie czemś tak potwornem, przewrotnem, nie polskim, że innego oddźwięku, niż najgłębsze oburzenie, w duszy mojej wywołać nie mogło. Choć położony na kresach, na gruncie etnograficznie obcym, Lwów duchowo jest sercem Polski. W żadnym innem mieście świadomość polska nie jest tak żywą; nigdzie, szczególnie w ciągu ostatnich lat nie dał patriotyzm polski tyle wspaniałych, wzruszających dowodów ofiarności i heroizmu. Czem Lwów jest dla Polski, odczuli tam w Mińsku i w Wilnie ludzie, o których myślałem, że, wychowani w Rosji, związani z nią stosunkami i interesami, do reszty polskość swą zatracili. A jednak, czytając tryumfujące słowa komunikatu o Lwowie, który „legł u stóp Jego Ces. Mości” — poczuł się nagle Polakami... Rozumiem tych jeszcze, którzy w Petersburgu, na gruncie politycznym działając, pod wrażeniem byli Odezwy W. Ks. Mikołaja i, chcąc ją dla sprawy naszej jaknajdalej wyzyskać, twierdzili głośno *urbi et orbi* i w końcu samym sobie wmówili, że od zwycięstwa Rosji zawisła cała przyszłość nasza. Jak jednak i czem wytłomaczyć uczucia wszystkich innych, mianowicie zaś tych, co od lat wielu mieszkańcami Lwowa byli i za obywateli miasta tego uważać się mogli? Chyba tylko partyjnem jakimś zaślepieniem, osobistemi porachunkami z rządem austriackim i tymi, którzy jemu służyli. Tak, ale to dotyczy jednostek, pozostaje pytanie, jakimi sposobami jednostki te zdołały otumanic ogół nasz. Na to wolę nie odpowiadać, bo co może być bardziej bolesnego i upokarzającego dla publicysty, jak wystawiać na pokaz płytkość uczuć i słabość myśli, jako cechy charakterystyczne całego społeczeństwa.

Bawiłem w Petersburgu, gdy Lwów padał. Pierwszy zakomunikował mi o tem człowiek, którego powszechnie uważano za zrusyfikowanego Polaka. A jednak na twarzy jego malowało się przygnębienie. Wiadomość tę przyniósł ze Sztabu; w mieście o niej nie wiedzano. Od niego udałem się do p. Brianżaninowa na wieczór dyskusyjny w sprawie Odezwy W. Księcia. Z Polaków obecnym był ś. p. poseł Świącicki; podzieliłem się z nim smutną wia-

domością; nie mógł zrozumieć mojego zniekania: „Ależ to dobrze — mówił — cieszymy się“. Wśród polityków z zawodu w Dumie dano hasło witania każdego zwycięstwa rosyjskiego, jako kroku naprzód do obiecanego i upragnionego „zjednoczenia“.

Ale mnie gryzła rozpacz. Już nie potrzebowałem zastanawiać się nad tem, czyje zwycięstwo mniejszem byłoby dla nas złem; złudzenia, jeśli jakiekolwiek miałem, rozwiewały się z dniem każdym. Bo każdy dzień przekonywał mnie coraz głębiej, że Odezwa była oszustwem, a zjednoczenie rozumiano w sferach rządzących jako utworzenie ze wszystkich ziem polskich wielkiego „Priwiślińskiego Kraju“, — że wreszcie w sferach opozycji rosyjskiej sprawę polską lekceważono, jako drobiazg na tle wielkiej wojny światowej i mniemano, że na razie powinni byli Polacy zadowolnić się mglistymi obietnicami Odezwy i, jak bracia, stanąć obok Rosjan do walki przeciw wspólnemu wrogowi. Tak sądził najszlachetniejszy Mikołaj Lwow. Żywo stoi mi w pamięci zebranie polityczne w salonie p. Lednickiego w Moskwie na początku listopada 1914 roku. Nie na podstawie mandatu, ale idąc za głosem serca, przemówiłem tam, jako przedstawiciel nieszczęśliwej, na pastwę dzikich rusyfikacyjnych eksperymentów oddanej Galicji; położenie jej odmalowałem, opierając się na Lwowskiej urzędowej gazecie rosyjskiej „Wojennoje Slovo“, wykazywałem sprzeczność między poetyczną frazeologją Odezwy, a ponurą rzeczywistością. Naprzeciwko mnie siedzieli były sekretarz pierwszej Dumy książę Dymitr Szachowskoj i późniejszy poseł w Paryżu, W. Makłakow, który dopiero co wrócił był ze Lwowa. Dosłyszałem ciche słowa Szachowskiego do Makłakowa „musisz pan mu odpowiedzieć“. Ale Makłakow milczał; dyskusję zwrócono na inny temat, dopiero po ukończeniu podszedł Makłakow do mnie, potwierdził, że wszystko, co mówiłem, było prawdą, w końcu dodał, że w sprawie tej napisał memorjał, że spodziewa się pewnych korzystnych dla nas modyfikacyj w polityce gen. gubernatora lwowskiego. Dla czego jednak nie zabrał głosu publicznie, dla czego nikt z obecnych poruszoną przezemnie sprawą zainteresować się nie chciał?

Wkrótce potem byłem w Warszawie. Jeden z dziennikarzy Warszawskich, a bardzo stanowczy zwolennik t. zw. orjentacji centralnej, krótko i trafnie w rozmowie ze mną tak sytuację naszą określił: „Zwycięstwo Rosji i koalicji, to ostateczne i nieodwołalne pogrzebanie kwestji polskiej;

zwycięstwo państw centralnych to możliwość jej wznowienia i postawienia przed forum Europy". Tylko *możliwość*; nikt w tym obozie złudzeń nie miał, ale rozumiano, że nawet w najgorszym razie, t. j. w razie podziału Polski między Niemcami a Austrią, podział ten prowadził za sobą powiększenie terytorjum Galicji, czyli tej jedynej części Polski, w której życie i kultura polska miały możność rozwoju. Z tego stanowiska walka z Rosją i jej sojusznikami była dla nas w owej chwili walką w obronie Krakowa, tego ostatniego zakątka w Polsce, w którym wolno było mówić, myśleć i pisać po polsku.

Dzień 20 lutego 1918 r., w którym po trzech miesiącach rządów bolszewickich wojska niemieckie wkroczyły do Mińska, był dniem radości dla mieszkańców miasta. Wkroczyli bowiem Niemcy w porozumieniu z dowództwem osaczonego przez bolszewików korpusu polskiego, więc nie jako zdobywcy, ale jako zbawcy. Sądziliśmy, że nastąpiło to za wiedzą i życzeniem Rady Regencyjnej i że będzie początkiem zwrotu w stosunkach niemiecko-polskich. Stało się inaczej. Pomimo to stanowisko względem ludności polskiej zachowali Niemcy aż do końca okupacji naogół raczej życzliwe. Dzięki temu, poczęły na gruncie Mińskim powstawać optymistyczne fantazje na temat wyzwolonych z Rosji jakichś białoruskich i litewskich formacji państwowych pod protektorem Niemiec. Gdyby komunikacja z Wilnem była mniej trudną, gdybyśmy jaśniejsze mieli wyobrażenie o polakożerczej polityce, jakiej rząd niemiecki tam się trzymał, podziałałoby to niezawodnie otrzewiająco na nasze Mińskie fantazje. Wszak Wilno witało Niemców w roku 1915 równie przychylnie, jak Mińsk w r. 1918. Rozumny rząd umiałby sympatje ludności wyzyskać, tępy feldfebel, jakim był jen. Ludendorff, o tem ani pomyślał. Szef zarządu cywilnego na Litwie v. Beckerrath, który, dzielając pangermańskie plany Kwatery Głównej, obstawał jednak za tem, aby liczono się z elementem polskim, jako jedynym kulturalnym, i pewne prawa mu dano, otrzymał dymisję. Miejsce jego wkrótce zajął ks. Isenburg, powiernik Ludendorffa, człowiek w którego duszy innego uczucia, jak tępa i ślepa nienawiść do Polski, nie było. Przewano go w Wilnie „niemieckim Murawiewem". Wolę i plany swego przełożonego spełniał tak

dokładnie, że sam Ludendorff w „Pamiętniku” swoim pyta, czy nie był on jednak zbyt gorliwym*).

O Wilnie, powtarzam, nie wiedzieliśmy, ci zaś Niemcy, których Mińsk ujrzał, inni byli, lepsi, niż przypuszczano, oczekując ich przyjsia. Z obawą myśleliśmy, że staną wśród nas w roli zwycięsców, brutalnie lekceważących naród nasz, jako zacofany kulturalnie, a fizycznie słaby, bo bez rządu własnego i bez armji, ujrzelśmy zaś ludzi dobrze wychowanych, delikatnych, uprzejmym i uczynnych. Znudzeni czteroletnią wojną, stęsknieni do swoich ognisk domowych, szczerze wdzięczni nam byli, gdyśmy ich do naszych domów zapraszali i ugaszczali. Z przyjemnością wspominam chwilę, gdy zajechałem przed ganek naszego starego dworu wiejskiego w Rakowie, który cztery miesiące przed tem opuścić musiałem z powodu grasujących po całej okolicy i bezkarnie plądrujących band zbolszewiczonych żołnierzy. Dom cały był zajęty przez biura wojskowe niemieckie, ale natychmiast ustąpiono mi, jako bratu właściciela, dwa najlepsze pokoje. Komendant etapu, olbrzymiego wzrostu Prusak z pod Memla, złożył mi zaraz wizytę w odświeżonym mundurze i w białych rękawiczkach, w ten sposób uszanowanie swoje zaznaczając; żołnierze przy każdym spotkaniu witali *den Herrn Professor*. W ciągu roku rządów Kiereńskiego, a potem Lenina zakradła się była nieznośna anarchja w zakresie poglądów na prawa własności prywatnej. Po dziedzincu od rana do wieczora włóczyły się rozmaite figury, nibyto skracając sobie drogę do sąsiedniego folwarku; przylegający do domu ogród przywłaszczyli sobie żydzi z sąsiedniego miasteczka, jako park publiczny, po którym spacerowali i urządzali majówki. Tę anarchję komendanci niemieccy ukrócili odrazu. Słowem, otaczała mnie atmosfera życzliwości. Żli byli nie ludzie, lecz system rządzenia głupio dokuczliwy, szczególnie co do swobody zebrań oraz ruchu; każdy z nas był jakby więźniem internowanym w miejscu swego pobytu i, aby uzyskać przepustkę na jakikolwiek wyjazd, przechodzić musiał przez długą i uciążliwą procedurę biurokratyczną. Skarżyłem się na to nieraz wobec oficerów: „Co mamy począć — odpowiadali — nie znamy ani kraju, ani mieszkańców, nie byliśmy przygotowani do zajęcia tak ogromnych przestrzeni; rząd nasz dotąd nie wyjaśnił sobie, jakiej ma

*) „Er war impulsiver (niz Gossler w Kurlandji) vielleicht war er dies zuwollen zu sehr“ Ludendorf („Meine Kriegserinnerungen“).

trzymać się polityki“. W kwietniu, w epoce wielkiej ofensywy na Zachodzie tematem rozmów naszych najczęściej była Francja; ze zdziwieniem stwierdzałem, że nie było — u tych przynajmniej oficerów, z którymi rozmawiałem — ani śladu niechęci jakiegś do kraju tego i narodu. Z gorącą mówili tylko o Anglii, jako winowajczyni wojny; rza Francję patrzyli ze współczuciem i poważaniem dla jej cnót wojskowych; pojąć nie mogli, dlaczego dobrowolnie się wycieńcza z sił swoich, służąc obcej polityce angielskiej, wszak oddawna już naród francuski mnożyć się przestał; czemuż po wojnie wytraconą ludność męską zastąpi?

Nie mam prawa uogólniać tych spostrzeżeń moich. Może było to rzeczą przypadku, że i ja i ci, których o to w Mińszczyźnie pytałem, spotykali takich tylko Niemców, z którymi stosunki były łatwe i przyjazne. Dodam, że prawdziwymi dobroczyńcami dla ludności wiejskiej byli lekarze wojskowi niemieccy i także — w ciśniejszym zakresie działalności swojej — kapelani. Co mię najbardziej jednak uderzało i zarazem pociągało, mianowicie do katolików, to sposób, w jaki się modlili. Stale na msze żołnierskie uczęszczałem. Lubilem patrzeć na poważne ich twarze, na żywy i serdeczny udział w nabożeństwie, na skupienie, z jakim do Komunii św. przystępowali; z pożytkiem dla siebie słuchałem nauk ich kapelanów, były praktyczne, dostosowane do chwili, a mądre i podniosłe; czułem duszę narodu w uroczystych, poważnych, pozbawionych wszelkiej sentymentalnej nuty śpiewach kościelnych. Jakże korzystnie odbijała się niemiecka pobożność od naszej! Czy nie miał słuszności — myślałem — ów Niemiec, wybitny literat, a gorący katolik, R. Muth, redaktor monachijskiego „Hochland'u“, który, zwiedziwszy Warszawę, tak mi wrażenia swoje co do pobożności naszej streszczał: „to, co tam widziałem w kościołach, religiją nie jest; u jednych jest bałwochwalstwem, u innych — bezmyślnem spełnianiem uciążliwej formalności“. Pobożność zaś niemiecka, na którą patrzałem, świadczyła o rozumieniu powagi życia; a naród, który ją rozumie, ma mocny grunt pod sobą i przyszłość przed sobą.

2.

Bestjalizm polityczny.

Dom nasz na wsi zajmowała komendantura i codziennie koło okien moich przechadzał się w ciągu kilku godzin ten sam sztyldwach, przystojny jasny blondyn,

z pięknym wąsem i wyrazem surowej powagi na twarzy, jakgdyby spełniał jakąś doniosłego znaczenia czynność. Wydawał mi się żywym symbolem ojczyzny swojej. Niemcy — myślałem — mają wrodzone, a długą kulturą udoskonalone uczucie obowiązku; każdy z nich robi to, co mu wyznaczają, choćby to najpośledniejszą było rzeczą, tak jakgdyby od tego zależały losy świata. Naród taki nie zginie, nie da się zgiąć pomimo nierównej walki, jaką toczy ze sprzymierzonymi przeciw niemu potęgami świata; nie zwycięży, zapewne zmuszonym będzie wyrzec się Alzacji, ustąpić z Belgji, ale tu, na wschodzie, stanął mocną stopą i nie wypuści tych ziem, które zajął, z pod władzy, albo przynajmniej z pod wpływu i opieki swojej.

Tak myślałem nie ja jeden; prawie wszyscy. Ale stąd wypływał nieunikniony wniosek, że, zamiast niepotrzebnie się najeżać, należało szukać dróg do porozumienia z potęgą, od której zależeć miał w takich, czy innych formach, w większym, czy mniejszym stopniu, cały Wschód począwszy od Królestwa Polskiego. Złudzeń nie miałem; wogóle, jako regułę z doświadczeń osobistych wyciągniętą, uważałem, że Niemcy u nas lepsi byli od systemu politycznego, który uosabiali. Najwyższy dygnitarz w kraju, dowódca frontu wileńskiego, zacny feldmarszałek v. Eichhorn, po kądzieli wnuk Schellinga, zapewne odziedziczył był coś z idealizmu swego wielkiego dziada; na Polskę patrzył życzliwie i w dniu, w którym nadeszła wiadomość o akcie 5 listopada, publicznie, z radośnem wzruszeniem wyściskał na ulicy znajomego Polaka, składając życzenia ojczyźnie jego, która nareszcie celu dążeń dopięła. Ale właśnie z powodu uczuć takich feldmarszałek pilnie był strzeżony przez ludzi, zajmujących w hierarchji wojskowej stanowiska podrzędne, lecz za to bardzo wysokie w zarządzie krajem. I niema czego się dziwić, że polityka, idąca stamtąd, z *Ober Ostu*, od Ludendorfa, działała demoralizująco na wykonawców jej rozkazów, zwłaszcza na niższe urzędy. W Wilnie byłem świadkiem sceny, która mi nigdy nie wyjdzie z pamięci: działo się to na ulicy naprzeciw kościoła Podominikańskiego; z sąsiedniego gmachu zarządu policji wybiegł urzędnik, goniąc za nieszczęśliwym jakimś obdartusem z miną pół idjoty; powalił go i kopał nogami; ten nieludzkim głosem krzyczał; przechodnie pocichu, naturalnie, wyrażali swoje głębokie oburzenie i zgorszenie: „Panie — zwróciła się do mnie prosta baba, wychodząca z kościoła — to barbarzyństwo, czy kto kiedy widział

Moskale tak postępującego?“ Pozostawiło to we mnie wrażenie tak ciężkie a żywe, że dotąd doznaję uczucia przykrości, ulicą tą przechodząc.

Kto mocniejsze miał pod sobą podstawy w społeczeństwie niemieckim: ludzie typu feldmarszałka v. Eichorna, czy typu owego urzędnika, który tak wiernie odbijał ducha, którego ks. Isenburg wlał w system rządów niemieckich w Wilnie i na Litwie? I co do tego złudzeń nie miałem. Więc postanowiłem przedstawić w całej jaskrawości niezmierną trudność kwestji polsko - niemieckiej, trudność nie tylko polityczną, lecz może więcej jeszcze moralną. I w studjum „Dwie dusze“*) szukałem wyrazu dla duszy niemieckiej nie w dziełach wielkich humanistów w rodzaju Herdera, ani, przechodząc do czasów naszych, w rozprawie prof. Schückinga**), który z hasłem „*weniger Bismarck und mehr Schiller*“ nie zawahał się wystąpić przeciw „pustoszącemu duszę niemiecką“ wpływowi Bismarcka, a politykę pruską w Poznańskim, mianowicie w zakresie ustawy o expropriacjach, napiętnował jako „*die grösste politische Schändlichkeit*“. Za wyraz duszy niemieckiej, ścisłej mówiąc, pruskiej, wziąłem „*Deutsche Politik*“ b. kanclerza ks. Bulowa, o którym tenże Schücking powiedział, że „bezpryncypjalność Bismarcka podniósł do wysokości pryncypu swojej polityki“ — i w nią, w politykę tę mierząc, przytaczał Schücking silne, a tak głęboko prawdziwe słowa, któremi niegdyś Grillpalzer ostrzegał narody: „*Von der Humanität durch die Nationalität zur Bestialität*“.

W apologję swojego bestjalizmu politycznego włączył ks. Bülow tyle swady i talentu, że umiał w niejednym ustępie rzecz ohydną przerobić na prawie ponętną. W nieukończonem przejęciu się ideą państwa i konieczności służenia jemu wszystkimi siłami myśli i woli, upatrując w armji ostoję państwa, w armji zaś pruskiej więcej niż ostoję, bo najwyższą chwałę i chlubę Prus, poświęcił jej i militaryzmowi pruskiemu rozdział tak gorący, tak natchniony, że czytając go, mamy wrażenie, jakgdyby z pod pióra autora szły słowa, które mu dusza jego narodu dyktowała. „Historja Prus — dowodzi on — jest historją armji pruskiej i tem się różni od historji wszystkich innych

*) W „Dzienniku Mińskim“ w maju 1916 r.

**) Prof. Schücking „Das Nationalitäten problem“ Dresden 1908 r.

narodów, a porównaną być może chyba tylko z dziejami starożytnego Rzymu. Dzięki frasośliwej i przewidującej, rozumnej a stanowczej polityce Hohenzollernów powstało ich państwo, jako sztuczna budowa, jako zlepek rozmaitych części nie powiązanych ze sobą ani wspólną tradycją, ani jednością plemienną. Tem mocniej musiało się oprzeć na tych obu zasadniczych dźwigniach życia narodo- państwowego, jakimi są miłość ojczyzny i idea państwowości. Władza królewska, armja i naród — te trzy siły stopniowo zlewały się w Prusach w nierozdzielną całość. Król nosił płaszcz żołnierski i był pierwszym oficerem w armji, oficerowie nosili barwy królewskie i byli w państwie pierwszą klasą społeczną, do której sam król należał. I nie prawo publiczne, nie konstytucja, jak gdzieś indziej, lecz armja stała się w Prusach ogniwem, najmocniej spajającym króla z narodem“... Ze wszystkich wielkich rzeczy — woła Bülow — które Prusy dały Niemcom, największą pozostanie armja pruska!“

Armja ta nosicielką była i wykonawczynią wielkich europejskich zadań, które państwo miało przed sobą. Ona jest tą siłą wypróbowaną, dzięki której w przeszłości wśród najgroźniejszych niebezpieczeństw życie niemieckie mogło rozwijać się i kwitnąć — i w chwili obecnej — dawał autor w nowem, w czasie wojny ogłoszonym wydaniu książki — „wraz z wolnością, ona ratuje życie Niemiec“. Każdemu Niemcowi jego sumienie narodowe mówi dziś, że „ów okrzyczany zagranicą, przeklinany militarysta jest właśnie tem w narodzie, co jest najlepsze“ (134); to „miłość ojczyzny przeobrażona w wolę i czyn“.... I dziś „duch armji pruskiej, militarysta pruski stał się duchem stojącego pod bronią narodu niemieckiego“.

Tym zaś mężem opatrnościowym, który utorował armji drogę do urzeczywistnienia dążeń narodowych, do stworzenia groźnej i niewzruszonej w podstawach swoich potęgi niemieckiej był, oczywiście, Bismarck. Ale oto tu, z wyżyny rozległych zadań wielkiej światowej polityki niemieckiej dokonywał ks. Bülow niespodzianego *Salto mortale*. „Genjusz polityczny Bismarcka — wygłaszał on — nie w tem jednym się wyjawił, że zjednoczył Niemcy i koroną cesarską ukoronował głowę króla Pruskiego; niemniej godnem genjusza tego dziełem — mówił dalej bez zająknienia — było to, że dał początek polityce kolonizacyjnej w Poznańskim“. Więc od *Weltpolitik* do małej, parafjańskiej, podlej *Ostmarkpolitik*! Holdując najpodle-

szym instynktom grup politycznych upojonych powodzeniami Bismarckowskiego hasła *Macht vor Recht*, staczał się następca żelaznego kanclerza w błoto poziomych zawiści i nienawiści, w nędzę tych nawskroś materialistycznych apetytów, któreby powinien był odrzucić daleko od siebie naród, co dał światu Kanta, tego Kanta, który głosił, że panowanie nad obcym narodem nakłada na państwo trudny, lecz zaszczytny obowiązek zachowania kultury tego narodu i szczególnej pieczy nad jego językiem, bo język jest warunkiem rozwoju kultury tej, nosicielem ducha narodowego. Więc gdyby nawet Polacy, poddani pruscy — ich bowiem miał Kant na myśli, stawiając powyższą tezę — poczęli się odzwyczajając od mowy swojej, wykazywać skłonność do jej zatracenia, to państwo powinno by temu zapobiedz i wszystko możliwe uczynić, by przyjść z pomocą owej specyficznej kulturze, która bez języka własnego nie może ani się rozwijać, ani nawet istnieć. Ale słowa te nie przeszkożyły — dodawał Schücking do ustępu, w którym streścił ów pogląd Kanta — pruskiemu ministrowi oświaty, panu v. Studt, na uroczystości w Królewcu, poświęconej uczczeniu pamięci wielkiego myśliciela, wezwać obecnych, w imię jego, do popierania rządowej *Polenpolitik*, zmierzającej ku zniemczeniu (*Eindeutschung*) żywiołu polskiego.

Do tego samego wezwałby naturalnie kanclerz Bulow, gdyby tam był obecnym. Zdaniem jego, Bismarck, tworząc komisje kolonizacyjne i zasilając je ze skarbu państwa, pochwycił cugle, które niegdyś trzymał w ręku wielki Fryderyk, a od śmierci jego leżały na ziemi... „Kolonizacja ziem słowiańskich na wschodzie rozpoczęta przed tysiącem lat jest nie tylko największą, lecz jedyną rzeczą, która nam, Niemcom, dotąd się udała. Wszystkimi przeto siłami należy dążyć do odnowienia zbawiennej tradycji przodków. Pierwszy, a stanowczy krok zrobił Bismarck; sprawa kolonizacji jest jądrem całej polityki niemieckiej w Marchji wschodniej”. Ażeby zaś dzieło, kosztujące nas tyle walki i ofiar, nie miało być skazane na bankructwo, na to jedyny jest środek w urzeczywistnieniu myśli wygłoszonej przez Bismarcka w 1886 roku. Tą myślą wielkiego kanclerza było wywłaszczenie.

Jakże odmiennie na myśl tę spojrział prof. Schücking, który w roku 1908, gdy prawo o wywłaszczeniu przeszło w parlamencie, oświadczał w przedmowie do *Nationalitätenproblem*, że jako niemiecki profesor prawa pań-

stwowego, poczuwa się do obowiązku wystąpienia z protestem ze stanowiska nauki przeciw bezprawiu w pozory prawa ubranemu; albowiem — pisał — „zamordować przeciwnika, czy go wywłaszczyć, jest tem samem bezprawiem; różnica między jednym a drugim wynika tylko z różności kultury, polega na stopniu, nie zaś na istocie czynu“. Ale w oczach potężnego inspiratora polityki wywłaszczeń, jakim był ks. Bülow, rozumowania prof. Schückinga wydawały się jakimś prawniczo-etycznym bzdurstwem, objawem uczonego pedantyzmu, na który mąż stanu i człowiek czynu mógł tylko pogardą milczenia odpowiedzieć. Wzajemny stosunek dwóch sąsiadujących ze sobą narodów może być, według ks. Bülowa, tylko stosunkiem młota i kowadła. Niechże Niemcy będą młotem. Złagodzić — dowodził on — twardą a konsekwentną politykę naszą na naszych kresach wschodnich, to znaczy „kwestję polską zamienić na niebezpieczeństwo polskie“. Wzmocnienie przeto polityki tej powinno stać się „ogólno-narodową sprawą, gdyż od tego zależy nietylko los Niemców na polskim Wschodzie, lecz przyszłość Prus — więcej jeszcze — przyszłość całego państwa, całej niemczyzny“.

„Jakże trudnem — pisałem we wspomnianym szkicu, a słów moich nie przekreśliła cenzura niemiecka — jak rozpaczliwie trudnem jest porozumienie się z narodem, który tak myśli i czuje! Jakiegokolwiek będą wyniki wojny, w każdym razie utwierdzą one świat w przeświadczeniu, że światem rządzi siła. Daremnie wieszczowie nasi marzyli i wielu z nas marzy o panowaniu prawa Bożego o przemienieniu sfery polityki w sferę religii. Czas na to nie przyszedł. Wielkie idee mają wielkie znaczenie w dziejach, ale słusznie twierdzi Gustaw le Bon, że, aby wpływ swój wyrzucić, muszą wpierw przeistoczyć się w uczucia, ewolucja zaś ta jest bardzo powolną*).

Żaden Jehowa nie wtrącał się nigdy do polityki, a szczęśliwy zwycięzca zawsze tłumaczył prawo Boże według własnego interesu, czy też upodobania. I tylko te narody liczyć mogą na uczciwość i przyjaźń sąsiadów, które mają dużo armat, te zaś, co ich nie mają, lub mają mało, skazane są na zagładę. Już Tucydidesowi wiadomem było, że leży to w naturze człowieka gnębić tego, kto przed nim ustępuje, liczyć się zaś z tym, kto mu stawia opór — i mądrość człowieka tkwi w umiejętności stoso-

*) „Les premières Conséquences de la Guerre“, Paris 1917.

wania tego prawa natury do każdego poszczególnego wypadku. Powinien umieć odgadywać, jak daleko posuwać może opór i gdzie należy ustąpić“.

Tak rozmawialiśmy tam na Białej Rusi, pod okupacją niemiecką w maju 1918 r. W listopadzie potęga Niemiec runęła... Gdy w roku 1908 Walter Schücking piętnował etykę egoizmu narodowego, jako negację wszelkiej etyki (*Auflösung der Ethik überhaupt*), słowa jego przechodziły bez śladu; stosowna dla nich chwila jeszcze nie była nadeszła. Nadeszła ona przy końcu wojny, gdy naród niemiecki z dniem każdym czuł się bardziej wyczerpanym, a mniej pewnym zwycięstwa. I wtedy to, latem 1918 roku, więc przed klęską, a po tryumfach pokoju Brzeskiego i wśród chwilowych powodzeń oręża niemieckiego we Francji pisał Fr. W. Förster rzecz swoją o sumieniu i polityce (*Weltgewissen und Weltpolitik*), w której z odwagą, siłą i natchnieniem występował przeciw bestjalizmowi politycznemu, przeciwstawiając mu ideę chrześcijańskiej polityki. A polityka ta była u niego nie marzeniem, nie frazesem retorycznym; brał ją jako „jedyną realną politykę, która nie tylko moralnie podnosi, lecz biologicznie wzmacnia i wzbogaca człowieka, wysuwając na miejsce popieranych przez politykę walki o byt niższych egoistycznych pierwiastków owe wyższe aspiracje i siły, bez których nie może być mowy o rozwiązaniu zawitych zagadnień międzynarodowych, o uporządkowaniu wszystkich ścieraających się ze sobą dążności i praw do życia“. Pierwszy to raz ujrzał wówczas świat ideę polityki chrześcijańskiej, nie w marzeniu poety, nie w nawoływaniach kaznodziei, nie w utopji reformatora, który pamiętać nie chce o warunkach rzeczywistości, ale w rozprawie uczzonego, obejmującej przedmiot w całej jego rozciągłości i przedstawiającej z całą naukową gruntownością konieczność powrotu do słów Chrystusowych w Kazaniu na górze, jako *sine qua* ochrony cywilizacji od grożącej jej zagłady.

Ale uniosło Forstera jego szlachetne uczucie i całą prawie winę za wojnę zrzucił na swój naród, dochodząc niemal do żądania publicznego z jego strony *Confiteor*. Oburzyło to nawet Niemców uczciwych, tych, którzy na równi z nim bestjalizm hakatystyczny potępiali. Oto co pisał z tego powodu prof. Hans Delbrück: „wstydzmy się sami przed sobą za wszystkie zbrodnie przez Niemców w czasie wojny popełnione; rumienić się przed innymi nie mamy potrzeby. Prorocy Starego Testamentu, gdy

smagali grzechy Izraela, żądali od niego ukorzenia się przed Bogiem, nie zaś przed Sennacherybem. Więc z gniewem i pogardą odpychamy pokutnicze kazania, które nam dziś prawią, że Francuzi i Anglicy lepsi byli od nas. Niech nasze własne sumienie nas ukarze, ale nie zegnijemy się przed tymi, którzy nas zwyciężywszy, wmówić usiłują światu, że także moralnie stali od nas wyżej *).

3.

Admirał Tirpitz a wojna.

Bestjalizm Bülowa czy chrystjanizm Förstera — w którą stronę się przechyla. Niemcy dzisiejsze? Może ani w jedną ani w drugą, może natomiast ze starcia się przeciwieństw wyłoni się nie synteza — tej między złem a dobrem być nie może — ale zwrot od bezprawia, które dotąd tryumfowało w polityce i w nauce, od kultu prawa pięści, który umiejętnie pod przykryciem Chrześcijaństwa, jak u Chamberlain'a, podawano — do sumienia, do afirmacji prawa moralnego i jego obowiązującej mocy w stosunku do innych narodów. Pytanie to nas szczególnie obchodzić powinno.

Było to Petersburgu w r. 1916, w dniu 24 października st. stylu. Wracając pod wieczór do mieszkania mego w hotelu Paryskim, spotkałem tam we drzwiach wychodzącego ś. p. Eustachego Dobieckiego. Szukał mnie, żeby mi zakomunikować dopiero co otrzymaną przez niego jakąś tajemną drogą wiadomość o ogłoszeniu w Warszawie aktu państw centralnych, uznającego niepodległość Królestwa Polskiego. Choć zdecydowany zwolennik orjentacji koalicyjno - rosyjskiej, ale z duszą szlachetną i umysłem trzeźwym, Dobiecki wiadomość tę komunikował i przyjmował radośnie, nie jako „nowy szatański pomysł ces. Wilhelma“, ale jako cenną zdobycz polityczną, którą trzeba będzie umieć mądrze wyzyskać. Tembardziej ja radować się mogłem z moimi „aktywistycznymi“ sympatjami, wynikającymi z głębokiego przeświadczenia, iż zwycięstwo Rosji wraz ze zjednoczeniem ziem polskich pod berłem cara byłoby śmiercią Polski. Ale czy dar z ręki odwiecznego i zacieklego wroga nie jest wybiegiem w celu otumanienia opinii świata, przejętej wspaniałomyślnością

*) „Preussische Jahrbücher“ 1919 r. Sierpień.

państw Ententy z ich hasłem „samostanowienia“ narodów i czy w razie ostatecznego zwycięstwa Niemiec nie zostałby nam odebrany pod tym lub owym pozorem? Z pytaniem tem, które odrazu przedemną stanęło, załatwiłem się bez trudu. W zwycięstwo bowiem Niemiec nie wierzyłem i nie wierzył tam, w Petersburgu, nikt. Sądziłiśmy prawie wszyscy, że pokój nastąpi wskutek wyczerpania obu stron i że przeto opartym będzie na wzajemnych ustępstwach. W takim jednak razie przyszłe Królestwo Polskie, choć niepodległe, znalazłoby się w ekonomicznej i politycznej zależności od Niemiec, od zaborczych pan-germańskich planów i dążeń społeczeństwa i rządu. Było to ciemną stroną na tle radości. Wątpliwość ta dręczyła mię, nie dała spać w nocy.

Nazajutrz rano poszedłem podzielić się radością wiadomością z prof. Baudouin de Courtenay. Ale tam, w domu jego, wiedziano już o wszystkim i radość panowała szczerą i pełną. Nie dopuszczano myśli, aby Niemcy, aby duch niemiecki pozostał po wojnie takim samym, jakim był przed nią. Już daje dostrzegać się przeobrażenie w pojęciach moralnych i politycznych. Opowiadają o tem Szwedzi, którzy niedawno byli w Berlinie — i niewątpliwie pojawiają się wkrótce nowi ludzie, nowego, wyższego, w doswiadczeniach i cierpieniach wojny uszlachetnionego typu. Nadzieja ta krzepiąco podziała na mnie wówczas w rozmowie — i pokrzepiała w dalszym ciągu. Chciałem wierzyć w przyszłe moralnie odrodzone Niemcy, chwytałem się każdego faktu, któryby mnie w tej wierze utwierdził.

Ale wszystkie złudzenia rozwiła rzeczywistość, gdy przybyłem do Wilna w końcu czerwca 1918 r. Wprawdzie wśród urzędników i wojskowych spotykałem tam ludzi przyzwyczajonych i uczciwych, sympatycznie też wspominało feldmarszałka Eichhorna, świeżo przeniesionego do Kijowa, gdzie miał wkrótce zginąć tragiczną śmiercią. Mile mi się utrwaliły w pamięci rozmowy moje z generałem Guse, który mię od pierwszej chwili pociągnął szczerym i szlachetnym sposobem myślenia. „Zagadnienie polskie — mówił — należy do najtrudniejszych, bo iść do niego należy nie rozumem tylko, ale i sercem, a to drugie rzadko się zdarza u polityków“. Jednak system polityczny był straszny, nie tylko wymierzony przeciwko wpływom kultury polskiej, lecz także, przynajmniej w planach ks. Isenburga, kierujący się myślą wygłodzenia i fizycznego wyniszczenia lud-

ności polskiej... Od sierpnia poczęły się walić na armje niemieckie ciosy, które jej marszałek Foch zadawał; państwo zadrżało w posadach swoich; poddmuchy rewolucyjne dały się czuć w społeczeństwie, podupadł duch w żołnierstwie, aż w końcu, pod działaniem niespodziewanych, a oszałamiających niepowodzeń i beznadziejnej rozpacz w Kwaterze Głównej, wystąpił nowy rząd już nie z propozycją, ani nawet z prośbą, lecz z błaganie o wstrzymanie działań wojennych, o pokój. Czyż to straszliwe wstrząśnienie nie wywołało uzdrawiającego zwrotu, któryby przeczyścił uczucie i myśl? Czy się nie opamiętali ci czciciele prawa siły, co stali u steru państwa, ci wyznawcy bestjalizmu politycznego, którego aspiracje i dążenia streszczał ks. Bülow?

Leżą przedemną trzy książki*), trzy pamiętniki trzech najwybitniejszych w czasie wojny przedstawicieli patriotyzmu pruskiego w jego wojowniczej pangermańskiej formie — Hindenburga, Ludendorffa, Tirpitz. Wszystkie trzy świadczą, że autorowie ich pozostali wierni sobie i wierni polityce, która w imię ubóstwianego państwa niosła śmierć narodom w obręb państwa tego wchodzącym.

Niemniej jednak zasługują na uwagę, jako dokumenty psychologiczne. Uzupełniają się wzajemnie, przedstawiając patriotyzm pruski w trzech jego typach, czy odcieniach. Marsz. Hindenburg, pisząc, miał widocznie na myśli szeroko czytającą publiczność, zwłaszcza młodzież; dlatego to wpada w ton starego dziadunia, opowiadającego wnukom bogate przygody życia swego dla moralnego ich pożytku i w celu wzmocnienia w ich sercach czci *für seine Majestat*. Tych wyrazów nie opuszcza nigdy, gdy mówi o cesarzu. Cesarz jest dla niego żywym symbolem ojczyzny i chciałby wpoić czytelnikowi uczucie bezgranicznej wierności swojemu monarsze. Ten kult dla symbolu świadczy o skłonności starego wojownika do myślenia obrazami, czyli o obecności w nim jakiegoś poetycznego, romantycznego pierwiastka. I zdaje się, że w słowach jego czujemy nieraz tchnienie owych pieśniarzy prusko-niemieckich — Kleista i Körnera — którzy przed stu przeszło laty zagrzewali ziomków swoich do walki z Napoleonem. I jeśli mamy, wraz z V. Berardem,

*) Gen. Feldm. v. Hindenburg „Aus meinem Leben“ (Leipzig 1920). Erich Ludendorff „Meine Kriegserinnerungen“ (Berlin 1920). Alfred v. Tirpitz „Erinnerungen“ (Leipzig 1919).

uznać, że zasadnicze przeciwieństwo w zakresie politycznym między narodami łacińskimi a germańskimi na tem polega, że pierwsze stoją na etatyzmie, czyli na poddaniu się państwu, drugie zaś — na militaryzmie, t. j. na wierności panującemu,*) to w Hindenburgu powinniśmy widzieć najczystsze wcielenie ducha germańskiego. Ale właśnie dlatego, że etatyzm tak jest spreczny z wojowniczym, gwałtownym, nieokiełznanym temperamentem germańskim, nigdzie tak głęboko jak w Niemczech nie odczuto potrzeby mocnej organizacji państwowej, jako niezbędnego warunku do utrzymania bytu narodowego, nigdzie filozofowie nie podnosili idei państwa na taką wysokość, nigdzie nie miała ona tak fanatycznych wyznawców. Do nich należy jen. Ludendorff. Surowy, twardy, tępy, o sto mil oddalony od wszystkiego, co wieje poezją, jest on sługą państwa, a wyrazicielem armji, która jest najwyższym wykwitem ducha, ożywiającego państwo. Trzeba — słusznie powiedział jen. Buat**) — szukać pomocy aż w terminologii religijnej, chcąc mieć pojęcie, jak głęboko sięga u niego i u jego towarzyszy, wodzów armji niemieckiej, kult wielkiego niemieckiego państwa. Siebie, wykonawców jego woli, mają oni za kapłanów, uczestniczących w jego nieomylności; z oficerów sztabu przeistoczyli się w zakon prawdziwych, a niebezpiecznych mistyków. Jednym z pierwszych w ich szeregu jest Ludendorff; „wszystko w tym człowieku się trzyma, on cały z jednego kruszca, to monolit“. W przeciwieństwie do marsz. Hindenburga, adm. Tirpitz pozwala sobie na swobodną krytykę osoby i działalności ces. Wilhelma i, choć mocno stanął, wspólnie z jen Ludendorffem na gruncie państwowości, nie zlał on tak zupełnie i absolutnie pojęcia państwa z pojęciem narodu. Wyrazy: *naród, ojczyzna*, nieustannie mu wracają pod pióro, on cierpi nad tragedją nie państwa tylko, lecz i narodu, który spadł z wyżyn potęgi i powodzenia, on narodowi temu wytyka jego błędy, on się skarży na brak w nim zmysłu narodowego (*Nationalsinn*).

Pod względem polityki wszyscy trzej na tym samym stoją poziomie, co ks. Bülow. Od poglądów jego i wskazań nie odbiegają, Hindenburg używa nawet tegoż samego podziału narodów na m'oty i kowadła!; zastanawiając się nad dzisiejszym stanem Niemiec, wyraża obawę swoją,

*) Victor Bérard „L'éternelle Allemagne“ 1916.

**) Général Buat: „Ludendorff“, Paris 1919.

że zabraknie im odwagi i siły, gdy na to godzina wybije, być tym młotem, jakim były zawsze. Ludendorff, jako Poznańczyk z urodzenia, jest fanatykiem Ostmarkfereinu i jego dążeń; w krajach, które zajmuje, uważa za swój obowiązek być nie tylko kierownikiem armji, ale i pionierem germanizmu; marzy o rozkolonizowaniu żołnierzy niemieckich po wojnie na Litwie; nie mieści mu się w głowie, aby w obrębie jednego państwa mogło być kilka narodowości i opowiada o „głębokiem wrażeniu” i naturalnie oburzeniu, jakiego doznał, dowiedziawszy się, że w podręcznikach szkolnych polskich Poznań, Gniezno, Wilno oznaczone są, jako miasta polskie.*) Tirpitz szerzej nieco patrząc, żąda od państwa w kwestjach narodowościowych stanowczości i, prócz tego, jeszcze rozumu. Z tego stanowiska potępia on germanizowanie Szlezwigu, bo niepotrzebnie drażniąc małych Duńczyków, zrażało Danję, której życzliwa neutralność byłaby bardzo przydatną w czasie wojny; natomiast pochwała germanizacyjną politykę w Poznańskim i w Alzacji, nazywając to zwalczaniem polskiej i francuskiej propagandy.**).

Hindenburg i Ludendorff choć w końcu zwyciężeni, stawiali jednak w ciągu lat czterech zwycięski opór Europie i Ameryce i zeszli z widowni otoczeni blaskiem chwały wojennej i wdzięcznością współziomków — i to ich słusznie pociesza w nieszczęściu ojczyzny. Ale admirała Tirpitz na samym początku wojny usunięto od wpływu i musiał on bezsilnie patrzeć, jak marniała jego flota skazana na bezczynność i jak wraz z tem zapadało w nicłość dzieło, któremu on pracą całego życia poświęcił. Odsunięto go, jako indywidualność bardzo silną i z bardzo wyraźnym programem. I to go czyni postacią tragiczną i w tragiczności swojej wysoko wyrastającą nad poziom ogólny. W pamiętniku jego stronica każda bólem jego duszy, w której odbija się tragedia jego narodu. Porwani, czytamy jednym tchem, czujemy w autorze przeciwnika, budzącego szacunek głębokością patriotycznego bólu. Przyjrzyjmy się patriotyzmowi niemieckiemu nie w upojeniu tryumfu i w cynicznej zarozumiałości, jak u ks. Bułowa, a.e. na zwaliskach zawiedzionych dążeń i pogrzebanych nadziei.

Przedewszystkiem „Wspomienia” adm. Tirpitz roz-wiewają legendę którą niezmordowanie ze strony państw

*) Ib. str. 66 — 67. **) L. c. str. 158.

Ententy szerzono i w końcu wmówiono ją światu, że wszystko w Niemczech — cesarz, dwór, rząd, armja, społeczeństwo — wszystko żyło jedną chęcią wojny, że tę wojnę przygotowywano i że ją wypowiedziano w chwili, gdy szybkie zwycięstwo zdawało się zapewnionem. „Wszelkie rozprawiania o przyczynach wojny — zaczyna Viktor Giraud *) swoje dzieło — są rzeczą zbędną; przyczyna jest tylko jedna, ta, że jej Niemcy chcieli; oczywistość prawdy tej coraz wyraźniej z dniem każdym uwydatnia każdy nowy fakt, nowy dokument“... Potworne marzenie o zapanowaniu nad światem całym ogarnęło ten naród, w którym upojenie powodzeniami, wrodzona pycha, brutalność i żądza rozkoszy zmysłowych stłumiły wszystko, co szlachetniejsze, mianowicie zaś uczucie ludzkości i zmysł moralny.**) I autor, zapowiedziawszy w przedmowie, iż nie odstąpi w niczem od najsurowszej bezstronności (*l'impartialite la plus rigoureuse*), wygłasza już w pierwszym rozdziale, iż naród niemiecki postąpił tak, jak bohater jego ulubionego poety: „zaprzedał duszę swoją diabłowi i uczcił cielca złotego“ — i odtąd stopniowo zarzucał pracę we wszystkich sferach czynności duchowej — w religji, filozofji, literaturze, sztuce, przekształcił naukę w gruby nacjonalistyczny utylitaryzm, kazał jej służyć swoim apetytom materialnym i w końcu sam siebie ubóstwił“. Naród ten — czytamy w zakończeniu — spadł poniżej poziomu plemion murzyńskich w Afryce środkowej i powinien otwarcie i godnie uznać zbrodnię swoją przeciw ludzkości i słuszną wymierzoną mu kary. Zabrałiśmy jego kolonie, pozbawiliśmy wojska i floty, obarczyliśmy długiem ogromnym, a jednak małym w stosunku do wojny, bo nie dzisiejsze tylko Niemcy, ale i przyszłe pokolenia powinniśmy byli skazać na dwa lub trzy stulecia ciężkiej pracy, wyłącznie służącej celom wypłaty należnych nam odszkodowań. Niechże błogostawia wspańiałości naszą, niech starają się wzbudzić w nas ufność. Nie widzimy jednak dotąd, ażeby zmieniły duszę swoją i wyzbyły się drapieżności, pychy, kłamstwa, więc zmuszeni jesteśmy zabronić im dostępu do cywilizowanej ludzkości i wykluczyć z towarzystwa narodów. ***)

Otóż w tym narodzie „drapieżnym, zmysłowym, pysznym i fałszywym“, który „swoją duszę zaprzedał diabłu“,

*) „Histoire de la guerre“ Paris 1919 — 20.

**) iden str. 17.

***) Przytoczyłem słowa autora w skróceniu str. 743 i 748—9.

imię Tirpitz było właśnie symbolem drapieżnych pangermańskich dążeń. „Tirpitz i Bethmann — gdy wymienię te dwa imiona — mówił Fr. Naumann w jednej ze swoich ostatnich mów w parlamencie niemieckim (22/X 1918) — każdy zrozumie, skąd pochodziło i na czym polegało rozdzielenie w polityce naszej“... I cóż? Ten straszny Tirpitz wojny nie chciał, nie o wojnie marzył, lecz o pokoju ekonomicznym i politycznym zdobywaniu świata; nie dla wojny budował flotę, lecz dla pokoju, dla ochrony zakrojonego na wielką skalę, wszystkie możliwe rynki obejmującego przemysłu i handlu.

Hazardowej gry, jaką jest wojna, nie chciał, bo od młodu żywo uświadamiał sobie te trudne warunki wewnętrzne i zewnętrzne, które naród i państwo miały do zwalczania: „Jeśli spojrzeć — pisze on *) — z odrobina zmysłu rzeczywistości na wzrastanie potęgi prusko-niemieckiej od epoki zupełnego rozprężenia i rozstroju, który wojna 30-letnia zostawiła po sobie, aż do rozkwitu, na który patrzaliśmy w lipcu 1914 r., to wydaje się nam prawie cudem, że dzieło tak wielkie, tak wspaniałe udać się mogło. W środku Europy, bez dogodnego wyjścia na morze, z ziemią nieurodzajną i źle zaopatrzoną w skarby natury, bez granic naturalnych, a zewsząd otoczone przez narody od wieków na ich zgubę czyhające — tak stały Niemcy, i te warunki bytu i moze w równej mierze właściwości charakteru narodowego tłumaczą nam dla czego wzrost i rozkwit potęgi naszej nie z głębi narodu samego wyrósł, ale przedstawia się, jako dzieło sztuki, tworzone przez szereg wielkich genjuszów w zakresie twórczości państwowej, których nam dały trzy ostatnie stulecia“. Z tem większym wysiłkiem i poświęceniem należało stać w obronie stworzonego dzieła, a drogi do tego nie było innej, jak dumne zaparcie się siebie w całkowitem oddaniu się państwu. (*Selbststolze Hingabe an den Staat*).

Ziemia niemiecka nie mogła przekarmić mnożącej się ludności, konieczność zmuszała do rzucenia się na pole przemysłu i do szukania rynków dla zbytu towarów; siłą rzeczy państwo niemieckie rozpoczęło wielką światową politykę (*Weltpolitik*). Niezbędną jej podstawą była flota, a niestrudzonym głosicielem i wykonawcą myśli tej — Tirpitz. Z niepokojem i zazdrością patrzyła Anglia na

*) „Erinnerungen por. str. 389.

budujące się okręty, ale tem gorliwiej iść należało do określonego celu. Rozumiał Tirpitz, że jedynym środkiem do utrzymania stosunków z Anglią na dobrej stopie było imponowanie jej siłą, a zatem stworzenie floty takiej, ażeby zaczepne względem niej i względem handlu niemieckiego zamiary przedstawiały dla niej, pomimo jej ogromnej przewagi na morzu, wyraźne niebezpieczeństwo. Na pracę swoją nad flotą patrzył Tirpitz ze stanowiska konieczności politycznej defensywy. *) I pracę tę uwieńczyło powodzenie. Uzyskał respekt Anglii dla siły niemieckiej i równocześnie z tem w rządzie angielskim brał górę pogląd, że wojna z Niemcami nie była *geschehen* pewnym i zyskownym. **) Szczególny tragiczny skład okoliczności upatruje Tirpitz w tem, że stosunek z Anglią stawał się właśnie w przededniu wojny przyjaźniejszym, niż kiedy. Ambasador w Londynie ks. Lichnowsky oświadczał mu w czasie letnich manewrów floty w Kiel w r. 1914, że Anglija już się pogodziła z istniejącym stanem rzeczy, że już tam nie ma mowy o wojnie z powodu handlu lub budowy floty, że można liczyć na wzajemne zbliżenie się obu państw. Słowa swoje kończył zapytaniem, czy są przewidywane nowe kredyty na flotę. „*Meine Antwort lautete: wir haben keine mehr nötig*“ ***).

Czyli cel był dopięty: „w uczciwem mojem dążeniu do pokoju mogłem z zadowoleniem spoglądać na pracę mego życia i czułem bliskość chwili, w której w ręce mego następcy przekazę rzecz już wykończoną“...

„Marynarka niemiecka w rozumieniu mojem już wypełniła była swoje zadanie, bo dzięki sile swojej zapewniła nam pokój i wolność na morzach“... „Nigdy ojczyzna moja w ciągu historii nie była potężniejszą i bardziej przez wielkich tej ziemi szanowaną, niż w owych dniach, nigdy wspanialej nie kwitnęła“... Była już poza górą“ (*über den Berg*) w tem znaczeniu, że w rzeczach zasadniczych już osiągnęła to, do czego dążyła, i mogła spokojnie owoce swoich trudów spożywać.

I właśnie wtedy wybuchnęła wojna, gdy jej nikt nie chciał, a nawa państwa kierował najwybitniejszy z jej przeciwników i powiernik cesarza, kanclerz Bethmann Hollweg. Więc nie z tego powodu wybuchnęła, że, jak twierdzi V. Giraud, znalazł się naród, ogarnięty obłędem masowym, „pijany wiedzą pozytywną, siłą materialną

*) b. por. str. 106. **) por. str. 180. ***) str. 204.

i maszynizmem, pozbawiony skrupułów“, bez zmysłu moralnego i nie uznający prawa narodów, który dobrowolnie się zdechrystjanizował i zdehumanizował, a porwany instynktami drapieżnymi, zapragnął nałożyć na cały świat swoje żelazne jarzmo.

Nie pochwalamy, ale rozumiemy namiętność Francuza, nie wybaczącego Niemcom spustoszenia rozległych kwitnących prowincyj swojej ojczyzny; nie przeczymy, że Niemcy w czasie wojny plamili siebie nieraz zbrodniami, równych którym niewiele widział świat. Mamy w pamięci zniszczenie Kalisza i okrutne znęcanie się nad mieszkańcami jego, dokonywane na zimno w pierwszych dniach wojny na rozkaz kapitana Preuskera. Jeśli wśród przyczyn ostatecznej klęski niemieckiej pewną wagę ma także powszechna ku nim nienawiść ze strony Polaków, to godnym Herostratesa twórcą nienawiści tej był Preusker; bez niej propaganda orientacji rusofilskiej nie zyskałaby nigdy powodzenia, jakie jej przypadło. Ale to, że Niemcy okrutni byli w prowadzeniu wojny, nie ma nic wspólnego z jej przyczynami. Wybuchnęła wojna z winy niczyjej; znaczenie wolnej woli jednostek jest tu minimalne; wisiała nad Europą od r. 1871; zapowiadały ją coraz bardziej krzyżujące się interesy narodów, konkurencja anglo-niemiecka, odwetowe zamiary Francuzów, rywalizacja Austrii i Rosji na Bałkanach; zbrojono się powszechnie, atmosfera przesycona była elektrycznością i mała iskierka mogła w każdej chwili spowodować straszliwy wybuch. Taką iskierką było nieszczęśliwe ultimatum austriackie, płód krótkowidztwa dyplomatycznego.

4.

Francja a imperjalizm niemiecki.

Całą winę w kwestji wypowiedzenia wojny zwałono na Niemcy. Stało się to wskutek niezręczności dyplomacji austro-niemieckiej, a pod wrażeniem okrucieństw niemieckich w Belgji i we Francji — i wreszcie dzięki umiejętności przez państwa Ententy prowadzonej propagandzie. Złośliwej jednak premedytacji i świadomego dążenia w Niemczech do wywołania zawieruchy nie było. Potwierdzają to, a zatem potwierdzają zdanie adm. Tirpitz'a wyniki badań uczonych i publicystów francuskich, którzy zwiedzali Niemcy przed wojną.

Wprawdzie imperjalizm zaborczy, a brutalny grasował w społeczeństwie. Chamberlain filozoficznie uzasadniał prawo Niemiec do panowania nad światem i obowiązek korzystania z tego prawa; jen. Bernhardt w dziełach swoich układał plany przyszłej wojny zwycięskiej; niejaki Otto Rich. Tannenberg kreślił obraz przyszłego wszechniemieckiego państwa, w którym po owej wojnie szczęśliwi zwycięscy pozostawia zwyciężonym jedno tylko: oczy do oplakiwania klęski i niedoli swojej.. Ale nie to było owym czynnikiem dominującym w życiu niemieckim, który szczególnie uderzał obcych; uderzało Francuzów coś wręcz przeciwnego: rozstrój wewnętrzny, niepewność, troska o jutro.

Pochodzi to stąd, tłumaczył Henryk Moysset*), w książce bardzo we Francji cenionej, że proces przemiany Niemiec z państwa rolniczego i nawpół feodalnego w państwo przemysłowe i demokratyczne, potoczył się w tak szybkim tempie, że wytracił z równowagi społeczeństwo. Liczba ludności, zajętej pracą koło roli spadła z 61% do 36% w roku 1895. Prawda, w ślad za industrializacją zwiększał się dobrobyt, rosło bogactwo, Niemcy potrzebowały ogromnego rynku (*Weltmarkt*) i przeistaczały się w *Weltmacht*, ale zarazem wzmagał się liczebnie proletarijat. Stanowi on już większość w narodzie, żąda dostępu do władzy, i nie kwestja przyszłej wojny i przyszłych zwycięskich zdobyczy, lecz kwestja głosowania powszechnego jest tą, która najgłębiej pochłania i najsilniej roznamiętnia Niemcy. Tak — odpowiadała na to w dwa lata później William Martin**) — demokracja dąży do zagarnięcia władzy, a szlachta nie chce wypuścić jej z rąk; nie to jednak charakteryzuje kryzys, który obecnie Niemcami wstrząsa; polega on na tem, że wychowane w tradycji poszanowania dla władzy, Niemcy potrzebują władzy silnej, ta zaś ześlizguje się z rąk ministrów w ręce deputowanych, które za słabe są, by ją utrzymać. Więc władza spada na ziemię i niema komu ją podjąć***). Niemcy malowniczo porównywał W. Martin z koniem, którego dosiadł zły jeździec; cugle mu się wymknęły, biją konia po lędźwiach i koń się narowi. —

*) „L'esprit public en Allemagne“ (Paris 1911).

**) „La crise politique de l'Allemagne contemporaine“. Paris 1913.

***) Por. Przedmowa str. III.

Różnicy w poglądzie między obu autorami nie widzimy, jest tylko różnica w cieniowaniu tego samego spostrzeżenia, tej samej myśli.

Gdy demokracja gwałtownie dobija się o władzę, warstwy zaś wyższe, które ją dotąd posiadały, usiłują nadal ją utrzymać, a nie mają dość sił na to, tam król powinienby być czynnikiem decydującym. Ale monarchja pruska, z łaski Bożej, absolutna, konserwatywna, feodalna, luterkańska, sprzeniewierzyła się, zdaniem Moyssset'a, zasadom, na których stała i które dotychczas głosi; jej sługa Bismarck, aby zjednoczyć Niemcy i stworzyć cesarstwo, posługiwał się, gdzie mógł, bez skrupułów, namiętnościami^{*)} żywiołów skrajnych i z pomocą ich zrzucał dynastje, stojące dziełu jego na drodze. Początki przeto cesarstwa są rewolucyjne w ścisłym historycznie znaczeniu wyrazu *) — i może dlatego cesarstwo bezsilnem jest w walce z rewolucją. Wilhelm II — pisał Moyssset — rozumie całą groźbę chwili i nikt lepiej od niego nie wie, że Prusy są ostatniem feodalnem zamczyskiem w Europie i że wszystkie potęgi wywrotowe świata wymierzyły atak przeciw niemu. I on się broni, jak umie. Niemożna mu odmówić zdolności ani rozumu. Choć nie dość zrównoważony, choć impulsywny i gadatliwy, umiał jednak państwo swoje uchronić od wojny, pomimo, że ludzie go do niej kusili, że okoliczności sprzyjały i że sytuacja polityczna zdawała się tego wymagać — i historia powie o nim, iż „postęp ekonomiczny, wzrost bogactwa i rozwój potęgi swojej zawdzięczają Niemcy długiemu okresowi pokoju, którego ich cesarz chciał i żądał“. Tak trzy lata przed wojną publicista uczciwy, poważny, a surowy zwłaszcza w ocenie germanizacyjnej polityki w Poznańskim, sądził monarchę**), którego, gdy wojna wybuchnęła, niemal jednogłośnie poczęto we Francji przedstawiać, jako degenerata, zbrodniarza, Antychrysta nawet, który z szatańską złością i przebiegłością przygotowywał w ciągu długiego panowania zdradziecką napaść na ościenne państwa.

Nie umiał jednak cesarz Wilhelm według tegoż autora dać sobie rady w polityce wewnętrznej, nikomu nie dogodził, wszystkich zrażał — i nie tylko impulsywnością i zmiennością w usposobieniu, ale tem także, że chciał stać pośrodku, być czynnikiem równowagi. Skrajni z le-

*) Moyssset l. c. str. 263. **) Mousset l. str. 263.

wicy piętnowali go, jako autokratę, schlebiającego junkrom, pangermaniści ubolewali, że nie myśli po niemiecku i nie mówi tak, jak Niemiec mówić powinien.

Namiętności partyjne i brak dostatecznej powagi i autorytetu ze strony władzy napełniały atmosferę zarazkami niepokoju, [niezdrowia, pesymizmu. Przeciw pesymizmowi, który z pracowni filozofów przechodził do biur redakcyjnych, do zgromadzeń politycznych, do kawiarni, na ulicę, powstawał cesarz w jednej z mów swoich w roku 1906, piętnując trawiącą społeczeństwo *Schwarzseherei*. I cóż mu na to odpowiedziano w prasie? Odpowiedziano, że gdyby, idąc za radą cesarza, wszyscy pesymiści wynieśli się z Niemiec, problemat przeludnienia zostałby wnet rozwiązany. Jakże nie być pesymistą — pisano w „*Kölnische Volkszeitung*“ — wszak polityka wewnętrzna konsekwentną jest tylko w błędach swoich, jak np. w Polsce, polityka zaś zewnętrzna wszędzie sieje nieufność do Niemiec. Siał ją, według opinii powszechnej, także cesarz... W roku 1908 wyraził się on w rozmowie z Anglikiem, że sam czuje się przyjacielem Anglii, lecz ci, co uczucie to żywią w państwie jego, są mniejszością. Słowa te wydrukował „*Daily Telegraph*“. Powstała stąd burza w parlamencie niemieckim, jakiej nie pamiętano. Sprawie tej poświęcił Moysset cały rozdział. „Odczytując dziś — pisze — sprawozdania stenograficzne z owych rozpraw, stwierdzamy, że nigdy z trybuny francuskiej od roku 1815, aż do naszych dni, nie traktowano tak głowy państwa, kimkolwiek on był“... Aby coś podobnego odnaleźć w rocznikach parlamentaryzmu, grzebać się trzeba w dziejach rewolucji, gdy nazajutrz po dokonaniu przewrotu, rozmaici „krzykacze bezkarnie znieważają pamięć powalonych lub wygnanych monarchów“. Cały ten epizod ze szczególną wymową świadczył o rozprzężeniu wewnętrznym w Niemczech. Ryszard Wagner powiedział gdzieś, że Niemiec kocha czyn, ale taki, który w istocie swojej jest marzeniem: „Otóż Niemcy obudziły się z marzenia, które trwało lat 40. w prasie, w książkach, w tysiącach broszur, po wszystkich ustach jeden wyraz krąży i wraca, i niby bańka przesycona wszystkimi niepokojami narodu, pryska na powierzchnię ducha publicznego“. Tym wyrazem — *die Zukunft, die Zukunft Deutschlands*. Niema zgody i ładu wewnątrz, a za granicą wojną grozi. „Gdzie Bismarck? Niema go. Kto nas zbawi? Roztrwoniliśmy i zgubiliśmy cały kapitał chwały, zdobytej w roku 1870“.

W takich sytuacjach wojna wydaje się niekiedy wybawieniem, bo w obliczu niebezpieczeństwa godzi wabiących się i stwarza patryjotyczną jedność. I choć lekarstwo takie bywa w następstwach swoich gorszym od choroby, jednak, kto wie, może tego środka chwyci się militarystyczna z tradycji i ducha arystokracja — i pytanie polega na tem — kończył autor swą książkę — „czy bez stawiania oporu da ona innym powiedzieć: *finis Borussiae*”.

Ale wojna z rozpaczy nie byłaby ową wojną imperialistyczną, o którą oskarżano Niemcy. Trudno wyobrazić sobie bardziej ponury obraz Prus i Niemiec, niż ten, jaki dał Moysset, i bardziej sprzeczny z tą symplistyczną filozofją historii, która powstała we Francji w czasie wojny i dziś jeszcze z takim impetem, ustami Victora Giraud, głosi, że wśród narodów uczciwych, pokojową, kulturalną pracą zajętych, znalazł się przez Boga i ludzi wyklęty naród, który zdradziecko napadł na tamte, postanowiwszy ujarzmić je, a owoce ich pracy albo zniszczyć, albo sobie przywłaszczyć — i odtąd trzymanie wyklętego narodu na uwięzi staje się celem historii.

Pogląd H. Moysset'a na Niemcy, jako na państwo, słabo stojące na nogach, pomimo potężnej armji i floty i przy całem bogactwie swoim, nie był poglądem odosobnionym w literaturze politycznej francuskiej. Prześcięgnął go „w obrazie wewnętrznego skołatania tak groźnego w pozorach swoich imperjum William Martin*).

Do kwestji głosowania powszechnego, której Moysset nadawał takie znaczenie, W. Martin wagi nie przywiązuje. On z góry wie, że nie rozwiąże ona nagromadzonych trudności, które nie z nadużyć despotycznej władzy i nie z wywołanej przez to reakcji demokratycznej pochodzą, ale stąd, że władza utraciła swój autorytet. Stąd wstrząśnienie wewnętrzne, przez które Niemcy przechodzą. Naród ten z natury swojej, z tradycji, z wychowania czuje pociąg do siły, potrzebuje i żąda silnej władzy i rządu silnego. Tymczasem rząd z tej władzy korzystać nie umie, nie umie przy niej stać **). „Nie znajdziemy — mówi gdzieś autor — takiego Francuza, któryby każdego rana przy kawie i gazecie wzdychał za zmartwychwstaniem Napoleona, Niemcy zaś, i to niemal wszyscy i codziennie, gazetę swoją czytając, utyskują nad tem, że Bismarck nie żyje; „kiedyż przyjdzie ów mąż silny, który go zastąpi“...

*) W wymienionej wyżej książce.

**) Por.: Przedmowa str. XII.

Dla Bismarcka stworzono niegdyś urząd kanclerza państwa z władzą tak rozległą, że porównać ją można chyba tylko z tą, jaką we Francji posiadał pierwszy konsul w r. 1800. I jak dla pierwszego konsula, tak też dla Bismarcka nie znaleziono dotąd godnego następcy. Kanclerz skupia w ręku swoim całą władzę wykonawczą, ale utrzymać ją i sterować nawą państwa mógłby w dzisiejszych warunkach tylko człowiek z genjuszem i wolą Bismarcka. Trudność główna w tem, że w parlamencie nie daje się utworzyć żadna wyraźna większość, niema w nim przeto myśli wytycznej, dla rządu zaś niema punktu oparcia. Wobec tego ogromnie wzrasta znaczenie rozmaitych nieodpowiedzialnych, a doskonale, jak zwykle u Niemców, zorganizowanych Vereińów. Liga armji i floty ciąży nad ministerstwami marynarki i wojny; *Ostmarkverein* decyduje o polityce polskiej; związki rolników i przemysłowców klóćą się ze sobą o rozstrzygający wpływ w kwestjach ekonomicznych. Z drugiej strony normalny bieg spraw państwowych zostaje zakłócony ustawicznym wtrącaniem się cesarza, człowieka niezaprzeczenie zdolnego, ale zmiennego i nieobliczalnego. Wskutek tego stanowisko kanclerza nigdy mocnem nie jest, żaden minister nie czuje się pierwszym na miejscu swoim, a w działaniach rządu niema i nie może być energii i konsekwencji. „Słowem, rządowi brakuje inicjatywy, myśli, woli, brakuje jednolitości i stanowczości w postępowaniu, czyli tych wszystkich przymiotów, które niezbędnymi są do władzy, o ile ona chce być czemś więcej, niż organem administracji“. Jeśli zaś zapytać przeciętnego Niemca, gdzie, w jakiej dziedzinie słabość i niedołęstwo polityki rządowej dają się czuć najdotkliwiej, prawie każdy odpowie, że w sprawach zagranicznych.

Ale nie jest to słusznem zwać tylko na rząd winę za niepowodzenia dyplomacji, gdy cała polityka zagraniczna, wszystkie jej plany i poczynania są z góry paraliżowane przez fakt, że „Niemcy nie mogą czynić wyboru między przymierzami“. Alzacja uniemożliwia wszelkie próby zbliżenia się do Francji. A tymczasem — mówi W. Martin — zasadniczej sprzeczności między interesami Francji i Niemiec niema. Gdy współzawodnictwo ekonomiczne niemiecko - angielskie wzmaga się z dniem każdym, nieprzyjaźń Francji ma charakter tylko uczuciowy. Wbrew jednak temu, co powszechnie uważają za regułę w polityce, uczucie odnosi tu zwycięztwo nad interesem. Poli-

tacy niemieccy chcieliby wznowić plany Napoleona I i doprowadzić do skutku ligę antyangielską, ale odgrodzili na zawsze od jedyne go państwa, któreby mogło zaszaćcować w Europie zachodniej ich rywalkę, zmuszeni są zwrócić się ku wschodowi i szukać sprzymierzeńca w Wiedniu; w siłę zaś Austrii nie wierzą. W poczuciu braku spójności wewnętrznej *drżą na samą myśl o wojnie*. Powiększenie siły zbrojnej, jednomyślnie uchwalone w parlamencie w r. 1913, było wyrazem paniki, która pod wrażeniem wojny bałkańskiej ogarnęła naród, „paniki, której ani cesarz ani kanclerz, ani minister finansów nie odważyli się stawiać oporu, pomimo niabezpieczeństwa, jakim dla gospodarki państwowej i dla pokoju jest przesada w ostrożności“. Jednomyślność parlamentu wydawać się mogła komuś niewtajemniczonemu tryumfem kanclerza, w rzeczywistości kanclerz był tu „pastuchem, biegnącym za swem nieprzytomnem ze strachu stadem“.

Mijamy surową krytykę, której autor poddał politykę narodowościową w Niemczech. Po swojemu logiczna w założeniu, ale w najwyższym stopniu niezręczna, osiągnęła ona rezultaty wręcz przeciwne zamierzeniom; zamiast wzmocnić państwo, stała się pierwiastkiem słabości, jedną z głównych przyczyn tej powszechnej nienawiści, jaką ku sobie wzbudzili Niemcy ze swoim cynicznym kultem siły pięści. Znienawidzeni, muszą się bronić; doszli nawet, — stwierdza W. Martin w zakończeniu — do oblędu militarystycznego, ale właśnie oblęd ten świadczy nie o zabórczych zamiarach, lecz, przeciwnie, o słabości, o strachu, o dławiającym ich niepokoju wewnętrznym (*angoisse*); pacyfiści z usposobienia, nadali oni pacyfizmowi swojemu formę, która Europie całej wydaje się prowokacją i pogroźką.

We wrześniu 1913 spędziłem dni dziesięć w Pontigny, u p. Pawła Desjardins, w towarzystwie uczonych, literatów, polityków; wojskowość reprezentował artylerzysta Leon Bernardin, znawca kwestji Poznańskiej. W rozmowach z nimi wyczuwałem ich troskę, ich zaniepokojenie wobec bliskiej, szybkim krokiem pędzącej burzy; pod ich sugestją burzę tę czułem sam, jakbym słyszał tajemniczy łoskot dalekich piorunów. Wojnę zapowiadali oni na rok następny ale kto ją wypowiedzieć miał, co ją miało spowodować, tego nie umieli, czy nie chcieli określić. W uczuciu tego niepokoju, tej obawy dziennikarz, Jan Pelissier, wybrał się wiosną 1914 r. w podróż wywiadowczą po Anglii,

Niemczech, Austrii i Rosji. Wrażenia swoje i spostrzeżenia umieszczał w pismach przed samym wybuchem wojny; zebrał je potem i wydał w osobnej książce w r. 1916^{*)}. Charakterystyczną dla psychologii Francuza jest sprzeczność między treścią książki, a tendencją przedmowy, napisanej we wrześniu 1915 r.

W przedmowie autor wywodzi, że wojna wyniknęła z premedytacji niemieckiej. Przygotowywać miał ją cesarz Wilhelm: „w tej pracy podziemnej objawiał się jego machiaweliczny genjusz, który wyzyskać umiał dla urzeczywistnienia swoich niezdrowych planów wszystkie nawet najbardziej sobie antypatyczne energie i siły; umiał zmobilizować nawet socjalistów i pacyfistów, którzy wzięli na siebie zadanie wyprowadzenia w pole opinii europejskiej co do prawdziwego charakteru ambicji i projektów niemieckich“. Przeczytawszy te słowa, przerzucamy na chybił trafił książkę i na str. 100 znajdujemy twierdzenie, wręcz sprzeczne z niemi, a powtarzające tezę Moysset'a i Martin'a, t. j. że Niemcy „niespokojni są, czując się zewsząd zagrożonymi“ i że myśl, iż mogą być zaatakowani równocześnie z dwóch stron „doprowadza ich do warjacji“. Powinniby byli wyciągnąć stąd konsekwencję i zdobyć względy państw Ententy kosztem znacznych ze swojej strony ustępstw i wynagrodzeń (*réparations*), ale zamiast tego, wołał zgorszony autor, oni ciągle się zbroją.

Zarzucając Niemcom „naiwność polityczną, graniczącą z głupotą“, nie spostrzegł autor swojej własnej naiwności, miało to jednak tę dobrą stronę, że sumiennie zapisał, co widział i słyszał, nie ukrywając prawdy, nie udając mędrszego, niż jest. Więc ze zdziwieniem przekonujemy się z rozmów z Alzatzykami, że kwestja alzacka daleką jest od tego zaognienia, o jakim mówiono we Francji, i że Alzatzycy, jako ludzie realni, nie życzą sobie wcale wojny między Francją a Niemcami. Chodzi im o zachowanie swojej indywidualności, swojej kultury francuskiej, ale w tym celu domagają się autonomji tylko, niczego więcej, przyłączenie do Francji uważają za mrzonkę. Z rozmowy z dyrektorem *Deutsche Bank*, późniejszym ministrem finansów Helferich'em, dowiaduje się, że Niemcy są społeczeństwem niesłyszanie bogatym, że zamożność ich rośnie we wprost bajecznem *tempo*, że w tym względzie nie mają nic do zazdrośczenia in-

*) „L'Europe sous la menace Allemande“.

nym narodom. Wobec tego nasuwałoby się pytanie, czy może państwo, którego obywatelom dzieje się tak dobrze, poważnie chcieć wojny i stawiać dobrobyt swój na kartę, i czy nie byli zupełnie szczerymi owi Niemcy, co go zapewniali, że zbroją się nie dla wojny, lecz po to, aby głos ich miał autorytet, aby mogli dyskusję z przeciwnikiem zaczynać, jak tego pragnęli patryjoci typu adm. Tirpitz, od uderzenia pięścią w stół. Tego jednak pytania autor sobie nie zadał.

Z Berlina udał się do Petersburga, a tam go na samym wstępie uderzyły ogrom i gorączkowość zbrojeń wojennych, rwanie się oficerów do wojny, ich gwałtowny antyniemiecki nastrój, ich pewność zwycięstwa. Napęniało to jego serce radością patriotyczną i naturalnie czyniło ślepym na błędy i zbrodnie polityki wewnętrznej, zwłaszcza w stosunku do obcych narodowości. Jak ogół Francuzów, autor, pełen świętego gniewu na Prusy za prześladowanie polskości w Poznańskim, przykładął wręcz odmienną miarę do rusyfikatorskich orgij w ziemiach polskich, pod berłem caratu zostających. „To nas nie obchodzi — streszczał on sąd swój i swoich współziomków — rząd carski kompetentniejszy jest od nas w sprawach zarządzeń, dotyczących bezpieczeństwa imperjum; my powinniśmy na jedno tylko patrzeć, jedno widzieć — potęgę militarną Rosji — i tej potędze zaufać“. A w Petersburgu zapewniano go, że Rosja, trzykroć ludniejsza od Niemiec, będzie miała wkrótce 17 milionów uzbrojonych żołnierzy, gdy Niemcy w tym zakresie już doszły do kresu wysiłków swoich; mogą co najwyżej doskonalić swój materiał techniczny. Czyż wojna wobec tego nie była dla Francji — dla Ententy pożądana?

Nie z rozumowań, lecz z faktów przez autora przytoczonych, wpływały dla Niemiec dwie alternatywy: albo zrezygnować ze swego wielkomocarstwowego stanowiska i pokornie się poddać kierownictwu państw Ententy, albo zawczasu na nie się rzucić, nie czekając, aż Rosja wystawi owe 17 milionów. Nie stało się ani jedno ani drugie, sprawdziło się natomiast przewidywanie, któremu w rozmowie z autorem dawał wyraz *un grand diplomate*. „Ces. Wilhelm — mówił on — chce pokoju“, w sferach rządzących nikt nie ma co do wojny żadnych wyraźnie pojętych planów, całe niebezpieczeństwo stanowi atmosfera nieufności przeciw Francji, Anglii i Rosji, którą pangermaniści usiłują jeszcze zgęścić; skutek tego drob-

niutka przez [nikogo nie przewidziana kompromitacja, może nagle spowodować wybuch.

5.

Francja a imperjalizm angielski.

Nie militarystyka i nie imperjalizm najbardziej uderzały tych uczonych i publicystów francuskich, którzy niemal w przededniu wojny zwiedzali i badali Niemcy. Zgodnie, pomimo różnic w szczegółach, stwierdzali oni, że Niemcy gnębił niepokój, którego źródłem były z jednej strony warunki zewnętrzne, osaczenie Niemiec przez potężne a wrogie mocarstwa, z drugiej — zaostrzające się w samym państwie przeciwieństwa klasowe i polityczne, walka stronnictw radykalnych z autorytaryzmem rządowym, z butną nieustępliwością junkrów. Niepokój ten nie był oczywiście gruntem podatnym do krzewienia zaborczych marzeń i planów. Powstawały one w głowach literatów, profesorów, wojskowych, znajdowały oddźwięk w społeczeństwie, nie one jednak, zdaniem tych, którzy głębiej w życie niemieckie wniknęli, nadawały ton. Ale zarazem w parze z denerwującą niepewnością nazewnątrz, i jeśli, nie z rozstrojem, to z rozstrajaniem się wewnątrzniemi szły niesłychane tryumfy na polu ekonomicznym, ze zdumiewającą szybkością wzrastała zamożność narodu, a ta z natury rzeczy też w antymilitarnym kierunku działała, zachęcając do korzystania ze zgromadzonych bogactw i do dalszego ich gromadzenia, nie zaś do kosztownych i ryzykownych awantur.

Militarystyka ustępowała miejsca industrializmowi: „U Niemców — pisał znakomity ekonomista, prof. Jerzy Blondel *) — zdaje się dziś brać górę pogląd, że pierwszy okres ich wychowania, okres wojowniczy, już się zakończył, i że niedoskonałe jego dzieło należy uzupełnić rozwojem wszystkich ekonomicznych zasobów kraju“. Sprawdzają się słowa, z którymi ks. Fryderyk Karol miał, jak powiadają, zwrócić się do otaczających go oficerów w dniu kapitulacji Metz: „Panowie, zwyciężyliśmy militarnie; pozostaje nam teraz wielkie nasze zwycięstwo przenieść w sferę przemysłu“.

*) L'essor industriel et commercial du peuple Allemand. Paris, 1909, str. 3.

Potwierdzał to samo Wiktor Bérard. „Niemcy zbroją się — pisał — parlament uchwała nowe kredyty, ale równocześnie nakłada hamulec na wszelkie inicjatywy i energje w tym zakresie, przedewszystkiem zaś ograniczył liczbę lat służby wojskowej. Wojowniczy dawniej naród niemiecki publicznie głosi, że wyrzekł się wszelkiej myśli o zdobyczach, że chce pokoju. Wprawdzie, nie umiał dotąd nauczyć Europy wierzyć w te swoje pokojowe zamiary, ale zrobił rzecz lepszą, bo wolę swoją narzucił najmilitarniejszemu z monarchów. Na rozkaz Niemiec ten rycerz siły, ten entuzjastyczny wielbiciel swego „niezapomnianego“ dziada-żołnierza, stał się dostawcą towarów i kapitałów germańskich, którego dziś zna cały Wschód bałkański i syryjski. Lubuje się pomimo to nadal w zabawach książęcych — w żołnierzach, armatach, okrętach; lubi gadać bardzo głośno niepowściągliwym stylem koszarowym; zbyt często pobrzękuje szablą; lecz wylawszy z siebie gniew, złość, zazdrość i te wszystkie uczucia, co mu każą słowami groźby obzierać Anglję, wstrzymuje się w porę przed czynem, bo na to mu nie pozwala, jak on mówi, jego handel w Hamburgu *). I rzeczywiście Niemcy wnieśli w sferę przemysłu wszystkie przymioty swoje, w pierwszym zaś rzędzie — mówi Blondel — wytrwałość, ową *vis durans*, którą podnosił w nich Tacyt **). Pracowici, dokładni, drobiazgowi, sumienni, zadowolnili się małemi zyskami, stanęli wobec narodów, z którymi stosunki przemysłowe i handlowe zawierali, jako przyjaciele, współpracownicy, jako słudzy nawet, ***) umiejętnie dostosowywali się do gustów, do kaprysów klienteli swojej, to zaś wszystko umieli łączyć z rozmachem jakimś w przedsiębiorstwach i wyrachowaniach, z wiarą w siły swoje, wprawiającą w zdumienie przerażonych konsulów angielskich, którzy wyobrażali sobie, że dyscyplina wojskowa zabiła w nich ducha inicjatywy. ****) Główną jednak przyczyną ich powodzeń, źródłem potęgi, którą pobili Anglję, przedtem samowładnie panującą na wszystkich rynkach świata, była *wiedza*, którą gardzono w Anglji; twórczość swoją przemysłową oparli na podstawie nauki, handel — na wszechstronnej znajomości krajów i ludzi, z którymi mieli do czynienia. Najwięksi uczeni stawali na czele laboratorjów przemysłowych, najbogatsi kapitaliści na czele

*) L'Angleterre et l'imperialisme Paris 1900, por. str. 297.

) Por. str. 227. *) Bérard. op. c. str. 338. ****) ib. s. 399.

banków kupieckich, a jedni i drudzy robili to w imię obowiązku narodowego i społecznego, bo w „kraju Kanta — naucza ziomków swoich Berard *) — wszystko stoi na kategoriycznym imperatywie obowiązku względem społeczności państwowej, której jest się obywatelem“... Żaden Francuz po roku 1870 nie zaszedł tak daleko w uznaniu swoim dla Niemiec.

Walka, która się wszczęła między Anglią a Niemcami na polu rynków międzynarodowych, uwidocznia — dowodził Blondel **) — coraz wyraźniej „wyższość niemieckiego ducha asocjacji nad anglo-amerykańskim indywidualizmem“. Anglię ogarnął strach o przyszłość. Ale Anglia już przeszła poza zenit swej wielkości i zaczyna powoli opadać, może nawet rozkładać się, tracąc ów rozum praktyczny i ową energję wewnętrzną, którą przewyższała wszystkie narody świata. Świadczy o tem fakt, że świadomość groźnej konkurencji niemieckiej, zamiast wywołać chęć do naśladowania tych przymiotów niemieckich, co zapewniły im zwycięstwo, zamiast obudzić chęć do współzawodniczenia z nimi, do wyprzedzenia ich w wiedzy, pracy i obowiązkowości, rzuciła ich w przeciwną stronę. Zapragnęli Anglicy zniszczyć niebezpiecznego współzawodnika siłą oręża. Czyli rzucili się też do naśladowania Niemców, tylko na innej drodze: militaryzmu i imperjalizmu. Ponieważ — rozumowano — rozkwit ekonomiczny Niemiec poprzedziło stworzenie jednolitego cesarstwa Niemieckiego, więc takie same wielkie, uniwersalne imperjum, obejmujące tych wszystkich, dla których mowa angielska jest mową ojczystą i nawet, gdyby się dało, Amerykanów, powinno stać się najbliższem zadaniem Anglii. Strach zrodził imperjalizm i uczucie imperjalistyczne odniosło w ostatniem 10-leciu wieku zeszłego tryumf stanowczy i powszechny, przeniknęło aż do najgłębszych pokładów narodu: „po bankructwie panslawizmu i panlatynizmu, a korzystając ze snu pangermańskich rojeń, panbrytanizm opanował Anglię i grozić począł całemu światu“ ***). Ma on zaś objąć władzę nad ludzkością na wyłączną chwałę i pożytek Anglii.

Oto co wygłosił w jednej z mów swoich w r. 1895 najgorliwszy i najbardziej wpływowy z apostołów tego kierunku, duchowy i polityczny wódz panbrytanizmu, Joe Chamberlain: „Wierzę w tę rasę, największą z ras panu-

*) ib. s. 325. **) op. c. str. 232. ***) por. str. 158.

jących, jakie ludzie kiedykolwiek widzieli, w rasę anglosaksońską, dumną, stanowczą, ufną w siebie i upartą, nad którą ani klimat, ani żadna zmiana warunków władzy nie ma i która, nie wątpię o tem, czynnikiem będzie głównym przyszłej historii i cywilizacji świata. I wierzę w przyszłość tego imperjum, szerokiego jak świat (*world-wide*), o którym żaden Anglik mówić nie potrafi bez dreszczu entuzjazmu“...

To już najczystszy mesjanizm. Ale „mało jest idei tak głęboko zakorzenionych w duszy angielskiej—czytamy w szczególnie bogatym pod względem obfitości materiału i może najbardziej wyczerpującym ze wszystkich dzieł, które w ostatnich czasach o Anglii pisano *)—jak ta, że Bóg wyznaczył Anglii uprzywilejowane posłannictwo wśród narodów“. Ideę tę znajdujemy w mowach wszystkich jej mężów stanu, od Cromwella do Chamberlaina, w pieśniach jej poetów, od Szekspira do Kiplinga. Początki jej zlewają się z początkami chrześcijaństwa, zwłaszcza zaś rozwojowi jej sprzyjała epoka wojen religijnych w wieku XVI i XVII; walcząc bowiem wówczas o reformę religijną, Anglicy walczyli razem w imię wolności politycznej—i ta równoczesna walka o wolność religijną i wolność polityczną wyrobiła w nich uczucie, że są narodem Bożym, wybranym, spadkobiercą Izraela, powiernikiem Opatrzności, narzędziem jej ukrytych planów, jej rycerzem przeciw bałwochwalstwu, oszustwu i nikczemności nowych pogan. To uczucie Anglicy głęboko wryli sobie w duszy—i dlatego każdy naród, stojący im na drodze, jest w ich mniemaniu narodem obmierzłym Bogu, którego poskromienie i zniszczenie jest nie tylko potrzebą Anglii, ale i wolą Boga. Dzisiejszy jednak materialistyczny mesjanizm Chamberlaina ma nieco odmienne zabarwienie dzięki swoim bliskim bezpośrednim poprzednikom, którzy teorię swoją, choć duchem religijnym nacechowaną, na gruncie przyrodniczym budować próbowali. Więc J. R. Seeley, stwierdzając w swojej koło roku 1890 ogłoszonej książce o potęgze Anglii „że ta bezprzykładna w dziejach ekspansja kolonialna dominuje nad historją Anglii i zarazem ją tłumaczy, starał się wykazać, że wpływała ona nietyle z konieczności politycznej lub z poglądów tych, co losami

*) Jacques Bardoux: „Essai d'une psychologie de l'Angleterre contemporaine“ vol. I Les crises belliques (Paris 1906) por. str. 78—9.

narodu kierowali, ile z prawa natury, z najwewnętrzniejszego a nieomylnego instynktu, despotycznie prowadzącego naród ku zagarnianiu coraz rozleglejszych przestrzeni. W ten sposób biologiczne pojęcie jakiegoś fatalistycznego ewolucjonizmu przybrało formę religijną i tem potężnie oddziaływało na opinię narodu *). „Granice narodów — rozwijał myśl Seeleya Spencer Wilkinson („*The great Alter-native*“, 1902) — wyznaczone są przez te same prawa, co kierują kamieniem, który spada, rośliną, która rośnie **). Naród każdy jest organizmem, i, jak każdy organizm, podlega w przystosowywaniu się do otoczenia swego prawu walki o byt. Z tego stanowiska ekspansja imperjalistyczna staje się dla Anglii koniecznością; przewyższając bowiem intelektualnie i moralnie inne narody, ma Anglia i prawo i obowiązek narzucać im swoją wolę: okupacja Egiptu była obowiązkiem. Wykonywanie obowiązku tego razi nieraz nasze uczucia. Walka o byt między białymi a czerwonymi — mówi Pearson w *Nationallife* (1900), była okrutną i straszną w szczegółach swoich, ale w wyniku dała dobro, przewyższające wszystko, co mogło zmysł moralny obrażać, miejsce bowiem niezdolnych do pracy Indjan zajął naród wielki i zdolny, z bujną wyobraźnią i potężną żądzą czynu, wspaniale wzbogacający wspólną skarbnicę cywilizacji. Weźcie szale i połóżcie z jednej strony wszystko, co zdziałali Amerykanie, z drugiej tę romantyczną sympatię dla Indjan, którą wam wpoili powieści Coopera i poematy Longfellowa, a zobaczycie, co przeważy... „Drogę postępu znaczą — melancholicznie rozmyśla tenże autor — szczątki narodów, przez które ludzkość wznosiła się stopniowo w te wyższe sfery uczucia i myśli, z których korzysta dzisiaj“... I czyż historia święta nie uczy nas, że Bóg, zapewnić chcąc ludowi swojemu możność postępu moralnego, oraz tryumf nad wszystkimi potęgami wrogami, nakazał mu mieczem wytępić wszystkich przeciwników swoich. **)

I z uczuciem tem — dodawał Berard *** — szli Anglicy zdobywać Transvaal, ten nowy Chanaan, dający nie tylko mleko i miód, ale złoto i djamenty, pamiętni, że Bóg powiedział Mojżeszowi, aby nie bał się (*Numeri* XXI, 34) króla Basańskiego: bo w ręce twoje podałem go i wszystek lud jego i ziemię jego i uczynisz mu, jakoś

*) ib. s. 469—470. **) ib. s. 472. ***) ib. por. s. 475.
****) „Questions extérieures“ Paris 1902 s. 194—5.

uczynił Sehonowi, królowi Amorrejskiemu"... i posłuszni Bogu „porazili go i syny jego ze wszystkim ludem jego tak, iż nikogo z niego nie zostawili i posiadli dziedzicznie ziemię jego"... A gdy poszli za Jordan do ziemi Chanaan, Bóg im powiedział: „wypędźcie wszystkie obywatela ziemi onej od oblicza mego... a wypędziwszy mieszkać będziecie w niej, bom wam dał tę ziemię w dziedzictwo“ (*Numeri* XXXIII, 52). Straszny inspirator tej krwawej wojny, Cecil Rhodes, kreślił w testamencie swoim następujące słowa: „Jeśli jest Bóg i jeśli choć cokolwiek obchodzi go to, co ja czynię, to rzeczą jest oczywistą, iż on chce, abym czynił to, co on sam czyni. Że zaś w sposób widoczny on pracuje nad tem, ażeby mieć w rasie anglo-saksońskiej swoje wybrane narzędzie do stworzenia porządku, opartego na sprawiedliwości, wolności i pokoju, więc niezawodnie pragnie, ażebym wszystko, co w możliwości jest mojej, zrobił w celu nadania owej rasie największego rozpędu i potęgi.*) Czyli „służyć Bogu — wyznawał ten typowy Anglik przyjacielowi swemu — to dla mnie trudzić się nad zamalowaniem jak największego kawałka mapy Afryki czerwoną angielską barwą“ (*what I think that He would like me to do is to paint as much of the map of Africa british red as possible***) . Zaczepnięte z wczytywania się w Biblię i z utożsamienia siebie z narodem wybranym przeświadczenie, iż dobrem jest wszystko, co jest życzeniem i interesem Anglii, bo to samo jest interesem Boga, złem zaś i grzesznem wszystko, co temu zawadza, nie zostało chyba nigdy wyrażone z tak naiwną otwartością. Niema Anglika, według Bardoux'a, któryby słów powyższych nie miał w sercu swoim. Stąd ta sama, co u Niemców typu hakastycznego, absolutna niezdolność do uznania w dziedzinie politycznej innego prawa, jak prawo pięści. Tradycyjna u Anglików niechęć do wymagań prawa międzynarodowego wzmogła się w wieku dwudziestym. Piętnując wykroczenia niemieckie w czasie ostatniej wojny, zapominali, że sami byli ich nauczycielami. Gadania o błogosławieństwach pokoju — głosił im Spencer Wilkinson — są negacją polityki i wojna jedynym jest trybunałem, rozstrzygającym spory narodów***).

*) Bardoux op. c. s. 84.

**) Bérard: „Questions extérieures“ str. 224.

***) Bardoux: op. c. str. 479.

Ten bezwzględny, bezlitośnie twardy w stosunku do innych i wiecznie mesjaniczną wiarą w swoje boskie posłannictwo podniecający siebie imperjalizm jest wyrazem tej siły, tej kipiącej i niezdolnej do wypoczynku energii, którą Anglicy chlubią się i którą rzeczywiście przewyższają inne rasy. Wymownie ją niegdyś wystawiał Taine; w czasach nam bliższych określał ją Fouillée, jako żądzę walki, która ze środka do celu stała się w końcu sama sobie celem, walką dla walki samej*) Stąd pochodzi rozbudzały indywidualizm angielski. Miał on doniosłe znaczenie w życiu Angli i ma swoje chwalebne zalety, które sumiennie podniósł Fouillée. ale ma także odwrotną swoją stronę, mianowicie brutalność, egoizm, pychę, pogardę wobec słabych i upośledzonych, kult siły i powodzenia, który się skupił w miłości i kulcie złota. Wprawdzie — dodaje Fouillée — jest to kult powszechny i stary, jak świat, ale nigdzie nie doszedł do takich rozmiarów, jak w Anglii. Odbiciem tego wszystkiego jest w dziedzinach filozofii i prawa tryumf zasady utylitaryzmu; „zaprzeczyc temu trudno, ale też trudno admirować“.

Te wszystkie ujemne właściwości charakteru angielskiego występują z całą siłą w stosunkach z obcymi. U siebie w domu Anglik pielęgnuje ze szczególną troskliwością piękne zasady lojalności, prawości, ludzkości, wspałałomyślności, ale przestają go one obowiązywać, gdy przekracza kanał La Manche. Jest to zdanie głębokiego znawcy Anglii, raczej przychylnie dla niej usposobionego. „Anglicy — stwierdza tenże pisarz **) — mają dar budzenia ku sobie nienawiści we wszystkich narodach; wiedzą o tem i pyszną się z tego“. Wierni swemu wojownicztwu, zaborczemu instynktowi, patrzą na świat, jako na rozległą przestrzeń do zdobycia. A zdobyć ją trzeba, według Whigów, taniością, według Torysów — orężem. Ale to drugie zgodniejsze jest z duchem narodu, o czym charakterystycznie świadczy to, że największe zdobycze dokonywały się wtedy właśnie, gdy u steru rządu stali pokojowo usposobieni Whigowie: byli zmuszeni iść za głosem opinii. Gladstone np. objąwszy rządy, ewakuował Kandahar; wyrzekł się pretensji do Transwaalu, ale te dobre chęci

*) Alfred Fouillée: *Esquisse psychologique des peuples Européens* (wyd. IV, 1903) por. s. 203

**) Emile Boutmy: *„Essai d'une psychologie politique du peuple anglais au XIX siècle“* (Paris 1901) por. s. 429.

ustąpiły wkrótce przed prądem silniejszym, niż jego wola, i za premjerstwa jego zdobyto kraj Zulusów, zdobyto na południowym krańcu Afryki prawie wszystko, co jeszcze do Anglii nie należało, zaokrąglono posiadłości angielskie w Afryce zachodniej, rozciągnięto protektorat nad Nową Gwineą, zajęto Sudan i, co najważniejsze, anektowano Egipt. Wobec zaś podbitych narodów Anglicy używali dwóch metod: albo wytępiali je, albo wyzyskiwali. Wytępiili czerwonoskórych w Ameryce, wyzyskiwali i wygłodzili Indje. W stosunku do Irlandji chwyтали się naprzemian obu środków. Znanem jest powiedzenie *It is no felony to kill an Irishman*. Gdy za królowej Elżbiety zrozumiano, że nie da się orężem zgładzić wszystkich, co do jednego, Irlandczyków, postanowiono ich na śmierć głodową skazać i w tym celu zniszczono w kilku hrabstwach kulturę rolną i wyrżnięto całe bydło *). Wstrząsające przykłady zimnego, wyrachowanego okrucieństwa Anglików przytoczył w ostatnim rozdziale swojej książki Boutmy, pisarz—podkreślamy to z naciskiem — bezstronny, sumienny, głęboki i dla Anglii życzliwy.

Słowem, zanim filozofowie niemieccy poczęli naukowo prawo pięci uprawiedliwiać, Anglicy prawo to oddawna wykonywali w praktyce — wszędzie i systematycznie — tem od Niemców straszniejsi, że nie poprzestając na wyprawadaniu prawa tego z konieczności, z natury rzeczy, z ukształtowania stosunków międzynarodowych, brali je, jako wolę Boga, jako rozkaz Jehowy, który swemu narodowi wybranemu poddał wszystkie narody świata i dał mu wolność, aby „wszystkie swe nieprzyjacioły z żonami i dziećmi i ze wszystkimi domy pobił i wygładził, a korzyści ich pobrał“ (*Ester VIII, II*).

I nie zanosi się na to, aby Anglja ducha tego i usposobienia względem obcych narodów pozbyła się, jako pozostałości czasów barbarzyńskich. Przeciwnie, duch ten — pisał Boutmy w r. 1901 — wzmógł się pod wpływem reform demokratycznych. Dawniej głos decydujący mieli arystokraci; ci znali uczucie miary; uczucia tego już nie znają plebejusze, którzy wkroczyli do parlamentu i odsunęli dawnych lordów. Wtedy to, jako rzecznik brutalnej demokracji i brutalnego imperjalizmu, wystąpił Joe Chamberlain.

*) Fouillée: op. c. str. 239.

I gdy Anglicy ujrzeli na rynkach swoich wyroby niemieckie, choć wyroby te nie zalały tych rynków, ani sparaliżowały przemysłu angielskiego, postanowili jednak usunąć konkurentów nie pracą, lecz orężem. I wystąpili z imperjalizmem swoim, a gest ten miał swoje źródło w tej nawskroś angielskiej idei, że siłą oręża powinni ochraniać przemysł, że armja powinna służyć interesom handlu *).

Więc nie krwawy pangermański obłęd „przeklętego“ narodu, jak krzyczy V. Giraud, był jedynym winowajcą wojny. Do wywołania jej w nierównie większej mierze przyczynił się imperjalizm angielski, który przybrał tam charakter nie poglądu tylko, czy kierunku politycznego, jak w Niemczech, lecz religji, nakazu przez Boga wydanego narodowi przeznaczonemu do panowania nad światem.

Złośliwej imperjalistycznej premedytacji ze strony Niemiec przed wojną nie było. Wszystko, co się o tem mówiło i pisało, stanowi według admirała Tirpitz „*eine der ungeheuerlichsten Verleumdungen in der Weltgeschichte*“ **) Że kreśląc te słowa, admirał nie rozmiął się z prawdą, dowodem tego jest niepewność, chwiejność, rozdzielenie, które cechowały politykę niemiecką od chwili wybuchu wojny w r. 1914 aż do tragicznego jej końca w r. 1918. Wojna już szalała, a nie umiano w sferach rządzących wyjaśnić sobie jej celu, nanakreślić linii postępowania. Wszystkie usiłowania kanclerza Bethmana Hollwega ku temu szły, aby oszczędzać Anglję, aby nie doprowadzać opinji publicznej w tym kraju do zbytęznego rozdrażnienia. Kanclerz naiwnie wierzył, że w ten sposób zapewni Niemcom łaskawą życzliwość potężnego przeciwnika przy pertraktacjach pokojowych. Jedynym atutem jego, jedyną nadzieją była „dobroduszość“ Anglików. Tem samem składał dowód zdumiewającej nieznajomości psychiki angielskiej. Natomiast z konieczności zwrócić musiał aspiracje niemieckie ku Wschodowi, przeciw Rosji. I to go wprowadziło w zatarg z Tirpitzem, który mocno stał na gruncie tradycji wiekowej przymierza z Rosją, więcej niż przymierza, nierozzerwalności, łączności interesów, przypieczętowanej współnietwem w rozbiorach Polski: „Nie wiem — żali się Tirpitz — czy zna historia przykład większego zaślepienia, niż owo

*) Bardoux: op. c. s. 514.

**) Tirpitz s. c. 5. 169

wzajemne wytepianie się Niemców i Rosjan *ad majorem gloriam* Anglosaksów*. *) Akt 5 listopada piętnuje on, jako wyraz samobójczej polityki kanclerza i demokracji niemieckiej. **)

Nie potrzebujemy dowodzić, że dla nas polityka ta sympatyczniejszą była i, gdyby nie stawiano jej przeszkód ze strony hakatyizmu, możeby stworzyć zdołała warunki do porozumienia. Ale ze stanowiska prusko-niemieckiego Tirpitz był konsekwentniejszym, realniejszym, może nawet przenikliwszym. W każdym razie psychikę angielską znał na wylot, żadnymi pozorami nie dawał się zbałamucić. „Anglicy — zapisywał on w dzienniku swoim — godni są szacunku, jako jednostki, ale nikczemni i brutalni jako naród“. **) Czy słowa te dyktowała mu nienawiść? Niezawodnie, ale w treści swojej potwierdzały one to, co uznawał bezstronny a głęboki znawca Anglii E. Boutmy, mówiąc o dziwnym kontraście między „naiwną nieuczciwością“ (*improbite naive*) angielską w polityce zewnętrznej, a wysokim poziomem etycznym, cechującym ich życie prywatne***. „Wszystko — pisał dalej Tirpitz — jest dobrze, sprawiedliwie, nawet religijnie, gdy im przynosi korzyść... Oni są narodem wybranym, nowym Izraelem, a wszystkie inne narody cytrynami są dla nich, z których cały sok wycisnąć mają prawo na mocy wyroku Bożego“. To samo, jak widzieliśmy, podkreślali Bardoux i ze szczególnym naciskiem V. Berard. Nie zarzucając Anglikom tego, o co oni Niemców zawzięcie oskarżali, t. j., że chcieli wojny i że dobrowolnie ją wywołali, Tirpitz, znając Anglię, zdawał sobie sprawę z tego, że skoro wojna się rozpoczęła, to wyzyskując tę niesłychaną szansę, iż Europa cała stała po ich stronie, Anglicy walczyć będą aż do końca z tym samym zaciętym uporem, z tą bezwzględnością, z jaką na początku wieku zeszłego walczyli z Napoleonem. Wobec tego wyobrażać sobie, jak kanclerz, że daliby się oni w jakikolwiek bądź sposób ugłaskać i nakłonić do pokoju, było to nie rozumieć, nie znać ich duszy. Możliwą w stosunku do Anglii była tylko jedna polityka: twardo stać na swoim i tak się stawiać, żeby chwili jednej nie wątpili, iż rząd i naród niemiecki pewien jest siebie i zwycięstwa; tylko z przeciwnikiem silnym i groźnym oni się

*) ib. 315. **) ib. str. 399.

***) „Psychologie politique du peuple Anglais“, por. str. 421.

liczą; im zaś słabszy, tem zawzięciej po nim depczą; takimi byli i będą. *)

„Wojna obecna — czytamy w dzienniku Tirpitz **) — jest największem szaleństwem, jakie popełniła kiedy rasa biała. Zabijamy się wzajemnie na lądzie po to, żeby Anglja ciągnęła z tego zyski; nie dość tego, obłudny Albion wystawia nas przed światem całym, jako jedynych winowajców. Można by stracić wiarę w dobro. Naturalnie, bez winy nie jesteśmy; dotyczy to głównie tych, co są u góry. Ale choć mnie osobiście wstrętne barbarzyństwo, zawsze było we zwyczaju na wojnie. Tragikomiczne przytem to, że właśnie mnie zaliczono, jak pisze Capelle, do szowinistów i podszuwaczy“. Człowieka, który pochwalał politykę pięści w Poznańskim, trudno od zarzutu szowinizmu uwolnić, od podszuwania jednak był dalekim. Uważany przez Europę za inspiratora i politycznego kierownika pangermańskiego imperjalizmu, znienawidzony i wytykany przez nią, Tirpitz w sprawach wojny ani jednej chwili złudzenia nie miał; od początku widział jasno, powiedzieć można, rozpaczliwie jasno, cały ogrom niebezpieczeństwa. Pierwsze powodzenia we Francji nie zaćmiły mu wzroku. „Nie mogę sobie wyobrazić — zapisywał 8 października 1914 r. — w jaki sposób po strasznych błędach, popełnionych w sierpniu przez nasze dowództwo, zdołamy z tej wojny wycofać się z honorem“. I znowu dnia następnego: „Ta sama myśl ciągle mnie nurtuje, jak z wojny wyjść z honorem i bez zbyt wielkich a niezastąpionych szkód“. Czułby się zadowolonym, gdyby miał pewność, że Niemcy po wojnie nie utracą możliwości wydobycia się pracą znowu na wierzch (*uns wieder in die Höhe zu arbeiten*).

Jedynym ratunkiem w trudnej sytuacji, jedynym środkiem do zapewnienia sobie honorowego pokoju była, zdaniem Tirpitz, flota. Była dobrą, materiałem lepszego gatunku, niż angielski, ludzie fachowo wyszkoleni i rwali się do czynu ***). Wszak tę flotę on w ciągu lat długich organizował, wychowywał, kształcił jej ducha w tym kierunku, by ją na wypadek wojny do szybkiego ofensywnego działania przysposobić ****), a należało jej użyć zaraz, uzbrojeniem przewyższała flotę angielską, której w dodatku część znaczna zajęta była przewożeniem wojsk do

*) str. 399 i 414. **) ib. str. 413.

) ib. str. 298. *) ib. str. 320.

Francji. Każda bitwa połączona jest z ryzykiem; zwycięstwo zupełne, decydujące, jak np. Japończyków pod Cuszumą, bezwzględnie pewnem nie było, ale w każdym razie można było dotkliwie nieprzyjaciela uszkodzić, a każde uszkodzenie potęgi angielskiej na morzu wywoływało kwestję Egiptu, indyjską, osłabić mogło jej udział w dopomaganiu sprzymierzeńcom i skłonniejszą uczynić do pokoju *). Wszystko oczy miało zwrócone na nas; *es war die letzte Stunde der Freiheit der Welt* **).

Daremnie w ciągu września i października 1914 roku uzasadniał admirał konieczność natychmiastowej akcji na morzu, daremnie przedstawiał, że w ciągu 20 lat celem administracyjnej i militarnej pracy w zarządzie marynarki była bitwa, że bitwa przeto najlepszą dawała szansę, byleby tylko wódz naczelny zechciał ufać sobie i żołnierzowi, byleby miał w sercu genjusz zwycięstwa. Wszak historia wykazuje, że małe floty odnosiły świetne zwycięstwa nad wielkimi. Chcieć flotę niemiecką nadal trzymać za barykadami, to skazywać ją na zmarnienie moralne, na uwiad starczy i zanik ducha wojskowego ***). Nie usłuchano go: był jeden przeciw wielu, a cesarz chwiał się w zdaniu. „Stworzyłem flotę — skarżył się Tirpitz w dzienniku w ostatnim dniu 1914 r. — a nie mam nic do powiedzenia, gdy chodzi o jej użycie; sytuacja dla mnie straszna“ ... „Flota stoi gotowa, a brak jej Tegethoffa“.

Dopiero z objęciem dowództwa nad flotą przez adm. Scheera w r. 1916 powiał inny wiatr. Flota wyruszyła na morze i stoczyła bitwę z przeważającemi siłami i w warunkach dla niej niekorzystnych taktycznie. Pomimo to straty niemieckie wynosiły 1/3 strat angielskich. Było to niespodzianką dla wszystkich, zwłaszcza dla sfer kierujących; dopiero wówczas, zbyt późno, zrozumiano, jakie znakomite narzędzie przeciwko nieprzyjacielowi posiadano we flocie, jak wielkie mogła oddać usługi, gdyby jej dano na początku wojny wystąpić ****).

Wobec niewiary we flotę, należało wyzyskać tę korzyść, jaką dać mogły łodzie podwodne. Hr. J. Andrassy, poruszając sprawę tę w pamiętniku swoim, słuszne wygłosił zdanie, iż najtragiczniejszym rysem katastrofy, która spadła na ludzkość jest to, że narody z wysoką kulturą umysłową i moralną doszły do stanu, w którym oszczędza-

*) ib. str. 268. **) ib. str. 267. ***) ib. str. 321 — 317.

****) ib. str. 332 — 7.

nie nieprzyjaciół poczytywano za zbrodnię przeciw ojczyźnie, okrucieństwo zaś za obowiązek. Zresztą łodzie podwodne, które niebezpiecznymi były dla tych tylko, co się dobrowolnie i świadomie narażali na podróże w strefach ich działania, nierównie mniejszem były okrucieństwem, niż blokada Niemiec przez państwa Ententy, grożąca śmiercią głodową całemu narodowi. Ale i tu chwiejność jednych w połączeniu z rachowaniem na „dobroduszną” angielską u drugich udaremniła starania Tirpitz. Stosując zamiar do siły, do możliwości — a liczba łodzi była wówczas niewystarczająca — admirał chciał zamknąć tylko dostęp do ujścia Tamizy; przeciwna strona, której zdanie przeważało, żądała rozciągnięcia blokady, ale był to *bluff*; na tak rozległej przestrzeni łodzie niewiele zdziałać mogły. Szumna zaś zapowiedź wojny podwodnej niepokoiła i rozdrażniała neutralnych, szczególnie Amerykę, która od początku wojny arsenałem była dla Ententy, dostarczycielką wszelkich potrzebnych dla niej wyrobów. Ażeby się nie narażać Ameryce, postanowiono szanować flagi państw neutralnych; naturalnie szeroko korzystała z tego Anglia, przemycając pod obcą flagą i broń i żywność. I gdyby ta przynajmniej uступliwość względem Ameryki dopięła celu! Ale nie: zamiast zdobycia jej życzliwości, prowadziło to za sobą tylko utratę prestiżu niemieckiego. Chwiejną, sprzeczną, tchórzliwą politykę niemiecką w całej tej sprawie określa Tirpitz wyrazami: *ordre, contreordre, desordre*.

Dopiero w jesieni 1915 roku uświadomiono sobie niemożliwość, pomimo wszystkich świetnych powodzeń oręża niemieckiego, zupełnego rozbicia nieprzyjaciela, wojna zaś okopowa przedłużała się, a nie dawała nadziei pozytywnych wyników; dopiero wtedy w sztabie jeneralnym postanowiono chwycić się, jako ostatecznego środka, wojny podwodnej, ale nieograniczonej, t. j. bez żadnych względów i uступstw, bez żadnego powodowania się jakimiś humanitarnymi frazesami, rzucanymi przez zaniepokojoną o swój handel Amerykę. Cesarz jednak z chwiejności swej wyjść nie umiał, zwlekał, a bał się stanowczych wystąpień adm. Tirpitz; w marcu 1916 roku pominął go, nie zaprosił do narady, na której miała nastąpić ostateczna decyzja w tej kwestji. Złamany bezpłodnością pracy i usiłowań swoich, w przeczuciu katastrofy, której, mając ręce związane oporem silniejszych od niego, zapobiec nie był w stanie, Tirpitz podał się do dymisji. Było to na kilka miesięcy przed bitwą pod Skager Rackiem. „Gdybym

mógł — pisze on — przewidzieć, że miała ona wzmocnić moje stanowisko, i że Hindenburg i Ludendorff mieli potem stanąć u steru, zniósłbym wówczas wszystkie upokorzenia i wytrwałbym na posterunku“. A w takim razie kanclerz nie zdołałby przeprowadzić aktu 5-go listopada, w którym zacięty Prusak, jakim był Tirpitz, upatrywał najszańszy błąd polityki niemieckiej; byłaby możliwość pokoju z carem: „Z większą energją moglibyśmy dążyć do tego, a wojnę podwodną rozpoczęlibyśmy w porę“...

Rozpoczęto ją w rozmiarach, jakich chciał Tirpitz, w r. 1917. Już było zapóźno. Oporność niemiecka słabła, a przeciwnik wynalazł był środki, zapobiegające w pewnej mierze działaniom podwodnej floty. Z bólem, z rozpaczą przytacza Tirpitz wyznania publicystów i polityków angielskich, stwierdzające słuszność jego poglądu. Anglja nigdy w ciągu dziejów swoich nie była w takim niebezpieczeństwie, jak wiosną 1917 roku. Gdyby straty, które przyczyniły jej łodzie w kwietniu, trwały nadal w tej samej proporcji, wojna zostałaby przegraną *). „A cóżby było — zapytuje Tirpitz — gdyby flota podwodna wystąpiła o rok wcześniej! Weźcie, przerzućcie księgi sprawozdawcze, a przekonacie się, z jaką rozpaczą komendanci musieli w r. 1916 swobodnie puszczać zdobycz bogatą a pewną“.

Zamiast życzliwości, której się spodziewał kanclerz Bethmann Hollweg, ceremonjowanie się niemieckie z nieprzyjacielem wywołało ze strony Anglików tylko lekceważenie, to zaś urosło w pogardę po wybuchu rewolucji, która zrzuciła Hohenzollernów. Bolesny tego obraz daje zachowanie się admirała Beattie. W sierpniu 1914 roku do oficerów uratowanej załogi zatopionego statku *Mainz* zwracał się z następującemi słowami: „Jestem dumny, że tak dzielnych ludzi powitać mogę na pokładach mojej eskadry“. W listopadzie 1918 r., gdy powalone państwo niemieckie wydawało na mocy warunków rozejmu swoją flotę Anglikom, polecał on marynarzom swoim, aby spotykając marynarzy niemieckich, nie zapominali, że mają przed sobą godną pogardy hałastwę (*despicable beast* **). Słowem, „moglibyśmy mieć dobry pokój, niewiele do tego brakowało. Ze go armja nasza nie znalazła, nie jest to jej winą; gdy zaś Hindenburg i Ludendorff na czele jej stanęli, już go wywojować nie była w stanie. Marynarka

*) ib. str. 373. **) ib. str. 391.

dwa razy ułatwić mogła zawarcie pokoju znośnego: jesienią 1914 roku z pomocą floty i wiosną 1916 roku z większym jeszcze prawdopodobieństwem z pomocą łodzi podwodnych. Rzeczą najstraszniejszą w upadku naszym jest świadomość, że go można było uniknąć nie tylko politycznie, ale i militarnie *).

Naród niemiecki upadł głęboko, lecz od dwóch tysięcy lat — pociesza Tirpitz siebie i czytelnika — po każdym upadku podnosił się szybko... „Narodem niewolników nie byliśmy nigdy”... „Nadzieja nasza — w dorastającym pokoleniu; ratować to, co się jeszcze ratować da, godnem jest znoju szlachetnych (*Vom Deutschthum zu retten, was von ihm noch zu retten ist, bleibt des Schweisses der Edlen wert*)... I jeśli wspomnienia moje celowi temu służyćby mogły, jeśli podpora będą dla wiary narodu w siły własne, będzie to ostatnią usługą, którą ojczyźnie mojej wyświadczyłem“.

Temi słowy zamykał admirał dzieło swoje.

Dzieło to sprawia głębokie wrażenie siłą uczucia, które bije z niego, i zarazem wymownie świadczy i utwierdza nas w przekonaniu, że wraz z rozpoczęciem wojny, o której tyle przedtem w Niemczech mówiono, jej jednak nie życząc, świadomość grozy niebezpieczeństwa stłumiła jasność sądu. Armja spełniała swój obowiązek, wodzowie stali na wysokości zadania, ale w rządzie i w społeczeństwie tracono głowę. Dwa prądy — antyrosyjski i antyangielski — choć doskonale godzić się ze sobą mogły i wzajemnie siebie uzupełniać, namiętnie się zwalczały, ciągle sobie w drogę wchodząc. Kanclerz i cesarz, który najczęściej z nim siedł, nie mieli możności wobec powszechnego oporu, doprowadzić do końca, choćby nawet tego pragnęli, dzieła 5 listopada i, zjednawszy sobie Polskę, wyzyskać te siły, które ona dać mogła; Tirpitzowi zaś, który tak doskonale znał Anglję, jej charakter i duszę, jej umiejętność panowania nad namiętnościami i skupiania całej potęgi w jednym punkcie, jej wynikającą stąd zimną stanowczość w dążeniu do celu i brutalną bezwzględność, który znając to widział i rozumiał, że w stosunku do Niemiec, ogarnięta wolą zniszczenia (*Vernichtungs Wille*), nie zatrzyma się, dopóki nie zmiażdży przeciwnika i że przeto chcąc mieć pokój z innymi państwami, należało

*) ib. str. 386.

wprzódę zniszczyć ową wolę zniszczenia, t. j. sprzątnąć Anglję zdrogi — Tirpitzowi związano ręce i zamknięto usta.

Jest on postacią tragiczną nietylko w znaczeniu Homerowej Kasandry, t. j., że widział swój naród, pędzący w przepaść, że ostrzegać i powstrzymywać chciał, a nie mógł — ale i w innem, głębszem znaczeniu. Był człowiekiem idei, rozumiał, że idee rządzą światem i stanowią nieraz — o zwycięstwie i upadku narodów, więc blask idei, wyższej chciał zlać na sprawę Niemiec: „Było to — pisze — nieszczęściem dla narodu naszego, że mu żadnego celu wielkiego nie wskazano, a cel ten tak wyraźnie stał przed nim“. Polegał na jednoczeniu wszystkich wolnych narodów Europy wobec rosnącej potęgi i zaborczości anglo-saksońskiej“.

To się nie stało. Narody te i państwa utoną w ogromie Wielkobrytańskiego Imperjum, a „siła Europy — dodawał admirał — na harmonji rozmaitych kultur polegająca, przejdzie, i wraz z nią dobrobyt i możliwość znaczenia jakiegoś dla państw ładu naszego: *The world is rapidly becoming english*“. Wojna ta ostatnią może była wojną o wolność Europy przeciw światowładnemu kapitalizmowi angielskiemu, — a raczej powinna była i mogła nią być, gdyby ci, co państwem naszym kierowali, ideę taką pojąć i urzeczywistnić umieli“ *).

Więc z jednej strony nierozzerwalna łączność z caratem, z Rosją na grobie skazanej na śmierć Polski, z drugiej — walka o wolność narodów! Ze sprzeczności tej nie był zdolnym wybrnąć człowiek politycznie zaprzyjaźniony z wyznawcami bestjalizmu politycznego ks. Bülowa, wychowany w bezwzględnej przez filozofję niemiecką ugruntowanej i szerzonej czci dla państwa, bo państwo jest źródłem prawdy i prawa, o prawdzie zaś i prawie rozstrzyga powołzenie, a o powołzeniu stanowi siła pięści...

Gdy mężowie stanu angielscy, gdy zwłaszcza Lloyd George obłudnie z całą świadomością, że kłamie, stawiał hasło walki o prawa małych narodów, Tirpitz tego hasła, tej idei szukał szczerze, a znaleźć nie umiał, nie mógł. W tem rzeczywisty, głęboki jego tragizm i, jak słusznie, powiedział Fr. W. Förster, tragizm narodu niemieckiego, zbalamuconego filozofją następców i kontynuatorów Hegla.

*) ib. str. 157.

Niemcy a Polska.

„Pangermanizm — pisał w r. 1919 Hans Delbrück — t. zw. *Alldeutschtum*, usiłując przeistoczyć wojnę obronną w wojnę zdobywczą i narzucić stojącemu pod bronią narodowi obcy mu sposób myślenia i niezgodne z jego duchem dążności, uniemożliwił zawarcie pokoju, opartego na wzajemnem porozumieniu (*Verständigungsfriede*); chyba nigdy dotąd nie zdarzyło się w historii, ażeby wódz tak dalece mylnie miał pojęcie o duchu panującym w jego armji, o tem, co myślano i czego rzeczywiście w niej chciano, jak niemieckie naczelne dowództwo w ostatnich latach wojny“. Sądźmy, że pisząc to, prof. Delbrück miał słuszość. Bestjalistyczny w założeniach swoich i celach pangermanizm był przed wojną jednym z silnych prądów, ale nie jedynym w społeczeństwie niemieckiem. Krzykactwem swem „robił, według Delbrücka, wrażenie raczej komiczne“, pomimo, że miał wśród siebie profesorów, literatów i wojskowych; grasował przeważnie na wschodzie, ostrze swoje zwracając nie na zewnątrz, lecz przeciw nieprzyjacielowi wewnętrznemu, przeciw Polakom w pierwszym rzędzie, i tem pociągał za sobą wszystkich, co na prześladowaniu polskości zarabiali, przy kolonizowaniu i wywłaszczaniu obłowić się mogli. Ale wraz z wybuchem wojny zręcznie skorzystawszy z nastroju w chwilach takich, ogarniającego masy, hałaśliwie afiszować począł swój hurrapatryjotyzm i wystawił hasło prowadzenia wojny aż do zwycięskiego końca, aż do zmiażdżenia wszystkich przeciwników i podyktowania im warunków, mających po wszystkie czasy utrwalić wszechświatową hegemonję Niemiec. Silny pewnością zwycięstwa, umiał narzucić się Głównej Kwaterze. Przyznać mu jednak trzeba, że rządził się trafnym instynktem, iż najniebezpieczniejszym wrogiem potęgi niemieckiej jest Anglja, i że nie może być mowy o pokoju ani dla Niemiec, ani dla świata, dopóki Anglja ostatecznie złamaną nie zostanie. Ale przy zupełnym zaniku zmysłu moralnego, niezdolny do wzniesienia się ponad poziom ludożercy, dla którego dobrem jest, gdy zjada swego sąsiada, złem — gdy sąsiad z tym samym celem na niego wali, pangermanizm nie był w stanie cokolwiekbyś przeciwstawić wielkim hasłom, umiejętnie

z Anglii i Francji rzucałym, gdy zaś tego próbował, bezsilnie, jak widzieliśmy, wikał się w sprzecznościach.

Nierównie wyżej pod względem moralnym stali przeciwnicy jego z kanclerzem Bethmann Hollwegem na czele; ci rozumieli, że nie tylko siła, ale i sumienie stanowił prawie, bliżsi byli ducha narodu, który nie nowych zdobyczy, lecz pokoju pragnął i pracy. Powiedzieć o nich można, że od chwili, gdy wojna, której zażegnać nie umieli, rozpoczęła się, powodowali się więcej, niż wolą zwycięstwa, troska o przyszły pokój. I pod wpływem najfałszywszej psychologii oszczędzać chcieli Anglię, rachując na jej przyszłą wspaniałomyślność przy układach pokojowych. Wskutek tego zamiary agresywne zwrócić musieli w stronę wschodu — i tu otwierało się przed nimi rozległe pole działania. Mogli śmiało i szeroko postawić kwestję polską tak, jak o tem w r. 1863 i 1877 marzył Konstantyn Frantz. Ale doniosłość jej rozumiał chyba tylko jeden Erzberger. Opowiada on nam*), że na samym początku wojny wygłosił on wobec osób ze sfer miarodajnych ten pogląd, że jeśli państwu niemieckiemu chodzi o pozyskanie narodu polskiego, to należy przedewszystkiem i natychmiast znieść wszystkie wymierzone przeciw Polakom w Poznańskim prawa wyjątkowe. Bez tego Polacy zachowywać się będą nieufnie względem wszelkich obietnic, nawet wszelkich czynów. Następnym krokiem byłoby postawienie sprawy w jej całej rozciągłości. Niemcy i Austria powinnyby były porozumieć się zawczasu i zarządzić koronację króla polskiego na Wawelu. Ten król, stanąwszy w Warszawie wśród za zwycięskimi armjami państw centralnych, wezwałby naród polski do zrzucenia jarzma moskiewskiego i ogłosiłby wcielenie Krakowa i Galicji do Królestwa Kongresowego, bo „bez Krakowa Polska pomyśleć się nie daje“. Ale przeprowadzenie takiego planu — powtarza Erzberger — wymagałoby gruntownej zmiany polityki pruskiej w Poznańskim, albowiem *„der Weg nach Warschau führt nur über Posen“*. Ale do tej prostej myśli nikt nie był w stanie się wznieść; brakowało odwagi.

Po zajęciu Warszawy w sierpniu 1915 r., spodziewaliśmy się wszyscy jakiegoś wielkiego monarszego gestu ze strony ces. Wilhelma, jakiejś proklamacji, znoszącej zbrodnicze dzieło rozbiorów i zwiastującej wolność i nie-

*) „Erlebnisse im Weltkrieg“ (Stuttg. u. Berlin) por. str. 171.

podległość narodu polskiego. Targany jednak przez spreczne prądy, nie miał ces. Wilhelm jasnego sądu, nie był w stanie powziąć jakiegś stanowczej decyzji. Ze stanowiska wszechniemiecko-hakatystycznego wojna z Rosją była nieporozumieniem, gorzej, nieszczęściem. A zatem, zajmwszy Warszawę, należało ją albo zachować dla cara, albo z Królestwem całem wcielić do Niemiec i zabrać się niezwłocznie do niszczenia tam polskości, jak się ją niszczyło w Poznańskim. Bestjalska gwałtowność i zawziętość hakatystów, zamiast podniecać, paraliżowała raczej odwagę ich przeciwników. Więc nie umieli zdobyć się na wyraźny program tembardziej, że dla wykonania jakiegoś programu nie mieli ludzi dostatecznie znających kraj i społeczeństwo polskie orjentujących się w przeszłości i teraźniejszości naszej. „Słowem — zamyka Paul Roth swój niepospolicie sumienny i bezstronny zarys dziejów okupacji niemieckiej w Polsce — brakowało rządowi niemieckiemu dwóch rzeczy: *Sachkunde und Klarheit des Willens*“ *). Chwytno się przeto półśrodków gdy w warunkach ówczesnych i ze stanowiska doświadczenia historycznego było dostatecznie jasnem, że półśrodki pomóc nie mogą **).

W marcu 1917 r. Fryderyk Naumann, jeden z najwybitniejszych polityków i pisarzy niemieckich, udał się do Warszawy, aby na miejscu móc sobie pogląd na sytuację wyrobić. Jechał z przeświadczeniem, że stworzenie Polski silnej i niepodległej jest dla Niemiec koniecznością, i że Niemcy tak powinni działać, aby i Polacy ich dobrą wolę zrozumieli. On nazywał to ideą Beselerowską (*Der Beselersche Gedanke*). Beseler jeżeli jej sam nie stworzył, to się nią głęboko przejął. Szczerze wierząc w możliwość współzycia i współdziałania państwa polskiego z państwem niemieckiem, stawiał sobie, jako cel ambicji i pracy, doprowadzenie wielkiego dzieła do szczęśliwego końca. Wolno było Polakowi, kierując się doświadczeniami przeszłości, być idei tej przeciwnikiem, uważać ją za nieszczęście dla Polski, ale należało zrozumienie jakieś i uznanie zachować dla uczciwego Niemca, który w tę sprawę całą swoją energję włożył. Tymczasem, głupio naśladowując rozmaitych głupców i zacietrzewieńców we

*) „Die politische Entwicklung in Königreich Polen während der deutschen Okupation“. 1919. Leipzig.

**) por. s. 185.

Francji i Anglii, oficjalnie u nas w r. 1919 zażądano wydania jenerała v. Beselera, jako zbrodniarza ! W jakim celu ? Chęlpimy się wobec Czechów jakąś wyższą kulturą swoją, o ileż jednak więcej kultury tej, smaku estetycznego i zmysłu moralnego wykazał prof. Masaryk, który postanowił niczyjego wydania nie żądać. i opinia narodu poparła go w tem.*

Jak dalece jednak „Beselerowska idea“ niepopularną była w Polsce, stwierdził to Naumann na samym wstępie; rozbijała się o twardy mur wzajemnych nieporozumień i rozgoryczeń. „Niemcy — pisał on — przedewszystkiem zaś żołnierz niemiecki, zahartowany w cierpieniu i trudach wojny, które ponosił z taką chęcią i zaparciem się siebie — nie byli w stanie pojąć, jak naród, głoszący, że dąży do samodzielnego bytu państwowego, może nie chcieć tworzyć armii swojej, gdy go do tego wzywają, i woli bezczynnie czekać, aż pieczone gołąbki same do ust mu wpadną. Żadne tłumaczenia nie trafiały tu Niemcowi do przekonania. W zachowaniu się Polaków widział dowód zniewieściałości, tchórzostwa, niedołęstwa — nic więcej!“*) Z polskiej jednak strony słusznie posądzano — wyznaje to Naumann — o brak szczerości politykę niemiecką, która równocześnie tępić mogła polskość w Poznańskim i twierdzić, że ją popierać chce w Królestwie. Obok tego rekwizycje, do których ściągania Niemcy zmuszeni byli wskutek blokady angielskiej, przybierały rozmiary tak kolosalne, że stawały się rabunkiem. Zakłady przemysłowe Łodzi i innych miast tak doszczętnie ogołocono z miedzi, że robiło to wrażenie, iż rząd niemiecki postanowił systematycznie do zniszczenia przemysłu polskiego dążyć. Wyjścia Naumann nie widział, tem tylko pocieszał siebie, że wspólność interesów ekonomicznych pojedna w bliskiej przyszłości obydwie narody; na tę stronę kwestji główny kładł nacisk, rozsiewając tu i ówdzie bystre spostrzeżenia o charakterze polskim i dając trafne rady. Między innemi za jedną z rzeczy najpilniejszych uważał obiór króla. „Jak Bułgarja — pisał — nie doszłaby nigdy bez Ferdynanda do tej spoistości wewnętrznej, którą dziś osiągnęła, tak też Polska potrzebuje mieć swój punkt środkowy w osobie króla; inaczej po raz drugi rozpadnie się wkrótce, pod działaniem targających nią wewnętrznych przeciwieństw“.

*) W „Was wird aus Polen“, Berlin 1917.

Rzeczą jest charakterystyczną, że w broszurze tej, ogłoszonej wiosną 1917 roku, autor sprawy poznańskiej nie poruszył; położenie strategiczne Niemiec było mocne. Wskutek tego tem silniej zaznaczały się w Kwaterze Głównej, u dworu, w kołach wojskowych wpływy wszechniemieckie i tem trudniejszą stawała się walka z niemi. Dopiero jesienią 1918 roku, gdy katastrofa spadła, wybuchnął długo tłumiony gniew przeciw moralnym sprawcom klęski. I wtedy to, w październiku, odważył się Naumann w parlamencie powiedzieć to, czego nie dopowiedział przed 1½ rokiem w broszurze, o co bezskutecznie dąbiał się w pierwszych dniach wojny Erzberger: „Zapytajmy siebie, gdybyśmy po wejściu wojsk naszych do Warszawy w sierpniu 1915 roku stanęli przed Polską ze słowami: jesteście narodem, który znał niewolę, który w wojnie trzydziestoletniej upadł prawie tak, jak wyście upadli później, i dlatego wiemy, co to jest podnosić się z upadku, i sympatje nasze należą do tych wszystkich narodów w Europie Środkowej, które z poniżenia swego wydobyć się usiłują — i gdybyśmy te słowa nasze stosownym czynem poparli, czy nie stalibyśmy teraz inaczej tam, w Polsce, i militarnie i politycznie?“. Wyraźniej to samo w roku następnym wyznawał Paul Roth, ale też kwestji poznańskiej nie dotykając: „Proklamowanie Państwa Polskiego w kilka dni po zajęciu Warszawy i pod świeżem wrażeniem cofnięcia się armji rosyjskiej, natychmiastowa organizacja polskich urzędów administracyjnych, wraz z połączeniem Królestwa Kongresowego z Galicją powołanie do współpracy wszystkich elementów niepodległościowych, unikanie, pomimo okupacji militarnej, o ile możności, wtrącania się w sprawy polityczne kraju — to była jedyna, choć ryzykowna droga, na której zadania i cele, postawione później w akcie listopadowym, mogły jeszcze być osiągnięte“...*)).

I wyznajmy, że droga ta była rzeczywiście ryzykowną dla Niemiec wobec społeczeństwa, którego większość i w niższych i wyższych warstwach swoich już się była zżyła z niewolą, o niepodległości nie marzyła, innych gospodarzy w kraju swoim, jak Moskali, nie rozumiała wówczas i nie chciała...

Ocknęły się Niemcy dopiero nad przepaścią. Zwróceno się wtedy do prezydenta Wilsona z prośbą o pośre-

*) Op. c. str. 189.

dnictwo pokojowe na podstawie jego czternastu paragrafów, kanclerzem zaś państwa mianowano ks. Maxa Badańskiego. Członek jednej z panujących dynastji miał dokonać tego, co w innych krajach i państwach dokonywało się przy huku armat, wśród walk ulicznych. W owej chwili praprawnuk rycerskiego Eugenjusza de Beauharnais, zdawał się człowiekiem opatrnościowym, jedynym do wielkiego tego dzieła powołanym. I rzeczywiście, pod względem poziomu moralnego był, w porównaniu z kierownikami Ententy, przedstawicielem wyższego, niedostępnego i nieznanego im porządku. Oto są słowa, które niedługo przedtem w jednym z przemówień swoich wygłaszał: „Sama siła nie zapewni nam w świecie tego stanowiska, które nam według przekonania naszego się należy. Mieczem nie pokonamy tego moralnego wstępu, który przeciw Niemcom groźną falą się podniósł. Jeśli świat pogodzić się ma z wielkością naszej potęgi, to musi odczuć i zrozumieć, że nasza siła jest tylko ramieniem sumienia, które z całym światem nas łączy”.

Myśl w słowach tych zawartą przynosił ze sobą na urząd kanclerski, jako program polityczny i moralny. Nieprzyjaciele jego polityczni wykradli wówczas i ogłosili poufny list jego do ks. Hohenlohe, kilka miesięcy przedtem napisany, a mający dowodzić, że w głębi duszy sympatyzował ze wszechniemiecką dzikością i że przeciwnikiem był pokoju. W liście tym znajdowały się następujące słowa: „Wszechniemcy napadają na mnie, pomimo, że do ich niemieckiego miecza dodają ducha niemieckiego, z którym mogą oni sobie cały świat zawojować”. Ale pod „duchem niemieckim” rozumiał on ducha chrześcijańskiego, który, jak dowodził on dalej, łatwiej się przyjmuje na gruncie niemieckim, niż we Francji lub Anglii — i wyprzedzając w tem Förstera, dodawał, że chciałby spoganionemu światu przeciwstawić Chrystusowe Kazanie na Górze i, na niem stojąc, wyraźniejsze rzucić światło tam, gdzie dotąd panują niepewność i najsmutniejszy chaos, t.j. na obowiązki silnych względem słabych. Chciałby w ten sposób ochronić Niemcy od idących od nieprzyjaciela sugestij pacyfistycznych, wlewając w pacyfizm niemiecki prawdziwą chrześcijańską treść, której brakuje ich przeciwnikom. O ich poziomie moralnym, tych zwłaszcza, którzy na czele narodów Ententy stali, był zdania najgorszego: „Mamy tam do czynienia ze znikczemnieniem myśli takim, iż haniebniejsze chyba nigdy nie było”... „Nie

przeczę, że sporo podłości mamy też wśród swoich, ale jest ona mniej świadomą, mniej jest grzechem przeciwko Duchowi Świętemu“... „My grzeszymy więcej przez głupotę“... Więc jeśli był on przeciwnikiem parlamentarnych rezolucyj pokojowych z 1917 roku, to dlatego, że zwracały się one do rządów, które nic wiedzieć nie chciały o pokoju, opartym na prawie, — pokoju, któryby się dał pogodzić z honorem i bezpieczeństwem innych narodów.

Gdy objął swój urząd, usłyszano po raz pierwszy z tak wysokiej trybuny głoszoną z taką stanowczością i konsekwencją ideę polityki chrześcijańskiej. Z tego stanowiska nadawał ks. Max paragrafom Wilsonowskim interpretację, do której nie zdołałby się wznieść ani doktryner, jakim był ich twórca, ani wszech europejscy heroldowie jego wielkości i szlachetności. „Liga Narodów — twierdził kanclerz — nie dojdzie do skutku, o ile narody nie dorosną do zwycięstwa nad samymi sobą“... „Nie może być mowy o odrodzeniu i odbudowie, jeśli wewnętrznie nadal stać będziemy na podstawie egoizmu narodowego, który aż dotąd był siłą panującą w życiu narodów“... „Powinniśmy zrozumieć wszyscy, że ukryty sens tej strasznej wojny na tem polegał, że przyniosła ona zwycięstwo idei Prawa — i idei tej wszyscy dobrowolnie powinniśmy się poddać, bo w niej znajdziemy lekarstwo na rany teraźniejszości i treść do pracy nad przyszłością, do której Niemcy zabiorą się z całą powagą i sumiennością“... Rozbierając dalej program polityki wewnętrznej i poruszając kwestję narodowościową, pięknie i silnie się wyrażał, że: „My, Niemcy, powinniśmy prawa i szczęście narodów, wchodzących w obręb naszego państwa, włąć w naszą wolę narodową (*in unseren nationalen Willen aufnehmen*), jako jedną z jej składowych części“... „Potężne wołanie — ciągnął dalej, — z którym niegdyś w ciężkiej chwili zwracał się Fichte do Niemiec, zwraca się teraz także i do nas: Zachowajcie siebie, jako naród, w imię świętych zadań światowych, które wy jedni rozwiązać możecie; albowiem każdy naród ma swoje własne odrębne zadanie i posłannictwo. W głębinach naszego narodu leżą skarby, które nowa wolność wydobędzie teraz — i sprawdzi się to, o czym dzieje nasze nauczają, że chwile, które najcięższymi dla nas były, stawały się chwilami narodzin nowej mocy duchowej“...

Tak marzył ks. Max. Nazywam to marzeniem, gdyż wysiłki jego rozbijały się o upór, o tępość i o bestjalizm

hakatystyczny. W sierpniu 1918 roku, gdy potęga Niemiec już się rozwiewała, *Ostmarkenverein* nawoływał do tępienia polskości, a w przededniu zawieszenia broni prezes ministrów zużywał całą energję; aby wymusić na parlamencie uchylene antypolskich zarządzeń w Poznańskim*).

Więc nie było danem księciu Maxowi nawet przystąpić do wypełnienia swego programu. Zmiotła go fala rewolucji. Ale w ciągu krótkich tygodni jego rządów niejednen miał wrażenie, że, choć pobici, Niemcy wyjdą z wojny zwycięzcami moralnymi... Przypominamy mądre i głębokie, wyrzeczone wówczas przez teologa prof. Baumgartena, słowa, które każdy z nas powinien byłby wyryć sobie w duszy: „rzeczą daleko ważniejszą dla narodu, niż nienaruszalność jego obszaru geograficznego, jest zachowanie w sobie energii do pracy“**). Pozbawiony wpływu na sprawy publiczne, ks. Max żyje jednak, myśli i działa; nie wątpimy, że są inni podobnego z nim ducha i kierunku. I na tem opieramy nadzieję że pomimo rozpaczliwego przeciwieństwa interesów polskich i niemieckich, pomimo zakorzenioną, a dziś tak wybujałą nienawiść, Polska i Niemcy znajdą drogę do porozumienia się. Dziś jest to koniecznością głębszą w źródle swoim, niż w r. 1917, gdy konieczność tę podkreślał Fr. Naumann. Bolszewizmu wówczas, jako potęgi zorganizowanej, nie było. Dziś zaś prowadzone przez komunistów żydowskich i rosyjskich barbarzyństwo grozi zalewem całemu światu — i do krucjaty w obronę cywilizacji i jej chrześcijańskich podstaw powinny stanąć przedewszystkiem te narody, które przez nawałę dziczy bezpośrednio są zagrożone na swoich wysuniętych ku Wschodowi posterunkach cywilizacyjnych. Wobec celu tego, tej idei, niech się usuną gdzieś na daleki plan dzielące je różnice. To, co piszę, wygląda w tej chwili na mrzonkę, ale sądzą, że ku temu zmierza bieg rzeczy.

Kraków, w listopadzie 1920 roku

*) Erzberger „Erlebnisse im Weltkrieg“, por. str. 172

**) W *Berl. Tageblatt* z 6 listop. 1918.

CZĘŚĆ TRZECIA.

**BOLSZEWIZM ROSYJSKI
A
PÓŁ-BOLSZEWIZM POLSKI**



I.

Z psychologii bolszewizmu *).

1.

Zimą 1920 roku toczyła się w jednym z salonów Paryskich ożywiona rozmowa. Salon bogaty, urządzony z wykwintnym przepychem, perskie dywany, kosztowne makaty na ścianach, wygodne fotele; lokaje w liberjach podawali aromatyczną herbatę... Ostatnią modą polityczną jest demokracja — i pani domu demokratką była najczerwiejszego odcienia. W wyrazie twarzy jej i w oczach malowało się rozmarzenie, bo — marzyła głośno, marzyła o Rosji, o bohaterach tak hucznie i wspaniale szalejącej tam rewolucji, o kochanych „towarzyszach” — *ces chers tovariches*. — Chciałaby widzieć ich, poznać, uścisnąć, wyrazić im swój zachwyt nad energią, zapalem i natchnieniem, z jakim tworzą oni nowy porządek rzeczy, nowy świat. Naokoło pani domu siedzieli panowie we frakach, też demokraci bardzo czerwonych odcieni — był między nimi wielki Van der Velde z Belgii — i wszyscy jej potakiwali. Wśród gości tylko jeden nie brał udziału w rozmowie; przybył dopiero z dalekich stron, miał sposobność blisko poznać bolszewizm i odmiennego był o nim zdania, ale milczał, rozumiejąc, że w atmosferze salonu słowa jego byłyby grochem rzuconym o ścianę...

Niedługo potem znalazł się w Wilnie, ale już w lipcu musiał Wilno opuszczać, aby nie paść w ręce owych

*) Odczyt wygłoszony w Krakowie, w sierpniu 1920 roku.

chers tovariches. Opuszczał jeden z ostatnich; już pociągi nie kursowały; wyszedł piechotą z przyjacielem swoim. Po kilku godzinach, przechodząc przez wioskę, zaszli do chaty, aby odpocząć i pożywić się. Przypatrywała się im baba, staruszka, cicho łkając. „Więc przyjdą“? — zapytała w końcu; — „A choćby i przyszli, nie macie czego obawiać się, was nie skrzywdzą“ — pocieszała ją. — „Jakto nie skrzywdzą? Znam ich, byli w roku zeszłym, wszystko zabrali, zboże, bydło“... Podróżni odeszli, staruszka długo goniła za nimi wzrokiem, jakgdyby wraz z odejściem ich niknęła ostatnia nadzieja.

Prosta wiejska baba lepiej zdawała sobie sprawę z istoty bolszewizmu, niż owa wielomiljonowa demokratka z Paryża, niż owi panowie we frakach, niż sam wielki Van der Velde, który miał po upływie kilku miesięcy głosować, jako minister belgijski, przeciw transportowi amunicji do Polski w chwili najazdu na nią czerwonych hord, gdy, jak się zdawało, już ginęła w nierównej z nimi walce. Baba wiedziała z doświadczenia, że bolszewizm, a zniszczenie i śmierć to jedno *).

„Niech żyją zniszczenie i śmierć, *vive la mort*“ — tak kończył w połowie wieku zeszłego jedno z dzieł swoich wielki pisarz rosyjski, protoplasta i teoretyk rewolucji Aleksander Hercen. Tę myśl jego precyzował mniej więcej w tymże czasie wielki praktyk i organizator rewolucyjnych rozruchów, Michał Bakunin, w następujących słowach: „My pojmujemy rewolucję, jako przewrót radykalny, jako zamianę wszystkich form współczesnego życia w Europie na inne, będące ich zupełnem przeciwieństwem“; warunkiem zaś powstania tych nowych form jest zupełne zbezkształcenie tych, co były, „jeśli bowiem zachowaną będzie choć jedna stara forma, to znaczy, że ocaleje zarodek dawniejszych form wraz z możliwością nowego ich rozkwitu w przyszłości“. — I tą drogą bezwzględного, zacieklego niszcycielstwa, wskazaną przez obu jej protoplastów, toczyła się odtąd rewolucja rosyjska.

Ale rewolucjonizm Bakunina i Hercena, zwłaszcza zaś Hercena, łagodziły przyzwyczajenia, uczucia, nastroje wyniesione z domu i wychowania. Bakunin pochodził z zamożnego ziemiaństwa, Hercen był nieprawym synem magnata, który go usynowił, i po którym odziedziczył

*) Por. Dikhof - Derental: „Bolszewicki szantaż“ (po ros.) w Warszawskiej „Swobodzie“ № 23, 1920 r.

znaczną fortunę. Esteta z usposobienia, czuł on, sam do rewolucji zachęcając, arystokratyczny wstręt do tych, co rewolucję robią, do pół inteligentnego motłochu i niejednokrotnie dawał temu wyraz. Słowa jego o zniszczeniu i śmierci były raczej poetycznym obrazem, który mu zasłaniał fantazję. Nie wątpię, że kreśląc je, nie myślał on o przyszłej jakiejś Moskwie, w kupę gruzów przeistoczonej, ani o rezydencji swego ojca, lub uroczych dworach wiejskich w Rosji, przez dzikie bandy palonych i rabowanych; snuły mu się przed okiem zwaliska Aten i Rzymu, Akropol i Forum Romanum. I gdyby mu danem było zmartwychwstać i spojrzeć na Rosję dzisiejszą, uciekłby od niej ze zgrozą. Nie jestem w stanie wyobrazić go sobie w roli, jaką wziął dziś na siebie zdegenerowany bratanek wielkiego i szlachetnego Borysa Cziczierina; nie zbeczczyłby siebie, wkładając rękę swoją w zbroczoną krew niewinnych rękę Trockiego czy Lenina.

Niemniej jednak pod hasłem słów jego stała się Rosja dzisiejsza krajem zniszczenia i śmierci. Oto jej obraz, skreślony utalentowanym piórem Zenaidy Hippus^{*)}). Przed pół rokiem wydostała się stamtąd wraz z mężem swoim Mereżkowskim.

„Zewsząd zasypują nas tu w Warszawie pytaniami: „A co z literaturą w Rosji? Czy surowa jest cenzura? Środki komunikacyjne czy są możliwe? A jak wyglądają magazyny? Jakie życie na ulicy, w domu? Gdzie się tam zbierają? Co napisaliście w ciągu tych lat?”.

„Po którymś wykładzie Mereżkowskiego ktoś mu podał bilecik: Cemu — czytamy — nie zostałeś tam pan? Lepiejbyś zrobił, im mówiąc to, cośmy dopiero tu słyszeli. Wszak Maksym Gorkij założył tam „Towarzystwo literatury i kultury“.

„I co mamy na to odpowiedzieć? Jakiemi słowy? Chyba krótkiem słowem: Nie. Bo rzecz jest nad wyraz prosta. Niema tam nic z tego, o co nas pytają. Więc wyrazy: Nie, niema, nic określają Rosję. Niema magazynów, niema restauracyj, niema literatury, niema gazet (z wyjątkiem urzędowych), a zatem niema cenzury. Niema nauki, niema uczących się, ludzie nie mają gdzie się zbierać i nigdzie się nie zbierają, to znaczy, że życia także niema i niema społeczeństwa. Niema literatury

^{*)} W warszawskiej „Swobodzie“ z r. 1920 przytaczamy poniżej ze skróceniami.

i niema śladu jakiejkolwiek kultury. Prawda, jest Maksym Gorkij ze swoim „Towarzystwem literatury i kultury“, tylko nie zajmuje się on ani jednym, ani drugim, ale skupowaniem u ludzi głodnych resztek ich majątku. Więc skupuje porcelanę, emalję, albumy, co się zdarzy. Żona zaś Gorkiego, była aktorka, jest komisarzem teatrów państwowych, teraz nadano jej nowy urząd — ministra handlu i przemysłu. Nie wielka to sztuka być takim ministrem tam, gdzie niema ani handlu ani przemysłu.

„Więc niema, nic, nic...“

„I jeszcze trzech rzeczy niema w rewolucyjnej sowieckiej Rosji; niema rewolucji, niema dyktatury proletariatu i niema sowietów. Rewolucji niema już od półtora roku, zamiast tego cisza grobowa i spokój; dyktatury proletariatu niema dla tej prostej przyczyny, że niema proletariatu; zakłady przemysłowe są zamknięte, robotników, jednych zmobilizowano, innych rozstrzelano; jesienią, jednej nocy rozstrzelano ich 300. A sowietów niema, bo kandydatów na ich członków wyznacza sam rząd od każdej partji. Przychodzi komisarz, ogłasza nazwisko kandydata i głosem groźnym krzyczy: „kto jest przeciw, niech podniesie rękę do góry“. Naturalnie, nikt nie podnosi. Raz z galerji zuchwalec jakiś krzyknął: „Kto chce do czerezwyczajki, niech podnosi rękę!“.

„I wogóle wszystkiego tego, co komu do głowy przyjsć może, też niema. I to „niema“, ten absolutny brak tych rzeczy, co stanowią o życiu człowieka fizycznem i duchowem, brać trzeba za punkt wyjścia, gdy mowa o bolszewizmie, za grunt, na którym stanąć należy, aby zrozumieć bolszewizm“.

I od tego „niema“ Zenaida Hippus, Mereżkowski, Fiłosofow, uciekli.

„Nie od głodu — pisze dalej pani Hippus — choć przez długie miesiące jedliśmy chleb ze słomy, zmarznęte ziemniaki i kapustę z wodą, ale do tego powoli przywykliśmy; nie od przejmującego chłodu w nieopalanem mieszkaniu, nie od ciemności (ani światła elektrycznego, ani nafty w Petersburgu niema), i nie od łachmanów, które nosiliśmy; wszystko to drobiazgi; nie można tego nazywać cierpieniem; fizycznie człowiek znieść może dużo.“

„Ale nie wytrzymaliśmy tej obrzydliwej duchowej nudności, co nas w atmosferze bolszewickiego kłamstwa ogarniała; tego poczucia, że nam do gęby szmat jakiś wpakowano, mówić chcemy, krzyczeć, że wiemy coś“

o Rosji, czego inni nie wiedzą — daremnie! Więc opuściliśmy Rosję aby wykryć światu te dwie tajemnice, które o niej wiemy.

„Pierwsza tajemnica dotyczy bolszewizmu, ich zasady niebytu, od której nigdy i nigdzie ani na jedną linję nie odstąpią. I dopóki oni są, Rosja będzie jednym ogromnem niczewo — Rosja i wszystkie, wszystkie kraje, jakieby zająć zdołali.

„Druga tajemnica dotyczy Rosji, tych ludzi co ją dziś zaludniają. I aby długo nie mówić dotknę tylko Petersburga, bo w Petersburgu mamy Rosję w odbiciu. Oto wszyscy mieszkańcy Petersburga, wszyscy od dołu do góry, lud prosty, resztki inteligencji, jakie jeszcze zostały, wszyscy, prócz rządzącej bandy i kilku spekulantów, żyją tylko nadzieją przewrotu. Pragną tego, wyczekują, przygotowują się do tego każdego dnia, każdej godziny. Znamy nie tylko całe instytucje z pozoru bolszewickie, przepelnione takimi wyczekującymi ludźmi, ale całe pułki. Dajcie znak, a rzucają się na dręczycieli swoich. Wiemy, że przeszłego lata nawet marynarze z Kronsztatu czekali na ów znak: „komuż — mówili — poddać się mamy, gdy nas nikt nie bierze“. Wystarczyłyby dwie godziny ostrzegania, a nie zostałoby śladu po bolszewikach. Już mieli samochody przygotowane do ucieczki.

„Nie potrzebujemy mówić o inteligencji. Rozłączeni fizycznie, stanowią oni jedność wewnętrzną, jakiej nigdy nie było. Nie można żądać, aby wszyscy byli bohaterami. Ale twierdzą, że bohaterów było wielu, setki, tysiące, i biernych i czynnych. Czy nie bohaterami byli owi wszyscy rozstrzelani po strasznych torturach moskiewscy profesorowie i pisarze? A owi oficerowie, którzy tysiącami nie szli do czerwonej armii, pomimo, że zamykano w więzieniach ich żony i dzieci? A tamci, których żywcem zamurowano w kazamatach? Pozostali ci, co nie mieli siły narażać najbliższych swoich na męki, — i czekają, czekają pchnięcia z zewnątrz, a bolszewizm prysnie, jak bańka mydlana.

„I tę tajemnicę, że Rosja, cała Rosja gotowa jest zaraz, w tejże chwili powstać, przyszedłszy tu wyjawić w imieniu tych, co tam zostali“.

W tem zapewnieniu autorki rosyjskiej mniej było przesady, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Rosja mogła nie poddać się bolszewikom w październiku 1917 roku; poddała się, bo długie lata biernego oporu przeciw

caratowi wyrabiała w niej sympatię dla wywrotowców wszystkich, jacy byli, i w ten sposób pozbawiała odporności wobec skrajnego lewego skrzydła rewolucji, rządy zaś Kiereńskiego nieudolnością i nieszczerością budziły powszechny wstręt. Poddawszy się, dopuściwszy bolszewizm do zorganizowania się, już nie zdołano go zrzucić; próbowano jednak i próbują; świadczą o tem Kołczak, Denikin, Judenicz, Wrangiel. Próby te nie wydały pożądanego wyniku; niezbędną jest pomoc z zewnątrz, o tę pomoc woła emigracja rosyjska. Mereżkowski w wymownych słowach potwierdzał, powtarzał to samo, co powiedziała Zenaida Hippus.

„Ciężką, bolesną, zarazem śmieszną jest rzeczą niemal codziennie z natchnioną miną wykrzykiwać, że dwa razy dwa — cztery. Ale co mamy począć? Że bolszewizm nieszczęściem jest, zgubą nie tylko dla Rosji, lecz dla całej kulturalnej ludzkości, to dla nas, Rosjan, dwa razy dwa — cztery. Ale w Europie tego nikt nie widzi, nie słyszy, nie wie, nie chce wiedzieć. Więc musimy krzyczeć. Jeśliby bolszewizm był chorobą tylko rosyjską, nie zaś powszechną, światową, to zawarłszy po odparciu hord bolszewickich honorowy z niemi pokój, Polska ocaliłaby mogła siebie i Europę, stać się dla niej wałem ochronnym przeciw nowej inwazji.

„Jeśli jednak dwa razy dwa nie pięć, ale cztery, to ani dla Europy, ani dla Polski niema i nie może być pokoju, dopóki istnieje bolszewizm. Albo będzie bolszewizm, i nie będzie Polski, albo odwrotnie; jedno z dwojga. Widzimy to z przerażającą jasnością“. „Więc, co radzicie nam robić? — pytają mnie Polacy. — „Zgnieść bolszewizm“. — To znaczy iść na Moskwę? — „Nie obawiajcie się, do Moskwy nie pójdziecie; zechciejcie zrozumieć, że bolszewizm nie jest ciałem Rosji, lecz wrzodem na ciele; jedno ukłucie igłą, a wrzód pęknie. Dość wam podnieść sztandar „Za wolność waszą i naszą“, ale podnieść tak, ażeby Rosja cała to zobaczyła, a czerwona armja stopnieje, jak lód na słońcu, bryły ogromne, masy całe odpadać od niej poczną i do was przechodzić i ani się obejrzą, jak Rosja cała, powstawszy, pójdzie na Moskwę“. — „Nikt temu w Polsce nie uwierzy“. „Musicie uwierzyć, inaczej zginiecie“....

„Rosję — pisał Mereżkowski innym razem, parafrazując znany ustęp z Dostojewskiego — rozciągnięto na krzyżu, i bolszewicy gwoździami do niego ją przybijają,

a niewinna dziewczeczka, Europa, przypatruje się i zajada kompot z ananasu! *Oh, les chers petits bolcheviques* — szczebiocą damy w salonach Paryża i Londynu. Patrzy i rozkoszuje się męką Rosji Anatol France, ten cichy, dobry, biały, jak gołąb, i mądry starzec. Nie potępiamy go, może on nie widzi, nie rozumie, może uwiad starczy już mu zaćmił wzrok i myśl. Ale Barbusse, ale Romain Rolland, ten wysubtylizowany Maksym Gorkij, ten szlachetny szuler djabelskiej gry, sprytny słuzalec czerwonej obrzydliwości! Ci dużo widzą i rozumieją. I cóż? Przy-mrużyli oczy i z rozkoszą zajadają swoje „kompoty z ananasu”. Straszne są nie zwycięstwa czerwonych hord, ani pokój z sowieckim rządem, ani uznanie go przez mocarstwa zachodnie; strasznem jest to, że trucizna bolszewicka wsącza się w samo serce Europy. Bolszewizm i Europa, to młody niegodziwiec i stara zakochana w nim rozpust-nica. On wyrabia z nią wszystko, co mu do głowy przyjdzie, a ta na wszystko pozwala, wszystko wybacza; on taki młody i miły, i ładny“... „Ach, zdaje się nam nieraz, że jakaś *moral insanity* ogarnęła świat cały. Złe duchy weszły w Rosję i opętały ją, opętały potem ludzkość całą i, jak stada wieprzów w Ewangelji, pędzą opętańcy prosto przed siebie i wpadają w morze“...

Ale skąd tyłu ich znalazło się u nas w Polsce? Czem się to dzieje, że staliśmy się podobni do owego stada?

2.

Jeden ze znajomych moich, który przebył w Rosji kilka miesięcy pod rządami bolszewickimi, tak określał sytuację: „Pierwsze miejsca w rządzie zajęli żydzi, po nich idą Polacy, potem Łotysze; biednych Rosjan ze-pchnięto na szary koniec do najniższych posług“. Choć brzmi to anegdotycznie i nieco przesadnie, bo pierwsze miejsce jeśli nie *de facto*, to *de nomine* zajął Rosjanin Lenin — jednak odpowiada prawdzie. Wpływ dominujący zdobyli żydzi, koło nich uwijają się nasi współziomkowie, z wszechpotężnym komisarzem spraw wewnętrznych, Dzier-żyńskim, na czele.

Bolszewizm jest doprowadzoną do absurdu ideą de-mokratyczną — i absurd ten znalazł u nas gorących wy-znawców. Przystępujemy do objaśnienia tego faktu z przy-krem i gnębiącym uczuciem upokorzenia i wstydu. Jest to rachunek sumienia z ułomności narodowych takich,

o których chciałoby się nie myśleć, zapomnieć, nie wiedzieć, a przede wszystkim chciałoby się je ukryć przed okiem obcym.

Bolszewizm jest rzeczą, nas hańbiącą z tego powodu, że niema pod sobą tej głębokiej podstawy, jaką mu historia dała w Rosji i u żydów; jest naleciałością z zewnątrz, że zaś naleciałość ta tak łatwo się przyjęła, wytłumaczyć to można takimi tylko właściwościami psychicznymi, których należy się wstydzić.

Dotąd jeszcze tuła się po gazetach i w rozmowach zdanie, że bolszewizm w Rosji zrobili Niemcy, przekupiwszy Lenina i Trockiego i przysławszy ich w zaplombowanych wagonach. Coś podobnego twierdzić, to dawać dowód absolutnego nierozumienia Rosji i nieznanomości jej dziejów. Bolszewizm jest logicznym zakończeniem stuletniej walki z caratem, realizacją hasła, pod którym walczone i które sformułował Hercen: „niech żyją chaos i zniszczenie“, a hasło to wyszło z samego dna duszy rosyjskiej, było tem nowem słowem, które Rosja, w mniemaniu jej poetów i myślicieli, miała przynieść światu. I nie wątpimy, że przyszli historycy przedstawiać będą bolszewizm, jako najcharakterystyczniejszą manifestację Rosji na widowni dziejowej. Ze Niemcy dopomogli bolszewizmowi, temu nikt nie przeczy. Byli zewsząd osaczeni, i rewolucja w Rosji wydawała się im pożądaną dywersją. Ale jak przypuścić taki nonsens, że bez pomocy niemieckiej nie byłoby rewolucji i dusza rosyjska nie ujawniłaby swej najwewnętrzniejszej treści? Bez Niemców Lenin i Trocki opóźniliby nieco swój przyjazd i jechaliby z mniejszym komfortem; bez pieniędzy niemieckich rewolucja bolszewicka opóźniłaby nieco swój wybuch.

Ku bolszewizmowi zmierzał bieg dziejów rosyjskich od Piotra Wielkiego, t.j. od chwili bliższego zetknięcia się z kulturą Zachodu. Rosja bowiem stała w stosunku do Europy, jak wyrażał się Hercen, na tamtym brzegu. W jej życiu historycznem nie brała udziału, nie wiązała jej z tem życiem nic tradycji, patrzała więc na nią z tamtego brzegu, łatwiej dostrzegała ujemne jej strony, goręcej rwała się do ich burzenia, podzielała z Europą wszystkie jej wątplenia, a nie rozgrzewała siebie jej wiarą. I na tamtym brzegu stanęła również wobec własnej przeszłości, w której nie było nic, czemby pociągnąć i przywiązać do siebie mogła. I dzięki temu wykształcony Rosjanin jest, według Hercena, najniezawisłym czło-

wiekami na świecie. W tem jego wyższość*). Rewolucjonista bowiem Europejczyk, dążąc do przewrotu, nie jest w stanie zamiaru swego doprowadzić do końca, potępił teoretycznie przeszłość i przez nią przekazane formy polityczne, a nie ma serca z niemi zerwać, zanedbano z tem się żył — i w końcu szuka kompromisu. Tylko Rosjanin umie iść prosto do celu i tylko on jeden powołany jest do stworzenia nowego porządku...

Ale dalej myśl Hercena rozwijając, musielibyśmy przyznać niektórym innym narodom też przywilej spoglądania na świat z tamtego brzegu, czyli duchowej niezawisłości, przede wszystkim — Żydom. Nie Europa zachodnia, lecz cały świat chrześcijański jest dla nich czemś obcym, i nie tylko obcym, ale i antypatycznym. Zajawszy wobec tego świata stanowisko rewolucyjne, sprzymierzyli się z Rosją bolszewicką; obdarzeni wytrwałością i zmysłem organizacyjnym, którego u niej niema, stanęli na czele ruchu, umiejętnie wyzyskali niszczycielską zaciekłość, znamionującą Rosjan, i dalej od nich patrząc w przeszłość, nie poprzestali na niszczeniu, ale myślą o budowie, któraby ich widokom i interesom odpowiadała. I to, że te dwa wzajemnie się uzupełniające żywioły — rusycyzm i judaizm — sprzęgły się ze sobą w bolszewizmie, nadało mu jego rozmach i siłę w uderzeniu.

Nie bolszewizm, lecz tylko filobolszewizm objawił się w grupach robotniczych na Zachodzie i w rachujących się z niemi rządach — w Anglii silniej, niż gdzieindziej. Ale właśnie Anglja na zbytek ten pozwolić sobie mogła; może ona wchodzić w układy z bolszewizmem, nawet popierać go w innych krajach, bez obawy, aby się zaszczepił u niej. Nie ma bowiem rewolucja wroga niebezpieczniejszego nad tradycję — i niema narodu, któryby tak mocno na tradycji stał, jak Anglja, posuwająca kult przeszłości aż do drobiazgowego pedantyzmu.

Jeśli jednak komu tradycji trzymać się należy, to przede wszystkim narodom, które utraciły swój byt polityczny (albo dopiero go odzyskują). Pozbawionym będąc siły fizycznej, co może naród przeciwstawić wrogim potęgom, jeśli nie siłą moralną, krórą czerpie z tradycji? Nie twierdzimy, że przywiązania do niej u nas niema. Owszem, przeszłość owiewa nas tchnieniem swoim i sami z siebie

*) Obszerniej to przedstawiłem w książkach moich „U opoki mesjanizmu“ i „Die Grundprobleme Russlands“.

nie bylibyśmy zdolni do bolszewickiego nihilizmu; ale gdy hasła niszczenia idą od innych, wówczas porywają nam wyobraźnię zuchwałością, której w sobie nie czujemy. Jesteśmy powierzchowni, a zapalni, stąd brak oporności względem obcych idei i wpływów oraz łatwość, z jaką poddajemy się frazesowi.

Oto znamienity przykład: W lipcu 1920 roku, gdy nawała bolszewicka zbliżała się do Warszawy, i wezwano młodzież do świadczeń wojskowych i do służby ochotniczej, pewien młody urzędnik przyszedł do jednego z wybitnych uczonych naszych, znanego z poglądów radykalnych, i, dzięki temu, cieszącego się szczególnem zaufaniem u młodzieży; przyszedł do niego o radę, jak ma postąpić. „Wszyscy idą do wojska; na tych, co się dotąd nie zapisali, patrzą krzywo, ale on się waha, sumienie nie pozwala, był przed wojną w Petersburgu, obcował z rewolucjonistami i wie, czym jest bolszewizm; jest postępem w najczystszej postaci, z najdalej idącymi konsekwencjami w zakresie reform, mających uszczęśliwić ludzkość; więc jakże nie iść z postępem!” Profesor począł go reflektować: „Czyżbyś chciał, aby Polska stała się tem, czym jest Rosja dzisiejsza, wielką, nieuprawną, w dosłownem i przenośnem znaczeniu, pustynią; aby ludzie na ulicach, między nimi ci robotnicy, których los tak cię obchodzi, marli z nędzy; aby inteligencję wystrzelano, lub zamorzono głodem; aby Warszawa przeobraziła się w jeden wielki dom publiczny“... Profesor mówił na podstawie własnych gorzkich doświadczeń z całorocznego pobytu w Petersburgu pod rządami sowietów. Słowa jego robiły na młodzieńcu wrażenie silne, miał łzy w oczach; nie przekonały jednak, do wojska nie poszedł, nie mógł, nie chciał, było to nad siły, wzdrygał się na samą myśl, że w takim razie szedłby z „reakcją“, a przeciw „postępowi“.

Więc Daszyński to reakcja, Moraczewski — reakcja, krakowski *Naprzód* i warszawski *Robotnik* — reakcja? I gdyby to ów młody urzędnik był wyjątkiem! Niestety, jest typem, jest okazem tej rozpaczliwej płytkości myśli i uczuć, niezdolnej głębiej wnikać w żadną rzecz, kierującą się samymi tylko nastrojami, a nastroje biorące z ulicy, z najgłośniejszych, najmodniejszych, a „postępem“ przykrywających się hasel. Tej bezdennej głupoty, tego fetyszyzmu frazesu nie znajdziemy na zachód od Polski; znajdziemy chyba tylko wśród owych narodków małych i młodych, bez przeszłości i bez kultury, które

dopiero wczoraj awansowano na państwa, i które, hałaśliwie popisując się ostatnimi hasłami „postępu“, tem, w wyobrażeniu swoim, zdobywają sobie patenty dojrzałości politycznej. Na taki poziom zepchnęły nas rządy rosyjskie i kultura rosyjska! Więć z upokorzeniem i wstydem wydobywamy to na jaw, jako wyjaśnienie g ł ó w n e j psychicznej podstawy bolszewizmu polskiego.

Są inne jeszcze. Ludzie głębsi, myślący, oczywiście frazesem gardzą, ale, zetknąwszy się z prądami wywrotczymi, filozofują. Stawiają pytanie, czy burza, pędząca z Rosji, nie jest potrzebną, czy nie przeczyści powietrza; wszak tyle złego jest u nas; więc, choć tak straszny, bolszewizm, gdy minie, pozostawi po sobie dobroczynne następstwa, przyspieszy wykonanie rozmaitych pożytecznych reform, słowem, spełni to posłannictwo, które w swoim czasie spełniła rewolucja francuska. Ale kto tak rozumuje, ten już się stał nieświadomym heroldem bolszewizmu, ten już mu otworzył wejście do swej duszy. Społeczeństwo, w którym jest wielu w taki sposób rozumujących, jest z góry przeznaczone na łup bolszewizmowi.

Bolszewizm jest ideą; jej treścią — realizacja w całej pełni kolektywistycznego ustroju; drogą do tego — zburzenie przeszłości tak doszczętne, aby w żadnym, choćby wyjątkowym wypadku żadna z jej form, jak nauczał Bakunin, zachowaną nie została. Potężny fanatyczną wiarą wyznawców bolszewizm nie da się pobić jakimś pół czy ćwierć bolszewizmem. I dlatego wątpiliśmy o powodzeniu artykułów, manifestów i całej akcji Sawinkowa w Warszawie, który wyobraził sobie, że konfiskatą wielkiej własności ziemskiej i rozdaniem jej chłopom można będzie powstrzymać bolszewizm w przyszłej, t. z. „trzeciej Rosji“. Bolszewizm dałby się pobić tylko odważną negacją tej negacji, jaką on jest, innemi słowy, mocnem oparciem się na tych pierwiastkach przeszłości, których wartość istotna jest i trwała. Tem Węgrzy złamali bolszewizm u siebie. My zaś jesteśmy pół i ćwierć bolszewikami; dzielni na polu bitwy, a tchórzliwi wobec objawów wewnętrzznego bolszewizmu.

Jak głębokiem jest na Węgrzech przywiązanie do tradycji i świadomość konieczności żywego związku z przeszłością, niech o tem świadczy godna zapisania rozmowa, którą miałem z jednym z członków delegacji węgierskiej za jej pobytu w Krakowie, w sierpniu 1920 roku.

„Czy to prawda — zapytałem — że monarchja ma

być przywróconą u was? — „Mamy mocną nadzieję, że stanie się to w bliskiej przyszłości“. — „Kogo powołacie na tron? — Spojrzał na mnie, jakgdybym zadał niemądre pytanie: „Naturalnie byłego cesarza Austrii, króla Karola“. — „Więc dynastia Habsburgów tak jest u was popularna? — „Nie ma to żadnego związku z kwestją popularności dynastji; stoimy na gruncie prawa; król Karol nie zrzekał się tronu, a tylko przelał władzę swoją w ręce Zgromadzenia Narodowego, — i jeśli Zgromadzenie uchwali monarchiczną formę rządu, tem samem król wróci na tron przodków swoich“. — „Wprawdzie — dodał po chwili — dynastia ma u nas swoich nieprzyjaciół, projektowano powołać kogoś z książąt zagranicznych; zatrzymywano się na osobie ks. Connaught, sądząc, że byłoby to wskazane, jako środek do pozyskania tak możnego sprzymierzeńca, jakim jest Anglja. Ale nic z tego nie będzie; ks. Connaught jest protestantem“. — „Jakażby w tem przeszkoda była; wszak znaczna część Węgrów wyznaje kalwinizm? — „Ale król koronuje się koroną świętego Stefana i nosi tytuł króla Apostolskiego; taka korona i taki tytuł należeć mogą tylko do katolika. Poza tem obrząd koronacji jest obrzędem religijnym, w czasie którego król przystępuje do Komunii św.; wszystko to czyni niemożliwym wybór protestanta“. — Można być gorącym republikaninem, a jednak przyznać, że tak żywa cześć dla tradycji i takie poczucie prawa potężną są ostoją w walce z wszelkimi czynnikami rozkładu.

Do tych właściwości psychicznych, sprawiających, że, o ile nie ulegniemy bolszewizmowi, to z łatwością wpadamy w jakąś bolszewizującą rozlazłość, dodać trzeba demoralizujące działanie szkół rosyjskich, tę rusyfikację duchową, którą one wszczepiały, i która rzucała potem we wszystkie odmęty rewolucji. Próbowałem już przedstawić to gdzieindziej*); tu dodam, że ś. p. prof. Napoleon Cybulski, który znał zbliżoną rewolucyjny świat rosyjski, miał o nim zdanie w najwyższym stopniu ujemne, zwykł podkpiwać z mojej sympatji dla idealizmu rosyjskiego, z mojej skłonności do uogólniania tego zjawiska, mawiał, że mając w kieszeni pugilares, napełniony banknotami, nie odważyłby się ułożyć do snu w jednym pokoju z rewolucjonistą rosyjskim, choćby ten był jego zażyłym przyjacielem.

*) We „Wpływach rosyjskich na duszę polską“ Kraków, 1920. (Spółka wydawnicza).

Blżej jeszcze, niż Cybulski, stykał się z czerwoną Rosją i zrewolucjonizowaną przez nią Polską Stanisław Brzozowski. W swojej „Książce o starej kobiecie” świetnie skreślił w osobie Zbaraskiego typ Polaka, dla którego polskość o tyle jest coś warta, o ile ją uznać chce Rosja. Rosjanie, dowodzi Zbaraski, są realistami i dzięki temu, są dziś „najpostępowszą formacją na świecie”, chorobą zaś Polski jest marzycielstwo, w którym utrzymuje ją jej najniebezpieczniejszy, bo wewnętrzny wróg — patryjotyzm. Niech się leczą, obcując z Rosjanami i czytając tę cudowną książkę, która niepotrzebnem czyni myślenie, bo „sama za wszystkich myśli” — „Kapitał” Marxa. W tem ogłupieniu myśli olśniewanej, zahypnotyzowanej czerwonym blaskiem Rosji, biedny Zbaraski doreszty traci równowagę, spotkawszy Polaka, który napisał komentarz do trzeciego tomu Marxa i zasłużył tem na pochwałę Bełtowa, największej powagi w obozie rewolucyjnym rosyjskim, a jednak interesuje się historją Polski, czyta stare kroniki, rozprawia o niepodległości. W tem wszystkim zdezorientowany Zbaraski potąpać się nie umie; w końcu dochodzi do wniosku, że chyba Teofil żartuje, bo „gdyby to brać poważnie, musiałbym zwątpić, czy pozostał on wierny klasowemu punktowi widzenia”... Teofil — ubolewa on — „gdyby nie urodził się Polakiem, jestem przekonany, mógłby wznieść się na ten sam, co i Bełtow, poziom”.

3.

Wraz z wybuchem rewolucji poczęli w Polsce jedni po drugich występować na widownię rozmaici tępi sekcjarze. W Mińsku, gdzie bawiłem, popisywał się niejaki Heltmann. Pierwsze laury zdobył on w Krakowie w walce z X. Zimmermannem i katedrą socjologii chrześcijańskiej. Potem zdawało się, że się ustatkował. Przynajmniej z pożytkiem pracował w czasie wojny w Mińskich organizacjach oświatowych. Ale wnet po upadku caratu poczuł się Moskalem z ducha, bo polskość nie zgadza się „z klasowym punktem widzenia”. Rozpoczął od gwałtownej agitacji przeciw obchodowi 3-go Maja, pomimo, że obchód ten entuzjazmował całą polską ludność zrusyfikowanego Mińska, który nic podobnego od upadku Polski nie oglądał. Potem zabrał się wraz z Żydem Kohnem do redagowania w duchu bolszewickim gazety *Prawda*. Uczono tam, że od komisarzy sowieckich zależy wyzwolenie Polski, że

rozkazom ich poddawać się trzeba bezwzględnie; zachęcano do tworzenia rewolucyjnych batalionów polskich na zasadzie obieralności; podburzano żołnierzy przeciw jen. Dowbor-Muśnickiemu — i to w chwili, kiedy korpus jego, wyjęty z pod prawa, przebijał się wśród niesłychanych trudności i niebezpieczeństw w stronę Bobrujska i Mińska. Równocześnie w Petersburgu deklamowali na wiecach i „z klasowego punktu widzenia“ deptali ideę polską pp. Bobiński, Dzierżyński, Łągwa, Cichocki, *e tutti quanti*. „Rusyfikacja — pisałem we „Wpływach rosyjskich“ — docierała w działalności tych panów do kresu, poza którym przestaje istnieć Polska, jako całość historyczno-etnograficzna, ustępując miejsca lokalnej polskiej odmianie pogromowo-wszechrosyjskiej kultury, lub raczej kontrkultury“.

Minęły dwa lata i ci sami panowie towarzyszyli wkraczającym na ziemie nasze hordom, ażeby w ową odmiannę czy filję sowieckiej Rosji przeistoczyć Polskę.

15 sierpnia Warszawa miała, według obliczeń bolszewickich, być już w rękę czerwonej armii, i miał rozpocząć swoje funkcjonowanie nowy rząd pod nazwą „Tymczasowego komitetu rewolucyjnego dla Polski“. Do komitetu wyznaczono pięciu członków, trzech Polaków: Marchlewskiego, Dzierżyńskiego, Próchniaka i dwóch Żydów: Kohna i Unschlichta.

Z tych pięciu imion dwa — Marchlewski i Dzierżyński są szeroko znane; z tych dwóch pierwszeństwo należy się Dzierżyńskiemu. „Wszechrosyjskiego kata — czytaliśmy w rosyjskiej *Swobodzie* z 6 sierpnia — kierownika walki z kontrrewolucją, inspiratora wszystkich czczając sowiecka Rosja wspaniałomyślnie darowała przyszłej sowieckiej Polsce. Ale co znaczy ten dar? „Czy to Lenin ma go już dość i wstydzi się kamaraderji z tym rzeźnikiem, organizatorem jatek dla mięsa ludzkiego? Czy też w duszy potwora obudziła się jakaś dziwna tęsknota za ojczyzną, i nasyciwszy się widokiem rosyjskich łez i rosyjskiej krwi, zapragnął napatrzeć się na polskie łzy i polską krew?“...

Bądź co bądź, sowdepja przygotowywała dla nas nie nowego Murawjewa, lecz rodowitego Polaka, który w ciągu dwóch lat rządów swoich w Rosji „wydał więcej wyroków śmierci, niż Murawjew i wszyscy rosyjscy kaci w Polsce razem wzięci“. Więc co by się działo w Warszawie, gdyby ci ludzie osiedli tam, na zamku? Słusznie ktoś powiedział,

że aby móc to wyobrazić, wyobraźnia nasza za słabą jest, za dobrą. To jednak wiemy, że w Mińsku, w roku zeszłym, na miejscu egzekucyj bolszewickich, po wykopaniu zwłok, stwierdzono, że ogromna większość zakopaną była żywcem. Rozstrzeliwano bowiem masowo, kule nie we wszystkich trafiały, tych zaś, w których trafiały, częściej raniły, niż zabijały; ale wszystkich zabitych, rannych i nierannych, spychano do wspólnego dołu. Przed tem skazańcom wiązywano ręce żelaznymi prętami, nieraz wydłużano oczy. Dodamy, że według zgodnego świadectwa mieszkańców Mińska, bolszewicy polscy szczególnie byli szkodliwi; krwiożerczością równi kolegom swoim rosyjskim i żydowskiem, przewyższali ich policyjnym wędchem i sprytem w tropieniu ukrywających się przeciwników sowieckiego rządu.

A teraz pytamy, jak nazwać, jakim wyrazem określić Dzierżyńskiego, Marchlewskiego i tych wszystkich z pochodzenia Polaków, co dobrowolnie na służbę poszli do bandy zbrodniarzy, która krwią zalała Rosję i w tej krwi jej dobrobyt, jej kulturę duchową zatopiła? Takiej nazwy nie znajduję i, sędzę, nie dlatego, że dobór słów mam ubogi, ale że wyrazu do określenia podłości, w jaką nasi bolszewiści wpadli, w żadnym języku niema.

Okrucieństwo, szczególnie jaskrawe jego wybryki zwykle nazywają zezwierzęceniem. Ile razy to słyszę, chciałbym zapytać, jakim prawem bezczęścimy zwierzę, które pod względem instynktu moralnego nieraz wyżej stoi od człowieka? Czy nie patrzymy z podziwem, jak pies, ogromny, silny, złośliwy z usposobienia pies spokojnie i cierpliwie znosi naprzykrzania się szczeniaka, i czy kto widział kiedy, aby on ugryzł sukę? Wzgardzony ród psi ma wrodzone rycerskie uczucie poszanowania dla słabości, które u ludzi z trudem wielkim wyrabiają wieki kultury religijnej i moralnej. Zwierz strasznym jest, gdy się rzuca na zdobycz swoją i ją rozszarpuje, ale czyni to w afekcie, w szale; do okrucieństwa na zimno zdolnym nie jest. Okrucieństwo zaś bolszewickie jest czemś nierównie gorszem, niż okrucieństwo zimne i wyrachowane, bo, cynicznie bezwstydni między sobą, są oni tchórzami na zewnątrz—i właśnie to ich czyni tak nieskończenie wstrętnymi

Przypomnijmy, jak postąpili z carem i jego rodziną. Rewolucjoniści francuzcy byli niemniej od nich okrutni, ale mieli wstyd i osłaniali się legalnością. Króla Ludwika XVI oddali pod sąd. I były na nim pozory winy. Na

Francję szła koalicja europejska z Austrią na czele; Ludwik XVI miał żonę Austriaczkę; samo przez się nasuwało się podejrzenie, że między koalicją a królem istniała tajna jakaś zмова; sprawę należało wyświecić. Nie wyświecono; naciągnięto fakty i króla skazano na śmierć. Był jednak sąd i, zbrodni się wstydząc, usiłował konwent nadać zbrodniczemu wyrokowi pozór sprawiedliwości. Czemuż nie stawiono cara Mikołaja przed sądem? Wszak mówiono dużo o konszachtach jego i carycy z ces. Wilhelmem, o zamiarze wycofania się z wojny i o separatystycznym, a dla Rosji poniżającym pokoju z Niemcami. Jako charakter fałszywy i złośliwy, według tych, co się z nim bliżej stykali, miał car ciężkie na sumieniu grzechy wobec Rosji. Obnażając przed sądem, przed światem te grzechy czy błędy jego panowania, rewolucja mogła w pewnej mierze, usprawiedliwić siebie, zjednać opinię powszechną.

Ale nic z tego. W maju 1918 roku przeniesiono cara z rodziną z Tobolska do Ekaterynburga, tam poddano ich dokuczliwemu dozorowi Łotyszów. Było to już zapowiedzią bliskiego końca. Łotysze wyrobili sobie w czasie rewolucji światową sławę katów i oprawców z amatorstwa i komisarze sowieccy zwykli ich sprowadzać umyślnie tam, gdzie dużo mają krwi do przelania. W nocy z 16 na 17 lipca zaprowadzono cara, rodzinę i świtę do piwnicy — i tam wystrzelano wszystkich. Jeden car zginął na miejscu, wszystkich innych okrutnie dobijano ciosami kolb i bagnętów. Nazajutrz pozabijano w pobliskim lesie w. ks. Elżbietę, siostrę carowej, w. ks. Sergjusza Michajłowicza, trzech synów w. ks. Konstantego Konstantynowicza, najszlachetniejszego z przedstawicieli rodu Romanowów, utalentowanego poety i prezydenta Akademii nauk, który na szczęście zmarł przed wybuchem rewolucji — i wielu innych.

Car był carem i rewolucjoniści mieli z nim swoje osobiste porachunki, ale co były winne te cztery biedne panny, jego córki? Gdzie i w czym winna 14-letniego chłopaka, następcy tronu? A młodzi Konstantynowicze z innymi członkami dynastji? I ci z dworu i świty, których grzech polegał na tem, że nie zechcieli panów swoich w nieszczęściu opuścić!

Zbrodnia była ohydną, niesłychaną. Ale niechby jej sprawcy, niechby Lenin, Trocki, Cziczerin mieli cyniczną odwagę ogłosić przed Rosją i światem: „Rozkazaliśmy ich wymordować, bo tak się nam podobało, bo jesteśmy

samowładnymi, przed nikim nieodpowiedzialnymi panami Rosji, a uznaliśmy, że śmierć ich wszystkich potrzebną jest dla bezpieczeństwa proletariatu, który uosabiamy". Byłoby to oburzające, wstrętne, ale nie byłoby w tem tego, co najwstrętniejsze: tchórzostwa moralnego. Postąpili jednak, jak najpodlejsi tchórze. Zwłoki pomordowanych wywieziono potajemnie i spalono; w ciągu kilku dni sprzątno i zacierano wszystkie ślady zbrodni na miejscu, a w dniu 20 lipca oficjalnie wyprawiono pociąg do Permu, ogłaszając, iż wywozi więźniów carskich.

Moralnymi współnikami tej zbrodni politycznej, najpotworniejszej — mówię to z całą świadomością — jaką znają dzieje, bo skojarzyła w sobie dwie cechy, których skojarzenie dotąd kroniki kryminalne notowały tylko u morderców-degeneratów: okrucieństwo rozmyślne, zimne i tchórzostwo — współnikami jej są Dzierżyński, Marchlewski i ci wszyscy polscy pachołkowie rządu sowieckiej Rosji, którzy, posłuszni rozkazowi jego, mieli w Warszawie urządzać sowiecką Polskę, aby ją we wszechrosyjskiem sowieckiem morzu utopić.

Ich czyny i ich zamiary nie miały, nie mają pod sobą żadnej podstawy w przeszłości polskiej, w warunkach, w stanie rzeczy, który ona wytworzyła; nie mają przeto tego usprawiedliwienia historycznego, które w pewnej mierze ma bolszewizm rosyjski i bolszewizm żydowski; dają się wytłumaczyć tylko tępością myśli, na oślep idącej za głosem tych, co najgłośniej krzyczą — i spodleniem charakteru pozbawionego oparcia, jakie daje świadomość związku z przeszłością narodową.

Zamiaru nie wykonali, w Warszawie nie byli, ale wszystko, co w ich mocy leżało, zrobili, aby kraj ojców swoich moralnie i materialnie zniszczyć. Imiona ich potomność przekleństwem ścigać będzie, dopóki będzie Polska.



II.

Czerwona Armja.

1.

Łatwość, z jaką rewolucja rosyjska w lutym 1917 roku zwała carat, tem się tłumaczy, że wystawiła hasła pokoju i chleba, które znalazły oddźwięk głęboki i powszechny we wszystkich warstwach i wszystkich stronnictwach. Ale pierwsze z tych haseł odrazu sfałszowali ci, co na czele nowego rewolucyjnego rządu stanęli. Zamiast do pokoju dążyć, wyteżyli wszystkie siły w kierunku wojny; prowadzić ją zamierzali „aż do zwycięskiego końca“, chcieli naprawić błędy rządów carskich i zmyć z Rosji w oczach aliantów plamę niedołęstwa. Po kilku miesiącach starań udało się Kiereńskiemu pchnąć armje rosyjskie na Galicję. Ale rozpoczęta powodzeniami pod Kałuszem i Stanisławowem, ofenzywa zakończona została sromotną klęską pod Tarnopolem, tego zaś, który najwięcej do niej się przyczynił, bo agitacją i przykładem jego pociągnięte, opuściły wojska pozycje swoje i poszły w rozsypkę — kapitań Dziewałtowskiego — witano po powrocie i wystawiano w Kijowie, jako bohatera narodowego. Jedyne chyba przykłąd w historii, że tchórzostwo utorowało drogę do laurów.

Przy takim usposobieniu w narodzie i w armji propaganda skrajnych wywrotowców, t. zw. bolszewików, czyniła postępy przerażająco szybkie. Bolszewikom nie można było zarzucić nieszczeroci: do sprawy pokoju wzięli się gorąco i obrali drogę najkrótszą i najpewniejszą, zorganizując armję, czyniąc ją nie zdolną do boju.

Ale, ujawszy władzę w swoje ręce, nie mogli oni pozbawić siebie tej pomocy, jaką daje armja każdemu rządowi; potrzebowali jej do walki z kontrewolucją. Tylko to, co pod ręką mieli, już armją nie było. Były to bandy niesforne, dzikie — i nikt w całej Rosji nie przypuszczał, ażeby się dały na nowo przekształcić w armję, ażeby istniała moc, coby żołnierza, który bron swoją rzucił, zmusiła do wzięcia broni tej z powrotem i zgięła go pod jarzmem bezlitośnej dyscypliny.

Cud ten jednak się stał. W końcu 1917 i w 1918 roku czerwone bandy wyrzynały inteligencję, paliły biblioteki i wszystko, co miało związek z nauką, burzyły po miastach pomniki, puszczały z dymem pałace i dwory wiejskie; wyrzynały języki, łamały nogi i wszelkiemi innemi sposobami kaleczyły rasowe bydło lub konie za ich „burżuazyjność“. Dziś już o tem nie słyszymy; nawet przy najściach i zagarnianjach terytorjów nieprzyjacielskich okrucieństwa i niszczytelstwo są już nie regułą, lecz raczej zjawiskami sporadycznymi, towarzyszącemi każdej wojnie. Jeszcze w roku 1919 wojska nasze miały przeważnie do czynienia z czerwonymi bandami. W 1920 roku walczyły z czerwoną armją.

Jak się ten cud stał, objaśniają to w pewnej mierze ogłoszone pod koniec 1920 roku w warszawskiej „*Swobodzie*“ (po ros.) artykuły oficera kozackiego, który przesiadując pod przymusem półtora młosa w armji czerwonej, potem z wielką trudnością przedarł się do Polski.

Rząd bolszewicki — opowiada on — przestraszył się własnego dzieła i z właściwą sobie stanowczością konsekwencją i bezwzględnością zabrał się do naprawy tego, co sam popsuł, lub innym psuć nie przeszkadzał. Ze szczególną zaś energją pracował nad reorganizacją armji w ostatnich miesiącach przed ofensywą na Polskę. Przedewszystkiem należało na nowych podstawach postawić naczelne dowództwo. Rewolucja oddała je w ręce komitetów żołnierskich, przy czem ten, co najgłośniej krzyczał, brał zwykle górę i stawał się dowódcą brygady, dywizji, armji, frontu. Tym wszystkim przez rewolucję kreowanym „jenerałom“, o ile nie posiadali wykształcenia wojskowego, dano dymisje i zastąpiono ich oficerami carskimi, których czy to prośbą, czy groźbą do armji powołano. W 1920 r. operacjami jej kierował w trzech czwartych dawny carski sztab jenerałny. Członkami naczelnej „Rady obrony republiki“ byli głośni jenerałowie Brusilow i Bałujew, wybitne

stanowiska zajęli też znani z czasów ostatniej wojny jen. Kłembowski, Parski, Gutor, Bończ - Brujewicz, Rattel i inni.

Nie znaczy to jednak, że rzucono się w przeciwną stronę. Nie znaczący to jednak, że tylko dyplom i dawna ranga carska dają dziś dostęp do wyższych urzędów. Decydują nie dyplom i nie ranga, lecz męstwo i talenty; wśród wodzów spotykamy prostych żołnierzy, spotykamy też ludzi, którzy przed rewolucją prochu nie wachali. I to stanowi, według obserwacji kozaka, raczej dodatnią stronę czerwonej armii. „Wszak marszałkowie Napoleona — mówi on — w znacznej części nie byli wojskowymi z zawodu; Murat rozpoczął karierę swoją, jako chłopiec stajenny, skończył, jako król Neapolitański; widziałem sam żołnierzy, którzy znakomicie dowodzili pułkami; widziałem młodych komunistów, walczących z zapalem, z wiarą w swoją dobrą sprawę... „Więc traktujemy przeciwników naszych poważnie; zmuszają nas do tego prawie trzy lata tragicznych doświadczeń; siłę nieprzyjaciela lepiej przecenić, niż niedocenić...”

Po powołaniu generałów carskich poczęto ostrożnie i bardzo powoli przywracać im dawną powagę i znaczenie. Dawnej jednak władzy w jej całej rozciągłości nie odzyskali. Rząd sowiecki naturalnie zaufania do nich nie żywi i ma nad nimi czujne oko. Frontem zarządza „rewolucyjno-wojenna Rada frontu” złożona ze specjalistów wojskowych i z komisarzy bolszewickich; głównodowodzący jest wykonawcą ich przepisów i zleceń. Każda zaś dywizja ma swój wydział polityczny, i kontroli naczelnika jego podlega dowódca. Ale naczelnik ten wraz z wydziałem swoim nie jest tylko szpiegiem rządu; główne zadanie „wydziałów politycznych” stanowi reorganizacja ducha armii.

I tu sowiecki rząd wziął rozbrat stanowczy z uznaną przed tem za aksjomat i stosowaną we wszystkich krajach zasadą, że armja stać powinna poza wszelką polityką. Przeciwnie, agitację i propagandę polityczną uznano za cement, spajający masy żołnierskie, elementy zaś, propagandzie takiej oporne, poddano bezwzględniemu terrorowi — i dla celu tego obok wydziału politycznego istnieją przy każdej dywizji: 1) trybunał rewolucyjny, 2) wydział do spraw szczególnie ważnych i 3) komitet do walki z dezterterstwem.

Naczelnik wydziału politycznego łączy w rękę swoim sprawy, tyżące się prawomyslności politycznej i sprawy oświaty i kultury. Skojarzenie tych dwóch funkcji w jednej osobie, które wydawało się nawet biurokracji carskiej

czemś zbyt potwornem, aby mogło być możliwem, rzuca światło jaskrawe na charakter sowieckiej oświaty i kultury. Naczelnik ma dwóch głównych pomocników — jednego do polityki, drugiego do rzeczy kulturalno-oświatowych — i cały szereg komisarzy, wyższych i niższych, w brygadach, w pułkach, w oddziałach sanitarnych, transportowych i t. d. Ci wspólnie z podległymi im kierownikami politycznymi (*politruk*) pracują nad tworzeniem t. z. „jacejek” komunistycznych (*jacejka* znaczy po ros. komórka) czyli związków politycznie uświadomionych żołnierzy i oficerów. Można sobie wyobrazić, ile to wszystko, wszystkie kancelarze wymienionych wydziałów, komitetów, trybunałów pochłaniają rąk i głów; samych komisarzy czerwona armja posiada około 15 tysięcy. Skąd tych ludzi brano? Zrazu byli to przeważnie policjanci z czasów carskich, dozorczy i stróżowie więzień, urzędnicy z „ochrony”, katorżnicy, wreszcie rozmaici spryciarze, karjerowicze, którzy małym kosztem dobre interesy robić chcieli. Ale działali tak, że sam Trocki, jak mówią, chwycił się za głowę, a Lenin patetycznie wykrzykiwał: „nie widzę ludzi uczciwych wokół siebie!”. Więc z końcem 1919 roku przystąpiono do reform w skompromitowanej instytucji.

Potrzebni byli ludzie inteligentni, ale inteligencji nie było; jednych wytępiono, inni ukrywali się i pomimo głodu i chłodu na służbę do znienawidzonej bandy sowieckiej nie szli. Rząd zarządził temu, tworząc p. n. „Związków młodzieży komunistycznej” szkoły przyszłych agitatorów pod kierunkiem ludzi w rzemiośle tym doświadczonych. Wrażliwa młodzież łatwo się poddaje działaniu rewolucjonistów z aureolą zasłużonych działaczy, przejmuje się ideą służenia warstwom uciśnionym i w imię przyszłego doskonałego porządku rzeczy idzie do pracy z zapalem i poświęceniem. Nie widzą oni tego, co innych uderza i boli, i z właściwem młodzieży lekkomyślnem okrucieństwem spokojnie twierdzą, że bez ofiar nie może tak wielka sprawa się obejść. Poznałem — pisze kozak — kilku takich sympatycznych, uczciwych, dobrych chłopaków; jeden z nich w moich oczach zrobił w ciągu 1½ miesiąca świetną karierę; był zrazu komisarzem tylko w dywizjonie artylerji, potem został „inspektorem politycznym armji”.

Co stanowi główne zadanie komisarzy i ich pomocników (*polityczny rukowoditel*)? Wyjaśniają oni żołnierzom szczegóły nowego ustroju Rosji i programu rządu, wtajemniczają w taktykę sowieców, wspólnie z uczniami roz-

prawiają o zagadnieniach polityki bieżącej, opracowują sposoby ich rozwiązania. Po upływie jakiegoś miesiąca, czy dwóch, uświadomieni żołnierze mogą awansować z sympatyków na członków partii komunistycznej — i oddają wszystkie drogi stoją przed nimi otworem.

Wydziały oświaty i kultury zajmują się ogólnym wykształceniem żołnierzy, co rzeczą łatwą nie jest dla braku dostatecznie przygotowanych nauczycieli oraz książek. Pomimo to z Petersburga nadszedł był rozkaz „zlikwidowania w ciągu dwóch miesięcy analfabetyzmu w armji“. Czy należycie spełnionym został, nie wiemy. W każdym razie komitety pracować mają gorliwie, urządzają koncerty, widowiska, wykłady, przeważnie z dziedziny nauk przyrodniczych i społecznych, wspólne lektury, popierają gimnastykę i sport. Kierownicy ich obowiązani są dwa razy na miesiąc przedstawiać sprawozdania z tego, co zrobili w trzech rubrykach: 1) lektura i wykłady 2) teatr i muzyka 3) sprawy biblioteczne.

Kształcąc i podnosząc w ten sposób sowieckiego ducha w armji, rząd pewnym jej oczywiście nie jest. Stąd ogromne znaczenie, jakie przywiązuje do ankiet „rejestracyjnych“. Posiadać chce jak najdokładniejsze informacje o każdym żołnierzu, przede wszystkim o tych, co służyli w armjach Denikina, Kołczaka, Judenicza. Żaden sędzia śledczy nie zadręcza oskarżonego pytaniami tak drobiazgowymi, jak te, któremi ankieta wypełnia przeznaczone do tego arkusze; żąda szczegółowych wiadomości o tem, co oficer robił w roku 1905, t. j. w epoce pierwszych rewolucyjnych zaburzeń, co robili wtedy i co robią obecnie wszyscy jego bliżsi krewni, gdzie każdy z nich teraz przebywa, skąd pochodzi, jakiej jest narodowości i jakiego stanu. Cokolwiek ukryć lub fałszywie przedstawić — nadzwyczaj trudno, odpowiedzi bowiem idą do „Wydziału spraw szczególnie ważnych“ (*Osobyj otdiel*), który niczem innem nie jest, jak *czerezwyczajką* przy każdej dywizji, i stamtąd wysyłane są w celu sprawdzenia do *czerezwyczajek* w miejscach, które w odpowiedziach wymienione zostały.

Więc propaganda, szeroko pomyślana i energicznie prowadzona — z jednej strony, z drugiej zaś szpiegowanie i terror w stosunku do tych, których propaganda nie przekształciła w fanatyków bolszewizmu — tak określić można politykę rządu sowieckiego w armji. Propaganda jednak wymaga pewnej wrażliwości umysłowej u tych, do których się zwraca, na to zaś trudno rachować u chłop-

stwa, z którego rekrutuje się armja. Sądzimy przeto, że procent uświadomionych ideowców jest w niej mały; większość, może nawet ogromna większość, idzie do walki pod przymusem i groźbą. Ale strach czynnikiem zwycięstwa być nie może — i dla podtrzymania ducha w zastępach swoich rząd nie znalazł środka pewniejszego, jak dobre odżywianie żołnierza. Karmi go kosztem całego narodu, który ginie z głodu. Żołnierz o tem wie; wie, że klęska i cofnięcie się jest dla niego powrotem do bezżyźnej pustyni, z której wyszedł, zwycięstwo zaś da obfity łup w bogatych i urodzajnych krajach. Dlatego z zapalem pędzi na Warszawę... I dobrze mówi Mereżkowski, że poganiał go nie Trocki, ale lepszy od niego strateg: „apokaliptyczny rycerz na czarnym koniu i z czarnym sztandarem, na którym napisane było: głód; on wiedział, że głodem zwycięży świat“.

Wobec szczupłej, jak się zdaje, ilości żołnierzy i oficerów takich, jacy potrzebni są rządowi sowieckiemu, tj. ślepych, ciałem i duszą oddanych jemu fanatyków, musiano szukać oparcia w żywiołach obcokrajowych, a pewnych. Wprawdzie na początku rewolucji, jej, jak się wyrażano, „ozdobą i chlubą“ byli marynarze. Rzeczywiście, w zacięłości i rozbestwieniu nikt się z nimi mierzyć nie mógł. Widziałem ich w Helsingforsie nazajutrz po dokonanej przez nich rzezi oficerów, strasznych twarzy tych pijanych krwią morderców nie zapomnę do śmierci... Jako inicjatorowie i sprawcy wszystkich okrucieństw spełnianych na oficerach, zniechęceni przez armje kontrrewolucyjne, nie byli brani do niewoli; walczyli z tego powodu jak lwy, do ostatniego tchu. Przy zdobyciu Carycyna wiosną 1919 roku wyróżniło, według świadectwa jen. Wrangla, cały pułk marynarzy, aż do ostatniego, około 3000 ludzi. Kto w tych walkach nie zginął, tych wytępił do reszty rząd. Dumni bowiem z krwawych czynów swoich, czuli się marynarze dobroczyńcami rewolucji i Rosji, żądali szczególnych dla siebie przywilejów, takich, jakich rząd dać im nie chciał i nie mógł. Rozwścieczeni, stali się duszą anarchistycznych przeciw niemu rozruchów, wczasie których wyłapano ich i wystrzelano wszystkich. Dziś, po tych „zbuntowanych aniołach“ rewolucji nie zostało, według zapewnień owego oficera, już śladu.

W braku swoich, zmuszona szukać obcych, sowiecka Rosja znalazła nieocenioną pomoc w Łotyszach. Ci przeszli wszyscy przez niemiecką szkołę: metodyczni, twardzi,

nieubłagani, nie dający się przekupić, względnie przyzwolici w postępowaniu i komuniści z przekonania, ogromnie się przyczynili do utrwalenia rządów sowieckich. W armji stanowią najlepsze, najmeńsze oddziały; większość wyginęła w walkach, nowych ochotników niema; wielu zato Łotyszów pozostaje dotąd na wysokich stanowiskach w rządzie i w wojsku.

Po Łotyszach dużo korzystają sowieci z Chińczyków. Z usposobienia okrutni, a zarazem obowiązkowi, niezdolni do zdrady, a w boju nieustraszeni, bo nie lękają się śmierci, „uważając ją za wybawienie od przykrości, która nazywa się życiem“, są oni pretorjanami sowieków. Z nich tworzy rząd konwoje, oddziały karne, garnizony po miastach; słowem używa ich tam, gdzie potrzebni są ludzie, o których z góry się wie, że zaufania nie zawiodą. W armji czynnej jest ich znacznie mniej.

Tak wygląda czerwona armja w przedstawieniu tych, co ją zbliżka poznali. Dotąd, gdy mówiliśmy o walkach naszych z bolszewizmem, przychodziły nam stale na myśl dawne inwazje tatarskie; porównując jedno z drugim, używaliśmy wyrazu czerwone hordy. Teraz widzimy, że nie było to tylko figurą retoryczną, jak się nam zda wało, z pomocą której wyrażaliśmy nasze oburzenie, i obrzydzenie, odpowiada to bowiem ściślej prawdzie. W czerwonej armji element europejsko-rosyjski spleta się z elementem azjatyckim, mongolsko-chińskim; tym motorem, który masy wprowadza w ruch i pędzi od spustoszonych przez wojnę i rewolucję ziem rosyjskich ku bogatszemu Zachodowi, jest głód: idea zaś, którą wodzowie usiłują sfanatyzować żołnierzy, ująć ich w karby posłuszeństwa i przykryć nią ich łupieżnicze intynkty, ma charakter religijny, bo głosi zniszczenie obcego, inowierczego świata i niesie wyznawcom swoim obietnicę nie raju tam, ale doczesnego dobrobytu i szczęścia tu, na ziemi. Prozelityzm religijny dawnych wojowników Mahometa złączył się z niszczycielstwem hord Attyli i Czyngishana. Stoimy przed nową ofensywą Azji, trzecią z tych najstraszniejszych, które szły od Uralu. Pierwszą w wieku V prowadzili Hunnowie, drugą po upływie siedmiu z górą stuleci — Tatarzy; minęło znowu siedem stuleci — i ofensywę trzecią prowadzą rewolucjoniści rosyjscy i żydowscy. Stałe pytanie, czy pod ciosami jej rozpadnie się Europa, jak się rozpadło pod „biczem Bożym“ Attyli imperjum rzymskie czy też zdołamy ją odeprzeć, jak odparliśmy Tatarów w w. XIII

2.

Przy starciu się barbarzyństwa, i to fizycznie już wyczerpanego barbarzyństwa, z cywilizacją, naturalnie cywilizacja zwyciężyć musi. To jasne i zdaje się, że do tego wniosku przychyła się Paweł Rohrbach w tym rozpaczliwym obrazie sowieckiej Rosji, który dawał na podstawie urzędowych sowieckich źródeł *).

T. z. Wielkorosja, czyli ta, co wyprodukowała bolszewizm i w nim teraz grzęźnie, nie produkowała nigdy zboża na wywóz, nawet siebie wyżywić nie mogła, karmiły ją gubernje południowe, małopruskie, które dziś nazywają Ukrainą. Teraz ma ona tego zboża jeszcze mniej. Chłopi spalili i zniszczyli dwory i pałace wiejskie, ażeby panowie do nich wrócić nie mogli, bydło zaś pojedli — i obecnie cała dawniejsza wielka własność ziemska leży odłogiem, niema inwentarza i niema ziarna do zasiewu. U siebie zaś, na swoich dawnych ucząstkach, sieją chłopi tylko na własny użytek, na chleb i na wódkę, nie na sprzedaż, bo rubli sowieckich nie uznają. — Przemysł też zamiera i robotników niema; jednych wzięto do wojska, inni puciekali na wieś przed widmem grożącej im śmierci głodowej; ale co najgorsze, niema możliwości sprowadzenia surowca, rząd jest w stanie wysłać tylko jeden pociąg miesięcznie na Ural po metale — i dwa do Turkestanu po bawełnę. Materiału kolejowego brak — i to, według słusznej uwagi Rohrbacha, stanowi zewnętrzny najważniejszy symptom wewnętrznego procesu konania bolszewickiej Rosji. Rosja posiada obecnie (t. j. w kwietniu 1920 roku) mniejwięcej 4000 lokomotyw i 100.000 wagonów, czyli piątą część tego, co posiadała przed wojną — i to wszystko w stanie najgorszym, wymagającym ciągłych reparacyj. Potwierdził to w miesiąc potem na zjeździe związków zawodowych Trocki. „Pomimo niektórych dobrych wyników naszej gospodarki — brzmiały jego słowa — położenie nasze pozostaje nadal ciężkiem, żeby nie powiedzieć, tragicznem. Nie mamy prawa ukrywać tego przed ogółem, przeciwnie, obowiązani jesteśmy całą prawdę powiedzieć. Linja naszego rozwoju gospodarczego nie podnosi się dotąd, owszem, stale opada; podstawa transportu — lokomotywy coraz mniej nadają się do użytku,

*) „Kritisches über Soviet Russland“ w „Österr Rundschau“ 1920 wrzesień.

nowych nie wyrabiamy, reparacje zaś to plaster na organizmie chorym, z góry na śmierć skazanym"... Więc „niech wiedzą robotnicy, że mają jeszcze przed sobą dwa — trzy lata niesłychanych wysileń, niesłychanych ofiar, wobec, których błedną ofiary na froncie wojennym"... „Tym nieprzyjacielem, który podkrada się, otacza, obwija się i dusi nas w uścisku swoim jest głód z nędzą, chłodem, ciemnością, epidemjami i upadkiem wszystkiego, czem się życie trzyma“.

I w objęciu tego straszego nieprzyjaciela ludność wymiera; przytoczymy tylko jeden przykład, ale przerażająco wymowny, starczący za wszystkie inne: w księgach niemieckiej parafji św. Anny w Petersburgu zapisano w ciągu 1919 roku 8000 wypadków śmierci i 11 narodzeń. W roku 1919! Dodajmy straszną klęskę głodową 1922 roku, po której z porządku rzeczy nastąpić musi straszniejsza jeszcze w roku następnym.

Jaką wobec tego może być przyszłość Rosji? Niepodobna dokładnie określić kiedy, ale niezawodnie w przyszłości bliskiej przyjść ponadto musi, według Rohrbacha, chwila, w której koleje staną. Nie będzie dowozu żywności do miast, nie będzie ani drzewa, ani węgla, ani gazu, ani światła; ani lekarstw, ani ubrań, ani obuwia; miasta przeistoczą się w ogromne trupiarnie, w których nie będzie komu wywozić trupów; cała ogromna płaszczyna od morza lodowatego aż do ujścia Wołgi wciąż będzie pustynią usianą gdzieniegdzie wioskami, pozostającymi na poziomie przedhistorycznej kultury. Komisarze zaś sowieccy z kieszeniami, pełnymi złota i brylantów, uciekną za granicę opowiadać ludziom ewangelję bolszewickiego raju. Postać rzeczy mogłaby się nieco zmienić, gdyby rządowi sowieckiemu udało się nawiązać stosunki handlowe z Europą. Zmieniła się w niespełna rok po ogłoszeniu rozprawy Rohrbacha. Bolszewizm ciągnie z Niemiec i Anglii trochę żywności, broń, wagony, ale w najlepszym razie przedłuży to tylko agonję.

Słowem, bolszewizm przekaze spadkobiercom swoim pustynię, w której ci nie będą wiedzieli, co począć, jak ją zagospodarzyć. Rosjanie lubią marzyć o jakimś jenerale na białym koniu, który przyjdzie, jako oczekiwany i witany tryumfator, i rozpędzi dzisiejszych gnębicieli Rosji, i przywróci ład wewnętrzny i potęgę na zewnątrz. Ale chociażby ów jenerał się zjawił, nie będzie miał z czego odbudowywać Rosji. Bo co, jaki materiał do odbudowy posiada

Rosja? Poniszczone koleje, spustoszone fabryki i majątki, wygłodzone miasta, resztki wytępionej inteligencji, chłopów i robotników odzwyczajonych od pracy i nie chcących do niej się wziąć, straszną nienawiść klasową, wreszcie surowce i środki do życia w tak mikroskopijnej ilości, że zakrawa to na żart, gdy się mówi o Rosji, jako o przyszłym rynku dla eksportu wyrobów przemysłu europejskiego. Rosji tej, jaka była, już niema. Przed nami leży trup — i kto zechce go ożywić, długo i daremnie mozolić się będzie, za życia owocu swoich trudów nie ujrzy.

Wszystko to prawda, Rohrbach ma słuszość, ale i Mereżkowski ma słuszość, gdy powiada, że nigdy Rosja nie była tak groźną dla Europy, jak teraz w upadku swoim; nigdy Europa tak przed nią nie drżała. Na czele bowiem Rosji stanęli ludzie straszni, w zamiarach obrzydliwi, ale z żelazną energją organizacyjną; umieją z tych resztek jej sił wydobyć materiał i broń do walki ze światem na śmierć i życie.

W końcu 1917 roku, w chwili gdy bolszewicy zagarniali władzę w Rosji, przybył tam, jako francuski *attaché* wojskowy i mąż zaufania ministra Thomas, porucznik Sadoul. Miał dostęp do Trockiego i częste z nim rozmowy: po każdej wracał pod coraz większym urokiem geniusza tego człowieka; coraz głębiej się przekonywał, że bolszewizm jedyną jest potęgą w Rosji, z którą Europa rachować się musi, i która na losach jej zaważy. W końcu sam przeszedł na wiarę bolszewicką, zerwał z Francją i dziś służy Rosji. W roku zeszłym wydał w Paryżu *Notes sur le bolchevisme*. Jest to zbiór sprawozdań, które z Petersburga wysyłał Thomas'owi. Ich myślą, raczej uczuciem przewodniem — bezgraniczne uwielbienie dla genialnej zuchwałości Trockiego i jego towarzyszy, którzy, byle celu dopiąć, nie cofnęli się przed zdeorganizowaniem całej Rosji, to zaś zrobiwszy, poczęli na nowo ze zdumiewającą umiejętnością ją organizować.

Dowodem tego — czerwona armja. Bandy z 1918 r. stały się pod ręką Trockiego w r. 1920 armją, która na przestrzeni 600 wiorst gnała przed sobą wypróbowane w boju i dotąd zawsze zwycięskie wojska polskie. Wprawdzie wstrzymano ją pod Warszawą i pobito, lecz nie rozbito; widzieliśmy próby nowej ofensywy.

Ale rzeczą ważniejszą jeszcze, niż geniusz organizacyjny, jest wiara. Tę wiarę mają wodzowie bolszewizmu i z lekkim sercem podkładają ogień pod Rosję; niech

ginie, ale iskry pożaru zapalą Europę, i spłonie ta budowa stuleci, którą oni postanowili zniszczyć. Tej wiary nie było od początku u ich przeciwników. Czytaliśmy niedawno dziennik oficera, opisujący, jak bolszewicy opanowali Taszkient. Zrazu było rzeczą łatwą ich rozbroić; była artylerja, wśród oficerów — zapał, młodzież, podchorążowie rwali się do walki. Ale na czele stał jen. Korowiczenko, człowiek uczony, paważny, szanowany, tylko bez wiary. I, co najcharakterystyczniejsze, w parze z brakiem wiary szła jednak świadomość, że zwycięstwo byłoby łatwe. Więc dla czego nie mamy zwyciężyć“, — pytał się autor starego, dzielnego, ze św. Jerzym na piersi, jen. Muchina. „Bo niema w nas woli zwycięstwa, a tamci, awanturnicy, zuchami są“ ... I nie o zwycięstwie, nie o walce myśli stary generał, ale o tem, czy lepiej w serce sobie mierzyć, czy w głowę, gdy owi awanturnicy zawładną miastem. Nazajutrz Korowiczenko już kapitulował, Muchin zaś, wierny postanowieniu, odbierał sobie życie, położywszy wprzód trupem dwóch z pośród bolszewików, co go przyszli aresztować.

A u nas? Wiara jest, dowiodła tego bitwa pod Warszawą; tylko, niestety, podłożem tej wiary w szerokich, bardzo szerokich sferach społeczeństwa — rozlały jakiś pół-bolszewizm. W jednym z dni najgroźniejszych dla Warszawy odbywał się wiec na Placu teatralnym. Jakaś postępową panna wygłaszała płomienną mowę treści następującej: „Do broni, idźmy wszyscy, wypędźmy ich! Poco do nas laza, poco wtrącają się w nieswoje sprawy; to, co oni nam narzucić chcą, sami u siebie zrobimy i lepiej, niż oni“ ... Nastrój, który taką mowę dyktował, do zwycięstwa nie prowadzi; dziś, w przystępie patriotycznego jakiegoś kaprysu, dzielnie stawić będziemy czoło nieprzyjacielowi; jutro, wobec wspólnego z nim ideału, zaprzyjaźnimy się z nim, sprzymierzymy i poddamy się jego doświadczonemu kierownictwu.

Ten sam duch zapanował na Zachodzie — im dalej od Rosji, w tem idealniejszych kształtach, dzięki niewyraźności ich, przedstawia się ruch zmierzający do urzeczywistnienia demokratycznego porządku doskonałego, bo wolnego od wszelkiej domieszki z pozostałości zniechęconego burżuazyjnego ustroju. Niema w tem nic dziwnego; w przeciągu czterech lat wojny tak systematycznie wpajano ludziom, że wojna toczoną była dla obrony sprzymierzonych „demokracji świata“ przeciw niemieckiemu militaryzmowi, iż w końcu ustaliła się nowa terminolo-

gja polityczna, w której dawne pojęcie „naród“ zastąpiono pojęciem „demokracja“ oznaczającym naród, oczyszczony z wszelkiego barbarzyństwa i średniowieczyzny, z wszelkich „przesądów“ klerykalnych, monarchicznych i innych podobnych. Uczono nas, że, co nie jest „demokracją“ to nie ma prawa do bytu, i że po złamaniu niemieckiego militarizmu zapanuje powszechny raj demokratyczny. Militarizm ten złamano, demokratyczny raj nastąpił, więc poco szczęśliwość tego raju zakłócać, poco szczęśliwe „demokracje“ Zachodu mobilizować przeciwko siostrzycy ich demokracji rosyjskiej dla tego tylko, że trochę zanadto zboczyła na lewo? Z nastrojem tym musieli się liczyć, jak widzieliśmy, w Spa mężowie stanu Europy, zwłaszcza w Anglii i we Włoszech. Dla publicystów z organu Giolitti'ego *Il Tempo* wojna Polski z bolszewizmem była synonimem zamętu, krzyżowaniem ducha czasu, kierunku dziejów; po bitwie pod Warszawą melancholicznie pisano, że bywają tryumfy bardziej szkodliwe, niż klęski“ *). Nie potrzebujemy zaś przypominać enuncjacyj premiera Anglii z lipca i pierwszej połowy sierpnia.

Niebezpieczeństwo bolszewizmu mogą dokładnie pojąć tylko narody, bezpośrednio z nim sąsiadujące. Pojęli je i objęli w całej jego grozie Węgrzy, bo przeszli sami przez cztery miesiące rządów komunistycznych. I gdy czerwona armja zbliżała się do Warszawy, gdy już w Paryżu zaczynano sobie zdawać sprawę z tego, że Warszawa twierdzą była, broniącą dostępu do Francji, naród węgierski ofiarowywał nam pomoc swoją w chwili dla nas najgroźniejszej, gdy od pomocy tej zależeć mogły losy nasze i świata. I cóż? Zaszedł fakt, nie mający chyba precedensu w historii. Silniejsi od nas i od Węgrów nie dopuścili ich do przymierza z nami i współdziałania. I nie dlatego, że chcieli upadku naszego; owszem, rozumieli, że Polska nie za siebie tylko przelewała krew, ale i za nich, aby spokojnie spać mogli na złocie swoim. Więc czemu ich *Veto* tłumaczyć? Tylko tem, że Węgry nie zostały jeszcze pasowane na „demokrację“ i że są czemś, w ich mniemaniu, pośledniejszym, tj. *narodem* tylko, w którym jeszcze żyje przywiązanie do wiary przodków, a serce jego płonie zapalem dla ich wiekopomnych czynów. I z tego powodu nie wolno im było, choćby Polska miała ginąć, przekroczyć żelaznej obręczy, w której

*) Cytujemy z „Tygodnia Polskiego“ № 24.

ich zamknięto między „demokracjami“ Czechosłowacji Jugosławji i Rumunji...

Równie jak Węgry i Polska, Niemcy w skutek położenia swego geograficznego byłyby też powołane do wstrzymywania nawały Wschodu. Gdy w październiku 1918 roku, widząc beznadziejność sytuacji strategicznej, przystępowały do reform demokratycznych w duchu paragrafów Wilsona, gdy mianowany w tym celu kanclerzem książę Max Badeński zwracał się do państw Ententy z propozycją pokoju na podstawach Wilsonowskich, pamiętamy, jak całą prasę niemiecką, wszystkie sfery społeczne ogarnęło naiwne złudzenie, że demokratyzacją można będzie ugłaskać zwycięsców, a kosztem ustępstw i ofiar na rzecz Francji i Belgji zyskać niejaką swobodę ruchów na wschodzie, a tam przed Niemcami otwierała się wielka kulturalna misja zgnielenia grożącej światu całemu bolszewickiej barbarji. I mieliśmy wrażenie, że perspektywa ta ich rzeczywiście nęciła. Wszak jeśli popierali przed tem bolszewizm rosyjski, to nie z sympatji dla niego, ale z rozpacz; i od chwili zawarcia pokoju z republiką sowiecką politykę ich cechowała wewnętrzna sprzeczność: byli sprzymierzeńcami bolszewizmu w Rosji, a bezwzględnie go tępil w okupowanych gubernjach. Patrzaliśmy na to w Mińsku. W rachubie swojej zawiedli się srodze; liczyli na jakąś pocziwą ławowierność ze strony zwycięsców, którzy im ich wszystkie grzechy wybaczą, ale zwycięscy byli twardzi. W Paryżu postanowiono na długie czasy ubezwładnić Niemcy i rachunek do zapłacenia przedstawiono im ciężki. Zawód i rozczarowanie pchnęły ich, wbrew ich woli, w objęcia bolszewizmu. Nienawiść do Francji i Polski okazała się u Niemców silniejszą, niż strach przed bolszewickimi machinacjami.

Dochodzimy do wniosków następujących; choć gospodarka bolszewicka doprowadziła Rosję do ruiny i upadek bolszewizmu rosyjskiego jest bliski, jednak rząd sowiecki umiał stworzyć armję, znacznie przymiotami wojskowemi przewyższającą dawne bandy. Armja ta trzymać się będzie, dopóki rząd będzie mógł ją żywić, zadania zaś armji i rządu ułatwia to, że państwa Ententy, wskutek trudności wewnętrznych i własnego niedołęstwa, nie są w stanie czynnie przeciw bolszewizmowi wystąpić. Słowem, sowiecka Rosja bronić się jeszcze może i nie tylko nie załamuje rąk, ale nosi się z wielkimi zaczepnemi zamiarami.

Narzędzie do ich wykonania chciałaby znaleźć w Azji.

3.

Nie polegając na własnych tylko siłach, rząd sowie-
tów szukał, jak widzieliśmy, rekrutów i policji dla siebie
w Azji, zwłaszcza w Chinach. I w dalszą patrząc przyszłość,
podniósł kwestję azjatycką, że zaś chodzi mu prze-
dewszystkiem o złamanie potęgi najpotężniejszego obecnie
mocarstwa, t. j. Anglii, więc dał pierwszeństwo tym na-
rodom muzułmańskim, które albo pod panowaniem są
Anglii, albo w sferze jej wpływów. Podburzyć je było tem
łatwiej, że mógł na nie działać bezpośrednio przez swoich
własnych poddanych wyznania muzułmańskiego.

Starania te odniosły pożądany skutek. Lord Churchill,
występując z projektem wciągnięcia Niemiec do akcji
anty bolszewickiej, otwarcie wyznawał, że Anglja zmuszona
jest do tego, „nie będąc w stanie równocześnie prowadzić
wojnę w Indjach, w małej Azji, w Egipcie, w Irlandji”-
Bolszewizm zaś, dostosowując się do ludów Azji, inną na-
łożył tam szatę: proletarjacki w Europie i zwrócony prze-
ciw klasom posiadającym, tam występuje w postaciach
militaryzmu i nacjonalizmu.

Przypuszczają, że pierwszych zawiązków bolszewicko-
muzułmańskiego przymierza szukać trzeba w Brześciu;
jakoby tam, w czasie rokowań pokojowych, Talaat bey
miał wpaść na pomysł wyzyskania bolszewików dla planów
tureckich *). W każdym razie rząd sowiecki już wkrótce
rozpoczął swoją akcję, umiejętnie korzystając z niezręcz-
ności i niesłowności polityków angielskich. Jeszcze bowiem
w maju 1916 roku zawarty został układ między Anglją
a Francją, rozgraniczający sfery wpływów obu państw na
Wschodzie; Anglja otrzymała Arabję, Palestynę, Mezo-
potamję, Francja — Syryję, Cylicję z wylotem aż do granic
Persji. Ale Francja, pochłonięta wojną, odkładała urzeczy-
wistnienie swoich syryjskich projektów na daleką metę,
Anglja zaś, ściślej mówiąc, politycy angielscy i specjaliści
do spraw wschodnich, jak pułkownik Lawrence i sir Mark
Sykes, wystąpili odrazu, chcąc zaszachować Turcję, z kon-
cepcją wielkiego Arabskiego imperjum od morza Śród-
ziemnego aż do Persji. Krzyżowało to politykę francuską,
ale — cytuje René Pinon słowa Marka Sykesa **) — „po-

*) Por. René Pinon „L'offensive de l'Asie” Revue d. d.
m. 1920, kwiecień.

**) Por. René Pinon: „La liquidation de l'empire ottoman”.
Revue d. d. m. 1919, wrzesień.

trafimy obrzydzić Syryję Francuzom, a Francję Syryjczykom“. Wyniknęło stąd naprężenie stosunków francusko - angielskich i Francja, nie popierając otwarcie, tolerowała odłamy tureckie knowania i filiturecki ruch, przez sowiecką Rosję podsycany, a przeciw anglo-arabskim zamiarom skierowany.

Podobnie, w czasie wojny, pod presją wypadków poczyniła Anglia uspakajające obietnice Egiptowi i swoim poddanym Indyjskim. Egipt miała z państwa wasalnego względem Turcji przetrworzyć w niepodległe królestwo pod swoim mającym wszystkie życzenia Egipcjan liberalnie uwzględniać protektoratem, Indie zaś otrzymać miały rozmaite autonomiczne instytucje. Ani jedno, ani drugie spełnionem nie zostało. Stąd rok 1919 był rokiem krwawym rozruchów i w Indjach i w Egipcie. W Indjach kierowali niemi przeważnie Mahometanie; krew lała się w ciągu kwietnia w Bombaju, Lahorze, Ahmedabadzie, Kalkucie i Amritarze; w końcu cały Pendżab ujęty został powstaniem, które z niesłychanem okrucieństwem stłumił osławiony generał Dyer. Co zaś do Egiptu, to sytuacja była tam już tak groźną, że Anglia, nie odważając się na terrorizm, wysłała tam w grudniu lorda Milnera w celu ułagodzenia niezadowolonych. Było to jednak, na razie przynajmniej, daremne. Obradująca w Kairze delegacja egipska z góry odrzuciła protektorat angielski, uznała siebie za jedyne uprawnione przedstawicielstwo narodu i zażądała ze strony Anglii uznania absolutnej niezależności Egiptu *)...

W maju, tegoż 1919 roku Amanullah Chan, emir Afganistanu, na wiadomość o powstaniu w Indjach, wypowiedział wojnę Anglii i wkracza do Indji. Na razie zwyciężony jest dziś najgroźniejszym dla Anglii władcą w Azji muzułmańskiej. Szczęśliwsza w niezdolnej do oporu Persji, Anglia narzuciła jej traktat, ale tryumf ten i inne, o ile będą, więcej będą pozorne, niż rzeczywiste, bo tem większe wrzenie ogarniać będzie ludy Azji i tem wdzięczniejszy grunt znajdzie propaganda panislamicka.

W lipcu 1919 roku odbywa się kongres rosyjsko-muzułmański w Moskwie, w sierpniu zaś — kongres turecko - perski w Erzerumie, na którym uchwaloną zostaje kollaboracja z bolszewizmem. Trocki zakłada w Kazaniu akademię wojenną dla oficerów muzułmańskich, a w Mo-

*) Por. P. Rohrbach: „Die Islamische Bewegung“ w *Österr. Rundschau*, 1920 maj.

skwie pod opieką „Sekcji muzułmańskiej we wschodnim departamencie komisariatu dla spraw zewnętrznych“ powstaje „Liga wyzwolenia Islamu“. Jednym z poważnych wyników jej prac jest niedawno kreowana bolszewicka republika Azerbejdżanu ze stolicą w Baku, tem wielkiem środowisku przemysłu naftowego na Kaukazie. Właśnie w Baku 8 września 1920 roku, odbył się w obecności Envera Paszy wielki kongres bolszewicki azjatycko-rosyjski, w którym brało udział 1800 członków. Republika Azerbejdżanu połączyła się węzłem unji z Turcją. W ten sposób, choć zwyciężona na wojnie, Turcja, ku tryumfowi patryjotów tureckich, zyskała drogą pokojową to, do czego orężem sięgnąć nie mogła, a co przedmiotem jej marzeń gorących było.

Pod kierownictwem i opieką Ligi Moskiewskiej działają obie jej filje: jedna w Anatolji, druga w Berlinie! „Oto wielki spisek — woła przerażony Rene Pinon — z trzema ogniskami — w Moskwie, Konstantynopolu i Berlinie“!

I wobec spisku tego, wobec czerwonej armji, wspieranej sympatjami i pomocą Azji, Europa stoi bezradna. Wszak widzieliśmy, jak zbity z tropu premier Anglii już był gotów szukać pokoju z sowiecką Rosją, kosztem Polski rozbrojonej i jej na łup oddanej. Jak gdyby w zaślepieniu swoim nie rozumiał, że takie wzmocnienie bolszewizmu mogło tylko przyspieszyć to, czego się obawiał, t. j. pochód hord czerwonych na Persję i Indje! A Francja? Ta na wszystko patrzy wyłącznie pod kątem niemieckiego niebezpieczeństwa; jej publicyści innej rady dać nie umieją, jak zacieśnienie węzłów łączących państwa Ententy, w celu mocniejszego jeszcze zgnębienia. Niemiec i niedopuszczenia ich do popierania polityki sowieckiej. Zmaganie się Polski z bolszewizmem stawało się w tych warunkach widowiskiem, któremu z łóż z swoich przypatrywali się mężowie stanu Europy; niektórzy z nich chętnie darzyli okłaskami każde powodzenie nasze — i na tem ich rola się kończyła. *La Pologne sera forte ou elle ne sera pas* — pisał Rene Pinon... „Jeśli zaś silną nie będzie — dodawał — nie będzie ani równowagi, ani pokoju w Europie, ani bezpieczeństwa dla Francji“. Ale to silne państwo polskie ma być zarazem małym państwem, ściśle zamkniętem w szczupłych etnograficznych granicach; jak jedno z drugiem pogodzić, jest to tajemnicą naszych przyjaciół i opiekunów. Dlaczego — pytał z tego powodu w „Tygodniu

Polskim" prof. Baudouin de Courtenai — wśród wszystkich państw Europy jedną tylko Polskę wyróżniono nienawistnym przywilejem (*privilegium odiosum*) bezwzględnego stosowania do niej zasady etnograficznej, dlaczego z zasadą tą nie liczą się wielkie państwa u siebie, dlaczego zapominano o niej, tworząc Czecho-Słowację, dlaczego wolno Litwie dążyć do stworzenia państwa, w którym Litwini stanowiliby znikomą mniejszość, dlaczego Polska powinna zasłaniać swą piersią dobrobyt i kulturę Zachodu, sama wpadając w coraz większą nędzę, byleby tylko kwitły jej znaczne opiekunki?"

Wszystko, co profesor powiedział o Polsce, można też odnieść do Węgier. I ta nieszczerłość Europy wobec państw, broniących ją przed bolszewizmem, ta bezradność i moralna bezsilność jest źródłem zaradności i siły bolszewizmu. Europa, to ów jenerał z Taszkientu, który z góry powiedział sobie, że bolszewików nie zwycięży — i zamiast o obronie myśleć, myśli o tem, jak lepiej sobie życie odebrać, czy w serce mierząc, czy w głowę — czy polskie „przedmurze chrześcijaństwa“ bolszewizmowi na pastwę rzucając, czy węgierskie ..

Tym starczym marazmem Europy silny, bolszewizm rosyjski, aby silniejszym jeszcze się stać, stał się rosyjsko-azjatyckim bolszewizmem „Europie grozi — mówił niedawno sir Asquith — niebezpieczeństwo gorsze, niż inwazja mongolska“. Gorsze w tem znaczeniu, że dotąd, mówiąc o inwazji mongolskiej, mieliśmy zwykle na myśli wojnę jakiejś wielkiej Japonji, w jakiejś nieokreślonej przyszłości, z państwami europejskimi i, w razie zwycięstwa, jej militarną hegemonję; dziś zaś wydaje się bliższem prawdą, że walka rasy żółtej z rasą białą nie będzie wojną Japonji z Europą, lecz raczej najściem, pod wodzą żydowskich i rosyjskich komunistów, dzikich ludów stepowych, które, jak lawina zwali się na Europę i ciężarain swoim zgniecie cywilizację ..

...Jakgdyby miała się sprawdzić jeszcze za dni naszych ponura wizja wielkiego myśliciela rosyjskiego, intuicjonisty i proroka, Włodz. Sołowjewa, że przed najściem panmongolizmu, które będzie końcem historii, panislamicke wstrząśnienia wstrząsać będą światem.

Kraków w październiku 1920 r.



I.

Zbrodnia Ryska.

1.

Obie orientacje polityczne, które się u nas w czasie wojny zaznaczyły, leżały w naturze rzeczy, były nieuniknionem następstwem rozbiorów Polski i wytworzonego przez nie położenia politycznego. Więc dla jednych, wiążących przyszłość naszą z Rosją, szczytem marzeń była Polska, zjednoczona w ręku carów i obdarzona kusem jakimś „samouprawleniem“, coś nakształt nowej, poprawionej i powiększonej edycji „Prywiślińskiego Kraju“; inni, nie wierząc w zjednoczenie, zadawali sobie Polską małą, ale niepodległą, zamkniętą w obrębie ówczesnego rosyjskiego zaboru, lecz z własnym królem, — albo też połączoną z Galicją pod berłem Habsburgów, lub z kawałkiem Litwy w jakimś związku z Ces. Niemieckim. Ale stało się to, czego nikt przewidzieć nie mógł: zawalenie się Rosji, rozpadnięcie się Austrii, klęska i upadek Niemiec. W upojeniu poczęto wierzyć w nieustający na całą dalszą przyszłość cud Opatrzności Bożej, mającej nie tylko wskrzesić Polskę w granicach 72 roku, t. j. z Litwą i Ruśią, ale dodać do tego Mazowsze Pruskie, Szląsk Górny, Szląsk Cieszyński, Spisz, Orawę... Przypominamy początek 1919 roku: Wilno było zdobyte przez bolszewików, Białoruś pod ich władzą, nieliczne i lichy uzbrojone oddziały raczej, niż wojska, z bohaterskim, lecz, jak zdawało się beznadziejnym wysiłkiem broniły Lwowa, który lada chwila mógł upaść, po Galicji Wschodniej grasowały bandy hajdamaków — a pomimo to upojenie trwało.

Organem zaś, przez który ów cud dokonywać się miał, był oczywiście w pierwszej linii rząd, powstały z woli owej wymarzonej przez poetów, przez Słowackiego i już urzeczywistnionej Polski „ludowej” — czyli, przekła, dając to z poezji na prozę „Robotnika” lub „Narodu” Polski chłopsko-robotniczej, wyzwolonej z balastu inteligencji i otwarcie na sztandarze swoim hasło *minimum* pracy a *maximum* zarobku wypisującej.

I wierny Polsce, którą reprezentował, musiał rząd pójść za duchem czasu, to znaczy za duchem bolszewizmu, żądającego używania bez pracy. E. J. Dillon w swojej książce o konferencji pokojowej trafnie a dosadnie scharakteryzował nowe, przez wojnę wychowane społeczeństwo: niema w niem czci dla tradycji, poszanowania dla władzy, uznania dla jakichkolwiek wartości moralnych, zanik ducha obywatelskiego, natomiast rozpamiętywanie namiętności i apetytów klasowych. Te zaś wszystkie cechy uwydatnić się musiały ze szczególną jaskrawością u nas, w naszym chłopsko-robotniczym i pod hypnozą sąsiedniej bolszewickiej Rosji pozostającym państwie. Zastraszony jednak bolszewizmem w tej krańcowej i krwawej postaci, jaką przybrał w Rosji, a niechętny i niezdolny do otwartej z nim walki, ugrzązł rząd w jakimś pół-bolszewizmie i puścił się na drogę eksperymentów i reform, wśród których zdobyła rekord reforma agrarna. Tem samem, jeśli nie pogrążono nas świadomie i dobrowolnie, to zatwierdzono w stanie rozprzężenia, który od nas odstrasza Europę zachodnią, uniemożliwia kredyt zagraniczny i lokatę zagranicznych kapitałów w przedsiębiorstwach polskich i powoduje katastrofalne spadanie waluty.

Otrzeźwienie jednak nastąpić musiało: nastąpiło w pewnej mierze w lipcu i sierpniu 1920 roku, gdy hordy czerwone pędziły na Warszawę. Odtąd coraz częściej, wyraźniej i odważniej dawały się słyszeć głosy pesymistów. Mam naturalnie na myśli tylko pesymistów rozumnych, takich co od początku umieli patrzeć i nie dali się omaścić blaskiem zewnętrznych powodzeń. Pamiętam spędzony wieczór w towarzystwie kilku ludzi wybitnych, dokładnie obeznanych z kwestjami polityki, administracji, finansów. Zgodnie dochodzili do wniosku, że innego ratunku dla Polski niema, jak wyrzec się wszystkich dalekołotnych marzeń swoich, wszystkich zwłaszcza aspiracji, kierujących się ku wschodnim kresom historycznej Polski, że zaś do

władania Szląskiem nas, zdaniem ich, dopuścić nie pozwała więc pozostałoby nam skurczyć się w ciasnym zakresie, nie o wiele przechodzącym granice byłej Kongresówki — i w tym ciasnym zakresie, między Warszawą a Krakowem, wszystkie siły swoje włożyć w pracę przedewszystkiem ekonomiczną, bo od tego przyszły nasz los zależy. „Rozumiem — mówił jeden z nich — jak bolesną to jest rzeczą, rozumiem tembardziej, że ród mój pochodzi z Galicji wschodniej, że tam są groby przodków moich...”. Nie rozumiał tego jednak, że nie o groby przodków chodzi nam teraz, lecz o ratowanie setek tysięcy istnień ludzkich tam, na Wschodzie!!!...

O tem najważniejszym zadaniu naszym zapomniano! Nastąpiło niepojęte dla nas, kresowców, zwięzienie serc i stępienie myśli. A przecie „na rozkaz z Warszawy — przypomniał nam teraz długoletni i zasłużony prezes Mińskiego Towarzystwa Rolniczego, Edward Woyniłłowicz*) — szła, choć beznadziejnie, w r. 1863 cała młodzież kresowa znaczyć krwią swoją dawne rubieże Rzeczypospolitej; ale wówczas trwało jeszcze w Polsce zrozumienie, że granic ojczyzny nie obroni się nad Bugiem, a tylko nad Dnieprem i Dźwiną, to też spisy skazańców Nerczyńskich mało się różniły od spisów deputacyj wywodowych“... Więc gdy w r. 1920 całe ziemiaństwo kresowe, jak jeden mąż, stanęło w ojczyściej potrzebie — wszyscy, od magnatów zaczynając, a kończąc na szlachcie zaściankowej, — kto mógł przypuścić, że po odparciu wroga „Sejm Warszawski jednogłośnie potwierdzi te same granice, przeciw którym Reytan tak głośno protestował — i że dla Polski będzie obojętnem, co się tam za nowym kordonem dzieć będzie“. Niestety, po grozie sześciu lat wojny żądza pokoju zaćmiła wzrok i myśl. Pomimo bolszewickiego najeźdu w 1920 roku nie uświadomiono sobie u nas, czem jest bolszewizm. I po katastrofie, która potem spotkała jen. Wrangla, po upadku ostatniego posterunku kultury europejskiej, spojrzano na to, nawet w konserwatywnym „Czasie“, tylko z tego stanowiska, że „dokonał się nad Rosją sąd Najwyższej Sprawiedliwości“ (Nr 273), dodając, że sam wyrok sądu jest dla nas „rzeczą dość obojętną“, albowiem rozpoczęły się pertraktacje pokojowe z sowiecką Rosją i „przy obopólnej dobrej woli“ mogą

*) E. Woyniłłowicz: „W obronie ziemiaństwa kresowego“ (*Gdydzień Polski*, 1922, № 23).

doprowadzić do pomyślnego końca! Jak gdyby mogła być mowa o dobrej woli bolszewizmu! Nie liczymy się dotąd z tym faktem, że jest on nową wiarą, wprowadzie obrzydliwą, jakiej świat dotąd nie widział, szalejącą ogniem nienawiści i niszczenia, a niezdolną do budowania, ale, jak każda wiara, żyje on tylko ekspansją i pokoju z nim niema i nie może być. Nie kryją się z tem sami kapłani nowej wiary, wyznają otwarcie, że podpisują traktaty pokojowe, nie dlatego, aby je wykonać, ale, by móc odetchnąć i nowe zebrać siły. I jeśli patryjocie Rosjani-nowi nie wolno godzić się na to, aby kraj jego był ofiarą straszliwych wiweskcyjnych doświadczeń, robionych w interesie rewolucji uniwersalnej, to również „patryjota Polak, czy Francuz, czy Anglik nie ma prawa beczynninie patrzeć na przygotowywanie akcji, przeciwko jego ojczyźnie kierowanej“.*) Koncepcja Polski skromnej, małej, mniejszej, niż jej obszar etnograficzny, i zajętej spokojną pracą nad naprawą szkód, przez wojnę i rewolucję wyrządzonych — ta koncepcja naszych pesymistów dałaby się logicznie uzasadnić i utrzymać tylko w takim razie, gdyby cudem jakimś można było tę Polskę gdzieś daleko przenieść i umieścić gdzieś między Szwecją a Norwegją, czy Hiszpanją a Portugalją. Ale cudu tego nie będzie, Polska stoi na miejscu — i bez względu na to, czy granicę jej zakreślimy Dnieprem i Berezyną, czy Wisłą — przez nią prowadzi droga na Zachód. Zdobycie Warszawy jest pierwszym etapem w pochodzie bolszewików na Paryż i od tego celu sowiecka Rosja nie odstąpi. Więc wojna z nią, choćbyśmy nie wiedzieć jak pokoju pragnęli i traktat Ryski krwią serca podpisywali, jest wojną wieczną. Wszelkie układy i rozejmy są z naszej strony tylko przyjacielską usługą, ułatwiającą Leninom i Trockim rozprawę z innymi ich wrogami i przygotowanie nowego na Polskę najazdu. Pokój zapanuje wtedy tylko, kiedy „wszechrosyjskiego kata“ Dzierżyńskiego dobrowolnie osadzimy na zamku w Warszawie, jako prezydenta republiki polskiej. Na to jednak nie zgodzą się, sądzimy, nawet nasi pół-bolszewicy. — Gdybyśmy zaś optymistycznie przypuścili, że bolszewizm, zanim zdoła znowu na nas się rzucić, rozpadnie się wskutek katastrofy, którąby spowodził albo głód, albo brak lokomotyw i środków transportowych, to

*) Por. Leona Kozłowskiego „Trzy lata bolszewizmu“ w „Tyg. skim“ 1920, Nr. 30.

i upadek ten małą byłby wygraną wobec nie dających się naprawić materialnych i moralnych spustoszeń, jako spuścizny bolszewickiej na gruncie rosyjskim, która nie pozostanie bez wpływu na Europę. Sam bowiem fakt zapadania w otchłań nędzy i zdziczenia $\frac{1}{6}$ -ej kuli ziemskiej nie może, według słusznej uwagi Leona Kozłowskiego, „nie mieć następstw fatalnych dla całej ludzkości; ta otchłań wywoła usuwanie się gruntu w krajach sąsiadujących z Rosją i spowoduje kataklizmy w całej Europie! A zatem zasada nieinterwenjowania w sprawach rosyjskich jest albo hipokryzją, albo nierozumieniem istoty i grozy tego, co się dzieje“.

To wszystko powinni byli mieć na uwadze nasi delegaci w Rydze. Powinni byli rozumieć, że w obecnych warunkach nie może być mowy o pokoju *imperialistycznym*, czy *nieimperialistycznym*, ale tylko o pokoju *filantropijnym*, ratującym od czerwonego terroru jak największą ilość jęczących w więzieniach, albo ginących z głodu i nędzy, zadreżonych strachem istot ludzkich. Więc należało żądać granic jak najdalej na wschód posuniętych, do Dniepru, do Berezyny i dalej jeszcze, żądać bez obawy, że imperializm ten zaszkodzi nam w oczach państw Ententy. Państwom tym wyraźnie wytłumaczyć należało, dlaczego to się robi. Mógł się z tego powodu gorszyć p. Hurko w Sewastopolu, ten sam Hurko, który za największy tryumf swego życia poczytuje to, że w przededniu wojny przeprowadził w Radzie. Państwa upadek i wycofanie wniosku rządowego o dopuszczeniu języka polskiego do obrad w instytucjach samorządu miejskiego w Król. Polskiem i, dzieła tego dokonawszy, wybawiwszy, w mniemaniu swoim, Rosję od nieszczęścia, publicznie, w przystępie radości uściskał się z godnym przyjacielem swoim, Stiszyńskim! Mógł również oburzać się liberalny baron Nolde, którego w Petersburgu spotykałem w salonie ks. Grzegorza Trubeckiego i który wówczas do grona współpracowników najuczciwszego pisma w Rosji, „Tygodnika Moskiewskiego“, należał, a dziś na wygnaniu swoim w Paryżu pociesza się rozpamiętywaniem wielkich niegdyś czynów Murawjewa w Wilnie. Nad popisami takich panów można było przejść do porządku, wierzymy bowiem, że w Rosji, tej, co walczy z bolszewizmem, są ludzie z rozumem i sumieniem, i że z nimi zdołamy się jeszcze porozumieć co do przyszłych granic naszych, o ile dożyjemy do upadku Sowietów.

I tą myślą, że to, co się w Rydze robiło, nie było pokojem z Rosją, ale tylko chwilowym rozejmem ze zgrają bandytów, którzy chwilowo Rosję opanowali, powinni byli kierować się delegaci nasi. Tymczasem wyobrazili sobie, że zawierają pokój, który ma czynić zadość słusznym żądaniom Polski i równocześnie być wolnym od zarzutu imperjalizmu ze strony państw Ententy. Nie dziw, że stworzyli rzecz połowiczną, nikomu dogodzić nie mogącą: Traktat, wcielający do Polski Grodno, Pińsk, Równo, jest traktatem imperjalistycznym, więc niesprawiedliwym ze stanowiska rosyjsko - angielsko - francuskiego. Z naszego zaś stanowiska jest rzeczą wprost ohydną, bo rzucił na łup bolszewizmowi i zaprzańcom — Polakom, spełniającym w nim podle funkcje katów — Dzierżyńskim, Cichockim, Heltmanom — setki tysięcy bezbronnej ludności polskiej. Oto co pisał do mnie w dniu 1 Listopada jeden z wybitnych ziemian Mińskich: „Jutro wojska nasze mają już wyjść ze Słucka i Słuczyzny, a wejdzie znowu armja Czerwona. Tragizm w tem leży, że masy drobnej zaściankowej szlachty wstępowały do wojsk naszych, dzięki zapewnieniu naszemu, gdy pytali o radę, że, jeśli chcą mieć swój kraj i bezpieczeństwo, powinni walczyć w szeregach naszych, nie obawiając się żadnych represji ze strony bolszewików, którzy już u nas gospodarzyć nigdy nie będą“.

I cóż? „Krwawa zemsta spotka ich rodziny, a sami spędzą życie na tułaczce; my zaś fałszywi doradcy zasłużyliśmy na przekleństwo tych, co nam wierzyli!..“

Ale o tem delegaci nasi nie raczyli pamiętać. I, jako dowód szlachetnej bezinteresowności, jako haracz, należny sowieckiej Rosji, oddali jej szerokie obszary ziemi, które synowie do ostatniej chwili za sprawę Polską walczyli — oddali Mińsk, wiedząc, że pastwą będzie straszliwego terroru. I to wszystko z lekkim sercem, bez żalu, bez wyrzutu sumienia, nieomal z tryumfem. Z relacji Miroslawa Obiezińskiego („Czas“ z 30 IX) dowiadujemy się, że duszą tej haniebnego zdrady wobec tych, co w Polskę wierzyli i jej życie i mienie swoje nieśli, był poseł Grabski: był nieprzejednany, bez ogródek oświadczał każdemu, kto z nim mówić chciał o tej sprawie, że kwestja białoruska jest wrzodem, którego on nie chce widzieć na ciele Polski. Chcieliśmy, czytając to, zapytać jego i jego kolegów, Dąbskiego i Barlickiego, czy, zdaniem ich, był „wrzodem na ciele Polski“ ks. biskup Łoziński, gdy za pobytu pierwszej delegacji naszej w Mińsku, w katedrze, z kazalnicy,

w obeności komisarzy sowieckich, wiedząc, że się naraża na męczeństwo, gromił ich krwawe rządy, wygłaszał niezłomną nadzieję swoją, że Mińsk polskim będzie, wzywał do wytrwania i w końcu z ludem swoim, tym nieszczęśliwym, zadrażnionym, skatowanym przez polskich zbirów bolszewizmu ludem wznosił ku Niebu hymn „Boże coś Polskę“.

Daremnie, Mińsk darowano Sowdepji. „I cóżemy na tem zyskali?—zapytuje X. biskup Łoziński w piśmie swoim „W rocznicę traktatu Ryskiego“ — linię graniczną, niezdolną obronić nas ani przed zbrojną, ani przed „pokojową“ akcją wroga i „przyjaciela-sąsiada“, nie przestającego szukać naszej zguby, ani myślącego spełnić podpisanych zobowiązań; zupełne zdanie na sowietów łaskę i niełaskę sprawy obywateli polskich, którzy pozostali na ich terytorjum, całkowitą bezradność wobec agitacji cynicznie zapowiadanej przez Lenina w Moskwie, w chwili, gdy się tego uroczyście wyrzekł Joffe w Rydze“.

Posel Grabski, według relacji p. M. Obiezińskiego, szczególnie, więcej, niż inni, „troszczył się o to, aby Mińsk jak najdalej był od linii granicznej“. Dlaczego? „Miał się bać Mińska, jako środowiska agitacji białoruskiej“. Oto jednak, co o tem i o innych białoruskich środowiskach pisze cytowany przed chwilą przeze mnie ziemianin, dodając, że nie nacjonalista, przeciwnie: szeroko znany z „krajowości“ swojej i białoruskich sympatji: „Nie uwierzysz, jak tu wszystko było na dobrej drodze, jak rozchwytywano polskie elementarze i podręczniki, jakie mnóstwo szkół otworzyliśmy, jak wójtowie i sołtysi uczyli się odezwy swoje po polsku pisać i jak po polsku się odbywały sądy pokoju i okręgowe!..“

I to wszystko wypuszczono z rąk! Delegaci bolszewicy, przygotowani do daleko idących ustępstw, do których ze swojego nie rosyjskiego, lecz międzynarodowego, rewolucyjnego stanowiska zwykli nie przywiązywać wagi, byli zdumieni niespodzianą pojednawczością polską: stworzono *bon mot*, że szli na wszystkie ustępstwa pp. Dąbskiego Barlickiego i Grabskiego. Nie mieliby jednak powodu do zdumienia, gdyby się zastanowili nad psychiką delegatów naszych w owej chwili. Wszak ci przedstawicielami byli tego oficjalnego pół-bolszewizmu, co to, niby wyrzekając się wspólności z rosyjskimi sowietami, tchórzliwie toleruje rodzimy polski bolszewizm, który występując pod nazwą „Związku zawodowych robotników rolnych“,

a pod przewodnictwem niejakiego Kwapińskiego, według informacji „Czasu“ (№ 270), otwarcie w czasie najazdu rosyjskiego stanął po jego stronie, werbował ochotników do wojsk bolszewickich, prowadził akcję przeciw wojsku polskiemu, tworzył komitety rewolucyjne, serdecznie witające najeźdźców, funkcjonariusze zaś jego „działali tak jednolicie, że wskazywało to na istnienie planu, nakreślonego z góry przez centralną ich władzę“.

I, jako przedstawiciele półbolszewizmu, delegaci nasi stawali przed bolszewizmem całym, pewnym siebie, zuchwale zaczepnym, nie znającym ani półśrodków, ani kompromisów. Stawali przeto w roli nieśmiałych, nieudolnych uczniów, którzy nie odważyli się do końca pójść drogą wskazaną przez mistrzów. Przejęci wspaniałością p. Jofego, a w poczuciu własnej marności, chcieli łaskawe względy jego pozyskać uступliwością swoją, innego środka nie znalazłszy. I dlatego w niepojętej krótkowzroczności swojej zgodzili się na warunki, które w odezwie kresowców, podpisanej przez Zdzisława Grocholskiego i x. biskupa Dubowskiego, słusznie nazwano „samobójczym aktem zrzeczenia się przez Polskę jej wpływu i znaczenia na Wschodzie“, aktem, który „w niwecz obraca wielowiekową pracę“, a polską ludność kresów skazuje na zagładę

„Roboty Ryskiej delegacji pokojowej — słowa biskupa Łozińskiego w wymienionem piśmie*) — nie wahamy się nazwać z d r a d ą s t a n u i twierdzić, że członkowie tej delegacji powinni zasiąść co rychlej na ławie oskarżonych. Tego się domaga sprawiedliwość, honor Polski i wzgląd na potrzebę obrony naszej ojczyzny przed przyszłemi ewentualnemi zamachami ludzi tego pokroju“. **)

Na zebraniu ziemian z Białej Rusi w Warszawie w dniu 24.X. 1920 roku b. poseł Roman Skirmunt w następujących słowach ocenił traktat: „W przyszłości — pan Grabski nazwany będzie ojcem irredenty białoruskiej w Polsce, obie bowiem części Białej Rusi zawsze dążyć będą do zjednoczenia się, Polska zaś posiada część mniejszą.. Ruch białoruski, którego p. St. Grabski tak się obawia, strasznym nie był, on się zwracał ku Polsce, w niej szukał oparcia, od niej chciał brać kulturę Zachodu, z nią chciał się złączyć. Teraz ruch ten stanie się narzędziem w rękę przyszłej Rosji i zwróci się ostrzem przeciw Polsce“.

*) Słowa autora przytoczyłem w skróceniu.

**) Inaczej osądzono traktat w sferach oficjalnego półbolszewizmu. P. Dąbskiego udekorowano orderem Polonia Restituta I klasy.

Więc nie mieli powodu delegacji nasi z p. Dąbskim na czele publicznie, jak nam opowiadają świadkowie, oświadczać radości swojej po dokonaniem dzieła. Czyż nie rozumieli, że to dzieło w najlepszym razie dać mogło tylko krótką i to prawdopodobnie bardzo krótką przerwę w wojnie z sowiecką Rosją. „Musimy skierować — powiedział Lenin wkrótce potem w swojej moskiewskiej mowie — wszystkie wysiłki nasze, aby zgnieść Wrangla, a potem kolej na Polskę“. Wrangla już niema, a Europa czy dopomoże nam?

2.

E. J. Dillon, stwierdzając fakt, że bolszewizm zawałił każdy kraj, przez który się przewinał, że obniżył wszystkie wartości moralne, słowem, że szedł wszędzie, jak orkan, zużywając całą energię swoją jedynie tylko na zniszczenie, dochodzi do wniosku, że jest on nie tyle doktryną polityczną i społeczną, ile raczej chorobą umysłową, specjalnie zaś w Rosji jest „szaleem epileptyków, którzy poruszają się w gromadzie paralityków.“*) Zdanie to nie on pierwszy wygłosił, na zachodzie słyszymy je często. Ale czyżby wyłącznie w jednej Rosji wojna wywołać miała ową straszną chorobę? Nie tylko w Rosji — odpowiada na to publicysta, L. Stanisławski w rosyjskiej „Swobodzie“ (Nr. 96) — „wszak gdyby ludzkość zachowała swoją normalną przedwojenną psychikę, swoją zdolność do logicznego myślenia, swoją wrażliwość, to czyżby tak reagowała na zbrodnie bolszewizmu? Czy można było przypuścić, że ta sama demokracja zachodnia, która zawsze i gwałtownie protestowała przeciwko pogromom żydowskiemu w carskiej Rosji, przeciw rzeziom Ormian w Turcji, przeciw gwałtom nad murzynami w kolonjach Afrykańskich, nie tylko nie powstanie przeciw masowemu wyćpianiu inteligencji i niszczeniu kultury rosyjskiej, ale nawet podnosić głos swój będzie w obronie bolszewickiej tyranji i mianem reakcjonistów napiętnuje tych, co przeciwko tyranji tej walczą. Czyli — zdaniem publicysty rosyjskiego — choroba, która przybrała w Rosji postać szału krwawego, objawia się w Europie, jako cichy obłęd“.

Obłędem jednak nie jest, choć ma jego pozory. W istocie swojej jest przedewszystkiem niepewnością, nie.

*) „Kónferencja pokojowa w Paryżu“ por. str. 256—260.

decyzją. Europa i jej kierownicy wobec zjawiska, które ich zniechęcało, stracili jasność myśli, zdolność orientacyjną, krótko i dosadnie mówiąc: zgłupieli. A z tego zręcznie korzystają rozmaici spryciarze. Bardzo złośliwie, lecz, niestety, trafnie zaliczył Dillon tych, co w czasie konferencji pokojowej o losach świata decydowali, do kategorii ludzi, „pragnących określić i zrobić coś, co ani pozytywne, ani negatywne, dlatego daremnie szukających wyrazu pośredniego między *tak i nie*”.

Panów tych nie interesowały ani przyczyny bolszewizmu, ani „niesformułowane idee, stanowiące jego podstawy, ani warunki, kierujące jego widocznym postępem”. Do rozprawy z bolszewizmem zabrali się wesole, „działając tu siłą wojenną, tam naciskiem ekonomicznym, od czasu do czasu drażniącą wyrozumiałością i udzielaniem rad przewodniącym jego.”*) Chwilowa pomoc wojenna mogła prędko i łatwo umożliwić konstrukcyjnym żywiołom w Rosji doprowadzenie kraju do normalnego stanu, ale wielcy augurowie konferencji, niestety, „nigdy nie pomyśleli o tem, ażeby coś zrobić w porę”.**) Więć przeoczyli także tę znakomitą sposobność, jaką mieli wiosną 1919 r. do zdobycia Petersburga: flota angielska stała koło Kronsztaedu, wojska sowieckie w części były gotowe do buntu i czekały na znak, komisarze pośpiesznie przygotowywali się do ucieczki. Na stanowczy jednak krok nie zdobyto się ani wtedy, ani później. I chyba nie omylimy się, twierdząc, że silną przeszkodą był tu wszechpotężny prezydent Wilson. Tępy ten doktryner czuł w głębi duszy pociąg do doktryny i do ludzi, którzy krzyczeli, że dążą do realizacji ideału demokratycznego w całej jego rozciągłości, szukał porozumienia z nimi, wyprawiał tajnych posłańców do Moskwy dla układów z Leninem.***)) Wiedząc o tem życzliwym, choć starannie ukrywanem usposobieniu Olimpu Ententy dla bolszewizmu, kapitałisci angielscy i amerykańscy wyjednywali sobie u rządu sowieckiego koncesje na budowy kolei i na eksploatację lasów, a to w dalszym ciągu wpływało wzmacniając na życzliwy stosunek ich rządów do rządu bolszewickiego, pomimo, że oficjalnie obie strony były z sobą w wojnie. Słowem; poza konferencją pokojową — cytuję Dillon słowa ekonomisty francuskiego Lysis’a—kryło się coś gorszego, niż się spodziewano: olbrzymia Panama polityczna.****))

*) ib. str. 236 (**) ib. str. 271.

)) ib. str. 245. *) ib. str. 109.

Wielka wojna sprowadziła na Europę to, co Wojciech Dzeduszycki nieustannie w ostatnich latach życia swego przepowiadał: panowanie Lewiatana, t. j. wielkiego międzynarodowego kapitału: „Od końca wojny — potwierdza Dzeduszyckiego Dillon, choć nigdy go nie czytał — internacjonalizm był w powietrzu; w tym kierunku szły, oczywiście, żywioły robotniczo-socjalistyczne; pragnęli go również marzyciele-pacyfiści; pragnął wielki kapitał, choć w duchu podobnym do tego, w jakim Neron pragnął, żeby Rzym miał tylko jedną głowę, wreszcie kierownicy konferencji marzyli o *pax anglo-saxonica**). Zwyciężył w końcu internacjonalizm finansistów w milczącym porozumieniu z imperjalizmem Anglii i Ameryki. „Odtąd — cytuje Dillon zdanie jednego z wybitnych polityków, którzy konferencji zbliiska się przypatrywali — świat będzie kierowany przez narody anglo-saskie, a te znowu będą rządzone przez elementy żydowskie⁴. I rzeczywiście, w czasie konferencji coraz powszechniej wśród tych, co mieli do niej dostęp, uciekało się przekonanie, że wszędzie poza interesami Anglii i Ameryki działały w ukryciu interesy judaizmu**). Jednym zaś z głównych celów żydowskiego Lewiatana było, według Amerykanina, Jerzego Herron'a, „odsunięcie kwestji rosyjskiej, takie komplikowanie i gmatwanie każdego proponowanego jej rozwiązania, ażeby w końcu uznanie władzy bolszewickiej, jako faktycznego rządu rosyjskiego, stało się jedynem możliwym rozwiązaniem.“***)

I tu, w tem miejscu, t. j. w zakresie kwestji rosyjskiej, zetknęły się i zwały ze sobą sprzeczne z pozoru interesy Rotszyldów i Trockich, wielkiego kapitału i wielkiej rewolucji. I choć Rosja dla interesu Anglii, dla jej panowania nad lądami i morzami walczyła, wybijając się ze wszystkich sił swoich, w ciągu całych lat 3-ch, wówczas, gdy prezydent Wilsnon był, jak sam o sobie się wyraził, „zbyt dumnym, by walczyć“, uznano Rosję za chore, a powolne ciało, na którym bez używania środków znieczulających można było wykonywać wszelkie operacje od amputacji do trepanacji ****).

Jaki wobec tego może być stosunek Rosjanina patrioty do Europy, do państw Ententy? Wejđźmy w jego duszę, a zrozumiemy, że może on żywić do nich jedynie

*) Ib. str. 340.

**) Ib. str. 109.

***) Ib. str. 127.

****) Ib. str. 340.

tylko uczucia bezgranicznego rozżalenia i głębokiej nienawiści. I to go rzuca w objęcia Niemiec. Głośno tego on nie mówi, nawet zaprzecza temu, gdy go o to posądzają, ale szczerem z jego strony to nie jest; zaprzecza, bo dostosowywać się musi do tych, wśród których obecnie żyje i działa. Rosja nie popełniła nigdy większego błędu politycznego, jak idąc w roku 1914, pod wpływem rozhukanego, a nacjonalistycznie i panslawistycznie nastrojonego krzykactwa, przeciw wypróbowanemu sprzymierzeńcowi, jakim były zawsze dla niej Niemcy. Teraz błąd ten ona niewątpliwie naprawić zechce.

A co Niemcy na to? Jak Rosję w objęcia Niemiec — tak Niemcy rzucono w objęcia bolszewizmu. Ale gdy pęd Rosji ku Niemcom jest naturalnem, z historii wynikającym zjawiskiem, to wszelka próba łączności między tak znakomicie zorganizowanym i miłującym ład społeczeństwem niemieckiem a nihilizmem i dezorganizacją, którą szerzy bolszewizm, uważaną być musi za gwałt zadany naturze. Mogli nie tylko rewolucjoniści, ale nawet konserwatywnie myślący Niemcy cieszyć się z najścia czerwonych hord na Polskę i na tem swoje przeciwko nam skierowane plany budować — kto wie, może na ich miejscu robilibyśmy to samo — nie mogli jednak nie wiedzieć, jak groźnym był dla nich samych bolszewizm. Widział to od początku człowiek, który w sobie wcielił wszystkie aspiracje pangermańskiej zachłanności, jen. Ludendorff. Rozumiał, że rząd niemiecki w r. 1918 ślepo szedł w nastawioną przez bolszewizm pułapkę*), ostrzegał, że obecność Joffego w Berlinie niebezpieczniejszą była dla ducha społeczeństwa i armji, niż wszelka propaganda ze strony nieprzyjacielskich państw, niż nawet blokada**). „Wszak mogliśmy — ubolewa on w pamiętnikach swoich***) — usunąć tak wewnętrznie wrogi nam rząd sowiecki, a natomiast sprzyjać innym siłom w Rosji, tym, które gotowe były wspólnie z nami iść i pracować“. Podobnie żadnych złudzeń co do niemieckich sympatji dla bolszewickiej Rosji nie ma Lenin: „Osobiście — wyraził się on w jednej z mów swoich — nie lubię Niemców; ale mogą nam być pożyteczni; ich stały opór przy wykonywaniu warunków pokojowych i potajemne intrygi podtrzymują stan niepewności w Europie, a utworzona przez to atmosfera

*) „Meine Kriegserinnerungen“ por. str. 350:

**) ib. str. 519.

***) ib. str. 529.

podatną jest dla rozwoju naszej propagandy". I nie ulega wątpliwości, że Niemcy niczego tak nie pragną, jak do-
czekania się chwili, w której runie bolszewizm, a oni
z Rosją Wranglowską, czy inną, zawrą przymierze i wy-
zyskają ją ekonomicznie i politycznie.

Na kongresie pokojowym odrazu zarysowały się
różnice między zwycięscami w stosunku do Niemiec.
Clemenceau, troszcząc się o przyszłość Francji, chciał je
powalić i podeptać tak, aby już nigdy powstać nie mogły.
Dla Lloyd George'a zaś niemożliwość zniszczenia narodu
70 milionowego, zdolnego, pracowitego i szybko się
mnożącego, była rzeczą zbyt jasną, aby mógł czegoś po-
dobnego chcieć, tembardziej, że zniszczenie Niemiec nie
leżało w interesie tych wszystkich państw i narodów, które
z Niemcami w stosunku handlowo-przemysłowym zosta-
wały. Poczęto więc godzić oba sprzeczne poglądy — i na-
turalnie bez skutku; między Francją a Niemcami wykopano
przepaść, a pomimo to nie zbliżyły się Niemcy do strony
przeciwnej. Wszakże już wówczas od ludzi, którzy w Paryżu
byli, a w sytuacji się orjentowali, słyszałem zdanie, że po-
rozumienie się angielsko-niemieckie jest rzeczą bliskiej
przyszłości, że ku temu bieg wypadków podąża. Angliji
bowiem chodziło o przetworzenie Bałtyku w jezioro angielskie
i o rozszerzenie swoich rynków zbytu na całą prze-
strzeń imperjum rosyjskiego. Do tego zaś drugiego celu
potrzebną jej jest pomoc Niemców, jako znawców Rosji
i pośredników. Nie wierząc zaś w silną Polskę i nie chcąc
jej, licząc tam również na Niemcy, jako na ten czynnik,
który w niedalekim czasie może zaprowadzić ład w Rosji.
Pamiętamy enuncjacje tej treści z ust lorda Winston
Churchilla.

I po upływie niespełna dwóch lat sprawa Szłaska
stała się pierścieniem, łączącym Anglię z Niemcami,
a uwidoczniała przeciwieństwo interesów Anglii i Francji.
Tem samem Francja, ta sama Francja; której przeważnem
dziełem było złamanie przemocy niemieckiej, i która od
zmory konkurencji niemieckiej wyratowała Anglię, została
skazana na izolację polityczną. I aby nie dać się ubiec
Anglii i jej satelicie włoskiemu, będzie musiała też prędzej
czy później stosunek swój do Niemiec zmienić. A gdyby
stać się to miało, to nie inaczej, jak naszym kosztem.*)
Słowem, zaledwie minęły dwa lata od chwili, gdy zmiażdżo-

*) Przedsnak tego dają głosne artykuły Herve'go z czerwca 1922 r.

ne Niemcy złożyły broń, a już się zanosilo na to, że zwycięskie państwa czynić będą zabiegi o pozyskanie ich przyjaźni. Stanowisko Niemiec stawalo się coraz mocniejsze, a równomiernie z tem nasze coraz słabsze. Lenin przewidywał już w 1920 r. chwilę, gdy stanie kwestja, czy na gruzach starej Europy mają być położone podwaliny dla hegemonji niemieckiej, czy dla federacji komunistycznej?

Co wobec tego mamy począć? Musielibyśmy poddać rewizji całą dotychczasową politykę naszą wobec Niemiec i gruntownie ją zmienić. Wniosek ten imperatywnie narzuca nam obecna sytuacja polityczna. Ale od wniosku do czynu droga trudna, daleka, może nawet niemożliwa. Od kilkunastu bowiem lat uparcie i namiętne wpajano i w końcu wpojono społeczeństwu naszemu, że nienawiść do Niemiec i tylko do Niemiec, powinna być naczelnym dogmatem polityki naszej i treścią duszy. Jakże więc iść przeciw uczuciu, które, choć rozdmuchane przez agitację polityczną, ma także swoje głębokie historyczne podstawy w stuleciach walk z germanizmem, a więcej jeszcze w krzywdach, doznawanych od czasu rozbiorów. Nasi politycy odpowiedzialni stanęli przed problemem niesłychanie trudnym. Gdy to piszę, przypominają mi się słowa wybitnego dyplomaty nie Polaka, wyrzeczone w rozmowie ze mną w lipcu 1920 roku: „Znam dobrze Niemcy, teraz je znowu zwiedziłem i choć udowodnić tego nie potrafię, pewien jestem i wierzę w nieomylność swego uczucia, że jeszcze lat dziesięć, a Niemcy będą potężnem państwem, jakim były przed wojną“. Oto wynik tego wytworzonego przez wojnę stanu rzeczy, na który uparcie zamykaliśmy oczy, wmówiwszy sobie, że jedynym wrogiem naszym są Niemcy, ale wróg ten wyklęty został na wszystkie wieki wieków i wykluczony z grona narodów, więc nie potrzebujemy go się obawiać, możemy nim pomiatać.

Wojnę toczono po to, aby po niej mógł zapanować wieczny pokój — twierdzenie to słyszeliśmy stale ze strony państw, które zwyciężyły. Tymczasem dziś, jako owoc not Wilsona, trudów konferencji pokojowej, mamy ukrytą wojnę wszystkich ze wszystkimi i to niemal wszędzie — w Rosji, w Anglii, na Bałkanach, na zwaliskach Austrii, w Niemczech, u nas. Syn sułtana Hedżasu, Faissal, zapytany w czasie konferencji w Paryżu, co sądzi o areopagu Europy, odpowiedział, że delegaci i rzeczoznawcy przypominają mu karawanę wielbłądów w jego kraju, ale w Arabji na czele karawany kroczy zwykle mały osiołek

„karawanę europejską prowadzi dwóch delegatów (Wilson i Lloyd George), którzy są wielkimi tej ziemi“. *) Jeszcze dobitniej wyraża się sam Dillon: „Żaby w stawie nie wiedzą, — pisze on — według przysłowia japońskiego, nic o oceanie. Nie było nic nagannego w tem, że owi „wielcy“ nie znali spraw, o których decydować mieli, ale naganna była lekkomyślność, z jaką lekceważyli następstwa tego“ **).

I dokąd nas doprowadzili? „Budzono nadzieje — zamyka Dillon swój sąd o konferencji — których nie chciano spełnić, osłabiano, jeśli nie niszczone, wiarę w traktaty publiczne, wzmocniono nieufność i nienawiść rasową na całym świecie. rozrzucono silne środki wybuchowe po wszystkich państwach kontynentu europejskiego, podniecono dzikie namiętności w Rosji, wreszcie pozostawiono jej nieszczęsny naród na pastwę niesłyszanej anarchji. Jednem słowem, zebrano szeroko rozrzucone materiały wybuchowe imperjalizmu i internacjonalizmu i, wzmocniwszy ich działanie niszczycielskie, podano je narodom świata w postaci Ligi Narodów“.

Ale krytyka słabą jest pociechą... Dostrzegamy wśród mroku czasów naszych mały, mikroskopijnie mały promyk nadziei. Niestety jednak, mówiąc o tem, opuszczamy dzisiejszy grunt polityczny, a wkraczamy w sferę filozofji. Oto zdaje się nam, że, jak niegdyś łączyły się narody chrześcijańskie w walkach przeciwko Mongołom i Turkom, tak teraz może konieczność je zmusi do wspólnych wysiłen przeciw nowej ofensywie barbarji, przeciw spiskowi uknutemu przez wielką rewolucję w sojuszu z wielkim kapitałem — zmusi do tego nawet Polskę, która czy to ze ślamazarności, czy w zbrodniczym półbolszewizmie sprzyja u siebie bolszewizmowi żywiołom otwarcie wywrotowych. Idea nacjonalistyczna w tych jej spaczeniach, co są klęską ludzkości, zejdzie wówczas z widowni. Budziła ona najdziksze namiętności i apetyty, przesyciła niemi politykę wielkich mocarstw, wywołała w końcu wielką wojnę narodów i do dziś dnia wydobywa z pod ziemi coraz to nowe narodki, które się stają nowym pierwiastkiem chaosu. Przychodzi jednak czas na to, aby idea ta ustąpiła przed chrześcijańską ideą chrześcijańskiej wszechludzkiej kultury i tej chrześcijańskiej polityki, którą

*) Dillon op., c, a III. **) ib. str. 66.

głosiły największe umysły narodu naszego, do której dziś tak wymownie nawołuje najszlachetniejszy z niemieckich myślicieli, nazywając ją jedyną realną polityką.

Kraków w listopadzie 1920 roku.





IV.

Polska a Węgry.*)

Utkwiła mi w pamięci z młodych lat moich karykatura w Berlińskim *Kladderadatsch'u*, przedstawiająca z powodu zaprzestania *Kulturkampfu* i rozpoczęcia układow z Rzymem *den Gang Bismarcks nach Canossa*. Boso, w pokutniczej koszuli, z powrozem na szyi, ciągniony przez dwóch mnichów w procesjonalnym pochodzie zakonów i instytucyj katolickich, szedł biedny Bismarck, z głową pochyloną i z wyrazem głębokiej skruchy na twarzy, złożyć u stóp tronu papieskiego akt czołobitności i poddaństwa. Obraz ten żywo mi się przypomniał, gdy w listopadzie 1921 roku nasz ówczesny minister spraw zagranicznych jechał do Pragi.

Podróż ta oznaczała przedewszystkiem wyrzeczenie się z naszej strony owych marzeń o Śląsku Cieszyńskim, które jeszcze dzień przed tem w taki zapał wprawiały naszą „Warszawkę”. Dalej, podpisując traktat z Czechami, p. Skirmunt tem samem stwierdzał, że Polska ostatecznie opuszcza Węgry, owo jedyne w Europie państwo, które miało odwagę stać na zasadach chrześcijańskich i monarchicznych, a w r. 1920 ofiarowywało nam zbrojną pomoc przeciw czerwonym hordom, z którymi jawnie solidaryzowały się wówczas Czechy. W ten sposób w Pradze dochodziła do skutku nowa manifestacja naszego półbol-szewizmu, w której, niestety, rząd miał za sobą większość społeczeństwa.

*) Artykułu tego napisanego w listopadzie 1921 roku żadne z pism polskich nie odważyło się wówczas wydrukować. Wyszedł w przekładzie węgierskim, w gazecie *Magyarsag* i dopiero we wrześniu 1922 roku w Wileńskim „Słowie”. Obszerniej sprawę stosunków polsko-węgierskich przedstawiłem w broszurze „Tragedja Węgier a polityka polska.” (Kraków, 1920).

Nie rzucam z tego powodu kamieniem na p. Skirmunta; wszystko, czy prawie wszystko, co w Pradze mówił i robił, było dyktowane z Paryża, i tak samo postąpiłby każdy z jego poprzedników. Ponieważ zaś dla ogromnej większości społeczeństwa naszego, któremu prasa nasza systematycznie wpajała i wpaja antyniemiecką sugestję, wola Francji jest prawem, wiarą, sumieniem, świętością, więc p. Skirmunt był tu wyrazicielem instynktu czy duszy narodowej polskiej w tej postaci, jaką jej dzisiejsze warunki nadały.

Musimy przeto zdać sobie sprawę z tego, czem jest wola Francji i uprzytomnić sobie istotne cele polityki francuskiej. Od roku 1870 Francja kierowała się ideą odwetu; z tego powodu szukała przymierza z Caratem; dopięła tego, związała się z Rosją — i odtąd nierozzerwalność i konieczność tego związku stały się zasadniczym dogmatem myśli politycznej francuskiej. Wskutek tego koncepcję Polski niepodległej Francja uparcie odpychała aż do ostatniej możliwości. Ale Rosja carska w końcu upadła. Wobec tego nie pozostało dla Francji innego wyjścia na wschodzie, jak oprzeć się przeciwko Niemcom na ~~Polece~~ jako tymczasowym surrogacie Rosji. Ale jest to surrogat nędzny, przynoszący Francji więcej może troski, niż korzyści, o czem w prasie francuskiej piszą często, najsilniej zaś to zaznaczał J. Bainville w swoich *„Les consequences politiques de la paix“* (1921). Że jednak innego zastępcy dawnej Rosji nie ma, więc chcąc nie chcąc Polskę w tej roli wychowywać trzeba. Popierając, dzięki temu, wszystkie dążenia i plany polskie przeciw Niemcom skierowane, Francja między Polską a Niemcami wykopała przepaść, poprzez którą żaden genjusz dyplomatyczny dziś mostu nie przerzuci. — Ale nie mniej zależy Francji na tem, aby Polska nie była przeszkodą rozrostowi przyszłej „trzeciej“ Rosji, gdy ta sięgnie ręką po ziemie przez Rosję uważane za odwiecznie rosyjskie. Dla tego to póki Litwę uważano za satellite Bolszewji, z Francji stawiano opór wszelkim naszym aspiracjom do połączenia ziemi Wileńskiej w taki lub inny sposób z Polską; politykę tę nieco zmieniono z chwilą, gdy w Paryżu przeważało zdanie, że Litwa jest pionkiem w rękę raczej niemieckim, niż rosyjskim. — W każdym razie, według koncepcji francuskiej, Polska musi być słabą od wschodu, zależną jedynie od łaski Francji. Oto dla czego zakazanem zostało przymierze z Węgrami, natomiast zaś nakazano poddanie się dy-

rektywie politycznej Czech, jako wypróbowanego postęunku Rosji na Zachodzie.

Zastanówmy się, jakie mogą być następstwa tej na daleką metę obmyślanej polityki. Mamy przeciwko sobie dobrze zasłużoną nienawiść całej antybolszewickiej Rosji bez różnicy stronnictw; z grupą Sawinkowa, jedyną, co budowała przyszłość swego kraju na porozumieniu z nami, zerwaliśmy w sposób brzydki; Węgry są za górami; Niemcy oczywiście pałają żądzą zemsty i wyczekują sposobności ku temu. Skoro więc owa trzecia Rosja powstanie i zażąda od nas zwrotu litewsko-białoruskich oraz wołyńskich terytoriów, co pocznie Polska osamotniona, osaczona, ściśnięta w żelaznej rosyjsko-czesko-niemieckiej obręczy?— Broniąc się od Niemiec, a nie mając przeciw Rosji i Czechom pomocy ze strony Francji, nie będzie miała Polska innej drogi przed sobą, jak wejść w obręb Rosji, w charakterze prowincji autonomicznej. I to w najlepszym razie; w planach polityki francuskiej nie przewidziano możliwości, że Rosja i Niemcy porozumieć się mogą w celu dokonania nowego rozbioru Polski. Słowem, zerwanie z Węgrami i podróż do Pragi były pierwszemi etapami polityki, której logicznem zakończeniem musiałoby być wyzreczenie się na rzecz Rosji niepodległego bytu państwowego.

Pisałem o tem w lipcu 1921 w „Tygodniu Polskim“ (№ 30), ale przeszło to bez echa, obaw moich nie rozumiano. Dopiero w Listopadzie „Czas“ Krakowski powołał się na moje słowa („Powrót widma“ № 2551). W tym organie ludzi, u których umiejętność myślenia politycznego jest tradycją, zrozumiano słuszność mojej diagnozy i realność niebezpieczeństwa „powrotu do Prywislinja“, jeśli za pierwszą „ofiara złożoną na ołtarzu Francji pójdą inne jeszcze“... I pomyśleć, że dla wskrzeszenia widma, któreby nas zgrozą przejmować powinno, nie cofnięto się przed czynami, które trudno delikatnym wyrazem określić. Dotyczą one sprawy powrotu króla Karola IV na Węgry.

Staął on na ziemi węgierskiej w dniu 21 października 1921 r. ażeby ponownie tron swoich przodków objąć. Nikt tam prawa do tego nie zaprzeczał pomazańcowi Bożemu ukorowanemu koroną Św. Stefana, dla której Węgry żywią cześć bez granic. Wprawdzie czyn jego miał pozory zamachu, ale na czele stał doświadczony polityk, były prezes parlamentu Rakovszky, teki zaś ministrów przy-

jeli były b. premier Friedrich oraz hr. Juljusz Andrassy, przyjaciel nasz, który uparcie słowem i piórem sprawę niepodległości Polski poruszał wówczas jeszcze, gdy nikt ani we Francji, ani w Anglii o tem nie myślał. Ich udział świadczył, że zamach miał szanse powodzenia. Nie udał się, bo stanął wpoprzek temu regent, adm. Horthy, rozporządzający całą siłą zbrojną, trudno zaś z daleka rozstrzygać, czy, to czyniąc, kierował się on samolubną żądzą władzy, czy rzeczywistą obawą przed groźnem niebezpieczeństwem, na jakie ze strony Europy mógł narażić Węgry niespodziany powrót króla. W całej bowiem masonji, we wszystkich wielkich i małych ententach powstał nieopisany popłoch.

Naszemu posłowi w Peszcie kazano wtedy też z protestem wystąpić przeciw powrotowi dynastji. Po co? Jakie mieliśmy prawo wtrącać się w wewnętrzne sprawy Węgier? Czem Habsburg na tronie węgierskim mógł nam być groźnym? Ale pójdźmy dalej. Po upadku powstania 63 r., gdy Rosja i Prusy za wspólny cel postawiły sobie zgładzić z oblicza ziemi imię Polski, a Polaków na Moskali i Prusaków przerobić, ces. Franciszek Józef podał nam rękę, obdarzył Galicję instytucjami autonomicznymi (on osobiście, nie parlament), spolszczył, wyraźniej mówiąc, wskrzesił uniwersytet Jagielloński, po nim Lwowski, dał nauce naszej, literaturze, sztuce, kulturze możność wspaniałego rozkwitu. Pomyślmy, coby się z tem wszystkiem stało, z tem, co ostoję stanowi i wyraz duchowego życia narodu, gdyby wszystko to nie znajdowało w owem strasznem dla nas 40-leciu bezpiecznego schronienia i opieki w monarchji Habsburgów? Z ust głupców słyszymy ciągle, że ces. Franciszek Józef robił to we własnym interesie; niechże wskażą nam takiego monarchę — z wyjątkiem chyba dobrych królów z bajki—któryby świadomie przeciw własnemu interesowi działał! Nie przeczę, że coś się w Galicji w ostatnich latach przed wojną popsło, ale nie cesarz był temu winien, lecz demokratyczna reforma prawa wyborczego, którą wymusił na nim potężniejszy od wszystkich monarchów duch czasu.

Wraz z utworzeniem t. z. piątej kuryi wyborczej, wypelzli w Galicji z kryjówek swoich najpodlejszego gatunku demagogdy, ci sami, co później wśród „suwerenów“ Warszawskich zasiedli. Mając, jako posłowie, zapewnioną bezkarność, postanowili rozpętać wśród ludu najniższe namiętności i apetyty, w Wiedniu zaś, z trybuny parla

mentarnej, przed rządem Wiedeńskim i Europą dyskredytować Polskę. Zaciekle swój atak wymierzili przedewszystkiem przeciw Kołu Polskiemu. Dawalo to znakomity atut do rąk wszystkim nieprzyjaciołom Polski. Koło traciło na sile, na powadze, tej wielkiej powadze, jakiej używało w państwie. Co miało począć? Poszło na układy; dla salwowania solidarności narodowej dopuściło do siebie demagogiczne żywioly, rozmaitych Stapińskich, i wraz z tem trujący pierwiastek zgnilizny morainej. Nie sądzę, aby na tem wygrało.. Słabi nigdy nie mają słuszności — i z osłabieniem Kołem, z dążeniami i interesami polskimi coraz mniej liczono się w Wiedniu. Ale, powtarzam, nie było w tem osobistej niechęci cesarza — i elementarne uczucie przyzwoitości moralnej nakazuje mieć w poszanowaniu jego pamięć i nakazuje również wobec prawowitego następcy jego, oraz przebywających w Polsce członków dynastji zachować przyjacielską życzliwość.

Niestety o tem u nas nie pomyślano; dżentelmenów w naszych sferach rządzących nie mamy. Lecz nie dość tego. Korzystając z zawieruchy wojennej węgierskiej, państwa małej Ententy zapragnęły wspólnemi siłami zorganizować zbrojną zbójcką napaść, ażeby ograbić i ostatecznie zmiażdżyć odbudowujące się Węgry. Gdy groźny brytan zaszczeka, malutki Żużu czuje się w obowiązku wtórować mu swoim piskliwem hau hau. I to hau hau usłyszeliśmy z Belgradu. Poselstwo polskie, dementując pogłoskę, iż Polska dla tego do małej Ententy nie przystępuje, że ta ostatnia ujawnia agresywne wobec Węgier zamiary, oświadczyło, że, „rząd Polski w każdym wypadku gotów jest poprzeć małą Ententę przeciwko restauracji Habsburgów i gotów jest również do niej przystąpić“. (Czas № 252). Niczego podobnego Francja jednak od nas nie żądała. Przeciwnie; nie domyślano się u nas, że Francja w skrytości sprzyjała zamiarowi króla Karola; gdy zaś zamiar się nie udał, to wraz z innemi mocarstwami postawiła *Veto* zbrodniczym porządliwościom Serbji, Rumunji i Czech. Więc czemu mamy ów krok poselstwa naszego tłumaczyć? Węgry ofiar od nas nie wymagały. „Nie żywiliśmy — czytamy w *Nemzeti Ujsag* — żadnych przesadnych nadziei wiedząc, że Polska należy do mocarstw sprzymierzonych, i że do nich w decyzjach swoich musi się stosować“. Ale w strasznej wyjątkowo tragicznej chwili, gdy naród z tak żywym uczuciem dumy i godności zmuszony był pod naciśkiem tryumfujących w państwach i wielkiej i małej

Ententy żywiołów destrukcyjnych, detronizować własnego króla, gdy tem samem własną ręką zadawał cios idei monarchicznej, stanowiącej jeden z zasadniczych pierwiastków w jego uczuciu patriotycznym i czyniącej z niego ostatnią na świecie ostoję ładu na poszanowaniu tradycji opartego — w takiej chwili naród ten spodziewał się jakiegoś dobrego słowa z Warszawy. „Bywają sytuacje — czytamy dalej w wymienionej gazecie — w których i dobre słowo liczy się za czyn“. I tak łatwo było słowo to wyrzec! Chodziło o to, czy Węgry mają nadal istnieć, czy nie. Za istnieniem Węgier oświadczyły się państwa wielkiej Ententy. Więc rachowano na Węgrzech, że do tej akcji przyłączy się Polska, że wtedy właśnie swoje dobre słowo wypowie. „Tego jednak — z goryczą stwierdza *Nemzeti Ujsag* — rząd Warszawski nie zrobił“, zrobił zato coś więcej, „zawiadomił Czechy i Serbję, że ich zamiary moralnie popiera“, dał swoje *placet* na okrutne podeptanie narodu węgierskiego i na uśmiercenie państwa.

Powtarzam raz jeszcze, że tego hańbiącego czynu, tego poniżania siebie Francja od nas żądać nie mogła, ponieważ sama inną drogą szła i do rozbójniczej wyprawy nie dopuściła. Poniżyć siebie dla osiągnięcia jakiegoś realnego celu jest rzeczą, delikatnie mówiąc, nieładną. lecz poniżyć siebie bez celu, ot tak, dla sportu, jest rzeczą nietylko nieładną, ale i niemądrą....

CZĘŚĆ CZWARTA.

**NA ZWALISKACH
PRZESZŁOŚCI**



I.

Trzy światy^{*)}

Europa, Rosja, Azja.

1.

Przed dwoma laty jeden z przyjaciół moich, człowiek z umysłem niepospolicie bystrym, mówił mi po powrocie swoim z Paryża, gdzie miał sposobność bardzo zbliżoną przypatrzeć się obradom Kongresu, że Anglja, po zakończeniu tak szczęśliwie przez nią urządzonej oblawy na Niemcy, przygotowuje nową wielką oblawę, tym razem przeciw Ameryce.

Stało się jednak inaczej. W Waszyngtonie zawarty został między Anglją, Ameryką, Francją i Japonją układ, który w istocie swojej jest „przyjacielskim” zaszachowaniem „przyjaciółki” Japonji przez tamte trzy potencje. Wnosimy stąd, że mało nam tu znane objawy budzenia się Wschodu czy to w Egipcie, czy w Indjach, czy w innych posiadłościach angielskich przybrały jakieś zatrważające rozmiary. Wprawdzie, z pozoru sądząc, wojna urzeczywistniła najdalej idące aspiracje angielskie na Wschodzie, dając Anglji protektorat nad Egiptem, Arabją, Syrją, Mezopotamją, Persją i otwierając tem samem lądowe połączenie Egiptu z Indjami. Nie dość tego, dzięki wojnie, spełniło się to nawet, co imperjalizm wielkobrytański wykasować musiał nie tylko ze sfery dążeń, ale i marzeń swoich, mając cara, jako sprzymierzeńca. Upadła bowiem carska Rosja—ta jedyna groźna jego rywalka w Azji—zostawiając próżnię po sobie—i Wschód znalazł się w ręku Anglji. Ale tryumf pociągnął za sobą to niebezpieczeństwo, że Anglja staje się odtąd, według trafnych uwag

*) Odczyt wygłoszony w Wilnie i w Warszawie w lutym 1922 r.

p: Wacława Lednickiego *) „coraz bardziej wschodniem i muzułmańskim mocarstwem bezpośrednio zainteresowanym w ruchach i falowaniach niespokojnej Azji“, Azja zaś ma jednego tylko wroga, gdyż drugi, opanowany przez bolszewizm, z wroga przeistoczył się w sojusznika,— I już w r. 1919 rząd angielski po niepomysłnej wojnie z Afganistanem musiał uznać całkowitą jego niepodległość. Ale najgroźniejszą w tem wszystkim jest sympatja, z jaką każdy z podległych brytańskiemu imperjum, a budzących się ludów Azji zwraca wzrok swój ku Japonji — i właśnie to przekonać musiało trzeźwych kierowników polityki Londyńskiej, że tak zwane niebezpieczeństwo żółte jest w chwili obecnej najbezpośrednijszem i najgroźniejszym, a zażegnanie jego — sprawą najpilniejszą.

Więc nie z Japonją przeciw Ameryce, lecz, odwrotnie, z Ameryką przeciw Japonji postanowiła Anglja iść, mając za sobą Francję w rezerwie. Decyzja ta kosztować ją musiała dużo, była ciężką ofiarą dla dumy narodowej, zmuszając do zrezygnowania z tego, co w ciągu stuleci stanowiło zasadniczy dogmat polityki angielskiej — z niepodzielnego panowania na morzach. „Hegemonja angielską — pisał z tego powodu Stefan Lausanne w *Matin* — skończyła się 12 listopada 1921 roku po mo- wie, w której amerykański sekretarz stanu, Hughes, proklamował równość sił morskich Ameryki i Anglji“. Aż do dnia tego Anglja była absolutną panią nad wszystkimi morzami świata, odtąd panowanie to ma dzielić z Ameryką. Zmiażdżyła współzawodniczące z nią na rynkach światowych. Niemcy, wycieńczyła aż do ostateczności swoich sprzymierzeńców z Europy, którzy jej w złamaniu imperjalizmu niemieckiego dopomogli, tem samem doszła do zenitu potęgi, lecz wraz z tą chwilą sama poczęła staczać się w dół, ciągnąc za sobą w upadaniu swoim inne narody i państwa europejskie.

Bo czemuż jest Europa? malutkim półwyspem, do- czepionym do ogromnego azjatyckiego lądu. Ale mieszkańcy półwyspu byli rasą przedsiębiorczą i silną; zawaładnęli światem. Lecz dążąc, każdy na swój sposób, do wyłącznej przewagi, poczęli się gryźć między sobą, aż się zagryźli do śmierci, jak owe dwa wilki z bajki, z których pozostały same tylko ogony.

*) Wacł. Lednicki „Ostatnie układy republiki sowieckiej“ (Warszawa 1921),

Amerykanin, Pierrepont Noyes, porównał w głośnej książce swojej Europę z samochodem, toczącym się po stromej pochyłości, któremu hamulce odmówiły posłuszeństwa. Co się z nim stanie, czy się rozbije, czy zwali do rowu, nie wiemy; jedno jest pewne, że nie uniknie katastrofy. Niewypłacalność finansowa, marazm gospodarczy, bezrobocie, głód, nędza, demoralizacja u góry i u dołu—wszystkie te czynniki rozstroju i zagłady wyniszczają organizm Europy — i przyszłość jej cała zawisa od łaski Ameryki. Ameryka posiadała połowę złota z całego świata i ma lwią część surowców; bez jej pomocy Europa skazaną jest na wyjałowienie i śmierć.

I moglibyśmy bez troski myśleć o jutrze, całkowicie, w uznaniu własnej niemocy, zaufawszy Ameryce, gdyby kwestja wszechświatowej hegemonji amerykańskiej nie łączyła się z faktem, że pożar rewolucyjny objął i zniszczył Rosję i że stamtąd grozi Europie. Czy rewolucja—pytamy — nie toruje drogi nowemu najazdowi od wschodu, czy ona to nie jest owem narzędziem, które Japonja umiejętnie wyzyska w celu pokrzyżowania zamiarów swoich współzawodników i wrogów?

Rewolucję rosyjską porównują nieraz z francuską; porównanie to trafnem nie jest. Przedewszystkiem rewolucja francuska była tylko francuską; następnie miała do zwalczenia potężną ligę mocarstw, która natychmiast przeciwko niej się zorganizowała, po trzecie terroryzm jej wywołał silny opór wewnętrzny: wreszcie znalazł się wielki człowiek, który jej dziką żywiołowość umiał poskromić, a z wrogami Francji zwycięsko się rozprawił. W przeciwnieństwie do tego rewolucja rosyjska była wynikiem wielkiego znużenia wojną, które ogarnęło całą Europę, w pierwszym zaś rzędzie i najdotkliwiej Rosję i jej armję. Skorzystały z tego wywrotowe żywioły, a ze zdumiewającą zręcznością pokierował nimi sam swoim odwiecznym mesjańskim snem o potędze kierowany judaizm. Przeciw tej „organizacji destrukcyjnych pożądlwości i namiętności“, jaką jest bolszewizm, nikt w wyczerpanym tyloletniem wysiłkami i niepowodzeniami narodzie rosyjskim stawieć czoła nie umiał, Europa zaś wobec zuchwałej bolszewickiej ofensywy wyraźnego stanowiska zająć nie chciała. I tą słabością Europy silna, rewolucja rosyjska—świadomie, czy nie — służy zamiarom budzącej się Azji.

W roku zeszłym wybitny wojskowy węgierski, rozwijając w rozmowie ze mną popularną w kołach przyjaciół

swoich politycznych tezę: *Węgry—Polska—Niemcy*, dobitnie wyraził myśl swoją w następujących słowach: „Plemię germańskie stwarzało kulturę, Polacy i Węgrzy ochraniali ją przed dziczą Wschodu: niechże to wskazanie przeszłości służy za pochodnię czasom naszym“. Można się spierać z owym Węgrem co do możliwości urzeczywistnienia jego myśli, ale kwestję postawił on jasno, a łącząc pojęcie Europy i kultury europejskiej z wyznawstwem chrześcijaństwa zachodniego, dał wyraz pogładowi szeroko na Zachodzie rozpowszechnionemu. Ale czy wolno zapominać o wielkich ojcach Kościoła, których dało chrześcijaństwo wschodnie, i czy wolno ów wysoko kulturalny świat bizantyński, w którym się ono kształciło, poza kulturą stawiać? Jakże wreszcie zamykać oczy na to, że Rosja, ta spadkobierczyni duchowej spuścizny po Bizancjum, choć nie należy do Zachodu w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz nie jest też Wschodem, a stanowi przejście od jednego świata do drugiego, zarówno zewnątrznie pod względem geograficznym, jak i wewnątrznie w swoich właściwościach psychicznych.

Nieraz z tego powodu mówiono o ciężącym na Rosji posłannictwie pośredniczenia między Wschodem a Zachodem. Ale posłannictwa takie mają swój właściwy zakres tylko w dziedzinach literatury i filozofji: n. p. cała twórczość Lwa Tołstoja była syntezą Europy z Azją, była chrześcijaństwem na głębokim, choć nieświadomym, buddyjskim podkładzie. Przenosić jednak pośrednictwo duchowe, literacko-filozoficzne do sfery polityki, jest nonsensem, i instykt polityczny niezmiennie mówił Rosji, jej monarchom, jej dyplomatom i generałom, jej publicystom i myślicielom, że jedyną drogą do spełnienia wyznaczonej misji były zdobywcze wojny tak ze Wschodem, jak z Zachodem i, stosownie do okoliczności, zwracała Rosja swoje aspiracje zaborcze to ku Europie, to w stronę Azji. W Europie nie zdawano jednak sobie sprawy z płynącego stąd niebezpieczeństwa. Na dnie antyrosyjskich nastrojów we Francji w połowie wieku zeszłego, leżały sympatje do Polski, głosy zaś Anglika, Urquarda, który pracę całego życia poświęcił walce z Rosją, i Niemca, Konstantyna Frantza, który wierzył w możliwość porozumienia, nawet unji Prus z Polską i nawoływał Prusy i Niemcy w r. 1863 do oświadczenia się po stronie powstania polskiego i do wypowiedzenia wojny caratowi — głosy takie przechodziły niepostrzeżone.

„Dwa Rzymy upadły, trzeci stoi, a czwartego nie będzie”—w ten sposób na schyłku wieku XV mało znany mnich Filoteusz lapidarnie formułował ideę uniwersalnej monarchii, która tylko błąkać się mogła, jako przelotne marzenie, po głowach władców rozpadającego się „drugiego Rzymu”, ale stała się wyraźnym celem polityki moskiewskiej, wraz z chwilą gdy Iwan III przez małżeństwo swoje związał się z rodem Paleologów i poczuł się prawowitym następcą ostatniego panującego Paleologa, cesarza Konstantyna XI.

Marzenie o światowładnym „trzecim Rzymie”, świecąc odtąd caratowi i, wraz z caratem, kierowniczym warstwom narodu rosyjskiego, przybierało rozmaite postacie; przeważał w niem to religijny, to plemienny pierwiastek, obydwa zaś zlewały się ze sobą w nauce Chomiakowa i słowianofilów Moskiewskich, którzy koło połowy wieku zeszłego budowali na podstawie niemieckiej filozofii Hegla rosyjski narodowy mesjanizm.

Ale mesjaniczna wiara w opatrnościowe posłannictwo Rosji, w umiłowany przez Boga i wybrany naród rosyjski źle się godziła z nastrojami, wywoływanymi przez filozofję pozytywną, która w epoce koło roku 1870 zagarniała rząd dusz i umysłów w całej Europie. I wtedy przyrodnik Danilewski spróbował przyodziać poglądy i marzenia Chomiakowa i jego następców w nową szatę—teorii kulturowo historycznych typów, według której Rosja przedstawiała typ przyszłości, mającej zastąpić zestarzałe butwiejące formy typu romano-germańskiego. Lecz książka Danilewskiego, nosząca tytuł „Rosja i Europa”, wyszła w r. 1870, w chwili gdy w społeczeństwie rosyjskiem wszechwładnie panował krańcowo rewolucyjny radykalizm, też na pozytywizmie filozoficznym oparty, — nie zrobiła przeto wrażenia, wydobyl ją z kurzu zapomnienia dopiero w kilkanaście lat potem Mikołaj Strachow — i dopiero wtedy stała się na czas jakiś kodeksem patryotyzmu państwowego.

Danilewski nie sięgał jeszcze marzeniem po za Konstantynopol i w ogóle współcześni jemu patryjoci rosyjscy obojętnie i lekceważąco patrzali na stopniowe posuwanie się zaborczości państwowej ku dalekiemu Wschodowi. Ale gdy Strachow dzieło Danilewskiego w powtórnym wydaniu puszczał w świat, Rosja już była pod hypnozą szerokich azjatyckich horyzontów: wkrótce potem, w r. 1892 słynny sławista prof. Łamanskij występował z uzupełnieniem teorii Danilewskiego, nie wymieniając zresztą ani

teorii samej, ani jej twórcy, W rozprawie swojej o trzech światach, czy częściach azjatycko-europejskiego ładu *) dodawał on do właściwości rasowych i tradycji historycznych, zapewniających Rosji przodownictwo polityczne w bliskiej przyszłości, uchwytnejsze i przeto realniejsze warunki geograficzne i stąd wskazania swoje wyprowadzał.

Geograficzny, jeśli tak wyrazić się można, realizm Łamańskiego zmuszał go do wyrzeczenia się tej pretensji do hegemonii wszechświatowej, która cechowała jego poprzedników. Mapa kuli ziemskiej nauczała go, że między Europą a Azją Rosja stanowi świat trzeci, odrębny, przejściowy, łączący w sobie właściwości tamtych dwóch światów, dalej, on jeden z pierwszych robił to spostrzeżenie, że Europa jest czemś tak małym, iż nie może być mowy o tem, aby na długo zachować mogła to dominujące znaczenie w polityce i kulturze, jakie posiada dotychczas. Wpływało z tego, że Rosja, zajmując większą część tego, co Europą nazywają, i prawie 1/3 Azji, byłaby powołaną do stworzenia uniwersalnego państwa, trzeciego Rzymu, nierównie rozleglejszego, niż tamte dwa, ale przeciw logice tego wniosku świadczył fakt, iż rasa anglo-saksońska rozsiała się po wszystkich częściach świata, wszędzie ma swoje kolonie i już zagarnęła najpiękniejszą część Azji. Więc albo zmusić współzawodniczkę do ustąpienia, albo wejść z nią w układy i Łamanski skłaniał się ku pokojowemu załatwieniu antagonizmów, bo zaprawdę było czem się dzielić.

W Europie, w imię stanowiącej dziejowe zadanie Rosji, opieki nad prawosławiem i nad Słowiańszczyzną, choćby nie prawosławną, czyli jak wyrażał się Łamanski, nad greko-słowiańskim światem, powinno było państwo carów posunąć granice swoje ku zachodowi aż do Gdańska i Tryestu, czyli władzę swoją rozciągnąć nad Prusami Wschodniemi, nad częścią Prus Zachodnich, nad Szląskiem, nad całą prawie monarchją Habsburgów i nad całym półwyspem Bałkańskim wraz z Konstantynopolem. Oczywiście dążenia te nie dawały się urzeczywistnić inaczej, jak drogą krwawych wojen. Ale za to wdzięczne, łatwe pole miała Rosja przed sobą w Azji. Azja w oczach Łamańskiego była uosobieniem starczej zgrzybiałości, wędrym i nie dającym się odrodzić światem zwalisk. Wprawdzie coś tam słyszano o młodych jakichś Japończy-

*) „Tri mira Azijsko-Jewropejskawo matierika“ (Petersb. 1892).

kach, Chińczykach, Persach i Turkach, uczących się w Europie, usiłujących zbliżyć się do niej i przyjąć jej cywilizację, lecz w najlepszym razie mogło to tylko uczynić poddanie się tych narodów Europie łatwiejszem, mniej bolesnem. Kilka pokoleń przejdzie, rozumował, Łamanskij, zapewne sądząc według wzoru i przykładu Rosji od czasów Piotra Wielkiego, zanim owi wycywilizowani Azjaci zdołają u siebie zorganizować dostateczną ilość szkół: potem znowu miną dziesiątki lat, zanim młodzież, która owe szkoły ukończy, stworzy reformatorską i rewolucyjną literaturę, a ileż to czasu trzeba będzie później, ażeby zaszczerplone przez literaturę idee przeszły do życia i stały się czynnikami postępu!

Słowem, dzieje cywilizowania się Azji rozkładał autor na dwa przynajmniej stulecia, ale — dodawał — prawdopodobnie przed zakończeniem tego okresu Azja już osaczoną będzie przez Rosję, Anglję, Amerykę i zmuszoną we wszystkich sferach życia — w handlu i przemyśle, w nauce i sztuce — do pokornej i beznadziejnej bierności i zależności.

Tak pisał Łamanskij w r. 1892. Minęło lat 8 i w jakże inny ton uderzał książę E. Uchtomskij,*) ten sam przedmiot poruszając. Przedewszystkiem Azja była dla niego antytezą zachodnio-europejskiego materializmu. Azja jest kolebką religij świata: „dusza jej przebywa na bezcielesnych wyżynach modlitwy; poznając zaś tę duszę, wgłębiając się w nią, Rosja, choć pod względem mowy i wiary słowiańska, ale co do pochodzenia niejednolita i zmieszana z różnorodnemi pierwiastkami, zaczyna już przeczuwać, a wkrótce z całą świadomością uczuje, że jest odnowionym Wschodem“. I dla tego nie wolno mówić, że Rosja zdobywała, czy zdobywa Wschód, gdyż „wszystkie te różnojęzyczne ludy, wsiąkające w głąb naszą, są nam braćmi z krwi, z tradycji, z poglądów, a my tylko w bliższy i ściślejszy związek wchodzimy z tem, co zawsze było naszym“... więc „przyjdzie chwila i ocknie się ze snu Wschód, rozbudzony i rozdrażniony przez zdziczałe żywioły depczącej go rasy białej“... „Zadrży wtedy Europa, nie pomogą ani groźby, ani gwałty, ani przypadkowe zwycięstwa“... Spór odwieczny między nią i Azją rozsądzi Rosja, „rozsądzi zaś na korzyść Azji, bo innego sądu być nie może gdy sędzia jest bratem pokrzywdzonego“.

*) Por. M. Zdziechowski „U opoki mesjanizmu“ (Lwów 1912) str. 81 — 90.

2.

W ostatnich latach zeszłego stulecia, gdy Łamanskij realistycznie zagarniał ciało Azji, Uchtomskij zaś mistycznie zespalał jej duszę z duszą Rosji, Rosja stała u apogeum nie potęgi swojej — bo tej, jak dziś widzimy, nie było — lecz jej pozorów. Po niby to liberalnych rządach Aleksandra II, którym przypisywano rozpętanie żywiołów rewolucyjnych, nastąpiła stanowcza, gwałtowna reakcja. Aleksander III mocno, całą siłą uchwycił i trzymał sztandar prawosławia i *samodierżawja*, który się chwiał w ręku jego ojca — i z pomocą doradców swoich umiał nowy car hasłem starym nadać jakiś specyficznie narodowy, *mużycki* charakter. Nie był już, jak przodkowie jego, Niemcem na tronie rosyjskim, dostosowującym się do ducha rosyjskiego narodu, ale był, a raczej wydawał się Rosjaninem z krwi i kości, nawet, mówiąc jeszcze ściślej, typowym chłopem wielkorusem, chłopem z powierzchowności, z upodobań, z przyzwyczajęń. Dzięki temu nacjonalistyczna polityka, którą zainicjował, nie miała cech Mikołajowskiego, narzucanego z góry oficjalnego nacjonalizmu, lecz, zdawało się, szła z głębi duszy narodu, która się wciela w duszę cara. I właśnie to stanowiło ów pozór niezmożonej potęgi caratu. Car wybierać mógł między Francją, czołgającą się u jego stóp, a Niemcami, które powołać się mogły na stulecie wiernej przyjaźni, przypieczętowanej rozbiorami Polski. I w dumnym przeświadczeniu o prymacie swoim wśród wszystkich monarchów i panów świata car Aleksander III, umiejac dumnie o nich zapominać, wznosił swój słynny toast na cześć swego „jedyne go przyjaciela“, księcia czarnogórskiego. Było to kulminacyjnym punktem wyniesienia Rosji ponad wszystkie mocarstwa Europy, jak gdyby już się zbliżała chwila, w której hufce białego Cara zajmować będą i Konstatynopol i Pekin. Jakże ciężko — kto owe czasy pamięta—było wówczas Polakowi w Petersburgu wobec satrapów, mniemających, że mogą rozkazywać światu, i wobec społeczeństwa, przejętego pogardą bez granic względem wszystkiego, co nie było rosyjskie i prawosławne...

Powodzenie polityczne upajało i odurzało ludzi płytkich, krzycząca jednak dysproporcja między małością moralną rządu, społeczeństwa, narodu, a ogromem uroszczeń napełniała niepokojem umysły głębsze i szlachetne. Do tych należał wielki myśliciel, wizjonista, duchem pro-

roczym obdarzony, Włodzimierz Sołowjew. Widział on, jak dzika polityka rządu, bezwzględnie rusyfikująca podległe państwu narodowości, w stosunku zaś do swoich, do Rosjan, z taką samą bezwzględnością depcząca tę potrzebę wolności, która nieodstępnie rozwojowi kultury towarzyszy, demoralizowała i tych, co ją uprawiali, i tych, co od niej cierpieli. Widział on, jak prąd rewolucyjny, choć przycichł, choć prowodyrów jego wyłapano i wytępiono, w ukryciu nurtował nie tylko polityczne, ale i moralne podwaliny narodu. Myśli swoje, programy i hasła prąd ten brał z Zachodu, lecz czemuże był w moralnej istocie swojej ów Zachód? „Już od wieku XVIII — odpowiadał na to Sołowjew — coraz wyraźniej wychodzi na jaw historyczna jednostronność Europy zachodniej. Jej czynny i przedsiębiorczy charakter staje się coraz bardziej powierzchownym i zewnętrznym, heroiczny pęd do czynów wielkich przeistacza się w nerwową jakąś ruchliwość, afirmacja indywidualności człowieka z jej nieskończonymi dążeniami i prawami przechodzi w negowanie wszystkiego tego, co jest wyższe, niż człowiek. Humanizm, który w wieku XVIII rozrastał się kosztem rzetelnej pobożności, ustąpił miejsca naturalizmowi — i oderwany od Boga człowiek, zatraciwszy świadomość swoich wyższych przeznaczeń, wpadł pod jarzmo wszystkich marności świata“... Znalazł się w niewoli „postępu“, który w nawskroś materialistycznej postaci, nadanej mu przez ów gatunek ludzi, co się mieni cywilizowanym, niedość, że stał się, jak to znakomicie wykazuje nam dziś włoski historyk G. Ferrero, synonimem gromadzenia bogactw i używania życia, ale przybrał znamiona wyznawstwa religijnego, zapalił fanatyzmem namiętności — i w wyniku doprowadził do podziału ludzkości na dwie kategorie: gromadzących i używających szczęśliwców i zazdroszczących im nędzarzy.

I wiedział Sołowjew, że przynoszona z Zachodu religja postępu na gruncie rysijskim wybucha szałem i wytwarza opętańców. Wszak ów wielki pisarz rosyjski, który począł pierwszy w połowie wieku zeszłego głosić odrodzenie świata przez rewolucję rosyjską, *Aleksander Hercen*, budował wiarę swoją w Rosję na tem, że stoi ona poza tradycją dziejową Europy, że nic jej z przeszłością narodów europejskich nie wiąże, że, dzięki temu, Rosjanin jest najniezawisłym człowiekiem na świecie i przeto w realizowaniu ideałów, przez religję postępu wskazanych, nie wejdzie on, jak rewolucjonista z Europy, w kompromisy

z rzeczywistością, lecz pójdzie do celu prosto i dla tego osiągnie ten swój cel w całej jego rozciągłości.

Ale iść prosto do celu, to znaczy niszczyć wszystko, co wpoprzek drogi staje, wszystko, co przeszłość uświęciła — i w nihilizmie zniszczenia uśmiercać ten sam ideał, w imię którego szło się do walki. Rewolucja miała być tryumfem życia, a przekształca się w tryumf śmierci. Sołowjew był myślicielem wizjonistą i przyszłe zniszczenie, dokonane przez Rosję na samej sobie, nie było dla niego tylko wnioskiem myśli: on to oglądał w konkretnych, żywych, proroczych obrazach, on widział Rosję taką, jaką my ją dziś widzimy; widzenia nawiedzały go niespodzianie, wśród rozmów z przyjaciółmi; nieskończony ból malował się na jego twarzy, łzy płynęły, obecni milkli, jak gdyby apokaliptyczny Anioł przeznaczeń przeleciał nad zgromadzonymi...

Równocześnie z Sołowjewem żył i działał myśliciel mniejszej od niego miary, lecz pisarz znakomity, z umysłem wyjątkowo oryginalnym, Konstanty Leontjew. Spustoszenia, pod hasłem postępu dokonywane, wprawiały go w niemniejsze, niż Sołowjewa, przerażenie. Tylko inaczej, z innej strony spojrzał na nie. Jeśli panująca nad cywilizacją europejską religia postępu jest, jak twierdzi Ferrero, kultem cielca złotego i wywołuje zatrutą pocztą miary w pogoni za bogactwem, to kult ten, ta pogoni nie są przeciw istotną własnością postępu, są jednym, może najbardziej uderzającym z jego następstw. Postęp w istocie swojej jest dążeniem do wolności i równości i prowadzi za sobą demokratyzację. I choć z walki o zwycięstwo demokratycznych apetytów tylko krok do przewrotów rewolucyjnych ze wszystkimi ich okropnościami, Leontjew rzucił się z całą namiętnością nienawiści nie na rewolucję, lecz na rewolucyjne antydotum, za jakie podają nacjonalizm. Nacjonalizm bowiem, jednocząc cząstki narodu czy plemienia, które żyły przed tem każda właściwem, odrębnem życiem, ma charakter niwelujący; każdemu zaś zjednoczonemu narodowi przyświeca, jako wzór doskonałości, „stworzona przez rewolucję liberalno-egalitarna Francja, pracująca nad zniesieniem u siebie wszystkich klasowych, prowincjonalnych i nawet indywidualnych w każdym Francuzie odcieni“. *) I w dążeniu do wzoru wszystkie narody Europy upodabniają się wzajemnie. Widzimy to na przykładzie

*) K. Leontjew „Nacjonalnaja politika, kak orudje wsiemirnoj rewoluciji“. (Moskwa 1889).

narodków, które w oczach naszych powstawały. Żaden z nich, nawet Grecy, na których tyle liczono, nie wykazał żadnej twórczości: „po za pobożnem naśladowaniem postępowo-demokratycznej Europy, żaden niczego swojego nie wymyślił“. I jeśli Europa uniknie rewolucji, lub wpadłszy w nią, z niej się wydobędzie, to przetrworzy się w jedną, wielką, republikańską, nudną, jednostajną federację ujednolitych narodów. Niechże przynajmniej Rosja broni się od tego, całą mocą trzymając się bizantynizmu religijnego i politycznego, bo ten tylko ją od Zachodu wyróżnia.

Ale głosząc to, Leontjew nie wierzył w zwycięstwo swej myśli, Sołowjew zaś w bizantyńskim carostwie zbawczego pierwiastka nie upatrywał. I Jeremiaszowem okiem patrząc w straszną przyszłość, zapytywał, czyby upadek Rosji nie był zarazem początkiem końca cywilizacji zachodniej.

Ta jego troska zarysowała się pierwszy raz w rozprawie „*Chiny a Europa*“, napisanej w roku 1890, więc zanim jeszcze poczęły się krzewić marzenia panazjatyckie Harmonja w rozwoju narodów i społeczeństw zależy od równowagi między pierwiastkami ładu, opartego o tradycję, a pierwiastkami postępu. Ale równowagi tej niema nigdzie; kulturę europejską porwał pęd ideałów postępowych, kultura chińska stoi wyłącznie na tradycji, której wyrazem — kult przodków. Lecz stojąc tylko na tradycji, jest ona duchowo bezpłodną i bez pożytku dla Europy. My nie zdołamy — dowodził Sołowjew — zamknąć się w granicach rozsądku i umiarkowania, w których się zawarł ideał chiński — i Chiny same w nim się duszą, czego dowodem potężne wpływy buddyjskie w Chinach, opozycyjna nauka Lao-Tse'go, wreszcie dzisiejsze objawy chińskiego europeizmu. Ale pomimo to w kulturze chińskiej była i jest siła, jakiej nie miały inne narody dalekiego Wschodu, które, albo zniknęły, jak Meksyk i Peru, albo dały się zawojować, jak Indje. Wziąwszy jako podstawę życia narodowego przykazanie: *Czcij ojca twego*, Chiny słusznie otrzymały obiecaną za to nagrodę: *a przedłużone będą dni twoje na ziemi*; są oni jednym z najżywotniejszych narodów na świecie. Cześć dla tradycji, stanowiąca pierwiastek prawdy w chińskim poglądzie na świat, powinna, według Sołowjewa, skojarzyć się z chrześcijańską ideą postępu, którego celem — bożoczwieczeństwo. Niestety, zamiast bożoczwieczeństwa i powszechnego brater-

stwa w Bogu, postęp w Europie przybrał zamię rewolucyjnego i nihilistycznego kosmopolityzmu, a wywołuje dzikie nacjonalistyczne reakcje. W ten sposób Europa chińszczyje. Ale gdy chiński kult *swoich* przodków, *swojej* tradycji, *swojej* wyłączności jest dla Chińczyków źródłem mocy, to dla Europy byłby on czynnikiem rozkładu, jako wyrzeczenie się własnego wyższego chrześcijańskiego ideału. Więc w razie starcia się obu światów zwyciężą Chiny, bo są „wierne sobie“, gdy, przeciwnie, Europa zdradziła swój wielki ideał miotana między krańcowościami rewolucyjnego postępu, który niszczy sam siebie, a dzikim nacjonalizmem, który z tradycji narodowej wyrzuca to wszystko, co ma uniwersalistyczny, wyższy, chrześcijański charakter.

Rozprawa ta była suchą analizą i opartem na niej wnioskowaniem o przyszłości. Ale minęło lat kilka, a wniosek rozumowy przeobraził się w duszy Sołowjewa w ponurą wizję wiszącą nad Rosją, nad światem, katastrofy. W epoce, gdy w Europie spoglądano z góry, z pobłażliwym lekceważeniem na dokonywany się w Japonii przewrót, upatrując w tem tylko nieumiejętne, nieudane małpowanie cywilizacji zachodniej, Sołowjew kreślił w proroczym natchnieniu swój wiersz „Panmongolizm“ (1894). Przed okiem jego duszy unosił się obraz najeźdźców „z dalekich wysp Wschodu“, gromadzących niezliczone ludy „od wód Malajskich, aż po Altaj“ i, jako „narzędzie kary Bożej“ spadających, jak lawina, na Rosję:

Zapomnij Rusjo dawną sławę,
Dwugłowy runął orzeł carów,
I żółtym dzieciom na zabawę
Rzucono strzepy twych sztandarów. *)

Ogarnięta szalem samoubóstwienia, miała się Rosja carów za „trzeci Rzym“, podając dzikie zachcianki pożałdliwości swoich za wolę i rozkaz Boży, lecz „oto padł Rzym trzeci w prochu... a czwarty nie powstanie już“...

Z biegiem zaś lat wieszcz - myśliciel tak się zżył z tym obrazem, tak wyraźnie słyszał głuche łoskoty pędzącego od wschodnich stepów huraganu, że zapomniał, iż wszystko to było przecuciem, przywidzeniem, może nawet natchnieniem, intuicją, ale jeszcze nie rzeczywistością. Marzenie o Królestwie Bożem, które w pierwszych swoich pracach chciał widzieć urzeczywistnionem tu na ziemi, przenosił

*) Przekład Wacława Nalepińskiego. Patrż: M. Zdziechowski „U Opoki Mesjanizmu“ str. 276 — 7.

on później, po zawiedzionych nadziejach młodości i wieku dojrzałego, gdzieś poza kres historii. A kres ten już jest niedaleko; dowodem tego — plemiona Azji „rwące się ze snu“; przygotowują one zagładę i śmierć chrześcijańskiej Europy, Chrześcijaństwu, które zdradziło Chrystusa. Ale śmierć tę witał Sołowjew, jako zapowiedź bliskiego zmartwychwstania, tylko w innych warunkach, w innym bycie. I dlatego „panmongolizmu nazwa dzika“, kojarząca się w myśli naszej z obrazami najazdów, spustoszeń, rzezi, jassyrów, „łagodnie pieściła mu słuch — urokiem losów wysłannika — którego natchnął Boży duch“... Panmongolizm był mu aniołem mścicielem, torującym drogi Panu.

Wyłożył to i wyjaśnił w opowieści o końcu historii powszechnej i o Antychryście, którą wygłosił z katedry w r. 1900, na pograniczu dwóch stuleci, a w przededniu swojej śmierci. Gdy zaś serdeczny jego przyjaciel, filozof, książę Sergjusz Trubecki, wytknął mu fantastyczność pomysłu, Sołowjew odczuł to, jako krzywdę, bo jakże nazywać fantazją, prorokowaniem, mistycyzmem to, co jest jasne, oczywiste; wszak burzę czują wszyscy... „a ja mam tylko to smutne przed innymi pierwszeństwo, że słowa moje są ostatniem *k-r-z-y-c-z-q-c-e-m* wskazaniem, że ona już jest bliską, że lada chwila wybuchnie, choć większość jeszcze tego nie dostrzega“... „Przecież historia już naprawdę się skończyła i tylko inercją wytłómaczyć to można, że jakaś gra marionetek dotychczas się ciągnie na widowni historycznej“.

Więc gdzież jest postęp, o którym tyle się mówi? Czujemy jego przyspieszone, gorączkowe, jakby przerażone tempo, ale dokąd on nas prowadzi?... „Pospolite dziś teorie, przedstawiające postęp, jako wzrastanie dobrobytu ziemskiego, Sergjusz Trubecki słusznie nazwał poziomemi. Ale poziome to i płytkie jest ze stanowiska ideału, ze stanowiska zaś czynników historii jest to poprostu nonsensem, niemożliwością. Sprobujcie pocieszać człowieka wyczerpanego, znękanego paraliżem, że długo jeszcze żyć będzie i że będzie mu coraz lepiej; co za brednie prawicie — odpowie — jakie tam polepszenie, dałby tylko Bóg dociągnąć do końca bez szczególnych cierpień“... Dramat historii już się zakończył, pozostaje tylko epilog, który, jak u Ibsena, może dać się rozciągnąć na całą pięć aktów, ale ich treść w głównych zarysach jest z góry wiadomą“.

Były to ostatnie słowa największego z myślicieli rosyjskich. Od tego czasu patrzymy na to, jak się stopnio-

wo sprawdzają. Pobita przez wojowników „z dalekich wysp wschodnich“ Rosja! zawiera w 1905 roku upokarzający z nimi pokój, po którym rasa żółta staje w osobie Japonii wśród dominujących potęg świata; powodzeniem jej olśnione plemiona i narody Azji zaczynają coraz głośniej proklamować swoje prawa do niezależnego bytu; w roku 1914 Japonia bierze udział w wojnie światowej, ażeby, korzystając z zawieruchy, z pomocą zwycięskiej strony urzeczywistnić swoje zamiary w Syberji i Chinach. „Weszliśmy — pisał w przeddzień tej wojny książę Eugeniusz Trubecki — w przewidziany przez Sołowjewa katastroficzny okres historii“. — Pisał to z myślą o pierwszych katastrofy tej zwiastunach w Rosji, w roku 1905 — 6, nie domyślając się, że danem mu będzie widzieć ją w całej jej grozie i samemu paść jej ofiarą. Katastrofa przemienia Rosję w kupę gruzów, na których roztacza swoje krótkotrwałe panowanie tryumfujący judaizm, jakby nie rozumiejąc tego, że stanowi tylko krótki, przejściowy etap, po którym rządy przejdą w inne, nierównie potężniejsze ręce. Wycieńczona wojną, a oszołomiona burzą rosyjską Europa potwierdza porównanie jej przez Sołowjewa z teatrem marionetek, poruszanych obcą ręką. Słowem, droga przed najazdem przyszłego wskrzesiciela zamierzeń Czyngischanów i Tamerlanów stanęła otworem, i tylko czujna na wszystko, co jej handlowym interesom zagraża, kramarska rasa anglo-amerykańska rozpoczęła wysiłki swoje w celu izolowania Japonii i niedopuszczenia jej do zawładnięcia tą bazą operacyjną, jakaby dla niej mogły być Chiny.

3.

Przed półwiekiem jeden z najznakomitszych w Europie znawców Chin, Rosjanin, prof. W. Wasiljew w pracy swej o religjach Wschodu*) rzucał mimochodem myśl oryginalną, godną głębszej uwagi. Zastanawiając się nad granicami wschodniego i zachodniego świata, dochodził do wniosku, że granice te należy posunąć znacznie dalej, niż to się zwykle czyni, ku wschodowi. „Niewolno zapominać, że Jerozolima leży bardziej na zachód, niż nasza Moskwa — i Wschodem wypadłoby nazwać dopiero kraje, leżące za Uralem, za morzem Kaspijskiem i za rzeką

*) „Religji Wostoka“ w „Żurnalu Min. Nar. Prośw.“ 1873 tom 166 — 167.

Indus. W takim razie Stary Świat składałby się z dwóch prawie równych sobie części, które w przeszłości żyły prawie bez styczności ze sobą, my zaś wyzwolilibyśmy się z przesądu, jakim jest nazywanie Egiptu, Fenicji, Babilonu, Izraela, czyli narodów, które tak bezpośrednio i głęboko wpłynęły na Grecję i Rzym, a przez Grecję i Rzym na nas, historją Wschodu“... Zasadnicza, duchowa różność Wschodu i Zachodu objawia się najjaskrawiej w religji. Religje zachodnie są przedewszystkiem wytworem uczucia: człowiek bierze tam religję sercem, oddaje się jej, walczy za nią, niesie jej życie swoje w ofierze — i zarazem gotów w imię jej innym życie odbierać. Na Wschodzie zaś, zamiast wiary, widzimy raczej, według wyrażenia Wasiljewa, *dowierzanie*, które z natury swojej łatwo daje się zachwiać; religje mają tam charakter filozoficzny i kontemplacyjny, nad uczuciem bierze górę refleksja. Wasiljew pogardliwie nazwał to rezonerstwem. Lecz mniejsza tu o nazwę, dość, że ani stroniąca od świata kontemplacja, ani rezonerstwo nie są, nie mogą być pobudką do czynu, zwłaszcza do czynu orężnego, do gwałtu w jakiegokolwiek bądź postaci; czyli Wschód i Zachód w stosunku do religji, to tolerancja i fanatyzm. „Fanatyzm, jeśli chcecie, jest właściwością ujemną, utrzymuje jednak człowieka w pewnem natężeniu, i właśnie temu Zachód dużo, bardzo dużo zawdzięcza; Wschód zaś zamarł. Stwierdzamy zupełny zanik jego żywotności politycznej, jego moralnych i umysłowych zasobów; jeśli się podźwignie, to tylko z pomocą Zachodu“.

Nie wiem, jakie zabarwienie dałby Wasiljew myśli swojej dziś, gdyby żył jeszcze, ale budzący się Wschód pochwycił ją, pochwycił ją jednak nie z jego dzieła; nie potrzebował jej tam szukać — sama się narzucała — i szumnie ją podniósł, jako świadectwo wyższości swojej, mianowicie tej, którą rzetelność ma nad kłamstwem. Bo czemże jest ta cywilizacja, ten postęp, którym tak się pyszni Zachód? —

— Stoi na kłamstwie. Posłuchajny, co o tem mówi mędrzec indyjski, którego imię jest dzisiaj na wszystkich ustach, łagodny, słodki Rabindranath Tagore.*) Nie odrzuca on cywilizacji zachodniej, nie ucieka od niej. Z sercem wrażliwym na każdy powiew ducha Bożego, wyczuł

*) Rozprawa „Nacjonalizm“ wyszła w dwóch polskich przekładach: S. Zausmera, we Lwowie, i W. Skoraczewskiego, w Warszawie (1921). Ten ostatni — w ozdobnem wydaniu.

on piękno w tak obcym Wschodowi indywidualizmie europejskim, wylaniającym z siebie afirmację wolności sumienia, myśli, słowa. Walki o wolność są chwałą Zachodu, świadczą, że ma on duszę żywą, „rzucającą światło swoje poprzez dym jego armat i kurze rynków towarowych“, ale co stąd, gdy to wszystko przyćmione zostało wielkiem wewnętrznym kłamstwem, które snąc głęboko tkwi w tej jego duszy, skoro przez nie spaczyły się wszystkie jego poczynania. Wszystko bowiem, co czynił i co czyni Zachód — zwłaszcza w sferze z bezpośredniego a bolesnego doświadczenia znanej obcym jemu krwią i wiarą narodom, niedość że jest zaprzeczeniem tych zasad, tego chrześcijaństwa, które on wyznaje i głosi, ale zaprzeczenie to podaje on, jako konsekwencję i nakaz nibyto uosobionej w nim chrześcijańskiej cywilizacji, czyli fałszuje on treść tego, co za prawdę uznał. Krocząc z hasłem wolności na ustach, kuje on żelazne kajdany ludom, które mu uległy: „niesie im w prawicy religję, a tępi lewicą“. W wiekach zamierzchłych było to drapieżnym instynktem drapieżnej rasy, dziś stało się obrobionym, wykończonym poglądem na świat, dającym każdemu jego wyznawcy gotowe wskazówki i metody postępowania. Nazwano to nacjonalizmem. „Zapytuję was — woła Rabindranath w rozprawie o przedmiocie tym — czy istnieje w całej historii ludzkości, w jej najciemniejszych epokach, coś równie potwornego, jak zbrodnicza religja nacjonalizmu, który wbija swe kły drapieżne w żywe ciało świata, a jedyną troską jego jest nie wypuścić ofiary ze swoich szponów“... „O, ludy Zachodu, czy zdolacie się wmyślić w położenie tych ludów, które przez was skazane zostały na wieczną utratę swego człowieczeństwa?“...

Więc czy mamy się dziwić, że Hindusowi, badającemu Europę i jej dzieje, wydają się one jednym wielkim procesem niszczenia uczucia etycznego w człowieku, że cywilizację naszą nazwał on gdzieś przekleństwem, straszniejszym, niż owe napady koczowniczych plemion, które niegdyś były plagą ludzkości. W polityce cywilizację tę cechuje kannibalizm, usiłujący „połknąć nawet przyszłość ujarzmionych narodów“, ale kannibalizm jest cechą zewnętrzną, którą widzi każdy; nie każdy jednak widzi, że na wewnątrz, w treści swojej, cywilizacja Zachodu staje się „organizacją brzydoty, atakującą ducha i odnoszącą zwycięstwa, dzięki swej masie, zaciekłości napadu i zabójczej mocy szyderstwa skierowanego przeciw najgłę-

szym uczuciom duszy"... „a my ją czcimy, jak ów dziki, któremu potworne szkaradzieństwo jego fetysza wydaje się potęgą — i niesie on jemu swoją ofiarę“.

Ale dni panowania Zachodu wraz z tą jego „cywilizacją“ są już policzone; owe furje szaleńczego terroru, które Zachód wypuścił, aby hulały po Bożym świecie, wracają z powrotem w miejsce, skąd wyszły. Zagrożają jemu samemu i ostre bodźcami zmuszają do nowych zbrojnych przygotowań. Europa drży przed Japonją, bo przekonała się, że „i Japonja też potrafi prowadzić szatański taniec rabunku, mordu i gwałtu, nie dbając wcale o to, że wszystko wokoło wali się w gruzy“, ale o ileż zaszczytniejszą byłaby jej rola, jeśliby imieniem całej Azji odpowiedziała na pytania postawione przez Europę i zmieniła oblicze współczesnej cywilizacji, wlewając strumienie życia tam, gdzie włada tylko maszyna, — zastępując zimne wyrachowanie ludzkim uczuciem i rład powodzenie i potęgę wynosząc Prawdę i Piękno“.

I w zgodzie z uczuciem tem i pragnieniem patrjota Hindus zajął nawskroś negatywne stanowisko względem ogarniającego rozbudzone Indje ruchu nacjonalistycznego. Ruch ten kopjuje Europę i nie zdoła na drodze tej ją zwalczyć. Materjalnej sile i sprawności Zachodu w zbrodniczej pogoni za bogactwem, uznanem, jako cel życia, przeciwstawić można jedno tylko — moc ducha, płynącą z tej głębokiej religijnej kultury indyjskiej, która „obdarzyła Indje wizją nieskończoności we wszystkich rzeczach skończonych“. W walce z Zachodem niech staną Indje na linję, którą im wytknęła historia, skierowując ich myśl ku rzeczom wiecznym: „popelnimy samobójstwo, jeśli odrzucimy nasze własne dzieje“... Piękną zaiste rzeczą jest miłość ojczyzny i zapał, który ona budzi, ale, „stawiając przedmiot zapału naszego wyżej, niż prawdę samą, składamy sobie świadectwo, że jesteśmy niewolnikami z natury“.*) Na zarzut zaś, że, hołdując takim uczuciom, Indje zginą, mędrzec indyjski odpowiada niezrozumiałemi dla Europejczyka słowami, że go to nie porusza, bo „ludzie, którzy umierają za prawdę, są nieśmiertelni, więc, gdy bronią jej, cały naród ginie, to tem samem zdobywa nieśmiertelność w dziejach ludzkości“.

Oczywiście nie pójdzie Azja za głosem tego indyjskiego Tolstoja, ale faktem niezmiernej doniosłości jest

* Z powieści „Dom a Świat“.

jej dumna świadomość, że uosabia wobec Europy pryncyp wyższy, choćby tem tylko, że nie został przez nią sfalszowany dla podłych celów, do podłego użytku. W jej mniemaniu kultura Europy jest w najlepszym razie kulturą wiedzy, nie zaś człowieczeństwa. W r. 1920 przybyła do Londynu delegacja mahometan indyjskich dla obrony kalifatu Konstantynopolskiego, który Anglja zamierzała przenieść do Mekki. Jakiem dostojęństwem w poczuciu godności narodowej i osobistej, jaką wspaniałą dumą brzmiały ich słowa, które, „jak ciężki grad spadały na deliberujących europejskich mężów stanu“. „Jeśli Chrześcianizm — mówił prezes delegacji Mohamed Ali — odrzucił w swoim kodeksie Kazanie na Górze, to rzeczą co najmniej dziwną byłoby żądanie od Islamu, ażeby bronił się, przedstawiając lewy policzek temu, który go uderzył w prawy“... „Wszystko, co muzułmanin posiada, jest darem Boga; Bóg mu zaufał, więc musi on spełnić wolę Jego, czyniąc to, czego żąda Islam; inaczej zdrajcą będzie wobec Bożego zaufania“... „A Islam żąda, aby wierni stanęli w obronie kalifatu. Wy na to chcecie odpowiedzieć użyciem argumentu kija przeciwko kalifatowi i nam; p. wice-hrabia Bryce powiedział, że ludzie Wschodu nie są czuli na inne argumenty. Czy wolno mnie, nędznemu wschodniemu człowiekowi, zapytać Jego Excelencję, na jakie to argumenty czuli są ludzie Zachodu? Nie chcemy dotykać sprzymierzonych narodów, poprzestaniemy na terenie mniej niebezpiecznym, mówiąc tylko o Niemcach i bolszewikach. Czyż nie są oni czystymi zachodowcami? A jaki argument, jeśli nie kij, wywarł na nich wrażenie“?*)

Takiego przemówienia nie wygłosił nigdy przedtem żaden indyjski poddany Jego Król. i Ces. Mości; w tym samym duchu przemawiali towarzysze prezesa delegacji: „nigdy jeszcze — mówiono i pisano w Londynie z tego powodu — sytuacja Zjednoczonego Królestwa nie była tak groźną“.

Groźną była, bo na surowe słowa delegatów, na gryzącą ironję ich komplementów nie było odpowiedzi; pozostawało je wysłuchać w poczuciu winy, z pochyloną głową, — moralna przewaga była po stronie Azji. Czyż mogło ludziom, kierującym się w myśleniu logiką, nie fantazją, coś podobnego śnić się przed laty mniej niż 30-tu, gdy

•*) Por. Wacł. Lednicki. „Ostatnie układy republiki sowieckiej (1921).“

Łamanskij określał Azję, jako „świat niepowrotnej przeszłości, zwalisk i starczego uwiądu”? Kto przypuszczać mógł, że z ust indyjskiego poety i mędrca, w którym Zachód zgodnie uznał najdosłojniejszego z przedstawicieli ducha Azji, padną słowa, określające działanie cywilizacji europejskiej na wschodzie, jako „plugastwo, które gubi wiarę człowieka w te bohaterskie ideały, co go czyniły wielkim“. We wzajemnym stosunku Europy i Azji nastąpił stanowczy, a dla Europy tragiczny zwrot, tragiczny tem, że w rękę Azji znalazła się potężna bron. Tą bronią — przeświadczenie o moralnej wyższości swojej wobec Europy.

• Wprawdzie Fr. W. Foerster, uprzedzając owych delegatów indyjskich, wezwał równie zdziczałe, jak i wyczerpane wojną narody do polityki chrześcijańskiej i to do polityki, opartej właśnie na Kazaniu na Górze, o którem wspomniął prezes delegacji, czyli na tem w chrześcijaństwie, co w największej jest sprzeczności z instynktami, ze sposobem myślenia człowieka współczesnego — i politykę tę podawał on za jedyną możliwą, jedyną realną, mogącą uratować świat chrześcijański od nieuniknionego upadku. „Czas nagli — wołał — jest pięć minut do dwunastej“...*) Ale dwunasta już wybiła, a głos myśliciela niemieckiego przebrzmiał, zaginął... Europa stoi wobec Azji jeśli nie całkowicie wyzuta z chrześcijańskich pierwiastków mocy duchowej, to zachwiana i omdlewająca, względem zaś siebie samej stoi ona przed wielkiem zagadnieniem moralnem. Bo po samobójczym akcie wojny narodów ugrzęzła wśród rumowisk, z których nie zdoła jej wydobyć ani przebiegłość dyplomatów, ani waleczność wojowników; mogliby ją wydobyć tylko owi siłacze, za którymi wzdychał Wojciech Dzieduszycki, a których wytwarza tylko religja, tylko żywa wiara, że owe słowa wyrzeczone tam, w Kazaniu na Górze, nie są marzeniem o nie dającym się urzeczywistnić ideale, ale nakazem, powinnością.

Tragiczne położenie świata chrześcijańskiego z natury rzeczy najgłębiej odczuć zostało w tym narodzie, który ani Europą nie jest, ani Azją, ale między Europą i Azją stanowi świat trzeci, zajmujący owe ogromne stepowe przestrzenie, teraz w Waszyngtonie milcząco przyznane Japonji, jako obiekt pokojowej penetracji, a z czasem może i przywłaszczenia.—Wiemy, co myślał, co wieszczem okiem widział i przepowiadał Włodz. Sołowjew w ostatnich

*) „Weltgewissen und Weltpolitik“.

latach wieku zeszłego. 'Oto co pisał Mereżkowski, już po wojnie, w 1907 r.: „Dopóki Europa przeciwstawiała złym armatom chińskim swoje lepsze, dopóty zwyciężała, wyobrażając sobie, że jej zwycięstwo oznacza tryumf kultury nad barbarzyństwem. Ale gdy u Japończyków znalazły się równie dobre armaty, zobaczono wówczas, że prócz armat zmaterializowana Europa nie posiada nic, czemby mogła swoją wyższość wykazać. Z chrześcijaństwa przestała ona swoje soki żywotne czerpać. I w tem tkwi złote niebezpieczeństwo, nie zewnątrz, lecz w nas samych“.

W r. 1913, więc przed samym wybuchem wielkiego światowego kataklizmu, książę Eug. Trubecki wydawał swoje obszerne dwutomowe dzieło, poświęcone osobie i filozofji Wł. Sołowjewa. Czytamy je dziś i dziwne ogarnia nas uczucie: autor nie żyje, a zdaje się, że dzieło dopiero co wyszło z pod prasy drukarskiej, że najsilniejsze w niem ustępy kreślił pod bezpośrednim wrażeniem chwili, którą teraz, *dziś* przeżywamy. Wszystko, na co patrzył i w czem sam brał udział w latach 1904 — 1906, odczuł on i przebolewał tak intensywnie, że odczucie stało się przeczuciem; granice czasu przesunęły się przed nim o siedem lat naprzód. Pozornie wszystko w życiu rosyjskiem wracało wtedy do dawnego trybu, a on pisał, że wszystko w tem życiu stanęło dnem do góry, że wszystkie utopje, wszystkie marzenia o szczęściu na ziemi uległy całkowitemu rozbiciu, nad myślą zaś zepchniętą z wydeptanych przez nią dróg zapanowywało uczucie, ujmujące świat i życie jako katastrofę, raczej jako zszeregowanie się katastrof i spadanie z jednej w drugą. (*Katastroficzესkoje mirooszczuszczenie*).⁽¹⁾

Ale nie płaczmy nad tem, — pocieszał on siebie i czytelnika — utopje osłabiają człowieka, kołyszając go piosnką płonnych nadziei; rozbicie utopizmu wyrывa z uśpienia i nakazuje przenieść centrum istnienia w inny, wyższy byt. I jeśli chrześcijańskiej ludzkości, która nie umiała na barkach swoich unieść chreścijańskiego posłannictwa, sądzonem jest ustąpić przed niechrześcijańską żółtą rasą i jeśliby to miało być, jak nauczał myśliciel-prorok, zapowiedzią blizkiego końca historii, to czyż mamy z tego powodu opuszczać ręce? Nie; tem raźniej powinniśmy iść do celu, w którego realizację wierzymy, powinniśmy wierzyć, jako chrześcijanie. Tym celem — jedność człowieka z Bogiem, bożoczwieczeństwo, Królestwo Boże, Ten cel, jako swój wyłączny, ujrzała społeczność, którą nazywamy

Kościółem powszechnym. I choć dzieje Kościoła są pełne błędów i upadków, z nim powinniśmy zespolić usiłowania nasze. Wszak jeśli mój cel przerasta moje siły, to muszę przyłączyć się do innych, którzy do tego samego celu iść chcą. Może są też słabi, może nawet słabsi odemnie, więc swoją moc, swoje życie w nich wleję. I wspólnie idąc w dal najwyższego ideału, jaki zwiastowany był człowiekowi, uczujemy spokój i pewność — i myśl o końcu historii nie groźną, a słodką nam będzie; bo zrozumiemy, pisał Trubecki, że koniec to nie negacja i śmierć, lecz dokonanie i zatwierdzenie w wieczności tych dzieł, których ogień nie pali, ani rdza nie psuje — tego wszystkiego, co w Heraklitowe (πάντα ρεῖ) bytu wnosi istotną substancjalną żywą treść...

Tak w przededniu wielkiej, od Wschodu idącej nawałnicy, do której przygrywką była ostatnia wojna narodów, myślał i marzył jeden z najgłębszych umysłów „świata trzeciego“, przeznaczanego na pierwsze pociski przyszłego Czyngischana.



II.

Eurazjatyzm rosyjski*).

1.

W drugiej połowie wieku XVI, wraz ze zdobyciem Kazania przez wojska Iwana Groźnego i ostatecznem zrzućeniem jarzma tatarskiego rozpoczyna się zwycięski pochód Moskwy ku dalekiemu Wschodowi i już w roku 1582 kozak Jermak Timofiejewicz ściele Syberję Zachodnią pod stopy cara. Słusznie jednak i nieraz zwracano uwagę na to, że ów pochód w początkach swoich nie był wynikiem jakichś świadomych zaborczych planów ze strony caratu. Wpływał on z natury rzeczy, był konsekwencją nieustających zapasów między mieszkańcami pogranicza, a hordami najęźdźców stepowych, miał znamiona nie tylko wojenno-państwowego, ale i rolniczo-kolonizacyjnego przedsięwzięcia. Walka ze stepem wytworzyła Kozactwo, łączące zawód wojskowy z pracą na roli, i ten podwójny charakter Kozactwa sprawił, że walka stale prowadziła za sobą posuwanie się naprzód.

Dopiero w wieku zeszłym zagarnięcie Azji stało się uświadomionym programem politycznym, opartym na ideowym podłożu posłannictwa dziejowego. W podłożu tem przeważa z początku pierwiastek imperjalistyczny, wielko-mocarstwowy, ale na schyłku stulecia szumnie wkracza tam mesjanizm.

Słowiańska z mowy i wiary Rosja — dowodził książę Esper Uchtomskij w r. 1899**) — jest Azją w najwewnętrzniejszej istocie swojej: pod kruchą powłoką zachodnio-euro-

*) Odczyt wygłoszony w Wilnie w marcu 1922 roku.

**) Por. M. Żdziechowski: „U opoki mesjanizmu” Lwów, 1912 roku) str. 83 — 91.

pejską wszystko w Rosji we wnętrzu jej bytu narodowego jest przeniknięte, wszystko tchnie głębią wschodnich zapachów i wierzeń, wszystko owiane ową żądzą wyższych religijnych form bytu, która chwałę Azji w dziejach świata stanowi". Rosja to odnowiony Wschód, to przyszłość Azji, tylko z Rosją i przez Rosję zrzuci Azja jarzmo narodów Zachodu.

Wspaniałe marzenie. Ale ten sen człowieka, który za przyjaciela i powiernika cara Mikołaja II uchodził, niebawem miał rząd carski sam własną ręką zburzyć. W roku 1900 Rosja brała udział w ekspedycji karnej państw europejskich przeciw Chinom, pod wodzą niemieckiego generała Waldersee, a pod hasłem słów przez niemieckiego cesarza w stanie jakiegoś obłąkanego podniecenia wygłoszonych: *Gefangene werden nicht genommen. Pardon wird nicht gegeben*. Słowa te streszczały rzeczywisty stosunek „cywilizowanej“ Europy do „niecywilizowanej“ Azji. W roku następnym zwiedzał Uchtomskij Chiny. Przeszło sto wiorst od Tien-Tsinu do stolicy bogdychanów pędził konno wśród niw potratowanych ze żniwem, którego mieszkający nie mieli możności zebrać, wśród spustoszonych miast i wsi, słowem, wśród pustyni, gdzie „nawet psy głodne ze strachem patrzą na mknącego cudzoziemca“. W okrucieństwach zniszczenia zmartwychwstawały przed nim epoki Czyngischan i Tamerlana: nie było już miejsca na rojenia o braterstwie Rosji z Azją; w duszy człowieka myślącego ponura wizja bliskiego a strasznego rozrachunku Azji z narodami Europy, — wizja, którą Sołowjew w proroczym natchnieniu kreślił w wierszu „*Panmongolizm*“ zacierała mesjańskie, panazjatyckie sny.

Chrześcijański spadkobierca Jeremiaszów i Ezechieliów, Sołowjew, z przerażającą wyrazistością i jasnością czuł, widział zbliżający się krokiem szybkim koniec Europy, europejskiej cywilizacji: usadowiony zaś na jej zwaliskach panmongolizm wydawał mu się zwiastunem bliskiego końca historii i świata. Ale czy stąd, że epoka dobiega do kresu, wypływa wniosek, że po niej już nic nie będzie? Dlaczego pojawieniu się nowego, a potężnego czynnika, jakim jest rasa żółta, mielibyśmy nadawać apokaliptyczne jakieś znaczenie? I przeciw wizji Sołowjewa, której się poddawał w ostatnich pismach swoich tłumacz i kontynuator jego myśli, ks. Eug. Trubecki, podniósł się protest w młodem pokoleniu.

Azja się obudziła. Mogą się wznowić stare, jak historia, walki dwóch światów. Ale istnieje świat trzeci — Rosja. Opuszczona dziś przez Europę, Rosja nie jest dość silną, ani też dość azjatycką, aby podbić Azję i na czele jej ludów wolę swoją Europie narzucić. Więc zamiast w dalszym ciągu snuć bezmyślne na tle dzisiejszych warunków marzenie o trzecim Rzymie i uniwersalnej monarchii, należy kwestję stanowiska Rosji między Wschodem a Zachodem na realnym gruncie postawić i ją wyjaśnić, biorąc za punkt wyjścia, że zasadnicze właściwości obu światów zetknęły się ze sobą w Rosji, która Europą jest i Azją zarazem, czyli, krótko mówiąc, Eurazją.

Myśl ta przewodniczyła autorom zbiorowej książki, która niedawno wyszła w Sofji*). Rewolucja wygnała ich z ojczyzny: tułacze bezdomni, stają oni przed nami, jako przedstawiciele tej reakcji, która z kolei rzeczy po każdym wielkim przewrocie następuje.

W roku 1920 widzieliśmy, tu w Wilnie, Mereżkowskiego i Fiłosofowa. Wyrwawszy się z domu niewoli, pędzili na zachód. Zadanie swoje porównywali z tem, jakie stawiała emigracja nasza po roku 1831. Występowali z protestem przeciw gwałtom bezprawia, którego ofiarą padła Rosja, głosić mieli krucjatę przeciw bolszewizmowi, jako wspólnemu wrogowi ludzkości. W myśli Mereżkowskiego powstawała koncepcja jakiegoś przymierza polsko-rosyjskiego, wierzył w pierwiastki mocy, które w organizm Rosji mogła wlać Polska bardziej oporna przeciw hasłom bolszewickim i jeśli nie fizycznie, to duchowo mniej od Rosji wyczerpana wojną.

Ani u nas jednak ani na Zachodzie nie rozumiano grozy zniszczenia i zagłady, którą niósł światu tryumfujący bolszewizm: Rosji pomocy należytej nie dano. Jedno jej wobec tego pozostało: na siebie tylko liczyć, w sobie się skupić. *Poznaj siebie i bądź sobą* — oto rozwiązanie problemu Rosji, jakie dziś dają młodzi rosyjscy „Eurazjaci”.

„Treścią tej prawdy — czytamy w przedmowie — którą Rosja przez rewolucję swoją odkrywa światu, jest odrzucenie (*otwierzenie*) socjalizmu. a utwierdzenie Kościoła”. — To drugie — zwrot do Kościoła — jest zjawiskiem naturalnem, powtarzającym się po każdym wielkim wstrząśnię-

*) „Ischod k Wostoku. Utwierdzenie Jewrazijcew”.

niu: w religii zwykły człowiek szukać schronienia i pociechy w nieszczęściu. Ale rzeczą nową, niespodzianą nawet jest odwaga absolutnej negacji, z którą autorowie zwrócili się przeciw bożyszczu religii postępu, przeciw socjalizmowi. Nic podobnego nie znajdziemy w epoce rewolucji francuskiej. Żadnemu z reakcjonistów ówczesnych przez myśl nie przeszło występować przeciw głoszonym przez rewolucję ideałom. Mówiono tylko, że przemyczone zostały z chrześcijaństwa, bezprawnie przywłaszczone; jakże przyznać się do tego, że się jest przeciwnikiem wolności, równości i braterstwa. W przeciwieństwie do Francji z r. 1789, bolszewiści rosyjscy postawili na miejscu dalekich ideałów realne hasło dyktatury proletariatu. Tem samym wykluczyli naukę, inteligencję, zdolności umysłowe z pośród warunków, uprawniających do zabierania głosu w sprawach publicznych. Słuszną w zasadzie ideę demokratyczną doprowadzono w Rosji do absurdu. Biegiem zaś historii kieruje żelazne prawo logicznej konsekwencji: żadna idea nie zejdzie z widowni, dopóki się nie wyczerpie we wszystkich swoich następstwach. W stosunku do idei demokratycznej prawo to już się w Rosji spełniło: absurd stał się tam ciałem, więc w Rosji wyłonić się musi najgwałtowniejszy protest wraz ze zwycięską reakcją przeciw zбочeniom i wyrodnieniom demokracji.

I to właśnie — w przekonaniu młodej Rosji — stanowić ma jej posłannictwo. Przez nią — dowodzą nam — uświadomi się w sumieniu człowieka, że celem jego nie jest stworzenie doskonałego ustroju społecznego, gdyż ten w warunkach doczesności w żaden sposób urzeczywistnionym być nie może, ale celem tym — indywidualne każdego przeobótwienie. Znamienne zaś u nich jest to, że owego zwrotu od sfery polityki ku sferze religii dokonać ma Rosja — nie z pomocą Europy, lecz przeciw Europie. Niemoc moralna Zachodu wydaje się im rzeczą oczywistą, jak gdyby zapomnieli, czy nie wiedzieli, że myśl, którą głoszą, nieraz głoszoną była na Zachodzie i że swoje najcudowniejsze wcielenie znalazła w osobie tak nawskróś zachodniego człowieka, jakim był kardynał Newman, w przeświadczeniu którego dwa wyrazy wyczerpywały całą rzeczywistość: *Bóg* i *moje ja* (*My Creator and myself*), wszystko zaś poza tem — cały świat zewnętrzny — wydawało mu się przywidzeniem jakimś, marą i gwałt myśli swojej zadawać musiał, aby w rzeczywistość mary tej uwierzyć...

Takie przeciwstawianie się Zachodowi ze strony antybolszewickiej, przez bolszewizm sponiewieranej, dręczonej i deptanej Rosji tłumaczymy głębokiem jej rozczarowaniem z powodu wykazanej przez Europę nieszczerości i połowiczności w zwalczaniu bolszewizmu. Ale jest w tem także hipnoza, jest magnetyzujące działanie huraganowego, niszczycielskiego rozpędu rewolucji. Niejeden Rosjanin przeklina ją, ale zarazem przejmuje go zabobonny przed nią strach, strach graniczący z kultem. W rozprawie p. Suffczyńskiego „Zwrot ku Wchodowi“ czujemy nawet ukrytą jakąś dumę, że widoku takiej rewolucji żaden dotąd naród nie dał światu.

„Bo czemuż — woła on — była rewolucja francuska w porównaniu w porównaniu z dzisiejszą, rosyjską! Szalała na przestrzeni 50.000 kil. kwadr., w kraju z 22 milionową ludnością; rosyjska obejmuje 20 milionów kilometrów kwadratowych ze 150 milionami mieszkańców. Koalicji udało się w 1814-15 uśmierzyć Francję i ją okupować, ale gdzie ta koalicja, któraby zdołała uśmierzyć i okupować Rosję“? „Rewolucja francuska stanowi epizod w historii Europy, rewolucja rosyjska jest nie tylko epizodem...“ „w swoim pozornym niebycie Rosja staje się ideologicznym centrum świata“. Rewolucja pozapalała w niej inkwizytorskie stosy, dymem swoim zasłaniają one niebo, lecz trzeba wierzyć, że u stosów tych powstaną nowe wielkie natchnienia, że płomieniami ich zapłonie dusza każdego Rosjanina, bez względu na to, czy należy on do wygnańców, czy do tych, którzy wyganiają. Niema tu winnych; wszyscy jednak są usprawiedliwieni przed ojczyzną, gdyż wszyscy ogniem swoim zarażają Europę i gotują Rosji chwałę, jakiej jeszcze nie zaznała.

Widok człowieka oszalałego z bólu i w nieprzytomnej ekstazie całującego rękę kata, co mu ów ból zadaje, budzi uczucie dotkliwego niesmaku — i rozprawę tego fanatyka Rosji o wybitnie polskiem nazwisku notujemy tu, jako szczegół, rzucający charakterystyczne światło na psychikę rosyjską w chwili obecnej. Sądzymy, że ten protest przeciw bolszewizmowi, przechodzący niepostrzeżenie dla autora w hymn na cześć bolszewizmu, znalazł miejsce w manifestie eurazjystów, jako dokument, jako świadectwo zniechęcenia do Zachodu. Inni współpracownicy książki, bardziej zrównoważeni i ostrożni, zamiast wylewać żale lub polemizować z Zachodem, poprzestali na zazna-

czeniu faktu, że nie od dziś dają się słyszeć z ust przedstawicieli jego, nie zaś z wrogich im obozów, złowieszcze proroctwa, którym wojna narodów dała straszliwe potwierdzenie.

2.

Patrzmy dziś na wojnę, jako na wielki samobójczy akt, dokonany przez Europę na sobie samej. Nikt rozsądny wojny nie chciał. Wprawdzie od szeregu lat wisiała nad Europą burza, mogąca powstać z rywalizacji Anglii i Niemiec na rynkach świata, ale mężowie stanu angielscy nie szczędzili starań, aby burzę zażegnać, zaś cesarz Wilhelm prawie się ośmieszał w oczach narodu swojego swoim strachem przed wojną, przy upartem, pomimo to, brząkaniu szablą. To zaś, co się stało bezpośrednim wojny powodem — ultimatum austriackie — mogło być bez trudności załatwione na kongresie. Ale gdy wojna wybuchnęła, szła walczących wzrastać począł z dnia na dzień, udzielając się tym nawet, co mogli pozostać widzami. Przypominamy Włochy, ten tak praktyczny, trzeźwy, wyrachowany naród. Rzucili się jednak do walki, stawiając byt swój na kartę, byle otrzymać trochę więcej, niż to, co im państwa centralne ofiarowywały. A Rosja? Leżała powalona przez Niemcy, ogarnięta rewolucją; nadziei zwycięstwa nie było żadnej, a na ustach jej polityków wciąż brzmiało jedno: *do pełnej победы nad wragom*, t. j. nie odparcie nieprzyjaciela, nie zaszczytny z nim pokój, jako cel, ale zmiażdzenie! Czy to był heroizm? Nie. Heroizm stawia cele trudne, lecz nie stawia niemożliwych. To była histerja.

Ani logicznie, ani psychologicznie ów masowy obłęd narodów wytłumaczyć się nie da. Wytłumaczyć go można chyba tylko mistycznie przez owo straszne, nieubłagane, tajemnicze prawo krwi, o którym przed stu laty nauczał J. de Maistre... Niedawno wpadł mi do rąk życiorys literata francuskiego Ernesta Psichari*), który poległ na samym początku wojny. Przyjaciele opowiadają o nim z tem uczuciem, z jakim się mówi o świętym, którego się czci na ołtarzu: *Ce jeune homme ivre de sacrifice, la France chretienne peut l'invoquer dans ses prières*. Ciasno mu było na brukach miast, dusza jego rwała się do szerokich przestworzy, do wielkich czynów, trawił ją głód heroizmu.

*) „La vie d'Ernest Psichari“ par Henry Massis.

I gdzie znalazły ujście owe buchające w nim żądze walk i poświęceń? Zrazu w Afryce. Zaciągnął się tam do wojska koło roku 1908 — i oto co pisał wkrótce po swoim tam przybyciu: „Afryka jest jednym z ostatnich schronisk dla naszej energii narodowej“. Tam się ona wyrabia, hartuje, tam uczy się Francuz być prawdziwym żołnierzem. A naukę tę uważał Psichari za najpotrzebniejszą w owej chwili. Czuł nadchodzącą wojnę. Będzie ona „cudownym poematem krwi i piękna“... (*un indicible poeme de sang et de beauté*)... bo my, Francuzi—objawiał myśl swoją—„lubimy wojnę i w głębi duszy pragniemy jej. Wojny prowadzi liśmy zawsze; ale nie po to, by zdobywać kraje obce i wytępiać obce narody, ani też dla załatwiania konfliktów w interesach z sąsiadami; przyczyny te istniały także, lecz znaczyły niewiele. W rzeczywistości wojowaliśmy dla samej wojny, bez żadnej idei, z samego tylko zamięłowania. Wojna była naturalną dla nas potrzebą wyładowania energii, była prawem naszym, racją bytu, wiarą“ *).

Zaiste cenne wyznanie, nauczające nas, że nietylko Niemcy, jak to nam wmawiano, są militarystami. Słowa te wymowne, a w wymowie swojej straszne, cofają nas wstecz do wspomnianego przed chwilą J. de Maistre'a. Świat cały—twierdził ów dziwny apologeta Kościoła Katolickiego—stoi na niesprawiedliwości powszechnej i bezwzględnej; od stworzenia świata krew przesycza ziemię, jak rosa, i wyziewem krwi jest atmosfera, którą oddycha wszystko, co żyje. Wojna to stan naturalny rodu ludzkiego, krew bez przerwy łać się musi po kuli ziemskiej. Narzekamy na potworność wojny, a jednak ponad wszystko wynosimy i wystawiamy żołnierza, nieświadomie w nim czując wykonawcę przedwiecznie ustanowionego porządku i prawa. Od początku składali ludzie krwawe ofiary bogom swoim, domyślając się instynktem, że morderstwo z potrzeby, czy z namiętności, z pobudek egoistycznych i utylitarnych nie wystarcza, nie jest jeszcze hołdem złożonym tajemniczemu prawu krwi. Tym hołdem staje się dopiero ofiara krwawa, jako mord bezinteresowny, a zatem idealny, natchniony ideą uczestniczenia w prawie, stanowiącym fundament bytu.—Konsekwencja zaś myśli nieodparcie doprowadzała do wniosku, że zakończeniem nieuniknionem i niezbędnym koncepcji tej jest ofiara z krwi ludzkiej.

*) „Parceque c'était notre loi, notre raison secrète, notre foi!“

Z filozofją tą, która mrowiem przeszywa człowieka, można się godzić albo nie, ale tego już zaprzeczyć nie można, że słusznie stwierdza zasadniczą sprzeczność między walką o byt, która jest prawem natury, a sumieniem, które przeciw prawu temu protestuje — i że stwierdziwszy tragiczną bezsilność protestu, usiłuje to wytłumaczyć nie rozumowo — bo to się nie da — lecz mistycznie. Skoro jednak człowiek nie jest w stanie uchylić się z pod fatalnej władzy prawa, które go pcha, mimo woli i myśli, do zabijania bliźnich, to czy nie lepiej zagłuszyć w sobie daremny protest, a natomiast w wykonywaniu krwawego prawa szukać jakichś godzących z nim pierwiastków? Wojna stanie się wtedy poematem, chwała zaś wojenna „racją bytu“, jak pisał Psichari, stosując to zresztą do Francji tylko. „Nie chcieć tego uznać“ — dodawał — to znaczy chcieć spaść do poziomu Niemiec dzisiejszych, gdzie wszystko poświęcają interesom życia praktycznego“...*)

I ażeby do poziomu tego nie spaść, wszczęto wojnę i doczekano się, że „cudowny poemat krwi i piękna“ pogrążył Europę w nędzy i błocie, z którego nie widać ratunku...

Ziemia jest nikłym atomem na tle ogromu bytu. Możemy, mamy prawo, nawet powinniśmy wierzyć, iż ze stanowiska wszechświatowego przedwiecznego porządku, jakieś przewodniczącej jemu wyższej a nam niedostępnej idei wszystko, co na tym atomie się dzieje, ma jakieś głębsze znaczenie i że jest w tem piękno, którego dalekie odbłaski, zdaje się nam, że niekiedy dostrzegamy. Ale sam w sobie, bez związku z ową całością, o której dowolnie snuć możemy najcudowniejsze rojenia, nie mając, nie mogąc mieć żadnego ścisłego, adekwatnego o niej pojęcia — sam w sobie nasz świat doczesny bezładem jest, bezrozumem, jest irracjonalny; oczy sobie zamknąć trzeba aby nie widzieć tego i nie słyszeć. Tymczasem, mędrcy i poeci tak w Grecji, jak w Chrześcijaństwie, zamykając sobie oczy i zatykając uszy, wszyscy, za nielicznymi wyjątkami, jednym byli zajęci — wmawianiem i sobie i innym, że wszystko, co jest, jest rozumne.

Ale po wielkich kataklizmach próby racjonalistycznego tłumaczenia świata rozpadają się same przez się.

*) Ce serait vouloir nous mettre au point de l'Allemagne actuelle, ou tout est sacrifié aux entreprises de la vie pratique.

W lutym i marcu 1917 roku, w chwili wybuchu rewolucji rosyjskiej, miałem na wyższych kursach polskich w Petersburgu szereg wykładów o podstawach kultury nowoczesnej. Zastanawiając się na ostatnim, jakie mogą być w świecie ducha konsekwencje wojny światowej, wyraziłem zdanie, że nastąpi, że musi nastąpić wyraźny, stanowczy antyracjonalistyczny zwrot, że irracjonalizm zapanuje w sferach religii i filozofji. Przypuszczenie moje sprawdza się. Wiara w rozum, twórcę cywilizacji, rozchwieła się po tym nieudałym sromotnym popisie, jakim była wojna. Pojawiają się książki o końcu cywilizacji zachodniej. Jeszcze Schelling pisał o *Selbstzersetzung*, o *Verzweiflung der Vernunft*, w tym kierunku szły uczucia romantyków, a uczuciom tym mocną filozoficzną podstawę dawał Schopenhauer, ogłaszając i objaśniając świat, jako wyraz ślepej, bezrozumnej woli życia: nasiona przez niego zaś rzucone wydawały i wciąż jeszcze wydają swój plon w myślach, w dziełach, w systemach z pozoru nawet od niego dalekich. I to wszystko nie bez uczucia *Schadenfreude* stwierdzają dziś eurazjatyści.

„Żyliśmy — opowiadają oni — w Europie i Europą. Z pojęciem Europy łączyliśmy pojęcia cywilizacji, kultury, postępu; ani się śniło nam, że Europa zachwiać się może w posadach swoich. Wszystko, co po za Europą, wydawało się nam mrokiem. Ale przyszła wojna — i wraz z wojną wielki niespodziewany krach wszystkiego, na czym staliśmy, czem żyliśmy; Europa zwątpiła o sobie, tembardziej my wątpić o niej możemy... „Nowy skutek tego rozleżał się przed nami widnokrąg dziejowy; co było, to ulatnia się, zanika, przed okiem — wszędzie — nieskonczoność“

Ze zwątpienia zaś o Europie wypływa zwątpienie o racjonalizmie, na którym tak mocno stała i rozwijała się myśl zachodnio-europejska. Już w połowie wieku zeszłego Mickiewicz u nas, Chomiakow i słowianofile w Rosji wypowiadali wojnę racjonalizmowi Zachodu, ale racjonalizm brali tylko ze strony psychologicznej; na Zachodzie, mianowicie, w mniemaniu ich, u Niemców przeważał suchy, zimny, trzeźwy rozsądek, gdy u Słowian żywym był pierwiastek uczucia i entuzjazmu — ten zapewniać im miał przodownictwo w przyszłych dziejach świata. Nie domyślali się, że kwestję tę bez porównania głębiej już postawił był Schopenhauer. Bo co znaczyć mogą jałowe spory o to, czy Niemiec, w porównaniu ze Słowianinem, jest

w myśleniu swoim i postępowaniu więcej, czy mniej racjonalistą, skoro świat cały jest w budowie swej irracjonalny, czyli jest czemś, co nie powinno istnieć, czemś nie dającym się usprawiedliwić ze stanowiska rozumu, oczywiście rozumu zamkniętego z natury swojej w świecie zewnętrznym, fenomenalnym, któremu niedostępną jest sama istota rzeczy, owo Kantowskie *Ding an Sich*...

Irracjonalizm zarówno w najgłębszej istocie swojej, jak i w konsekwencjach praktycznych, jest rozpaczliwym w tonie, ale potężnym wołaniem do czynu, do walki z bezrozumem świata. Za irracjonalizmem idzie afirmacja heroizmu. Albowiem w świecie racjonalistycznym, a raczej za taki przez nas uznanym, wiemy z góry, że Opatrzność wszystko ku Dobru kieruje, że do Dobra jesteśmy predestynowani i że pozostaje nam tylko dostosować się do tego, nie przeszkadzać dobroczynnej ręce, prowadzącej świat; irracjonalizm — przeciwnie — nakazuje czynnie występować przeciw temu, co samym pryncypem jest bytu, przeciw tyranji bezrozumu. Irracjonalizm całkowicie przenosi punkt ciężkości w głąb jednostki ludzkiej, tem samem nakłada na nią olbrzymie obowiązki, którym Rosjanin, w przeświadczeniu Młodej Rosji, podoła łatwiej, niż kto inny, dzięki swej szczególnej wrażliwości na zagadnienia i imperatywy religijne.

Tymczasem pociąg do racjonalizmu tak się zroził z Zachodem, że nawet powstające tam od czasu do czasu reakcje przeciw temu niczem innem nie są, jak racjonalizmem przebrany, nową jego postacią. Taką n. p. jest głośna dziś filozofja Bergsona. Choć na miejscu Hegłowskiej idei absolutnej, której rozwojem jest świat, postawiła ona jakiś *elan vital*, nie mający w zasadzie żadnej wspólności z rozumem, ale „ten pozarozumowy pierwiastek objawia się i realizuje według całkowicie rozumnego planu”. Ten upór Zachodu w racjonalizmie tłumaczą eurażycy wpływem myśli żydowskiej; był on potężnym już za czasów Spinozy, szczególnie zaważył osobą Marxa, dziś wzmocnił się nowym przyływem, hałaśliwym wtargnięciem, niemal zagarnięciem filozofji przez cały szereg wybitnych umysłów żydowskich. Żydami są Gusserl, Cohen, Simmel, G. Kantor, Minkowsky, Weininger, Freid i przedewszystkiem osławiony, przereklamowany Bergson. Oczywiście, nie jest, nie może być racjonalizm właściwością specyficzną żydowską; filizofowie Aryjczycy nie negowali ani bagatelizowali znaczenia rozumu. Ale Aryjczyk jest z instyn-

ktu panteistą; przedmiotem uwielbienia jego jest bujne, potężne życie natury, wczuwa się w rozlaną w niem boskość, judaizm zaś stawiał jako pryncyp życia, Boga, który *ex nihilo* stworzył świat. Wspaniałym był monoteizm proroków w odczuciu nędzy człowieka przed Panem „przed którym nie usprawiedliwi się żaden żywy człowiek“, lecz na wysokości tej utrzymać się trudno — i wyodrębnianie Boga od świata powoli przeistaczało się w materjalizowanie jego: „Bóg żydów — pisze Florowski — to Bóg administrator i sędzia nieprzekupny, stojący na straży ustanowionego przez się porządku i niemiłosiernie karzący wszelkie przeciw niemu wykroczenia“; religia żydowska przybrała wskutek tego postać kodeksu prawnego. I tę postać ma ona na Zachodzie, gdzie pierwiastek żydowski stanowczo wziął górę w religii, w systemach teologicznych, szczególnie zaś katolickich, nad pierwiastkiem aryjskim.

3.

Ale czy tak uparcie wytykana Zachodowi niezdolność do wzniesienia się ponad racjonalizm ma dowodzić, że zbliża się czas jego śmierci? Nie, ona tylko świadczy o jednostronności, stanowiącej jego słabość; do wniosku o upadku prowadzą inne motywy. Cywilizacja zachodnia — mówi Piotr Sawicki, — zdołała w drugiej połowie drugiego tysiąclecia po Chr. stworzyć system komunikacji, łączących wszystkie narody kuli ziemskiej, a dzięki wynalazkom technicznym zdobyła prymat militarny i panowanie nad światem, pokrywając wszystkie jego części siecią kolonji swoich. Panowanie to jednak wiecznem zapewne nie będzie. Z klimatologją Niemca Juljusza Hanna w rękę wskazuje Sawicki na fakt stałej migracji środowisk cywilizacyjnych z południa ku północy. W epoce, poprzedzającej pierwsze tysiąclecie przed Chr., środowiska te widzimy w Memphis, w Tebach, w Niniwie, w Babilonie, t. j. w miejscowościach z przeciętną temperaturą roczną 20 — 25C... Po roku tysięcznym przenoszą się one na północ, do Małej Azji, do Grecji, potem do Rzymu — z temperaturą 15 — 20C. Po narodzeniu Chr. pomimo wielkości Rzymu i kwitnącego życia umysłowego w Aleksandrii, coraz wyraźniej się ujawnia cywilizacyjne znaczenie krajów jeszcze dalej na północ wysuniętych: Francji od strony Zachodu, — od Wschodu zaś Konstantynopola (temp. 10 — 15C.). Wreszcie po roku 1000 ruch cywilizacji idzie w kierunku północy, zwłaszcza

od czasu Reformacji wzmożonem tempo: narody i państwa germańskie i protestanckie stanowczo pod wielu względami wybijają się ponad poziom narodów łacińskich, przeciętna zaś temperatura tylko w Londynie przekracza cokolwiek 10C.; w Edynburgu wynosi 8C., w Chrystjanji—5,2, w Królewcu — 6,6.

Na podstawie tego mielibyśmy prawo przypuścić, że w przyszłości rozkwit nowej cywilizacji nastąpi w miejscowościach z temperaturą poniżej 5C., więc w Kanadzie, w „Eurazji“; czem dziś są dla świata Londyn lub Berlin, tem będą Moskwa z temperaturą 3,9C., Kazań 2,9C., Ekaterynburg (0,5), Krasnojarsk (0,3); Irkuck (0,1). Ale to jest — ostrożnie podkreśla Sawicki — tylko przypuszczenie; byłoby rzeczą śmieszną — dodaje on — tego rodzaju koncepcje klimatologiczno-kulturalne podawać, jako udowodnione naukowo. Ale podobnież nie jest naukowem twierdzenie, że niema teraz i że nigdy nie będzie innej cywilizacji, jęk romano-germańska. Tymczasem na Zachodzie ludzie są naiwnie przekonani, że oni, czyli narody romano-germańskie, to ludzkość i że cywilizacja, którą stworzyli, nie jest cywilizacją pewnej epoki i pewnej etnologicznej odmiany rodu ludzkiego, lecz jest wszechludzką, zamykającą, jak to wypływa zarówno z dzisiejszego pozytywnego, jak też z dawniejszego, idealistycznego ewolucjonizmu Hegla, dzieje rozwoju ludzkości. Nie; zagadka historii nie została jeszcze rozwiązana i nie przyszedł czas na to, aby typ człowieka całą duszą szukającego prawdy miał ustąpić miejsca typowi kulturtregera, narzucającego innym plemionom i narodom swoją mowę, wiarę, obyczaje, państwowość, jako ostatnie słowo postępu.

Na tem stanowisku stojąc, eurazjatyści nie sądzą, ażeby bliski koniec Europy, który przewidywał wielki wizjoner Wł. Sołowjew, miał być też końcem ludzkości. „Nie wolno mówić — cytują oni słowa Hercena w liście do Turgieniewa — o jakimś ogólnym planie rozwoju dziejowego, albowiem plan ten dopuszcza nieskończone i nieprzewidziane warjacje“. ... Historia nie jest wcale tryumfalnym marszem naprzód, lecz „rozczochną improwizacją“, w której niema ani monopolów, ani prerogatyw.

Wobec tego należy postawić pytanie, czem jest Rosja, czy zawsze ma pozostawać na ogonie Europy, jakie widoki posiada na przyszłość. W narodzie rosyjskim, odpowiada na to ks. N. S. Trubecki, przeważa pierwiastek sło-

wiański, ten zaś, zdaniem jego, jest czemś pośredniem między indo-iranizmem a Europą Zachodnią. Dodajmy do tego przymieszkę pierwiastków turańskich, a zrozumimy nieświadome ciążenie Rosji ku Wschodowi. Kultura ludowa rosyjska ma charakter orjentalny; świadczą o tem muzyka, pieśń szczególnie taniec. Ale Piotr W., którego trafnie ktoś nazwał pierwszym rosyjskim bolszewikiem, oderwał Rosję od jej podstaw, przerwał tem samem naturalny bieg jej rozwoju, a Europą jej zrobić nie umiał; takie zasadnicze czynniki kultury zachodniej, jak zmysł, poczucie i świadomość prawa, nie trafiły do duszy rosyjskiej, z drugiej zaś strony Rosja—twierdzi Trubecki, jakby zapominając o wielkich pisarzach i myślicielach rosyjskich—niewiele wniosła do skarbnicy kultury zachodniej. Między inteligencją zaś a ludem rozwarła się przepaść. Gmach pierwotny słowiańsko-turańskiej kultury — czytamy dalej w rozprawie N. S. Trubeckiego — miał nad sobą bizantyńską kopułę i nieźle się trzymał; trzymał się nawet, gdy dobudowano ogromne germano-romańskie piętro; zdawało się, że pod jego kopułą harmonijnie się połączą Wschód z Zachodem, ale oto gmach nagle runął, „a my Rosjanie inteligentni, którzyśmy tyle sił tracili na podtrzymywanie owego górnego, całą dolną budowę gniotącego piętra, o tem tylko myślimy, jak rozwalony gmach według dawnego planu odbudować“... „Owe plany trzeba raz na zawsze porzucić, stara Rosja nie powstanie“.

Natomiast to stwierdzić trzeba, że jedyny zakątek życia rosyjskiego, ta jedyna część gmachu kultury rosyjskiej, gdzie europeizacja nie zdołała przytłumić kultury bizantyńskiej, mianowicie rosyjska Cerkiew, „wykazała dziwną żywotność i gdy wszystko wokoło się waliło, ona nie tylko nie upadła, ale dokonała przebudowy wewnętrznej, wracając do swego bizantyńskiego wzoru“... Więc jako wyznawcy wschodniego prawosławia, uznajemy, że „prawosławie to, zgodnie z właściwościami narodowej psychiki rosyjskiej, powinno zająć stanowisko dominujące w przyszłej Rosji“.

Czyli rewolucja wywoła, nawet już wywołuje rozkwit nowego potężnego życia w Cerkwi — takim jest wniosek diagnozy dokonanej przez ks. Mik. Trubeckiego, wniosek dla Polaka tembardziej niespodziany, że wiemy, iż dotąd jeszcze działa poza granicami Rosji, jako delegat patriarchy Tichona, dobrze nam znany prześladowca unitów na

Chelmszczyźnie, Eulogjusz, osławiony bojownik tego prawosławia, które w istocie swojej było tylko carostwem, narzędziem policji do rusyfikowania obcych wiarą i mową narodów i plemion b. caratu. Ale w imię zasady bezstronności musimy tu dodać, że pogląd Mik. Trubeckiego odosobnionym nie jest, że tegoż samego zdania są inni — i nie tylko Rosjanie. Jeden z najgłębszych i najszlachetniejszych umysłów w Rosji ks. Eugenjusz Trubecki w ostatnim przedśmiertnym artykule swoim, przeznaczonym do *Hibbert Journal*, noszącym datę września 1919 r., pisał o objawach budzącego się w Rosji *) ducha religijnego, który „powoli przeobraża się w potężny wysiłek narodu całego ku odnalezieniu duszy swojej”. Wielka katastrofa rosyjska — dowodził on — pociągnie za sobą wielkie odrodzenie narodowe, którego czynnikiem głównym będzie Cerkiew. — „Wśród Rosjan — czytamy w książce Amerykanina Russell’a o bolszewizmie („*Bolshevism*“ New York 1920) — religja zapuszcza coraz głębsze korzenie; nieraz i do niejednej cerkwi zachodziłem w czasie nabożeństwa; były zawsze przepełnione. Patrzałem na wygłodzone twarze celebrujących kapłanów i na rozmodlone tłumy, w których więcej niż połowę stanowili mężczyźni, w tej liczbie wielu żołnierzy”.

Niema pierwiastka, któryby tak silnie i skutecznie, zapładniając działając w religji, jak krew męczenników, a tej krwi wylano w Rosji dużo. Według obliczeń S. de Chessin’a („*Au pays de la demence rouge*“ Paris 1919), zginęło śmiercią męczeńską 20-tu biskupów i około 800 kapłanów; niektórych przed śmiercią straszliwie torturowano. Biskup Kamieniecki, Ambroży, zmarł na palu; Andronikowi, arcybiskupowi Permskiemu, wyłupiono oczy, potem wleczono po ulicy, w końcu posiekano go na kawałki; biskupa Tobolskiego, Hermogenesa, topiono całe dwie godziny, to zanurzając go pod lodem, to wyciągając na zewnątrz; czterech kapłanów w powiecie Chersońskim ukrzyżowano; innym przed powieszeniem obcinano nosy i uszy, innych jeszcze zmuszano przed śmiercią patrzeć, jak żołnierze gwałcili ich żony i córki. — „Jak każda instytucja — pisze z tego powodu O. Palmieri — identyfikująca siebie z pewnym porządkiem politycznym, miała

*) Szczegół ten, oraz następujące biorę z rozprawy O. A. Palmieri’go „*Bolscevismo e Cristianismo in Russia*“ w miesięczniku „*L’Europa Orientale*“ — luty 1922.

Cerkiew rosyjska swoje grzechy, niemniej jednak przeciw prześladowaniu, które ona cierpi, podnosi w człowieku bunt najelementarniejsze uczucie ludzkości. Krew męczenników przeczyszcza ją, zdobywa jej nowe siły na przyszłość i już tem pociąga ku niej sympatie tych, co mieli ją w nienawiści, jako posłuszne narzędzie w rękę carów“.

Azjatyzm, jako jeden z zasadniczych rasowych pierwiastków Rosji i prawosławia, jako podstawa jej duchowego ukształtowania, oto wnioski, do których doszli młodzi przedstawiciele młodego, dopiero co kielkującego kierunku myśli rosyjskiej. I jedno i drugie — azjatyzm i prawosławie — jest nam głęboko obce, ale ani jedno ani drugie nie brzmi u nich — przynajmniej teraz — przykrym tonem nienawiści i zawziętości w stosunku do innych narodów. I tem korzystnie się wyróżniają od słowianofilów z połowy zeszłego wieku, ci bowiem, uznawszy prawosławie i *samodierżawje* za naczelne dogmaty patryjotyzmu rosyjskiego, nadali prawosławiu jakiś ekskluzywistyczny i agresywny charakter. Charakter ten szczególnie jaskrawo się uwydatnił po roku 1863 i dał początek nacjonalistycznemu fanatyzmowi, który czerpiąc wskazania swoje w naukach tego wielkiego inkwizytora prawosławia, jakim był Iwan Aksakow, szalał po Rosji aż do ostatnich czasów.

„Poznaj siebie, bądź sobą“ — hasło to czy nakaz, mieszczący zarazem w sobie głębokie zagadnienie, znalazł rozwiązanie swoje w eurazjatyzmie, który panazjatyzmem nie jest, bo nie marzy ani o podboju Azji, ani o pochodzie na Europę na czele podbitych ludów azjatyckich. Eurazjatyzm to odwrót do Azji, do najgłębszych źródeł duszy rosyjskiej, to skupienie się w sobie, wypiełgnowanie wielkoruskiego typu, który, jak to wykazały nieśmiertelne dzieła mędrców i poetów rosyjskich, zawiera w sobie zasoby prawdziwej żywotności, którą określić można, jako dążność niezawsze uświadomioną do syntezy Zachodu ze Wschodem.

Choć katedra ta trybuną polityczną nie jest, sędzę jednak, że mam prawo dotknąć tu kwestji konsekwencji politycznych eurazjatyizmu. Dość często daje się słyszeć zdanie, że im bardziej bolszewizm wyniszcza Rosję, tem lepiej dla nas. Nie. Nie tem lepiej, lecz tem gorzej. Bolszewizm to tryumfujące *) *nie*, to zdegenerowana idea

*) Wyrażenie Zeneidy Hippus.

demokratyczna, przeistoczona w absurd usiłujący ściągnąć człowieka na najniższy poziom moralny i intelektualny, to nihilizm absolutny, zaciekle depczący to wszystko w duszy ludzkiej, co ją nad zwierzę wywyższa, to zorganizowany z szatańską przewrotnością wybuch wszystkich instynktów niszczycielskich i wszystkich najpodlejszych apetytów — wybuch, który w końcu wyszedł na korzyść wyłącznie tylko wielkiemu kapitałowi i wielkim bandytom i zrobił z Rosji typowo kapitalistyczne w najgorszym znaczeniu tego wyrazu społeczeństwo, gdzie dziesiątki miljonów mrą w mękach głodowej śmierci, jednostki zaś tuczą się w przepychu i zbytku nieznanym na Zachodzie.

Twierdzić, że bolszewizacja Rosji leży w interesie Polski, znaczy nie umieć myśleć ani politycznie, ani filozoficznie, znaczy na ślepo iść za ciasnym instynktem nacjonalizmu, niezdolnego sięgnąć po za chwilę obecną. Żadne hasła nie trafiają tak łatwo do tłumu, jak te, co niosą negację moralnych podstaw życia, i dlatego bolszewizm jest dżumą, która im dłużej potliwa w Rosji, tem szerzej, głębiej i szybciej zatruwać będzie organizm Polski zarazkami nieuleczalnej zgnilizny moralnej.

Każdy kierunek w Rosji przeciw bolszewizmowi wymierzony jest naszym naturalnym sprzymierzeńcem, ale przede wszystkim mógłby nim być eurazjatyzm, za którym, jak słyhać, stoją zwolennicy jen. Wrangla i który znalazł poparcie w wielkim, przez Piotra Struve'go redagowanym, z Moskwy do Belgradu przeniesionym miesięczniku „Russkaja Myśl“. Pierwszeństwo ze stanowiska naszych interesów dajemy eurazjatyzmowi z tego powodu, że nie idzie on na wędkę imperjalistycznych, a przeciw Zachodowi skierowanych obietnic czy zachcianek. On jest reakcją przeciw polityce carów, która w solidarności swojej z interesami kasty wojskowej i biurokratycznej innego celu, jak ekspansję na zewnątrz, nie znała i tem doprowadziła Rosję do zguby; zamiast ekspansji na zewnątrz, niech celem młodej, odradzającej się Rosji będzie konsolidacja wewnętrzna pod hasłem odwrótu ku Wschodowi. Stąd u wyznawców eurazjatyizmu jakieś *desintéressement* w stosunku do tych pierwiastków Rosji, które, na pograniczu będąc Zachodu, jego wpływom uległy. Niedawno miałem sposobność rozmowy z wybitnym politykiem rosyjskim, sympatyzującym z eurazjatyckimi ideałami. Rozmowa z nim toczyła się po francusku i dla ścisłości po francusku cytuję niektóre jego wynurzenia: „Sans aucun

doute — mówił — les partisans de la régénération russe professent la religion d'une Russie grande et puissante, mais ce n'est pas vers l'occident que leurs aspirations s'inclinent. C'est l'orient, qui est en train de reconquerir son charme et son influence sur l'âme russe"... „Zarzucają nam — ciągnął dalej — że nie uznajemy traktatu Ryskiego. Nie uznajemy go, bo zawartym został z wrogami Rosji. Ale stąd nie wynika, abyśmy nie mieli uznać granic, które wytknęliście tam. Owszem, możebyśmy byli nawet gotowi do większych jeszcze ustępstw od strony północno-wschodniej, tylko nie idźcie z tymi, którzy chcą nas pozbawić jednej z głównych podstaw bytu i życia naszego, zamykając nam dostęp do morza Czarnego“.



III.

Koniec Europy.

1.

Epopoea postępu.

„Już w owych wczesnych latach — pisał Herder w roku 1784 — gdy bogate obszary wiedzy rozścielały się przedemną w swoim pięknym stroju porannym, który błędnie dopiero pod słońcem południa, nie jeden raz zapytywałem siebie, dla czego rzecz każda na świecie ma swoją filozofję i swoją naukę, a nie ma jej to, co nas najbezpośredniej obchodzi — historia ludzkości. I wszystko w zakresie prac moich zawsze mię ku zagadnieniu temu zwracało, zarówno metafizyka i etyka, jak fizyka i przyrodoznawstwo, ale najwięcej moje studia nad religją“...

Pochłaniające go zagadnienie spróbował wielki apostoł humanizmu rozwiązać w duchu humanistycznym w swoich wiekopomnych *Ideen zur Geschichte der Menschheit*. Pierwsza ich część wyszła w 1784 roku, ostatnia w 1791 roku.

Rozumiał Herder zależność człowieka od natury i zapragnął dzieje ludzkości z dziejami przyrody powiązać. „Od nieba — poetycznie się wyrażał — należy filozofję historii zaczynać“, albowiem ziemia, to siedlisko nasze „daje się tylko w chórze światów (im Chor der Welten) właściwie rozpoznać“. Więc „w pochodzie Boga przez naturę“, w myśli, którą On w kolei dzieł swoich przedstawił, trzeba starać się, trzeba umieć przeznaczenie człowieka wyczytać. Jest plan rozumny we wszechświecie, w planie tym poznajemy miejsce wskazane człowiekowi. Na zasadzie tej zbudowane są *Idee* Herdera.

Ale rozumny plan suponuje istotę rozumną, która go obmyśliła, czyli Boga, Stwórcę i Pana, którego czcili prorocy Izraela i nauczyciele Chrześcijaństwa, w czasach zaś bliskich Herderowi — Bossuet, Fenelon i przedewszystkiem najbliższy jemu Rousseau. Ale tego Boga wyodrębnionego od świata Herder uznać nie chciał, nie mógł; przeszedł był przez Spinozę. Z drugiej jednak strony u teologa z zawodu uczucie teologiczne protestowało przeciw topieniu Boga w naturze. I między jednym a drugim, między Bogiem teologii a Bogiem filozofji panteistycznej zawahał się myśliciel. Nie było to dowodem słabości myśli; było sprzecznością, której nie zdoła uniknąć żaden głębszy umysł religijny.

Niejasność w pojęciu istoty Boga nie zachwiała jednak Herdera w przeświadczeniu, że z całkowitą jasnością plan Boży widział i że w głąb jego wnikał. Więc przeznaczaniem człowieka — rozwinąć wszystkie zasoby ducha. Herder nazywał to humanizmem (*reine Menschlichkeit*), wyraz ten streszczał całą jego myśl. Humanizmowi powinny służyć poezja, sztuka, nauka, religja. Człowiek nie posiada „wyrazu dostojniejszego do oznaczenia celu swojego nad wyraz, którym sam siebie określa“. „Humanizm — wyjaśniał to później Wolfgang Menzel — oznacza rozkwit wszystkiego tego, co jest najczystsze, najpiękniejsze, najidealniejsze w człowieku, — ku czemu zdążają czasy wszystkie i narody, a wszystkie instytucje ludzkie prowadzić powinny“. Otóż z tego stanowiska świat przedstawiał się Herderowi, jako organiczna całość, niby roślina, która rozwijając się i rosnąc, ma wkrótce wyłonić z siebie cudowny kwiat. W ciągłości ewolucji, w postępowym locie ku górze miała się streszczać istota dziejów. Narody były nosicielami idei ludzkości. W duszę każdego narodu umiał Herder się wczuwać, każdą kulturę brał on, jako wytwór trzech współdziałających czynników: miejsca, czasu i genetycznego, czyli przyrodzonego każdemu narodowi charakteru. Wszystkie zaś narody zgodnie świadczyły, że uczucia wolności, ludzkości, prawa, bojaźni Bożej są wspólną własnością całego rodu ludzkiego i że, objawiając się w rozmaitych formach, stanowią ową *Civitas Dei*, o której Augustyn Święty marzył.

Cały ten obraz historii przesycony był wiarą we wrodzoną szlachetność człowieka „Nie jest to żadnem płonnem rojeniem — pisał Herder — gdy żywimy nadzieję, że gdziekolwiek teraz są ludzie, tam z czasem staną się

ludźmi rozumnymi i szczęśliwymi, — szczęśliwymi nie dzięki przymiotom umysłu i serca każdej z osobna jednostki, lecz dzięki wspólnemu im wszystkim, a wynikającemu z poczucia braterstwa rozumowi“.

Ogniem natchnienia w rozwijaniu myśli swojej porwał Herder umysły szlachetne, a nastrojone, lub usiłujące siebie nastroić optymistycznie. Oto, co w przedmowie do francuskiego przekładu jego dzieła pisał 40 lat potem, w roku 1827, Edgar Quinet: „Mogę powiedzieć o sobie, że dzieło to, począwszy od owych lat młodości, w których geniusz ludzki staje się dla serca przedmiotem wzniosłych poruszeń, było dla mnie nieusychającym źródłem pociechy i radości; ono mi zastępowało owe uczucia przywiązania do ludzi żywych, które są tak rzadkie i tak gorczą za-prawne, a niedoskonałość ich i próżnię tak prędko poznajemy. Nie, nigdy nie odszedłem od ksiąg Herdera, nie pokrzepiony wzniosłą ideą o posłannictwie człowieka na ziemi — z głębszą, niż przedtem, wiarą w przyjście Królestwa sprawiedliwości i rozumu, z gorętszem oddaniem się sprawie wolności i potrzebom kraju mojego. Ileż to razy, księgi te odkładając, wołałem z głębi serca, przepelnione go radością; oto człowiek, któregobym chciał mieć za przyjaciela“ ... „Na widok tego długiego szeregu narodów i wieków z rokoszą czułem, że nie byłem sam na świecie (*seul dans le temps*)“. Jakaś sympatja serdeczna ciągnęła mnie do tych wszystkich braci moich, którzy, rozproszeni na przestrzeniach czasów, tego samego życia używali, co ja, na tej samej ziemi, pod tem samem słońcem“ ... „Bez wiedzy mojej stara Chaldea, Fenicja, Babilon, Memfis, Judea, Egipt, Etrurja wspólnie się składały na ukształcenie mej myśli; odnajdywałem w sobie ich żyjące dla mnie ruiny i czułem, że to, czem serce moje drżało, nie było przelotnym jakimś błędnym powiewem, ale duszą ludzkości, ogarniającą istność moją, niby dźwięk daleki przez odgłosy wieków niesiony“ ... „Coraz wyraźniejszymi stawały się dla mnie pierwiastki indywidualności mojej; tajemnicę bytu mojego odsłaniały przedemną zwałiska Wschodu, nieme wyrocznie Grecji, milczące puszczce Germanji, płaszczyny Gallji“.

Któżby dziś był w stanie tak myśleć i czuć? Gdyby pisarzowi, obdarzonemu talentem Herdera i jego połotem, przyszło teraz do głowy spojrzeć na historję, jako na objawienie nieskończonej mądrości i dobroci natury, czy Boga, i przedstawić życie narodów, jako nieustające uzewnę-

trznianie się nieskończonych sił i zasobów, służących ku ogólnemu dobru ludzkości, jako epopęę usiłowań, których celem tryumf idei humanistycznej, jak ją Herder pojmował, czyżby przedstawienie takie nie raziło nas, jak razią w ustach człowieka dojrzałego rozumowania dyktowane młodzieńczo-studencką wiarą w złote jutro? Na *Idee* patrzymy dziś, jako na daleki odgłos epoki dalekiej i pięknej, jak sen. Przenoszą nas w lata naszej własnej młodości, tej młodości, co marzeniem żyje i marzeniem zabarwia nietylko przyszłość, ale i przeszłość narodów, tę ostatnią wyobrażając w postaci różanych blasków, zapowiadających słoneczny dzień zwycięstwa odwiecznych ideałów.

I świeżością poranka rzeźwiły *Idee* dusze tych, co szli do nich po światło do rozpoznania historii własnego narodu. Wszak z myśli Herdera, że naród każdy ma swój charakter, duszę, posłannictwo i że w przyszłej humanistycznej epoce szczególnie zaważą Słowianie, jako plemię niezdobywcze, lecz rolnicze, pokojowe, skłonne widzieć w życiu tylko radość i piękno, słowem, plemię „muzykalne”, jak się wyrażał Herder — z myśli tej bierze początek odrodzenie narodów słowiańskich, na niej się opierali Szafarzyk i Kollar, wznosząc niezłomne podstawy świadomości narodowej czeskiej i wiążąc ją z ideą wzajemności słowiańskiej; z Herdera niejedno też wziął nasz mesjanizm, ujmując historję, raczej ideał historii, jako realizację cudownej harmonji, w której narody mają być, jak nauczał Krasiński, tem, czem są nuty w akordzie. Ale Herder pisał w epoce, gdy Niemcy powoli a szczęśliwie wydobywały się z poniżenia politycznego i zacofania kulturalnego i, dzięki temu, z pogodną nadzieją patrzyły w przyszłość, nasi wieszczowie tworzyli na ruinach. Stąd zupełnie odmienny ton u niego i u nich, ale te same oczekiwania i nadzieje. I nie pomylili się przy całym swoim naiwnym optymizmie. Ale cóż? W zjednoczonym, potężnym, zdobywczym, świadomym swej siły cesarstwie niemieckim powstała nowa filozofja historii — przeciwny biegun Herdera — głosząca kult siły, albowiem siła jest znakiem Boga, wyrazem jego woli, więc pierwiastkiem dobra i źródłem prawa — i w imię siły kontynuator Bismarcka w polityce, a komentator jego w pismach swoich, kanclerz v. Bülow, dzielił narody na młoty i kowadła... A Polska? Wolimy nie zastanawiać się nad tem, coby pomyślał, gdyby powstał z martwych i spojrzął na niepodległą Pol-

ską ten, który przepowiadał, że nim „ten jeszcze wiek przeminie — wejdzie ludów lud jedyny“...

2.

Upadek cywilizacji zachodniej.

Po wstrząśnieniach wojny, pod grozą chnury, zapowiadających nowe burze, powstają dziś nowe koncepcje, negujące w dziejach pierwiastek absolutny t. j. myśli wyższej, celowej. „Istnieje tyle systemów moralnych, ile jest kultur. Każda moralność jest zawsze prawdziwą w granicach swojej sfery historycznej i zawsze fałszywą poza jej granicami“.

Słowa te wyrzekł Oswald Spengler w głośnym dziele swoim *Der Untergang des Abendlandes*. Brać Europę, rozumuje on, za środkowy punkt dziejów ludzkości to znaczy przenosić system Ptolomeusza z astronomji do historii (*des Weltgeschehens*). Już czas, ażeby do dziezdziny tej wprowadzonom nareszcie zostało odkrycie Kopernika — a wtedy sam przez się odpadnie bezsensowny. zdaniem tegoż autora, schemat w podziale dziejów na starożytne, średniowieczne i nowoczesne. Wszak istniały i istnieją całe kultury, które dużo ważą, a wielkością pomysłów prześcignęły nieraz hellenizm, w owych ramach jednak pomieścić się nie dadzą. Więc „czy jest w tem sens, gdy stosujemy do nich, jako miarę absolutną, takie idee, które w danej chwili i w danem miejscu zapanowały — np. humanizm, ewolucja gospodarcza, zdobywanie natury, wolność narodów, ogólnoludzka szczęśliwość — idee, których widnokrąg nie sięga poza atmosferę duchową człowieka zachodniego“.

Czyli zamiast postępowego pochodu ku jakiejś jedynej wszechludzkiej kulturze uznać należy równoległość kultur, które powstają, rosną i upadają. Z ich zaś zestawienia wynika, iż Zachód znalazł się obecnie w fazie, poprzedzającej bliski koniec. Wszelka bowiem kultura ma swoją cywilizację, która ciąży nad nią, jako nieubłagane, nieuniknione *fatum*. Zachód z okresu kultury już wszedł w okres cywilizacji, więc pędzi ku śmierci... Co to ma znaczyć? Jaka różnica — pytamy — między jednym a drugim, kulturą a cywilizacją? Kulturę, odpowiada Spengler, tworzą indywidualności wyższe. Ona jest wynikiem walki o urzeczywistnienie, o tryumf tej idei, tego sposobu ujmowania świata i życia, który cechuje daną grupę ludzką,

naród, czy narody. Gdy się wyczerpały wszystkie możliwości, zawarte w twórczości religijnej, artystycznej, literackiej, politycznej i społecznej owej grupy, wtedy kultura kostnieje i staje się cywilizacją. W Grecji stało się to za Filipa i Aleksandra Mecedońskiego, u nas — w epoce rewolucji francuskiej i Napoleona. Voltaire, Rousseau, Beaumarchais, Mirabeau z jednej strony, z drugiej — Sokrates, Izokrates, Arystofanes są sobie współcześni. W obu epokach — ten sam negatywny stosunek do tradycji, te same marzenia o prawie natury, o wolności i równości, aż do żądania wspólnoty we władaniu ziemią i innymi dobrami, te same utopje polityczne, tam — u Xenofonta, Platona i Arystotelesa, tu — u Rousseau, Kanta, Fichtego, St. Simona, te same szturmowanie do okopów Św. Trójcy i egzekucje masowe, ta sama wreszcie rezygnacja wraz ze złożeniem nadziei wszystkich na jakimś demokratycznym Napoleonizmie.

Pojęcie zaś idei, stanowiącej duchowy pierwiastek kultury, Spengler ściśle połączył z ideą przeznaczenia pojętego nie jako posłannictwo, lecz jako coś, co wisi nad człowiekiem, „co człowiek pierwotny czuje niewyraźnie i z niepokojem, a człowiek z kulturą usiłuje wypowiedzieć w swoim poglądzie na świat (*Weltanschauung*), nie z pomocą jednak dowodów i pojęć, bo to się nie da, ale przez medium religji i sztuki“. Słowem, to coś pośredniego między misją a *fatum* — i gdyby Spengler myślał religijnie, to swoją *Schicksalsidee* powiązałby z ideą grzechu pierworodnego, czyli owej wielkiej pierwotnej katastrofy, przez którą człowiek odpadł od Boga i, odpadłszy, za powrotem do utraconego raju wzdycha. W *Schicksalsidee* „objawia się najwewnętrzniejsza tęsknota duszy, jej żądza światła, jej zrywanie się do lotu, do spełnienia i urzeczywistnienia powołania swojego“.

Podstawę wszelkiej kultury stanowi religja, z cywilizacją zaś, jako logicznym zakończeniem kultury, uroczyście wkracza bezreligijność. Cywilizację cechuje przede wszystkim oderwanie od matki—ziemi, przewaga wielkich miast, wielkomiejskiego trybu życia i myślenia. W mieście skupia się życie rozległych krajów i — zamiast zrośniętego z ziemią ludu, pojawia się i zapanowuje nowy typ — nomada, pasożytnika. Jest to *der Grossstadtmensch*, bezreligijny, duchowo bezpłodny, ale inteligentny. Cywilizacja to zwycięstwo zimnego, praktycznego rozsądku (*Tatsachensinn*) nad czcią dla tradycji, to zatarcie szerokich wid-

nokręgów we wszystkich rodzajach twórczości, to zagaśnięcie wielkiej sztuki, wielkich systemów myślowych, wielkich stylów, to sceptycyzm w filozofji i gadulstwo w polityce — w postaci retoryki — za czasów starożytnych, dziś zaś — dziennikarstwa, które stoi na usługach wielkiego kapitału i, niby to ucząc myśleć, nakręca myśl i wolę narodu do pozionych materialnych celów i ideałów, szumnie głoszonych na szpaltach organów rozmaitych czy to wyłącznie finansowych, czy polityczno-financeowych przedsięwzięciach. A wślad za tem wszystkim idzie fizyczny dekadans, bezdzietność, zwyrodnienie rasowe.

Wyrazem tego wyczerpania sił żywotnych w naszej dzisiejszej wielkomiejskiej cywilizacji jest socjalizm. Socjalizm tem jest w niej, czem stoicyzm był w Grecji i Rzymie a buddyzm w Indjach. Wygląda to na paradoks, przywykliśmy widzieć w stoicyzmie filozofję, odciągającą od praktycznych zadań życia. Stoicyzm stwierdzał, że świat się rozpada i umiera i, rękę na pulsie jego trzymając, z marmurowo zimną rezygnacją przypatrywał się jego konaniu. Buddyzm szedł dalej jeszcze; od świata uciekał w głąb jaźni, aby nicestwić w niej wolę życia i do nirwany przygotowywać. Socjalizm zaś, przeciwnie, nie do ucieczki wzywa, lecz do walki, do rewolucji w imię raj, który tu jeszcze, na ziemi, nastąpi.

Wszystko to prawda, ale jest, zdaniem Spenglera, wspólna a zasadniczo ważna cecha, która węzłem bliskiego pokrewieństwa łączy stoicyzm, buddyzm i socjalizm. Tą cechą — nihilizm w stosunku do cywilizacji. I jeśli socjalizm, zamiast tylko odwracać od ideałów, które przewodziły kulturze i cywilizacji, całą siłę namiętności skierowuje ku ich zniszczeniu, jest to wynikiem psychologii Zachodnio-europejskiej. Dusza jego była zawsze „wolą, siłą i niczem więcej“, teraz się wyczerpała, lecz dynamicznie pozostały w niej właściwości, które skłonność do *Sturm und Drang'u* wywarzają. Cała zaś kultura Zachodu nosi na sobie pieczęć ducha narodów germańskich, t. j. aktywizmu, indywidualizmu, zwyciężania przeszkód, pędu w nieskończoność; *das Grenzenlose* jest tam celem ambicji, to, co Nietzsche jako wolę potęgi określał — bodźcem do czynu. Stąd tyranizm nie tylko wobec teraźniejszości, ale w poglądzie na przyszłość; chciałoby się zawczasu mieć ją w rękę, ujarzmić, zorganizować

„Wola potęgi“ podzieliła Europę na dwa światy, dwa obozy gotowe do starcia się ze sobą, do walki, nawet już

walczące — na robotników i na potentatów finansowych i mózgowych (*grosse Geld und Gehirnmenschen*). Kto w końcu zwycięży, czy wielki kapitał, ów Lewiatan, jak go nazywał Wojciech Dzierżyński, czy, jak w Rosji Sowieckiej, demagogi i bandyci, którzy na zwaliskach potęgi Lewiatana sami nowy kapitalizm urządzać poczną — jest to rzeczą obojętną, bo bez względu na to, kto tu ma słuszość — Dzierżyński czy Spengler — obaj zgodnie stwierdzają koniec dotychczasowego porządku i cywilizacji. Ale Dzierżyński wzywał jeśli nie do walki z rewolucją i z Lewiatanem, to do przetrwania epoki kataklizmów, przetrwając zaś ci, co umieli zachować coś z kultu dla przeszłości, ludzie religijni przede wszystkim, oni to będą owymi siłaczami, którzy może zdolają uratować nad przepaścią staczający się świat. Spengler zaś o żadnej walce nie myśli, bo śmierć idzie i żadna siła jej nie powstrzyma; różnica między nami a Rzymem, gdy się rozpadał, w tem, że „my umierać będziemy z całą świadomością, badając wszystkie stadia rozkładania się z biegiem czasu doświadczonego lekarza“...

Ale zanim to nastąpi, można jeszcze na wzburzonym morzu chwycić się jednej, ostatniej deski ratunku i czas jakiś wśród rozpetanych żywiołów na niej się utrzymać. Tą deską — duch pruski; nie wybawi on od śmierci, którą niesie socjalizm, ale spełnić może funkcję owych ostrych środków podniecających, których wstrzyknięcie przedłuża na chwilę życie.

Myśl tę rozwinął Spengler w rozprawie *Preussenismus und Socialismus*. Duch pruski to imperatyw moralny Kanta oddany na służbę państwu. „Nigdy — czytamy tam — nie zrozumie Anglik — zresztą świat cały nie rozumie tego, — że ze stylem pruskim wiąże się głęboka niezależność wewnętrzna. Albowiem system *obowiązków* społecznych daje człowiekowi myślącemu rozumnie i szlachetnie rękojmię suwerenności w świecie wewnętrznym, która w żaden sposób pogodzić się nie da z systemem wymagań jednostki od społeczeństwa, przeistoczonych w prawa, — a na tem polega indywidualizm angielski“... Wierny zaś idącej od Hegla tradycji filozoficznej niemieckiej, sprowadził Spengler ów „system obowiązków społecznych“ do obowiązku bezwzględного oddania się państwu, jako najwyższej świętości. Ale wszystko, co człowiek uznał za świętość, wszystko, co z najgłębszych głębin jego duszy powstało i jest mu dzwignią i światłem w życiu, wszystko to krwią się trzyma

i krwi wymaga. Wojna przeto jest „wiekuistą formą wyższego bytu człowieka na ziemi i dla wojny istnieją państwa, wyrazem są gotowości do wojny, i gdyby wyczerpany jakiś i bezduszny naród wyrzekł się i wojen i państwowości swojej na wzór Rzymian z ostatnich czasów cesarstwa, lub dzisiejszych Indusów i Chińczyków, to spadłby do poziomu rzeczy, o którą inni wojny między sobą prowadzą”. Na ten poziom nie spadną Niemcy, dzięki stylowi pruskiemu który ich ukształcił; świat się wali, oni jedni mężnie dołrzymają do końca. Tak sądzi Spengler.

3.

Upadek cywilizacji w świetle fizyki.

Dzieło swoje zakroił Spengler, na wielką miarę. W tomie pierwszym mamy przed sobą imponujący wyraz uniwersalizmu ducha niemieckiego, podziwiamy w nim zarówno ogrom wiedzy i czytania, jak też intuicyjna, nieraz z paradoksem graniczącą bystrość syntetycznych spostrzeżeń i domysłów. Pod względem bogactwa treści nie może mu oczywiście dorównać i nie rości pretensji do tego szczupła rozmiarami swemi rozprawa R. Świętochowskiego,^{*)} ale zasługuje na uwagę tem, że autor, poruszając ten sam przedmiot, co Spengler — znaczenie i grozę socjalizmu, jako czynnika nie tylko rozkładowego, lecz i nie dającego się w żaden sposób usunąć lub pohamować — oświecił rzecz tę, jako przyrodnik, zupełnie nowem światłem.

Z zarozumiałą sufizancją przyrodnika spojrział on na daremne usiłowania humanistów, daremne z tego powodu, że wprowadzają do pojęć ludzkich „nieustalone pojęcie o nieskoriczoności” — i zamknął się w kole ciśniejszem i dostępniejszem fizyki, bo fizyka, jako „badanie prawidłowości zjawisk występujących w przyrodzie” (określenie Smoluchowskiego), jest podstawą nauk; wszystkie od niej pochodzą, „tu mamy poszukiwać najgłębszych syntez, najszerzych poglądów, najpewniejszych podstaw w granicach ludzkiej poznawalności” — i dzięki fizyce przyszłość przestaje być — „nietkniętą zagadką, terenem dla wróżbity, szarlatana, czy wieszczka, a rozwiera się przed nami jasnym, otwartym horyzontem”... „Syntezy fizyki

^{*)} „Zanik energii społecznej w świetle fizyki” (Warszawa, Wende).

są to jedyne ogniska światła, rozdzierającego mrok niewiedzy naszej; są to jedyne gwiazdy, około których kręca się planety myśli naszych, sądząc, że płasają swobodnie; od nich, jako od źródła, rozpocząć musi bieg swój każdy nowy prąd naukowy. Nazywają się też dla tego zasadami, albo postulatami fizyki“.

Fizyka zaś postawiła obok postulatu zachowania energii, jako postulat drugi, zasadę entropji, czyli dążności do równomiernego wszędzie rozproszenia energii cieplnej. „Wszystkie — tłumaczył zasadę tę prof. August Witkowski — nagromadzone zapasy energii zamienić się muszą stopniowo w ciepło, a ciepło to, rozchodząc się drogą promieniowania, równa i zatrze wszystkie różnice temperatury między częściami układu“. Innemi słowy, przyroda zdąża do sprawiedliwości idealnej, do sprawiedliwego podziału tej siły życia, jaką ma w sobie, a sprawiedliwość prowadzi za sobą spokój, czyli, że wszystko w przyrodzie, wszystkie jej energie, które skutkiem nierówności burzą się, walczą ze sobą i, walcząc, żyją pełnią życia i twórczości — wszystkie zrównają się w nieruchomości idealnego bezwładu, w martwocie, która jest śmiercią. Więc nie życie, lecz śmierć jest ostatecznym celem wszechświata. „Taką jest — głosi Świętochowski — olbrzymia redukcja zagadnień, jaką daje zasada entropji, takim — posępne proroctwo, jakie nieomylnie stawia.“

Przenieśmy tę zasadę do historii; da ona szeroką syntezę, tę samą nawet, którą dawał Herder, tylko w innym oświeceniu. Wraz z Herderem uznamy, że dźwignią ludzkości; jej celem idealnym jest humanizm — i nie będzie to w sprzeczności z myślą jego, gdy ideał humanistyczny określimy wyrazem *sprawiedliwość*. Wyraz ten w zastosowaniu do historii rozumiemy, jako stałe, stopniowe zdobywanie przez ogół ludzki praw, które przemocą przywłaszczyły sobie jednostki. Bez względu na postawienie zasady sprawiedliwości, jako hasła i celu, socjalizm prześcignął wszystkie inne kierunki, musi przeto zwyciężyć. Ale zastanówmy się, czym jest socjalizm. W najgłębszej swej treści, odpowiada na to Świętochowski, „z energetycznego punktu widzenia — bez frazesów i złudzeń — socjalizm zdąża do najmniejszego wysiłku w stosunku do osiąganey korzyści“. „Nienawisć do pracy — wyraża autor myśl tę samą jaskrawiej jeszcze i silniej — jest w bezpośrednim i przyczynowym związku z walką o sprawiedliwość powszechną“... „Jest to rozumne kon-

sekwentne, konieczne nawet, jako objaw tej tendencji w przyrodzie, o której Witkowski powiedział, że *przyroda ma wstręt do wszelkich stanów materji wyjątkowych nadzwyczajnych, do takich mianowicie, które przedstawiają wielkie nagromadzenie energii*“.

Otóż socjalizm zwyciężył w Rosji. Więc zapanowała tam śmierć? — Tak — i to prędzej, niż można było przypuścić. Ogół ludności wymiera w mękach powolnego konania z głodu; tych zaś, co u szczytu stali, już zadreżczono do śmierci. Ale socjalizm zetknął się tam z tym imperatywem w naturze i życiu, jakim jest *Wille zur Macht* i — ustąpił. To znaczy, że zdradzili wodzowie jego: „To do czego dążyli“ i czego pragnęli, okazało się niemożliwością. Głosili antymilitaryzm — tworzą wciąż nowe armje. Żądali usunięcia dyscypliny z wojska — zaprowadzili najsurowszą ze znanych na świecie. Za wszelką cenę pragnęli pokoju — wypowiedzieli wojnę wszystkim. Protestowali przeciwko karze śmierci i — mordowali tysiącami. Wymagali swobody przekonań, a przewyższyli inkwizycję pod względem braku tolerancji. Uznając wolność prasy, zniszczyli tę wolność bezlitośnie. Przyznali robotnikom prawo bezrobocia i zmów, a zaprowadzili przymusowe roboty pod grozą kul i bagnetów. Potępiali żandarmów, a stworzyli czterydziestą. Glorifikowali równouprawnienie i usunięcie przywilejów, a dali przywileje swej armji i podzieliли ludność na kategorie. Obiecywali raj swobody, szczęścia i rozwoju, a dali piekło niewoli, rozpacz i ruiny“.

Zdawałoby się, że po takim eksperymencie socjalizm powinien zbankrutować. Do wniosku tego bylibyśmy gotowi przechylić się, my, humaniści. „Nic podobnego — mów nam na to przyrodnik — „pomimo najsmutniejszych doświadczeń, pomimo odstrasających przykładów, pomimo zaciętego oporu, jaki stawiają przeciwnicy socjalizmu, socjalizm zdobywa i zdobywać będzie coraz większe zastępy wyznawców, żadna moc nie stłumi działania entropji na ludzkość“. Socjalizm, wbrew nielogiczności ideału swojego, zwycięży — i to w tej właśnie formie, jakiej chrzą doktrynerzy. Zamiast „olbrzymich wodospadów energii, która, na nierówności materjalnej oparta, burzyła i tworzyła, do brodziejstwem będąc dla jednych, a przekleństwem dla drugich“ — nastąpi jednolita nieruchomość absolutnej równości w posiadaniu dóbr materjalnych i wszelakich praw społecznych... „Nie będzie krzywdy, ale i nie będzie radości“.

Nie będzie to jednak końcem, zasada entropji nie będzie jeszcze wyczerpaną. Powstaną inne nierówności, duchowe, te, które natura sama tworzy, nierówności inteligencji. Demokratyzm wystąpi wtedy w postaci, która nam dzisiaj potworną się wydaje, t. j. pod hasłem zwalczania wybitnie zdolnych jednostek. I stanie się to sztandarem, wiarą mas. Zabrzmi hasło: „proletariusze umysłowi, łączcie się, niech żyją równość i wolność; łączcie się do walki z supremacją umysłową, z władcami dusz, z panami myśli ludzkiej“. Można przypuścić, że powstaną wówczas „związki głupców“, „rady delegatów umysłowo upośledzonych“, że szerzyć się będą „strajki wykonawców małej myśli“. Zapewne też nauka będzie posuniętą tak daleko, że „dzięki reglamentacji związków małżeńskich i urodzin, a z pomocą chemji, chirurgji, odżywiania i hodowli uda się znaleźć zapobiegawcze środki przeciwko wyskokom zbytnej inteligencji“...

Tak zażartował p. R. Świętochowski, ale jakże żart ten bliskim jest prawdy. Nie żywiłem żadnych złudzeń co do kultury i charakteru rewolucji rosyjskiej. Już na samym jej początku, w masowych rzeziach oficerów, przez marynarzy dokonywanych, wystąpiła dzikość mas w całej obrzydliwości swojej, a dzikości tej pobłażliwie i nieraz pieścizotliwie, nawet jej błogosławiąc, przyglądali się sentymentalni frazesowicze, którzy z Kiereńskim na czele zostali w pierwszej chwili postawieni u steru Rosji. Gdy jednak pierwszy raz, w maju 1918 r., z ust lekarza, wracającego z Petersburga, usłyszałem, że na niektórych sztandarach widnieje tam napis „*dołoj inteligencja*“, nie chciałem temu wierzyć, wziąłem to za przesadę, za objaw tego strachu, „który ma wielkie oczy“ i widzi to, czego inni nie widzą. — Dziś żądaniu wyrażonemu na owym napisie stało się zaćdość, inteligencję albo wymordowano, albo zniszczwiono moralnie, zmuszając ją do służenia katom Rosji. „Zen tropizmowanie“ nieszczęśliwego tego kraju przeszło łatwiej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Przychodzi kolej, według autora „*Zaniku energii społecznej*“, na inne rasy i narody.

4.

Pax Japonica.

W roku 1921 wyszła rozprawa prof. Florjana Znanieckiego pod tyt. „Upadek cywilizacji zachodniej“. Do

filozofów pesymistów autor jej nie należy; o stosowaniu zasady entropji do dziejów ani pomyślał, obcą mu również jest Spenglerowska zasada równoległości kultur, wykluczająca ciągłość postępu. Przeciwnie, cywilizacja nowożytna, zachodnia nie może, zdaniem jego, zamrzeć z wyczerpania; wyższością jej w porównaniu ze wszystkimi uprzedniami, oraz rękojmią dojrzałości jest to, że stanowi ona „kombinację cywilizacyj licznych odmiennych grup narodowych, rozwijających się mniej lub więcej współrzędnie i zapładniających się nawzajem“. Gdyby więc obaloną być miała, to tylko drogą jakichś gwałtownych przewrotów społecznych. W chwili obecnej stoi ona mocno pod względem naukowym, filozoficznym, artystycznym, mocną nawet wydaje się w niektórych objawach swoich — moralnie i religijnie; „bynajmniej nie jest w przededniu śmierci; przeciwnie, żywotniejsza jest, niż kiedykolwiek“. Postawiwszy sobie jako cel zapanowanie nad naturą, „zyskuje ona na rozmachu i wpływie z każdym krokiem w kierunku swego urzeczywistnienia,“ — „treść jej stała się tak bogatą, że żaden umysł ludzki nie zdoła objąć jej całości“.

Ale ten tryumfalny pochód ma swoją słabą stronę. W miarę bowiem zdobywania natury, rosną, mnożą się sposoby zdobywania i zapewniania sobie dobrobytu materialnego. Bogactwo indywidualne i społeczne przybrało takie rozmiary, jakich nigdy jeszcze nie posiadało — i w końcu ze środka stało się celem, religią, która wytwarza nietylko wyznawców, ale i męczenników. Innej podstawy, jak materializm, religja taka mieć nie może. Rozwojowi zaś cywilizacyjnemu nieodstępnie towarzyszy i wraz z nim wzrasta dążność do wolności politycznej i społecznej. „Pracowaliśmy przez wieki — mówi autor — aby wyzwolić człowieka z więzów dawnej dyscypliny zewnętrznej, które cywilizacja przeszłości zostawiła w spuściznie“ — ale wolność wymaga dyscypliny wewnętrznej, tej zaś stworzyć nie umieliśmy — gorzej — „dając duchowi ludzkiemu wolność, której potrzebuje dla swego postępu, rozluźniliśmy zarazem więzy bestji ludzkiej“ i nie jesteśmy w stanie nad nią zapanować. Od czasów odrodzenia włoskiego, wskutek niespodziewanych powodzeń i zdobyczy w zakresie wiedzy przyrodniczej i jej zastosowań w dziedzinie praktycznej, wzrastał się w prądach umysłowych nastroj antyspirytualistyczny — i w usiłowaniach zmierzających do wytłumaczenia świata myśl, idąc drogą najmniejszego oporu, zawiązała do tego wygodnego portu, jakim jest materializm ze swoją

tak prostą i łatwą, racjonalną systematyzacją zjawisk życia, wykluczającą dalekie widnokreśli ducha i wyzwającą człowieka z niepokoju, którym go tajemnicza nieskończoność dręczy.

Z materializmu wypływa negacja wolności woli; materializm jest deterministyczny, determinizm zaś, przetwarzając człowieka we własnym jego o sobie mniemaniu w marionetkę poruszaną przez ślepe siły natury, prowadzi za sobą obniżenie poziomu jego charakteru. Dla tego to z taką słuszną troską patrzył w przyszłość Europy z jej cywilizacją wielki moralista i myśliciel szwajcarski Karol Secrétan. Działanie filozofii deterministycznej innym, a nie mniej nas niepokojącym światłem oświecił prof. Znaniecki: „Determinizm — słowa jego — działa na masy w podobny sposób, jak wiara w niewzruszone wyroki Opatrzności Bożej działała w pierwszym okresie rozwoju chrześcijaństwa; daje on niezachwianą pewność urzeczywistnienia tego stanu społecznego, którego się pragnie i który przyjdzie musi, bez względu na to, co ludzie czynią, aby mu zapobiedz”. Dzięki temu, destruktoryzm socjalistyczny, przedstawiany jako konieczność dziejowa, przeciw której bezsilną jest wszelka inna potęga, z taką łatwością szerzy się wśród mas i nie tylko nie wyrabia fatalistycznej bezczynności w szeregach wyznawców swoich, lecz, przeciwnie, pobudza ich do wysiłku w celu przyspieszenia tego, co jest nieodzowne, a ma im zapewnić wszystkie rozkosze dobrobytu.

Destrukcyjizm ten, oparty na nawskroś materialistycznym poglądzie na zadania i cele człowieka, „wzniósł sztandar, dokoła którego zbierają się i organizują te siły wszystkie, które pchają ludzkość wstecz do stanu dzikości; nie stworzył on tych sił, lecz wyniósł je na powierzchnię życia społecznego z podziemi, w których się kryły i dodał im odwagi do czynnego przeciwstawiania się twórczej mocy ideałów kultury”. W destruktoryzmie tym i nihilizmie widzimy ostatni etap stopniowej degeneracji, jakiej ulegała idea demokratyczna.

Albowiem wślad za uznaniem zasady głosowania powszechnego, którą Flaubert nazywał „la honte de l'esprit humain”, idzie to, co Arystoteles określał, jako ochlokrację, czyli panowanie motłochu, prowadzonego przez sprytnych a podłych demagogów. Ochlokracją wyraża się „w nienawiści względem ideałów i wartości, których klasy prowadzące są przedstawicielami, oraz w dążeniu do zajęcia

ich miejsca. Nie są te klasy przodujące bez winy; należało już sto lat temu zrozumieć, zdaniem autora, że życie ekonomiczne nie da się oddzielić od życia politycznego; przyjęto ideę równości ludzi „jako podmiotów moralnych, t. j. jako członków społeczeństwa, opierającego się, lub przynajmniej pragnącego się oprzeć na porządku moralnym, a dopuszczono, że stan ekonomiczny milionów pozostał na poziomie, graniczącym z nędzą; nie przeciwdziałano dostatecznie ślepej grze sił ekonomicznych i brutalnej potędze chciwości ludzkiej“. Ale to wszystko nie usprawiedliwia tej zaciekłej nienawiści, z jaką wystąpiły czynniki destrukcji: „Fala ochłokracji szybko się wznosi dokoła nas; jeżeli jej nie powstrzymamy odrazu jakimś nadzwyczajnym wysiłkiem geniusza i energii, zmiecie ona rzeczywistych budowniczych naszej cywilizacji, zburzy ich plany i pozostawi ich niedokończone dzieło stopniowemu upadkowi“... „Proces, przez który masy dojdą do władzy, będzie szeregiem szybko po sobie następujących wybuchów tłumnych, które zniszczą nasz dorobek kulturalny i wywołają radykalne zmiany w psychologii ludu“.

Grozę tego horoskopu powiększa rzecz, na którą ani Spengler, ani Świętochowski nie zwrócili dostatecznej uwagi—to mianowicie, że wbrew powszechnemu mniemaniu tryumfy socjalistycznego i w pozorach swoich kosmopolitycznego ochłokratyzmu nie wykluczają imperjalizmów rasowo - narodowych. Wszak bolszewicka Rosja równie jest imperjalistyczną, jak przed tem carat; Anglja i Włochy ze swemi bardzo demokratycznymi rządami są u szczytu agresywnej ekspansji; dziki imperjalizm pożera również nowoutworzone państwa i państewka, szczególnie zaś silny wzrost dążeń tego rodzaju i namiętności znajdujemy „w grupie rasowej, która nie posiada ani rządu, ani terytorjum — u Żydów“. Zastanawiając się nad tem, dochodzi autor do smutnego wniosku, że walki narodowościowe są jeszcze dopiero u swojego początku. A pomimo to jakich strasznych dokonały już spustoszeń moralnych! Cechą nowożytnego nacjonalizmu jest używanie siły pięści, jako jedyne go argumentu — i przed siłą tą wszystko się ugnie. Państwo już służy narodowi, naród zaś w dzisiejszem pojęciu „jest przedewszystkiem grupą rasową, w dalszym ciągu ciałem politycznem i dopiero na ostatniem miejscu społecznością kulturalną“, czyli główną jego funkcją jest istnienie i wzrost. Międzynarodowe organizacje, które z nacjonalizmem rywalizować próbowały, uległy mu;

Kościół nie śmie się wtrącać do walk narodowościowych i socjalizm też z rzeczywistością tą się pogodził. Dawny duch hord koczowniczych z ich najazdami odżył i wśród rozmaitych narodów objawia się w rozmaitych postaciach: „w brutalnym, a głęboko obmyślanym niemieckim *Drang nach Osten*, w równie daleko widzącym, lecz mniej otwartym, kolonialnym i kontynentalnym imperjalizmie Anglii, w wyrafinowanej, a starannie ukrywanej dążności do panowania nad światem, będącej odwiecznym, a dziś możliwym do urzeczywistnienia marzeniem rasy żydowskiej“. Wobec tego nacjonalizm, o ile w rozpędzie swoim powstrzymanym nie będzie jakimś nadzwyczajnym, nie dającym się przewidzieć siłami, stać się musi potężnym czynnikiem rozkładu i śmierci cywilizacji, a to tembardziej, że w wojnach, które dotąd były żmiosłem i zadaniem armji zawodowych, stanowiących małą część ludności, bierze dziś udział ludność cała; jedynym celem i miarą wartości takiej wojny jest „zniszczenie przeciwnika wszelkimi środkami, na jakie zdobyć się można“, te zaś środki „rosną w potęgę z zatrważającą szybkością; postęp techniki pozwala nam przewidywać coraz straszliwsze narzędzia destrukcji“...

Więc w przeciwieństwie do nadziei trwałego pokoju, którą łudzili się idealisci, narzuca się wniosek, że wkroczyliśmy w okres ciągłych wojen narodowych, „bardziej destrukcyjny, niż jakikolwiek znany w dziejach od piątego wieku naszej ery“. Najboleśniejszą zaś rzeczą jest tkwiąca w rozpasaniu nacjonalizmu tragedia, która łamie każdy umysł szlachetny, spragniony harmonji między uczuciem patriotycznym a ideałami wszechludzkiej jedności, żaden bowiem naród „nie może dziś pozwolić sobie na dążenie do ideału narodowego w jego czystej postaci, żaden nie może zaprzestać walki o panowanie nad innymi i ich wyzyskiwania, ani też zrzec się niemoralnych sposobów walki, o ile inne narody nie zrezygnują również ze swych imperjalistycznych celów i niemoralnych środków“.

Straszne *memento* co do możliwości bliskiego urzeczywistnienia wszystkich najczarniejszych wniosków o upadku i konaniu Europy mamy w obrazie dzisiejszej bolszewickiej Rosji, wymierającej z głodu w swoim bolszewickim raju. A przewrót ten dokonał się tak niesłychanie łatwo! Nic dziwnego; wypływało to z charakteru narodowego, w którym tak silnym jest instynkt niszczenia,

oraz z warunków historycznych. Maurycy Paleologue przytacza zdanie bystrej obserwarki, która świadkiem była rozruchów agrarnych koło Saratowa w 1906 roku. Żadne hasła, czy to polityczne, czy społeczne, nie robiły wrażenia na chłopach, porywała ich tylko dramatyczna strona rewolucji, pochody czy to z czerwonymi sztandarami, czy z ikonami, rzezie, rozstrzeliwania, orgie wyuzdanych zmysłów, zapijanie się aż do śmierci, pożary...*) Ale po wybuchach szału przychodzi opamiętanie, skrusza, apatyczne poddanie się sile, jakakolwiek się znajdzie i jakakolwiek ona jest. Prawdziwym Rosjaninem pod względem namiętności niszczycielskich był Piotr Wielki, On to wykoleił Rosję i pchnął na drogę rewolucyjnych, zrazu tylko pałacowych, potem coraz dalsze kręgi zataczających przewrotów. Człowiek ten — charakteryzował go dygnitarz rosyjski w rozmowie z nie chcącym tego uznać posłem francuskim **) — był największym rewolucjonistą czasów naszych, pierwszym bolszewikiem; w ciągu 40-letniego panowania niezmiennie trwał w roli buntownika względem własnego narodu; on się porwał na wszystkie tradycje rosyjskie i obyczajowe, on nie oszczędził cerkwi; on burzył dla samej radości, jaką mu burzenie sprawiało, dla cynicznej rozkoszy łamania oporów, gwałcenia sumień, zabijania przyrodzonych, z duszą zrośniętych uczuć... I odtąd rewolucjonści rosyjscy, nie zdając sobie sprawy z tego, przejmowali się ideałami dzikiego cara i dotychczas śladami jego kroczą, żywią tę samą, co on, fanatyczną nienawiść do przeszłości i tak samo, jak on, wyobrażają sobie, że zdolają ukazami i torturami przeobrazić duszę narodu.

Nic fałszywszego, jak wmawiać w siebie, że rewolucja bolszewicka będzie odstrasżającym przykładem dla Europy. Wygodny ten, zachęcający do bezczynności i dla tego zyskujący coraz liczniejszych zwolenników pogląd znalazł w osobie Znanieckiego stanowczego i rozumnego przeciwnika. Słusznie przypomniął on pogodzonemu z bolszewizmem politykom, że historia wszystkich rewolucyj jasno wykazuje, iż dla sprowadzenia przewrotu społecznego wcale koniecznym nie jest, aby większość, albo choćby poważna mniejszość miała określony zamiar zburzenia starego ustroju i stworzenia nowego porządku. Wystarcza, aby większość niezadowoloną była z istniejącego stanu rzeczy, a wtedy grupa ludzi energicznych i sprytnych, zdecydowa-

*) W „La Russie des Tsars pendant la guerre”. **) ib.

nych na wszystko i wolnych od skrupułów moralnych, — a takimi są komuniści, których nie brakuje w żadnym kraju — z łatwością zdoła wyzyskać niezadowolenie i zorganizować drżące w masach dzikie antykulturalne popędy. Więc w najlepszym razie tego tylko spodziewać się na Zachodzie można, że klasy przodujące, lepiej tam przygotowane do walki, dłużej stawiać będą opór, ale opór taki przyczyni się tylko do spotęgowania nienawiści w zrewolucjonizowanych masach. Niema zaś podstawy do uwierzenia, aby „motłoch polski, niemiecki, francuski, czy amerykański, pobudzony przez walki klasowe do gwałtownych czynów, był o wiele mniej okrutny, niszczący, bezmyślny, niż motłoch rosyjski“.

Według prawa historii po akcji zwykła następować reakcja — i rewolucja europejska, w razie tryumfu swego, powinna przedzieć czy później ustąpić pod naciskiem wrogich jej z zasady lub oszukanych przez nią i zniechęconych żywiołów. Tego jednak, zdaniem autora, tym razem nie będzie; w przeciwieństwie do wszystkich kontrrewolucyj z przeszłości, rewolucja przeciw - bolszewicka nie doprowadzi do ustanowienia rzeczywistego ładu; bolszewizm dał każdemu z ludu możliwość rabowania stworzonych przez cywilizację dóbr zewnętrznych i tem samem uczynił go raz na zawsze niezdolnym do uczestniczenia w wewnętrznym życiu twórczym, które stanowi właściwą istotę kultury ludzkiej. Słowem, bolszewizm, poderwawszy psychiczne podstawy pracy, zostawi po sobie zwyrodniałą fizycznie i duchowo społeczność, w której zabraknie „konstrukcyjnych elementów politycznych, zdolnych do owdzielenia państwem i utrzymania zdeorganizowanych mas w porządku“.

Więc co się stanie, co nas czeka? Może — odpowiada autor — jakiś dobrze zorganizowany naród wschodni będzie umiał narzucić nam panowanie swoje i swoją kulturę; może to panowanie rasy żółtej nad białą okaże się najbardziej pożądanym rozwiązaniem zagadnienia ze stanowiska postępu ludzkości, może nastąpi coś w rodzaju nowej *Pax Romana*, mianowicie *Pax Japonica*.

5.

„Guerre absolue“.

Pax Japonica... Odwet Azji, sądny dzień, żółte niebezpieczeństwo!.. Pod wrażeniem książki Znanieckiego

rozprawiano o tem wszystkim niedawno w nielicznem kole. Ale czy nie jest — usłyszeliśmy z ust bardzo wybitnego człowieka — nierównie groźniejszym, bo bliższem, bezpośredniem niebezpieczeństwo białe? — w tem znaczeniu, że zanim zdołają przyjść żółci, narody białe wytępią się wzajemnie. Wojny Napoleońskie były wojnami europejskimi, teraz widzieliśmy wojnę światową; walczono w Europie, Azji, Afryce, na wodach Pacyfiku. Miało to być wojną ostatnią, „wojną przeciw wojnie“ — tak ze strony państw ententy trąbiono — po złamaniu i zniszczeniu groźnego militarystycznego miały spaść na znużoną ludzkość błogosławieństwa wieczystego pokoju. W rezultacie widzimy dziś militaryzację tych obu największych mocarstw świata, które dotychczas wszystkimi siłami broniły się przeciw temu — Anglii i Ameryki; równolegle z tem podwoić się muszą militarystyczne wysiłki Japonji, Narody wszystkie stanęły uzbrojone od stóp do głowy w oczekiwaniu bliskiej chwili, w której świat przeobrazi się w jedno wielkie pole rzezi, jakiej nie widziano jeszcze.

Słowem, nasienie rzucone przez rewolucję francuską wydało plon, albowiem rewolucja francuska — mówi marszałek Foch,*) — była nietylko filozoficzną, polityczną, socjalną, ale była także militarną; wypowiedziawszy wojnę królom i tyranom, zwycięsko przeciwstawiła ich nielicznym, lecz wyćwiczonym armjom naprędce sformowane bandy pospolitego ruszenia, w których naukę i doświadczenie zastępowała namiętność zapału patryjotycznego. Ideę narodu, jako uzbrojonej całości, od Francuzów w lot pochwycili Prusacy. Gneisenau i Scharnhorst byli rzeczywistymi twórcami powszechnej służby wojskowej; system militarny, brutalny i najkosztowniejszy, jaki się da pomyśleć, stał się podstawą potęgi Prus i siłą rzeczy przyjąć go musiały inne państwa. Odtąd myśli o wojnie, *wojnie absolutnej* zagarnia wszystkie dziedziny życia, wszystko przenika, wszędzie się przeciska, przed tą światowładną panią kapitulują wszystkie potęgi duchowe i fizyczne.

Znakomity teoretyk wojskowy, Prusak, jen. Clausewitz, użył pierwszy, czy jeden z pierwszych, wyrazu *absolutny* w zastosowaniu do wojny, aby tem zaznaczyć, że jej celem jest i być musi nie częściowe, lecz zupełne, absolutne obezwładnienie i zmiażdżenie przeciwnika. Przed-

*) W „Les principes de la guerre“.

miotowi temu poświęcił G. Batault całą rozprawę.*) Nad całym życiem społecznym — czytamy tam — nad wszystkimi jego objawami dominuje wojna, jako objaw najdonioślejszy i najtragiczniejszy. Wojna modeluje państwa i społeczeństwa według obrazu i podobieństwa swojego, ona im narzuca formy swojej ewolucji, prawa swojego postępu. Gdy wybucha — wszystkich ogarnia przerażenie, jak gdyby się stało coś nietylko strasznego, ale i nadzwyczajnego, niespodzianego; przerażenie jest zrozumiałe i słuszne, lecz dziwić się ludzie nie mają powodu; wojna nie jest plagą przejściową, nie jest przypadkiem, ale jest prawem, kierującym ewolucją społeczeństw ludzkich. Dawniej, gdy losy państw i narodów leżały w ręku monarchów, wojnę prowadziły tylko wojska; od czasu zwycięstwa idei demokratycznej wojują narody; pod broń powoływani są wszyscy z wyjątkiem starców, kalek, kobiet i dzieci. W roku zaś 1920 już dzieci broniły Warszawy. Widzieliśmy również oddziały kobiece — i w wojnie przyszłej niezawodnie nastąpi ujęta w ścisłe przepisy mobilizacja kobiet do pełnienia funkcji pomocniczych. Wojskowość zatacza coraz szersze kręgi, metody wojny stają się coraz sroższe i okrutniejsze, pod tym względem niema żadnego cofania się, przeciwnie, ciąglej postęp, ale postęp, który się dokonuje w kierunku odwrotnym do aspiracji ludzkich.

Ten zaś postęp w militaryzowaniu ludzkości wymaga jak najdalej idącej centralizacji w państwie. Rozwojowi centralizmu państwowego, czyli, jak się dziś mówi, etatyzmu sprzyjały i sprzyjają zarówno demokratyzm epoki naszej, jak i jej industrializm. Etatyzm to okup za urzeczywistnienie powszechnej, demokratycznej, wszystko niwelującej równości, rodzącej obawę, że ktoś rozumny i silny może się wybić ponad poziom: *suverenne* masy instynktowo dążą do rozciągnięcia najściślej kontroli nad wszystkimi dziedzinami życia i w tym celu żądają skupienia całej władzy w ręku rządu, który one stwarzają, rządu zaś takiego hasłem i celem — dogodzenie ich apetytom.

Z drugiej strony postęp w kierunku industrializacji zrobił to, że produkcja ogromnie przerasta zapotrzebowanie. Państwo zmuszone będąc wskutek tego ratować swój przemysł, tworzy taryfy celne, dopomaga w szukaniu ryn-

*) „La guerre absolue. Essai d'une philosophie de l'histoire“. (Paris, 1919).

ków zbytu, w końcu przystępuje do anektowania niezajętych jeszcze obszarów w innych częściach świata. Ale to ostatnie prowadzi za sobą konieczność zbrojeń — i wielki przemysł z wytwórcami przedmiotów wojennych na czele staje się stronnikiem, podporą militarizmu.

Słowem, rosnący industrializm, komercjalizm, etatyzm dają w wyniku powszechną militaryzację świata, czyli pokój zbrojny. A czemże jest pokój taki, jeśli nie wojną ukrytą, a nieustannie grożącą wybuchem wojny jawnej. Na ziemi jest coraz ciśniej, przeciwieństwa interesów między narodami stają się z tego powodu coraz znaczniejsze, nienawiści narodowe i rasowe coraz gwałtowniejsze — i w nagromadzonym przez militarizm materiale palnym każda iskierka wywołać może każdej chwili straszliwy, niszczący pożar.

W powojennym chaosie „dostrzedz można, — powiedział G. Batault, — chyba tylko jedno: oszalała ludzkość, zaślepiona w namiętnościach swoich, olśniona marzeniami, biorąca ostatni błysk gasnącego dnia za świt przyszłości i, w upojeniu pieśnią o powszechnem szczęściu, po potokach krwi, która ją obryzguje, ciągnącą ku przepaściom nocy“... „Widowisko to w sercu myśliciela, który przestał wierzyć w mądrość tłumów, w postęp i w przyszły wiek złoty, budzi uczucie dolegliwego smutku i nieskończonej litości dla ludzi“.

Więc rozpacz, zrezygnowana rozpacz, jako logiczny wniosek, jako jedyne ujęcie dla rozmyślań nad powojennym stanem świata. Czyżbyśmy mieli pójść za współczesnym myślicielem włoskim *al tramonto di tutte le vane illusioni, di tutti gl'inutili sogni di potenza e di felicità* i razem z nim uznać, że jedynym rozumnym celem życia jest tego życia negacja?*) Ale to pesymizm, to śmierć — powiedzą nam — to wpuszczanie trucizny w organizm narodu, który dopiero co odzyskał niepodległość... Nie wolno — odpowiemy na to — człowiekowi bać się prawdy, chrześcijaninowi zaś nie wolno zapominać, że „świat w złem leży“ i że przeto wojowanie z tem złem stanowi istotę powinności naszej. Negacja zaś życia, czyli, przekładając to na język Schopenhauera, wyrzeczenie się woli życia jest w treści swojej walką z owym pierwszym zasadniczym instynktem, którego po-

*) Silvio Pagani: „Il mondo come volonta di vita e come volonta d'antivita“ (Lugano 1920).

wszechnym objawem jest walka o byt wraz z wynikającym stąd imperatywem niszczenia przeciwnika, niszczenia wszystkiego, co w poprzek mojemu egoistycznemu interesowi staje.

Imperatywowi temu uległa ludzkość. Narody europejskie ruchliwe, bujne, pełne twórczej energii stały się panami świata i straszny imperatyw do wysokości naczelnej zasady życia podniosły. Dźwignią psychiczną ich czynności była żądza złota i potęgi, podstawą duchową — prawo mocniejszego, które, jak nas uczono, jest prawem rozumem, twórcą cywilizacji. Stąd owa *bestialita razionalis* — najgorsza forma bestjalizmu — zarówno w filozofjach rewolucyjnych, wzywających do walk klasowych, jak w filozofjach imperjalistycznych, głoszących walki narodów; stąd bestjalizm praktyczny, w którym pogrążyła nas wojna i z którego nie widzimy 'wyjścia.

Jedno jest jasne — to, że przed początkiem historii rodzaj ludzki padł ofiarą tajemniczej katastrofy, którą Kościół grzechem pierworodnym nazywa, — i że w grzechu tym leży. Ale obok przyrodzonego instynktu życia, który jest afirmacją mojego ja przeciw wszystkim innym jaźniom i w grzechu pierworodnym zatwierdza człowieka, istnieje drugi instynkt, metafizyczny, religijny, który filozofowie pesymiści głosem rozumu nazywają, instynkt, nakazujący walkę z grzechem, z bezrozumem, ze wszystkimi ciemnymi mocami w sobie samym i w świecie. Nieliczni są ci, którzy zdolni są za głosem instynktu tego pójść, ale oni są „solą ziemi“, bez względu na to, czy zdołają toczącą się w przepaść Europę wraz z jej cywilizacją uratować, i nie jest to zatrutowaniem narodu chcieć, ażeby w nim było jaknajwięcej do owego szczupłego grona należących.



ZAKOŃCZENIE.

Przedrukowując szkice niniejsze, pisane przeważnie wczasie wojny i nie długo po niej, nie jeden raz zapytywałem siebie, czy warto ponownie je ogłaszać, czy nie są one już anachronizmem. Politycznie, stoję dziś na tem samem miejscu, na którem stałem w sierpniu 1920 roku, w owych dniach apogeum potęgi Sowietów, gdy hordy czerwone pędziły na Warszawę, gdy się zdawało, że już bije ostatnia godzina Polski i że bliską jest chwila, w której runie pod ciosami bolszewictwa stary gmach cywilizacji europejskiej. Jak wówczas, tak teraz widzę w bolszewictwie niebezpieczeństwo straszne, grożące Europie cofnięciem jej wstecz o cały szereg wieków, powrotem do barbarzyństwa. Niestety, z uczuciem bólu stwierdzam, że ci, co wtedy zgodni byli ze mną, daleko odemnie odeszli, przyjąwszy, jako podstawę politycznej konsolidacji Polski, zwłaszcza w jej stosunku do Rosji, owo dzieło zbrodniczej lekkomyślności, które traktatem Ryskim nazywają. Stoję wobec nich, jako zacofaniec, maroder przeszłości, człowiek bez jutra, nad którym zwycięsko przeszedł prąd życia.

Po zwycięskim w r. 1920 odparciu najazdu my, zwycięscy, zawarliśmy z pokonanym wrogiem pokój, o jakim dotychczas nie słyszano w historii. Stanęliśmy przed nim, jako strona pobita, uniżenie o zmiłowanie żebrząca. Komisarze bolszewicy, w słusznem przeświadczeniu, że Polska zażąda przesunięcia granic swoich aż po Berezynę i Dniepr, nakazali ewakuowanie całego ruchomego majątku z całego obszaru Orszy i Smoleńska, my zaś, ku ich zdumieniu, zamiast zatrzymać przy sobie zagarnięte przez nas i do nas garnące się obszary, oddaliśmy im na pastwę i śmierć te nawet, które przed najazdem w ręku naszym były: Mińszczyznę, część Wołyń, Podole! Przeszliśmy przez nową Targowicę, tem się od tamtej różniąc, że rolę skonfederowanych i spiskujących przeciw państwu przyjęli ci, co na czele państwa stali. Czyż mamy się

dziwić, że republika sowiecka ma nas w pogardzie, że zobowiązań nie spełnia, że powrotowi zakładników i repatriantów przeszkadza, że jej patrole nieustannie się wdzierają w granice nasze, uprowadzając obywateli naszych. A my na to wszystko odpowiadamy grzecznymi notami i traktujemy Sowiety, jako zaprzyjaźnione mocarstwo!

Bolszewizm — wciąż słyszę z ust polityków — przestał być groźnym; przywódcy jego pogrążyli Rosję w chaosie i nędzy, z której wyjścia niema; poznawszy swój błąd, robią zwrot na prawo, ale bez skutku; im dłużej stan ten potrwa, tem lepiej dla nas; Rosja odrodzona, carska, czy konstytucyjna, byłaby stokroć dla nas niebezpieczniejszą.

Przeciw rozumowaniom tym protestuję całą mocą sumienia. Świadczą one o opadnięciu poziomu moralnego, o tem, że u nas, — i nie tylko u nas, na całym świecie — „trzeba budzić do życia — słowa Leona Kozłowskiego*) — dusze martwe, których już żadne cierpienie nie wzrusza i żadna ohyda nie odstrasza, budzić trzeba sumienie ludzkości, które obojętnie patrzy na rzeczy najstraszniejsze“ Mereżkowski ogłosił w r. z. list zbiorowy matek rosyjskich, błagających o ratunek dla dzieci: „Świecie Boży! Zabierz dzieci nasze! Wyzwól je z rąk katów i odstępców Boga! Zlitujcie się nad nimi, nie znającemi ani jednej radości z tych, jakie ma dziecko ostatniego nędzarza w innych krajach!... „O nas nie myślcie. Dla nas niema ratunku. Już nie marzymy o tem, aby się wyrwać stąd. Ale szczęśliwe będziemy szczęściem matek, które wiedzą, że ich dzieciom dobrze jest. My syte będziemy chlebem każdym, który myślą ujrzymy w rękach dzieci naszych; my się ogrzejemy, widząc, że im jest ciepło. I nawet śmierć radością będzie dla nas, bo wierzymy, że dusze nasze będą widziały, jak rosną one na ludzi uczciwych i kochających ojczyznę swoją“... „Wam, ludzie świata całego, przekazujemy nasze ostatnie i jedyne błaganie: przyjdźcie po dzieci nasze!“... „Dzieci szczęśliwe, dzieci szczęśliwych krajów, prosicie i wy o dzieci nasze!“ — „Takiej męki — pisał z tego powodu Mereżkowski — jeszcze od początku świata nie było, takich słów jeszcze nigdy nie mówiono. Przyszły historyk — jeżeli wogóle czasy dzisiejsze będą miały historję swoją, jeżeli nie skończyła się już historja świata —

*) Por. „Św. Gwalbert i Sowiety“ w *Tygu. Polskim* № 20 1922.

wskaże na ten list, jako na dokument jedyny. jako na najstraszniejsze z naszych strasznych czasów”...

Rosja, jest naszym wrogiem historycznym. O emigracji rosyjskiej w jej znacznej większości, wiemy że niczego się nie nauczyła i niczego nie zapomniała. Przeniesione do Belgradu „*Nowoje Wremia*” nauczało nas niedawno z cyniczną, ale rozbrajającą w naiwności swojej otwartością, jak powinniśmy byli postąpić: należało nam prowadzić wojnę z Sowietami aż do ostatecznego ich zniażdżenia, a potem zwrócić Rosji te wszystkie ziemie, któreby uznała za swoje. W nagrodę za to zawarowałyby nam po wieczne czasy nietykalność tych ściśle etnograficznych granic, w którychby się zamknęło nasze mikroskopijskie państewko *). Ale gdzie są te granice? Wszak pamięłamy, jak przed wojną nam dowodzono, że odwiecznie rosyjskim jest Lublin, rosyjskim — Sandomierz, rosyjską — Galicja i Małopolska aż po sam Kraków! Ale czyżby ten tak charakterystyczny dla Rosji absolutny amoralizm polityczny, idący w parze z przejęciem się zagadnieniami moralnymi i szukaniem namiętnej absolutnej prawdy moralnej, miałby nas uprawniać do odpłacania tem samem? Nigdy. Wszelkie rozrachunki polityczne ustąpić powinny wobec straszego, niesłychanego w historii faktu wymierania całego wielkiego narodu w mękach głodowej śmierci — narodu, który świeci w dziejach ducha nieśmiertelnemi imionami Puszkina, Lermontowa, Gogoła, Hercena, Lew Tolstoja, Włodz. Sołowjewa i tylu, tylu innych, ale demoralizowany przez władców swoich i do ostateczności wycieńczony wojną wpadł wskutek tragicznego zbiegu okoliczności w ręce zgrai zbrodniarzy przeważnie obcych jemu wiarą i rasą i, pomimo rozpaczliwych prób, o własnych siłach już się nie wydostanie. Niech więc polityka ustąpi tu miejsca głosowi sumienia, sumienie zaś nakazuje podać rękę ginącemu i podnieść go z łoża tortur, na którem leży rozciągnięty przez oprawców swoich.

Głos zaś sumienia jest tu głosem rozumu. Rozkładający się bowiem bolszewizm równie groźnym jest dziś, jak w owych dniach apogeum swojego, gdy Warszawa miała lada chwilę stać się jego zdobyczą. Rozkazuje nadal wszystkim wyrotowym potęgom Europy i z upartą energią przygotowuje wybuch powszechnego pożaru, bo „nie wyratujemy głów

*) Por. artykuł z dn. 23 maja 1922 roku.

naszych — mówił Trocki (14 kw. 1918 roku) — jeśli rewolucja rosyjska nie zamieni się w rewolucję wszechświatową“. I myśl ta, postulat ten przewija się odtąd nitką czerwoną przez oświadczenia i mowy wszystkich ich przywódców. Trzecia Międzynarodówka komunistyczna niczem innym nie jest, jak ekspozyturą rządu sowieckiego, organem oddziaływania jego na cały kontynent. „Prawdziwymi jej wodzami są i muszą być — powiedział komunista norweski Fries — wodzowie zwycięskiej sowieckiej Rosji“. I zgodnie z tem, według statutu owej Trzeciej Międzynarodówki, naczelne stanowisko w jej Komitecie Wykonawczym należy do partji komunistycznej „tego kraju, w którym komitet rezyduje“. Ze zaś rezyduje w Rosji, więc delegaci rosyjscy nim kierują, nadając mu jego terytorystyczny charakter. „Trzecia Międzynarodówka jest organizacją bojową“ — tak jej zadanie określał Rozenfeld-Kamieniew. „A zatem — twierdził Apfelbaum-Zinowjew w mowie wygłoszonej w Halle w 1920 roku — nie może ona się wyrzec systemu terroru; terror jest koniecznością, bez terroru niczego się nie osiągnie“ *). Każde wrzenie czy to u nas, czy w Europie, strejk każdy, każdy bunt w wojsku, rozmaite, a nieraz w pozorach swoich niezgodne ze sobą objawy niezadowolenia mas — wszystko to dzieje się według planu starannie opracowanego i ustalonego w r. 1918. Propaganda bolszewicka objęła, podług sprawozdania III międzynarodówki z 1921 roku, 49 państw, nie licząc w tem Rosji; prowadzoną jest z pedantycznym obmyśleniem każdego szczegółu; naprz. Anglja podzieloną została na 26 sekcij z 79 organizacjami lokalnymi, które obsługiwane są przez 172 agentów pierwszej kategorii, 450-tu — drugiej i 617-tu — trzeciej. Wszyscy są sowiecie opłacani. Każde państwo ma swoją prasę codzienną i periodyczną; same Czechy posiadają 56 pism, po nich idzie Francja (51 pism). **) Nie poprzestając na rozbudzaniu najniższych apetytów i wywoływaniu rozruchów, akcja bolszewicka godzi w same podstawy społeczeństw, namiętnie się rzuca na religję, podkopuje się pod uczucie patriotyczne, wszędzie natomiast podsycając szowinizmy nacjonalistyczne, wszędzie niszcząc w ten sposób z szatańską przebiegłością moralne pierwiastki oporu. W r. 1921 koło trzech milionów uświadomionych komunistów tworzyło kadry „rewolucyjnej armji proletariatu“,

*) Por. „Komintern a Sowmarkom“. Cz a s, Nr. 180, 1922. **) *ib.*

idącej na zniszczenie świata*). Słowem eksperyment rosyjski już „zamienił ogromną część ciała Europy w gnijący wrzód... **)

Ten wrzód zjada Polskę, znajdując szczególnie podatny grunt w narodzie równie wrażliwym, jak niekrytycznym. Wszyscy wiemy o Dzierżyńskich, Marchlewskich, Cichockich, o licznym Polaków udziale w krwawych orgiach bolszewickich. Słyszając o nich, niejednen z nas spotyka imiona ludzi, których znał, jako ludzi przyzwoitych, i nie posądzał, ażeby stać się mogli sługusami katów i oprawców. A u nas? Pod kierunkiem posta „suwerennego“ Sejmu, Dąbala, prowadzoną była na rzecz Sowietów akcja szpiegowska, w której przeważnie brała udział młodzież. Najboleśniejsem zaś w tem nie to było, że młodzież przejmowała się hasłami bolszewickimi, ale że się okazała tak moralnie tępą i zwyrodniałą, iż za pieniądze szła przeciw ojczyźnie i służyła jej wrogom*).

Tylko solidarne działanie narodów i państw Europy mogłoby ją nad skrajem przepaści uratować przed pędzącą od Rosji nawałą najdzikszych i najpodlejszych poządliwości i namiętności. Ale czy można tu uwierzyć w solidarność i mówić o niej, gdy w ciągu całego stulecia filozofowie, prawnicy, publicyści zgodnie, za nielicznymi wyjątkami kilku idealistów bez wpływu, pracowali nad uśmierceniem idei wszechludzkiej chrześcijańskiej jedności i zastąpieniem jej hasłami egoizmów narodowych!

Wyobraźmy sobie Australczyka, który w Europie nigdy nie był, jej stosunków politycznych nie badał, ale zna ją z dzieł jej poetów i myślicieli i przez pryzmat ich natchnień wielkich i szlachetnych na nią patrzy. I oto mówią mu o zagładzie, grożącej jej od barbarzyństwa zewnętrznego i współdziałających z nim wrogów wewnętrznych. Zapytany o zdanie i radę, jedno tylko mógłby powiedzieć, — że wspólnymi siłami Europa bronić się musi i że obowiązek ten spada w pierwszym rzędzie na tych, co na pierwsze ciosy są narażeni: na Niemcy, Polskę, Węgry, Rumunję. Jakieżby jego ogarnęło zdumienie, gdyby się dowiedział, że myśl ta jest absolutnie niewykonalną, bo po czteroletnim krwawym szale wojny szal ten solennie usankcjonowanym został w Wersalu podziałem naro-

*) *ib.* ***) Por. Fr. Potocki: „Dekadencja Europy“ C z a s, Nr. 109, 1922.

****) Por. Iza Moszczeńska „Komunizm wśród młodzieży“ w Tygodniu Polskim, № 32, 1922.

dów na czyste i nieczyste. Więc narodem nieczystym aż do października 1922 roku były Węgry, bo walczyć musiały po stronie państw centralnych. Ukarano je, zabrano im ^{2/3} ich ziem i na straży upokorzonego i spętanego złoczyńcy postawiono Czechy, Jugosławję i Rumunję. Polskę łaskawie zaliczono do narodów czystych i w dbałości o jej zdrowie, chroniąc od obcowania z zapowietrzonym, nie dopuszczono jej do wspólnej granicy z Węgrami, naczelnikowi zaś państwa Polskiego, który się urodził i wychował w uciskanej i rusyfikowanej ojczyźnie Kościuszki i Mickiewicza, kazano jechać do Bukaresztu i tam w uroczystej mowie życzyć Rumuńskiemu królowi powodzenia w uciskaniu i rumunizowaniu „zjednoczonej z macierzą” ojczyzny Petöfiego i Jokaya....

Ale wśród narodów nieczystych tym, który najbardziej zawinił, są oczywiście Niemcy—i oni to przedewszystkiem powinni być traktowani z bezwzględną surowością, należy ich raz na zawsze ubezwładnić; tego z obawy przed przyszłym odwetem żąda Francja — i jak przed wojną, tak teraz Europa stoi pod znakiem francusko-niemieckiego antagonizmu. Więc w interesie Francji leży stłumienie w zarodku samej możliwości jakiegobądź porozumienia między Niemcami a Polską; wzajemne antypatje obu narodów rozpalamo do białości, aż w końcu wytworzył się taki stan umysłów, że ze szpalt poważnego i skądinąd umiarkowanego pisma „*Preussische Jahrbücher*” rzuconem zostało hasło *delenda est Polonia*, jako naczelne przykazanie niemieckiej polityki narodowej.

Ażeby zaś przykazanie to spełnionem być mogło, Niemcy idą w objęcia sowieckiej Rosji i wbrew rzeczywistej woli swojej, wbrew instynktowi narodu, w którym zmysł ładu jest tak silnie rozwinięty, zawartym został traktat w Rapallo. Chcąc się zabezpieczyć przeciw lidze narodów „czystych”, nie zawahały się Niemcy, innego środka nie widząc, wpuścić w swoje wnętrze zarodek bolszewickiej zgnilizny. Tem samem Francja znalazła się w sprzeczności z własnymi zamierzeniami: chciała mieć w Polsce swój wschodni przeciw Niemcom posterunek, tymczasem w następstwie jej polityki, prowadzonej u nas z zapalem godnym lepszej sprawy, przez p.p. Skirmunta i Piltza, Polska ściśniętą jest i zamkniętą w obręcz, z której wyjścia niema.

Niemcy są narodem filozofów, każdy swój krok potrzebują filozoficznie uzasadnić—i oto w sprawie przymierza

z Rosją już się zadania tego podjął jeden z profesorów filozofji, Max Wundt. Po katastrofie 1806 roku — dowodzi on*)—odrodzenie Niemiec przyszło ze wschodu, dzięki zbliżeniu się do Rosji, to samo stać się musi teraz. Na wschodzie — przyszłość Niemiec. Upojone ponętami perspektywami dalekiej, zamorskiej polityki kolonjalnej, Niemcy za mało się troszczyli o mocny grunt pod sobą na lądzie; niechże teraz zrozumieją, że na wschodzie, w Rosji szukać należy mocnej kontynentalnej podstawy dla całego ich bytu, ślepym być trzeba, aby tego nie widzieć, że losy Rosji i Niemiec są nierozzerwalnie i na zawsze ze sobą spojone. Niemcy są głową na ogromnem ciele wschodu, jego mózgiem; *In Deutschland liegt für immer das Ge-nirn der östlichen Welt.*

I to nawiązanie i wzmocnienie na zgubę naszą starych węzłów z Rosją doszło do skutku w chwili, gdy węzły owe zdawały się starganymi i rozluźnionymi po wojnie, gdy przeświadczenie o grozie wszechniszczącego imperjalizmu Moskwy wchodziło w świadomość ogółu niemieckiego. Jeden z najpotężniejszych umysłów w Niemczech, niedawno zmarły ekonomista i filozof Max Weber pocieszał siebie w strasznych dla patriotyzmu niemieckiego listopadowych dniach 1918 roku tem, że jednak Niemcy złamały Rosję i nikt im tej chwały nie odbierze. „Skończyło się panowanie nasze — pisał w liście prywatnym**) — przyszedł czas na hegemonję Ameryki; jest ona nieuniknioną tak, jak'nią była światowa hegemonja Rzymu po wojnach Punickich. *Sie ist höchst unerfreulich...* ale miejmy nadzieję, że Ameryka dzielić wszechwładzy swej nie będzie z Rosją i to (t. j. niedopuszczenie Rosji do stanowiska dominującego) powinno być celem naszej przyszłej polityki, bo niebezpieczeństwo rosyjskie usunięciem jest tylko na teraz, nie na zawsze***). Podobnież prof. Hans Delbrück, polemizując z poglądem adm. Tirpitz, że jeszcze w czasie wojny można było i należało szukać porozumienia z Rosją, kosztem odpowiednich ofiar, wygłaszał, iż twierdzenia podobne świadczą o zupełnej nieznamości aspiracyj rosyjskich, rosyjskiego panslawizmu i neoslawizmu. Zadowolić byle czem żarłoczność rosyjską

*) „Vom Geist unserer Zeit“ (Munchen, 1920). — Słowa autora przytaczam w skrócie.

**) „Gesammelte politische Schriften“.

***) Die Russische Gefahr ist nur für jetzt, nicht für immer beschworen.

nie było pobobieństwa. Uгода z Rosją pociągałaby za sobą opuszczenie Austro - Węgier, uznanie panowania rosyjskiego nad Polską, nad Słowiańszczyzną, nad całym wschodem Bałkańskim, wraz z Bosforem, Dardanelami, Małą Azją nawet. Czyż mogły Niemcy na tę drogę wejść?*) . Ze wszystkich kwestyj przez wojnę podniesionych, kwestja polska przedstawiała, zdaniem tego pisarza, największą trudność, ale wśród rozmaitych sposobów jej rozwiązania austro-polski był najmniej dla państwa niemieckiego niebezpiecznym, przy tem daleko patrząca polityka powinna była jaknajdalej pchnąć Polskę ku wschodowi, aby ją w tym kierunku utwierdzić.**)

Stało się inaczej. Konsekwencje traktatu Wersalskiego sprawiły to, że dziś „jak głowa i tułów, tak Niemcy i Rosja należą do siebie; *wer sie trennt, tötet beide*“ ***)

I pewne siebie, dzięki sile, którą mu pomoc niemiecka przyniosła, bolszewictwo rosyjskie dumnie wkroczyło do Genui, zaproszone przez Europę do „braterskiej współpracy“ w sprawie odbudowy życia gospodarczego. Więć także i może głównie — w sprawie odbudowy wyniszczonej, wygłodzonej, nieszczęśliwej Rosyi. Ale nie zaproszono dla dogodzenia Sowietom przedstawicieli narodów przez bolszewików pokonanych i pod jarzmem ich jęczących, jak Gruzja i Armenja. Nie widzieliśmy również przedstawicieli Rosji. Wprawdzie był tam Rosjanin czystej krwi, Jerzy Cziczerin, szlachcic, rodzony bratanek jednego z najgłębszych i najdostojniejszych myślicieli rosyjskich, ś. p. Borysa Cziczerina, ale był i zasiadał przy stole obrad nie w roli delegata narodu swojego, lecz jako agent międzynarodowej spółki zbrodniarzy, morderców i oszustów, która zawładnęła Rosją. Znałem go przed laty. Wszechstronnie wykształcony, z umysłem rozległym, równie się interesującym zagadnieniami polityki, jak filozofji, a wrażliwym na piękno artystyczne, on pierwszy z Rosjan, — a może i jedyny — odczuł czar tak obcej duchowi rosyjskiemu poezji Słowackiego. Odczuł w ustępach, które przytoczone były w rosyjskim przekładzie książki mojej „Mesjaniści i Słowianofile“.

*) Por. *H. Delbruck*: „Ludendorff, Tirpitz. Falkenhayn“ (Berlin 1920). Ten sam pogląd zarysował się już w książce tegoż autora „Krieg und Politik“ (1918).

**) Eine sehr weitsichtige Politik hätte sogar soweit gehen können, den Polen nach Osten möglichst viel einzuräumen, um sie ganz und gar in dieser Richtung fest zulegen (*Op cit.* s 12)

***) Słowa prof. Maxa Wundta *op. cit.*: por. S. 93.

Pod wrażeniami ich zapragnął po polsku się nauczyć: „Jest to cudowne aż do szaleństwa (*eto dô bezumja czudno*) — pisał wkrótce potem do mnie o Słowackim i Krasińskim — ten olbrzymi *Schwung*, to upojenie nieskończonością, melancholja, ten rozmach fantazji, ten blask i ta wspa- niałość barw! Podziwiasz pan Shelleya, ależ Shelley w porów- naniu z nimi to suchy pedant, jak zresztą wszyscy esteci angielscy“... Poezja polska nauczyła go sympatycznie sprawę polską rozumieć. Z radością donosił mi o wydru- kowaniu w Berlinie obu broszur swego stryja: o kwestji polskiej i o Rosji w przededniu XX wieku. W obu tych szlachetnych protestach idealizmu rosyjskiego przeciw poli- tyce ówczesnej upatrywał zapowiedź zwrotu w życiu poli- tycznym rosyjskiem i bliskie zwycięstwo inteligencji, gdy zaś „inteligencja — dowodził w liście z końca 1900 r. — dojdzie do wpływu na politykę, to poziomą praktyczność zastąpi ona wielkodusznością i tem wykaże, że jest rzeczy- wiście praktyczną: wszak siła moralna musi w końcu wiaść górę nad potęgami materjalnemi i cisi — powiedziano w Ewangelji — odziedziczą ziemię“. — Wybuchnęła wojna z Japonją: „gdy się dowiedziałem — pisał pod pierwszym wrażeniem — o pierwszym nocnym ataku z dnia 27 stycz- nia, zdało mi się, że torpedowce Japońskie przeszyły ciało moje“... „Dusza moja łączy się z duszą mojego ukocha- nego ludu rosyjskiego w przeszłości, teraźniejszości i przy- szłości, a heroizm żołnierza rosyjskiego w Sewastopolu, na Szypcy, albo w Port Arturze odbija się w mojem sercu“... tem bardziej, że „położenie nasze — skarżył się w innym liście — jest straszne, straszne. Nieprzyjaciół zewnętrzny uderzył na nas, a nieprzyjaciół wewnętrzny *) nas gnębi: Rosja stanie się pustynią, a lud rosyjski wyginie“. (*La Russie deviendra un desert, le peuple russe wird ausster- ben müssen*).

Nie przeczuwał, to pisząc, że ta straszna prze- powiednia się spełni i że spełnienie jej będzie w znacz- nej mierze jego własnem dziełem. Czy więc sprzeniewierzył się ideałom swoim, pamięci swego stryja? Oczywiście tak, ale tego człowiek ten nie czuje, sumienie go nie gry- zie. Widzimy w nim typowy okaz prostolinijności myślenia rosyjskiego, stanowiącej nieszczęście narodu tego, grunt, na którym idee wywrotkowe powstają i szerzą się Opozy- cyjność w stosunku do rządu zwróciła go w stronę rewolucji:

*) T. j. ówczesny system Plewe'go.

zrazu, w czasie wojny Japońskiej, toczyła się w nim walka między uczuciem patriotyzmu państwowego, a nienawiścią do rządu. w którym winowajcę wszystkiego złego upatrywał. To drugie uczucie zwyciężyło — i znalazłszy się w gronie rewolucjonistów, powiedział sobie: jeśli rewolucja, to niech będzie całkowitą, nie połowiczną: niech Rosja pustynią się stanie, niech umiłowany mój lud rosyjski wyginie z nędzy i głodu, byleby pożar z Rosji przeniosł się do Europy i ją objął... I zbryzgany krwią męczenników, obrońców tego ludu, który on niby to tak miłował, stanął Cziczerin w Genui. O współnictwie jego z katami Rosyi któż tam pamiętać chciał, witano go. jako ministra potężnego państwa, katolicki biskup trącał się z nim kielichem... Wido-wisko obrzydliwe... Europa, którą słusznie ze sforą rozjuszonych psów, gryzących się wzajemnie, porównywają, do reszty utraciła w Genui swój *prestige* moralny. Cywilizacja kapitulowała tam przed barbarzyństwem — tak określił Lednicki zwiąże a dobitnie wynik zjazdu. Z tego nawet nie zdawano sobie tam sprawy, że rozprawić i szukać pryncypów wspólnych z rządem, który otwarcie głosi, że celem jego jest zniszczenie wszystkich ustrojów społecznych i państwowych we wszystkich krajach cywilizowanych, to skazywać siebie z góry na porażkę i dawać dostęp propagandzie komunizmu. — Z Genui w chwale i blasku tryumfatora udał się Cziczerin do Berlina, a stamtąd po należne sobie hołdy do Warszawy...

Tej siły, której wymagają silne przekonania, nie było w Genui i niema jej nigdzie w Europie. Zastąpił ją relatywizm jakiś, który w istocie swojej niczem innym nie jest, jak strachem przed prawdą, a prowadzi za sobą ślamazarną wyrozumiałość i pobłażanie wszystkiemu: „Nie mamy w sumieniach naszych — trafnie pisał hrabia Fr. Potocki — ani jednego z tych haseł, które głosimy na zewnątrz, opieramy wszystko na kłamstwie, na oszukiwaniu siebie i drugih, na udawaniu — i skłębieni w jednym wielkiem oszustwie staczamy się wszyscy razem w przepaść, zjadając oszczędności moralne i materialne pozostałe nam po dawnych pokoleniach“... „Europa, jako światowe praognisko, traci swój wiekowy monopol środowiska, z którego wiedza i kultura promieniają“... „Już nie od Europy do innych, ale od innych do Europy płynie to, co porywa i zachwyca, to, co wydaje się być pięknem i prawdą, to, co uważa się za nowe i oryginalne“...*)

*) Por. „Dekadencja Europy“ Czas 1922, N. 109.

Nikt trzeźwo patrzący nie zaprzeczy temu, że wojna odśloniła przed nami rzecz, której się nie domyślano — to mianowicie, że odżyły uczucia, poglądy, idee, o których sądzono, że już od dawna wykorzenione były z duszy człowieka. Wystąpiła na jaw dzikość, cofająca w dawne barbarzyńskie czasy: wojowano z obu stron z zaciętością, z histerycznym jakimś szaleństwem, o jakim od dawna nie słyszano. W grudniu 1870 roku, w czasie oblężenia Paryża, filozof francuski Emil Caro ogłaszał w oblężonej stolicy artykuł, w którym zestawiając idealizm filozofji Kanta z brutalnością polityki Bismarcka, składał hołd nieśmiertelnym dziełom ducha niemieckiego, wraz z nadzieją, że myśli w nich złożone nie zeszły bezpowrotnie z widowni i że po wojnie znowu odnajdą sobie miejsce tam, gdzie powstały; więc starajmy się już teraz się wznieść ponad dzielące nas potoką krwi... *) Gdy w roku 1914 myśli podobne począł głosić Roman Rolland, **) ale daleko oględniej, z daleko silniejszym podkreśleniem okrucieństw niemieckich, opinia publiczna napiętnowała go, jako przyjaciela najeźdźców, a wroga własnego narodu — i w końcu opuścić musiał Paryż, szukać schronienia w Szwajcarii... „W uczuciach, jakie żywiliśmy, w nieprzebieraniu w środkach i w bezwzględności względem przeciwnika my, *moderne Menschen* — woła prof. Kahrstedt — bliżsi byliśmy ludziom z epoki wojny 30 letniej, niż dziadom naszym i ojcom z epoki Napoleona lub Bismarcka“... ***) — Po wojnie zażądali sprzymierzeni, aby wydano im i pod ich sąd stawiono ces. Wilhelma i jego doradców. I my także „pawie i papugi narodów“, ażeby nie dać się wyprzedzić przez Paryż i Londyn, zażądaliśmy wydania jener. Beselera, który chyba tem jednym wobec nas zawinił, że spróbował rozwiązać zadanie, równające się kwadraturze koła, t. j. pogodzić swój patryjotyzm pruski z życziwem dla narodu naszego usposobieniem. Chcąc w historii coś przypominającego ową psychozę powojenną odnaleźć, cofnąć się trzeba poza wojnę 30-letnią, poza wieki średnie, poza

*) „Tâchons d'élever nos âmes a travers ce flot sanglant de haines et de violences“... „Gardons, ce que nous pourrions préserver de cette noble et libérale sympathie, qui devrait survivre entre les esprits cultivés des deux races, ces deux grandes ouvrières de la civilisation moderne, et préparer le jour de leur réconciliation dans la justice et dans la paix“ („La morale de la guerre“ Rev. d. d. m. 1870 15/XII)

**) W książce „Au dessus de la mêlée“.

***) Dr. Ulrich Kahrstedt: „Pax Americana“ München 1920.

Rzym cesarski, daleko wstecz aż do Assyrii, gdzie, po zwycięskiej wojnie, wziętego do niewoli króla pokonanego narodu prowadzono w Niniwie w uroczystym pochodzie przed tron monarchy, a ten mu własnoręcznie wyklęwał oczy... *)

Wobec upadku Europy moralnego i materialnego pierwsze miejsce wśród mocarstw świata zajęła Ameryka. Jej dziełem jest traktat Wersalski, jako zarzewie nowych wo-

*) Dotyczące wojny dzieła i pamiątki, które dotychczas wyszły, zgodnie potwierdzają, że znaczenie polityczne cesarza Wilhelma i jego wpływ na bieg zdarzeń znacznie mniejszym był, niż powszechnie sądzono. Trudno nawet pojąć, jak człowiek z inteligencją tak wybitną, z pozorami autokratycznej, oporu nie znoszącej woli mógł tak dalece ulegać swemu najbliższemu otoczeniu, tak niekrytycznie poddawać się temu oświeceniu, w jakim mu sprawy wewnętrzne i zewnętrzne przedstawiano. „Cesarza trzymano daleko od prawdy, i to było nieszczęściem jego i jego narodu” — tak pisze B. Huldermann w biografii Alb. Ballina (Berlin, 1922), skreślonej na podstawie jego notat. Ballin, twórca i kierownik wielkiej transatlantycznej linii „Hamburg—America”, był, jako znawca spraw marynarki i pierwszorzędnym finansistą, nieraz przez cesarza wzywany do porad. Myślą przewodnią Ballina było niedopuszczenie do zaostrzenia stosunków między Niemcami i Anglią. Tę samą drogę pragnął cesarz. Na marginesie tej sprawie poświęconego artykułu z „Westminster Gazette” przy ustępie, wytykającym polityce niemieckiej dążenie do hegemonji, cesarz nadpisał „unmißgünstigen Nonsense”, w dopisku do zakończenia nazwał to samo „eine lächerliche Idee”, dodając, że hegemonja w Europie środkowej wynika z natury rzeczy, bo „wir sind eben Zentraleuropa” i przez to z natury rzeczy wszystkie państwa mniejsze muszą tam koło Niemiec się grupować: „My, Hohenzollernowie — kończył — nie stawialiśmy nigdy przed sobą tak ambitnych jak panowanie nad Europą, a mglistych celów. „Und wills Gott, werden es niemals“. Zdolny do sądów samodzielnych — mówi Ballin — ces. Wilhelm nie jedno posunięcie fałszywe w polityce trafnie dostrzegał i widział drogę do naprawy, ale nie zawsze miał odwagę iść przeciw zdaniu jej odpowiedzialnych kierowników, (s. 295). Wybuchowi wojny przeszkodzić nie umiał; były bliskie jemu sfery, które wojny tej chciały; zresztą, jak to wynika z wynurzeń Witte’go przed Ballinem w dn. 24 lipca 1914 roku, wojna już była ukartowana przez Sazonowa, Poincaré i Poleologa (s. 303). Od chwili zaś wybuchu otoczenie umiało utrzymać cesarza w najbardziej różowym optymizmie (!). Wytrwał w nim aż do końca. — Na dzień 5 września 1918 roku wezwał Ballina do siebie. Jeszcze się nie orjentował w sytuacji, jeszcze nie zdawał sobie sprawy z niepowodzenia ofensywy (alles wird dem armen Monarchen so serviert, das er das katastrophale garnicht merkt). Narada z Ballinem miała być poufną, pomimo to był przy niej obecnym szef gabinetu cywilnego, v. Berg; krepowało to widocznie cesarza, a jednak nie miał energii kazać mu odejść. Po audjencji p. v. Berg zarzucał Ballinowi zbytnią otwartość — man dürfe den Kaiser nicht zu pessimistisch machen. I to w przededniu katastrofy! P. v. Berg należał oczywiście do klikii wszechniemieckiej, hakatystycznej (allddeutsch).

jen, przeszkadzające konsolidacji stosunków Europejskich. W interesie jej wszechświatowej hegemonji leży rozdziarcie Europy na wzajemnie nienawidzące się państwa, z których każde, przy zachowaniu pozornej niepodległości, byłoby tylko przedmiotem eksploatacji dla potężnej klikki Geldhabów, będących rzeczywistymi kierownikami Panamerykańskiej polityki.

Nie znaczy to jednak, że Europa weszła, albo że już wchodzi w epokę, którą prof. Kahrstedt mianem *Pax Americana* określa. Ameryka ma potężną współzawodniczkę w Japonji, ku niej zwracają się nadzieje budzących się ludów Azji — i jesteśmy w przededniu wielkich walk między obu mocarstwami o panowanie nad Pacyfikiem, nad światem. Ale jest jeszcze ktoś trzeci, kto z tej przyszłej walki zysk dla siebie ciągnie — Rosja sowiecka. Wielu o niej pisało; najbystrzej jej plany i sposoby działania ocenił prof. Massonius *) „Być może — mówi on — że *p-o-j-u-t-r-z-e* Rosja sowiecka upadnie“, lecz jutro może do niej należeć. Dzięki ścisłej łączności z międzynarodową potęgą żydowską, przymierzu z Niemcami, umiejętnej propagandzie i ostrym formom, jakie zaburzenia socjalne wszędzie przybierają, ma ona dziś szczególnie silną pozycję na arenie politycznej. Z niepospolitym zmysłem realnym umieli jej przywódcy znakomicie dla celów swoich wyzyskać nawet trapiące Rosję klęski, które sami spowodowali: nędzę, głód, choroby, rozpacz. Chodziło im „o takie rozprężenie we wszystkich warstwach narodu, o uczynienie życia tak ciężkiem i nieznośnem, że wyczerpana bezowocną walką, nawpół sparaliżowana i osłupiała Rosja samaby u stóp ich legła i za kawałek chleba, za jaki taki spokój i bezpieczeństwo osobiste poddałaby się im gotowa na wszystko“.***) Ten cel osiągnęli w Rosji całkowicie, teraz kolej na Europę. Nie dość silni militarnie, jak to najazd z 1920 roku wykazał, postanowili uderzyć w najbardziej drażliwe miejsca, łamiąc potęgę jej w kolonjach, w Azji i tam ją, zwłaszcza Anglję, źródeł jej dobrobytu materialnego pozbawiając.

Ale tu spotkała się Sowdepja z Japonją. Staje pytanie, za kim i za czem pójdzie Azja: za sztandarem komunistycznym czy imperjalizmu japońskiego? W pierwszym wypadku sprawdziłaby się obawa, której w roku 1920

*) Por. „O Bolszewictwie“ (Poznań 1921).

**) ib. por. s. 74 — 5.

dawał wyraz René Pinon, *) która wcześniej jeszcze, w pierwszych latach bieżącego stulecia, niepokojem przemawiała orientalistę francuskiego Carra de Vaux, przewidującego możliwość wsiąknięcia ludów Azji w Rosję i rosyjsko-azjatyckiej ofensywy przeciw Europie wymierzonej. W przeciwnym razie, t. j. w razie niepowodzenia bolszewictwa w Azji, nieznalesienia tam dla siebie, dla planów swoich europejskich punktu oparcia, ono rozpadnie się prawdopodobnie w Rosji i przeistoczone przez nie w pustynię, w wielką jakąś Saharę byłoby państwo carów stanie otworem przed Chinami i Japonją. Japonja wówczas w swej walce z Ameryką, z anglo-amerykańską rasą zada jej swój może pierwszy, a w każdym razie nie wiele trudu wymagający cios, godząc w Europę wyniszczoną i zjadaną przez dwa wrzody: nacjonalistyczny i komunistyczny. Słowem, mamy przed sobą bliską perspektywę panmongolizmu, nadchodzącej hegemonji rasy żółtej, która czuł, widział i przepowiedział myśliciel — prorok, Włodzimierz Sołowjew.

To się stanie *pojutrze*. Co zaś do jutra, to wiemy, że wzdłuż całej granicy Polski stoi armja czerwona uzbrojona znacznie lepiej, niż w roku 1920 **) zorganizowana przez fachowców nie tylko rosyjskich, ale i niemieckich, różniąca się od armij regularnych europejskich tem tylko, że systematycznie i gorliwie uprawianą w niej jest propaganda idei komunistycznych. Żołnierze, pochodząc z powołań roku 1899, 1900, 1901, zaledwo pamiętają dawny, z czasów carskich porządek, wychowali się w nowej atmosferze i propagandzie rządowej poddają się łatwo, tem łatwiej, że mają oficerów w znacznej części fanatyków bolszewizmu, w którym ich w szkołach wojskowych kształcono. Słabą stroną jest zły stan kolei, brak wagonów i lokomotyw, ale sztab ma to na uwadze, nowe lokomotywy zamówiono w Niemczech i w Szwecji i w razie mobilizacji wszystko, co jest, do celów wojskowych użytym będzie.

W jednej z najświetniejszych książek, jakie o wojnie bezpośrednio po niej napisano, autor jej, ks. Ludwik Windischgrätz z niepospolitą przenikliwością przewidział i przedstawił zagadnienie, które ona wysunąć musiała i które dziś już przed nami w całej grozie stało. „Choć

*) „L'offensive de l'Asie“ (*Rev. d. d. m.*).

**) L'Armee rouge a l'heure présente“ (*L'Est Europeen* 1922, № 5 — 7).

wojna zniszczyła ekonomicznie Europę“ — pisał on — „ale prawdy ekonomiczne i geograficzne stoją na miejscu“ i wpływ ich na politykę — właśnie z powodu wstrząśnień i spustoszeń, przez które przeszedł świat — daleko silniejszym będzie teraz, niż kiedykolwiek bądź przedtem, i pod kategorię imperatywu interesów ekonomicznych tworzyć się będą nowe ugrupowania mocarstw. Ogromna przestrzeń od Władywostoka aż po Ren ma wszystkie warunki, aby się stać ścisłą jednością gospodarczą i jedność ta przybierze formę konkretną wbrew wszystkim intrygom i wszystkim przeciwnościom czy to drobnych interesów lokalnych, czy historycznych uprzedzeń i wzajemnych antypatyj. To znaczy, że stare, wypróbowane, a przez wojnę zerwane przymierze rosyjsko-niemieckie wzmocni się i ustali na nowych, nierównie głębszych i mocniejszych podstawach i stanowić będzie drugą obok Związku panamerykańskiego potęgę świata. Francji pozostanie wtedy pójść pod opiekę Anglii, inne zaś mniejsze państwa nie wejdą nawet w ruchbę, jako czynniki polityczne; będą miały jedno z dwojga do wyboru: albo ułonać w rosyjsko-niemieckim bloku, albo ściśle się ze sobą spoić, ażeby jaką taką niezależność zachować... To drugie powinnyby już dziś przed sobą, jako cel, stawiać politycy Węgier, Austrii i Polski.*)

Słowem: choć państwem jesteśmy niepodległym, ale podstawy bytu naszego bardziej są zagrożone dziś, niż w epoce przedwojennej. Wówczas przynajmniej kultura, myśl Polska miała dla siebie oparcie w państwie Habsburgów, dziś wszystko przeciwko nam się spręgło: bolszewizm rosyjski z jednej strony, Niemcy — z drugiej, Litwa, jako bezpośredni łącznik obu potęg, Czechy jawnie sympatyzujące z Rosją, jakkolwiek ona jest, bolszewicką, czy carską. Pomoc Francji daleką jest i niepewną, rachować na pomoc Rumunji zakrawa na żart. W r. 1830 naród nasz rzucając się w wir nierównej walki z caratem, w zapale swoim zaufał i wszystkie nadzieje złożył w jednym człowieku, w Chłopickim, nadzieje zawiodły, lecz bądź co bądź były one w pierwszych chwilach wielkim pierwiastkiem mocy. Dziś nawet Chłopickiego nie mamy. Tylko partje i partyjnictwo. Szlachetna młodzież roi o zbawczym posłannictwie Polski, szuka otuchy w mesjanizmie, w na-

*) „Vom rothen zum schwarzen Prinzen“ (Berlin 1920) por. s. 442 — 449.

ukach Trentowskiego o Polsce, która „świętym wzorem“ swoim oczyści Europę i niby „zstępujący na ziemię powtórny mesjasz świata“ — przodować mu będzie w nadchodzącej nowej epoce *) — ale nowa epoka już się zaczęła. już w niej jesteśmy — i możemy tylko za poetą współczesnym powtórzyć:

„Nie tak naród z grobu zmartwychwstawa:

Trzeba nam czekać, czekać, czekać

Trzeba nam czekać nowych dni...**)

Stanowimy małą częśćkę Europy, z jej losami jesteśmy związani, temi samemi, co ona, chorobami komunizmu i nacjonalizmu zarażeni i wraz z nią, wzajemnie się gryząc, w opętańczym szale, nie idziemy, lecz pędzimy w przepaść.

Od rewolucji francuskiej kierowała biegiem zdarzeń idea demokratyczna, nieodwołalnie prowadząc przez tryumf zasady głosowania powszechnego do panowania ilości nad jakością, liczby nad inteligencją i, co za tem idzie, do zdziczenia, które ze sfery walki klas przeszło do stosunków między narodami i patryjotyzm zastąpiło tak zwanym nacjonalizmem, miłość ojczyzny — nienawiścią do ludzi innej mowy. innego pochodzenia. Realizację wszystkich straszliwych i obrzydliwych konsekwencji słusznej w istocie swojej idei demokratycznej mamy przed sobą dziś w państwie Sowietów.

Przewidywały to oddawna umysły przedniejsze — i to je przejmowało gorzką troską o przyszłość. Jeszcze w roku 1892 Karol Secretan, zastanawiając się nad losami cywilizacji, tonącej *dans la sottise ineffable*,**), szukając deski ratunku, przeciwstawiał głupocie mas i podłości schlebających jej demagogów dobrą wolę jednostek z umysłem zdrowym i sercem prawem, ze świadomością powinności, czerpiącą moc w religji, w oddaniu się idei dobra absolutnego, którą czcimy, jako Boga żywego, Boga proroków i świętych. A Bóg ten działa w duszy człowieka i przez nią, „objawiając się jej pod chwalebłą postacią tego właśnie dobra, które sumienie czynić każy.****) Ale co mogą jednostki przeciw masom? Całą siłę i słusność zarzutu tego

*) „Solidaryzm“ miesięcznik poświęcony naprawie Rzeczypospolitej (Toruń, 1922 № 2).

**) Antoni Lange.

***) W dziele „La Civilisation et la Croyance“.

****) ib. por. str. 282.

Secretan uznawał; co jednak miał robić, co radzić i wskazywać, skoro innego ratunku nie widział: „albo cywilizacja — mówił — przeobrazi się w wielkim ogniu miłości, albo zawali się wśród pożaru wznieconego przez wszędzie żarzące się nienawiści“. Chciał wierzyć, że prawdopodobniejszem jest pierwsze.

Niestety, dziś, po latach 30-tu, widzimy z prze-rażającą jasnością ostateczne rozbitcie wszystkich utopij o wieku złotym i ziemi obiecanej. Tem lepiej. Wyzwoleni — jak się wyrażał Secretan — „z okrutnego kłamstwa optymizmu“, przenieść musimy punkt ciężkości naszego życia duchowego od powabnych rojeń o przyszłym raju ziemskim do teraźniejszości, do duszy, do jej absolutnego, boskiego pierwiastka. Czyli doskonałość, doskonalenie się, postęp przeistoczyć się muszą z przepowiedni socjologicznej w moralny imperatyw, obowiązujący każdą epokę historyczną, każde pokolenie, każdą jednostkę. „Niech praca nasza — pięknie powiedział współczesny myśliciel rosyjski — będzie, jak hymn, jak modlitwa, jak woń kadzidła unosząca się ku niebu; ważne to i potrzebne nie dla jakichś przyszłych narodów i czasów, lecz dla konkretnego skojarzenia teraźniejszości i wieczności“. *)

Świadomość tego, niezmiernie rozszerzająca widnokręgi myśli i duszy, da nam i da następującemu po nas pokoleniu moc oporności przeciw namiętnościom tej ziemi i moc wytrwania w epoce, daj Boże najkrótszej, tryumfującego zła, w którą weszliśmy, która jednak — przynajmniej w moim indywidualnym uczuciu i przeczuciu — niesie ze sobą dobrą nowinę, zwiastującą bliski koniec już nie tylko Europy, ale świata, ludzkości, planety...

Bez ideału, bez wiary w coś absolutnego, nieskończenie ponad zmienność i znikomość wzniesionego, człowiek z rozumem i sercem istnieć nie może. Wyszliśmy na zawsze z epoki ideałów utopijnych; ideały egoistyczne tak klasowe, jak narodowe, ideałami nie są, bo zamiast wznosić, spychają w niziny zazdrości i nienawiści; pozostaje cały nacisk położyć na indywidualną odpowiedzialność człowieka przed Bogiem — we wszystkim, w myślach, słowach, czynach, w życiu wewnętrznym i zewnętrznym, domowym i publicznym.

*) Por. Paweł Nowgorodcew „Ob obszczestwiennom ideale“ (I wyd. 1917).

„Tylko Bóg zbawia — przytoczę znowu Secretana — bo „gdybyśmy sami siebie zbawić mogli, byłibyśmy już dawno zbawieni... se perdre en Dieu c'est se trouver... c'est commencer à vivre“. Życie staje się wtedy porywaniem innych za sobą, w górę. Ludzi tego pokroju, takim życiem żyjących potrzebuje Polska w swoim dzisiejszym tak niesłychanie ciężkim położeniu więcej, niż jakikolwiek inny naród.



Uzupełnienia.

1. Do rozdziału „Legjony a Sprawa Polska“ str. 50—51.

Tym uczniem uniwersytetu Jagiellońskiego, co na obchodzie stułetniej rocznicy śmierci ks. Józefa Poniałowskiego wygłosił w auli ową natchnioną mowę, która tak potężne wywołała wrażenie na słuchaczach, jako objawienie rzucające niespodziewane światło na duszę polską w owej chwili w jej dążeniu do ideału niepodległej ojczyzny był, jak się dowiadujemy, Bohdan Górski, syn zasłużonego i w Warszawie powszechnie znanego pedagoga, dyr. Wojciecha Górskiego. — W roku następnym (1914), jeszcze przed wybuchem wojny, Bohdan Górski zmarł śmiercią tragiczną na Bałtyku, w okolicach Gdańska, zaskoczony burzą wczasie wycieczki morskiej.

2. Do rozdziału „Zbrodnia Ryska“ str. 235.

Jednem z następstw haniebnego traktatu w Rydze było podeptanie przez rząd nasz szanowanego przez wszystkie cywilizowane narody prawa azylu. Na żądanie ministra Rosji sowieckiej, Cziczierina, wysłani zostali z Warszawy ci wszyscy Rosjanie, których działalność on poczytywał za niebezpieczną dla Sowietów. Z tego powodu wystosowałem do p. Al. Lednickiego następujący list otwarty, który wydrukowanym został w „Tygodniu Polskim“ — Nr. 44.

Szanowny i Kochany Panie Prezesiel

Piszę pod wrażeniem listu otwartego jen. Bałachowicza, oraz tego głosu sumienia, jakim był świetny artykuł Pański „Polityka i Etyka“ w Nr. 42 „Tygodnia polskiego“.

Mój bliski krewny, a jeden z wybitnych obywateli ziemi Mińskiej, pisał do mnie przed kilku miesiącami, że z wielkim pośpiechem stara się o obywatelstwo polskie, z obawy, iż w przeciwnym razie Rząd Polski mógłby go wydać Sowdepji. Wziąłem to za ponury żart, malujący stan duszy człowieka, wyzutego z ojcowizny i wyrzuczonego na bruk, mocą dokonanej w Rydze rok temu zbrodni, którą wskutek dziwnego nieporozumienia dotąd jeszcze nie zbrodnią Ryską, lecz Ryskim traktatem nazywają.

Dziś widzimy, że mój krewny bliższym był prawdy, niż może sam sądził. Święte prawo azylu zostało podeptane. Na żądanie pana Cziczierina mamy wydać z granic Polski tych Rosjan, których jego agent, Karachan, wskazać zechceł Rumieniec gniewu, — nie waham się dodać — świętego gniewu, oblewał twarz moją, gdy czytałem wczoraj list otwarty jen. Bałachowicza. Człowiek, który w roku zeszłym

z nieustraszonym męstwem walczył w przednich szeregach armji naszej, któremu bolszewicy przez zemstę całą rodzinę wymordowali, który dziś jest gotów nadal służyć Polsce, miał być przez nią wydalony, bo się tak podobało p. Karachanowi!

Leżymy w przepaściach hańby, spożywając gorzkie owoce dzieła, które p. Dąbski i jego godni towarzysze tworzyli w Rydze. Jak w epoce rozbiorów Stackelberg, tak dziś rozporządza się w Warszawie Karachan, ale z tą różnicą, że tamten wysłannikiem był potężnej imperatorowej, ten działa w imieniu najpodlejszej, jaką historja widziała, zgrai bandytów. Niepodległe państwo spada na poziom jakiejś straży bezpieczeństwa, mającej ochraniać ową zgraję przeciw wszelkim na nią zamachom ze strony uczciwych synów Rosji!

Wbrew hasłu ojców naszych „za naszą wolność i waszą” nie chcieliśmy układów ani z Denikinem, ani z Wranglem, którzy dobrze czy źle — przypuścmy, że źle i niedołężnie — walczyli jednak o wyzwolenie ojczyzny swojej od gnębiących ją siepaczy. I cóż? Owym siepaczom darowaliśmy kwitnące obszary dawnych ziem Rzeczypospolitej, oddaliśmy im, jak bydło, do wymordowania, koło dwóch milionów ludności polskiej — i stoimy teraz obarczeni nienawiścią, którą nas, jako dobrowolnych służalców rosyjskiego komunizmu, piętnuje i ściga wszystko, co w Rosji jest uczciwe. A czy wiemy na pewno, że to, co w Rosji jest uczciwe, już nigdy do steru tam nie dojdzie? Rad jestem, że nie mieszkam obecnie w Warszawie, bo wstydziłbym się spojrzeć w oczy najzaciejszemu Dymitrowi Filosofovi. Czy jego także mają wydalic?

Pochodzę z ziemi Mińskiej, przyszedłem na świat w majątku Nowosiółki, w granicach dzisiejszej Sowdepji. Mogą mnie przeto panowie Cziczerin i Karachan uważać za swojego „poddanego”. Więc zapytuję, co mam robić, jeśli po przeczytaniu listu tego p. Karachan rozkaże naszemu ministrowi spraw zagranicznych usunąć mnie z Polski? Czy mogę nadal spokojnie przebywać w Wilnie, korzystając z tego, że Wilno leży w prowizorycznem państwie Litwy Środkowej, czy też mam już rozpocząć starania o uzyskanie obywatelstwa w tem jedynem w Europie państwie, którego kierownicy, wierni głosowi sumienia, umieli wytępić u siebie komunizm i mają odwagę głośno zasady chześcijańskie wyznawać. Mam naturalnie na myśli Węgry.

Marjan Łdziechowski.

Wilno, 21 Października, 1922 r.



SPIS RZECZY.

CZĘŚĆ PIERWSZA

DWA POKOLENIA.

	Str.
I. Wojciech Dziędużycki	5
II. J. K. Kochanowski	35
III. Legjony a sprawa polska	47

CZĘŚĆ DRUGA

WOJNA, REWOLUCJA, A POLITYKA CHRZEŚCJAŃSKA.

	Str.
I. Mickiewicz, Mereżkowski i rewolucja rosyjska . .	67
II. Fr. W. Förster	84
III. Konstantyn Frantz a prusko-polska utopja . . .	116
IV. Dwa imperjalizmy. Około pamiętników admirała v. Tirpitz	135

CZĘŚĆ TRZECIA

BOLSZEWIZM ROSYJSKI A PÓLBOLSZEWIZM POLSKI.

	Str.
I. Z psychologii bolszewizmu	193
II. Czerwona Armja	210
III. Zbrodnia Ryska	227
IV. Polska a Węgry	243

CZĘŚĆ CZWARTA

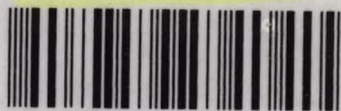
NA ZWALISKACH PRZESZŁOŚCI.

	Str.
I. Trzy światy: Europa, Rosja, Azja	253
II. Eurazjatyzm Rosyjski	274
III. Koniec Europy	291

ZAKOŃCZENIE	315
-----------------------	-----

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 313600



000-313600-00-0

TEGOŹ

Mesjaniści i słowianofile, Szkice z psychologii narodów słowiańskich. Kraków 1888, str. 338.

Byron i jego wiek, Tom I Europa zachodnia. Kraków 1894 str. 447 (wyczerpane).

Byron i jego wiek, Tom II. Czechy, Rosja, Polska. Kraków 1897, str. 686 (wyczerpane).

Szkice literackie, Warszawa 1900, str. 339.

Odrodzenie Chorwacji w wieku XIX, Kraków 1902, str. 217.

Pestis perniciosissima, Rzec o współczesnych kierunkach myśli katolickiej. Warszawa 1905, str. 95.

U opoki mesjanizmu, Nowe szkice z psychologii narodów słowiańskich. Lwów 1912, str. 408 (wyczerpane).

Wizja Krasińskiego, Ze studjów nad literaturą i filozofją polską. Kraków 1912 str. VII+202.

Pessymizm, romantyzm a podstawy chrześcijaństwa, Dwa tomy. Kraków 1915. Tom I str. XXVII+376, Tom II, str. 420.

Gloryfikacja pracy, Myśl z pism i o pismach Stanisława Brzozowskiego. Petersburg 1916, str. 102. Wydanie drugie, Kraków, 1921.

Wpływy rosyjskie na duszę polską, Kraków 1920, str. 155.

Tragedja Węgier a polityka polska, Kraków 1920 str. 40.

P o f r a n c u s k u

Le Messianisme de Mickiewicz et l'esprit religieux contemporain. Lugano 1914.

W p r z e k ł a d z i e n i e m i e c k i m

Pestis perniciosissima, (uebersetzt von H. Gluck), Wien 1905.

Die Grundprobleme Russlands, Wien — Leipzig 1907, str. 431. (Przekład „U opoki Mesjanizmu“ przez prof. Stylo).

W p r z e k ł a d z i e f r a n c u s k i m

La Tragedie de la Hongrie et la politique Polonaise. Vienne 1921.